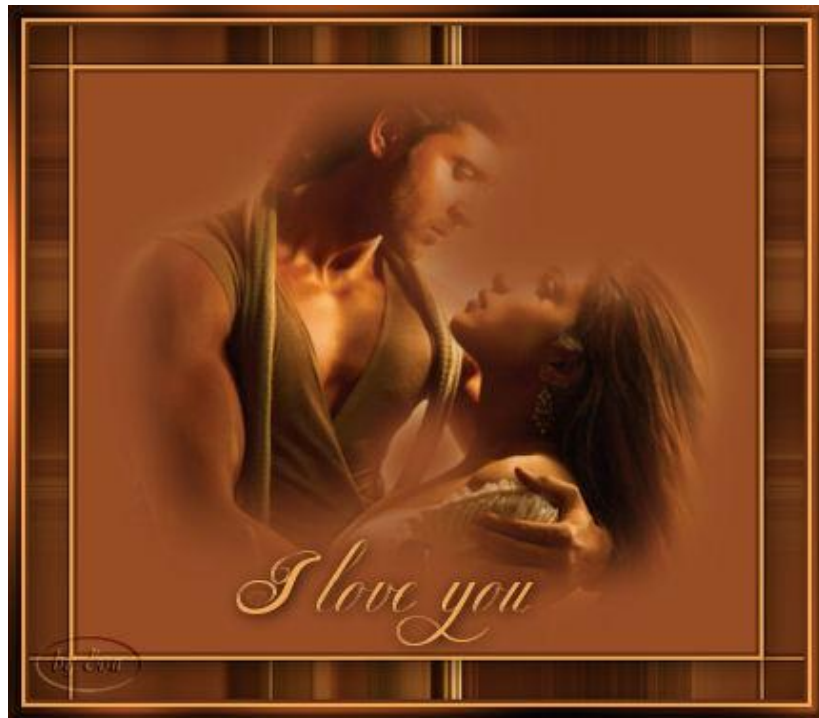




Rosemary Rogers



Dzikość serca

Prolog

Indie. Rok 1872

- Dzika krew! Skażona. Doszły mnie słuchy, że każde pokolenie Dangerfieldów daje światu jednego szaleńca. Nazywają go szatanem Dangerfieldów.

Pani Leacock powachlowała się energicznie i dodała:

- Wszystkie te koligacje rodzinne... Nie ma się czemu dziwić. Obgadują za plecami Melchestera, nazywając go „Ekscentrycznym lordem”, ale on przynajmniej nie zrobił jeszcze nic skandalicznego... Oburza mnie jedynie to, że pozwala Rowenie na wszystko! Któregoś dnia ta dziewczyna źle skończy - ja to czuję. I ten jej gniew... czy pamiętacie, jak prawie zachłostała na śmierć stajennego, kiedy zapomniał wyczyścić jej konia? Jest jedyną białą kobietą w prowincji Jhanpur, która była świadkiem publicznej egzekucji. Pułkownik oniemiał na jej widok, a ona nawet nie mrugnęła okiem!

- Coś trzeba z tym zrobić! - kontynuowała ze zgrozą pani Leacock. - Wiecie, że mój drogi małżonek nie lubi się wtrącać, ale poproszę go, by porozmawiał z gubernatorem. Nie możemy pozwolić sobie na skandal, zwłaszcza gdy chodzi o młodą Angielkę i miejscowego księcia!

Angielki przybyłe ze swoimi mężami do małej prowincji Jhanpur spotykały się każdego popołudnia przy herbacie. Kiedy tym herbacianym przyjęciom przewodziła pani Leacock, żona biskupa, czy pani O'Bannion, żona dowódcy niewielkiego garnizonu angielskiego, ściśle przestrzegano zasad protokołu i etykiety. Z gracją serwowano wykwiłtne lukrowane ciasta, słodkie owoce i cienkie kanapki o wymyślnych kształtach przygotowane przez doświadczonego kucharza. Jedna z dam siadała przy srebrnej zastawie i rozpoczynała ceremonię nalewania herbaty.

Tego dnia funkcja gospodyni przypadła pani Leacock. Podając ostatnią filiżankę pochyliła się lekko i zniżyła głos.

- A wracając do dyscypliny... - ciągnęła. - Muszę przyznać, że brakuje jej nie tylko tubylcom! Moje drogie panie, zachowanie tej dziewczyny z każdym dniem staje się coraz

bardziej niegodziwe!

Od chwili kiedy Lord Melchester, brytyjski gubernator Jhanpuru sprowadził swą wnuczkę, Rowena Dangerfield była przedmiotem spekulacji i komentarzy w tej maleńkiej angielskiej społeczności.

- Na Boga! - wykrzyknęła pani O'Bannion, prostując plecy. - Czy te pogłoski są prawdziwe?

- Od naszego stajennego, Mohammeda Khana, dowiedziałam się, że zabrała młodego księcia na konną przejażdżkę. Jak pamiętacie, rozmawialiśmy o nim w zeszłym tygodniu. Maharadża z pewnością cieszy się z tak długiej wizyty swego syna.

- Wielkie nieba! Myśli pani, że dlatego został? - Maleńka pani Loving, żona młodego oficera, otworzyła szeroko niebieskie oczy.

Pani Leacock rzuciła jej pełen wyrozumiałości uśmiech.

- Wszyscy wiedzą, że Shiv Jhanpur przedkłada luksusy Bombaju i Delhi nad prowincję, której kiedyś będzie władcą. Wykształcenie zdobył w Oxfordzie, podobnie jak jego ojciec, ale dla tych książąt to i tak nie ma żadnego znaczenia - po powrocie do domu wracają natychmiast do starych zwyczajów!

- Ależ Marion! - Pani O'Bannion wyglądała na niezwykle poruszoną. - Z całą pewnością... ale czy gubernator zdaje sobie z tego sprawę? Choć czasami ma takie dziwaczne pomysły, nie myślę, by...

- Amy, wiesz tak dobrze jak ja, że pozwala tej dziewczynie na wszystko! Pozwolił jej na wizytę w pałacu, a nawet w... kwartałach dla kobiet! To nie po chrześcijańsku, to barbarzyństwo, by tym indyjskim książętom pozwalano na posiadanie tylu żon! No cóż, nawet nasz książę ma ich co najmniej pięć. Pierwszą poślubił, gdy oboje byli jeszcze w kołyskach!

- Och! - westchnęła pani Loving, a starsze kobiety rzuciły jej porozumiewawcze spojrzenia.

- Jest pani tu zbyt krótko, moja droga, by pojąć, jak prymitywni mogą być ci ludzie! - uśmiechnęła się chytrze pani O'Bannion.

- Ależ tak! - dodała pani Leacock. - I nie poznała pani jeszcze gubernatora, prawda? Mąż mój, niezwykle drogi, słodki i miłosierny człowiek znalazł się na skraju rozpa-

czy. Gubernator powinien świecić przykładem, a nasz nie był w kościele od lat, podobnie jak i jego rozpuszczona, arogancka wnuczka. Sama mu o tym wspomniałam. Powiedziałam: „Miło byłoby zobaczyć drogą Rowenę podczas niedzielnej mszy; przecież żyjemy w pogańskim kraju i jeśli dzieci nie poznają własnej religii, kiedy jeszcze nie jest za późno...”, a on, moja droga, nie dał mi skończyć! Nie pozwolił na ani jedno słowo, tylko zmarszczył swe krzaczaste brwi i oznajmił szorstko, że nie życzy sobie, aby jakieś dogmaty pomieszały w głowie jego wnuczce! Po prostu zabrakło mi słów! Czasem nadozda mnie wątpliwości, czy sam jest chrześcijaninem.

- Ale mówiła pani o Rowenie - nalegała O'Bannion, a jej przyjaciółka westchnęła ciężko.

- Tak, oczywiście. No cóż, moim zdaniem tak właśnie ją wychowano. Nigdy nie chodziła do szkoły, a kiedy wspomniałam kiedyś, że moja Marcia wybiera się do znakomitej szkoły z internatem w Anglii, uniósł tylko brwi i burknął: „Naprawdę, madam? Ja nie pozwolę, aby moja wnuczka marnowała czas na lekcje fortepianu i akwarele. Wykształcenie zdobędzie ode mnie”. Przywiózł tu całe skrzynie książek - niektóre z Francji i Niemiec. Kiedy tylko Rowena nie pędzi gdzieś na koniu albo nie poluje na tygrysy, zatapia się w tych książkach. Pewna jestem, że niektóre z nich nie nadają się dla dziecka w jej wieku.

Pani Leacock przerwała na chwilę, a pani Loving, ściągając jasne brwi, szepnęła:

- Och! Pojęcia nie miałam, że to jeszcze dziecko. Myślałam... to znaczy, pewna jestem, że ktoś powiedział mi, iż ma już prawie osiemnaście lat...

- Rowena Dangerfield ma lat siedemnaście, ale nigdy by się pani tego nie domyśliła. Nie dba zupełnie o swój wygląd, a jej stroje do konnej jazdy są już za ciasne i za krótkie. Odbywa konne przejażdżki w najgorętszej porze dnia, z gołą głową, proszę sobie wyobrazić, i tylko cudem jakimś uniknęła do tej pory udaru słonecznego! Moja Marcia zawsze zakładała kapelusz i nosiła parasolkę, a dzięki maślance i płynom ogórkowym jej cera pozostała jasna i delikatna. Rowena jest opalona, a z grzywą czarnych włosów, których, pewna jestem, nigdy nie czesze, mogłaby uchodzić za Hinduskę. To... proszę mnie źle nie zrozumieć... to szok dla wszystkich i straszny przykład dla krajowców. A teraz jeszcze to!

- Godne ubolewania - westchnęła pani Carter, kręcąc głową.

Rzuciła pełne współczucia spojrzenia pani Loving, która nie zdążyła jeszcze usłyszeć wszystkich plotek w Jhanpurze i dorzuciła:

- No ale jeśli weźmie się pod uwagę jej pochodzenie - ten okropny skandal - to nic dziwnego, że gubernator przywiózł ją tutaj, a sam nigdy nie wrócił do Anglii!

Pani Loving otworzyła szeroko oczy z przerażenia, ale i w przyjemnym podnieceniu.

- Skandal? - zapytała cicho.

- Moje drogie dziecko, gdzie się pani podziewała? - rzuciła z niedowierzaniem pani O'Bannion. - Kilka lat temu nie szeptano w Londynie o niczym innym.

- Przywiózł ją tutaj dokładnie piętnaście lat temu, kiedy Rowena była jeszcze niemowlęciem - potrząsnęła złowieszczo głową pani Leacock. - Oburzające! Ale wtedy Guy Dangerfield był prawdziwym nicponiem. Młodszy synalek, oczywiście rozpuszczony przez matkę. Dwa razy wyrzucano go z Oxfordu za niewłaściwe zachowanie. A co gorsza, potem uciekł do Ameryki, by tam zrobić majątek.

- Wrócił po kilku latach jak zły szeląg! Bo widzicie, William, prawowity dziedzic, zginął podczas polowania, więc Guy przejął po nim tytuł. Przypuszczam, że lord kazał go odnaleźć. I kiedy już wszyscy o nim prawie zapomnieli, pojawia się jakby nigdy nic i co więcej, ogłasza swe zaręczyny! Fanny Toliver - śliczna dziewczyna, miała zaledwie siedemnaście lat, dopiero co ukończyła szkołę. Z dobrej rodziny, ale, rzecz jasna, bez grosza. Byliśmy wtedy w Anglii na wakacjach i pamiętam, jak czytając zapowiedzi w „Timesie” powiedziałam pułkownikowi: „Pomnisz moje słowa, czuję, że nic dobrego z tego związku nie wyjdzie”. I oczywiście miałam rację.

Przerwała, by nabrać powietrza, a jej przyjaciółka wtrąciła szybko:

- Amy ma rację. Nic dobrego z tego nie wyszło. Fanny Dangerfield była kapryśną młodą damą, nieprzygotowaną do małżeństwa. Ponoć wpadła w histerię, kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży. Przekonała Guya, by został z dzieckiem na wsi, w Melchester, podczas gdy sama zamieszkała u swej ciotki w Londynie. Muszę przyznać, że świata nie widział poza swą córką, całkowicie zaniedbując żonę. Powinien był zabrać ją z Londynu, jak tylko pograżyła się w rozrywkach. Pokazywała się publicznie w towarzystwie innych

mężczyzn, z nie zawsze właściwych kręgów; a kiedy już po nią przyjechał, namówiła go, by został. I to nic nie dało. Zaczął uprawiać hazard, pić na umór, a i jaskinie rozpusty w Soho nie były mu obce. A potem... - pani Leacock zrobiła dramatyczną przerwę. - A potem - powtórzyła z triumfem - postrzelił i zabił człowieka podczas gry w karty! Podobno w Ameryce mężczyźni noszą przy sobie pistolety, ale tu Guy Dangerfield znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Nie tylko zabił tego francuskiego hazardzistę, ale zastrzelił też policjanta, który próbował go zaarrestować. Nikt nie wie, jak udało mu się tamtej nocy zbiec na statek odpływający do Ameryki, ale mówię wam, w mieście zawrzało!

- Nie do wiary! - pisnęła pani Loving, zaciskając małe dłonie.

- Później, co gorsza, Fanny Dangerfield rozwiodła się ze swym mężem. Wyjechała do Francji, by tam poślubić tego drania, sir Edgara Cardona. To baron - ale oczywiście majątek zbudował na handlu. Człowiek o straszliwej reputacji. Teraz już wiecie, dlaczego gubernator zabrał swą wnuczkę?

Z pewnością pani Leacock oburzyłaby się jeszcze bardziej gdyby wiedziała, że w tym samym momencie Rowena Dangerfield, bez eskorty kogoś ze służby, siedzi na pękniętym murze starożytnych ruin i rozmawia z księciem.

- Shiv - odezwała się cicho i łagodnie. - Jesteś nierozsądny! Dlaczego miałabym cię poślubić i powiększyć twą kolekcję kobiet?

- Przecież obiecałem ci porzucić je wszystkie! - wyrzucił z siebie szczupły, młody mężczyzna, odgarniając z czoła kosmyk czarnych włosów. - Nie będzie żadnej innej żony, będę cię zabierał na wszystkie publiczne uroczystości. Pomożesz mi sprawować władzę. Zrobię dla ciebie wszystko, z wyjątkiem przejścia na chrześcijaństwo!

- Wielkie nieba! - odpowiedziała spokojnie. - Czasami sama mam wątpliwości, czy jestem chrześcijanką! Ale nie w tym rzecz. Nie mogę wyjść za ciebie, Shiv, nawet gdybym chciała, a nie chcę. Myślę, że nigdy nie wyjdę za mąż. Bo niby po co? By stać się zabawką mężczyzny, by traktowano mnie jak bezrozumne dziecko, by kontrolowano wszystkie me posunięcia, nawet moje pieniądze! Wolę umrzeć!

- Roweno! Jak możesz tak mówić? Kobiety stworzone są do małżeństwa, dzieci,

służenia mężczyznom. Nie tylko w moim kraju, ale i w twoim też. Czy nie lubisz mnie ani trochę?

- Gdyby tak było, nie siedziałabym tu z tobą. Lubię nasze pogawędki, Shiv... Co więcej, tak doskonale rozumiesz konie...

- Konie! - uderzył dłonią w czoło i jęknął z rozpaczą. - Ja tu opowiadam o małżeństwie, miłości, a ty mi o koniach! Miałem do syta tych rozmówianych w koniach angielskich panienek. Nie zainteresowała mnie żadna z nich, nawet kiedy byłem w Anglii. Jesteś pierwszą inteligentną kobietą w moim życiu - jedyną, z którą mogę porozmawiać. I... - zawiesił znacząco głos, obdarzając ją topniejącym spojrzeniem brązowych oczu - ...jesteś bardzo piękna, nawet jeśli próbujesz to ukryć. Jesteś jedyną Angielką, która potrafi nosić sari z wdziękiem Hinduski, a w indyjskim słońcu twoja skóra nabrała złotego blasku. Kiedy rozpuszczasz włosy, jak tamtego dnia przy lotosowym stawie, kiedy w uszy i na kostki zakładasz złote ozdoby...

- Shiv, przestań! Tego dnia nie miałeś prawa się tam wpychać! Ubrałam się tak, aby sprawić przyjemność twoim... twoim żonom, a ty musiałeś się pojawić i gapić jak idiota!

Wybuchnął śmiechem.

- Ależ, kwiatuszku lotosu, dlaczego miałbym nie odwiedzić moich kobiet po powrocie z tak dalekiej podróży? Nigdy nie zapomnę rumieńca na twojej twarzy - twoje policzki przypominały pąsową różę. To właśnie wtedy doznałem olśnienia: Ta kobieta musi zostać moją żoną! Chciałbym zapiąć na jej szyi złote, małżeńskie *thali* i posiadać ją na zawsze!

- Powinieneś zostać poetą, a nie księciem - zadrwiła Rowena. - Proszę, nie przypominaj mi o moim zażenowaniu! I przestań rozprawiać wreszcie o naszym małżeństwie, bo to zupełnie nie wchodzi w rachubę!

Twarz księcia spoważniała.

- Czy to dlatego, że jestem Hindusem, a ty należysz do brytyjskiej arystokracji?

- Sądziłam, że znasz mnie lepiej!

Jej ciemnoniebieskie, prawie fiołkowe oczy rzucały błyskawice, a młody mężczyzna, mimo urazy i rozczarowania, nie mógł oderwać od niej pełnego smutku wzroku. By-

ła taka piękna, nawet jeśli nie zdawała sobie z tego sprawy, nazywając swą urodę pospolitą. Przypominała młodą boginię, dziką i nie poskromioną, z grzywą czarnych włosów, wiotkim ciałem zaprawionym w konnej jeździe. Podobnie jak boginie pędziła w siodle swobodna i nieskrępowana, a jej smukła talia nie potrzebowała gorsetu. Oczy, nawet kiedy spoglądały groźnie jak teraz, stanowiły jej najwspanialszą ozdobę; duże, okolone gęstymi rzęsami. Prawie owalna twarz i lekko wystający podbródek dodawały jej tylko uroku. W uśmiechu pokazywała pełne, wydatne usta; usta zmysłowej kobiety.

Z wolna wodził po niej pieśczośliwym niemal wzrokiem i dopiero podniesiony głos Roweny sprowadził go na ziemię.

- Shiv! Co się z tobą u diabła dzieje? Nie zamierzasz chyba dąsać się tylko dlatego, że cię nie poślubię? Powinieneś raczej odczuwać ulgę, bo obawiam się, że dla żadnego mężczyzny nie byłabym troskliwą i posłuszną żoną

- Jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy. Jesteś taka młoda! Być może któregoś dnia pokochasz mnie, a wtedy już nigdy nie opuścisz Indii. Zrozumiesz wtedy, że tu jest twoje miejsce, że należeć będziesz tylko do mnie.

- Nie będę należeć do nikogo, Shivie Jhanpur! - oznajmiła zdecydowanym tonem Rowena, ściągając proste, czarne brwi. - Nigdy! Jeśli chcesz pozostać moim przyjacielem, miej to na uwadze.

- Zobaczymy! - odciął się, a po chwili dodał z przekonaniem. - Oczywiście, że chcę być twoim przyjacielem. Nie mam tu z kim rozmawiać. Ojciec należy do starszego pokolenia i potrafi rozprawiać tylko o obowiązkach. Anglicy, z którymi się spotykam, to straszliwi nudziarze, pewni swej wyższości z powodu białej skóry, choć próbują to ukryć. Ale twój dziadek jest inny; i ty jesteś inna.

Uścisnął jej dłoń i dorzucił żarliwie:

- Mój ród jest bardzo stary, być może starszy od twojego. Jhanpur jest mały, ale jego maharadzowie wywodzą się w prostej linii od królów i książąt. Jeśli zmienisz zdanie, Roweno, pewien jestem, że twój dziadek nie stanie nam na drodze. Proszę, przemyśl to.

Książę Jhanpuru - przystojny, wyniosły młody człowiek ubrany był w nienagannie skrojony strój do konnej jazdy, uszyty w Savile Row. Stojąca przed nim dziewczyna, z uporem kręcąca głową, również nie należała do uległych, choć w swych niemodnych,

wyświechtanych szatach mogła uchodzić za cyganek. Jeden z jej przodków uciekł kiedyś z cygańską dziewczyną i uczynił ją hrabiną. Rowena знаła tę opowieść na pamięć.

Ale w tym momencie nie myślała o swym wyglądzie. Właściwie nigdy o niego nie dbała. Kręciła przecząco głową, gdyż Shiv rozgniewał ją swą natarczywością, ale żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, że w jej głowie zakiełkowało maleńkie ziarenko - początek świadomości, że jest już kobietą.

- Jedźmy już - zaproponowała cicho Rowena, a Shiv nie zaprotestował, w obawie by jej nie urazić.

Kiedy pomagał jej dosiąść wielkiego, czarnego rumaka zwanego Szatanem, zatopił się we własnych myślach: „Pośpieszyłem się, to pewne. Jak wszystkie Angielki w jej wieku i jej pochodzenia, nadal jest istotą nieśmiałą i na wpół dziką. Tak, mimo tych wszystkich ksiąg i inteligencji wciąż pozostaje niewinna i lęka się mężczyzn. Ale i na nią przyjdzie czas...”. Rowena odczuła ulgę, kiedy Shiv ponownie wrócił do roli jej przyjaciela. Wbiła pięty w bok Szatana i pobudziła wielkiego rumaka do galopu.

- Mur, a potem stary płot! - krzyknęła przez ramię do Shiva, a jej młody głos utonął w stukocie końskich kopyt. - Ścigamy się do pałacu, a potem pędzę do domu!

Londyn. Rok 1873

- Edgarze! Jak możesz być tak beztroski? Czytaj! - Głos lady Fanny Cardon, zazwyczaj lekko płacziwy, załamał się. - Pogodziłam się ze śmiercią Melchestera i faktem, że Guy, jeśli nadal żyje, jest teraz nowym lordem. I jakby tego nie było dość, to przekłete dziecko zniknęło gdzieś bez śladu!

Lady Fanny siedziała w różowym szlafroku z jedwabiu przed małą toaletką, dramatycznie wycierając oczy skrawkiem koronkowej chusteczki. Wyciągnęła dłoń i podała mężowi kilka gęsto zapisanych stron.

- Cóż, jej zniknięcie oznacza koniec wszystkich naszych kłopotów, prawda?

- Ależ Fan! Przestań się denerwować! Przecież sama nie chciałaś, aby ci podzucili córkę.

- Edgarze! - Głos lady Fanny zwiastował nadchodzącą histerię.

Jej małżonek wzruszył ramionami i odebrał list.

- Wielkie rzeczy! Chciałem cię tylko uspokoić, ale nie rozumiem...

- Zrozumiesz, kiedy przeczytasz ten list! Boże drogi - skandal z Guyem był wystarczająco okropny, ale ludzie powoli zapomnieli. A teraz to! Guy zawsze uwielbiał Rowenę - to on chciał tego dziecka, nie ja. Wiesz dobrze, że o mało nie umarłam. Dlaczego właśnie ja mam się nią opiekować? I dlaczego ona w niczym nie przypomina dobrze wychowanego dziecka? Uciekać samopas w tak dzikim, barbarzyńskim kraju? Przeczytaj, co ma do powiedzenia pani Leacock!

- Dobrze, gdy tylko przestaniesz jęczeć, moja kochana.

Sir Edgar, mężczyzna wielki i krzepki, przyglądał tak modne w Anglii bokobrody, stanął przed kominkiem i podniósł surowe, szare oczy na zamyśloną twarz żony.

Lady Fanny, skręcając w palcach maleńką chusteczkę, uchwyciła to spojrzenie i wydała cichy jęk.

- Czasami odnoszę wrażenie, że jesteś bez serca! Co u diabła mam uczynić?

Nie zwracając uwagi na ten wybuch, sir Edgar wodził wzrokiem po liście, raz po raz głaszcząc bokobrody.

- A więc uciekła, by odnaleźć spokój i właściwy nastrój w... Co u licha znaczy to

słowo? *Ashram*? Ach tak, tutaj; pani Leacock zechciała to wyjaśnić. To pewien rodzaj hinduskiej samotni. Muszę przyznać, Fan, że ta dziewczyna jest tak samo ekscentryczna jak jej dziadek! Zupełnie zbzikowała. Co w takim miejscu może robić angielska kobieta?

- Doskonale wiesz, co napisała nam w ostatnim liście pani Leacock! Rowena wychowała się w dziczy jak... cyganka! Bez krzty dyscypliny. Nie chodziła do szkoły, nigdy nie przyjaźniła się z dziećmi w swym wieku. Pani Leacock twierdzi, że to skandal! A potem pojawił się ten hinduski książę z którym spotykała się aż do interwencji biskupa. Edgarze!

Na twarzy Edgara zamigotał uśmiech.

- Właśnie pomyślałem, że być może ten dzieciak ma to po tobie, Fan! Wciąż śliczna, jeśli tylko przestaniesz się krzywić i szlochać. Hinduski książę, co? To jest myśl. Wydajmy ją za męża.

- Co też ci przyszło do głowy? Przecież nie może poślubić Hindusa... tubylca! Och, Edgarze, ja chyba nie przeżyję kolejnego skandalu! Poza tym Rowena to jeszcze dziecko!

- Dziecko? Ta panna ma już osiemnaście lat, prawda? Trudno ją nazwać dzieckiem. Ty wyszłaś za męża o wiele wcześniej - zauważył szorstko sir Edgar. - Fan, przestań się trząść. Ta pani Leacock, która zdaje się wiedzieć wszystko, pisze, że Rowena nie ma pieniędzy; i że przetrząsają w jej poszukiwaniu całą okolicę. Gdy tylko ją znajdą, odeślą do Anglii. Jest przecież niepełnoletnia, prawda? Musi robić to, co jej każą, bez względu na to, czy jej się to podoba, czy nie. Jesteś jej opiekunką, chyba że pojawi się Guy. A oboje wiemy, dlaczego tak się nie stanie? - Rzucił swej żonie znaczące spojrzenie.

- Ale...

- Zrozum, Fan, tak czy inaczej musimy ją przyjąć, jeśli tylko przybędzie, chociażby po to, by zapobiec plotkom. Nie możemy jej wyrzucić, przecież jesteś jej matką. Nie ma wątpliwości, że potrzebuje dyscypliny. Poślemy ją do szkoły, wydamy za męża. Jak będzie trzeba, sam się zatroszczę o jej posag.

- Ale nie mamy pojęcia, jaka ona jest! - głos lady Fanny zadrżał z emocji. - Nastawił ją przeciwko mnie. Wiem to z pewnością. Był strasznym, surowym człowiekiem. Zawsze się go bałam!

- Jego już nie ma. A dziewczyna spokojnie, gdy tylko zobaczy, że nie zamierzam tolerować żadnych wybryków. Przekonasz się.

Po tych słowach sir Edgar udał się do swego klubu, a lady Fanny odzyskała siły na tyle, by zamówić powóz i wyruszyć na zakupy.

- Niedbale zostawiła list na toaletce, pośród rozsypanego pudru i na wpół pustych butelek z perfumami.

- Niech pani spojrzy na to, pani Jenks. - Adams, osobista pokojówka lady Fanny od dziesięciu lat, była jedyną służącą uważającą się za równą statusem surowej gospodyni. Ta z kolei służyła sir Edgarowi jeszcze dłużej - zanim się ożenił, o czym lubiła przypominać personelowi niższego szczebla.

- Jeszcze jeden list z Indii, ręczę, że znów o tym samym. Ta jej córka. Moja pani płakała, kiedy przyszłam, by ułożyć jej włosy. Nic dziwnego, że jest przygnębiona! To żadna przyjemność spotkać się po tylu latach z dzieckiem, którego się nigdy nie chciało, a które w dodatku wyrosło na rozpuszczonego bachora. Jeśli chce pani znać moje zdanie - Adams zniżyła głos w konspiracyjnym szeptach - ta dziewczyna to nic dobrego. Jak jej ojciec. Mają to we krwi. Słyszałam, jak nasza pani mówiła do sir Edgara, kiedy nadszedł ostatni list. Wszyscy Dangerfieldowie byli trochę pomyleni, powiedziała, a ta jej córka, ta panienska Rowena...

- Teraz to lady Rowena, lepiej o tym nie zapominaj, rozpuszczony bachor czy też nie - ostrzegła szorstko pani Jenks i podniosła list.

Ma szczęście, że potrafi czytać, pomyślała z zazdrością Adams, patrząc jak wodzi czarnymi, przenikliwymi oczami po gęsto zapisanych stronicach.

- No, niech pani coś powie - odezwała się, a pani Jenks zacisnęła usta.

- Uciekła. Sama.

- Naprawdę?

- Wysłali żołnierzy, aby ją znaleźli, a ta lady, co napisała list twierdzi, że jak tylko ją odnajdą, wsadzą na pierwszy statek płynący do Anglii.

- Nie może być! - westchnęła ciężko Adams. - Biedna Lady Fanny. Co zrobi z taką córką? Taką dzikuską!

- Sir Edgar da jej nauczkę. Nie będzie tolerował żadnych wybryków, już ja to

wiem.

- I co tam jeszcze pisze? To chyba nie wszystko w tak długim liście?

Pani Jenks, ociągając się, wyciągnęła z kieszeni okulary i nałożyła je. Prawdę mówiąc, sama podzielała ciekawość Adams. Ostatni list z Indii informujący o śmierci starego lorda i samowoli jego wnuczki doprowadził lady Fanny do hysterii. Ten był nie mniej wstrząsający.

Uciekła! - pomyślała pani Jenks. To ci dopiero historia. Wałęsać się samotnie po indyjskiej okolicy, zadawać się z krajowcami? Pani Leacock była żoną biskupa i najprawdopodobniej starała się oszczędzić lady Fanny tego, co najgorsze, choć na samym początku w szczegółach opisała zachowanie dziewczyny. Urodzona w Anglii czy też nie, Lady Rowena została najwyraźniej wychowana jak cudzoziemka, czytała między wierszami pani Jenks.

- No, niech pani opowiada! - Adams zajrzała gospodyni przez ramię i westchnęła ciężko. - Chyba nie jest aż tak źle?

W jej głosie zabrzmiała nuta nadziei, a pani Jenks spojrzała na nią chłodnym wzrokiem.

- Podobno jest twardą, nieugiętą dziewczyną, która nikogo nie słucha. Pani Leacock pisze, że obraźliwie traktowała każdego, kto chciał jej pomóc, nawet kiedy wszyscy udali się do jej domu, by ją podnieść na duchu. Powiedziała im, żeby... - pani Jenks przerwała, by zwilżyć usta - ...powiedziała im, żeby poszli do diabła, tak właśnie powiedziała! Podobnie było w domu pogrzebowym. Nazwała ich ograniczonymi hipokrytami, dodała, że jej dziadek nigdy ich nie znosił, podobnie jak ona. Zaszokował ich, zostawiając list, w którym pisał, że chce być spalony, zupełnie jak jakiś pogański Hindus!

W chwilach wielkiego podniecenia pani Jenks zapominała o gramatyce.

- Niech Bóg ma go w swej opiece! - przeraziła się Adams.

- Ale biskup nie wyraził zgody. Jak mógłby pozwolić na coś takiego?

- A potem?

- Nie pojawiła się na pogrzebie. Uciekła, zabierając ze sobą wielkiego, czarnego konia. Zostawiła tylko złośliwy i arogancki list. Myśleli, że uciekła z miejscowym księciem, czy jak mu tam, ale i on nic nie wiedział.

- Te dzikusy mogły ją zamordować i Bóg jeden wie, co jeszcze! Moja biedna pani!

- Cóż, lady Fanny nie miała właściwie okazji, by ją poznać, prawda? - pani Jenks nieświadomie sparafrazowała pożegnalne słowa sir Edgara skierowane do żony. - Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na rozwój wypadków.

Adams mruknęła cicho:

- Może się pani wyda, że mam serce z kamienia, ale nie opuszcza mnie myśl, że wszyscy odetchniemy z ulgą, jeśli się tu nigdy nie pojawi.

Pani Jenks odłożyła starannie list na swoje miejsce.

- Sama się nad tym zastanawiałam - przyznała. - Mamy wystarczająco dużo roboty, by jeszcze zamartwiać się jakąś dziewczyną wychowaną w obcym kraju, która może przewrócić ten dom do góry nogami!

Tylko Mary, najmłodsza pokojówka, odważyła się stanąć w obronie młodej damy, której nieuchronny przyjazd stał się tematem rozmów w pomieszczeniach dla służby.

- Nie rozumiem ich zachowania - prychnęła do Alice, z którą dzieliła łóżko w nędznym pokoiku na poddaszu.

- Wyobraź sobie matkę, która wyrzeka się własnej córki i jeszcze pozwala opowiadać o niej te wszystkie niestworzone rzeczy.

- Nigdy nie zrozumiesz arystokratów, nawet tego nie próbuj - poradziła mądrze Alice.

- A ja mam nadzieję, że mimo wszystko tu przyjedzie - nie dawała za wygraną Mary. - Ręczę, że wniesie powiew świeżego powietrza.

- Tak, albo burzę z piorunami! - wpadła jej w słowo Alice.

- Słyszałam gdzieś, że cudzoziemcy traktują swą służbę gorzej niż niewolników. Nie pamiętasz, co pani Jenks opowiadała kucharce o tej lady Rowenie - małym, okrutnym stworzeniu bez serca? Zastanów się, co mówisz, dziewczyno. A teraz odwróć się i przestań tak wiercić. Pamiętaj, że musimy wstać przed piątą, by napalić w piecach!

Kiedy przestały przychodzić listy z Indii, a lady Fanny opanowała histerię, wszyscy powoli zapomnieli o jej wyrodnej córce. Cardon House powrócił do normalnego życia, a sir Edgar wspominał o wakacjach we Francji.

Aż tu nagle pewnego wiosennego ranka brzęk dzwonka u frontowych drzwi wy-

rwał lokaja Briggsa ze snu. W pośpiechu narzucił czarną liberię i mruczając coś pod nosem zamachał do nowego służącego zajętego polerowaniem ogromnej mosiężnej wazy.

- Nic nie szkodzi, ja otworzę. Jestem już ubrany. A ty lepiej schowaj się w kuchni, mój chłopcze, i włóż marynarkę, bo może to ktoś ważny.

Dzwonek brzęczał niecierpliwie, a Briggs przybrał bolesny wyraz twarzy.

- Kto to może być o tak wczesnej porze? Ten hałas wszystkich pobudzi!

Utyskując, Briggs ruszył długim, okazałym korytarzem w stronę wejściowych drzwi. Ktokolwiek stał za drzwiami, bardzo się niecierpliwił!

- Wiedziałem od razu, że to jakieś złe wieści - albo kłopoty! - wyznał później w czeladnej izbie.

Żadne jednak słowa nie były w stanie opisać przeżyć Briggsa, kiedy otworzył drzwi i ujrzał zjawę stukającą butami na schodach. Zapomniał o swych nienaganych manierach i rozdziawił ze zdumienia usta.

- Mam nadzieję, że to Cardon House.

Bez wątpienia przemawiała jak prawdziwa dama, wyraźnie i spokojnie; ale wygląd tej młodej osoby z pewnością nie przystawał do tego tytułu.

Miała na sobie wyświechtany strój podróżny z czarnego aksamitu, a rozdarta nieprzyzwoicie spódnica odsłaniała szczupłą kostkę. Naciągnięty na głowę kapelusz przypominał zdumionemu lokajowi męski melonik, spod którego wysuwały się niedbale kosmyki czarnych włosów. Policzki młodej osoby pokryte były chyba warstwą smoły - lepsze określenie nie przyszło Briggsowi do głowy.

Poczuł jednak na sobie pytające spojrzenie rzucone spod zmarszczonych czarnych brwi, więc wyprostował się i rzucił groźnym tonem:

- Co proszę?

- Pytałam, czy to Cardon House. Na Boga, dlaczego każdemu w tym kraju muszę powtarzać pytania po dwa razy?

Młoda kobieta ściągnęła nerwowym ruchem melonik, a upchnięte pod nim włosy opadły jej na ramiona.

- To londyńska rezydencja sir Edgara Cardona, panienko, ale myślę, że...

- W porządku - przerwała mu. - A więc podano mi właściwy adres. Jeśli zajmiesz

się moim koniem i dopilnujesz, aby go nakarmiono, sama poradzę sobie z kufrem.

Słyszając tak władczy ton, Briggs wybałuszył oczy.

- Pani... koniem? - powtórzył cicho.

- Oczywiście. Chyba nie myślałeś, że przyszłam pieszo? Podróżowałam dyliżansem, ale kiedy zdałam sobie sprawę, że kończą mi się pieniądze wynajęłam na resztę drogi konia. Obiecałam go jutro zwrócić. Mam nadzieję, że sir Edgar posiada stajnię?

Koń, a właściwie wychudzony kucyk, stał przywiązany lejcami do lśniącej balustrady.

- Sir Edgar... - przez umysł Briggsa przemknęło straszne podejrzenie.

Z pewnością ta obdarta panna nie była jedną z kochanek jego pana. Co zatem miał uczynić?

Z niewypowiedzianą ulgą Briggs dostrzegł posterunkowego Parsonsa, spoglądającego z zaciekawieniem spod lśniącego hełmu.

- Jakież kłopoty, panie Briggs?

Dziewczyna przeniosła aroganckie spojrzenie niebieskich oczu na rumianą twarz policjanta.

- Oczywiście, że nie. Nazywam się Rowena Dangerfield. Przyjechałam tu, bo tak chciała moja matka i mój ojczym.

- O mało co nie padłem z wrażenia! - opowiadał potem z wyraźną przyjemnością Briggs. - Stała tam wydając rozkazy jak gdyby nigdy nic. Trzeba wam było widzieć twarz Parsonsa, kiedy powiedziała, kim jest! Przybyła aż z Tilbury, a przez miasto przejechała konno - sama!

Adams ciągnęła przerwane opowiadanie.

- Moja pani wciąż leży w łóżku z bólem głowy. Jest z nią pani Mellyn. Nic dziwnego, że jest zdruzgotana, biedactwo! Jej własna córka, której nie widziała od lat, pojawia się bez słowa uprzedzenia! Bez bagażu - wszystko zostało w porcie. Tylko z małym, wytartym kuferkiem i kilkoma łachami. Tak po prostu zostawiła tych wszystkich uprzejmych ludzi, którzy się nią zajęli i przywieźli z Indii. Słyszałam, jak mówiła z największym spokojem, że ich nie cierpiała i nie mogła już dłużej znieść ich towarzystwa!

- Ciekawe, jak sobie tu poradzi. Och... Pewna jestem, że sir Edgar wpadł w furję! Oj tak, nawet w pomywalni słyszałam, jak wrzeszczał. - Mary otworzyła szeroko usta, a pani Jenks rzuciła jej karcące spojrzenie.

- Być może, ale to, co się dzieje na górze, nie powinno cię obchodzić. Lepiej to sobie zapamiętaj.

Mary zamilkła, choć wiele by dała, by usłyszeć, o czym po cichu rozmawiała pani Jenks z tą jadowitą Adams.

Co najciekawsze, najspokojniejszą i najbardziej opanowaną osobą w całym domu był obiekt tej ożywionej dyskusji, która tamtego popołudnia opanowała wszystkie piętra.

Z mokrymi pod rącznikiem włosami Rowena Dangerfield usiadła przed kominkiem we wskazanym jej pokoju. Na kolanach trzymała książkę, ale nie otworzyła jej. Zmrużyła oczy, wpatrując się w pomarańczowobłękitne płomienie i myślami wróciła do pierwszego spotkania z matką i ojczymem.

Scena ta nie należała do najspokojniejszych; lady Fanny łkała, wypominając Rowenie wstyd, jaki przyniosła rodzinie, a czerwony na twarzy ojczym wrzeszczał, że powinna natychmiast zapamiętać, iż nie będzie tolerował jej wybryków.

Rowena spuściła tylko oczy i z obojętną twarzą słuchała w milczeniu.

W końcu kiedy jego żona opadła na krzesło z chusteczką i solami trzeźwiącymi przy nosie, sir Edgar ryknął:

- I co masz nam do powiedzenia, panienko?

Rowena spojrzała na niego beznamiętnym wzrokiem.

- A co chciałby pan usłyszeć? - spytała spokojnie, zaskakując go tak bardzo, że przez chwilę wbijał w nią wzrok w niemej wściekłości.

Spodziewał się łez, wyrzutów sumienia i strachu przed jego władzą. A tymczasem ta nieodpowiedzialna dziewczyna z opaloną twarzą miała czelność spojrzeć mu prosto w oczy.

- Na Boga! - wydusił z siebie. - Czy nic do ciebie nie dotarło? Czy nie zdajesz sobie sprawy z kłopotów i zamieszania spowodowanych twym skandalicznym zachowaniem? Powiadam ci, panienko, pod moim dachem poznasz, co to dyscyplina! Nauczysz

się dobrych manier tak jak na damę przystało! I będziesz robić to, co ci każe, bo w przeciwnym razie...

- Sir, nie ma pan powodu krzyczeć, rozumiem pana doskonale - odparła Rowena cichym, chłodnym tonem, wywołując westchnienie swej matki. - Już dawno zdałam sobie sprawę, że nie mam innego wyboru niż zamieszkać tu pod pana kuratelą i zgodzić się na wszystkie ograniczenia dopóki nie będę pełnoletnia. Ale... - Przymknęła oczy. - Nie widzę powodu, aby udawać, że wszyscy jesteśmy szczęśliwi z takiego układu. Z radością opuszczę to miejsce, gdy tylko tego zechcecie. Przypuszczam jednak, że na razie jesteśmy na siebie skazani!

Szlochły lady Fanny przeszły w histeryczny pisk, a sir Edward wrzeszczał jeszcze głośniejsze. Kiedy Rowena pewna była, że ją uderzy, odwrócił się i wyszedł wolno z pokoju, nakazując żonie, by wysłała swą niewdzięczną córkę na górę i doprowadziła ją do ludzkiego wyglądu.

To niezwykle, że łagodność była w stanie wyprowadzić niektórych ludzi z równowagi! Rowena rozpuściła włosy, nie odrywając oczu od ognia. Wspominając minione wydarzenia, zaczęła wycierać głowę ręcznikiem.

Wiedziała, że nigdy nie polubi swej matki. Była głupsza i bardziej dziecinna niż to sobie wyobrażała. Biedna lady Fanny, ze złotymi lokami zbyt wytwornie upiętymi jak na poranną godzinę, w pięknej jedwabnej sukni zdobionej przy szyi kokardą i koronkami starannie tuszującymi zdradzieckie zmarszczki. Dzięki Bogu nie wyglądam tak jak ona, pomyślała ze wstrętem Rowena. Sir Edgar ze swymi podkreślonymi bokobrodami i wybałuszonymi szarymi oczami bardziej już odpowiadał jej wcześniejszym wyobrażeniom.

Sir Edgar opuścił dom, by schronić się w klubie. Lady Fanny natomiast ogłosiła kolejną migrenę i położyła się w zaciemnionym pokoju, mając do dyspozycji starą opiekunkę Mellyn.

- Zawsze byłeś trudnym dzieckiem, nieznośnym dla wszystkich! - prychnęła pogardliwie Mellyn, zostawiając Rowenę pod opieką wrogo nastawionej pokojówki o stalowych oczach, która przedstawiła się jako Adams. Ale nawet i ta kobieta o kamiennym obliczu zamknęła z przerażenia oczy, gdy ujrzała wymiętą suknię z bawełny wyciągniętą niedbale z poobijanego kufra.

- Ależ panienko - to znaczy, pani - nie może pani zejść na lunch w tym... stroju!

- Ale niestety to wszystko co mam, oprócz stroju do konnej jazdy, w którym tu przybyłam. Wszystkie moje suknie zostały zapakowane do kufrów, a te, o ile wiem, nadal znajdują się w Tilbury!

Zimna jak lód, pomyślała ze złością Adams. Nie obchodzi ją zamieszanie, które wywołała. Głośno powiedziała jednak:

- Lady Roweno, jeśli da mi pani tę suknię, nakażę jednej z pokojówek, by ją wyprasowała i nakrochmaliła. Nie jest to bynajmniej strój na tutejszy klimat, w którym wieczory bywają bardzo chłodne.

- Doskonale sprawdził się w klimacie Indii, a przed wyjazdem nie miałam czasu na kupno nowych rzeczy - oznajmiła chłodno Rowena.

Wzruszyła ramionami na widok wełnianego szala, który podała jej Adams, i zastanowiła się, do kogo wcześniej należał.

- Może mogłabym zjeść lunch w moim pokoju? Proszę o coś lekkiego, nie jestem głodna.

Adams wyszła z podniesioną głową ozdobioną sztywnym kokiem, a Rowena siadła z książką przy kominku.

Może potrafią zapomnieć o mojej obecności, jeśli nie będę im wchodzić w drogę, pomyślała z nadzieją, ale już następnego dnia wezwano ją do pokoju matki, gdzie usłyszała, że Jenks weźmie jej miarę, by jak najszybciej uszyto stosowne suknie i bieliznę.

Lady Fanny, wciąż siedząc w łóżku, wyglądała tego ranka odrobinę lepiej, choć jej niebieskie oczy nadal były zaczerwienione i opuchnięte.

Spojrzała na swoją córkę i westchnęła głośno. Te ciemnobłękitne oczy, jak u Guya; ich zimne, aroganckie spojrzenie. Te rozwichrzone czarne włosy, też jego. Nie ma w niej nic ze mnie, zadumała się; zupełnie nic. To jego dziecko, od samego początku, nawet zanim się urodziła.

„No, dobrze. Oboje popełniliśmy błąd, ale za późno, by go naprawić - jesteśmy już małżeństwem. Daj mi dziecko, Fanny, daj mi syna, a potem zrobisz co zechcesz. Używaj życia, ile tylko zechcesz. Nie stanę ci na drodze. Ubijmy więc interes!\".

Ubili więc interes, a ona zamiast syna urodziła mu córkę, konając prawie przy po-

rodzie. Guy dotrzymał słowa, tylko że ona poznała Edgara i zupełnie straciła głowę. Dangerfieldowie dbali bardziej o swój drogocenny honor niż o ludzi i ich uczucia. Właśnie takie pojęcie „honoru” doprowadziło Guya do upadku, kiedy tylko znalazł się w tarapatach.

„Nie wolno mi o tym myśleć!” - przemknęło przez myśl Fanny. - „Po co ona tu przyjechała? Dlaczego ja muszę się nią zajmować?” - To obowiązek, stwierdził Edward. Ludzie będą plotkować, jeśli jej nie przygarną. - „Ale ja nie potrzebuję osiemnastoletniej córki. Przez lata wmawiałam wszystkim znajomym, że jestem znacznie młodsza”.

- Pani, jeśli chodzi o stroje dla lady Roweny... - ożywiony głos pani Jenks sprowadził Fanny Cardon na ziemię. Jej córka nadal stała na środku pokoju, wpatrując się w nią lodowatym, beznamiętnym wzrokiem. Starając się zachować zimną krew, odezwała się cicho:

- Czy masz jakiś ulubiony kolor lub styl, Roweno? Oczywiście, teraz królują turniury, ale jeśli...

- Proszę o ciemne kolory - oznajmiła swym nieznośnie chłodnym tonem. - Wiesz przecież, że nadal noszę żałobę po dziadku. A jeśli chodzi o turniury, nigdy ich nie lubiłam - są wstrętne i sztuczne. Jeśli można, wolałabym proste stroje - nic wykwintnego ani zbyt obcisłego, bo nie włożę gorsetu.

Na twarzy pani Jenks pojawiło się oburzenie, lady Fanny poczuła się bezsilna. Jaka szkoda, że nie ma tu Edwarda!

- Ależ Roweno! - zaprotestowała nieśmiało. - Noszą je wszystkie młode kobiety, jeśli chcą podkreślić smukłą kibić. Będziesz się pokazywać publicznie. Nie możesz wyglądać byle jak!

Wydaje jej się, że brak gustu to najgorszy w świecie grzech, pomyślała ze złością Rowena i celowo zniżyła głos:

- Przecież nie mogę się pokazywać publicznie, póki jestem w żałobie, prawda? Nawet w Indiach wiedzieliśmy, jak bardzo sama Królowa ceni sobie długi okres żałoby po stracie bliskiej osoby. Dziadek był dla mnie najbliższą osobą i dlatego wolałabym zostać w domu przy książkach, jeśli to nikomu nie przeszkodzi.

- Cóż, sama nie wiem...! - lady Fanny wzruszyła bezradnie ramionami, licząc na wsparcie Jenks, ale ta zacisnęła tylko wąskie usta.

Co miała powiedzieć?

Nieco później tak opowiadała Adams:

- Fałszywa skromność, nic innego! Lady Fanny ma zbyt dobre serce, by ją przejrzeć na wylot. Żałoba, też coś! Moim zdaniem, ta dziewczyna nie jest w stanie pograć się w smutku. Ma serce z kamienia - to widać na odległość!

Mijały dni, a służba zgadzała się co do jednego - lady Rowena Dangerfield była aroganckim stworzeniem o lodowatym sercu, choć ubierała się skromnie i bez gustu.

- Niby mniszka, cała w czerni i obrzydliwym czepku z grubym welonem - kpił jeden ze służących.

- Bardziej przypomina jedną z tych damulek z Armii Zbawienia! - zachichotała Alice.

- Ale zadziera dumnie nosa jak wielka dama, choć sama nie ma ani grosza - nic! Słyszałem, jak nasz pan mówił, że książę Melchester nie posiadał nic prócz tytułu - wydał wszystko na wystawne życie w Indiach. Zostawił jej tylko kilka funtów, które i tak szybko roztrwonila.

Adams i Jenks wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Żadna z nich nie lubiła Roweny, gdyż wydawała im polecenia dokładnie takim samym tonem jak reszcie służby.

- Któregoś dnia zapłaci za to, jeszcze pomnicie moje słowa! - wtrącił swoje trzy grosze Briggs. - Wiem, że nasz pan ma już dość jej fochów w tym domu.

Zniżył głos tak, by nie usłyszały go pokojówki siedzące na drugim końcu długiego kuchennego stołu.

- Pewnego wieczoru, kiedy przyjechali na kolację Wilkinsonowie z Yorkshire - czy wiecie, co się stało, gdy panowie przeszli do biblioteki na kieliszek porto?

Adams prychnęła pogardliwie.

- Powiedziała, że boli ją głowa i poszła do swojej sypialni. Mówię wam, pani była bardzo przygnębiona!

Alice, której od czasu do czasu pozwalano podawać do stołu, dorzuciła zuchwale:

- Mogę wam powiedzieć, o czym rozmawiano przy kolacji! Pan Thomas wypyty-

wał ją o Indie, a ona odpowiadała zdawkowo, używając tych trudnych słów, których nigdy nie słyszałam. Stwierdziła tylko, że religia hinduska jest starsza i mądrzejsza od innych i... - tu otworzyła szeroko oczy - że Wilkinsonowie nie wiedzą, co to prawdziwa religia!

To szokujące oświadczenie odebrało wszystkim mowę, ale nie Briggsowi, który pokręcił z dezaprobatą głową.

- Do tego prowadzi wychowanie w pogańskim kraju! Czuję jednak, że lady Rowena dostanie jeszcze nauczkę. Sir Edgar jest zbyt sprytny, by to zlekceważyć. W największym zaufaniu zdradzę wam... - spojrzał groźnie na Alice i chichoczącą Mary - że ma pewien plan!

Teraz nawet Cook podniosła wzrok znad szydełka.

- Niech pan mówi, Briggs!

- Słyszałem jak rozmawiał z Wilkinsonem seniorem. A młody panicz Wilkinson uśmiechał się tylko bez cienia protestu. Lady Rowena ma tytuł, a sir Edward nie jest sknerą. Zaproponował znaczny posag, jak mi Bóg miły. Coś mi mówi, że wkrótce rozlegną się weselne dzwony, a nasza zmanierowana panna, chcąc nie chcąc, odjedzie do Yorkshire z małżonkiem.

**Pamiętnik
Roweny Elaine
Dangerfield
1873-1876**

Część pierwsza

Bogini z marmuru

Rozdział 1

Siedzę przy oknie, spoglądając na gorące promienie słońca odbijające się w sprazonych, różowych ceglach mojego patio. Próbuję przypomnieć sobie czas spędzony w Londynie, kiedy miałam osiemnaście lat. Dochodzę do wniosku, że przywoływanie odległej przeszłości sprawia mniej bólu niż wspomnianie wydarzeń sprzed kilku miesięcy.

Czuję nagłą potrzebę pisania - kroniki zdarzeń, które miały miejsce od chwili niefortunnego przyjazdu do domu mego ojczyma w Londynie. Być może szukam jedynie wymówki, by uciec w przeszłość i oddzielić ją od terażniejszości. Być może lepiej zrozumieć łańcuch wydarzeń, dzięki którym tu się znalazłam, jeśli tylko je uporządkuję i spojrzę na nie z perspektywy czasu.

Minęło niespełna kilka lat, a ja wciąż jestem młodą kobietą. Tyle jednak się wydarzyło, a ja zatraciłam gdzieś dawną arogancję i pewność siebie, na które wszyscy tak bardzo się skarżyli. „Wszyscy” to moja matka, ojczym i ich liczna, anonimowa służba.

Odczucia służby mało mnie obchodziły, bo zbyt zajęta byłam własnymi myślami i planami. Staralam się nie wchodzić w drogę mojej matce ani ojczymowi i przyznać muszę uczciwie, że byli dla mnie dość uprzejmi.

Z zadziwiającą dojrzałością doszłam do wniosku, że niejako wymuszono mnie na matce. Nie chciała mnie. Nie byłam owocem miłości, ale dzieckiem mężczyzny, którego musiała poślubić.

Mellyn, wciąż nazywana przez matkę nianią, opowiedziała mi wszystko bez osłonek.

„Moja śliczna owieczka dopiero co skończyła szkołę - biadoliła. - Ale oni zdecydowali, że gotowa jest do małżeństwa. On był od niej o wiele starszy, miał pieniądze i tytuł lorda w perspektywie. Pamiętam jak płakała, pamiętam jej czerwone, zapuchnięte oczy.

„Nie jestem gotowa do małżeństwa, nianiu, a on jest taki stary” - mówiła do mnie. - „Chcę się nacieszyć życiem, pobyc trochę w wielkim świecie, zabawić się na balach i przyjęciach...”, ale nikt jej nie słuchał! Guy Dangerfield poznał ją na domowym przyjęciu i jej uroda urzekła go, tak myślę. Szukał żony, by sprawić przyjemność ojcu, i wybrał

właśnie ją.

Zdaniem niani, ojciec nie reprezentował sobą nic prócz majątku, który zdobył w amerykańskich kopalniach złota. Był czarnowłosym, ponurym mężczyzną, jak go opisywała, i wolał siedzieć na wsi niż w mieście. Gdyby tylko mógł, zrobiłby ze swej żony pustelnicę.

- Przypuszczam, że i on nie chciał moich urodzin? - zapytałam.

- Proszę tak nie mówić, panienko! Nie zna panienka całej historii, to pewne! Ręczę, że dziadek nastawił panią przeciwko matce, choć po tym, co się później zdarzyło, zerwał wszystkie kontakty z panem Guyem. Zawsze podkreślał, że Dangerfieldowie lepsi są od innych. Moje biedne maleństwo samo było jeszcze dzieckiem, kiedy się pani urodziła. I pytam, dlaczego nie mógł poczekać z tym trochę? Dlaczego nie zabrał ją na jakiś czas do Londynu? Ale nie - on uwielbiał wieś, tak twierdził, i bardzo chciał dziecka. Postawił na swoim. Po urodzeniu dziecka moja biedna Fanny przestała dla niego istnieć. Przyznać trzeba, że świata poza panienką nie widział. Kazał nawet urządzić pokój dziecinniej obok własnej sypialni i wstawał w nocy, gdy tylko słyszał płacz. „Zajmij się swoim dzieckiem, Mellyn” - mawiał do mnie - „a ja się zajmę moim”. Uważałam, że to wbrew naturze. Nic więc dziwnego, że moja pani marniała z każdym dniem, aż w końcu sama wyjechała do Londynu. Czy można ją za to winić?

Kupiono mi kilka nowych strojów - wszystkie w ciemnych kolorach, z szacunku dla mojej żałoby. Nie pozwoliłam, aby upinano mi włosy w wymyślne spiralki i loki, wybrałam styl bardziej surowy. Podczas nielicznych okazji, kiedy siłą zabierano mnie na towarzyskie herbatki i małe wieczorne przyjęcia zawsze siadywałam w towarzystwie starszych dam, które chwaliły mnie za „staromodny styl”. Nie posiadałam żadnych umiejętności tak charakterystycznych dla młodych dam z moją pozycją społeczną. Nie potrafiłam grać na fortepianie i nie miałam zamiaru śpiewać; nie umiałam namalować najprostszej akwareli i pojęcia nie miałam o tańcu.

Wciąż odstraszałam co śmielszych i bardziej upartych młodzieńców, udowadniając, że jestem osobą myślącą i lepiej od nich wykształconą. Wiem, że bardzo szybko zdobyłam reputację pozbawionej gustu sawantki - urodzonej starej panny. Moja matka straciła wszelką nadzieję. Jej przyjaciółki litowały się nad nią wystarczająco głośno, bym

mogła to usłyszeć.

Nie wiem jak długo by to trwało, gdyby sir Edgar nie zdecydował niespodziewanie, że muszę wyjść za mąż. Od naszego pierwszego spotkania prawie wcale z nim nie rozmawiałam, ale pewna jestem, że to matka poskarżyła się na moją krnąbrność i brak manier, które wielokrotnie wprawiały ją w zakłopotanie. Edgar Cardon nigdy nie przepadał za moim ojcem, więc z pewnością moja obecność w jego domu przypominała mu o istnieniu Guya Dangerfielda.

Od mojego przyjazdu do Anglii minęło kilka miesięcy i powoli wpadałam w rutynę nudnych dni, kiedy pewnego popołudnia odwiedził mnie Tom Wilkinson.

Zbliżała się jesień i każdego dnia służba rozpalala ogień w kominkach. Siedziałam w bibliotece, bezmyślnie szukając na półkach książki, której jeszcze nie przeczytałam, gdy ogłoszono jego przybycie.

- Pan Wilkinson do lady Roweny.

Odwróciłam się ze złością, usłyszawszy słowa Briggsa, i natychmiast wycofałam się. Nie lubiłam Toma Wilkinsona, gdyż wśród tak zwanych zalotników należał do najbardziej natrętnych.

- Tęgi młodzian z Yorkshire - oświadczył bez ogródek sir Edgar, przedstawiając go.

W rzeczy samej, Tom był nie tylko tęgi, ale i niski - ogorzały, nadęty młodzieniec, który bez końca pysznił się swym bogactwem, ojcowskimi młynami i ogromnym domem wybudowanym dla przyszłej rodziny.

Tom Wilkinson był tak zarozumiały i próżny, że ignorował - lub udawał, że ignoruje - fakt, iż nie miałam dla niego czasu na pogawędki. Co więcej, dawał mi do zrozumienia, że mój spokój i niegustowne stroje robią na nim wrażenie. Z całą pewnością nie byłam kobietą, która dawałaby mu powody do zazdrości, a moja powściągliwość zamiast odpychać, pociągała go.

Podczas naszego ostatniego spotkania nie zamieniłam z nim nawet dwóch słów i z wdzięcznością pomyślałam, iż widzę go po raz ostatni - a teraz stał znowu przede mną, zakłócając mój spokój, z tym samym irytującym uśmiechkiem przyklepionym do twarzy.

- Nie musi pani patrzeć na mnie tak wyniośle, lady Roweno. Dostałem pozwolenie

od pani ojczyma na tę wizytę. „Znajdzie ją pan w bibliotece” - powiedział. - Zaraz przywołam Briggsa, by pana zapowiedział”. A więc jestem!

Popatrzył na mnie z uśmiechem, oblizując grube wargi.

- No, panienko - nie udawaj, że nie cieszysz się na mój widok! Słyszałem, że masz zwyczaj chować się tutaj, ale to strata czasu! Jesteś damą, wiem to, ale przybyłem tu za pozwoleniem twego ojczyma i twej matki. Skończ więc z tym zarozumiałstwem i lodowatym chłodem. Chcę ci się oświadczyć i mam nadzieję, że nie zachowasz się jak wystraszona pensjonarka, bo wiesz z pewnością, o czym od dawna myślałem. Być może jestem brutalem z Yorkshire, ale szcycę się tym i podjąłem już decyzję! Chyba nie zamierzasz odgrywać teraz skromnisi, prawda? Myślę, że jesteś rozsądną panną bez tych fo-chów i fanaberii - dlatego zdecydowałem się na ciebie.

Przez cały czas tej przemowy przechadzał się po pokoju, zmuszając mnie do cofania się przed nim, nie zważając na moje gniewne protesty.

- Podejdz tutaj! - zachęcał, a jego wylupiaste oczy zdawały się jeszcze bledsze w rozproszonym świetle. - Wiesz przecież, że nie mam zamiaru cię skrzywdzić! Czyż nie oświadczyłem się przed chwilą? Proszę tylko o całusa na przypieczętowanie naszej umowy. No, chyba się nie wstydzisz?

- Panie Wilkinson - Tom... Przestań robić z siebie skończonego głupca! - zaprotestowałam z wściekłością, ale mój opór tylko go podniecił.

Zrobiłam krok w tył, a on posunął się do przodu. Przesunęłam się do okna, mrużąc oczy w promieniach światła i dostrzegłam zdumienie na jego twarzy.

- Gdzie się podziały twoje okulary? Do diabła, ale masz piękne oczy! Prawdę mówiąc, byłaby z ciebie śliczna kobieta, gdybyś tylko ubrała się właściwie - daję głowę! A wtedy niech inni pękają z zazdrości!

Ogarnęła mnie złość na siebie samą i na niego. Zatrzymałam się i położyłam dłoń na oparciu krzesła:

- Panie Wilkinson, jest pan zbyt pewny siebie! - wybuchnęłam groźnie.

Wydaje mi się, że mój gniew wziął za fałszywą skromność.

- Proszę nie uciekać, lady Roweno - a może tylko Roweno? Dlaczego nie, przecież nie musimy już dbać o etykietę! Szanuję twą skromność i nieśmiałość, ale skoro mamy

się zaręczyć, mały całus nie zaszkodzi, co?

Być może sytuacja była zabawna, ale twarz Toma Wilkinsona krążącego za mną po pokoju wzbudziła mój lęk.

Wycofałam się. On ruszył za mną, z tym samym uśmieszkiem, jak byśmy prowadzili dziecięcą grę.

- Panie Wilkinson - oznajmiłam stanowczo. - To chyba niestosowne, abyśmy przebywali tylko we dwoje. Nie chcę nas narażać na kuchenne plotki i nie mam panu nic do powiedzenia. Obawiam się, że na pana już czas.

- Ale ja nie mam zamiaru wychodzić - pewny jestem, że i pani tego nie chce. Ja jeszcze nie skończyłem! Proszę, mały pocałunek to żaden grzech, prawda? W końcu wkrótce się zaręczymy.

- Nie wyszłabym za pana, panie Wilkinson, nawet gdyby był pan jedynym mężczyzną na ziemi! - rzuciłam dosadnie.

- Pani się tylko droczy, czyż nie? To zbyt cenne. Ja już podjąłem decyzję!

Bez ostrzeżenia chwycił mnie mocno i po raz pierwszy w życiu znalazłam się w męskim uścisku, a on rozsiewał wilgotne, odrażające pocałunki na mojej twarzy i szyi.

- No, pocałuj mnie, panienko! Przestań się wyrywać! Wiesz przecież, że po ślubie na pocałunkach się nie skończy!

- Niech pan przestanie!

Zapomniałam o swym opanowaniu i odepchnęłam się mocno rękami, ale mnie nie puścił. Mamrotał wciąż, jak pięknie wyglądam z rozpuszczonymi włosami i bez tych wstrętnych okularów, a ja z całej siły uderzyłam go w twarz.

Zwolnił uścisk i cofnął się zszokowany, oszołomiony. Wykorzystałam moment i podbiegłam do drzwi. Serce waliło mi jak młotem. Dopiero teraz uświadomiłam sobie własny strach i odrazę. Z trudem opanowałam drżenie głosu i wyraziłam nadzieję, że znajdzie wyjście.

Wykrzywił wstrętne usta.

- Ty dziwko! Na Boga, pożałujesz jeszcze swego czynu!

Opuściłam pokój, zostawiając go tam samego, wciąż miotającego groźby pod moim adresem. Słyszałam jego głos wchodząc po schodach i starałam się iść wolno, nie

uciekać przed dźwiękiem jego słów.

- Czy myślisz, że kiedykolwiek znajdziesz męża, ty wstrętna kreaturo? - zachrypiał z całej siły. - Nigdy w życiu bym ci się nie oświadczył, gdyby sir Edgar nie obgadał tego z moim papą! Obiecał, że spłaci wszystkie moje karciane długi! Nic dziwnego, że chcą się ciebie pozbyć!

Zastanawiałam się, gdzie podziła się służba. Chowali się gdzieś po sieniach i gra-ciarniach, by rozkoszować się tak pikantnym widowiskiem! Marzyłam, by uciec przed tym obrzydliwym, szyderczym głosem, ale nie mogłam sobie na to pozwolić. Przecież jestem z Dangerfieldów i wulgarne, głośnie docinki Toma Wilkinsona nie zasługiwały na moją uwagę.

W końcu dotarłam na piętro, ze spoconymi dłońmi i sztywnymi plecami, i usłysza-łam jak ktoś na dole trzasnął drzwiami.

W bezpiecznym zaciszu mojej sypialni poczułam jak ogarnia mnie drżenie. Wstrętny, wulgarny, odrażający karzeł! Jak mogli przysłać go do mnie, sądząc, że jest odpowiednim kandydatem? A nawet i jego musieli przekupić, by mi się oświadczył!

„Brzydka” „bez gustu” „kłótliwa” „stara panna” - czy rzeczywiście coś było ze mną nie w porządku? Czy byłam dziwolągiem niegodnym miana kobiety?

Oparłam się o drzwi i po raz pierwszy w życiu próbowałam zapanować nad emo-cjami; czułam potrzebę buntu, ogarniała mnie wściekłość i uczucie poniżenia. Wycho-wano mnie w przekonaniu, że liczy się przede wszystkim status społeczny i wykształce-nie, że do szczęśliwego życia nie potrzeba nic więcej. Ale - ta myśl naszła mnie niespo-dziewanie, naruszając fundamenty moich wierzeń - czyżby dziadek nie miał racji? Czy z rozmysłem zrobił ze mnie skrytą intelektualistkę, by w ten sposób uchronić mnie przed szatanem plugawiącym krew Dangerfieldów?

- Jestem kobietą... kobietą! - szalałam w duchu ze złości, a moje palce z pasją roz-dzierały wstrętą, przyciasną suknię. Pot spływał mi strumieniem po szyi, udach i mię-dzy piersiami.

Z walącym sercem, nadal nieświadoma własnych czynów, zobaczyłam nagle swe bezwstydnie nagie ciało w lustrze; ubranie rozrzucone było w nieładzie po pokoju. Roz-puszczone luźno włosy łaskotały lekko moją talię, wielkie oczy kontrastowały z niezwy-

kłą bladością twarzy.

Czy to była prawdziwa Rowena? Co się stało z roześmianą dziewczyną w sari z czarną kastową kropką między brwiami? Czy to ta sama dziewczyna, która mogła poślubić księcia? „Czy wydaje ci się, że życie to bajka?” Zbeształam się za takie myśli, dumna z poczucia rzeczywistości i praktycznego umysłu. Powinnam była poślubić Shiva. Mogłam zostać w Indiach! Tu byłam obca między obcymi.

W lśniącym, srebrnym lustrze zobaczyłam swe odbicie z tamtych dni. Być może marzyłam, by tuż przy mnie pojawił się Shiv, tak jak tamtego dnia - w wysokich, błyszczących butach, jasnych bryczesach i białym turbanie z jedwabiu, który przydawał mu barbarzyńskiej świetności. Kochany Shiv - moje najwspanialsze wspomnienie!

Sari, starannie zawinięte w ciekłą bibułę, spoczywało na dnie mojego wyświechtanego kuferka niczym drogocenny klejnot. Wykonano je z cienkiego jak pajęczyna jedwabiu migocącego w świetle niebieskofioletowym blaskiem - podobnie jak moje oczy, tak mawiał Shiv. Cały materiał pokrywała misterna sieć złotych nici, a *pallau* - jego część służąca za nakrycie głowy, rzucała złociste, oślepiające wręcz lśnienie.

Szata godna królowej - prezent od hinduskiego księcia. O czym myślałam, wolno zawiązując sari wokół bioder tak jak nauczyły mnie Hinduski? Czy wyobrażałam sobie, że niczym za dotknięciem magicznej różdżki przemienię się w księżniczkę? Nie pamiętam moich myśli, ale gdy sari było już upięte, potrząsnęłam głową i kosmyki prostych włosów opadły mi na twarz, nadając jej zagadkowy, tajemniczy wygląd.

Stałam przy kominku, a pod cienką materią moje blade ciało nabrało bursztynowego blasku - dostrzegłam w lustrze subtelny zarys moich kobiecych krągłości. Jak w transie wpatrywałam się we własne odbicie, widząc jedynie mroczny portret obcej osoby. Czy ta egzotyczna postać to rzeczywiście ja? Twarz, którą tak pogardzałam, nabrała nowego, łagodnego wyglądu. Czułam się jak Narcyz odkrywający własną urodę w tafli stawu i nie potrafiłam oderwać od siebie wzroku.

Wydaje mi się, że tamtego popołudnia zachowywałam się nieco dziwnie. Nie tylko nie poznawałam swego wyglądu, ale nawet moje myśli zdawały się należeć do kogoś innego. Pamiętam, jak dotknęłam dłonią twarzy, wciąż nie wierząc, że należy do mnie, a sam gest miał w sobie wiele zmysłowego wdzięku, jakiego nigdy przedtem nie znałam.

Byłam kobietą odkrywającą przed lustrem swą urodę - hinduską księżniczką skrywaną przed męskim wzrokiem, choć budzącą pożądanie mężczyzn... i nagle czar prysnął.

Nie słyszałam jak otworzył drzwi, do moich uszu dotarł jedynie trzask ich zamykania. Odwróciłam się, nie mogąc złapać ze strachu tchu.

- Co sobie u diabła wyobrażasz, traktując Toma w ten sposób? Zapamiętaj sobie dziewczyno raz na zawsze...

Zaczął krzyczeć na mnie podniesionym głosem, a gdy podszedł bliżej poczułam odór alkoholu. Nagle słowa uwięzły mu w gardle, rozdziawił usta, otwierając, a następnie mrużąc oczy.

- Wielki Boże! - wycedził wolno, a wściekłość stopniowo zniknęła z jego oblicza. - Czy to naprawdę ta sama nieśmiała stara panna, za którą cię wszyscy uważaliśmy? Czy przez te wszystkie miesiące to właśnie skrywałaś pod tymi okropnymi sukniami? Dla którego to kochanka strzeżesz tych skarbów, mała Roweno?

Kiedy tak przemawiał do mnie obcym, grubym głosem, przesuwał żarłocznie wzrokiem po moim ciele, stałam nieruchomo jak posąg z marmuru, nie mogąc zdobyć się na żaden gest czy racjonalne myślenie.

Nagle sir Edgar wybuchnął śmiechem, wyciągając ku mnie dłonie.

- I pomyśleć, że tak mnie nabrałaś... przez wszystkie te miesiące, pod moim dachem. Jesteś oszałamiającą piękną, dziewczyno! Najpiękniejsze ciało...

- Nie! - pamiętam swoją reakcję.

Czy podświadomie wyczułam jego intencje? Próbowałam wrzeszczeć, ale z suchego gardła wydobył się jedynie zdławiony szept.

I wtedy, kiedy dotknął mnie swymi dłońmi, było już za późno. Wrzask czy błaganie o litość było poniżej mej godności, poza tym i tak by nic nie pomogło, gdyż opętało go dzikie pożądanie.

Podjęłam walkę - uderzałam go pięściami i nie poddałam się, aż opuściły mnie siły. Zaciągnął mnie na łóżko i zachłannymi, chciwymi palcami zdarł ze mnie wspaniałe sari. Pochylił się nad moją twarzą i zachrypiał:

- Na Boga, ale jesteś piękna! Muszę cię posiąść, czy tego nie rozumiesz? Nie masz prawa skrywać tych wdzięków - nie masz prawa ukrywać takiego ciała pod żadnymi

sukniami...

Pocałował mnie, przyciskając się do moich ust. Przygniótł mnie tak mocno, że na moment straciłam oddech. Kiedy z trudem chwyciłam powietrze, usłyszałam dziwne skomlenie wydobywające się z mojego gardła.

Poczułam na sobie ciężar jego ciała, pewna, że za chwilę pęknie mi krzyż. Zapomniałam jednak o bólu, kiedy stało się najgorsze - to było jak ostry sztylet wbity między uda. Nie mogłam krzyczeć, bo zatkał mi usta. Pamiętam jak moje zszokowane ciało wygięło się w łuk, kiedy zasapał, stęknął i zadrżał.

Było już po wszystkim. Nadal leżał na mnie, jego pot spływał po moim nieruchomym ciele, ale przeraźliwy ból minął. Poczułam tylko lepką wilgotność; wiedziałam, że to krew.

To jasne. Każda dziewczica krwawi, kiedy pierwszy raz oddaje się mężczyźnie. Pamiętam, że leżałam na łóżku, a każda moja kostka zamieniła się w morze wody. Nie byłam już dziewicą. Zgwałcił mnie własny ojczym. Widziałam jak zmienia się wyraz jego twarzy; rozluźnił mięśnie, a silna namiętność ustąpiła miejsca pełnej świadomości dokonanego czynu.

Niespodziewanie stoczył się ze mnie z jękiem; patrzyłam jak słania się na nogach, niezdarnie poprawiając ubranie.

- Dobry Boże, Roweno! Nie zdawałem sobie sprawy. Dziewczyno, kiedy cię ujrzałem taką, na wpół nagą - tak piękną - nie wiem, co we mnie wstąpiło!

- Zbyt późno na wyrzuty sumienia, nieprawdaż?

Czy przemawiałam własnym głosem, tak spokojnym, tak obojętnym?

Nagle dostałam mdłości na widok poplamionej, zakrwawionej pościeli, w której leżałam. Nie spoglądając nawet w stronę sir Edgara, który nie odrywał ode mnie wzroku, wytarłam ręką prześcieradła krew z moich ud, podniosłam się, przeszłam obok niego obojętnie i stanęłam przed lustrem.

Myślę, że chciałam zobaczyć, czy zmieniłam się w jakiś sposób - czy to nowe doświadczenie zostawiło jakiś ślad na mojej twarzy, ale wszystko pozostało bez zmiany. Błada, wciąż obca twarz okolona kosmykami czarnych włosów. „Z oczu można odczytać, że dziewczyna przemieniła się w kobietę”. Od kogo to usłyszałam? Ale moje oczy

nie wyrażały niczego prócz bezmiernej pustki.

Zupełnie nieświadomie chwyciłam z toaletki srebrną szczotkę i zaczęłam rozczesywać włosy długimi, gwałtownymi szarpnięciami. Być może wciąż pozostawałam w szoku, być może to dziwne zachowanie wynikało z mojego instynktu samozachowawczego, dzięki któremu pozostawałam przy zdrowych zmysłach, koncentrując się na błahym, zwyczajnym zadaniu.

Może to dziwne, ale stojąc tak nago przed lustrem całkowicie zapomniałam o obecności sir Edgara. W pewnej chwili stanął za mną. Zauważyłam jego odbicie; błyszczące dziwnym blaskiem oczy i wykrzywione w uśmiechu usta.

- Niech mnie diabli! Piękna z ciebie istota! Pierwsza dziewczina, którą posiadałem nie wydając ani pensa. Jedyna, która nie wybuchnęła płaczem. Jesteś niezwykłą dziewczyną.

Położył dłoń na moim gołym ramieniu i choć zeszywniałam, nie cofnęłam się przed nim. Wydał z siebie zduszony śmiech.

- Jesteś rozsądna. To mi się podoba. Taka chłodna, taka urocza... - przerwał i dodał cicho. - Wiesz, jesteś kobietą, która powinna nosić brylanty. Z tymi czarnymi włosami, z twoimi oczami... tak, na Boga, jesteś stworzona dla brylantów! Chcę ci to wynagrodzić. Widzisz, Roweno, nie jestem brutalem, lecz uczciwym człowiekiem i potrafię być hojny.

Wyszedł szybkim krokiem z pokoju, zostawiając mnie w transie przed lustrem.

Kiedy powrócił, dostrzegłam jakiś błysk w jego dłoniach. Powoli opuściłam rękę, gdy uniósł ciężką masę moich włosów - na szyi poczułam lodowaty chłód.

- Popatrz tylko! - nakazał z triumfem. - Spójrz w lustro, dziewczyno! Nie powinnaś nosić niczego innego. Brylanty - może czasami szafiry w kolorze twoich oczu. Jak ci się podoba? Będę dla ciebie szczodry - nigdy więcej cię nie skrzywdzę. Obsypię cię klejnotami.

Jego dłonie z pokrytymi rudawym włosem palcami przesunęły się po moich ramionach. Nie drgnęłam nawet, lecz nasze oczy spotkały się w lustrze.

- Co pan mi właściwie proponuje, sir Edgarze? Czy próbuje mnie pan przekupić, bym nie pisnęła słowa o pana występku, czy też chce pan, abym została jego kochanką?

Przez moment ścisnął mi ramię, a następnie odwrócił mnie w swoją stronę.

- Czy zawsze będziesz taka lodowata? Pod chłodem brylantu żarzy się ogień, Ro-

weno. A ja chcę go w tobie rozniecić!

Stałam pokornie w jego żelaznym uścisku i obserwowałam, jak zachłannie pożera mnie wzrokiem. Nie czułam nic, jedynie lekkie pieczenie między udami. Czy na tym właśnie polega akt miłości między mężczyzną a kobietą? Miłość, pożądanie. Przypuszczam, że nie można ich rozdzielić.

- Roweno, Roweno! Teraz, kiedy cię odkryłem, nie pozwolę ci odejść.

Kiedy oderwał ode mnie usta, wyrwałam się z jego objęć i poczęłam szcztokować włosy. W tej jednej chwili nawiedziła mnie przedziwna myśl - nienawidziłam mojej matki bardziej niż pogardzałam jej mężem. To dla tego mężczyzny porzuciła mego ojca - dla człowieka, który nie panował nad własnymi emocjami, który uwiódł jej córkę, a teraz proponował, by została jego nałożnicą! Ten sam mężczyzna, który na początku wydawał się tak arogancki i władczy, teraz błagał mnie o odrobinę ciepła i zrozumienia dla jego bestialskich zalotów. Mógł ponownie wykorzystać swą brutalną siłę, ale nie. On chciał czegoś więcej. Oczekiwał mojej reakcji - udawanej namiętności nierządniczy! Czy tylko w ten sposób kobieta mogła zawładnąć mężczyzną? Z jaką łatwością mogłabym wykorzystać tego człowieka. Tak, i zadać ból mojej matce! Gdybym tylko chciała...

- Na Boga, dziewczyno! Czy nie masz zamiaru się do mnie odezwać? - błagał ponownie z nieprzytomnym wzrokiem. - Co się stało, to się nie odstanie. Oczywiście, szkoda, że w takich okolicznościach, ale wypilem trochę kieliszków w klubie i kiedy wpadł jak burza Tom...

Po raz pierwszy od momentu pojawienia się w mojej sypialni sir Edgara poczułam jak nagła fala złości pokonuje moją obronną skorupę obojętności.

- Proszę nie wspominać nawet o Tomie Wilkinsonie! I pomyśleć, że przysłał go pan do mnie, wiedząc, że jestem sama... że uznał go pan za właściwego dla mnie kandydata na męża!

- Nie, nie! Skąd mogłem wiedzieć? Boże mój, chyba bym zabił tego szczeniaka, gdyby tylko cię tknął! Czyż nie wspomniałem przed chwilą, że wszystko ci wynagrodzę? Posłuchaj... - Głos mu drżał, a jego ręce ponownie znalazły się na moich ramionach. - Posłuchaj, dostaniesz wszystko, co tylko zechcesz, słyszysz? Modne, wspaniałe stroje, klejnoty - co powiesz o własnym koniu na przejażdżki po parku? Mały powozik? Jestem

bogatym człowiekiem.

- A jak pan wytłumaczy tę nagłą hojność... swojej żonie?

Celowo zastanowiłam się nad wyborem odpowiedniego słowa, a on zmieszał się nieco.

- Nie bądź taka surowa, dziewczyno. Fanny... no cóż. prawie jej nie znasz. Ona... ona bardzo się zmieniła. Te ciągłe bóle głowy, te nudne kolacje.

- Chce pan powiedzieć, że moja matka nie jest już młoda... tak jak ja?

Nie potrafił zaprzeczyć mojemu śmiałemu wystąpieniu, a ja odsunęłam się od niego.

- Proszę wybaczyć, ale czuję się zmęczona. Chciałabym wziąć kąpiel.

Obydwoje wiedzieliśmy, że próbuję wykorzystać moją władzę nad nim.

Popatrzył na mnie, na moje ciało i wzruszył ramionami.

- Przyślę do ciebie Jenks. Nie piśnie ani słowa, zbyt wiele mi zawdzięcza. Przenieś swoje rzeczy do błękitnego pokoju. Jest większy, z widokiem na park. A my... porozmawiamy jutro?

- Może - rzuciłam oziębło.

I na tym koniec. Wyszedł, zostawiając mnie samą w sypialni. Mechanicznym ruchem wyciągnęłam z szafy wstrętą, flanelową koszulę i narzuciłam ją na siebie.

„Próżność, Roweno! To wszystko stało się przez twoją próżność”.

Dlaczego niespodziewanie usłyszałam głos mojego dziadka? Nie chciałam tego słuchać. Dziadek ukształtował mój umysł, ale nie nauczył niczego o realnym świecie. Tego popołudnia zdałam sobie sprawę, że nieświadoma jestem wielu rzeczy. Mimo starannego wykształcenia nie potrafiłam współżyć z innymi ludźmi, wierzyłam naiwnie, że wystarczy do tego dobre urodzenie i wychowanie. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem samotna, zdana tylko na siebie. Wiedziałam, że muszę przetrwać - za wszelką cenę.

Rozdział 2

Jak najlepiej opisać upływ czasu? Światło i cień - mozaiki w kalejdoskopie...

Rozwinęłam skrzydła - jak motyl wyswobodzony z kokona - rzucając, jak to określili jeden z moich późniejszych adoratorów, cały Londyn na kolana. Pewna jestem, że przesadził, choć moja niespodziewana transformacją z cichej, zaniedbanej skromnisi w rozpromienioną damę nie pozostała bez komentarzy.

Nigdy się nie dowiem, co zaszło między moją matką a sir Edgarem, dość że z dnia na dzień przestałam być skrywaną, niechcianą, ubogą krewną. Nagle stałam się ukochaną i rozpieszczaną córką; ulubienicą całego domu; spełniano wszelkie moje zachcianki.

Przedstawiono mnie Jej Wysokości. Podobnie jak pozostałe młode damy zaproszone na królewski dwór, ubrana byłam w dziewiczą biel; brylantowa tiara lśniła wśród spiętych na głowie włosów.

Rodzice zabierali mnie na wszystkie wytworne imprezy. Matka wciąż pozostawała obcą dla mnie osobą, ale czy to miało jakieś znaczenie? Na zewnątrz była ze mnie bardzo dumna; prywatnie nie miałyśmy sobie nic do powiedzenia. A sir Edgar, zgodnie z obietnicą, nie żałował dla mnie pieniędzy.

Podróżowaliśmy po Europie, a moja znajomość języków okazała się zaletą, a nie, jak kiedyś myślałam, zbędnym ciężarem. Włoski książę, kiedy odrzuciłam jego zaloty, nazwał mnie „boginią z marmuru”, a przydomek ten powędrował za mną do Londynu. Byłam teraz uznaną pięknnością; i pomyśleć, że jeszcze niedawno uważałam się za brzydactwo, że nazywano mnie wstrętną kreaturą. A kiedy sam premier oznajmił, że umysł mam tak bystry i czysty jak brylanty, które ciągle noszę, moja pozycja w towarzystwie umocniona została raz na zawsze.

Także Lord Beaconsfield powiedział mi w zaufaniu, że jestem zimna i twarda jak brylanty, które tak uwielbiam, ale ta uwaga nigdy nie wydostała się poza granice kraju. Odrzucałam jego awanse, przypominając mu, że jest żonatym mężczyzną; ponieważ był także człowiekiem niezwykle inteligentnym, nie dał się nabrać na moje uniki.

- Zastanawiam się, czy jest pani zdolna do miłości? - zapytał, kiedy zostaliśmy kiedyś sami. - Potrafiłbym zrozumieć pani zachowanie, gdyby była pani zakochana w bied-

nym Edgarze Cardonie, ale wiem, że tak nie jest. Jest pani zbyt inteligentna jak na damę i zbyt wielką damą, by postępować jak mała nierządnicą. Czy zadała pani sobie pytanie, czego poszukuje w życiu, Roweno?

Spojrzałam mu w oczy. Jego otwartość zrobiła na mnie wrażenie.

- A czy muszę czegoś poszukiwać? - odparłam cicho. - Choć nie jestem w pełni zadowolona z własnego życia, nie znaczy to, że jestem rozgoryczona. Jakoś zapełniam sobie dni.

- Z mężczyzną pokroju Edgara Cardona? Co pani ma z nim wspólnego? Będę szczery. Znam wiele pięknych kobiet, ale w pani przypadku urzekła mnie przede wszystkim pani inteligencja. Pani się marnuje.

Wiedziałam, że i ja mogę sobie pozwolić na odrobinę szczerości.

Wzruszyłam ramionami.

- Ale wcześniej nie zwrócił pan na mnie najmniejszej uwagi. Byłam brzydkim kaczętkiem i dopiero sir Edgar przemienił mnie w łabędzia. I niegdyś nie brakowało mi inteligencji, którą pan tak podziwia, ale czy ktoś to zauważył? Nie, lordzie, to pan nie myśli teraz logicznie. Odkryłam, że aby uzyskać miano kobiety inteligentnej, musiałam wprawdzie dowiedzieć, że jestem kobietą. Czy kiedykolwiek miałabym okazję poznać pana, gdyby nie zaniepokoił się pan faktem, iż mogę się spodobać księciu Walii?

Wybuchnął śmiechem, pochylił się i poklepał mnie po dłoni.

- Punkt dla pani, lady! Nie, wyznać muszę, że nigdy nie przyszło mi do głowy, jakie to nieszczęście urodzić się kobietą - i to w dodatku inteligentną. Czy zechce pani przyjąć me najszczerze życzenia wszystkiego najlepszego?

Przy pożegnaniu ucałował me dłonie. Sir Edgar nie krył swego zadowolenia, że sam premier zwrócił na mnie uwagę, a ja nigdy mu nie wyznałam, o czym rozmawialiśmy.

Czekały mnie już inne atrakcje. Miałam prawie dwadzieścia lat, więc zaplanowano dla mnie wielki bal urodzinowy. Gdybym tylko mogła przewidzieć, że po tej uroczystości całe moje życie ulegnie drastycznej zmianie...

Wieczór był zaiste uroczy. Nie opuściłam żadnego tańca, pochłonęłam morze szampana, śmiałam się i flirtowałam przez całą noc. Zabawa trwała do szóstej nad ra-

nem, a ostatni goście pokrzepiali się potężnym śniadaniem.

Kiedy w końcu ruszyłam do mojego pokoju, byłam tak wyczerpana, że z trudem ściągnęłam lśniąca suknię z satyny, rzuciłam ją na podłogę obok satynowych pantofelków i padłam na łóżko.

Zasnęłam głębokim snem. Przebudziłam się, kiedy moja pokojówka - tak przynajmniej myślałam - rozsunęła ciężkie, aksamitne kotary, wpuszczając do sypialni promienie słońca.

- Czy musiałaś rozsuwać je wszystkie, Martine? Która to godzina? Obiecałam, że pojawię się w parku na przejażdżce...

- Może odłożysz tę przejażdżkę na później. Ktoś chciałby się z tobą spotkać dziś po południu w sprawie niezwykle ważnej dla twojej przyszłości.

Poderwałam się na łóżku, otwierając szeroko opuchnięte, zaspane oczy. Matka była ostatnią osobą, której bym się spodziewała w mojej sypialni.

- Przepraszam, że cię obudziłam - odezwała się beznamiętnie. - Ale to sprawa niecierpiąca zwłoki. Odprawiłam Martine i sama przyniosłam ci gorącą czekoladę. Stoi na stoliku przy łóżku.

Spojrzałam na nią, strząsając z oczu resztki snu. Oto moja matka - lady Fanny. Przez wszystkie te miesiące byłyśmy dla siebie obce, mijając się w korytarzach bez słowa. Wyraźnie mnie unikała i wyczułam, iż doskonale wie, co spowodowało zmianę mojej pozycji w tym domu, ale jak struś wolała schować głowę w piasek. Oczywiście przez to nienawidziłam ją jeszcze bardziej. Moja matka, cudzołożnica! Została kochanką sir Edgara Cardona, będąc jeszcze żoną mego ojca, a teraz ja odpłacałam jej pięknym za nadobne, w jego imieniu.

Patrzyłyśmy na siebie przez kilka sekund, kiedy wolnym ruchem sięgałam po filiżankę czekolady.

Ranek okazał się bezlitosny dla jej twarzy, mimo starannie nałożonego pudru i różu. Być może kiedyś była piękna, ale uroda pulchnych blondynek nie wytrzymuje próby czasu w wieku średnim. W jasnym blasku słońca zobaczyłam ją jako tęgą, starzejącą się kobietę - obiekt godny współczucia, gdybym tylko potrafiła się na nie zdobyć.

Nie mogąc znieść ciężaru spojrzenia, matka podeszła zniecierpliwiona do mojej to-

aletki, gdzie pobawiła się bezmyślnie grzebykami i szczotkami, czekając, aż skończę pić. Nie odezwałam się do niej ani słowem. Odstawiłam filiżankę, a ona podniosła szafirowo-brylantowy naszyjnik - urodzinowy prezent od sir Edgara.

- Podoba ci się? - zapytałam leniwie. - Mam podobną bransoletkę i kolczyki. Ale ten naszyjnik to istne чудо, prawda?

Opuściła klejnoty jak oparzona i rzuciła mi pełne nienawiści spojrzenie.

- Być może wkrótce sama będziesz sobie kupować biżuterię, Roweno. To znaczy... jeśli okażesz się wystarczająco rozsądna.

- Dlaczego nie powiesz wprost z czym przyszłaś, matko? Jestem zbyt śpiąca, by rozwiązywać zagadki.

Spuściłam nogi z łóżka i dopiero wyraz jej twarzy uzmysłowił mi, że jestem naga.

Parsknęłam śmiechem, nakładając cieniutki, koronkowy szlafrok - kolejny prezent-niespodzianka od sir Edgara.

- Wielkie nieba! Jesteśmy sobie tak obce! Pojęcia nie miałam, że moja nagość tak cię przerazi.

- Nie o to chodzi... - zaczęła, ale przerwała nagle. - To nieważne. Nie przyszłam tu, by się z tobą kłócić, ale raczej, by zaproponować ci nieco spóźniony prezent urodzinowy.

Wybuchnęła krótkim, histerycznym niemal śmiechem, a ja przyjrzałam się jej dokładniej. Pod grubą warstwą różu jej twarz zaczerwieniła się jeszcze bardziej, a pulchne, upierścienione palce nerwowym ruchem mięły rąbek spódnicy.

- Trochę za późno na wzajemne oskarżenia, prawda, matko? - stwierdziłam z całym spokojem i zabrałam się za szczotkowanie włosów.

- A więc... - ciągnęłam, widząc jej wahanie. - Czy powiesz mi wreszcie, co to za spóźniony prezent?

- To musi pozostać sekretem tylko między nami - rzuciła szybko - Edgar... Nie chcę, aby Edgar się dowiedział, jeszcze nie teraz. Wiesz, że nigdy nie cierpiał twego ojca. Nie wolno nam wspomnieć imienia Guya.

Moja dłoń zawisła w powietrzu.

- Ojciec? A co on ma z tym wspólnego? Nigdy wcześniej nie wspominałaś jego imienia!

- Oczywiście, że nie. Bo i po co? Jesteśmy rozwiedzeni, a te przykrości, na które mnie naraził... ale to już nie ma znaczenia - dorzuciła, nie dając mi dojść do słowa. - Przynajmniej mnie wysłuchaj. To nie potrwa długo. Twój ojciec - wiesz, że wyjechał do Ameryki? Po śmierci twego dziadka, adwokaci nie mogli go odszukać. Oczywiście, nikt nie znał adresu, a jego powrót był niemożliwy! Ale pozostała sprawa tytułu. Jest teraz lordem Melchester, bez względu na swą kryminalną przeszłość.

Usłyszałam w jej głosie nutę goryczy i zastanowiłam się, czy żałuje, że nie jest hrabiną, a jedynie żoną zwykłego baroneta.

Powtórzyłam pytanie.

- Dlaczego opowiadasz o moim ojcu? Co chcesz mi powiedzieć?

- Że chce, abyś przyjechała do Ameryki i zamieszkała razem z nim - zatriumfowała nagle. - Tak... - dodała szybko, widząc me zdumienie. - To prawda. Adwokaci odnaleźli go. Nie wiedział o śmierci swego ojca ani o twoim przyjeździe do Londynu. Spotkałam się z doradcą prawnym, który go reprezentuje. Człowiek ten pragnie się z tobą spotkać, by zawrzeć porozumienie. Pójdiesz na to spotkanie, prawda, Roweno?

Moje głuche milczenie doprowadzało ją do desperacji. Nie miałam pojęcia, jak bardzo chce się mnie pozbyć!

- Jest bogatym człowiekiem, Roweno! Trudno mi to sobie wyobrazić. Guy był zawsze tak rozrzutny, nigdy nie dbał o pieniądze, wydawał wszystko, co miał. Ale pan Braithwaite twierdzi, że jest teraz milionerem i że to wszystko należeć będzie do ciebie! Zostaniesz dziedziczką! W jednej chwili, kiedy podpiszesz papiery, a ja wyrażę zgodę na twój wyjazd, dostaniesz na początek pięćdziesiąt tysięcy funtów. Czy nie rozumiesz, co to znaczy? Będziesz bogata... i całkowicie niezależna. Co ty na to?

To był prawdziwy szok. Nawet jeśli moja twarz pozbawiona była emocji, wiem, że zdradził mnie niezwykle blask oczu. Zerknęłam na nią. Zaciśnęła usta, próbując odczytać odpowiedź z mojej twarzy.

- Co ty na to? - powtórzyła zniecierpliwionym i pełnym obaw tonem.

- Potrzebuję trochę czasu, by... by to przemyśleć - wycodziłam wolno. - Mój ojciec... czy nie uważasz, że to dziwne? Dlaczego czekał tak długo, by się ze mną skontaktować?

- Napisałam do niego! - wybuchnęła wyzywająco. - I co z tego? - ciągnęła lekko podniesionym głosem - czy myślisz, że chciałam cię tu trzymać? Zwłaszcza po tym, jak...

- Dlaczego nie powiesz tego wprost? - wpadłam jej w słowo. - Po tym, jak twój mąż mnie zgwałcił, nadal jest we mnie zaślepiony. Boisz się, że straci dla mnie całkowicie głowę, prawda? To dlatego postanowiłaś wyciągnąć głowę z piasku i pozbyć się mnie za wszelką cenę?

- Jesteś zimną, wyrachowaną i zuchwałą istotą, Roweno! - wyszeptała, a ja zachowałam zimną krew, obdarzając ją pogardliwym uśmiechem.

- Przypuszczam, że mam to po tobie. Czy nadal będziemy się wzajemnie obwiniać? Obserwowałam bacznie, jak przychodzi do siebie, rozdarta między potrzebą wyładowania nienawiści i niechęci, jaką mnie darzyła, a potrzebą zdobycia mojego zaufania.

W końcu spytała krótko:

- Pójdiesz ze mną do Braithwaite'a, czy nie? Kiedy z nim porozmawiasz i uzyskasz wszystkie szczegółowe wyjaśnienia, nasza dalsza dyskusja będzie zbyteczna.

- Właśnie! Nie jesteśmy przecież hipokrytkami. - Odwróciłam się od niej i zajęłam szczytowaniem włosów. - Jeśli przyślesz mi Martine, to za niecałą godzinę będę gotowa do wyjścia.

Podróż do Lincolns Inn Fields, gdzie Braithwaite prowadził swe biuro, przebiegała w całkowitym milczeniu. Z wyraźnym szacunkiem wprowadzono nas do przytulnego gabinetu głównego wspólnika dostojnej firmy „Braithwaite, Matthews & Braithwaite”. Moja matka szybko poinformowała siedzącego tam dżentelmena, że jestem osobą inteligentną i samodzielną, więc ona sama zajmie jedynie pozycję obserwatora.

Rzuciłam jej sardoniczne spojrzenie, ale ona już usadowiła się na krześle, zacisnęła sztywno dłonie i spuściła wzrok.

- Cóż, lady Roweno - przemówił mecenas Braithwaite znad sterty dokumentów, a ja spojrzałam mu prosto w oczy; błękitne, błyszczące, niezwykle przenikliwe jak na jego podeszły wiek.

Zaskoczył mnie nagłym stwierdzeniem.

- Przypomina pani swego ojca! Hmm, jaka szkoda, że tak to się potoczyło. Guy...

ale nie przyszła tu pani słuchać wspomnień starego człowieka. Czy możemy przystąpić do sprawy, czy też woła pani na początek filiżankę herbaty?

Odmówiliśmy obie, a Braithwaite, kiwając z zadowoleniem głową, ułożył swe palce w małą piramidę i popatrzył na mnie wzrokiem przyjaznego chochlika.

- Świetnie, a zatem przystępujemy do interesów. Lady Roweno, proszę mi przetrwać, jeśli czegoś pani nie zrozumie lub zechce pani otrzymać szczegółowe wyjaśnienie.

Skinęłam głową, a on spojrzał na mnie wytwornie.

- W porządku! - ucieszył się i podniósł kartkę papieru leżącą na biurku. Jego głos nabrał oficjalnego tonu, kiedy odczytał mi długi list z instrukcjami od mojego ojca, a następnie kopię jego testamentu, opisującego cały jego majątek.

Nie mogę powiedzieć, że bym była oszołomiona wystąpieniem pana Braithwaite'a. Studiowałam prawo, a ponieważ znałam łacinę, chciałam wykorzystać tę wiedzę w praktyce, Muszę jednak przyznać, że instrukcje ojca jak i jego testament sporządzone były w sposób prosty i zwięzły, bez najmniejszych niedomówień.

- Ten adwokat Guya w Bostonie - sędzia Fleming - to przyzwoity człowiek. Pisze tak zrozumiale, prawda? Czy ma pani jakieś pytania, lady Roweno?

Niespodziewana odmiana losu, a także wzrost pozycji społecznej zaskoczyły mnie, a nawet trochę oszołomiły. Zwykle zastanawiałam się nad każdą odpowiedzią, więc i teraz milczałam przez chwilę. Pan Braithwaite powtórzył pytanie z pełnym zrozumienia uśmiechem.

- To szok, prawda? Nic dziwnego. Była pani przekonana, że ojciec zniknął z pola widzenia lub że zapomniał o pani istnieniu. Oczywiście, list wszystko wyjaśnia. Pani dziadek - westchnął - był na swój sposób twardym człowiekiem. Nie przebaczał łatwo. Teraz wszystko pani rozumie. Guy Dangerfield - lord Melchester - jest chory. A właściwie, proszę mi wybaczyć szczerą, jest w stanie krytycznym. I wie o tym. Dlatego musi się pani śpieszyć. Tak bardzo chce panią zobaczyć przed śmiercią. Nie chcę, broń Boże, wywierać na panią nacisku, ale...

Usłyszałam, jak moja matka głęboko wciągnęła powietrze, wiedziałam, że z niecierpliwością oczekuje mojej odpowiedzi.

Ale ja już wiedziałam, jaka będzie moja odpowiedź. Wiedziałam, zanim zgodziłam

się tu przyjechać, zanim odkryłam bezmiar świeżo odziedziczonej fortuny. Byłam wolna! Nieoczekiwanie, zdumiewająco. Wypuszczono mnie z klatki, pozwolono na niezależność. Od dziś nie muszę do nikogo należeć, przed nikim się tłumaczyć.

Pochyliłam się do przodu i usłyszałam własny opanowany, miarowy głos:

- Oczywiście, że się zgadzam, panie Braithwaite. Przyjmuję wszystkie warunki przedstawione w testamencie i liście mojego ojca. Rozumiem też, że niezbędny jest pośpiech. Będę gotowa do opuszczenia Anglii, gdy tylko załatwi pan wszelkie formalności.

- Edgarowi nie wspomnimy o tym ani słowem - odezwała się matowym głosem matka, gdy znalazłyśmy się w powozie.

Podpisała wszystkie dokumenty, zrzekając się kurateli nade mną, a teraz patrzyła mi chłodno w oczy, jakbym już dla niej nie istniała.

- Pan Braithwaite zakłada, że zajmie mu to około tygodnia. Na szczęście już zarezerwował ci miejsce na statku płynącym do Ameryki. Nie ma potrzeby, byśmy się sprzeczały przed twoim wyjazdem. To chyba najlepsze rozwiązanie.

Wzruszyłam obojętnie ramionami, wciąż pogrążona we własnych myślach.

- Jak sobie życzysz - mruknęłam obojętnie. - Znajdziesz z pewnością jakiś sposób, by się pozbyć sir Edgara w dniu mojego wyjazdu. Masz tydzień, aby wymyślić jakąś wymówkę.

- Moja w tym głowa - prychnęła i przez resztę drogi nie zamieniłyśmy ani jednego słowa.

Zastanawiałam się nad wieloma sprawami. Nie tylko wyruszałam w daleką podróż, by rozpocząć nowe życie, ale miałam nareszcie ojca, który chciał mnie zobaczyć!

Przypomniałam sobie słowa niani: „Przyznać trzeba, że świata poza panią nie widział”, i wyobraziłam sobie, jak radził sobie mój ojciec po wyjeździe do Ameryki. Musiał opuścić Anglię otoczony hańbą, porzucając żonę i dziecko; zabroniono mu ze mną wszelkich kontaktów - to nie było ucziwe względem nas obojga, ale oczywiście mój dziadek przekonany był o słuszności swej decyzji.

Nie ubolewałam na tym, co przeszło, minęło - była to dla mnie pouczająca lekcja. Pewna byłam, że nikt, prócz sir Edgara, nie będzie rozpaczał po moim wyjeździe. Wiem, że służba plotkowała na mój temat, nawet Jenks, płaszcząca się przede mną w nadziei, że

pochwałę ją za takie oddanie przed sir Edgarem. Mellyn, nieprzebierająca w słowach ze względu na swój wiek i uprzywilejowaną pozycję, przeszła na emeryturę na wyraźne polecenie sir Edgara, który obawiał się, że kiedy odkryje, co się dzieje pod nosem „jej małeństwa”, „narobi niezłego bigosu”. Cóż, teraz niania może wrócić do pracy, a po opanowaniu pierwszej fali wściekłości Edgar ponownie odgrywać będzie kochającego i sumiennego małżonka, skrywając swe kochanki w dyskretnym apartamencie na Curzon Square.

Wszystko wróci do normy, do stanu sprzed mojego przyjazdu. A ja... tym razem będzie inaczej, przyrzekłam sobie. Dokładnie poznałam metody przetrwania, tak jak niegdyś pilnie przeczytałam książki, które wprowadziły mnie w świat abstrakcji. Kiedy będę już niezależna, sama przekonam się, na ile zapamiętałam te lekcje.

Nie pozostawało mi nic innego niż czekać. Powóz zatrzymał się przed wspaniałą rezydencją sir Edgara. Jak dwie absurdalne konspiratorki wysiadłyśmy w milczeniu, nie patrząc nawet na siebie.

W pokoju czekała już na mnie Martine.

- Byłyśmy na zakupach, ale niczego nie kupiłam - oświadczyłam mimochodem i odprawiłam ją pod pretekstem zmęczenia.

Biedna Martine. Co pocznie, kiedy wyjadę? Obiecałam sobie, że zostawię jej wspaniałe referencje i może premię w wysokości pięćdziesięciu funtów, To więcej niż jej dwuletni zarobek, ale co znaczyła ta suma dla mnie?

W saszetce trzymałam plik banknotów, wszystkiego ponad pięćset funtów - pieniądze na „czarną godzinę”, jak określił to Braithwaite. Mój ojciec najwyraźniej nalegał, by niczego mi nie brakowało. Dostałam także list, w którym upoważniał mnie do korzystania z jego kont w bankach Nowego Jorku i Bostonu. Teraz byłam prawdziwą dziewczką!

Usiadłam przy małym biurku w stylu Chippendale - to kolejny prezent od sir Edgara, który pozwolił mi umeblować pokój według własnego gustu - wyjęłam z torebki zapieczętowaną kopertę i otworzyłam ją ostrożnie. Wypisane czarnym atramentem litery - pająkowate, obce gryzmoły.

Do mojej córki, Roweny Elaine Dangerfield.

Nareszcie dowiem się czegoś o moim ojcu od niego samego.

Palce zadrżały mi, kiedy wyciągałam sztywne, szeleszczące kartki papieru. Mój ojciec. To dziwne, że ja, nauczona starannie tłumić wszystkie zewnętrzne emocje, poczułam nagle wzruszenie. Co dziwniejsze, jeszcze przed przeczytaniem listu doznałam uczucia bliskości i zażyłości.

Moja najdroższa córko! Z pewnością czujesz się dziwnie czytając ten list, podobnie jak ja, kiedy go piszę, wiedząc, że trafi w twoje ręce. A przecież nie jesteśmy sobie obcy. Nie mam na myśli więzów krwi, które nas łączą, ale fakt, że nigdy nie przestałem o tobie myśleć. Bez względu na to, co ci o mnie opowiadano, proszę, uwierz choć w to; kocham cię, tak jak kochałem, gdy byłaś maleńką drobiną kwilącą w moich ramionach, z przymkniętymi oczami i kępką czarnych włosów, które po mnie odziedziczyłaś.

Moja córeczko!

W tamtej chwili byłaś mi tak bliska, jak żadna inna istota...

Wolno wodziłam wzrokiem po gęsto zapisanych stronicach, wolniej niż to miałam w zwyczaju. Mój ojciec nie tracił czasu na wyjaśnienia lub przyczyny naszej separacji, wspomniął tylko, że było to niezależne od jego woli. Pisał dziennik, który będę miała możliwość przeczytać. Wtedy dowiem się wszystkiego.

Próbowałem spojrzeć na Nowy Meksyk twoimi oczami - tak jak ja zobaczyłem go po raz pierwszy. Dzika, wspaniała kraina pełna kontrastów. Mieszkałaś w Indiach, więc może taka zmiana nie będzie zbyt trudna. Widzisz, ja już z góry zakładam, że tu przyjedziesz, żyję tą nadzieją, snuję plany...

Dalej pisał:

Rozmawiałem z Toddem o moich zamierzeniach. Nie wierzy, że zechcesz tu za-

mieszkać. On niczego nie rozumie. No bo jak? Jednak czuję, że pomimo wszystko, znam cię bardzo dobrze; polegam jedynie na własnym instynkcie. Aby zadowolić Todda, w sporządzonym testamencie postawiłem pewne warunki. Bez względu na to, czy zdecydujesz się zamieszkać w Nowym Meksyku czy nie, otrzymasz znaczną sumę pieniędzy i pewny jestem, że Samuel Braithwaite wyjaśni to szczegółowo. Jeśli przed upływem roku zdecydujesz, że chcesz zamieszkać gdzie indziej, Rancho SD przejdzie w ręce Todda - ale nawet teraz, kiedy zdaję sobie sprawę, że dni moje są policzone, nie porzucam nadziei, że dożyję dnia, w którym cię znów zobaczę, porozmawiam z tobą i wytłumaczę, czego musisz się spodziewać, kiedy mnie już nie będzie. Mam do ciebie kilka próśb - ale są to tylko próśby. Kiedy przeczytasz mój dziennik, zrozumiesz je. Proszę cię jeszcze o jedno, córeczko, czytaj mój dziennik po kolei...

Po przyjeździe do Bostonu miałam spotkać się z człowiekiem o nazwisku Elmer Bragg.

Były człowiek Pinkertona - tak określił go mój ojciec. Prawnik z Dzikiego Zachodu o duszy uczonego - albo proroka. Od chwili przejścia na emeryturę sam wybiera sobie klientów, ale należy do moich najbliższych przyjaciół, więc jeśli nie będę w stanie się z tobą spotkać, pragnę, abyś udała się do niego.

*Twój kochający ojciec,
Guy Dangerfield*

Pomyślałam o mojej matce, którą znałam już od dwóch lat, ale do której czułam tylko nieokreśloną niechęć. Czasami ogarniała mnie nienawiść, ale teraz nie było czasu na tak gwałtowne emocje. Biedna, podstępna kobieta, typowy produkt środowiska i wychowania. Należałam bardziej do ojca niż do niej, a ona, co ciekawe, pierwsza zdała sobie z tego sprawę.

Wróciłam pamięcią do przeszłości! Na samą myśl poderwałam się z krzesła i podbiegłam do lustra. Popatrzyłam na swe odbicie z pewnym zdumieniem, pamiętając swój wygląd sprzed dwóch lat. Udająca się w podróż do Ameryki Rowena Dangerfield nie by-

ła już dziewczyną, lecz kobietą.

- Tak będzie lepiej - oznajmiła moja matka siadając naprzeciw mnie w powozie.

Była to nasza pierwsza prawdziwa rozmowa od tygodnia, kiedy to rozmawialiśmy o moim nowym życiu. Ruszyliśmy w stronę portu.

- Uda ci się w Ameryce, jestem pewna - ciągnęła, mrugając oczami. - Guy już dawno powinien mieć prawo cię sprowadzić. Teraz to widzę. Twój dziadek był jednak nieugięty, a i ja nie miałam wyboru. Musiałam wyjechać za granicę. Ten skandal był nie do zniesienia.

- Pewna jestem, że wyjechałaś w towarzystwie sir Edgara. - Prychnęłam, a ona zmrużyła oczy.

- Tak! Ale ty tego nie zrozumiesz. Prawdziwe uczucia są ci obce. O, widzę, że podnosisz brwi. Wiem, co o mnie myślisz. Ale ty nigdy nie kochałaś. Zastanawiam się, czy jesteś zdolna do miłości! Być może nie pozostałabyś mi obojętna, nawet jeśli byłaby to tylko litość, ale poznałam się na tobie. Pod tym obojętnym obliczem kryje się twarda skała!

- Po co mi to teraz mówisz?

Pochyliła się do przodu i zacisnęła zazwyczaj miękkie usta.

- Muszę to powiedzieć! Wiem, że nigdy nie kochałaś Edgara. Nic cię nie obchodził. I może dlatego to go tak zamroczyło... opętało! Widziałaś w nim tylko mężczyznę, który znalazł się w niezręcznej sytuacji, a potem wykorzystowałaś go, czyż nie? Ale ja go kocham. Popatrz na mnie. Być może uważasz, że jestem głupią, naiwną kobietą, ale przynajmniej stać mnie na prawdziwe uczucie! Miał kochanki zanim się poznaliśmy, miał je i potem, ale ożenił się ze mną. Twój przyjazd zrujnował wszystko. Córka Guya - zemsta Guya!

- Jaka szkoda, że w ogóle mnie urodziłaś - odpowiedziałam zimnym tonem. - Jaka szkoda, że dziadek umarł tak niespodziewanie.

- O, tak - wyrzuciła z siebie ze złością. Wyglądało na to, że musi wyrzucić z siebie całą gorycz. - Tak - powtórzyła cichym głosem. - Nie zrozumiesz tego, ale miałam tylko siedemnaście lat. Co mogłam wiedzieć o miłości i małżeństwie? Wszystko przygotowano beze mnie. Miałam poślubić Guya Dangerfielda, który był o wiele starszy i którego wi-

działam zaledwie dwa razy. Ale tak mnie wychowano. Do korzystnego małżeństwa. Nikt nie pomyślał, aby mnie zapytać o zdanie! Wysłałam za męża, by dać światu więcej Dangerfieldów. Dzięki Bogu, po twoich narodzinach pozwolono mi odpocząć!

Zerknęłam na jej zaczerwienioną twarz i ogarnął mnie gniew.

- Nienawidziłaś mojego ojca. Nienawidziłaś i mnie od dnia urodzin. Jestem tworem twojej nienawiści, droga matko. Dlaczego nie mogę być silniejsza niż ty w moim wieku?

- Silniejsza? Ty jesteś nieczuła. To nie siła, lecz nieczułość - brak jakichkolwiek uczuć.

- To nie ma już znaczenia.

- Masz rację. Ale nie wiń wyłącznie mnie! Chciałam być dobrą żoną. Gdyby twój ojciec kochał mnie bardziej, a mniej mną pogardzał, może nasze małżeństwo miałyby jakąś szansę. Ale i on nie ożenił się z własnego wyboru. Była w jego życiu inna kobieta. Nie wiem, kim była i ile dla niego znaczyła, ale czasem we śnie wypowiadał jej imię. - „Elena - mamrotał - Elena!” I nazwał cię Rowena Elaine. Nie, on nigdy mnie nie kochał! Czy to takie niezwykle, że poszukiwałam miłości?

Przez moment ujrzałam ją młodszą o dwadzieścia lat, zanim nabrała pulchnych kształtów, zanim drobne zmarszczki pokryły jej twarz. Biedna Fanny. Twór własnego środowiska. Nie interesowały mnie przyczyny jej nagłego wybuchu, nie rozumialiśmy się i dalsza rozmowa nie była możliwa.

Patrzyłam na nią w milczeniu, a ona wzruszywszy ramionami odzyskała zimną krew.

- Cóż. Może to i dobrze, że żegnamy się w taki sposób. Musiałam ci to wszystko powiedzieć, a teraz mamy to za sobą.

Nie pocałowała mnie na pożegnanie.

Woźnica zdjął moje kufry z powozu i przekazał jednemu z licznych bagażowych. Nie odwróciłam się, kiedy odjeżdżała. Za kilka godzin zostawię za sobą przeszłość i rozpocznę nowe życie. Przypomniałam sobie moją ostatnią podróż i uśmiechnęłam się z politowaniem na wspomnienie nieszczęsnej, przerażonej i zawziętej istoty, jaką kiedyś byłam. Czy rzeczywiście minęły tylko dwa lata? Tym razem wiedziałam, czego chcę.

Dotarłam na nabrzeże i kiedy podniosłam głowę, poczułam wonny, słony pocału-

nek wiatru na twarzy. Rozwiewał mi spódnicę, targał czepek.

„Podróże kończą się spotkaniem zakochanych”. Skąd przyszedł mi do głowy ten nonsens? Przecież nie czekał na mnie żaden kochanek. Już wcześniej postanowiłam, że nigdy się nie zakocham. Nikt nie będzie mnie kontrolował. Od dziś będę panią samej siebie.

Czyż nie nauczyłam się niczego o miłości? Tym idiotycznym, niezdarnym uczuciu, które z mężczyzny czyni zwierzę, a od kobiety wymaga tylko odrobiny uległości. Zwierzęta przynajmniej nie starają się racjonalizować swego pożądania, nie próbują upiększać go mianem miłości.

- Wyruszamy wraz z odpływem - dotarły do mnie słowa jednego z marynarzy.

Lekki wiatr zmarszczył powierzchnię wody. Piękny, słoneczny dzień. Wspaniały dzień na rozpoczęcie podróży.

Rozdział 3

Płynęłam amerykańskim statkiem i szybko przyzwyczaiałam się do dziwnej, nosowej wymowy moich współpasażerów. Ci Amerykanie okazali się o wiele bardziej przyjaźni i towarzyscy niż Anglicy, i choć trzymałam się od nich z dala, pozostawali życzliwi i pełni ciekawości. Rzecz dziwna, ale najwięcej komentarzy wzbudzał mój tytuł. Poznani Amerykanie chlubili się własną demokracją, ale nie potrafili ukryć wrażenia, jakie zrobiło na nich spotkanie z córką lorda.

Na trzy dni zatrzymaliśmy się w Hawrze, by zabrać pasażerów z Paryża. Ponownie miałam okazję, by zwiedzić Paryż, ale już w innych okolicznościach niż poprzednio. Nie spotkałam żadnych znajomych sir Edgara Cardona, a większość czasu poświęciłam na zakupy. Ta całkowita niezależność napawała mnie ogromną radością.

Nie mogłam się jednak doczekać końca tej podróży i spotkania z moim ojcem. Matka powiedziała, że jesteśmy do siebie bardzo podobni. Pomyślałam, że potrafimy się zrozumieć, bo oboje byliśmy wędrowcami.

Przebyłam pół świata i kiedy po raz pierwszy spojrzałam na port w Bostonie zasta-

nowiłam się, co odczuwał mój ojciec, kiedy tu wylądował. Miał chyba tyle samo lat, co ja. Czy wyjdzie mi na spotkanie, czy jest zbyt chory, by podróżować?

Kiedy opuściłam pokład i skierowałam się do mojej luksusowej kabiny, w uszach zabrzmiały mi ponownie gorzkie słowa matki.

„Jesteś nieczuła, Roweno... to nie siła, lecz nieczułość... Zastanawiam się, czy jesteś zdolna do miłości...”

Cóż, przynajmniej nie byłam słaba. Przypomniałam sobie brylanty podarowane przez Edgara Cardona - twarde, lśniące kamienie, każdy z nich płonący własnym maleńkim płomieniem. Często porównywał mnie do brylantów. Skarżył się na mój cięty język i nigdy nie był w stanie wzbudzić we mnie ciepła i namiętności, których tak poszukiwał. Ale nie żałowałam go. Wykorzystywaliśmy się wzajemnie - z całkiem odmiennych powodów - a teraz byłam wolna. Nigdy już nie uzależnię się od nikogo.

- Lady Roweno... - Głos stewarda przerwał me rozmyślenia

Odwróciłam głowę, przerywając zamykanie ostatniego kufra.

- Pani wybaczy, lady Roweno, ale ma pani gości. Pasażerowie schodzą już ze statku, ale pani znajomi weszli na pokład, by osobiście sprowadzić panią na ląd.

- Dziękuję.

Nie byłam pewna, czy ktokolwiek przyjdzie, by mnie powitać. Kiepska pogoda opóźniła nasze przybycie. Zauważyłam, że Boston, choć skąpany w bladym słońcu, pokryty był cienką warstwą pierwszego śniegu. A jednak wiedziano o moim przyjeździe, a „znajomi” wyszli mi na spotkanie. A więc nie ojciec. Zastanowiłam się, kim są ci ludzie.

Kiedy weszłam na pokład, stali tam niepewnie pośród krzątających się gości i wysiadających pasażerów. Katherine Shannon była najwyraźniej wdową - groźnie wyglądająca dama w czerni. To szwagierka Todda Shannona, partnera mojego ojca. Obok niej stała jej siostrzenica z mężem; sympatyczna młoda para o nienagannych manierach.

Wkrótce dowiedziałam się, dlaczego witali mnie na pokładzie i dlaczego Corinne Davidson, osoba zazwyczaj pełna życia i energii, podczas pierwszego spotkania wydała się tak przygaszona.

- Dostaliśmy telegram dopiero tydzień temu - oznajmiła cicho pani Shannon. - Moja droga, tak nam przykro! Nie tak ojciec wyobrażał sobie twój przyjazd do Ameryki.

Ale musieliśmy ci powiedzieć.

- Tak mi przykro... - powtórzyła.

Oczy Corinne Davidson wypełniły się łzami. Mój ojciec nie żył. Nigdy go już nie zobaczę. Nie płakałam. Przypuszczam, że zdrętwiałam, a moja twarz przybrała kamienny wygląd.

Z ulgą zauważyłam, że Jack Davidson, opanowany i przedsiębiorczy młody człowiek, zatroszczył się już o mój bagaż.

To byli bardzo taktowni i pełni zrozumienia ludzie. Moje milczenie tłumaczyli szokiem i nie obarczali mnie swoim współczuciem.

- Mieszkamy z Jackiem w Nowym Jorku, a u ciotki Katherine przebywamy tylko z wizytą - szepnęła Corinne Davidson. - Oczywiście, ty też się u niej zatrzymasz. Prawda, ciociu Katherine?

Pani Shannon przytaknęła głową.

- Przyszykowano już dla mnie pokój, potrzebowałam odpoczynku, a nade wszystko przekonywano mnie, że znajduję się wśród przyjaciół.

- Jeśli będziesz chciała porozmawiać, mam nadzieję, że nie będziesz się kępować - ciągnęła uprzejmie pani Shannon, dodając, że w przeszłości mój ojciec był częstym gościem w jej domu.

Ale to właśnie Corinne Davidson ze swoim naturalnym, otwartym sposobem bycia przebiła się przez skorupę mojej powściągliwości i została moją pierwszą przyjaciółką w Ameryce.

Przyszła do mojego pokoju już pierwszego wieczoru, a jej delikatne, niepewne pukanie do drzwi odciągnęło mnie od okna przez które wyglądałam na padający śnieg.

- Obiecuj, że będziesz szczerą, jeśli chcesz zostać sama - poprosiła zamykając za sobą drzwi. Zagryzła usta i dorzuciła: - Jack mówi, że brakuje mi taktu, że jestem zbyt gadatliwa, ale wiem, co czułabym na twoim miejscu. Ja... my tak lubiliśmy wujka Guya! Wydaje mi się strasznie smutne i tragiczne, że nigdy go nie poznałaś. To był cudowny człowiek. Taki spokojny, że ludzie nie zauważali jego obecności, a przecież tak bardzo o nich dbał! Pamiętam jak po śmierci mojego papy przyjechał aż z Bostonu, zabrał mnie na kolację i do opery... i tak poznałam Jacka...

Nagle zasłoniła dłonią usta, a w jej oczach pojawiło się przerażenie.

- Wielkie nieba! Znowu się zapomniałam! Ale ze mnie papla. Przyszłam, by się dowiedzieć, czy chcesz porozmawiać.

Nie mogłam nie lubić Corinne, choć nigdy nie miałam przyjaciółek w moim wieku. Otwarcie przyznawała, że uwielbia plotki, ale nie była podstępna. Bez oporów wyrażała swe myśli, choć często prowadziło to do kłopotliwych sytuacji.

Przypuszczam, że potrzebowałam przyjaciółki. Nigdy przedtem jej nie miałam i choć pod względem osobowości byłyśmy całkowitymi przeciwieństwami, uzupełniałyśmy się znakomicie. Miała bystry i inteligentny umysł, choć zachowywała się jak postrzeleniec. To właśnie ona pomogła mi przetrwać najcięższe chwile, kiedy musiałam pogodzić się ze stratą ojca. Nie miałam już nikogo i mogłam liczyć tylko na siebie.

Byłam oczywiście bogata, a to nie pozostawało bez znaczenia. Nie byłam już naiwną dziewczyną, o czym przekonał się nawet Edgar Cardon. Nie oburzyłam się, kiedy Corinne zaczęła odgrzebywać stare tajemnice rodzinne.

- No wiesz, ktoś ci to musi powiedzieć - zauważyła z całą powagą - a ciotka Katherine nigdy tego nie robi! Nawet Jack zgadza się ze mną, że musisz być przygotowana na to, co cię spotka w Nowym Meksyku.

- Wielkie nieba! To brzmi niepokojąco! - zażartowałam, ale ona nalegała, że sprawa jest poważna.

- Na przykład - wybuchnęła dramatycznie, sadowiac się na moim łóżku - co wiesz o Toddzie Shannonie?

Przyznałam, że wiem, iż był partnerem mojego ojca i współnikiem w interesach na ogromnym ranczo SD.

- Tak właśnie myślałam! - Corinne zacisnęła usta w srogiej powadze. - To szwagier ciotki Katherine, choć pewna jestem, że nigdy go nie lubiła, nawet kiedy żył wujek James. Widzisz, wujek James przybył do Ameryki na wiele lat przed niespodziewanym pojawieniem się jego brata Todda. Wujek James był poważnym młodzieńcem, starannie wykształconym i gdy tu w Bostonie studiował prawo, rozpoczął pracę u mojego dziadka, ojca ciotki Katherine, oczywiście i... - przerwała, by zaczerpnąć tchu, a widząc mój niepewny uśmiech, rzuciła mi figlarne spojrzenie. - Wiem, co teraz myślisz! Mówi się, że

wszyscy bostończycy są ze sobą spokrewnieni i z pewnością to prawda! Ale, Roweno, musisz mnie wysłuchać, bo teraz będę poważna. O czym to ja mówiłam?

- Zaczęłaś opowiadać mi o Toddzie Shannonie - podpowiedziałam, a ona pokiwała rozważnie głową.

- Ależ tak! Swoim przyjazdem do Bostonu wprowadził w zakłopotanie moją biedną ciotkę i wuja, bo był niejako czarną owcą, no wiesz! Mówili, że za młodu działał w jakichś organizacjach rewolucyjnych w Irlandii. Oni zawsze walczą z Brytyjczykami, prawda? Tak czy inaczej, musiał uciekać w pośpiechu, więc pojawił się tutaj.

- Czy tak poznał mojego ojca? - spytałam z ciekawością, a Corinne wzruszyła lekko ramionami.

- Nie jestem pewna, bo nie było mnie jeszcze na świecie. Ale pamiętam, jak ktoś napomknął, że spotkali się na statku i postanowili wspólnie szukać szczęścia. To takie romantyczne i podniecające, prawda? Wyruszyli razem na Zachód, bo w tamtych czasach granice wciąż się zmieniały, a było to przed wojną z Meksykiem. Południowy Zachód i Kalifornia nadal należały do Hiszpanii.

Historia Ameryki nie była mi obca, więc pokiwałam głową, a Corinne wyczuła natchnieniem moje zniecierpliwienie tym przydługim wyszczególnianiem faktów.

- Ojej! - zachmurzyła się. - I znowu to samo. Zwykła paplanina! Przecież nie interesuje cię historia, ale Todd Shannon - i twój ojciec, bo odegrał ważną rolę w tych wydarzeniach - zachichotała niespodziewanie. - Kiedy byłam dzieckiem, uwielbiałam podsłuchiwać dorosłych! Byłam wtedy bardzo grzeczna i udawałam, że czytam albo haftuję. Ale wiesz, dla mnie ta cała historia była taka fascynująca i bardziej podniecająca niż wszystkie książki.

- Mów dalej - zachęciłam ją. - Teraz i ja uległam fascynacji. - Co się wydarzyło?

- Cóż, jak już wspomniałam, twój ojciec i wujek Todd - bo tak go nazywam, choć zawsze mnie przerażał - wyjechali na Zachód i tam przeżyli wiele przygód; czasami wspólnie, czasami osobno, bo obaj byli bardzo niezależni. Ale potem, tuż przed wojną z Meksykiem, wujek Todd, zakochał się. Podobno była to bardzo piękna, młoda Hiszpanka z dobrego rodu, pozostająca pod kuratelą swego brata. Wybrano dla niej klasztor, ale gdy poznała wujka Todda, pokochała go także. Uciekli w tajemnicy, aż do Teksasu, a jej brat

poprzysiągł zemstę. No i proszę! - zatriumfowała Corinne. - Czy to nie podniecająca i romantyczna historia?

- Czy to już koniec? - spytałam uszczypliwie.

- Och, Roweno! Czasami mam wrażenie, że wolisz tragedię od romansu! Tak, bez niej się nie obeszło. Widzisz, kiedy Meksykanie zostali zmuszeni do przekazania swej ziemi na Południowym Zachodzie w ręce Stanów Zjednoczonych, Todd Shannon przywiózł swą narzeczoną do Nowego Meksyku i zażądał prawa do jej rodzinnego majątku.

Zmarszczyłam brwi.

- A co na to jej mściwy brat?

- Alejandro Kordes? Och, on był jednym z tych zapaleńców, którzy nie uznali nowego rządu amerykańskiego. Skrył się gdzieś w górach z grupą jemu podobnych, a później pojawiły się pogłoski, że przyłączył się do bandy *comancheros*. Tak przynajmniej się nazywali, ale wujek Todd twierdził, że to nic innego jak zgraja zdradzieckich bandytów, którzy sprzedają Indianom broń przeciwko białym. Alejandro został wyjęty spod prawa, ale jego nienawiść do Todda nie zmaląła.

Corinne okazała się świetną gawędziarką, doskonale przywołując atmosferę tamtych wydarzeń, więc bez trudu wyobraziłam sobie owe tragiczne i przerażające wypadki, które doprowadziły do rodzinnej wendety - nigdy niezakończonych, jak ostrzegła mnie Corinne. Najbardziej jednak intrygowała mnie rola ojca w tej całej historii.

Zarobił nieco pieniędzy w kalifornijskich kopalniach złota i gdy jego stary wspólnik napisał do niego z prośbą o pożyczkę, wyjechał do Nowego Meksyku. Ponownie zostali wspólnikami, inwestując w ogromne rancho zwane SD - Shannon - Dangerfield. Powodziło im się znakomicie, dopóki nie wydarzyła się tragedia.

- Był to czas gorączki srebra w tamtej części świata, i wujek Todd z twoim ojcem znów wyruszyli na poszukiwania. Alma, żona Todda Shannona właśnie powiła syna, ale nie odzyskała jeszcze sił, więc zostawili ją z młodą kuzynką Almy, która pojawiła się nieoczekiwanie, wyznając, iż uciekła od Apaczów. Elena, bo tak miała na imię, była owocem związku między porwaną hiszpańską dziewczyną - ciotką Almy i jej zdobywcą, wodzem Apaczów. Choć była pół-Apaczką, twierdziła, że zaintrygowały ją opowieści matki o „cywilizacji” i że pragnęła żyć jak biała kobieta, a nie jak indiańska squaw.

- Elena? To imię zabrzmiało dziwnie znajomo, usłyszałam je ponownie przypominając sobie złośliwy głos matki.

„Elena! Czasem we śnie wypowiadał jej imię. I nazwał cię Rowena Elaine”.

- Corinne... jaka ona była? Czy ktoś o niej opowiadał?

- Niezupełnie - odpowiedziała wolno, szukając czegoś w pamięci. - Ona... z pewnością była bardzo młoda - piętnaście, szesnaście lat - i bardzo piękna, egzotycznie urodziwa.

- Czy... czy mój ojciec coś o niej mówił? - poczułam nagłą potrzebę zadania tego pytania, ale Corinne obdarzyła mnie zdumionym spojrzeniem.

- Ja... ja nie pamiętam! Ale na pewno bardzo ją lubił, bo, o ile wiem, nauczył ją czytać i pisać, no i oczywiście ocalił jej życie.

Taktownie nie spytała o powód mojego gwałtownego zainteresowania, a resztę opowiadania dokończyła stłumionym głosem.

Po kilku tygodniach mój ojciec i Todd Shannon powrócili ze swej wyprawy, ale zastali jedynie popiół i zgliszcza. Indianie zaatakowali ranczo, rozpędzili bydło i co najgorsze, zabili Almę i jej syna.

- Jeden z *vaqueros* zdołał przeżyć masakrę i opowiedział, co się wydarzyło. Wyjawił, że w ataku brał udział Alejandro Kordes ze swymi *comancheros*. Być może nie wiedział, że jego siostra pozostała w domu. Kiedy budynek stanął w płomieniach, wybiegła z dzieckiem na rękę. Indiańska strzała zabiła ich oboje.

- Och, nie!

- Stary *vaquero* przed utratą przytomności zobaczył Alejandra Kordesa wrzeszczącego jak szaleniec. Podobno zanosił się szlochom, klęcząc przy ciele swej siostry.

- A potem? Co z Eleną? Czy i ona zginęła?

Corinne potrząsnęła głową, przybierając niezwykle poważny wyraz twarzy.

- Tu dopiero zaczyna się prawdziwa wendeta. Tuż przed wyprawą doszło do sprzeczki między Eleną a wujkiem Toddem. Nigdy nie lubił Indian i nie chciał przyjąć jej pod swój dach. Po kilku dniach uciekła bez słowa, zostawiając Almę samą. Potem na nią spadła cała wina. Twierdził, że to ona w odwecie sprowadziła swych ludzi na ranczo.

- A mój ojciec?

- Musisz zrozumieć, Roweno, że wujek Todd przemienił się w dzikie zwierzę, opętane żalem i nienawiścią. Był gotów wyruszyć samotnie za Indianami i swym szwagrem, ale twój ojciec powstrzymał go. I co gorsza, po paru dniach pojawiła się Elena. Wyglądało na to... - Corinne zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu i przybrała zaaferowany wyraz twarzy. Wyglądało na to... że spodziewa się dziecka. Wspominając tę część historii, wszyscy zawsze mówili szeptem, a ja musiałam wychodzić z pokoju, ale kiedy dorosłam, mama wyjawiała mi, że Elena kochała wujka Todda, a dziecko było jego.

- O, Boże. Co zrobił, gdy wróciła?

- O mało jej nie zabił! Był do tego zdolny, ale wujek Guy odciągnął go, gdy zaczął ją bić. Straciła dziecko, a wujek Guy - twój ojciec, pomógł jej wrócić do zdrowia. Ale gdy tylko wyzdrowiała, uciekła znowu do swoich ludzi.

- To chyba nie koniec. Jak się zaczęła ta wendeta?

Corinne westchnęła.

- Och, Roweno. To było najgorsze! Tuż po ucieczce Eleny pojawiły się pierwsze pogłoski. Poślubiła Alejandro Kordesa, wyobraź sobie! Teraz wiesz, co czuł wujek Todd? Pewien był, że Elena i Alejandro pozostawali przez cały czas w zмовie!

Oczywiście historia ta miała wiele wątków, ale Corinne była zbyt młoda, by pamiętać wszystkie szczegóły. Po jakimś czasie usłyszałam to opowiadanie ponownie, sporo dowiedziałam się ze skrupulatnie prowadzonych dzienników ojca, a także od samych bohaterów. Ale wybiegam niepotrzebnie w przyszłość, bo zbyt wiele się jeszcze wydarzy zanim poznam całą prawdę.

Po pierwsze, miałam się spotkać z dziwnym i raczej tajemniczym Elmerem Braggiem, byłym człowiekiem Pinkertona, jak opisał go w liście ojciec. Prawny doradca mojego ojca, sędzia Fleming, poradził mi go odszukać.

- To... dość nieokrzesany człowiek przybierający pozę nieuka, choć jest w istocie samoukiem, na Zachodzie mówi się o takich „prawnicy z Dzikiego Zachodu”. Był doskonałym detektywem, wiem, że mój przyjaciel Allan Pinkerton nie mógł odżalować, że przechodzi na emeryturę. Zna pani powiedzenie: „Stara gwardia nie umiera”? Bragg jest tego żywym przykładem. Oficjalnie przeszedł na emeryturę, ale nie należy do ludzi, którzy lubią siedzieć beczynnie. Od czasu do czasu podejmuje się jakiejś sprawy i mam

wrażenie, że przebywa teraz w Bostonie, by się z panią spotkać.

- Nie próbował się ze mną kontaktować.

Sędzia Fleming pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Ależ oczywiście, że nie. To nie w stylu Elmera Bragga. On wie o liście pani ojca i najpewniej czeka, aby to pani go odnalazła. - Uśmiechnął się przepaszająco. - Ostrzegałem panią, moja droga. Elmer Bragg to ekscentryczny mężczyzna. To dla niego typowe. Pewnie myśli, że jeśli potrzebować będzie pani jego pomocy lub rady, odszuka go pani sama.

Zastosowałam się do jego sugestii - tak też radził mi ojciec - a sama zaintrygowana byłam wymijającymi uwagami sędziego Fleminga na temat Elmera Bragga.

Postanowiłam pozostać w Bostonie, aż do wyjaśnienia wszystkich prawnych szczegółów, więc miałam czas. Nie śpieszyłam się z wyjazdem do Nowego Meksyku, bo nie wiedziałam, co mnie tam czeka. Przyszło mi na myśl, iż ów tajemniczy pan Bragg, sam pochodzący z Zachodu, będzie dla mnie najlepszym źródłem informacji. I nie pomyliłam się, bo nasze pierwsze spotkanie okazało się niezwykle owocne.

Rozdział 4

- Widzę, że jest pani rozsądną i opanowaną młodą damą. - Pan Bragg obdarzył mnie burkliwym komplementem.

Jego przenikliwe oczy skryte pod krzaczastymi, posiwiałymi brwiami wpatrywały się we mnie przez ułamek sekundy, a on sam kiwnął z zadowoleniem głową.

- Tak - ciągnął, jakby nigdy nic. - Przyznać muszę, że jestem panią mile zaskoczony! Nie wiedziałem, w co się pakuję i mam nadzieję, że wybaczy mi pani tę szczerość. Przecież nawet Guy nie znał pani wcale. Wiedział tylko, że stary lord, jego ojciec, postanowił wychować panią według własnych zasad. Pewien jestem, że otrzymała pani staranne wykształcenie. Pani ojciec byłby bardzo szczęśliwy, bo wielką wagę przywiązywał do nauki. A ja cieszę się, że jest pani nie tylko mądra, ale i piękna. To u kobiety niezwykle połączenie!

Nie wiedziałam, czy śmiać się, czy złościć z powodu jego obcesowych manier, ale

zachowałam zimną krew i obdarzyłam go długim, oceniającym spojrzeniem. Uśmiechnął się, podkreślając sumiastego wąsa.

- Ha! Nie jest pani też zbyt rozmowna, prawda? Przygląda mi się pani uważnie, to dobry znak. Spotka pani wielu nieznajomych, więc proszę przyjąć dobrą radę od starego człowieka. Niech pani obserwuje i słucha, a mówi jak najmniej.

Przerwał na chwilę i przeszył mnie wzrokiem:

- Czy potrafi pani samodzielnie myśleć, lady Roweno?

Jeśli zamierzał wytrącić mnie z równowagi, nie osiągnął celu.

- Oczywiście, że potrafię samodzielnie myśleć, panie Bragg! W przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj. Zdaję sobie jednak sprawę, iż muszę się sporo nauczyć przed podróżą do Nowego Meksyku i dlatego przyszedłam do pana. Mój ojciec pisał o panu, a i sędzia Fleming twierdzi, że jest pan jedną z niewielu osób, która może mi pomóc.

- A więc i sędzia mnie polecił? - zachichotał. - To prawda, że wiem więcej o Guyu niż ktokolwiek inny, więcej niż jego wspólnik, Todd Shannon. A więc myśli pani, że mogę coś pożytecznego poradzić?

Podkreślił ponownie wąsa i spojrzał na mnie poważnym wzrokiem.

- Dlaczego nie? Tak, ciekawe, jak pani da sobie radę. Czy miała pani na myśli konkretną propozycję finansową, lady Roweno? Czy zamierza mnie pani zatrudnić?

- Jeśli pan zechce, oczywiście - oznajmiłam łagodnie, ale dorzuciłam natychmiast. - To może być dla pana nowe wyzwanie. A może na dobre przeszedł pan już na emeryturę?

- Na dobre? - parsknął. - Do diabła z tym, o, proszę mi wybaczyć! Ten sprytny lis Fleming wie to doskonale. Z pewnością już pani o tym wspomniał. Emerytura, coś takiego!

- Tuż przed śmiercią ojciec pani posłał po mnie - mruknął.

- Dlatego trwało to tak długo. Ale doglądam wszystkiego, co się tam dzieje - takie ćwiczenie umysłowe, można powiedzieć. Nie uwierzy pani, jak wiele wiem. Na przykład, czy słyszała pani, że Todd Shannon próbował podważyć testament? Tę część, w której otrzymuje pani połowę udziałów w SD?

Uchwyciłam jego ostre, przebiegłe spojrzenie i kiwnęłam głową.

- Tak. Sędzia Fleming poinformował mnie o tym. Ale z pewnością...

- Ach! - Elmer Bragg machnął niecierpliwie ręką, nie dając mi dokończyć. - To właśnie miałem na myśli mówiąc, że wiem więcej od innych. Shannon zdawał sobie sprawę, że nie ma szans. To był tylko taki gest, powiedzmy, że wyrażał publiczny, formalny protest! Zawsze wierzył, że Guy pozostawi mu całe ranczo, dobrowolnie i bez przeszkód. A tu nagle, ni z tego, ni z owego, pojawia się pani. Co on o pani wie? Utytułowana młoda Angielka wychowana na damę. A co tak naprawdę wiedział o pani ojciec, prócz tego, że była pani jego córką? Proszę mi wierzyć, gdyby Todd wiedział o pani przyjeździe, wysłałby do Bostonu swojego siostrzeńca, prawnika, młodego Marka z bardzo hojną ofertą w gotówce za rezygnację z roszczeń do rancza. I z pewnością odwiódłby panią od zamiaru wyjazdu do Nowego Meksyku. To surowa i dzika kraina. Pełna przemocy, kierująca się prawem dżungli. Przeżywają najsilniejsi i najprzebieglejsi. Czy pani to rozumie?

Zmarszczyłam brwi, zastanowiłam się nad jego słowami i odpowiedziałam wolno:

- Czy to znaczy, że Todd Shannon czuje się dotknięty z powodu mojego prawa do części rancza? Ale dlaczego tylko rancza? Wiem, że jest ogromne, ale warte jest najmniej z całego wspólnego majątku, jaki razem posiadali. Co z udziałami w kopalniach srebra? W przedsiębiorstwie budowy dróg? Czy uważa, że i do nich nie mam prawa?

- Trafiała pani w samą dziesiątkę! - wykrzyknął Bragg. - Nie, Todd Shannon nie jest sknerą, choć potrafi nienawidzić. Jest Irlandczykiem, ceni rodzinne więzy. Nie zazdrości pani tych pieniędzy, hodowla bydła znajduje się w pełnym rozkwicie, a on zarabia masę pieniędzy, nie bez powodu nazywają go krowim magnatem. Nie, chodzi o to, iż uważa, że ranczo jest jego własnością. Jasne? Pani ojciec zainwestował w nie pieniądze, to prawda, ale to Shannon przekształcił SD na imperium - własną pracą, energią i bronią. To dla niego symbol; symbol pierwszego kawałka ziemi, który był jego własnością, symbol jego władzy. To pomnik ku czci jego żony. Pierwszej żony. Jedynej kobiety, którą kiedykolwiek kochał. Słyszała pani tę historię?

Wolno skinęłam głową, zdumiona złożonością charakteru Todda Shannona. Jakim człowiekiem był naprawdę? Mój ojciec zdecydował się zostać jego współnikiem. Corinne powiedziała kiedyś, że zawsze ją przerażał swym grubym głosem i siłą osobowości.

Sędzia Fleming wyrażał się o nim z podziwem jak o silnym, upartym mężczyźnie nieznanym porażki. Najwyraźniej zdolny był do namiętej miłości i brutalnej nienawiści. Los nie był dla niego życzliwy. Corinne powiedziała mi, że Todd Shannon ożenił się po-
nownie, kiedy ojciec wyjechał do Anglii, by poślubić matkę. Jego nową żoną została wdowa po nauczycielu zamordowanym przez Indian - kobieta z małą córką, którą za-
adoptował. Ale i ona zmarła przy porodzie, a Todd Shannon pozostał sam.

- To potężny, przystojny mężczyzna - usłyszałam od Corinne. - Irlandczyk o blond włosach, któremu nie oprze się żadna kobieta. Ale jest w nim coś surowego. Moja matka powtarzała, że to człowiek, który potrafi kochać tylko raz w życiu.

Mimo całej pewności siebie, zastanawiałam się, jak taki ktoś zareaguje na mój nie-
spodziewany przyjazd. Niewątpliwie oburzy się, ale nie mogłam go o to winić.

Zatopiłam się w myślach, a Bragg żując w milczeniu skrawek cygara nie odrywał ode mnie oczu.

Spojrzałam na niego i zapytałam głośno;

- Skoro mój ojciec wiedział o tym, dlaczego uparł się przy moim udziale w tym ranczo? I bez niego był bogatym człowiekiem, a i ja nie potrzebuję więcej pieniędzy. Musiał być jakiś powód.

- A więc i panią to nurtuje? - Elmer Bragg zamrugnął znacząco oczami - I ja się nad tym zastanawiałem. Spytałem nawet Guya: „Po co jej te kłopoty? Dlaczego musi mieszkać w Nowym Meksyku przez cały rok, by odziedziczyć to ranczo?”

- Zatem był jakiś powód?

- Pani papa był człowiekiem myślącym. Wrócił z Anglii zupełnie odmieniony, a pod koniec żył jak odludek. Czytał. Pisał dziennik. Tak, był powód dla którego dostała pani połowę rancza. Wyzwanie, tak to nazywał. „Myślę Elmer... nie, czuję, że moja córka wyrośnie na kobietę taką jak moja matka. Silną, troskliwą. Mam nadzieję, że kiedy wszystko zrozumie, zdoła zakończyć tę bezsensowną wendetę.” Byłem kiedyś prawnikiem, lady Roweno i mam doskonałą pamięć. Nieraz musiałem na niej polegać. Na pamięci i na instynkcie. Coś mi mówi, że robi pani to, czego chciał ojciec. Już się pani zdecydowała na wyjazd do Nowego Meksyku, prawda?

Jego pewność siebie wywołała mój uśmiech.

- Teraz kolej na mój komplement, panie Bragg. Jest pan bardzo bystrym mężczyzną. Ojciec zostawił mi wystarczająco dużo pieniędzy jak na moje potrzeby, ale chyba po nim odziedziczyłam ciekawość świata. Być może potrzeba mi takiego wyzwania. Tak, pojedę do Nowego Meksyku, choćby po to, by poznać Todda Shannona.

- A więc to Todd Shannon jest tym wyzwaniem, lady Roweno? - zauważył mój wzrok i machnął niecierpliwie ręką. - No, no! Trzeba się przyzwyczaić do moich prostackich manier i niewyparzonego języka. Pomogę pani. Przed spotkaniem z Toddem Shannonem musi go pani lepiej zrozumieć. Proszę mi powiedzieć... - przerwał, by przypalić cygaro - czy zna pani dalszy ciąg tej historii? To znaczy, co się wydarzyło, gdy ojciec pani wyjechał do Anglii?

- Ta idiotyczna wendeta rozpoczęła się na nowo - rzuciłam, zastanawiając się, do czego zmierza.

- Idiotyczna, pani uważa? - burknął. - Obawiam się, że to niewłaściwe słowo. Jeśli zdecydowała się pani wyjechać do Nowego Meksyku, musi być pani przygotowana na jedno. W każdej chwili, każdego dnia. Todd Shannon od długiego czasu przepełniony jest nienawiścią, ta nienawiść trawi go od środka. Pani ojciec zapobiegł prawdziwym kłopotom, bo zyskał sobie szacunek klanu Kordesa. Ale jego już nie ma, a pani znajdzie się w samym środku tego zamieszania. Pani - angielska dama, która nie ma pojęcia o Dzikim Zachodzie. Wychowana w dostatku, to widać po pani strojach. Może zaciekawily panią te historie, ale to nie wystarczy. Czy pani wie, w co się pakuje?

- Panie Bragg! - Tym razem doprowadził mnie do gniewu i nie potrafiłam ukryć swego zdenerwowania. - Być może nie wiem, w co się pakuję, jak pan to określił, ale dlatego przyszedłam do pana. Co więcej, może mi pan wierzyć, życie moje nie było usłane różami.

Bardziej opanowanym głosem ciągnęłam:

- Wychowałam się w Indiach i tam mieliśmy swoje problemy. Nie tylko z dzikimi plemionami, ale i z pogodą. Miałam okazję poznać wielu ludzi. Być może jestem podobna do ojca bardziej niż się to panu wydaje, panie Bragg, zobaczy pan, że potrafię być uparta!

Ku mojemu zdziwieniu zachichotał i zakręcił wąsa.

- Potrafi się pani złościć! Dobrze, dobrze. Już się martwiłem, że jest pani bryłą lodu. Wie pani co, lady Roweno? Myślę, że się pani uda. Być może Todd Shannon dostrzeże w pani godnego przeciwnika! - wybuchnął śmiechem. - Na Boga, chciałbym ujrzeć jego minę, gdy uświadomi sobie, że ma do czynienia nie z flegmatyczną angielską panią, ale z prawdziwym wojownikiem! Bo pani taka jest, prawda?

Minęło sporo czasu, zanim spotkałam Todda Shannona i nic nie zapowiadało, że uzna mnie za godnego uwagi przeciwnika. Teraz miałam w Ameryce dwoje przyjaciół: Corinne Davidson i Elmera Bragga, bo nasz dziwny nieco związek przerodził się w pewien rodzaj przyjaźni. On jednak ruszył swoim tajemniczym szlakiem, o którym nie powiedział mi ani słowa, a ja szykowałam się do wyprawy do Nowego Meksyku, by odzyskać resztę mojego spadku.

Ani Corinne, ani jej ciotka Katherine nie zaaprobowały planu mojej samotnej podróży bez opiekuna.

- Chciałabym, abyś zaczekała na mojego syna - wyznała cicho Katherine Shannon. - Mark wiedziałby, co robić. Pewna jestem, że mój brat nigdy mi nie wybaczy, że puściłam cię samą przez ten straszny kraj, w którym roi się od Indian.

- Ale ja już się zdecydowałam - oznajmiłam łagodnie, lecz stanowczo. - Błagam panią, niech się pani o mnie nie martwi. Przywykłam do samotnych podróży i jestem pewna, że towarzyszyć mi będą inne osoby, więc nie będę całkowicie sama.

Corinne natomiast, dowiedziawszy się o moich planach, nie przebierała w słowach.

- Roweno, ty chyba postradałaś zmysły! - wypaliła. - Jesteś wystarczająco bogata, by podróżować z klasą; ja bym tak zrobiła na twoim miejscu. Nie mogę sobie wyobrazić, że masz zamiar przebrać się w te obrzydliwe, straszne stroje! Co więcej - dodała - wujek Todd nie znosi pospolitych kobiet. Powtarzał mi to ze sto razy. Miałam nadzieję, że przynajmniej ty utrzesz mu nosa! To taki arogancki, władczy mężczyzna - typ, jakich nie znosisz. Wydaje mu się, że kobiety istnieją tylko po to, by służyć mężczyznom. By ich zabawiać. Pamiętam, jak bardzo współczułam Flo, wiesz, jego pasierbicy. Dopóki jej nie poznałam!

Corinne zmarszczyła nos i na moment zmieniła temat.

- Gotowa byłam ją polubić, kiedy wujek Todd przysłał ją tu do szkoły. Wszyscy

szeptali o tym straszliwym skandalu i było mi jej żal, bo wiedziałam jak surowy jest wujek Todd. Zapraszaliśmy ją na herbatę, a ciotka Katherine spędzała z nią weekendy.

- I... - pośpieszyłam ją, udając zainteresowanie i pragnąc odciągnąć Corinne od moich planów.

- I wtedy przekonałam się, jaka jest! - Śliczna twarz Corinne poczerwieniała z emocji. - Nie wyobrażasz sobie, jaka to snobka! I flirciara. Przysięgam, w głowie jej byli tylko mężczyźni, opowiadała wyłącznie o bogactwie wujka Todda, o swoich koniach, o chłopcach, którzy tracili dla niej głowę. Żal mi było tego młodego Indianina, którego o mało przez nią nie powiesili. A potem poznała Dereka Jeffordsa, o wiele starszego od siebie, a że był bardzo bogaty, wujek Todd nie stwarzał przeszkód. A może po prostu chciał ją szybko wydać za mąż. Tak więc poślubiła biednego pana Jeffordsa i już na samym początku narobiła mu kłopotów. Potem wszyscy współczuliśmy tylko jemu. Nigdy go nie kochała. I chyba nigdy nie kochała nikogo, z wyjątkiem siebie! Przez jakiś czas uganiała się za Markiem, a później niespodziewanie zdecydowała się wyjechać do Nowego Meksyku, by odwiedzić tatusia, jak mawiała. Nie wiem, co opowiedziała wujkowi Toddowi, ale pozwolił jej zostać. Tak więc i z nią będziesz musiała konkurować. A Flo nie znosi konkurencji!

- No, ale jeśli pojawię się „w przebraniu”, jak to nazywasz, nie uzna mnie za rywalkę, prawda? - wyciągnęłam logiczny wniosek, ale Corinne obstawała przy swoim.

- Chcę, abyś była sobą! - jęknęła - Chcę, abyś dała jej nauczkę! I chcę, aby wujek Todd cię polubił. Będzie ci o wiele łatwiej, jeśli zyskasz jego sympatię!

- Nie mam zamiaru zyskiwać sympatii Todda Shannona. Będzie musiał zaakceptować mnie taką, jaka jestem, lub jaką się wydaję. Zrozum, Corinne, istnieją pewne powody, dla których to robię. Chcę poznać ludzi takimi, jakimi są naprawdę. Niech Todd Shannon i jego córka poznają mnie jako niepozorną, pozbawioną gustu kobietę. Kiedyś taka właśnie byłam. Być może, jeśli nie będą zwracać na mnie uwagi, poznam ich prawdziwe oblicze.

- Nadal uważam, że popełniasz błąd - oświadczyła Corinne, ale już mniej pewnym tonem.

Postawiłam jednak na swoim. Elmer Bragg wyjechał już w swoich sprawach, ale

obiecał spotkać się ze mną w Nowym Meksyku.

- Przy pierwszych spotkaniach musi pani sobie radzić sama - oznajmił. - Ja mam coś do załatwienia. To na razie tylko zamierzenie, ale może się uda.

Powinnam być mu za to wdzięczna, ale tymczasem układałam swoje własne plany.

Podczas długiej podróży do Nowego Meksyku miałam sporo czasu, by zastanowić się nad dalszym ciągiem opowiadania Bragga.

- Elena i Alejandro Kordes mieli trzech synów. Dwóch z nich wychowywali Apacze, ponieważ Elena wędrowała z Alejandro i jego *comancheros*. Przypuszczam, że kochała wolność i podróże. Ale trzeciego chłopca, Ramona, pozostawili u jezuitów w Mexico City.

- Ale dlaczego?

- A kto to wie? Może akurat tam się znaleźli podczas jego narodzin.

- A dwaj pozostali, starsi synowie?

- Ach, to dlatego ta wendeta nie miała końca! Julio, drugi syn był Apaczem i nie chciał opuścić plemienia, ludzi swego dziadka. Jego żoną jest kobieta z tego samego plemienia. Nie interesuje go ziemia. Bo i po co? Apacze to lud koczowniczy, są wojownikami. Ale Lucas, najstarszy, silnie związany był z rodzicami, zwłaszcza z matką. Przyłączył się do *comancheros*, tak jak jego ojciec, gdy miał dwanaście czy trzynaście lat. W wieku szesnastu lat zabił dorosłego mężczyznę, szybszy był od zawodowego rewolwerowca.

Pamiętam, jak przechyliłam się na krześle, głęboko zainteresowana jego słowami.

- Dlaczego go nie powiesili?

Bragg prychnął tylko z oburzeniem.

- Psiakrew! Niech pani pamięta, że to Zachód. Mówią, że to była uczciwa walka.

Ale już wtedy Luke Cord był jak błyskawica.

- Myślałam, że ich nazwisko brzmiało Kordes.

- Tak, i nic się nie zmieniło pod względem prawnym, ale nadali mu angielskie brzmienie, kiedy Alejandro zaczął rościć pretensje do swojej ziemi. Tak naprawdę nie chciał już więcej kłopotów, ale to Elena okazała się silniejsza, a poza tym nienawidziła Todda Shannona. Luke, cóż, w pewnym sensie działał w imieniu rodziny. Według prawa

Alejandro był banitą, ale wystąpili z oficjalnym roszczeniem w imieniu jego spadkobierców, jak twierdzili. Sąd odrzucił sprawę, choć pani ojciec wystąpił w ich obronie. A któregoś dnia Alejandro zginął w zasadzce na rancho SD. W tamtych stronach nazywają to „uderzeniem zza krzaków”. Oczywiście, pojawiły się plotki. Niektórzy twierdzili, że Todd Shannon wyznaczył nagrodę za głowę Alejandra. A potem Luke, który potrafił odczytywać ślady jak Indianie, którzy go wychowali, wziął prawo w swoje ręce. Pogalopował do Las Cruces i wywołał dwóch ludzi z SD. Miał dopiero siedemnaście lat, ale umiał obchodzić się z bronią, i zabił ich obu.

Historia detektywa Bragga zafascynowała mnie ze względu na mojego ojca. Wyglądało na to, że tamtego dnia był w Las Cruces i widział strzelaninę. A potem wystąpił przeciwko własnemu wspólnikowi, broniąc Luke'a Corda, zeznając w sądzie i przysięgając, że walka była uczciwa. Czy to dlatego, że Lucas Cord był synem Eleny? Czy mój ojciec nadal kochał tę kobietę?

Gdyby nie interwencja mojego ojca, Luke Cord - pół-Indianin i renegat, skończyłby na szubienicy. Na jego prośbę sędziego zwolnił warunkowo porywczego syna Eleny Kordes.

- I przyjął to poręczenie?

- Hiszpanie i niektórzy Indianie są fanatycznie honorowi - wyjaśnił Bragg. - Luke Cord zawdzięczał twemu ojcu życie, bo z pewnością by go zlinczowali. Potem już z nim pozostał.

- A reszta rodziny?

- Schronili się w górskiej dolinie. Nadal się tam ukrywają. To w krainie Apaczów, ale Indianie nie krzywdzą swoich krewnych.

- To wszystko brzmi jak powieść!

- Pierwsze porównanie było o wiele lepsze - zauważył cierpko Bragg. - Tragedia grecka.

Słuchając jego słów, wyobrażałam sobie minione wydarzenia. Mój ojciec, samotny, zgorzkniały mężczyzna. Hulaka i uczonego. Odludek do momentu, kiedy przeznaczenie i własne poczucie sprawiedliwości zbliżyło go do młodego, posepnego zabójcy, pół-Indianina i analfabety.

A jednak ojciec zdołał zyskać szacunek Luke'a Corda. Na czas jakiś zaniedbał nawet pisanie dzienników, by zająć się jego edukacją. Nie rozmawiał ze swym współnikiem, który nazwał go zdrajcą i szpiegiem. Todd Shannon miał mu za złe tę „dobroduszną interwencję”.

Wszystko mogło potoczyć się inaczej. Dziki i niebezpieczny Luke Cord stałby się innym człowiekiem, gdyby nie Flo. Flo Shannon. Ta sama młoda kobieta, której tak bardzo nie cierpiała Corinne.

Miała wtedy piętnaście lat. Blondynka o pełnych kształtach, niepoprawna flirtiar-ka, o której względy ubiegała się połowa młodych kowbojów z rancza SD. Ale z nich wszystkich upodobała sobie celowo tylko jednego i na nim ćwiczyła swe sztuczki. Lucas Cord był dla niej zakazanym owocem. Pół-Indianin, były wyrzutek, chłopak, który zastrzelił dwóch dorosłych mężczyzn, nazbyt dojrzały jak na swój wiek.

Nikt nie rozumiał, co kierowało tą dziewczyną. Chyba nie zdawała sobie sprawy, że nie flirtuje z żółtodziobem. Bo w tym przypadku Flo Shannon igrała z ogniem.

Nawet Bragg przyznał niechętnie, iż nikt nie wie, co się naprawdę wydarzyło tamtego dnia.

Flo zabawiała się swymi zalotnikami, obiecując im spotkanie w umówionym miejscu, by się tam później nie pojawić; zawsze znalazła jakąś wymówkę. Zapracowany ojciec nie poświęcał jej wiele czasu, matka już dawno nie żyła. Flo miała swe własne konie, robiła co chciała i nikt nie zwracał uwagi na jej ciągłą nieobecność w domu.

- Spotykali się w opuszczonej chacie przy torach. Nikt nie wiedział, jak długo to trwało, choć Flo przysięgała, że kończyło się na rozmowach i pocałunkach. I być może nic by się nie stało, gdyby pozostali zalotnicy nie nabrali podejrzeń co do jej nagłego chłodu. Wygląda na to, że cała ich gromada - wszyscy z SD - doszli pewnej nocy do porozumienia i następnym razem postanowili śledzić Flo.

- A potem?

Bragg wzruszył ramionami i odniosłam wrażenie, że po raz kolejny wpada w zły humor, bo nie zna dokładnych faktów.

- Było ich sześciu. Zauważyli konie przywiązane na zewnątrz chaty i byli przekonani, że słyszą krzyki Flo. Oczywiście, to wiem na pewno, wpadła potem w histerię.

Oczywiście wyobraźni zobaczyłam kolejne sceny. Flo Shannon, rozpaczającą ze strachu i w hysterii, sześciu kowbojów z SD z trudem odwracających wzrok od jej półnagięgo ciała. Gwałt budził powszechną odrazę, zwłaszcza jeśli chodziło o białą kobietą i pół-Indianina.

Kowboje zapomnieli o ostrożności, nie przypuszczając, że Luke Cord, wciąż na zwolnieniu warunkowym, będzie miał przy sobie broń. Salwując się ucieczką, zabił dwóch wybawców Flo, ale zamiast kryć się w górach, zrobił coś, co zaskoczyło wszystkich. Pojechał prosto do Guya Dangerfielda. Mój ojciec przekonał go, by się poddał, sam zawiózł go do miasta i pozostał tam, by nie doszło do linczu.

- Gdyby Todd Shannon się uparł - zachmurzył się pan Bragg - nie doszłoby do procesu. Ale pani ojciec nie dał się zastraszyć. Był chyba jedynym człowiekiem, który nie bał się Shannona, nawet kiedy Todd wpadał w dziką furję. Nie było mnie podczas ich spotkania, ale pani ojciec posłał po mnie, bym miał wszystko na oku. Było nas tylko dwóch. Zorganizowaliśmy ochronę więzienia, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tak po raz pierwszy spotkałem się z Cordem.

Przerwałam mu, nie mogąc opanować ciekawości.

- Jaki był? Czy mój ojciec nadal mu ufał?

Zastanowiłam się, czy to z powodu Eleny, czy wciąż ją kochał.

- Luke Cord? Nawet wtedy, gdy był młodym mężczyzną, trudno było odgadnąć jego myśli. Prawie nigdy ze mną nie rozmawiał. Pamiętam, że przez cały czas pobytu w więzieniu w Socorro siedział tylko i wyglądał przez okno. Nie bał się, choć dobrze wiedział, że prawie wszyscy w mieście żądni są jego krwi. Ponury, zgorzkniały młodzieniec. I nawet wtedy widziałem w nim tylko chłopca. Zachowywał się jak Indianin, a nie jak biały; tłumił wszystko w sobie, nie pokazywał swych uczuć, nawet na procesie...

Bragg uczestniczył w procesie, podobnie jak mój ojciec. Aby zapewnić Luke'owi Cordowi uczciwy proces, ojciec mój sprowadził sędziego federalnego aż z Taos. Hojnie opłacił też zręcznego adwokata z San Francisco. Nie pojawiła się tylko Flo Shannon. Ojczym wysłał ją do szkoły w Bostonie, ale jej oświadczenie złożone pod przysięgą odczytano w sądzie. Los Luke'a Corda został przesądzony.

- Twierdziła, że rozumiała, jakim był mężczyzną. Lubiła flirtować i nie wyobrażała

sobie młodzieńca, którego nie mogłaby usidlić. Tak, miała zakaz wyjazdów do domu Dangerfielda wówczas gdy przebywał tam Luke, ale spotkali się przypadkowo, kiedy jej koń zgubił podkowę. Zaintrygował ją, bo w niczym nie przypominał młodych ludzi, z którymi przebywała. Nie zwracał na nią uwagi, traktując jak dziecko. To znaczy, na początku. Potem... przysięgała, że go nie prowokowała. Twierdziła, że jego zachowanie przerażało ją, próbowała przerwać tę znajomość, ale zmusił ją do kolejnego spotkania, grożąc rozmową z ojczymem. A później obrzucił ją wyzwiskami i powalił na ziemię, dodając, że sama o to prosiła. Na jej szczęście w chacie pojawili się kowboje. Lucas Cord, z ponurą miną i zaciśniętymi ustami, zaprzeczył jakoby Flo wzywała pomocy.

- Przeraziła się i zaczęła wrzeszczeć, kiedy wpadli do chaty ci kowboje.

„- A więc zaprzeczasz, że siłą próbowałeś pojąć tę młodą, niewinną dziewczynę? Ośmielasz się zrzucić całą winę na nią?” - grzmiał oskarżyciel.

„- Nawet nie próbuję nikogo oskarżać. To pana zadanie. Przypuszczam, że powiedziała to, co musiała powiedzieć”.

Odmówił dalszych wyjaśnień dotyczących jego związku z Flo Shannon, a obrońca szybko dodał, że jego klient sądzony jest za morderstwo, a nie za gwałt.

Luke oświadczył, że zabił tych ludzi w samoobronie. Przechwalali się, że zatłuką go na śmierć, a dziewczyna będzie świadkiem tego widowiska. Dwaj z nich chwycili go za ramiona, a pozostali okładali pięściami.

„- Mimo to, udało ci się wyrwać? I wyciągnąć pistolet?”

To pytanie zadał sam sędzia w czarnej todze.

„- Udałem, że tracę przytomność” - Luke Cord popatrzył śmiało na sędziego wyzywającym, zimnym wzrokiem. - „Nie miałem przy sobie broni. Wyrwałem pistolet Charlie'emu Dalesowi”. - Oskarżyciel poderwał się z miejsca z pogardliwą twarzą i wyciągnął palec.

„- Czy mamy uwierzyć, że pobity do nieprzytomności, zdołałeś chwycić pistolet, zabić dwóch ludzi i ranić dwóch pozostałych?” - Luke Cord, z trudem tłumiąc gniew, wykrzyknął zjadliwie:

- Nie błagam was, byście mi uwierzyli. Mówię tylko, jak było.

Pan Bragg opowiadał mi tę historię tonem pełnym szacunku.

- Nie zmienił swego zeznania, choć próbowali go złamać, wyśmiewając się z jego pochodzenia, insynuując, że coś go łączyło z białą kobietą. Rzucił im prosto w twarz, że nie muszą mu wierzyć, choć chyba wiedział, że tłum na sali sądowej żądny był jego krwi. Wszyscy spodziewali się, że przerażony błagać będzie o litość, więc jego postawa wywołała oburzenie. Od stryczka uratował go tylko autorytet pani ojca, który choć nie pysznił się bogactwem i koneksjami jak Todd Shannon, miał reputację człowieka prawego i uczciwego. To teraz taki rzadki towar w Nowym Meksyku!

- I co dalej?

- Pani ojciec był przyjacielem gubernatora okręgowego i sędzia nie miał ochoty z nim zadzierać, zwłaszcza że Luke Cord nie skorzystał z możliwości ucieczki i poddał się dobrowolnie, by dowieść swej niewinności. Ale widzi pani, lady Roweno, nie zapomniano o poprzednich morderstwach, a Todd Shannon rzucał tylko groźne spojrzenia. Sąd przysięgłych wydał wyrok skazujący. To byli lokalni farmerzy, chłopci i kupcy, żaden z nich nie śmiał wystąpić przeciwko Toddowi Shannonowi. Luke Cord jest pół-Apaczem, przez Apaczy wychowany, a wszyscy nienawidzili Indian. Pani ojciec liczył na uniewinnienie, Todd Shannon pragnął egzekucji. Sędzia poszedł na kompromis. Skazał Luke'a Corda na dożywotnie więzienie, a dla człowieka przywykłego do wolności w górach to gorsze niż szubienica. Ludzie słysząc taki wyrok wpadli w szal. Pamiętam, z jaką uwagą przyglądali się jego twarzy, w nadziei, że się załamie. Ale on przypominał kamienny posąg, najmniejszy mięsień nie zdradził jego prawdziwych emocji.

- A więc poszedł do więzienia? A ja myślałam...

- ...że jest na wolności? - Bragg kiwnął poważnie głową. - Tak, to prawda. Wysłali go do Alcatraz - więzienia federalnego w Kalifornii, na diabelską wyspę. Ale potem, po roku, wybuchła wojna między stanami. I tak Luke Cord wy dostał się z więzienia. Był wolnym człowiekiem, zwolnionym pod warunkiem, że będzie służył jako zwiadowca unionistów na Południowym Zachodzie. Jak na ironię i Todd Shannon przyłączył się do konnej formacji wywiadowczej Terry'ego, walczącej dla Południa, podczas gdy pani ojciec zarządzał ranczem.

Intrygowała mnie przemoc i minione zdarzenia, przeszłość, którą musiałam zrozumieć, by poradzić sobie z terażniejszością. Początkowo fascynował mnie Todd Shannon,

teraz myślałam o Lucasie. Dziki mężczyzna, morderca, a może i gwałcieciel. Ale mój ojciec uwierzył mu, ja zastanawiałam się dlaczego. Dlatego, że był synem Eleny, czy dlatego, że naprawdę stał się ofiarą niesprawiedliwości?

Łatwo było stawiać sobie takie pytania, ale odpowiedź na nie miałam znaleźć dopiero po przyjeździe do Nowego Meksyku. Co tam mnie czeka? Z pewnością niezbyt ciepłe przyjęcie, bo Todd Shannon, zmuszony teraz do prowadzenia ze mną interesów, już od samego początku czuł się dotknięty moim pojawieniem. Mark Shannon, jego bratanek i syn tej samej pani Shannon, która była tak miła podczas mego pobytu w Bostonie, pozostał nieznaną postacią. A co z Flo Jeffords z domu Shannon, która porzuciła starego, bogatego męża i wróciła do Nowego Meksyku? Jaką kobietą się okaże, jak zareaguje na mój przyjazd?

Poczułam dreszczyk emocji. Wyzwanie, jak kto woli. Wszyscy ci ludzie, o których tyle słyszałam, ich wzajemnie powiązane losy. Czy mój przyjazd zadziała jak katalizator? Czy tego pragnął mój ojciec?

Rozdział 5

Choć pograżyłam się na dobre w rozmyślaniach i planach, podróż do Nowego Meksyku zdawała się nie mieć końca. Koleją dotarłam aż do Kolorado, ale tam zaczęły się niewygody, gdyż musiałam przesiąść się do dyliżansu. Od tamtej chwili zaczęłam doceniać moje „przebranie”, jak to, rozpaczając, określiła Corinne, bo wytarty strój znacznie lepiej nadawał się do takiej podróży niż drogie suknie. Pudła z odzieżą jechały osobno. Przy sobie miałam tylko kufer i walizkę. Szybko doceniłam i ten fakt, kiedy zorientowałam się, ile przystanków nas czeka i ile razy będę zmieniać dyliżanse.

Do Santa Rita dotarliśmy przed południem, a moja czarna suknia podróżna wilgotna była od potu. Z wysoką stójką i długimi rękawami nie pasowała do tego gorącego klimatu, choć przypomniałam sobie, że tak właśnie ubierałam się w Indiach, gdzie było jeszcze upalniej i parniej.

Podróżowałam jednak od wczesnego ranka i przypuszczam, że wyglądałam dość mizernie. Ciemne okulary chroniły moje oczy przed oślepiającym blaskiem. Tak prezen-

towałam się podczas przyjazdu do Anglii, tylko wewnątrz nie byłam już tą samą osobą.

Gruby komiwojazer siedzący naprzeciwko mnie od Santa Fe i rzucający mi od czasu do czasu ciekawskie spojrzenia pomógł mi wysiąść z dyliżansu. Czekać na wyładunek mojego kufra, rozejrzałam się dokoła.

Santa Rita było małym, hałaśliwym miasteczkiem górniczym, podobnym do mijanych po drodze. Nie brukowane ulice pokrywała gruba warstwa pyłu, po obu stronach wznosiły się budynki - drewniane lub z nie wypalanej cegły - w stylu hiszpańskim. Nie dostrzegłam nic niezwykłego, prócz tłumu ciekawskich czekających na przyjazd dyliżansu.

Zauważyłam wielu Meksykanów i białych, kilku żołnierzy w błękitnych mundurach, a nawet Indian w *ponchos*.

Nagle usłyszałam, jak jeden ze współpasażerów zwraca się do drugiego:

- Hej, czy widzisz ten komitet powitalny? Niech mnie piekło pochłonie, jeśli to nie Todd Shannon we własnej osobie.

W mgnieniu oka doszłam do wniosku, że pani Shannon spełniła groźbę i wysłała telegram do swego syna.

Miałam jednak okazję przyjrzeć im się baczniej, zanim odkryli, kim jestem.

Wydało mi się, że rozpoznaję Marka Shannona - przystojnego, młodego blondyna, z twarzy przypominającego matkę. Tuż za nim, na koźle, siedziała wyjątkowo piękna blondynka z parasolką w dłoni. Flo Jeffords? Jej suknia podkreślała zmysłowo kształtną figurę, ale usta wyrażały wyraźne rozdrażnienie. Z pewnością rażące słońce wyprowadzało ją z równowagi. Nadąsana, odwróciła się do mężczyzny siedzącego na koniu obok powozu i szepnęła mu coś do ucha.

Ale kiedy odszukałam wzrokiem właśnie jego, nic nie było w stanie zakłócić mojej uwagi. Był mężczyzną, który przyciągał uwagę każdego. Jak to określiła go Corinne? „Wielkolud o włosach blond”.

Tak, ale minęło wiele lat, a ja wyobrażałam go sobie inaczej. Był współnikiem mojego ojca, ale czas potraktował go niezwykle litościwie, bo wciąż przypominał młodego człowieka! Tylko na skroniach rudawe włosy pokrywała lekka siwizna. Miał ostre rysy, wąskie usta i duży, orli nos. Teraz zrozumiałam, dlaczego Corinne przekonywała mnie,

że kiedy jej wuj idzie ulicą, zwraca na siebie uwagę wszystkich kobiet. Biła z niego pewność siebie, arogancja, której nie znosiłam, a jednak patrzyłam na niego z podziwem. A więc to był mój wspólnik!

Todd Shannon ubrany był w zwykły strój do konnej jazdy, a u biodra zwisał mu rewolwer w kaburze. Zacisnął wąskie usta pod sumiastymi płowymi wąsami i zwrócił się do swojego bratanka. Jak się spodziewałam, słysząc go było na odległość.

- Mówiłeś, że na pewno tu przyjedzie, Mark! Na co, u diabła, czekamy? Zmęczyło mnie wyczekiwanie na te przekłete dyliżanse!

Biedny Mark Shannon zmieszał się.

- Ależ wujku Todd! Mama napisała tylko, że lady Rowena opuściła Boston i że powinna się tu dziś pojawić. Nie wiemy, czy zatrzymała się gdzieś po drodze.

- Mogłaby nas zawiadomić, co?

- Tato, czy możemy schować się gdzieś przed tym słońcem? Wszyscy już wysiedli...

Doszłam do wniosku, iż Flo Jeffords należy do kobiet, które nie znoszą sprzeciwu.

W tym momencie woźnica - siwy, usłużny człowiek - który kłął jak szewc na zakrętach, podał mi mój kufer.

- Proszę, panienko. Ale potrzebna będzie pani jakaś pomoc. Czy mam znaleźć kogoś, kto zanieśie to do hotelu?

Już wcześniej zaobserwowałam, że większość tych brutalnych mężczyzn z Zachodu traktuje kobiety niezwykle uprzejmie, niestety Todd Shannon miał się okazać pod tym względem wyjątkiem!

Życzliwa oferta woźnicy przyciągnęła uwagę Shannona, ale omiótł mnie tylko wzrokiem i odwrócił się z wyraźną pogardą.

- Dziękuję - rzekłam głośno. - Przypuszczam, że ktoś na mnie czeka, choć nie pomyślałam o wysłaniu telegramu.

Zdradził mnie angielski akcent, bo nagle trzy pary oczu spojrzały na mnie z mniejszym lub większym przerażeniem.

Todd Shannon wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu. Flo zakryła twarz ręką, dusząc chichot lub westchnienie, i tylko Mark Shannon wykazał zimną krew, zeskoczył z

powozu i podszedł do mnie, zdejmując melonik.

- Proszę mi wybaczyć, ale czekamy na lady Rowenę Dangerfield. Czy przypadkiem...

Wyciągnęłam od niechcienia dłoń.

- Jak to miło! Pan Mark Shannon? Matka często opowiadała o panu.

Poczułam niemal mściwą satysfakcję, widząc twarz Todda Shannona i jego zielone oczy zamieniające się w sople lodu. Nie zszedł z konia, tylko śledził mnie wzrokiem.

- Pani jest córką Guya?

Parsknęłam sztucznym śmiechem.

- Cóż! Taką mam nadzieję! W przeciwnym razie by mnie tu nie było.

- Zajmę się pani kufrem i walizką. Przepraszam, że nie rozpoznaliśmy pani wcześniej...

Mark Shannon wykazał wiele taktu, ale Todd Shannon zacisnął usta i wypalił:

- Nie przypomina pani Guya. - Zmarszczył brwi. - I nie takiego stroju się spodziewałem. - Wbił we mnie lodowate spojrzenie. - Myślałem, że Guy przesłał pani trochę pieniędzy.

- Wujku Todd!

Kiedy usłyszałam oburzony głos Marka Shannona, oblał mnie paśowy rumieniec.

- Panie Shannon, jeśli ma pan jakieś wątpliwości co do mojej tożsamości, pomogę je panu rozwiązać, kiedy opuścimy ulicę! Ale tymczasem nie będę ukrywać, że jest pan bardziej nieokrzesany i grubiański niż tego oczekiwałam!

Flo Jeffords jęknęła, otwierając szeroko niebieskie oczy, a Todd Shannon mruknął pod nosem:

- To ci dopiero charakterek! Ale zgadzam się co do jednego - to nie miejsce na tego rodzaju dyskusje. Mark, zaprowadź panią do hotelu, a ja zajmę się resztą. Madam...

Niedbale dotknął kapelusza i zawrócił konia, a ja starałam się opanować wzbierającą wściekłość, która na kilka sekund odebrała mi mowę.

Mark Shannon zaprowadził mnie do powozu, a ja prawie nie dostrzegałam jego niezręcznych przeprosin. Kiedy przedstawił mnie Flo Jeffords, skinęłam sztywno głową, a ona nie kryła swego zaciekawionego spojrzenia.

- Proszę nie zwracać uwagi na papę! On już taki jest. Zawsze mówi, to co myśli, i doprowadza ludzi do szału. Na litość boską! - zachichotała nerwowo. - Całkiem inaczej sobie siebie wyobrażaliśmy! Wiesz...

Mark Shannon zręcznie wtrącił się do rozmowy.

- Flo chce powiedzieć, że przeczytała zbyt wiele romansów! Ostrzegałem ją, że Angielki nie paradują na codzień w tiarach, nie noszą lorgnonów. Raz jeszcze przepraszam za tę bezpodstawną nieuprzejmość mego wuja. Myślę, że czasami celowo szokuje ludzi i obserwuje ich reakcję.

Wojna między Toddem Shannonem a mną była od tej chwili przesądzona. Wielogodzinna podróż wyczerpała mnie nerwowo, ale nie miałam zamiaru poddać się kolejnym prowokacjom.

Gdy dotarliśmy do hotelu, okazało się, że Shannon wynajął prywatny pokój, kiedyś z pewnością była to sypialnia, i przekształcił go w prywatną salę konferencyjną dla biznesmenów.

Nie pofatygował się nawet, by poczekać na nas w recepcji. Wchodząc po schodach z Markiem Shannonem i jego kuzynką powoli odzyskiwałam zimną krew, ale kiedy weszłam do pokoju i zastałam mojego nowego współnika siedzącego na stole z butelką whisky i pełną szklanką, moje opanowanie było już przeszłością.

Zignorowałam go i zwróciłam się do wyraźnie speszonego Marka:

- Czy on zawsze jest tak nieokrzesany? A może chce się mnie tylko pozbyć, udając prostaka?

- Ja... ja naprawdę nie... - Mark jąkał się niezręcznie, gdy usłyszeliśmy prowokacyjne parsknięcie.

- Ha! Dlaczego nie zapytasz jej, czy zawsze ubiera się jak stara panna, w suknie, które nie są warte więcej niż kilka dolarów. Co z tobą, panienko? - Usadowił swe wielkie cielsko na krześle i popatrzył na mnie przymrużonymi oczami. - Czy my, prości ludzie z Zachodu nie jesteśmy godni oglądać twoich delikatnych, angielskich sukien?

Wolno śledziłam go wzrokiem. Na tego mężczyznę powinnam uważać. Z całą pewnością Todd Shannon nie był głupcem!

- To chyba nie pański interes, w jakim stroju podróżuję, panie Shannon! Ale na po-

czątek wyjaśnijmy sobie parę spraw.

Mark szybkim ruchem podsunął mi krzesło, a ja dostrzegłam Flo Jeffords siedzącą w kącie pokoju i nerwowo zagryzającą usta.

Todd Shannon nie spuszczał ze mnie wzroku, a było w tym coś tak bezczelnego, że musiałam głęboko wciągnąć powietrze, by opanować drżenie głosu.

- A więc? - wycedził.

- Więc... - powtórzyłam i oparłam się o krzesło, patrząc na niego równie zuchwałym wzrokiem. Nie spodobało mu się to, więc szybko wykorzystałam przewagę. - Obawiam się, panie Shannon, że musi się pan pogodzić z faktem, że potrafię myśleć samodzielnie, więc ubieram się tak, jak mam na to ochotę i postępuję tak, jak uważam za stosowne. Mój dziadek, który mnie wychował, wierzył w edukację kobiecego umysłu i kształtowanie charakteru, panie Shannon. Nauczył mnie, że droga do sukcesu nie zależy od pięknych strojów czy mizdrzenia się przed lustrem. A jeśli chodzi o pieniądze, które zostawił mi ojciec, to wydawanie ich na drogie suknie i klejnoty pozbawione jest sensu! Dlaczego mam je zmarnować? Pewna jestem, że lepiej wykorzystam swój majątek, na przykład pomagając innym, pokrzywdzonym przez los. I niech mnie pan nie ocenia tak nisko, bo nie brakuje mi zdrowego rozsądku.

Słuchając moich słów, wbił we mnie pełen niewiary wzrok. Kiedy skończyłam, zaklął i walnął pięścią w stół, przewracając butelkę.

- Na Boga! Samarytanka! Niech mnie diabli wezmą, jeśli córka Guya nie jest misjonarką! - Parsknął krótkim śmiechem i zwrócił się do Marka. - Słyszałeś? Wkrótce będzie chciała nawracać te indiańskie psy. I to... - walnął ponownie pięścią - to jest moja współniczka! Coś pani powiem i niech to pani sobie zapamięta! To ja prowadzę SD, bo ja doprowadziłem je do świetności i żadna kobieta nie będzie się wtrącać do mojego rządu! Jeśli chce pani wydawać pieniądze na cele dobroczynne, niech pani wybuduje kościół lub coś w tym rodzaju... miejski kaznodzieja pewnie potrzebuje wsparcia... ale mnie nie będzie pani pouczać...

- Niech pan na mnie nie krzyczy! - oznajmiłam z lodowatą miną. - Świadoma jestem swych praw. Wszystkich. Nie ma w nich mowy o uleganiu pańskim pogrożkom. Dlaczego - dorzuciłam słodkim i spokojnym tonem - nie spróbuje pan ponownie obalić

testamentu mego ojca? Nie przypuszczam, żeby tym razem mógłby pan coś osiągnąć. Pewna jestem, że tutejsi mieszkańcy, którzy znali mego ojca, nie zaakceptowałyby faktu, że jego spadkobierczyni traktowana jest niewłaściwie przez jego współnika. Bycie kobietą ma swoje dobre strony.

- Nie brakuje pani tupetu, co?

- Przekona się pan, że w pojedynku na słowa mogę pana zapędzić w kozi róg, nawet jeśli mówię ciszej - odpaliłam.

Mark, który do tej pory słuchał w milczeniu, pochylił się nad stołem i rzekł:

- Wujku Todd! Wiesz, że lady Rowena ma rację! A ponieważ jesteście współnikami, może znajdziecie jakiś kompromis? Waśnie i spory oznaczać będą koniec SD. Tutejsze sępy tylko czekają, aby coś skubnąć, nie mówiąc o innych zainteresowanych stronach - dodał ze śmiertelną powagą.

- Do diabła z nimi! - warknął Todd Shannon, ale słowa Marka zrobiły na nim wrażenie.

- Panie Shannon, nie lubię pana bardziej niż pan mnie. Chcę być praktyczna, ale jeśli ma pan ochotę wdawać się ze mną w kłótnie tylko dlatego, że mój ojciec zostawił coś swemu jedynemu dziecku, nie będę mieć dla pana cienia szacunku, uznając, że jest pan człowiekiem małostkowym i chciwym. Chce pan wojny, proszę bardzo, ale wkrótce się pan przekona, że niczego się nie boję.

- A więc to tak! - Odsunął krzesło i lustrował mnie spod ściągniętych brwi. Nagle parsknął chrapliwym śmiechem. - Jest pani bardzo bystra, mimo tego wyglądu misjonarki czy starej panny. Możemy się spierać, ale nie mogę sobie pozwolić na pogłoski, że Todd Shannon zwalcza swą partnerkę, córkę najlepszego przyjaciela. Tak, i z Guyem też mieliśmy swe sprzeczki... - Zmarszczył czoło. - Wygląda na to, że jesteśmy na siebie skazani, co? Nie wyobrażam sobie, że się pani tu spodoba, ale na razie...

- Wyrosłam w Indiach - rzuciłam stanowczo. - Klimat jest tam o wiele gorszy, warunki prymitywniejsze, a Hindusi tak samo dzicy jak tutejsi Indianie. Ale przynajmniej tam obowiązywały zasady gościnności.

Po raz pierwszy oblał się rumieńcem.

- Na Boga, ale cięty język! No, ale chyba sobie na to zasłużyłem. Muszę być z pa-

nią szczerzy, nigdy nie chciałem kobiety za współnika. Ale przez wszystkie te lata była pani dla Guya całym światem, choć mnie się nie podobało, że nie napisała pani nigdy ani słowa.

- Zabrano mnie do Indii, kiedy byłem niemowlęciem, panie Shannon, a gdy wróciłam do Anglii, pojęcia nie miałam, gdzie przebywa mój ojciec i czy pamięta o moim istnieniu. W Bostonie dowiedziałam się, że zmarł, a pan przekonał mnie, że nie jestem tu mile widziana. Ale brzydka kobieta ma przewagę nad kobietą piękną. Potrafi wykorzystywać swój umysł i walczyć o swoje.

Rzucił mi ukradkowe spojrzenie.

- Przyznać muszę, że jest pani bardzo zdecydowana! Pierwsza kobieta, która przyznaje, że jest brzydka. Zastanawiam się... - przechylił głowę i spojrzał na mnie krytycznie. - Piękne oczy już bez okularów. Długie rzęsy, gładka skóra...

- Panie Shannon, proszę! Niech mnie pan nie rozczarowuje tymi tanimi komplementami, bo dobrze wiem, jak wyglądam. Bardziej cenię sobie uczciwość i będę szczęśliwa, jeśli przestanie mi pan przypominać, że jestem kobietą, a zacznie dostrzegać mój umysł!

- O, Jezu! - Todd Shannon prychnął z pogardą. - Człowiek sili się na uprzejmość, a tu go jeszcze besztają. Dobrze, panienko, jak pani sobie życzy. Zapomnę, że mam do czynienia z kobietą i jeśli nie zmieni pani stroju w tym klimacie, nie będzie to trudne!

- Przykro mi, że nie podoba się panu mój styl, ale chyba musi pan się z tym pogodzić - oświadczyłam ze sztuczną przesadą, ciesząc się w duchu z jego zdenerwowania.

Nie próbowałam nawet analizować swych reakcji i emocji względem tego aroganckiego i wyniosłego człowieka.

Po oficjalnej i dość nieprzyjemnej kolacji w odrapanej restauracji hotelowej rozstaliśmy się chłodno. Ruszyłam do swojego nowego domu pod eskortą Marka Shannona i kowbojów z rancza SD. Todd Shannon, uwolniony na moment od mojej osoby, powrócił na swą posiadłość.

Bez przekonania zapraszał mnie do siebie, ale zdecydowanie odrzuciłam jego ofertę. Potrzebowałam odrobiny samotności na rozmyślania.

- Przez tydzień chciałabym pozostać sama - zakomunikowałam stanowczo. - Czuję

się wyczerpana po podróży i marzę o wypoczynku. Chcę też w zaciszu poczytać dzienniki ojca i zastanowić się nad życiem na ranchu w Nowym Meksyku.

- Jak pani sobie życzy, panienko! Im dłużej, tym lepiej!

Wzruszyłam ramionami na tę złośliwą uwagę. Przyjdzie czas, że tego pożałuje. Czas, kiedy nie będzie mógł mnie unikać. Być może Todd Shannon był sprytnym, zaradnym, aroganckim i władczym człowiekiem. Ale był przede wszystkim mężczyzną. Teraz, kiedy patrzę w przeszłość, pamiętam swoją pewność siebie. Byłam równie wyniosła jak Todd Shannon!

RS

Część druga

Dziedzictwo

Rozdział 6

Kolejne dwa tygodnie należały do najspokojniejszych i w pewien sposób najbardziej wartościowych dni mojego życia. Łagodne interludium jak most łączące dwa okresy mojej egzystencji.

Nie robiłam właściwie nic. Czytałam. Leniuchowałam. Jadłam, kiedy miałam ochotę i kładłam się spać, kiedy chciałam, nie zapominając też o popołudniowej sjeście. Od czasu do czasu dosiadałam konia - zwinną klacz arabskiej krwi, ale nigdy nie odjeżdżałam daleko, gdyż Marta - gospodyni mego ojca, ostrzegała mnie przed czyhającym niebezpieczeństwem. Nie chciałam narażać się na kłopoty. Potrzebowałam wypoczynku i trochę rozrywki.

Ta część Nowego Meksyku przypominała mi Indie. Bez trudu przystosowałam się do upalnych dni i chłodnych nocy, do płonącego, oślepiającego słońca, które raziło mnie w oczy.

Dom ojca wybudowany został z ziemi i piasku, podobnie jak wszystkie domy Hiszpanów osiedlających się kiedyś na tych terenach. Nie wypalana cegła, bielona na zewnątrz, odbijała promienie słoneczne, a wielkie, potężne belki wystające ze ścian podtrzymywały całą konstrukcję. Dom miał dwie sypialnie, jedna z nich sąsiadowała z zamkniętym dziedzińcem - patio. Tam spędzałam większość czasu. Ojciec zbudował system nawadniający, wykorzystujący wodę ze strumienia wpadającego do urwistego kanionu kilka mil od domu. Woda przepływała przez szczelinę w jednej z grubych ścian i wpadała do małej sadzawki na dziedzińcu. Rosły tam dwie wierzby, po ścianach pięło się dzikie wino, a w jednym rogu stała kolekcja miniaturowych kaktusów.

Jeśli zmęczyło mnie opalanie na patio, wspinałam się na płaski dach, okolony ni-

skim na trzy stopy murem, korzystając z zapadowych drzwi w mojej sypialni.

Marta, kiwając przepaszająco głową, wyraziła nadzieję, że ten dom nie okaże się dla mnie zbyt mały. Nawet w dziesiątej części nie był tak duży jak *palacio* señora patrona, ale takie było życzenie ojca.

Marta była Metyską, żoną Julesa - czarnego kawalerzysty. Podczas wojny Jules odniósł wiele ran, a Marta pomogła mu wrócić do zdrowia. Jules nie mógł znaleźć żadnej pracy, więc ojciec zatrudnił ich oboje. - „A gdzie mieliśmy pójść? Moi najbliżsi mieszkają tuż przy granicy. Odwiedzam ich każdego roku. Jules nie mógł mnie nigdzie zabrać, bo byliśmy mieszanym małżeństwem. Bardzo chcieliśmy tu pozostać”. Wiedziałam jak wiernie służyli memu ojcu i gotowi byli poświęcić się dla mnie, kiedy zapewniłam ich, iż nie zamierzam wprowadzać żadnych zmian. Myślałam tylko o zatrudnieniu dziewczyny do kuchni, która pomagałaby Marcie.

- Może później - uśmiechnęła się Marta i spojrzała na mnie nieśmiało - Kiedy señorita zacznie przyjmować gości? Tych tu nie zabraknie.

Odwzajemniłam się uśmiechem.

- Zobaczymy - rzekłam.

Prawdę mówiąc, nie wybiegałam myślami w przyszłość. Teraźniejszość okazała się o wiele doskonalsza, czułam się jak jedna z tych jaszczurek wylegujących się na murach patio.

Nie miałam ochoty na zbyt intensywne myślenie, dlatego też odkładałam na potem lekturę dzienników ojca. Zamiast tego wypytywałam Martę i Julesa o tutejszy kraj i ludzi, z którymi miałam współpracować, opanowałam też lokalny dialekt hiszpański. Mój literacki hiszpański okazał się bezużyteczny, nikt by mnie tu nie zrozumiał! Nie mieli mi chyba za złe tych pytań. Jules był cichym, łagodnym mężczyzną o przedwcześnie posiwiałych włosach, ale Marta, pulchna i wiecznie uśmiechnięta, uwielbiała plotki i często w moim pokoju paplała z entuzjazmem, odkurzając meble.

Uszyła mi kolorowe spódnice o kwiecistych wzorach i chłopskie bluzki, jakie sama nosiła. Był to mój ulubiony strój, kiedy samotnie wygrzewałam się na patio.

- Ach, señorita musi uważać na słońce! - strofowała mnie. - To bardzo niebezpieczne. Ach, jaka szkoda! Gładka, mleczna skóra señority wkrótce będzie brązowa jak

moja!

- Nie zależy mi! - zaśmiałam się, ale byłam ostrożna opalając się wyłącznie wczesnym rankiem i późnym popołudniem. - My, Anglicy jesteśmy ekscentryczni, pomyślałam sobie, kiedy mimo wszelkich środków ostrożności moja skóra nabrała złocistej barwy.

Marta cmoknęła tylko i przygotowała specjalny płyn z maślanki, ale opalenizna nie zniknęła, dodając jedynie mojej bladej cerze złotego blasku.

Rozkoszowałam się chwilami całkowitej samotności i brakiem jakichkolwiek obowiązków. Dlaczego nie może być tak zawsze! Nikt za mną nie tęsknił, a i ja nie potrzebowałam nikogo.

Z pewnością Todd Shannon odetchnąłby z ulgą, a i Markowi dałam wyraźnie do zrozumienia, że potrzebuję trochę czasu tylko dla siebie.

- Nie będę nalegał - powiedział delikatnie, nie odrywając ode mnie wzroku. - Ale mam nadzieję, że wkrótce zacznie pani przyjmować gości. Trudno uwierzyć, jak może być tu nudno. Człowiek głupieje na tym bezludziu!

Biedak. Nic dziwnego, że tęsknił za Bostonem i jego rozrywkami. Niewątpliwie jego wuj okazał się niezłym tyranem. A może to Flo Jeffords nazywająca go kuzynem, choć nie łączyły ich żadne więzy krwi, odstraszała nieco tego niezwykle uprzejmego i przyzwoitego młodzieńca.

Nie mógł się doczekać kolejnego spotkania, ale w jakim stopniu to zniecierpliwienie zależało od faktu, iż byłam dziedziczką i współwłaścicielką rancza SD? Zbeształam się szybko za takie podejrzenia. Czyż nie obiecałam sobie wcześniej, że nie będę oceniać ludzi zbyt pochopnie? Nie, dam Markowi Shannonowi jeszcze jedną szansę. Przecież to jego matka była dla mnie taka gościnna.

Nadal tkwiłam więc w beczynności, ale podświadomie oczekiwałam przyjazdu Marka. Oczywiście, nie miałam zamiaru go przyjmować. Marta otrzymała wyraźne polecenia odprawiania każdego gościa, z wyjątkiem pana Bragga na którego czekałam. Ale jakim człowiekiem okaże się Mark Shannon, jeśli nie podejmuje nawet próby spotkania?

Zupełnie straciłam poczucie czasu. Ile dni już minęło, tydzień? Dwa? Moja opalenizna nabrała zdecydowanego brzoskwiniowego odcienia, a ja, niczym meksykańska

chłopka zaczęłam splatać włosy w dwa warkocze. Czy powinnam się przejmować własnym wyglądem? Tu nikt mnie nie widział.

Ale pewnego dnia, całkiem niespodziewanie, ktoś się pojawił.

Było późne popołudnie, kiedy pograżyłam się w lekturze dzienników ojca, w których opisywał swe młodzińcze lata i pierwsze spotkanie z Toddem Shannonem. Jakoś nie potrafiłam sobie wyobrazić tego grubiańskiego olbrzyma jako przystojnego, pełnego uroku młodzieńca. Z niemałym oburzeniem odłożyłam na bok oprawioną w skórę książkę. Nie chciałam psuć sobie wieczoru myślami o Toddzie Shannonie.

Ledwo przymknęłam oczy i wystawiłam twarz do zachodzącego słońca, kiedy usłyszałam jego głos. Donośny, arogancki i gniewny, zagłuszający protesty mojej biednej Marty.

- Nie chce nikogo widzieć, mówisz? Zejdź mi z drogi, kobieto i przestań do diabła jęczeć! Ze mną się zobaczy, jak mi Bóg miły!

Zanim zdążyłam wydusić choć jedno słowo, wpadł na patio. I miał czelność przeдрzeć się przez moją sypialnię!

- A więc tu jesteś! - wrzasnął groźnie, a ja rzuciłam mu tylko lodowate spojrzenie i popatrzyłam na Martę załamującą rękę.

- W porządku, Marto. Możesz odejść. Poradzę sobie z tym intruzem.

- Intruzem, tak? Coś ci powiem, lady Roweno Dangerfield. Ja nigdy nie ukrywam faktów, ani nie udaję kogoś, kim nie jestem! - Wodził po mnie wzrokiem, od bosych stóp po zaplecione warkocze, kiwając z pogardą głową. - Patrzcie, no! W tym stroju wyglądasz jak meksykańska wieśniaczka! Nie mogłem uwierzyć, kiedy jeden z chłopców powiedział mi, że widzieli cię pędzącą na koniu z rozpuszczonymi włosami, z opaloną twarzą. A potem Mark otrzymał list z Bostonu, gdzie wszyscy zachwycają się twoją urodą, pięknymi strojami szytymi przez jakiegoś Francuza, twoimi klejnotami.

- Niech pan przestanie na mnie krzyczeć! - Przyznaję, że straciłam panowanie nad sobą i podniosłam głos tak jak on. - Jak pan śmie wdzierać się do mojego domu, by mnie obrażać? Jakim prawem zadaje mi pan te pytania? Przypomnę panu coś, panie Shannon, co już wcześniej powiedziałam. Do pana należy połowa SD, pasierbica i bratanek, ale ja nie jestem pańską własnością! Niech pan nigdy nie próbuje krytykować moich strojów

ani tego co robię!

Krew napłynęła mu do twarzy i choć przez moment pewna byłam, że mnie uderzy, stałam nieruchomo z podniesionym czołem.

- Ty... słuchaj, panienko! Nie pozwolę się tak traktować przez taką smarkulę, współpraczkę czy nie, słyszysz?

- Jak mogłabym nie słyszeć, skoro pan tak wrzeszczy?

Obdarzyłam go pogardliwym spojrzeniem i jak chłopka oparłam dłonie na biodrach.

- Zastanawiam się, czy zdaje pan sobie sprawę, jak pan idiotycznie wygląda? Te wrzaski, te groźby! Co u diabła chce pan osiągnąć? Czy chce mnie pan przestraszyć? Jest pan głupim, małostkowym człowiekiem, panie Shannon! W innych okolicznościach te tanie pogrózki mogłyby mnie tylko rozśmieszyć.

- A więc ja cię rozśmieszam, ha? - syknął przez zęby i spuścił głowę jak rozjuszony byk. - Powiem ci coś, ty złośliwa jędzo. To jest świat mężczyzn i wcześniej czy później będziesz potrzebowała męskiej pomocy!

- A pan nazywa siebie mężczyzną tylko dlatego, że jest pan większy i potrafi głośniej krzyknąć?

Czy rzeczywiście byłam złośliwą jędzą? Gdybym tylko mogła, obdarłabym tego brutala ze skóry!

- Nie trzeba mi przypominać, że jestem mężczyzną, panienko! Natomiast ja mam poważne wątpliwości, czy ty jesteś kobietą. Na Boga, z takim językiem skończysz jak wysuszona, zgorzkniała stara panna!

- To lepsze niż małżeństwo z jakimś głupkiem, który będzie chciał zrobić ze mnie niewolnicę - odparowałam.

Zapomniałam o swojej godności, o obietnicy zachowania spokoju. Już podnosiłam rękę, by go spoliczkować, kiedy uprzedził mnie niespodziewanie.

- A więc udajesz, że nie lubisz mężczyzn, co? - mruknął ze swym irlandzkim akcentem, który zawsze ujawniał się podczas ataków wściekłości.

Chwycił mnie w ramiona, jakby chciał wymierzyć karę, i oto miotałam się bezsilnie przeciwko silnemu mężczyźnie.

- No to zobaczymy... - parsknął, a jego usta, te same wąskie, okrutne usta dotknęły moich.

Jego ramiona, ściskające mnie tak mocno, że nie mogłam złapać oddechu, twarde były jak skała. I, niech go diabli, jego pocałunek trwał chyba wieczność. Moja bezsilna szarpanina sprawiała mu chyba sporo radości, podobnie jak moje zduszone wybuchy wściekłości. Udowodnił mi tym moją bezsilność i za to go nienawidziłam. Nienawidziłam go, bo jego mistrzowskie pocałunki rozbudziły we mnie nieznane, uśpione doznania. Znosiłam pocałunki sir Edgara, ale wtedy nie czułam nic z wyjątkiem irytacji.

Ale Todd Shannon - o Boże, ten człowiek był przewrotny jak sam diabeł! Całował mnie ze złością, potem namiętnie i z udawaną czułością. Widział, co czuję, i rozkoszował się tym.

Zwykła desperacja podpowiedziała mi, co robić. Udałam, że mięknę w jego ramionach; zamknęłam oczy, przysunęłam się bliżej, a on zwolnił stalowy uścisk.

- Niech mnie diabli, jeśli pod tą bryłą lodu nie kryje się kobieta - wyszeptał, a ja słysząc tę radosną próżność zatrzęsłam się z gniewu.

Uwolniłam jedną dłoń i przeorałam paznokciami jego twarz, ciesząc się widokiem jego głupiego, zaskoczonego wzroku.

- Ty wielka małpo! Czy naprawdę myślałeś, że twoje pocałunki sprawiają mi przyjemność?

- Niech cię piekło pochłonie, ty zdracliwa dziwko! - Rozjuszony odtrącił moją dłoń, omal nie łamiąc mi nadgarstka, a kiedy uniosłam rękę, chwycił je z całej siły i wykręcił do tyłu, przyciskając mnie do siebie. - Jak każda mała dziwka, musisz nauczyć się, kto tu jest panem - burknął. - Cały czas mnie prowokowałaś, celowo się ze mną drażniłaś, ale teraz, jak mi Bóg miły, zapłacisz za to!

Ilekcóż próbowałam odwrócić głowę, wybuchał śmiechem i szarpał moje ręce, miażdżąc je niemal, a ja jęczałam z bólu, zaciskając usta. W końcu uległam, pozwalając mu na długi pocałunek; moje opuchnięte i posiniaczone usta same otworzyły się przed jego wibrującym językiem.

W jego niebieskozielonych oczach dostrzegłam purpurowe iskierki ostatnich promieni zachodzącego słońca. Podniósł głowę, ale tym razem nie silił się na śmiech.

- Niech to diabli, jesteś najsilniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem! I upartą! Co ja mam z tobą zrobić?

Nigdy wcześniej nie czułam się tak upokorzona, pod powiekami kręciły się łzy żalu i gniewu. Lepiej bym chyba zniosła brutalny gwałt, niż wspomnienie jego powolnych, wyrafinowanych pocałunków i moich doznań. Bo poczułam coś niezwykłego, i to było najgorsze.

- Możesz mnie już puścić - wydusiłam chrapliwym, niskim głosem. - A potem wy-
noś się stąd, jeśli zakończyłeś pokaz swej brutalnej siły.

- Dziewczyno, czy ty się nigdy nie nauczysz trzymać język za zębami? Moglibyśmy spróbować razem, ty i ja.

Nie dałam mu dokończyć.

- Czy dlatego, że mnie pokonałeś? A może dlatego, że chciałbyś na mnie ćwiczyć swe namiętności?

- Jak mi Bóg miły, za te słowa należy ci się porządne lanie! - warknął i parsknął krótkim, cierpkim śmiechem.

- Na co czekasz? Dziwię się, że jeszcze mnie nie zgwałciłeś!

- Aha, wygląda na to, że prosisz o jeszcze - wycedził, wodząc po mnie osobliwym wzrokiem.

- Boże, mam cię już dosyć! Może powinniśmy wreszcie zakończyć ten obrzydliwy epizod?

- Na tym nie koniec, Roweno, i dobrze o tym wiesz. Przyjechałem tu w złości i przypuszczam, że rozgniewałem cię. Może nie powinienem był tego robić. Ale, na Boga, to się już stało i coś między nami zmieniło się także. Jeśli przestaniesz zachowywać się jak uparta, zepsuta smarkula, przyznasz mi rację!

Oczywiście nie miałam takiego zamiaru. Bo i po co? Nigdy nie dałabym mu odczuć tej satysfakcji.

Kiedy Todd Shannon odjechał uniesiony gniewem, zapadła ponura cisza, a ja nie wydobyłam z siebie ani jednego słowa. Spędziłam okropną noc. Przerazała mnie ta strona mojej osobowości, o której istnieniu nie miałam wcześniej pojęcia. Czy to możliwe, że po matce odziedziczyłam tę słabość? Zmysłowość i czysta żądza napełniały mnie stra-

chem. Nie pasowały do mojego racjonalnego umysłu! Nic dziwnego, że Todd Shannon był tak pewny siebie. Jak żałośnie musiała wyglądać moja wiara we własne siły, moje zapewnienia o nienawiści! Wystarczyło, że mnie pocałował, a ja odwzajemniłam jego pieszczotę. Co się ze mną działo?

W głowie kołatały mi ostatnie zjadliwe słowa Shannona: „Na miłość boską, przed czym uciekasz? Prześlij mi wiadomość, kiedy przestaniesz się ukrywać. Do tego czasu, dziewczyno, zostawię cię w spokoju!”.

Jak śmiał? Jak śmiał przypuszczać, że... Nie spałam przez całą noc, a kiedy rano Marta podała mi kawę, jej okrągła twarz wyrażała zaniepokojenie.

- *El señor patron...* on jest jak wściekły byk, kiedy się zdenerwuje! Jego napady złości są nie do zniesienia, coś o tym wiem! Tylko pani *padre*, nasz dobry señor, nigdy go się nie bał! Jaka szkoda, señorita...

Zastanowiłam się, co widziała z naszej kłótni. A więc współczuła mi? Nawet Marta, nawet Jules, który tego ranka cichutko przemykał się po pokojach. Byłam „biedną señoritą”. Bezbronną kobietą, bezsilną wobec mężczyzny.

Cóż, skoro nie mogłam zwyciężyć siłą, spróbuję podstępem. Tak, Todd Shannon przekona się, że nie należę do przeciętnych wrogów i że do zwycięstwa wiedzie długa droga!

Todd Shannon zakłócił mój spokój, ale jednocześnie obudził mnie z letargu. Zaczęłam dostrzegać to, co działo się dokoła. Na przykład z powodu ogromnych rozmiarów rancza SD, około dwustu jardów od mojego domu wybudowano spory barak. Nieco bliżej stała mała chata, która, jak wyjaśniła Marta, należała do nadzorcy, kiedy mój ojciec nie rozmawiał z Toddem Shannonem.

Wokół głównego budynku, mojego domu, wiała się aleja obramowana drzewami. Marta i Jules przygotowywali posiłki dla robotników. Trochę dalej trzymano w zagrodzie konie, ale to Jules przyprawdzał moją klacz, siodłał ją i przygotowywał do jazdy. Nie miałam żadnych kontaktów z ludźmi, którzy słuchali poleceń Shannona, ale zamierzałam to zmienić. Na razie interesowało mnie samo ranczo i sposób jego prowadzenia.

Z niecierpliwością wyczekiwałam przyjazdu Bragga. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebowałam jego rady, a on się nie zjawiał! Dlaczego był tak tajemniczy?

„Cóż, z nim czy bez niego, dam Toddowi Shannonowi nauczkę” - przyrzekłam sobie, a przypadek sprawił, że pomogło mi w tym opóźnione nadejście mojego bagażu z Bostonu. Sam Mark Shannon pofatygował się na stację pocztową, by później pojawić się nieśmiało w mojej posiadłości.

- Nie byłem pewny, czy przyjmuje pani gości, lady Roweno. Ale pomyślałem, że przyda się pani reszta strojów. Nie chcę pani niepokoić.

Miał jasnobłękitne oczy, a jego blond włosy lśniły w promieniach słońca. Był uprzejmym, cywilizowanym, wykształconym młodzieńcem i traktował mnie z szacunkiem, nawet jeśli podczas pierwszego spotkania przeraziłam go swym wyglądem.

Gdy zajechał pod dom, miałam na sobie chłopską bluzkę i szeroką, kwiecistą spódnicę, a na nogach sandały - *huaraches*, jak nazywała je Marta. Świeżo umyte włosy opadały mi na ramiona.

Dostrzegłam jego wzrok. Speszył się nieco, widząc, że i ja mu się przyglądam, ale po chwili podszedł do mnie niczym przyciągnięty magnesem. Mark Shannon nie należał do nieśmiałych mężczyzn z Zachodu. Z plotek niepoprawnej Corinne dowiedziałam się, że w Bostonie zaliczał się do najbardziej pożądanых kawalerów, za którymi uganiały się młode dziewczęta. Przyzwyczaiałam się już do męskich spojrzeń, ale to było w Londynie. Jeszcze kilka dni temu Todd Shannon poinformował mnie z pogardą, że wyglądam jak chłopka.

Rozmyślnie obdarzyłam Marka uśmiechami i zaprosiłam go na moje patio.

- Jules zajmie się moimi kuframi - rzuciłam od niechcienia - To bardzo miło, że mnie pan odwiedził. Czuję się nieco osamotniona.

Ruszył za mną ochoczo. Najwyraźniej przyzwyczajony był do flirtów z kobietami. Usiedliśmy, a rozpromieniona Marta podała sok pomarańczowy - *naranjadę*. Zaczęliśmy rozprawiać o Bostonie, o Londynie, teatrze i operze, książkach, które przeczytaliśmy. Mark wyzbył się skrępowania i nabrał pewności siebie. Nie wspomnieliśmy nawet słowem o jego wuju i ostatniej wizycie. Rozmawialiśmy swobodnie, śmiejąc się często i z nim odjechał, byliśmy prawie przyjaciółmi.

Pojawił się następnego ranka, by zabrać mnie na przejażdżkę.

- Oczywiście nie możesz zwiedzić całego rancza SD, ale pokażę ci wystarczająco

dużo. Gdzieś jest jego mapa. Zobaczą, czy zdołam ją dla ciebie zdobyć. - Jego niebieskie oczy patrzyły na mnie z uwielbieniem - Mam przecucie, że ci się uda i cieszę się z tego. Co więcej... - zaśmiał się, mrużąc oczy. - Myślę, że odniesiesz wielki sukces. Poczekaj aż spotkasz się z gubernatorem!

- O? - uniosłam brwi, a on zachichotał jak mały chłopiec.

- Właśnie do tego zmierzałem! Wkrótce gubernator odwiedzi Silver City. To o wiele większe miasto niż Santa Rita i wydają tam bal na jego cześć. Czekałem na okazję, by cię zaprosić, i oto się nadarza! Czy mogę ci towarzyszyć?

- Prosisz mnie teraz, wiedząc, że przybyły moje suknie? - drażniłam się, widząc rumieniec na jego policzkach.

- Wiesz, że to nieprawda! Chciałem poprosić cię wcześniej, ale czekałem na stosowny moment. - Rzucił mi smutne spojrzenie. - Twoje przebranie nie zmyliło mnie! Nawet w tym bezbarwnym stroju wyglądałaś pięknie. Twoja twarz... Widzisz, ja jestem artystą amatorem! Jeszcze tej samej nocy naszkicowałem twój portret bez tych szpecących okularów, które, pewny jestem, założyłaś celowo. I z rozpuszczonymi włosami, jak teraz. Czy potrafisz mi wybaczyć?

- Ależ oczywiście! - Nadeszła moja kolej, by zbałamucić go nieco. - Pojęcia nie miałam, że moja niepozorność wywoła taką burzę! Twój wuj...

- Wuj Todd jest nieobliczalnym człowiekiem. Obawiam się, że jego szokujące grubiaństwo ukazało mnie w niekorzystnym świetle. Nie wiedziałem, co zamierza uczynić, a kiedy zobaczyłem jego zachowanie, pojęcia nie miałem, co ci powiedzieć!

Wzruszyłam lekko ramionami.

- To już nie ma znaczenia. Myślę, że zaczynamy się rozumieć.

- A zatem pojedziesz ze mną do Silver City? Przyjadę po ciebie dzień wcześniej i zarezerwuję pokój w hotelu.

- Pojadę z przyjemnością.

Rozdział 7

Na bal w Silver City musiałam jeszcze czekać cały miesiąc. W tym czasie Mark Shannon prawie każdego dnia zabierał mnie na konne przejażdżki, a jego miłość do mnie rozkwitała coraz bardziej. Cieszyłam się, że jego wuj nie uczynił nic, by się ze mną zobaczyć, choć pewna byłam, że wiedział o naszych spotkaniach.

Niech się głowi. Niech ma o mnie jak najgorszą opinię, jeśli tak postanowił! Nie zrobiłam najmniejszego kroku, by przejąć część zarządzania SD, choć wiele nauczyłam się od Marka. Moje stroje do konnej jazdy prezentowały się całkiem okazale, włosy spinałam w stosowny kok, a na głowę wkładałam płaski, hiszpański kapelusz - prezent od Marka. Raz czy dwa razy towarzyszyła nam Flo Jeffords, ale moja zmiana wyglądu i manier zaskoczyła ją niemile. Gdy zorientowała się, że nie jest w centrum uwagi, zawsze znalazła jakąś wymówkę, by zostać w domu.

Czułam, że mnie nie lubi, a rosnące zainteresowanie Marka moją osobą oburzało ją. W pewien nieokreślony sposób przypominała mi moją matkę, więc nie lubiłam jej także, choć momentami budziła we mnie współczucie.

Biedna Flo! Skandal związany z jej przeszłością trzymał ją w izolacji. Po co tu wróciła? Zdałam sobie nagle sprawę, że choć Mark próbował mi o wszystkim opowiedzieć, nigdy nie wspomniał o wendecie ani o rodzinie Kordesów. Podobnie jak pozostali. Czy pan Bragg dał się ponieść fantazji? Poznałam niektórych kowbojów z SD i nauczyłam się ich rozróżniać. Na mój widok uprzejmie dotykali kapeluszy i opowiadali o swojej pracy, kiedy tylko Mark ich o to prosił. Dokoła panował taki spokój! Nie widziałam też ani jednego dzikiego Indianina, przed którymi tak mnie ostrzegano.

Niekiedy w marzeniach wracałam do Jhanpuru. Klimat był tu podobny i nawet góry wynurzające się na widnokręgu niczym gigantyczny parawan wyglądały znajomo. Trudno sobie wyobrazić czyhające tu zło! Zaczęłam się zastanawiać, czy zasłyszane przeze mnie opowieści nie były jedynie wymysłem czyjejś wyobraźni. Szalone historie mające powstrzymać mnie przed przyjazdem!

Podejrzewałam, że sam Todd Shannon rozsiewał pogłoski o przemocy i atakach Indian. Z pewnością nie było już żadnej wendety. No bo jak? Czyż nie widziałam na

własne oczy jak potężnym człowiekiem jest Shannon, jak pilnie strzeżono rancza? Miał wystarczająco wielu ludzi, by sformować małą armię. Trudno było sobie wyobrazić, że Todd Shannon mógłby się kogoś lękać, a żaden człowiek, nawet najbardziej mściwy i szalony, nie ośmieliłby się wystąpić przeciw potędze SD.

Przejrzałam Todda Shannona na wylot. Prawie wszystkie dni spędzałam w towarzystwie jego bratanka, ale czułam, że Todd Shannon czeka stosownej chwili. Należał do niebezpiecznych, przebiegłych mężczyzn i jeszcze ze mną nie skończył, ani ja z nim. Co się wydarzy podczas naszego następnego spotkania? Całkowicie bezwiednie czekałam również. Tym razem nie dam się zaskoczyć.

Okazało się, że to Mark przyspieszył bieg wydarzeń. Pomagał mi przy selekcji dokumentów prawnych, które mój ojciec trzymał w obitej puszcze. Zaświadczenia o udziałach na kolei, akcje z kopalni w Nowym Meksyku i Kalifornii. Skrypty dłużne od ludzi, o których nigdy nie słyszałam. Wszystkie te papiery wypełniały puszkę po brzegi, a ja nie wiedziałam, które z nich mają jakąś wartość, a które są całkowicie bezużyteczne.

Mark sporo mi pomógł, a ja odkryłam, że ma niezwykle bystry prawniczy umysł. Powinien był pozostać w Bostonie i prowadzić własną kancelarię. Kiedy jednak o tym rozmawialiśmy, popadał w zadumę.

Zostaliśmy przyjaciółmi. Pod wpływem impulsu położyłam mu dłoń na ramieniu.

- Mark, przecież o tym tylko marzysz, prawda? Dlaczego zatem marnujesz tu swój czas?

Wykrzywił gorzko usta i popatrzył mi w oczy.

- Ponieważ mój wuj uczynił mnie swoim dziedzicem. Ty tego nie zrozumiesz, Roweno. Moja matka ma własne pieniądze, a ojciec był wziętym prawnikiem. Przed śmiercią dostał nominację na sędziego. Zawsze marzyłem o zawodzie prawnika. Ale widzisz, istnieją pewne obowiązki rodzinne. Poza tym w grę wchodzi duże pieniądze, nie jestem święty!

- Ale powiedziałaś...

- Mojej matce powodzi się dobrze, znacznie lepiej niż innym. Ja też zarabiałem całkiem nieźle w moim zawodzie. A jednak to grosze w porównaniu z udziałem wuja w ranczu SD? Czy tego nie widzisz, Roweno? On nie ma spadkobierców! Ktoś pewnego

dnia będzie musiał przejąć ten majątek. Twój ojciec wybrał ciebie, a mój wuj wybrał mnie.

Już chciałam na niego wrzasnąć, przekonać go, by posłuchał swego serca i był szczęśliwy, ale coś nakazało mi milczeć.

Jak stwierdził wcześniej, oboje jechaliśmy na tym samym wózku. Byliśmy tam oboje, bo chcieliśmy skorzystać jak najwięcej.

- Czy zawsze będziesz musiał tu mieszkać? - zapytałam Marka, a on lekko wzruszył ramionami i pokiwał przecząco głową.

- Jeszcze nie teraz, dzięki Bogu! Nie, nauczę się prowadzić interes, a potem mogę wracać do Bostonu. Być może każdego roku będę tu wpadać na kilka tygodni. Ty masz takie samo wyjście. Jeśli pomieszkasz tu rok, udziały twojego ojca w ranczu przejdą na ciebie bezwarunkowo. Przypuszczam, że spędzisz czas na podróżach po Europie i wyznaczysz zarządcę do pilnowania majątku.

Siedzieliśmy na dywaniku przed kominkiem, otoczeni stertą papierów.

- Dlaczego tak uważasz? Już zdążyłam zwiedzić Europę. Jest zbyt cywilizowana. Życie tutaj jest wyzwaniem, czy ty tego nie widzisz? Mój ojciec i twój wuj postawili tu fundamenty, ale do nas należy wybudowanie czegoś trwałego. Jeśli nam się uda, będziemy świadkami nadejścia nowego stulecia!

- Pozwalasz mi patrzeć na świat innymi oczami, wiesz? Powinnaś zostać krasomówcą, Roweno! A kiedy powiedziałaś „do nas...”, ja...

Dostrzegłam błysk w jego oczach. Pochylił się do przodu, by chwycić moje dłonie. Straciłam równowagę i omal nie upadłam na niego.

- Och, Roweno! Tak mi przykro, nie to miałem na myśli... ale nie mogę przestać o tobie myśleć! Dlaczego, na Boga, musisz być tak cholernie bogata?

- Co? O co ci chodzi?

Odsunęłam się od niego, marszcząc brwi. Nie chciałam, by do tego doszło. Do wyznania, które mogłoby zniszczyć naszą przyjaźń. Tak bardzo starałam się unikać sytuacji, która prowadziłaby do takiej deklaracji. Ale co Mark miał na myśli, mówiąc, że jestem zbyt bogata?

- Roweno! - Chciał uchwycić moje dłonie, lecz złapał tylko jedną. - Chciałem tylko

powiedzieć, że bardzo mi na tobie zależy i nie chciałbym, aby ktokolwiek pomyślał, że proponuję ci małżeństwo ze względu na twoją fortunę. Mam nadzieję, że rozumiesz? - Błagalnie ścisnął moją rękę, szukając w mojej twarzy jakiejś reakcji. - Roweno...

- Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że ze wszystkich ludzi ty właśnie chciałbyś ożenić się ze mną dla pieniędzy. Co to za idiotyczny pomysł! - przekonywałam go. - Ale jeśli chodzi o małżeństwo - dorzuciłam szybko, by uprzedzić słowa rysujące się na jego ustach - jest to ostatnia rzecz, o której myślę! Nadal noszę żałobę po ojcu, nawet jeśli nie ubieram się w czerń. Poza tym uważam, że powinnam poczekać kilka lat zanim zgodzę się na taki układ.

- Układ! - Wbił we mnie pełen przerażenia wzrok. - Ależ Roweno, chyba nie myślisz, że zaproponowałem ci wygodny układ, by połączyć SD pod wspólnym zarządem? Być może mój wuj uznałby to za praktyczny pomysł, ale ja jestem inny. To właśnie z tego powodu nie mogę prosić cię o rękę.

- A zatem...

- Nic nie rozumiesz, Roweno. Zakochałem się w tobie. Z pewnością to dostrzegłaś! Nigdy nie spotkałem takiej kobiety! Pięknej, inteligentnej, o Boże, ale wszystko pogmatwałem!

- Przestań, Mark! Proszę, nie mów nic więcej, bo wszystko zepsujesz. Nasza przyjaźń...

Potrząsnął głową, a na jego łagodnej, przystojnej twarzy malowała się rozpacz.

- Przyjaźń! Na to zawsze możesz liczyć, zrobię dla ciebie wszystko, co zechcesz. Ale miałem taką nadzieję... jak mogłem być tak pewny siebie? Żyłaś wśród angielskiej arystokracji. Na pewno otrzymywałaś niezliczoną ilość propozycji małżeńskich od mężczyzn o wiele bogatszych i odpowiedniejszych niż ja. Proszę, wybac mi.

- Mark, przestań. To nie tak, jak myślisz. Ja... nie jestem gotowa do małżeństwa. Ani do miłości, jeśli o to chodzi. - Wyrwałam dłoń z jego uścisku i popatrzyłam na niego surowo. - Jesteś mną zaślepiiony. Dobrze wiesz, że jestem w tych stronach jedyną dostępną partią, więc kiedy los nas ze sobą połączył...

- To brzmi tak logicznie - mruknął gorzko. - A mimo to, wydaje mi się, że unikasz tego tematu. Nie jestem żółtodziobem, mam za sobą kilka romansów. Czy myślisz, że nie

potrafię dostrzec prawdziwego uczucia? Powiedziałem ci, że jesteś inna niż wszystkie znane mi kobiety. Nie rozumiesz, co miałem na myśli?

Zauważył chyba przestrasz na mojej twarzy, bo dodał łagodnie.

- Nie rób takiej smutnej miny! Za nic w świecie nie chciałbym cię zranić ani zniszczyć naszego związku. Kocham cię, Roweno. Ale obiecuję, że nie będę obrzucał cię miłosnymi wyznaniem, dopóki sama nie zechcesz ich wysłuchać. Pamiętaj też, że w razie potrzeby możesz zawsze na mnie liczyć.

- Dziękuję - wydusiłam z siebie.

Co, u licha, mogłam jeszcze powiedzieć? Żałowałam, że nie potrafię odwzajemnić jego uczucia. Ale już następnego dnia doprowadził mnie do gniewu.

Pojawił się rankiem z zakłopotaną miną i oznajmił, że zaproszona jestem na kolację do *palacio*, jak mawiała Marta.

- Och, więc przypomniał sobie o moim istnieniu? Oczywiście odmawiam!

- Roweno, błagam cię. Nie możecie się bez przerwy unikać. Zapewniam cię, iż obiecał poprawne zachowanie. Wyraź zgodę, proszę, i udowodnij mojemu wujowi, że nie przestraszył cię swym grubiańskim zachowaniem!

Rzuciłam Markowi baczne spojrzenie, a on tylko uśmiechał się lekko. Może i on był sprytniejszy niż przypuszczałam! Wyglądało na to, że drażni się ze mną, namawiając do przyjęcia zaproszenia.

- Twój wuj prawdopodobnie coś knuje - rzuciłam prosto z mostu.

- Nie ma co do tego wątpliwości! Ale sama możesz się o tym przekonać, prawda? Znam wuja Todda. Zobaczysz, uspokoi się, kiedy jego intryga wyjdzie na jaw. Bardzo bym chciał, abyś przyjechała. Poza tym, wybaczone, ale już czas najwyższy, byś wzięła na siebie pewne obowiązki jako współwłaścicielka SD - dodał surowym tonem.

A więc tak szybko zapomniał o swej namiętności? Miał jednak rację. Obecna sytuacja nie mogła trwać wiecznie.

- W porządku, Mark - westchnęłam z rezygnacją. - Przyjadę. Ale pod warunkiem, że będziesz mi towarzyszył, a potem odwieziesz do domu, kiedy tylko zechcę.

Nagle ogarnęła mnie ciekawość. W końcu Todd Shannon zdecydował się wezwać mnie przed swe królewskie oblicze. Po długim okresie ignorowania mnie. Teraz się oka-

że, kto wyszedł zwycięsko z tego pojedynku!

Marta pomogła mi przygotować się do wyjścia. Po kilku godzinach, kiedy spojrzałam w lustro, a za plecami usłyszałam jej pełne admiracji westchnienie, uśmiechnęłam się do siebie przewrotnie.

Dzięki Worthowi z Paryża i Cartierowi z Nowego Jorku wyglądałam tego wieczoru jak angielska księżna.

Suknia, którą wybrałam na ten wieczór, uszyta została z ciemnoniebieskiego aksamitu. Miała głęboki dekolt, a cieniutkie paski materiału krzyżowały się na ramionach. Drapowana materia przylegała do mych bioder, tworząc z tyłu modną turniurę. Na dłonie włożyłam srebrne rękawiczki sięgające do łokci, a stopy zdobiły mi srebrne pantofelki z maleńkimi diamentkami.

Do tego moje klejnoty - oczywiście brylanty. Nigdy nie zapomniałam słów sir Edgara.

Marta splotła dłonie, rozwarła szeroko oczy i wymamrotała podniecona po hiszpańsku, że z brylantowymi gwiazdami w starannie upiętych włosach wyglądam jak *princesa*. Namówiła mnie do włożenia płaszcza chroniącego suknię i fryzurę. Przeżegnała się i mruknęła coś o bandytach.

- Bzdura! Jesteśmy po amerykańskiej stronie granicy. Przyjedzie po mnie señor Mark, z pewnością w eskorcie kilku kowbojów.

Nagle przypomniałam sobie, że nie pozwalano mi odjeżdżać zbyt daleko od domu bez uzbrojonej eskorty. Nawet Mark nosił przy sobie rewolwer, a kiedy zażartowałam sobie z niego, wzruszył ramionami i powiedział, że takie było polecenie jego wuja. Nigdy jednak nie dostrzegłam żadnego Apacza ani nieznajomych wyglądających na bandytów.

- Kiedy pani wróci, będzie już ciemno - oznajmiła złowieszczo Marta, podając mi długi płaszcz obsyty sobolim futrem. Zmierzyła mnie spojrzeniem, uśmiechnęła się i stwierdziła filozoficznie: - Señorita jest tak piękna. Z pewnością señor to zauważy. Oni nigdy by nie skrzywdzili córki naszego pana. Kochano tutaj pani ojca.

- Oni? - Odwróciłam się od lustra i popatrzyłam na nią pytająco. - Chyba nie wierzysz, Marto, że ktokolwiek z rodziny Kordesów śmiałby pokazać się na ziemi SD?

Zacisnęła usta.

- Mówią, że ta ziemia należy do nich. Pani ojciec o tym wiedział i gdyby mógł, pomógłby im ją odzyskać. Kiedy mieszkał tu señor Lucas, rozmawiali o tym godzinami. Kiedyś, tuż przed śmiercią pani ojca, przyjechał tu ze swym bratem Ramonem. Oczywiście nocą, bardzo późno.

- Marto! - Otworzyłam szeroko oczy ze zdumienia. - Nigdy przedtem o tym nie mówiłaś. Nigdy nie wspomniałaś...

- Señorita nie pytała. Powiedziałam sobie, pewnie señorita wszystko już wie, a może nie chce wiedzieć o tych przykrych zdarzeniach z przeszłości.

Nie odrywałam od niej wzroku, marszcząc brwi.

- Ależ ja chciałam się wszystkiego dowiedzieć... Zadawałam ci pytania...

- Tylko o pani *padre*, señorita! Po co miałabym opowiadać o innych rzeczach? Jules nazwałby mnie starą plotkarą. „Wszystkiego dowie się z dzienników, które pisał nasz pan” - tak mówił „- Ty się nie wtrącaj, kobieto”.

Przeraziła się, że powiedziała zbyt wiele. Zadrżały jej usta.

- Ach, Marto! - szepnęłam. - Nie gniewam się na ciebie! Oczywiście, że nie. Ale przez ten cały czas... Dlaczego mówisz mi o tym właśnie dzisiaj?

Rozejrzała się ukradkiem po pokoju, choć byłyśmy same i ściszyła głos:

- Dlatego, że... och, señorita, proszę obiecać, że nikomu pani nic nie powie!

Zwłaszcza panu Shannonowi, bo takie pogłoski zawsze wywołują u niego wściekłość. Słyszałam... to znaczy wczoraj Jules pojechał do Santa Rita po prowiant i przysięga, że widział señora Lucasa. Zmienił się, mówi, wygląda starzej i nosi brodę, ale Jules rozpoznał go, a Lucas zauważył to.

- I myślisz, że dlatego spróbuje skrzywdzić ciebie lub Julesa? - zapytałam gwałtownie, ale zaprzeczyła ruchem głowy.

- Ach, nie, nie señorita! On by nas nie skrzywdził. Ale on tu jest. Zadaliśmy sobie pytanie, dlaczego tak ryzykuje? Señor Shannon wyznaczył nagrodę za głowę Lucasa Corda. Za żywego lub umarłego. Pani ojciec bardzo się tym przejął i gdyby nie choroba, coś by z tym zrobił.

- Jak myślisz, dlaczego Luke Cord naraża swe życie? - Nie odrywałam od niej

wzroku. - Marto, nie możesz teraz się wycofać. Muszę to wiedzieć, rozumiesz? Jak myślisz, co jest przyczyną jego nagłego powrotu? - podniosłam głos. - Czy obawiałaś się, że może mnie dziś napaść? Czy dlatego mnie ostrzegłaś?

- Nie. Proszę, señorita! To nie tak. Nigdy by pani nie skrzywdził, bo jest pani córką Guya Dangerfielda. Ale jeśli dojdą do wniosku, że señor Shannon zdobył panią dla swoich celów, że pani i on...

Dukała z nieszczęśliwą miną, unikając mojego wzroku, więc podeszłam bliżej i położyłam dłoń na jej ramieniu.

- Widziałaś, co się wydarzyło tamtego popołudnia?

Przygnębiona, kiwnęła głową w milczeniu.

- A zatem widziałaś także, że go wyrzuciłam! Nienawidzę tego człowieka! Ale jest moim współnikiem i musimy się jakoś porozumieć, czy tego nie rozumiesz? A jeśli chodzi o innych, nie muszę się przed nikim tłumaczyć! Sama mam zamiar wyciągać wnioski i podejmować decyzje, Marto, a pan Shannon nie jest jedyną osobą, która musi to zrozumieć!

Byłam zła, ale i zaintrygowana. Czy Marta próbowała mnie ostrzec? Ale przed czym? Nic nie zdołałam z niej wydobyć, bo każde moje pytanie przygnębiało ją jeszcze bardziej. Postanowiłam porozmawiać z nią później, kiedy przyjdzie do siebie. Oczywiście, nie zamierzałam powiedzieć niczego Toddowi Shannonowi, ale chciałam wyjaśnić tajemnicę nagłego pojawienia się Luke'a Corda.

Moje życzenie miało spełnić się szybciej niż tego oczekiwałam. Ale tymczasem pojawił się Mark, a ja zdążyłam szepnąć Marcie, że nikomu nie wspomnę słowem o naszej rozmowie.

Mark wyglądał bardzo elegancko. Miał na sobie doskonale skrojony smoking i perłową szpilkę w szarym krawacie z jedwabiu. Zmieszał się, kiedy Jules wprowadził go do saloniku.

- Obawiam się, że zapomniałem ci powiedzieć, iż jest to oficjalne przyjęcie! Mój wuj poinformował mnie o tym po moim powrocie! Jeśli chcesz się przebrać...

- Och, to chyba zbyt późno - oznajmiłam słodko. - Nie znoszę przebierać się w pośpiechu. Pewna jestem, że moja suknia jest wystarczająco stosowna, nawet jeśli nie jest

najnowsza.

Byłam całkowicie pewna, że Todd Shannon szykuje dla mnie jakąś niespodziankę. Niezbyt miłą, rzecz jasna! Może Mark był wtajemniczony, a może nie. Opatuliłam się płaszczem, nawet kiedy wsiedliśmy do lekkiego powozu z taką troską podstawionego przez jego wuja.

- Czy zawsze tak elegancko ubierasz się do kolacji?

- Prawie zawsze! Ale nie martw się. On tylko chce cię zaszokować przepychem, w jakim żyje.

- To dziwne! Todd Shannon nie wygląda na człowieka, który zwraca uwagę na luksusy!

Mark uśmiechnął się pod nosem, słysząc moje docinki, a następnie przeprosił, że musi zostawić mnie samą w powozie.

- Wuj Todd zamówił go w Londynie - zakomunikował z dumą. - A i konie są niezwykle szybkie. Tylko nielicznym pozwala nimi powozić, a dziś wieczorem jest to mój obowiązek.

- Z pewnością czujesz się zaszczycony!

Siedziałam sztywno w powozie, by nie pognieść sukni, i podziwiałam jazdę Marka. Przez okno dojrzałam obowiązkową eskortę złożoną z kowbojów SD; niektórzy z nich uzbrojeni byli w strzelby. Czy była to zwykła ostrożność, czy też Shannon spodziewał się kłopotów? Pomyślałam o Luke'u Cordzie i zmarszczyłam czoło. W jakim celu odwiedził mego ojca po tylu latach? Czego szukał w Santa Rita? Miałam złe przeczucia, ale nic nie mogłam zrobić. Od czasu naszej niezręcznej rozmowy nawet Mark zachowywał się nie-naturalnie.

Postanowiłam na chwilę zapomnieć o wszystkim. Jutro powrócę do lektury dzienników ojca, i jak z wyrzutem przypomniała mi Marta, z nich dowiem się najwięcej.

Podróż zajęła nam więcej czasu, niż się spodziewałam, i mimo doskonałego powożenia Marka moja wyprostowana, niewygodna pozycja zmęczyła mnie. Sceneria uległa zmianie. Pędziliśmy pod jasnym półksiężycem na tle granatowego nieba. Nawet ogromne kępy kaktusów przypominały drzewa z baśniowego lasu, a piaszczysta ziemia migotała świetlistym blaskiem.

„Tu jest naprawdę pięknie”, zadumałam się. Nieskończone, faliste równiny podchodzące pod masywy górskie. Kraina kontrastów. Rancza i górnicze miasteczka. Śnieg i pustynia. A na południu odległe pasma górskie ciągnęły się aż do Meksyku. Pomyślałam nagle o ukrytej dolinie, w której rodzina Kordesów prowadziła małe ranczo. Jak to możliwe, że nikt o niej nie wiedział? Ale przecież nie znałam tych gór tak jak Apacze żyjący tu od pokoleń.

Przypomniałam sobie własne słowa wypowiedziane do Marka: „Oni stworzyli fundamenty, my zbudujemy coś trwałego”. Dlaczego to powiedziałam? Czy rzeczywiście w to wierzyłam?

Przejechaliśmy rozświetloną równinę i nagle moim oczom ukazała się tęcza świateł. Przybudówki, wiatrak, baraki, nawet wędzarnia. Po ogromnej zagrodzie dreptały konie, a w dali wznosiły się stajnie.

Powóz zwolnił, kiedy przejeżdżaliśmy przez bramę w kształcie łuku z wielkim, wyblakłym napisem. Tuż za nią ciągnął się długi podjazd. Nie zauważyłam niczego więcej, bo tuż przede mną wyrósł potężny i wspaniały dom z rozświetlonymi oknami, dumnie wznoszący się na tle rozgwieżdżonego nieba. Nic dziwnego, że nazywali go *palacio*! Był większy od wszystkich domów, jakie widziałam w tej części świata. Rozpoznałam architekturę w stylu hiszpańskim, tak rozpowszechnionym na Południowym Zachodzie. Wysoki na dwa piętra, przypominał mały zamek.

Powóz zatrzymał się, jacyś dwaj mężczyźni przytrzymali konie, a Mark zeskoczył z siodła i pomógł mi wysiąść.

- I co o tym sądzisz, Roweno? Wybudowano go z kamienia wydobywanego w górach, który przywieziono tu w specjalnych wozach. Poczekać aż wejdziemy do środka!

- Już sobie to wyobrażam - rzuciłam oschle. - Wygląda jak mała forteca!

Ściszył głos.

- Chyba pierwotnie miał nią być. Znasz tę historię. Kiedy wujek Todd stracił żonę i syna, przyrzekł sobie, iż wybuduje dom, który oprze się całemu plemieniu Apaczów. I oto jest. Trudno go też podpalić!

Nie zdążyłam powiedzieć ani słowa, gdyż znalazłam się na szerokich schodach, a z korytarza wychynęła gigantyczna postać Todda Shannona. Nawet tu ze wszystkich za-

kamarków emanowało bogactwo. U sufitu zwisał ogromnych rozmiarów żyrandol, a przede mną wznosiły się wyłożone dywanem schody, rozchodzące się w dwóch kierunkach z półpiętra, które przypominało galerię dla muzyków na angielskim dworze.

To, co początkowo wzięłam za korytarz, okazało się wielką salą recepcyjną z otwartymi po obu stronach masywnymi drzwiami.

- A więc przyjechałaś?

- Miałaś nadzieję, że nie przyjmę zaproszenia?

Todd Shannon parsknął śmiechem i ujął moją dłoń.

- Wiedziałem, że nie odrzucisz okazji, by powiedzieć ostatnie słowo - zapewnił, gdy zostaliśmy sami. - Jeszcze ze sobą nie skończyliśmy, prawda?

- Myślę, że nie - odparłam lodowatym tonem, a on zaśmiał się znowu, mrużąc oczy na widok mojego stroju.

- Mark! Co się u diabła tak gapisz? Weź jej płaszcz. Rosa powiesi go w szafie. Chcę, przedstawić gościom moją współpracowniczkę.

- Nie powiedziałaś mi, że zapraszasz innych gości, wuju Todd! - syknął Mark, czując jak sztywnieję pod dotykiem jego palców na moich ramionach. - Roweno, uwierz mi...

- Niech to licho, po co się tak unosisz? To taka niespodzianka na cześć Roweny. Przybyli wszyscy moi przyjaciele.

Policzki płonęły mi z wściekłości. A więc postanowił wystawić mnie na pokaz? Nie ma wątpliwości, że liczył, iż pojawię się w stroju meksykańskiej chłopki lub zaniebanej starej panny. I jak śmie nazywać mnie Roweną?

- To miło z twojej strony, wuju Todd! Spojrzałam mu prosto w oczy i uśmiechnęłam się przymilnie. - Chyba mogę cię tak nazywać, prawda? W końcu byłeś najbliższym przyjacielem papy!

Słyszałam, jak mruknął pod nosem: „Ty mała wiedźmo!”.

A potem płaszcz zsunął się z moich ramion, a on chwycił głęboko powietrze, przekrzywił głowę i wybuchnął śmiechem.

- Wielkie nieba! Sprytnie mnie przechytryłaś! A ponieważ umiem przegrywać, powiem coś jeszcze. Wyglądasz ślicznie, prześlicznie! Złość mnie ponosi, gdy przypo-

mnę sobie twój strój, kiedy wysiadłaś z dyliżansu!

- Wuju Todd, na miłość boską! - szepnął niecierpliwie Mark.

Stałam nieruchomo z uśmiechem na twarzy, a on uśmiechał się także. Nasze oczy spotkały się. Rozumieliśmy się doskonale.

Oficjalnym gestem ujął moją dłoń.

- Chodźmy. Wiele osób pragnie cię poznać. Drugą dłoń celowo zaoferowałam Markowi.

- Mark był tak uprzejmy i przywiózł mnie tutaj. Czy nie wolno mu tam wejść?

Niebezpieczne spojrzenie Todda Shannona oznaczało, że posuwam się za daleko, ale nie odezwał się ani słowem.

Przeszliśmy przez ogromne drzwi do wysokiego salonu umeblowanego z barbarzyńskim przepychem. Ogromny kominek zajmował prawie pół ściany, tuż nad nim wisiały dwie skrzyżowane, srebrne strzelby. Ściany zdobiły malowidła przedstawiające sceny z Dzikiego Zachodu i indiańskie koce w kolorowe wzory.

Wiedziałam, że Shannon mnie obserwuje i czeka, jak zareaguję. Otworzyłam szeroko oczy i szepnęłam:

- Pałac bandyckiego magnata!

Poczułam, jak ściska mi łokieć.

- Jeszcze zobaczysz - mruknął i nagle otoczyło nas grono ludzi.

Poznałam gubernatora - mrugającego bez przerwy krótkowzrocznego brodacza, właścicieli rancz, którzy przebyli ponad dwieście mil, aby mnie poznać. Pułkownik kawalerii z Fortu Seldem, ubrany w nieskazitelny mundur, pochylił się kurtuazyjnie nad moją dłonią. Przedstawiono mnie sędziemu federalnemu, kongresmenowi z Kalifornii i kilku bogatym właścicielom kopalń oraz ich wystrojonym żonom. Mężczyźni mieli na sobie skromniejsze stroje niż kobiety prześcigające się w wytworności toalet. Flo Jeffords, z lśniącymi blond włosami opadającymi w lokach na ramiona, ubrana była w purpurową suknię z jedwabiu, błyszczącą przy każdym ruchu. W jej uszach i na szyi migotały rubiny. Przesunęła po mnie wzrokiem i rzekła:

- Boże mój, lady Roweno, nigdy bym pani nie poznała!

Ku mojemu zdziwieniu, Todd Shannon przerwał jej w połowie zdania z takim lek-

ceważeniem, że natychmiast ogarnęła mnie litość.

- Flo, zabierz Marka i sprawdź, czy wszystko gotowe do kolacji. I niech ten leniwy łotr Ben przyniesie jakieś wino z piwnicy. Roweno, czy próbowałaś już amerykańskiej whisky? Może obawiasz się trunków mocniejszych niż wino?

- Czy whisky jest mocniejsza od rosyjskiej wódki?

Czy zamierzał mnie upić? Rozczaruje się zatem, bo przyjaciele sir Edgara nie wlewali za kołnierz, a ja nauczyłam się pić razem z nimi.

- Wydajesz się zdenerwowana, kiedy nie ma koło ciebie Marka? - Todd Shannon czytał w moich myślach.

Uchwyciłam jego złośliwe spojrzenie i wzruszyłam ramionami:

- Dlaczego miałabym się denerwować, skoro ty jesteś przy mnie, wuju Todd?

- Nazwij mnie tak raz jeszcze, a pożałujesz, panienko! - zagroził mi, a ja tylko otworzyłam szerzej oczy.

- Dlaczego nie? W końcu ty i mój ojciec...

- Państwo wybaczą... - oznajmił tubalnym głosem. - Obiecałem Rowenie pokazać cały dom. Jest tu po raz pierwszy!

Ścisnął mnie z całej siły palcami. Ruszyłam za nim. Widziałam, że moje skrepowanie sprawia mu przyjemność.

- To salonik, prawie nigdy nieużywany. Obok mała jadalnia, ale i z niej nie korzystamy. Te drzwi prowadzą prosto na patio. Jeszcze nie widziałaś mojego patio, prawda?

- Co chcesz osiągnąć tym pokazem siły? - szepnęłam z furją. - Lepiej zaprowadź mnie do swych przyjaciół.

- Też coś! Im nawet do głowy nie przyjdzie, że coś jest nie w porządku! Zawsze oprowadzam piękne damy po pokojach.

- Jeśli zamierzasz wymusić na mnie *le droit de seigneur*...

- Cokolwiek to znaczy, zamierzam zrobić to, co postanowiłem widząc cię w drzwiach. Sama zresztą o to prosiłaś! Wuj, niech to diabli!

Wziął mnie w ramiona i ścisnął bezlitośnie, mimo moich gwałtownych protestów.

- Kiedy wreszcie pogodzisz się z faktami, maleńka? Pragnę cię. Pragnąłem cię już wcześniej, zanim ujrzałem cię tak wystrojoną. Odrzuciłaś Marka, prawda? A teraz cały

wieczór drażnisz się ze mną. Naucz się płacić za takie sztuczki.

Pochylił nade mną głowę, a ja dostrzegłam jego wąskie, okrutne usta wykrzywiające się w triumfalnym uśmiechu.

- Jesteśmy z tej samej gliny i ty dobrze o tym wiesz - oznajmił, zanim odnalazł moje usta.

Rozdział 8

- Jesteś bandyckim magnatem. Zdziercą bez sumienia. I wystarczająco stary, by być moim ojcem.

Nie mogłam złapać tchu. Czułam, że dławię się powietrzem.

Nie pamiętam, jak długo mnie całował; w świetle księżyca, przy plusku małej fontanny. Kiedy wreszcie podniósł głowę, omal nie upadłam na ziemię, ale przytrzymał mnie mocno. Tak bardzo go nienawidziłam.

- Psiakrew, kobieto, dlaczego nie przestajesz ze mną wojować? Tak miało być. I twój ojciec o tym wiedział. Chcę, abyś została moją żoną.

- Żebyś dostał całe SD i jeszcze moje pieniądze?

Starałam się nie tracić zmysłów.

- Domyślna jesteś, niech cię diabli! Odpowiedziałas na mój pocałunek. Myślisz, że tego nie zauważyłem? Nie wiesz, dlaczego nie reagowałem, kiedy uwodziłaś Marka? On nie jest dla ciebie i pewny byłem, że sama dojdiesz do tego wniosku. Jesteś kobietą, która potrzebuje silnej dłoni. I nie próbuj walczyć, bo nie pozwolę ci odejść, zanim nie dołączę! Na taką kobietę czekałem. Jak myślisz, dlaczego nie ożeniłem się ponownie? Jesteś odważną kobietą, niech mnie licho, i mocną w języku. Prawdziwą kobietą, a nie histeryczką, która zalewa się łzami, gdy tylko podniosę głos. Wiesz, że potrafię się złościć, ale ty jesteś taka sama. Dziś wieczorem wystroiłaś się dla mnie, i ja o tym dobrze wiem!

- Dość tego, dość! Ty oszalałeś! Nienawidzę cię!

Wykrzyknęłam te słowa, a on tylko parsknął śmiechem.

- Niezły początek! To już lepsze niż obojętność! Teraz wracamy do gości, a ty

masz się zachowywać jak chłodna dama nie do zdobycia, bo taka właśnie jesteś. Zimna na powierzchni, jak wulkan w środku. Tylko moja. Słyszysz? Może ci się to nie podoba, ale należysz już do SD.

Zabrał mnie do gości, a ja zostałam zmuszona do odgrywania roli gospodyni, jako że przez cały czas trzymał mnie przy swoim boku. Czas włókł się w nieskończoność, a ja nie pamiętam, jakie myśli przemknęły wtedy przez mą głowę. Za wszelką ceną starałam się nie okazywać, jak bardzo dotknęły mnie jego słowa.

Przez moment odniosłam wrażenie, że znajdujemy się w angielskim salonie. Ta sama wymiana powierzchownych uprzejmości, te same idiotyzmy, podobnie bezsensowne wybuchy śmiechu.

Zasiedliśmy do kolacji, a ja odkryłam, że Mark i Flo zajęli miejsca na drugim krańcu masywnego stołu. Usiadłam po prawej stronie Todda Shannona, po stronie lewej miał żonę gubernatora. Mechanicznie odpowiadałam na pytania i komentarze, którymi mnie zasypywano. Mark unikał mojego wzroku. Co opowiedział Toddowi? Ile sam dowiedział się od Shannona? Flo Jeffords milczała, choć od czasu do czasu rzucała w moją stronę wrogie spojrzenia.

Co, u licha, miałam robić? Kiedy skończy się przyjęcie, Todd Shannon zaatakuje znowu. Nie mogłam już liczyć na pomoc Marka. Zastanowiłam się z wściekłością, czy przypadkiem tego nie uknuli - oświadczyły Marka, niespodziewane zaproszenie na kolację. Byłam w pułapce.

- Tańce po kolacji - ogłosił nagle Todd.

Spojrzał na mnie znacząco, a ja odwróciłam głowę. Pochylił się w moją stronę, a jego niebieskozielone oczy błysnęły zuchwale.

- Ci sami muzycy zagrają podczas wielkiej fety w Silver City. Przygotowałem ich występ zanim przyjąłś zaproszenie.

- Och, naprawdę? Bo gdybym odmówiła, z pewnością zostałabym porwana.

- I o tym myślałem - odparł poważnie, a ja z trudem powstrzymałam się od wymierzenia mu siarczystego policzka.

Gubernator Wallace opowiadał mi o książce, którą właśnie pisał. Starałam się słuchać uważnie, ale wszechobecność Todda Shannona nie dawała mi spokoju. Kolacja cią-

gnęła się w nieskończoność. Liczyłam na jakąś przerwę, ale tutaj ten cywilizowany zwyczaj nie był znany.

- Czas na płasy - obwieścił Todd i pociągnął mnie za sobą.

- Pewien jestem, że nie dasz sobie rady z fandango, więc na początek zagrają walca - poinformował, ściskając mnie w objęciach.

- Posuwasz się za daleko! - syknęłam przez zaciśnięte zęby. - Jeśli ci się wydaje, że możesz mnie do czegokolwiek zmusić...

- Nie zamierzam cię do niczego zmuszać. Sama nabierzesz ochoty, mimo tego uporu! Jeśli nie przestaniesz mnie irytować, dam ci mniej czasu do namysłu.

- Niech cię piekło pochłonie, nie wyjdę za ciebie! Zaśmiał się, widząc jak tracę nad sobą panowanie.

- Zobaczymy! W przeciwnym razie ucierpi na tym twoja reputacja, a szkoda - westchnął z żalem. - Pokusa jest wielka, ale chyba małżeństwo jest lepszym rozwiązaniem.

- Nigdy! Wolałabym...

- Chcesz wrócić na Wschód? Poddać się?

- Nie! Ale ty mnie nie przestraszysz, Toddzie Shannonie!

- Skąd wiesz, że pozwoliłbym ci odjechać?

Nie przemawiały do niego żadne racjonalne argumenty. Nawet mój sarkazm nie robił na nim żadnego wrażenia. Nigdy nie spotkałam mężczyzny tak pewnego siebie, i tak pewnego mnie.

Wyrwałam się z jego ramion pod pretekstem poprawy makijażu.

- Flo pójdzie z tobą i pokaże ci drogę - oznajmił, unosząc zabawnie jedną brew.

Weszłyśmy na piętro. Nerwy miałam naprężone do granic wytrzymałości. Skrajnie wyczerpana, zapomniałam o dobrych manierach.

- Nie tęsknisz za Nowym Jorkiem? Bostonem?

Flo spojrzała na mnie z wyraźną niechęcią.

- Masz na myśli Dereka? Nie, niby dlaczego? Jest stary. Jak papa, tylko po papie tego nie widać. Poza tym on zawsze zdobywa to, co chce.

Popatrzyłyśmy na siebie, a ona przypomniła mi nagle stare plotkary z Indii, które także ze mnie szydziły. Tylko tym razem miałam nad wszystkimi przewagę. Widziałam

to w lustrze.

Poprawiłam we włosach brylantowe gwiazdy i uśmiechnęłam się do Flo.

- Obawiasz się, że może zdobyć i mnie?

- Wiem, że tego chce! I ty też to wiesz! Nie zależy mi. Pragnął wielu innych kobiet, a ożenił się z moją matką!

- Dlaczego myślisz, że chciałabym go poślubić?

- Jeśli papa zechce cię poślubić, zrobi to! Ale nie o to chodzi. Jesteś młoda. Do ciebie należy połowa SD. Masz szlachecki tytuł. W tej chwili papa dba tylko o to. Czy chciałabyś zostać moją macochą?

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

- Na Boga, nie! Gdybym popełniła to głupstwo, z pewnością zatrulałabyś mi życie, a ja tobie. Tyle że ja jestem sprytniejsza i mądrzejsza od ciebie! - Chwyciła głośno powietrze, zacisnęła pięści, a ja dodałam łagodnie: - Czy ty nigdy nie wydorosłajesz? Choć z pewnością nienawidzisz mnie w tym momencie, to gdy pomyślisz racjonalnie, zdasz sobie sprawę, iż więcej zyskasz udając moją przyjaciółkę!

- Och! Początkowo myślałam, że jesteś głupia. Ale ty jesteś straszna! Jesteś jak skała...

- Wielkie nieba! Czy musisz tak dramatyzować? Jestem tylko realistką. Może nie zdajesz sobie sprawy, ale próbuję ci pomóc. - Popatrzyłam jej w oczy. - Twój ojczym chce się ze mną ożenić. Tak, już mi to zasugerował. Tyle, że ja nie mam takiego zamiaru. Kocham niezależność. Jeśli nie możemy zostać przyjaciółkami, może będziemy sojuszniczkami? W końcu łączy nas wspólny cel.

Wbiła we mnie wzrok.

- Widzę, że mówisz poważnie! To znaczy, że nie chcesz poślubić papy?

- Oczywiście, że nie - zezłościłam się. - Dlaczego miałabym to robić? Prawdę mówiąc, nie mam zamiaru w ogóle wychodzić za mąż.

- Nie znasz mojego ojczyma! Jeśli czegoś pragnie...

- Już to słyszałam - przypomniałam jej. - Może mnie pragnąć, ale szybko zda sobie sprawę, że nie jestem zabawką. Mój ojciec stawiał mu czoło i ja zrobię to samo.

Flo rzuciła mi podejrzliwe spojrzenie.

- Czy powtórzysz mi moje słowa? Właściwie nie zależy mi na tym, ale...

- To ty się go boisz, nie ja! - oświadczyłam z poważną miną. - Może dojdziemy do porozumienia? Przyznaję, iż twój ojczym lubi dominować, ale ślub z nim to już przesada. A i ty nie chcesz go widzieć na ślubnym kobiercu, prawda? Być może przyjdzie czas, kiedy będziemy potrzebowały wzajemnego wsparcia.

- Być może.

Wyglądało na to, że ją przekonałam, choć wahała się między niechęcią do mnie a chęcią przetrwania.

- A więc?

Wzruszyłam ramionami na widok własnego odbicia w lustrze.

- Wracamy do salonu?

W salonie, ku mojemu oburzeniu, Todd ponownie porwał mnie do tańca.

- Czyż nie powinnam zatańczyć z kimś innym? - zaproponowałam. - Twoi goście pomyślą...

- A niech sobie myślą! Może przyzwyczają się do sytuacji.

W świetle żyrandola jego niebieskozielone oczy przypominały oczy drapieżcy. Hipnotyzował mnie tym wzrokiem z całą mocą.

- A zatem z kim chciałaś zatańczyć? - burknął.

- Z Markiem - rzuciłam szybko, wypowiadając pierwsze z brzegu imię. - Myślę, że powinnam zatańczyć z Markiem. Przywiózł mnie tutaj, prawda? I nie podoba mi się sposób, w jaki próbujesz mnie terroryzować. Nie dam się zdominować. Nie będziesz mną manipulował, jak to robisz z innymi ludźmi - dodałam chłodnym tonem. - Zbyt dużo sobie obiecujesz po kilku skradzionych pocałunkach, Toddzie Shannonie!

- Jesteś upartą złośnicą!

- Nie będziesz mną poniewierał! - odpaliłam.

Wpatrywaliśmy się w siebie przez kilka muzycznych taktów, a potem wzruszył masywnymi ramionami.

- Zwracam ci wolność, ale tylko na chwilę, jeśli tego chcesz. Zatańcz sobie z Markiem. Czy mam go przysłać? Mark może sobie fantazjować, że cię kocha, ale nigdy nie wystąpi przeciwko mnie!

Pogarda, z jaką mógł pozbyć się Marka, jego pewność moich reakcji dotknęły mnie do żywego. Przybyłam tu, by go oczarować, by go zaskoczyć, a tymczasem to on znalazł sposób, by pokonać mnie własną bronią. Mimo licznych protestów, wciąż traktował mnie jak małego kociaka pokazującego pazury.

- Kiedy tak mrużysz oczy, pewny jestem, że szukasz kolejnej okazji, by się ze mną podroczyć!

- Czasami jesteś niezwykle bystry! - odparowałam i wyrwałam się z jego objęć, kiedy zamilkła muzyka.

- Kiedy położysz się na grzbiecie i zaczniesz dla mnie mruścić, mała kocico? - zapytał cicho, prowadząc mnie do gromadki wachlujących się dam.

- Dla ciebie? Nigdy! - szepnęłam zdecydowanie.

Podniósł tylko brew, uklonił się z przesadą i odszedł, gwizdząc. Wyglądał na bardzo zadowolonego.

Po chwili poprosił mnie do tańca Mark, ale oboje byliśmy nieco sztywni. Zastanawiałam się, czy przysłał go wuj i nie mogłam mu wybaczyć, że bez słowa protestu oddał mnie w łapy Shannona.

- Czy dobrze się bawisz, Roweno?

- Ależ oczywiście! - stwierdziłam z szyderstwem. - To chyba widać. Uwielbiam takie niespodzianki. Nie ma nic lepszego niż prywatna kolacja, na której spotyka się niespodziewanie wszystkich notabli z okolicy. Przypomina mi to mój pierwszy bal w Londynie!

Mark spieszył się, a spod jego opalenizny wychynał lekki rumieniec.

- Przysięgam, że o niczym nie wiedziałem! Cały dzień spędziłem na załatwianiu głupawych poleceń, ledwo zdążyłem się przebrać. A potem on ogłosił, że kolacja będzie oficjalnym wydarzeniem. Uwierz mi, nie miałem pojęcia.

- To znaczy, że twój wuj nie zwierzył ci się, iż planuje ściągnąć mnie tutaj na pokaz? Liczył, że pojawię się jak strach na wróble, i wyjdę na idiotkę przed jego wytwornymi przyjaciółmi! Pewna jestem, że tego chciał. Może sądził, iż zawstydzę się tak bardzo, że zwinę bagaż i ucieknę na Wschód!

- Przyznaję, że ma dość prostackie poczucie humoru, ale nie wydaje mi się, że chce

twojego wyjazdu, Roweno. Polubił cię.

- W dziwny zatem sposób to okazuje! - Chłodnym wzrokiem popatrzyłam na Marka. - I właśnie to poczucie humoru, którego tak zaciekle bronisz, nakazało mi zaproponować mi małżeństwo. Czy chcesz, abym została twoją ciotką, Marku Shannonie?

Zacisnął usta i przybrał dziwny wyraz twarzy, postarzający i srogi.

- Wiesz, że jest to ostatnia rzecz na świecie, której bym pragnął - szepnął. - Ale jak już zauważyłaś, wuj Todd jest bardzo gwałtownym mężczyzną. Ludzie zazwyczaj nie kwestionują jego poleceń. Miałem nadzieję, że ty będziesz inna. Ale wybór należy do ciebie.

Dlaczego miałam wybierać? Lubiłam Marka. Był dla mnie jak brat, którego nigdy nie miałam. Pogodził się z odrzuceniem przeze mnie jego półoświadczyń jak na dżentelmena przystało. Niestety jego wuj zaliczał się do odmiennej kategorii mężczyzn. Magnat - bandyta - zdecydowany, zachłanny. Przyzwyczajony do wyciągania ręki po wszystko, co zechce. Ale ja nie będę łatwym łupem!

Czułam rozpaczliwą potrzebę udowodnienia własnej niezależności, gdyż wściekłość mnie ogarniała, kiedy wszyscy, łącznie z Markiem, wierzyli, iż ulegnę Toddowi Shannonowi.

- Mark, chciałabym wrócić do domu. Czy możesz mnie odwieźć? - zapytałam nagle.

Zaskoczyłam go i przeraziłam.

- Ależ Roweno, minęła już druga nad ranem! Myślałem, że mój wuj cię uprzedził. Wszyscy jego goście zostają tu na noc. Wierz mi, w tych stronach to taki zwyczaj. Pewien jestem, że Marta i Jules domyślą się, że...

- Jeśli ty się boisz, Mark, znajdę kogoś innego - przerwałam. - Twojemu wujowi wydaje się, że wszystko mu wolno. Ale ja nie jestem pionkiem, który można przestawiać z miejsca na miejsce!

Po raz pierwszy w oczach Marka dostrzegłam gniew. Gniew i zmieszanie.

- Uważasz, że daję sobą łatwo manipulować? Wykorzystujesz mnie, by odegrać się na wuju Toddzie, a to mi się nie podoba.

Zaczerwieniłam się ze złości i zażenowania słysząc tę trafną uwagę. Czy uciekałam

przed Toddem Shannonem? Czy on też tak myślał?

- Przepraszam, Mark. Masz rację - przyznałam. - Ale nie lubię, gdy ktoś mną po-
niewiera.

Parsknął krótkim, nieszczerym śmiechem.

- Pewny jestem, że nigdy sobie na to nie pozwolisz. Jesteś silną, niezależną osobą,
prawie tak upartą jak mój wuj. Nie mam ci za złe, że porównujesz mnie do niego i uwa-
żasz za słabeusza. - Uścisnął moje palce i dodał cicho: - Widzisz, do tej pory nigdy nie
czułem się na siłach, by się mu sprzeciwić.

- To znaczy, że jesteś gotowy stanąć po mojej stronie? - Otworzyłam szeroko oczy.

Tej nocy ujrzałam Marka w innym świetle i zawstydziłam się na myśl, że rozmyśl-
nie go dręczyłam, wyładowując na nim swe żale.

- Zrobię dla ciebie wszystko - przyrzekł Mark, a jego niebieskie oczy nabrały jasnej
barwy. - Wiedziałem, że mam szansę, by cię odzyskać. Jeśli nie miłość, to przynajmniej
twój szacunek.

Muzyka zamilkła zanim znalazłam stosowną odpowiedź. Co mogłam mu powie-
dzieć? Lubiłam Marka, ale to nie była miłość. Odkryłam, że mimo niechęci, jaką darzy-
łam Todda Shannona, czułam, że ów człowiek pociąga mnie fizycznie i pojęcia nie mia-
łam, jak sobie z tym poradzić. Po prostu się bałam.

Gdyby po tańcu z Markiem nie porwał mnie znów w ramiona, wypytując, o czym
tak rozmawialiśmy z poważnymi minami, zachowałabym się rozsądniej. Lecz Todd
Shannon narzucał mi się bezwstydnie, ośmielając się nawet okazywać rodzącą się za-
zdrość.

- Pytałam Marka, czy zabierze mnie do domu, a on poinformował mnie, że zgodnie
ze zwyczajem w tych stronach goście zostają na noc. Czy nakazałeś mu, by mi o tym nie
powiedział wcześniej?

Przechyliłam mocno głowę, by spojrzeć mu w twarz, ale nie dał mi szansy, ściska-
jąc jeszcze mocniej w objęciach.

- Bierzesz mnie błędnie za nowicjusza, panienko! Przypuszczałem, że ktoś ci o tym
powie. Zrobiłabyś to samo, gdyby na kolację zaprosili cię Bradysowie czy Kilkennyso-
wie. Przyjęło się tutaj, że po kolacji goście zostają na noc.

Wyszczerył szyderczo zęby, a w jego oczach zabłyśły diabelskie ogniki.

- Czego się spodziewałaś? Miłego sam na sam? Kiedy poznasz mnie lepiej, przekonasz się, że nie mydlę nikomu oczu. Zamierzam cię zdobyć, dziewczyno, a kiedy to się już stanie, będziesz tego pragnęła tak mocno jak ja.

- Jesteś najbardziej zarozumiałym, aroganckim mężczyzną, jakiego miałam nie-szczęście poznać! Jeśli ci się wydaje, że ja...

- Ja przynajmniej nie bawię się w ciuciubabkę, maleńka. Nie skradam się jak kot i nie marnuję czasu na zbyt długie zaloty. Kiedy znajduję, czego chcę, wyciągam rękę i tyle.

Z trudem kontrolowałam narastającą furię.

- Czuję się zaszczyciona. Ale jeśli kiedykolwiek zdecyduję się wyjść za mąż, sama dokonam wyboru, dziękuję!

- Przypominasz małą kotkę pokazującą pazury! W porządku. Gdybyś była pierwszą lepszą, nawet bym na ciebie nie spojrzał. Tylko nie zastanawiaj się zbyt długo, słyszysz? Cierpliwość nie jest moją mocną stroną.

Zaśmiał mi się prosto w poczerwieniałą od gniewu twarz i przyciskając mocno, zakręcił szybko dokoła. Za wszelką cenę chciał udowodnić swą siłę i nicość mojego oporu.

Ale ja mu jeszcze pokażę! Tak, dowiodę mu jak bardzo się mylił!

Rozdział 9

- Jak ci się układa z papą? - spytała złośliwie Flo Jeffords. - Wygląda na bardzo zadowolonego z siebie!

Odziana jedynie w cienką, zdobioną kokardą koszulę wyciągnęła nad głowę ramiona niczym leniwy kot, ale bacznie obserwowała w lustrze każdy mój ruch.

Siedziałam na brzegu jej łóżka i szczotkowałam włosy.

- Nic na to nie poradzę. Oczywiście, zbyt wiele sobie wyobraża i to jest błąd.

- Uległaś, zostając na noc, prawda?

- Nie chciałam robić skandalu. Poza tym nie znam drogi do domu.

- Wiem, jak papa sobie z tym radzi. Chce cię tu zatrzymać. Najpierw śpimy do oporu, potem zasiądziemy do obfitego śniadania. Zabierze cię na przejażdżkę, może pokaże ci bibliotekę. Zajmie cię aż do następnej kolacji.

- Och? - uniosłam brew. - Wygląda na to, że robi to często!

- Jesteś zazdrosna! Oczywiście, że robił to wcześniej. Papa jest mężczyzną i niejedna kobieta wpadła mu w oko. Nie myśl, że jesteś jedyna. Różnica polega na tym, że jesteś współwłaścicielką SD.

- Nie obchodzą mnie jego motywy - oświadczyłam spokojnie. - W każdym razie zamierzam wyjechać bardzo wcześnie, zanim obudzą się pozostali goście. Ponieważ podobnie jak ja też tego chcesz, schowaj pazury i obudź mnie, powiedzmy o szóstej lub siódmej. Mam nadzieję, że będzie jeszcze spał!

Odwróciła się z błyszczącymi oczami.

- Mówisz poważnie? Zrobisz coś takiego papie? Och, chyba go krew zaleje! Mój Boże, jak ja mu się potem pokażę na oczy?

- Pewna jestem, że znajdziesz sposób, by całą winę zrzucić na mnie. Powiedz mu, że się uparłam i nic nie było w stanie mnie powstrzymać. W końcu nie jestem jego więźniem!

Flo zachichotała mściwie.

- Chciałabym zobaczyć jego twarz, jak się będzie na mnie wściekał! Naprawdę mówisz poważnie? On oczywiście wstaje bardzo wcześnie. Budzi się o szóstej, jak reszta

ludzi, bez względu na to, o której się kładzie, i wyjeżdża razem z nimi. Ale nie wróci przed dziewiątą lub dziesiątą. Jeśli jesteś zdecydowana, pożyczę ci moją amazonkę - zaśmiała się. - Może pojedę z tobą kawałek, bo nie chcę spotkać papy ani Marka zanim ochłona.

- To miło z twojej strony. Możesz pojechać ze mną do końca, jeśli chcesz. Nie wątpię, że Marta przygotuje nam pyszne śniadanie. - Ziewnęłam. - Skoro więc wszystko już ustaliliśmy, prześpijmy się trochę.

- Muszę przyznać, że jesteś bardzo opanowana - stwierdziła lakonicznie Flo i położyła się na szerokim łożu obok mnie.

Przeciągnęła się i ziewnęła.

- Wielkie nieba, ale jestem zmęczona. Nie martw się, obudzę się na czas. Przyzwyczajona jestem do wczesnego wstawania.

Ja również byłam wyczerpana i choć nie byłam przyzwyczajona do dzielenia z nikim łoża, zasnęłam w mgnieniu oka.

Obudziło mnie szarpanie Flo.

- Minęła szósta! Papa wyjechał ponad godzinę temu w pośpiechu, gdyż jeden z kowbojów przyniósł wiadomość, że ktoś przeciął ogrodzenie. Mamy zatem więcej czasu. Czy nadal chcesz jechać?

Siadłam wyprostowana, strząsając włosy z oczu.

- Z całą pewnością.

Flo była już ubrana w wiśniową amazonkę z rozciętą spódnicą. Tego ranka okazała się niezwykle uczynna.

- W dzbanku jest gorąca woda, przygotowałam też dla ciebie zieloną amazonkę. Jeździsz na koniu okrakiem, prawda?

- Tak - przyznałam ponuro, przypominając sobie komentarze zszokowanych dam z Jhanpuru.

- Ubierz się, a ja każę osiodłać dwa konie. Pośpiesz się, bo jak papa się dowie, może ruszyć w pościg!

Pośpieszyłam się, bo szybka zmiana strojów nie była mi obca. Przed snem złożyłam starannie moją aksamitną suknię, ale teraz musiałam ją zostawić. Być może Mark ją

przywiezie. Biżuterię wsunęłam do kieszeni amazonki Flo, pasującej na mnie jak ulał. Nie było czasu na układanie włosów; rozczesałam je tylko i splotłam w luźny warkocz na plecach.

Kiedy skończyłam, do pokoju wpadła Flo i zamknęła z przesadną ostrożnością drzwi.

- No chodź! Tylko nie rób hałasu, bo pokój Marka znajduje się po drugiej stronie korytarza. Nie chcę, aby nas usłyszał.

Przypominało mi to szkolną eskapadę - figle, na które nigdy nie mogłam sobie pozwolić.

Po raz pierwszy poczułam się niezręcznie - obawiałam się, że postępuję w głupi i złośliwy sposób. Jednak nie miałam czego żałować. Jeśli Todd Shannon będzie miał satysfakcję, że przed nim uciekam, jego sprawa! Teraz w głowie mi była tylko ucieczka.

Kiedy obie z Flo wyszłyśmy z domu, młody chłopak trzymający konie nie spuszczał z nas wzroku. Flo rzuciła mu zniewalający uśmiech, a on zaszurał nogami i oblał się rumieńcem.

- Ben, jesteś najmiłszy i najlepszy! Przypomnę ci o tym, kiedy wrócimy, słyszysz?

- Ech... panienko Jeffords - wydukał. - Chyba nie jadą panie zbyt daleko? To by się nie spodobało panu Shannonowi... gdyby pomyślał...

Pomógł Flo dosiąść konia, podczas gdy ja wskoczyłam na siodło samodzielnie. Flo klepnęła go delikatnie po ramieniu, a on zaniemówił z wrażenia.

- Ben! Wiesz, że jestem zawsze ostrożna. Ta dama to córka pana Dangerfielda. Nie miała okazji zobaczyć naszej części rancza. Prawda, Roweno?

Współczułam biednemu, oczarowanemu Benowi, ale uśmiechnęłam się do niego przebiegle i potwierdziłam, że zamierzamy jedynie odbyć małą przejażdżkę, zanim wstanie słońce.

Flo wybuchnęła śmiechem, kiedy stracił nas z widoku.

- Biedak! Czy widziałaś ten jego cielecy wzrok? Zrobi dla mnie wszystko, co mu każe!

Pomyślałam nagle o Luke'u Cordzie, młodzieńcu, który podobno prawie zgwałcił Flo. Czy i on, podobnie jak Ben, stracił dla niej głowę? Czy wiedziała, że pojawił się w

tych stronach?

Flo Jeffords rozbudziła moją ciekawość. Była atrakcyjną kobietą, świadomą swego uroku i władzy nad mężczyznami. Jaka była w wieku piętnastu lat?

Flo trzymała się w siodle doskonale i kiedy przekonała się, że potrafię dotrzymać jej kroku, popędziła swą małą klacz do galopu. Pokłusowałam za nią. Jechałam na koniu maści arabskiej, nieco mniejszym i bardziej zawziętym. Był to czteroletni wałach, trochę rozbrykany, ale przywróciłam go do porządku.

Po paru chwilach dogoniłam Flo. Jechałyśmy obok siebie po lekkich zagłębieniach pozostawionych przez wozy i fury.

- Dajmy wytchnienie naszym koniom - przed nami jeszcze długa droga - krzyknęła Flo, a ja kiwnęłam głową, dając jej możliwość kontynuowania rozmowy.

Milczenie nie trwało zbyt długo. Odwróciła się w moją stronę i zapytała z błyszczącymi oczami:

- I co? Jak ci się podoba SD? Co myślisz o *palacio* wybudowanym przez ojca? Pewna jesteś, że nie chciałabyś tam mieszkać? Wydaje mi się, że nie jesteś przyzwyczajona do tak małych domków jak twój! - zaśmiała się drwiąco. - To zadziwiające, że jesteś tu tak długo. Spodziewaliśmy się, że wrócisz do Bostonu po tygodniu. Papa nie znosi wokół siebie brzydkich kobiet, więc kiedy cię zobaczył po raz pierwszy... Potem, gdy dostał list od mojej ciotki wpadł w furję, podejrzewając podstęp. Nie był nawet pewny, czy jesteś córką wujka Guya!

- Z pewnością już się o tym przekonał - odparłam spokojnym tonem. - Czy nieuprzejmość wobec innych kobiet to twój styl? Czy to tylko dlatego, że mnie nie cierpisz?

Oniemiała na chwilę, a jej oczy miały gniewne błyskawice.

- Nie do wiary! Więc i ty też potrafisz być zjadliwa, jeśli tylko chcesz. Ale w tym przypadku powinnaś być mi wdzięczna za szczerść. To bardzo trudny mężczyzna. I brutalny. - Popatrzyła na mnie spod długich rzęs, mierząc moją reakcję.

- Wiesz, on chyba nie jest w stanie pokochać innej kobiety. Kiedy zmarła jego pierwsza żona, Alma... Pewnie słyszałaś o tym w Bostonie. Corinne Davidson to taka nieznośna plotkara!

Nie dałam po sobie poznać, że ta lekceważąca uwaga na temat Corinne wytrąciła

mnie z równowagi.

- Ale ożenił się z twoją matką, prawda? - stwierdziłam lodowato. - I zaadoptował cię? Więc chyba ją kochał.

Flo zmarszczyła brwi.

- Ożenił się z nią, bo potrzebował gosposi i gospodyni dla swoich gości. I oczywiście chciał mieć synów. Moja matka była bardzo chora, ale jego to nie obchodziło! Sympiał z nią tylko po pijanemu. Większość czasu spędza w pokoju Almy!

- Przecież ona nie żyje! - wybuchnęłam zaskoczona.

- Nie dla niego! Dla niego nigdy nie umarła. Przypuszczam, że nie byli ze sobą zbyt długo, więc mu się nie znudziła. Miał pokój umeblowany tak, jak sobie to razem zaplanowali. Wisiał w nim jej portret namalowany ze starej fotografii. Kiedy byłam młodszą, wyobrażałam sobie, jak do niej przemawia. Miałam wrażenie, że i ona mu odpowiada! Nie rozumiesz? Moja matka umarła, bo nie mogła znieść obecności drugiej kobiety! Kochała go, ale jego obojętność i ataki gniewu uczyniły ją bardzo nieszczęśliwą. W końcu, kiedy straciła dziecko, bała się żyć ze świadomością, że go zawiodła. I ty też będziesz musiała z tym żyć, jeśli będziesz na tyle głupia, by go poślubić!

Nuta rozpacz w głosie Flo poruszyła mnie. Była zepsuta, próżną istotą, ale nie była szczęśliwa.

- Jest dla ciebie dobry, prawda? - spytałam łagodnie.

- Zaadoptował mnie jako swą córkę, więc jestem jego własnością. Daje mi wszystko, czego zapragnę. Wszystko, co można kupić za pieniądze!

- Dlaczego więc wróciłaś, skoro nie jesteś tu szczęśliwa?

- Bo życie z Derekiem okazało się nie do zniesienia, dlatego! Nigdy tego nie zrozumiesz. Wyszłam za niego, by uciec z tej straszliwej szkoły. Była gorsza niż więzienie! I ta ciotka Katherine, Mark i fałszywa Corinne - wszyscy roztoczyli nade mną opiekę, ale za moimi plecami obgadywali mnie i traktowali jak trędowatą! Derek miał pieniądze, kochał mnie i dałby mi wszystko, czego zechcę. Ale to za mało! To sflaczały staruch o cuchnącym oddechu! Uff! Zbierało mi się na wymioty, kiedy kładłam się obok niego, kiedy wyciągał do mnie swe wilgotne łapy! Ty nie znasz tego uczucia, prawda? Pozbawiona jesteś wszelkich emocji i namiętności. Zawsze chłodna i opanowana. „Purytańska

stara panna" - tak nazwał cię papa po pierwszym spotkaniu. Ty znasz tylko swój cichy i bezpieczny światek!

- I tobie nie zaszkodzi odrobina samokontroli - rzuciłam ostro, kiedy jej oczy wypełniły się łzami gniewu i goryczy. - Spróbuj zrozumieć, że inni ludzie też mogą skrywać swe nieszczęście i gorzkie wspomnienia, choć nie okazują tego na zewnątrz!

Flo zagryzła usta i z pogardą odrzuciła głowę.

- Chcesz powiedzieć, że i ty przeżyłaś nieszczęśliwy romans? Czy to dlatego postanowiłaś porzucić przepych Londynu?

Jej nagła zmiana nastroju doprowadziła mnie do śmiechu.

- Na szczęście dla mnie nigdy nie wdałam się w żaden romans. A ty? Czy to dlatego opuściłaś swego męża?

Przebiła mnie badawczym wzrokiem.

- Już ci powiedziałam, dlaczego porzuciłam Dereka! - syknęła ponuro. - Nie wytrzymałabym z nim ani minuty dłużej, to wszystko! Spakowałam kufry i oznajmiłam, że jadę odwiedzić papę. Kiedy się tu zjawiłam, nie mógł mnie odesłać, bo wywołałby plotki. Przez jakiś czas nawet cieszył się z mojego powrotu. Dopóki ty się nie pojawiłaś - dodała z dziecinną swarą. - Teraz nie zwraca na mnie uwagi. Może myśli, że stanę mu na drodze, że zacznę się wtrącać!

- Moim zdaniem za bardzo dramatyzujesz - oświadczyłam. - Nie mam zamiaru mieszać się do twoich spraw ani też zostać trzecią żoną twojego ojczyma. Nigdy ze mną o tobie nie rozmawiał i pewnie nie ma ochoty.

- Tylko tak mówisz! - mruknęła nadąsana i zamilkła.

Nie miałam nastroju do dalszej dyskusji, bo przemyśleć musiałam wiele spraw. Zażęknęłam nagle za spokojem i ciszą mojego domostwa. Nikt, nawet Todd Shannon, nie zdołał tego spokoju zniszczyć!

Flo przebyła ze mną szmat drogi. Milczała, pogrążona w myślach.

Kiedy dotarliśmy na szczyt niewielkiego wzgórza, wyciągnęła rękę i wskazała na szlak w dół. Powiedziała, że z pewnością nie zabłądzą, a ja rozpoznałam drogę, po której jeździłam konno z Markiem.

- Jesteś pewna, że nie chcesz towarzyszyć mi do końca? - spytałam uprzejmie. -

Marta przygotowuje śniadanie, a Jules odwiezie cię do samego rancza. Wszyscy ostrzegają mnie, że samotne wypadki nie są bezpieczne.

- Być może dla ciebie, ale nie dla mnie! Znam te tereny. Jeżdżę po nich od dzieciństwa. Poza tym zawsze noszę przy sobie pistolet. Patrz! Podciągnęła spódnicę, odsłaniając mały pistolet przypasany do uda. - Teraz widzisz, że dam sobie radę. A może to ty boisz się jechać w pojedynkę?

- Dlaczego? Przekonałaś mnie, że droga jest bezpieczna - odpaliłam. - Dziękuję za towarzystwo - dodałam.

- Zrobiłam to po to, by odciągnąć cię od papy!

Jaki z niej dzieciak! Wzruszyłam ramionami, a ona zawróciła konia i popędziła go ostrogami. Nie odwróciła się.

Nie śpieszyłam się z powrotem do domu. Znajdowałam się na własnej ziemi, sama. Dlaczego miałabym się bać?

Siedziałam w siodle i patrzyłam na górski stok. Nie dostrzegłam żadnego niebezpieczeństwa. Sama o nim myśl wydała mi się absurdalna. Poczułam jak ogarnia mnie entuzjazm. Nadszedł czas, by obudzić się z letargu i dowiedzieć się czegoś więcej o spadku. Dowiodę Toddowi Shannonowi, że nie jestem bezsilna!

Delikatny powiew wiatru muskał kosmyki włosów opadające mi na twarz; poczułam zapach kurzu i wonnych krzewów. Już miałam popędzić konia, kiedy coś - jakiś nieznaczny ruch - przyciągnęło moją uwagę. Czy w tamtej chwili rzeczywiście ogarnął mnie strach? Był to jedynie cienki skrawek czerwonego materiału zwisający z kaktusa. Pewnie jakiś nieostrożny kowboj z rancza podjechał zbyt blisko tego wielkiego, rozwidlonego kaktusa i rozdarł koszulę albo bandanę. Kimkolwiek był ten człowiek, z pewnością uwielbiał krzykliwe barwy! Czerwień była tak jaskrawa, że widać ją było z oddali na tle ciemnej zieleni kaktusowego pędu.

Przejechałam obok powoli, wyciągnęłam rękę i pociągnęłam materię z niezadowoloną miną. To musiał być wysoki mężczyzna, bo z trudem chwyciłam ten skrawek. Jedwab. Czerwona koszula z jedwabiu? Nie potrafiłam sobie wyobrazić kowboja w jedwabnej bandanie albo w takiejż koszuli. Zatem kobieta? Ale kto? I jak zdołała zaczepić się suknią tak wysoko?

Mimo narastającego upału poczułam lodowaty powiew wiatru i zapragnęłam jak najszybciej znaleźć się w domu. Wepchnęłam skrawek materii do kieszeni pożyczonej amazonki i poganiając konia, postanowiłam zapomnieć o całym zdarzeniu.

Jules i Marta doskonale ukryli swe zdumienie widząc mnie tak wcześnie, choć Jules pokiwał z dezaprobatą głową, gdy opowiedziałam mu o samotnej podróży.

Pamiętając o dobrych manierach, napisałam krótki, formalny list do Todda Shannona, przeprasząc za tak niespodziewany wyjazd. Z pewnością zrozumiał prawdziwe powody, a ja odetchnęłam z ulgą, kiedy konwenansom stało się zadość. Jules zawiózł list i odprowadził pożyczonego konia. Todd Shannon, nawet jeśli uraziłam jego dumę, zbyt liczył się ze swymi gośćmi, by ruszyć za mną w pościg. Nawet jeśli wpadł w gniew, przekonał się, że potrafię postawić na swoim.

Nie chciałam, by zepsuł mi resztę dnia! Chwyciłam dwa kolejne dzienniki ojca, zaniosłam je do chłodnego, wyłożonego książkami pokoju, który był kiedyś jego gabinetem, i zagłębiłam się w ulubionym fotelu przy oknie wychodzącym na patio. Przechodząca obok Marta zapytała troskliwie, czy mam ochotę na zimny napój.

- Przejadłam się tym wspaniałym śniadaniem - odpowiedziałam z uśmiechem.

Nagle coś sobie przypomniałam i wyciągnęłam z kieszeni spódnicy skrawek czerwonego jedwabiu.

- Marto, czy wiesz, do kogo to należy? Znalazłam to na wielkim kaktusie saguaro na rozwidleniu dróg. Znasz to miejsce, prawda?

Zobaczyłam, że jej twarz pobladła.

- Ach! *Madre de Dios!* Po tylu latach! To był sygnał, którym się posługiwali...

- Kto? Marto, mówisz bez sensu! Na miłość boską, ostatnio odpowiadasz tylko zagadkami!

Poruszała ustami wpatrując się w kawałek materii, który trzymałam w palcach.

- A więc powrócił. Czyż nie mówiłam? Wiedziałam o tym. On tu jest. To był sygnał, którego używali przed laty, kiedy mogli się bezpiecznie spotkać. Ostrzegałam go przed niebezpieczeństwem. „Zabije cię” - powiedziałam. - „Zostań ze swoimi ludźmi”. Ale on nie słuchał. „Ja też chcę go dopaść” - tak powiedział. „Pewnego dnia, Marto, odbiorę to, co Shannon nazywa swoją własnością!” A potem wyciągnął ode mnie kawałek

starej czerwonej spódnicy, którą dostałam w prezencie ślubnym od naszego patrona.

Przerwałam jej gwałtownie.

- Luke Cord! To o nim mówisz? Popatrz na mnie, Marto. Muszę znać prawdę. Czy to znaczy, że zostawił ten kawałek jedwabiu jako sygnał dla Flo Jeffords? Że...

Oczywiście. Nie musiałam pytać. Dostrzegła go. To tłumaczyło jej nagłą zmianę nastroju i decyzję o pozostawieniu mnie samej. Głupia, lekkomyślna Flo. Ale jego obwinałam bardziej. Jak śmiał powrócić i rozmyślnie, prowokacyjnie zostawić ich stary, umówiony znak na mojej ziemi? Czy wiedziała o jego powrocie?

Marta kiwała głową przygnębiona.

- *Si*, señorita, nie ma innego wytłumaczenia. Kiedy się tu pojawiła, powiedziałam do Julesa: „Nic dobrego z tego nie będzie”. Przyjechała tu, pytając, czy go widzieliśmy. To było przed pani przyjazdem. Razem z Julesem mieliśmy nadzieję...

- Nikt cię nie oskarża - wtrąciłam delikatnie. - Ale czy nie rozumiesz, Marto? Muszę wiedzieć, co się tu dzieje. Jeśli dowie się o tym pan Shannon, ponownie wybuchnie skandal. I tym razem ja będę zamieszana. - Zacisnęłam usta. - Lucas Cord! Jeśli tylko spotkam go na mojej ziemi, sama oddam go w ręce prawa!

Marta darzyła Luke'a ukrytą sympatią. Spojrzała na mnie z lękiem na okrągłej twarzy.

- Señorita! Chyba pani tego nie uczyni? On nie jest zły. Dziki - tak, ale nie zły. Tak mawiał pani ojciec. To nie była jego wina. Nie chciał mieć nic wspólnego z tą blondynką, ona nie dawała mu spokoju.

- Tym razem jest chyba odwrotnie - zauważyłam chłodno.

Postanowiłam porozmawiać z Flo. Wygarnę jej wszystko, nawet, gdyby miała mnie nienawidzić do końca życia. A jeśli chodzi o Luke'a Corda, pewna byłam, że Bragg - kiedy tylko się pojawi - poradzi sobie z tym problemem.

Marta wróciła do kuchni, a ja zatopiłam się w dziennikach ojca. Jak mógł polubić kogoś tak dzikiego i lekkomyślnego jak Luke Cord? Najwyraźniej minione lata i więzienie niczego w nim nie zmieniły. Wyglądało na to, że świadomie naraża się na kłopoty.

Miałam czytać dzienniki w porządku chronologicznym, ale przerzuciłam tylko gęsto zapisane kartki pierwszego tomu i zabrałam się za tom następny, szukając rozdziału,

który mnie interesował.

Dziś przywiozłem Lucasa do domu. Syna Eleny, który mógł być moim synem. Trudno jest mi się z nim porozumieć, ale chyba zaczyna mi ufać. Wie, że kochałem jego matkę, co stwarza między nami pewną więź. Uwielbia ją. Jego twarz łagodnieje tylko wtedy, gdy o niej opowiada. Mówi, że nadal wygląda młodo i pięknie...

A więc wszelkie brawurowe poczynania mojego ojca były hołdem dla owej tajemniczej Eleny! Opuściłam część tekstu, szybko przerzucając kartki.

Zostałem profesorem! Zaczęliśmy od gry w szachy, a teraz uczę Lucasa podstaw czytania i pisania. Początkowo przerażał mnie fakt, że nie miał o nich pojęcia, ale czego mogłem oczekiwać? Wychowano go na wojownika Apaczów. Mówi, że nauczył się wyciągać broń i celnie strzelać, kiedy miał dziesięć lat. Ta wiedza, rzecz jasna, to rezultat wędrówek z comancheros.

Kilka stron dalej przeczytałam:

Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jestem samotny. Dobrze jest przebywać w towarzystwie kogoś młodego i chętnego do nauki; choć podejrzewam, że jego pragnienie wiedzy wynika z palącej żądzy zemsty na moim współniku. Pod tym względem pozostaje Apaczem, choć chciałby żyć jak biały człowiek. Co za głupia dyskryminacja! Gdyby kolor skóry miał jakieś znaczenie, Lucas nie byłby Indianinem nawet w jednej czwartej.

Próbowałem rozmawiać z nim o filozofii, ale on nie jest jeszcze gotowy do abstrakcyjnego myślenia. Lucas oznajmił mi dziś, że naprawił podkowę u konia Flo Shannon. Omal nie spadła z siodła podczas przejażdżki. Chciałem go ostrzec, by nigdy już się do niej nie zbliżał, ale słowa uwięzły mi w gardle. Z pewnością rzuciłby mi to swoje lodowate, baczne spojrzenie. Pomyślałby, że to wszystko przez jego indiańską krew...

Przerzuciłam kilka pożółkłych stron i zatrzymałam wzrok.

Czuję się winny własnej krótkowzroczności. Marta i Jules wiedzieli, ale wyznali, że bali się mojej reakcji. I ja byłem kiedyś młody - dlaczego o tym nie pomyślałem? Flo Shannon, mimo młodego wieku, jest naiwną flirciarą. Zawsze tak uważałem. Czyż nie przewracała oczami do moich kowbojów?

Boże, dopomóż mi - nie chciałem, żeby wracał. Ale zaufał mi, dał słowo. Mówił, że chce wyznać prawdę. Jego posepna twarz zdawała się przewidywać przyszłość. „Sprawiedliwość białego człowieka!” - wybuchnął z goryczą, a ja nie potrafiłem zaprzeczyć. Nienawiść rodzi nienawiść. Próbowałem przekonać Todda, ale zaślepiło go własne pragnienie zemsty.

Napisałem do komendanta więzienia w Alcatraz. Może uzyskam pomoc. Po raz pierwszy cieszę się, że mam tylu przyjaciół, po raz pierwszy postaram się wykorzystać wszelkie wpływy i znajomości. To nie sprawiedliwość, ale uprzedzenie skazały Lucasa Corda na dożywotnie więzienie...

Zatrzasnęłam oprawioną w skórę książkę. Nie miałam ochoty na dalszą lekturę. Mój ojciec wierzył w sprawiedliwość, uwierzył w opowieść Luke'a Corda. Ale Luke Cord nie był już chłopcem, lecz dorosłym mężczyzną. Zawziętym, twardym; pełnym nienawiści jak Todd Shannon. Czy mój ojciec pomagał mu tylko dlatego, że był synem Eleny? Niewielki skrawek czerwonego jedwabiu zakłócił mi cały dzień i wpakował w niemłą, niebezpieczną sytuację. Instykt podpowiadał mi, że wykorzystuje Flo, by dokonać swej zemsty, a ona - biedny głuptas - jest zbyt próżna, by to dostrzec.

Pomyślałam ponuro, że chciałabym się spotkać z tym Luke'em Cordem twarzą w twarz i dać mu nauczki.

Rozdział 10

Tego wieczoru położyłam się wcześniej do łóżka, niespokojna i zakłopotana. Jules powrócił z *palacio* z ponurą miną. Osobiście wręczył mój list Toddowi Shannonowi, ale ten nawet na niego nie spojrzał. Widząc napięcie malujące się na twarzach pracowników SD i przygaszoną atmosferę wywnioskował, że patron jest w podłym nastroju. Czy coś powiedział? Jules potrząsnął siwą głową. Ani słowa. Podobno ktoś przeciął ogrodzenie i skradł kilka sztuk bydła. Wszyscy rozprawiali tylko o tym. Zabrzmiało to raczej złowieszczo i zastanowiłam się, czy kradzież bydła nie była sprawką Luke'a. Może chciał odwrócić uwagę Shannona i jego ludzi, podczas gdy sam spotykał się potajemnie z Flo?

Podświadomie oczekiwałam przyjazdu Marka, ale i on trzymał się z daleka. Za wszelką cenę pragnęłam porozmawiać z Flo, ale nie mogłam ponownie wysłać Julesa z listem do niej. Nie byłyśmy nawet przyjaciółkami! Ostatecznie doszłam do wniosku, że pozostaje mi jedynie czekać na stosowną okazję. Odczuwałam zmęczenie, fizyczne i psychiczne.

Zjadłam kolację o szóstej, a o siódmej trzydzieści leżałam już w łóżku, zbyt wyczerpana i leniwa, by zgasić małą lampkę, która paliła się na toaletce.

„Nic nie szkodzi”, pomyślałam sennie, „nie ma w niej wiele nafty, wkrótce sama zgaśnie...” a potem zapadłam w głęboki sen.

Nie pamiętam, co mnie obudziło. Jakiś hałas? Błysk światła na moich zamkniętych powiekach?

W półśnie zauważyłam jaśniejącą lampę. Czy to możliwe? Przecież dogasała. Skąd w mojej sypialni znalazł się obcy mężczyzna, skradający się pod ścianą i nie spuszczaający ze mnie wzroku? To on zapalił lampę.

Zobaczył, że otwieram szeroko oczy i wyprostował się powoli, wodząc po mnie ostrożnym, zadumanym wzrokiem.

- Proszę nie krzyczeć. Nie zrobię pani krzywdy, ale to jedyny sposób, żeby porozmawiać z panią na osobności. Czy już się pani przebudziła?

Przemawiał spokojnym, matowym głosem z nutą zniecierpliwienia. Oślepiona nieco światłem, pomyślałam z irytacją, że nie tak go sobie wyobrażałam.

Nie spodziewałam się, że będzie wysoki, a jego gęste, czarne włosy rozbłysną w świetle odcieniami starego złota. Pewna byłam, że okaże się mężczyzną o płaskich, ciemnych rysach jak Meksykanin lub Indianin, tymczasem dostrzegłam jego prosty nos po hiszpańskich przodkach i twarde, wykrzywione w uśmiechu usta. Patrzył na mnie z lekką drwiną, widząc mój ciekawski wzrok.

- A więc? - powtórzył tym samym matowym tonem, a w duchu śmiał się zapewne z mojego otepiałego wyglądu.

W końcu odzyskałam mowę.

- Czy wyglądam na tchórza? - zapytałam zgryźliwie, siadając na łóżku otulona po ramiona kocem.

- Teraz nie - odparł, a w kącikach jego zadziwiająco brązowych oczu pojawiły się małe zmarszczki.

- A więc skoro wstępną prezentację mamy już za sobą, może wyjaśnisz mi, co robisz w mojej sypialni w środku nocy, Lucasie Cord?

- Studiowała pani moje listy gończe? A może potrafi pani zgadywać?

- Nie mam ochoty na bezsensowne żarty! - wykrzyknęłam z furją. - Nie wiem, jak się tu dostałeś, ale powiedz, co masz do powiedzenia i wynoś się stąd!

- Myślałem, że to pani chce mi coś powiedzieć.

Ponownie dostrzegłam jego zmarszczki. Na policzku ukazał się mały dołeczek, kiedy skrzywił usta w kpiącym, jednostronnym uśmiechu. Odniosłam wrażenie, że nie uśmiechał się zbyt często. W jego oczach zamigotały zielone iskierki, niczym maleńkie płomienie, a ja wystawiłam się na pośmiewisko, gapiąc się na niego jakbym w życiu nie widziała mężczyzny.

- W jaki sposób...

Odpowiedział tym samym, cichym głosem:

- Widziałem, jak zabierasz ten kawałek czerwonego jedwabiu. Pewien byłem, że spytasz o niego Martę. - Dobrą pamięć ma ta stara kobieta! Powiedziała ci, co?

Przyglądał się mojej twarzy. Chyba nie potrafiłam ukryć swych emocji, ale jego zimne, zuchwałe zachowanie irytowało mnie i on dobrze o tym wiedział.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł niespodziewanie, przesuwając palcami po długich

włosach. Na moment zapomniał o czujności, a w jego dziwnych oczach pojawiła się chłopięca bezbronność. - Pani papa zawsze powtarzał mi, że muszę nabrać dobrych manier. Jak widać, nigdy mi się to nie udało. Nie powinienem był się tu wpychać, ale przypuszczałem, że pani coś podejrzewa, więc...

- Podejrzewa! Czy uważasz mnie za idiotkę? - Na samo wspomnienie jego spotkania z Flo wpadłam w złość i przerwałam mu, nie przebierając w słowach. - Dowiedziałam się sporo o tobie, więc wiem, co sobie zaplanowałeś! A Flo Jeffords jest wystarczająco głupia, by dać się nabrać. Zapewniam cię jednak, że ze mną ci się to nie uda! Co ty sobie wyobrażasz? Czy chcesz ukarać ją za to, co wydarzyło się przed wielu laty? A może to pokrętna zemsta na Toddzie Shannonie?

Przybrał surowy wyraz twarzy i zacisnął usta. Kiedy zmrużył oczy zrozumiałam, dlaczego ludzie opowiadali o jego groźnym wyglądzie. W tym momencie przypominał drapieżne zwierzę.

- Kim jest dla pani Flo? Myślałem, że jak zwykle przesadza, opowiadając, że Shannon zakochał się w pani, ale chyba się myliłem. Może w końcu i do pani się dobrał. Czy to dlatego tak bardzo martwi się pani o Flo?

Z zaciśniętymi zębami syknęłam:

- Nie obchodzi mnie, jak bardzo nienawidzicie się z Toddem Shannonem. Możecie się pozabijać, nie dbam o to! Ale nie będziesz wykorzystywał do swych celów innych ludzi! Flo jest nieszczęśliwą, wylęknioną kobietą, a ty nie będziesz komplikował jej życia jeszcze bardziej!

W jego oczach dostrzegłam iskierkę zdziwienia.

- Dlaczego się pani nią przejmuje? Ona nawet pani nie lubi!

- To nie ma znaczenia! - odparowałam z pasją. - Czy ty niczego nie rozumiesz? Jeśli masz porachunki z Shannonem, dlaczego nie staniesz z nim do walki jak mężczyzna? Skończ z tym raz na zawsze, a może wreszcie zapanuje tu spokój!

- Myśli pani, że to takie łatwe - odparł z goryczą. - Chryste, jak mało pani wie! Stanąłbym przed Shannonem, gdybym tylko miał okazję się do niego zbliżyć, ale nie tędy droga. Wyznaczył nagrodę za moją głowę - wielkie pieniądze - tak jak za głowę mojego ojca. Po co miałby marnować kulę na Indianina? To jego sposób. Niech ktoś inny

wykona brudną robotę. Omal nie zabił kiedyś mojej matki, a potem przygotował zasadzkę na mojego ojca. Jeśli nie uderzę pierwszy, zrobi to samo ze mną! - Lucas Cord zrobił krok w stronę łóżka, a potem przeklinając pod nosem, zatrzymał się.

Siedziałam w milczeniu, obserwując jak miota się po pokoju niczym zwierzę w klatce.

- Dlaczego nie wyjedziesz? Jesteś młody, możesz rozpocząć życie od nowa. Po co tu wróciłeś? Shannon zapomni o tobie. Zapomni...

- On niczego nie zapomina! - wbił we mnie z wściekłością kocie oczy. - Tak jak ja! Shannon ukradł ziemię, którą uważa za własność SD, mojemu ojcu, a zgodnie z prawem należy ona do mojej matki! Powiedzieli, że Alejandro Kordes został wyjęty spod prawa, bo walczył o coś, w co święcie wierzył. Podobno wszystkie dokumenty i akty prawne nadające ziemię jeszcze za czasów króla hiszpańskiego zginęły lub zostały zniszczone podczas wojny. Niektórzy ludzie pamiętali, że ta ziemia przez lata należała do rodu Kordesów, zanim pojawili się Anglicy. Shannon wymigał się, twierdząc, że poślubił kobietę z tej rodziny. I że to ona miała prawo do ziemi, które przeszło na niego. Pani prosi mnie, abym o tym zapomniał? Albo o czasie spędzonym na tej diabelskiej wyspie zwanej więzieniem? A może o tym, jak wynajęci przez Shannona mordercy próbowali mnie zabić?

- Jesteś pełen nienawiści tak jak on! - zauważyłam. - Wykorzystasz każdą sposobność, by się na nim odegrać, prawda?

- Nawet jeśli tak jest, to co to panią obchodzi?

Starałam się nie podnosić głosu.

- Masz zamiar rozpocząć nową wojnę. To ty przeciąłeś ogrodzenie, prawda? Ale dlaczego? Dlaczego właśnie teraz?

- Być może chciałem odwrócić uwagę Shannona od nowej współpracownicy - jego głos brzmiał bardziej chrapliwie, kiedy przemawiał szeptem.

Popatrzyłam na niego tępym wzrokiem.

- Na litość boską! Nic o mnie nie wiesz. Twoje działania nie mają sensu!

- Wydaje mi się, choć jest to nieco zagmatwane, że to pani jest kluczem do rozwiązania tych problemów raz na zawsze. Pani ojciec wiedział o tym, tylko nie zdążył z panią porozmawiać, a tak bardzo tego pragnął.

- Ja? - zdziwiłam się i zagryzłam wargi. - Obawiam się, że mówisz zagadkami. Co ja mam z tym wspólnego? Jestem tu dopiero od miesiąca i jedyne, co wiem o tej wendecie - tak ważnej dla was wszystkich - to to, że zaczęła się przed wielu laty, a dziś powinna być już zapomnianą przeszłością. Wszystkiego dowiedziałam się z drugiej ręki. Skąd zatem ta pewność, że mogę położyć kres waśniom?

W roztargnieniu pocierał dłonią nieogoloną brodę, nie odrywając ode mnie wzroku. Odniosłam wrażenie, że mnie oceniał, próbując przewidzieć moją reakcję na kolejne słowa.

Przez moment mierzyliśmy się wzrokiem; ja prowokująco, on w zadumie. Nagle uświadomiłam sobie, że porównuję go z Toddem Shannonem. Lucas Cord miał na sobie wytarte džinsy i indiańskie mokasyny do kolan. Jego koszula, niegdyś niebieska, straciła żywą barwę. Zamiast tasiemkowego krawata, jaki niezmiennie nosił Todd, przewiązał sobie na szyi czerwoną bandanę. Jakim prawem zakradł się nocą do mojej sypialni jak złodziej? Co miał na myśli, mówiąc lakonicznie, że jestem kluczem do zakończenia wendety? Co gorsza, siedziałam opatulona po szyję kocem jak przerażona dziewczica i konwersowałam z mężczyzną!

Chyba odczytał z twarzy moje myśli, bo niespodziewanie zmienił temat rozmowy.

- Pani nie jest jeszcze gotowa, by mnie wysłuchać. Pani jest tylko bardzo rozgniewana za to wtargnięcie.

Wypowiedział te słowa zdecydowanie, lecz beznamiętnie, a ja zastanowiłam się, czy właśnie to spojrzenie ojciec opisał jako „posepne i baczne”.

- Chyba nie możesz mnie za to winić, prawda? - spytałam lodowatym tonem, a on tylko wzruszył ramionami.

- Nie. Ale to był jedyny sposób, by się z panią zobaczyć, nie budząc podejrzeń ludzi Shannona. - Uśmiechnął się niezręcznie. - Konia pozostawiłem daleko. Resztę drogi przebyłem pieszo. Kiedy żyłem wśród Apaczów, nauczyłem się chodzić i biegać przez całe dni. Idącego pieszo człowieka trudno jest dostrzec, zwłaszcza nocą.

Popatrzyłam na niego wyniośle, aby tym samym ukryć zażenowanie z powodu własnego neglizżu.

- W dziwny sposób składasz wizytę damie, której nawet nie znasz! - parsknęłam

jadowicie, a on uśmiechnął się niewyraźnie.

- Nie jestem dżentelmenem. Czy spodziewała się pani, że zapowiem formalnie swoją wizytę jak Mark Shannon? Albo wyślę zaproszenie na kolację, jak jego wuj? Mój brat Ramon wiedziałby, jak się zachować. On jeden w rodzinie zdobył wykształcenie. A ja jestem tu po części dlatego, że odszyfrowała pani sygnał zostawiony dla Flo. Przed wszystkim jednak człowiek Pinkertona poinformował mnie o pani przyjeździe i doradził spotkanie.

- Bragg? Co on ma wspólnego z twoim powrotem?

Wzruszył ramionami.

- Elmer Bragg to chytry lis. Nie jest głupi. Wyśledził mnie w Meksyku. I tak musiałem się stamtąd zbierać. - Wydało mi się, że śmieje się z samego siebie. - Człowiek Pinkertona może być bardzo przekonujący, kiedy trzyma wszystkie asy. A więc jestem.

Spojrzałam na niego z ukosa.

- Znowu mówisz zagadkami. Przyjechałeś na spotkanie z Flo.

- Przemawia pani jak mój oskarżyciel na procesie. Powinienem wisieć przed rozprawą.

Już wtedy poczułam odrazę do Lucasa Corda.

- Zostawiłeś dla niej znak. Widziałeś się z nią.

- Dlaczego nie? Musieliśmy obgadać kilka spraw. To nie pani sprawa.

- Jesteś bezczelny...

- Bo nie okazuję szacunku? Tak mi przykro. Znając pani ojca, oczekiwałem ciepłej, wspaniałomyślniej kobiety. Myślałem, że jest pani taka jak on. Tyle o pani opowiadał, wyobrażał sobie pani dorastanie. W każdym człowieku widział dobro. Jaka szkoda, że nie mógł pani poznać.

Spojrzał na mnie z niechęcią, a to wzburzyło tylko mój gniew.

- Ta dyskusja do niczego nie prowadzi. Lepiej wracaj, skąd przyszedłeś.

- Pewnie. A na pani miejscu zabiłbym to gwoździami, bo mogą pojawić się goście nie tak prości jak ja i zaskoczyć panią w łóżku.

Był wystarczająco wysoki, by sięgnąć zapadowych drzwi wychodzących na dach, o których całkowicie zapomniałam.

Kiedy zniknął cicho jak kot, przypomniałam sobie, że niczego nie ustaliliśmy. Nie zdradził mi nawet celu swej wizyty.

Nie zastanawiając się długo wyskoczyłam z łóżka, ściągając z kołka na drzwiach długi szlafrok. Nie mógł oddalić się zbyt daleko. Otworzyłam drzwi prowadzące na patio.

- Lucas? Luke Cord, gdzie jesteś? - syknęłam, ale odpowiedzią była tylko cisza.

Mocowałam się przez chwilę z zasuwą w bramie wychodzącej na otwartą przestrzeń. W którą stronę pobiegł? Z pewnością nie był daleko. Musiał zeskoczyć z dachu na ziemię, a potem... w gąszczu drzew krył się szalas. Tam nie! Na pewno pobiegł w przeciwną stronę.

Ruszyłam pędem, potykając się o obrąbek szlafroka, i głośno wykrzyknęłam jego imię.

- Lucas? Niech cię diabli! Gdzie jesteś?

Jakieś ramię chwyciło mnie zniemacka w pasie i powaliło na ziemię z siłą, która zatkała mi dech w piersiach.

- Co teraz zamierzasz, u diabła? Chcesz, by nas nakryli? Nas - powtórzył, uznając mnie już za współnika.

Przez chwilę czułam się jak ścigane zwierzę, a z szalasu dobiegły mnie głosy jego mieszkańców.

- Słyszałeś coś, Pete?

- Nie jestem pewien. Chyba ktoś wołał...

- Do diabła, ten biały szlafrok wystaje jak flaga sygnalizacyjna. Czy może się pani podczołgać? Tylko cicho, bez słowa.

Czując na sobie ciężar jego ciała, z trudem mogłam się poruszać. Pociągnął mnie za sobą, a przez cienki materiał szlafroka poczułam, jak zdieram sobie skórę z kolan i łokci.

Jego dłoń wylądowała na moich ustach.

- Tylko spokojnie.

Szlafrok zwinął się na wysokości moich ud. Słyszając łomotanie własnego serca leżałam nieruchomo, a kolczasty krzew, pod który mnie zaciągnął, kłuł moje odsłonięte ciało.

- Cholera! Nic tu nie ma. Pewnie słyszałeś wycie kojota gdzieś na wzgórzach.

Na szczęście dobiegł mnie głos Marty, strofujący ich cicho.

- Co tu robicie chłopcy? Chcecie obudzić panią? Bądźcie cicho, albo nie dostaniecie śniadania. A kysz!

Usłyszałam, jak utyskując wycofują się do szałasu. Ciepły oddech Lucasa muskał moją szyję.

- Po co mnie pani śledziła?

Szarpnęłam ze złością głową, a on wydał stłumiony dźwięk, może parsknął śmiechem, i zdjął dłoń z moich ust.

- Nieważne. Wszyscy się już obudzili. Niech pani wraca do domu.

- Nic mi nie powiedziałaś. Dlaczego przysłał cię Elmer Bragg, albo... - szepnęłam z furją.

- Nie chciała pani mnie wysłuchać. Proszę się nie ruszać. Nad ranem będzie pani cała podrapana.

- Już jest rano! A ty zasługujesz na pogardę!

- Nie przebiera pani w słowach. Chwileczkę, uwolnię panią.

Przesunął palcami po mojej skórze i wyciągnął szlafrok spod splecionych gałązek. To nedorzeczne. Leżałam tam w ciemnościach, pół naga, obok mężczyzny, który znany był jako morderca i gwałciciel kobiet. Nie powinnam była iść jego śladem. Ale stało się, a moja ciekawość nie została zaspokojona.

- Chcę wiedzieć.

- Teraz nie mam już czasu. To nie jest właściwe miejsce.

- Odpowiesz na moje pytania, Luke'u Cord, albo narobię takiego wrzasku, że pojawią się tu wszyscy z bronią w ręku!

- Niech to diabli, pani mnie straszy!

Położył dłoń na moim ramieniu i zacisnął palce, a ja skuliłam się, pamiętając, jak przed chwilą powalił mnie na ziemię. Szybkim i gwałtownym ruchem przekręcił mnie na

plecy.

Uświadomiłam sobie, że leżę w rozpiętym szlafroku, a jego ciało dotyka mojego. Zaschło mi w gardle i ogarnął mnie strach.

W głowie kołatały mi przeróżne myśli. Musi być doskonałym zapaśnikiem - z jaką łatwością przerzuca moje ciało, o Boże, teraz mnie zgwałci. Nie mogę krzyczeć, to będzie jeszcze gorsze niż ostatnim razem.

Objął mnie ramieniem, a ja westchnęłam ciężko. Tymczasem on poprawił tylko brzegi mojego szlafroka.

- Proszę posłuchać - szepnął, przysuwając bliżej twarz. - Niech pani wraca do domu i o wszystkim zapomni. Nie możemy tu rozmawiać.

- Chcę wiedzieć...

Zdawało mi się, że dostrzegłam biel zębów na tle niewyraźnej twarzy.

- Jest pani uparta! - Jego głos nie wyrażał już rozbawienia, lecz zniecierpliwienie. - Tak jak ja. Do zobaczenia w Silver City.

Podniósł się z ziemi i odszedł, pozostawiając mnie posiniaczoną i rozwścieczoną.

Pokuśtykałam w stronę patio, a stamtąd do sypialni, czując ból w każdej kości. Ośmieszyłam się tylko i za to właśnie jeszcze bardziej zniecierpliwiona Luke'a Corda. Do zobaczenia w Silver City, też coś! Czy miałby czelność się tam pokazać? Nie miałam ochoty na kolejne spotkanie. Przyrzekłam sobie dać do zrozumienia panu Braggowi, co myślę o jego osobliwym poczuciu humoru - jeśli to rzeczywiście był jego żart.

Mój biały szlafrok, pokryty brudem i wygnieciony, świecił rozprutym szwem. Nawet haftowana nocna koszula nosiła ślady błota. Z pewnością Marta będzie zadawać pytania. Muszę powiedzieć jej, że nie mogłam zasnąć, wyszłam na patio przed wschodem słońca, zaplątałam się w szlafrok i upadłam. To wytłumaczy moje siniaki. Skrzywiłam się na myśl o tak wyrafinowanych kłamstwach!

Ale dlaczego czułam konieczność kłamstwa? Zgasłam lampę, położyłam się na łóżku i w ciemnościach przybrałam niezadowoloną minę. Musiałam powiedzieć im, co się stało. A może lepiej poinformować Todda Shannona! Już to sobie wyobrażam.

„Ostatniej nocy miałam nieoczekiwanego gościa. Wszedł przez zapadowe drzwi w dachu, o których całkiem zapomniałam. Znasz go, oczywiście! To był Lucas Cord”.

Todd z pewnością wpadnie w szal. Zadrżałam na samą myśl! A potem chłodno odpowiem na nieuchronne pytanie: „Oczywiście, że mnie nie tknął! Czy myślisz, że bym mu pozwoliła, takiemu człowiekowi? Obiecał, że spotkamy się w Silver City”.

Niewątpliwie to wystarczy. Todd dopilnuje reszty. Nie muszę niczego wyjaśniać Flo. Kiedy zniknie Lucas Cord, wendeta umrze śmiercią naturalną!

Nagle poczułam dreszcze. Osobliwy dobór słów. Co takiego powiedział o płatnych mordercach wynajętych przez Todda? Lucas żył z piętnem śmierci. Zabiją go. Do licha, dlaczego obiecał mi spotkanie w Silver City? Czy mogłabym żyć spokojnie, mając ręce zbrukane jego krwią?

Myślałam o tym przez cały ranek. Marta uwierzyła w moją historię o upadku na patio, dodając, że powinnam postarać się o psa.

- Chłopcy twierdzą, że słyszeli nocą jakieś hałasy. Czy to one panią obudziły?

Zaprzeczyłam, obiecując, iż poproszę Marka, by znalazł mi psa. Kiedy znalazłam się w gabinecie ojca, myślami wróciłam do ostatniej nocy. Co miałam robić? Nie zdołałam niczego wymyślić. Nagle ogłoszono przyjazd Marka.

Powitałam go niezwykle gorąco, ale nie pozwolił mi na żadne wyjaśnienia. - Roweno, co cię napadło? Nie musiałaś uciekać, dobrze o tym wiesz. Pozostali goście pytali o ciebie, a wuj Todd miotał się jak ranny niedźwiedź!

- Mam nadzieję, że nie on cię tu przysłał - rzuciłam chłodno. - Nie mam nastroju do wysłuchiwania tych oskarżeń! I nie uciekłam.

Odwróciłam się od niego i podeszłam do okna, kryjąc moje rozdrażnienie.

Mark ruszył za mną z zatroskaną miną.

- Roweno, o co chodzi? Chciałem tylko powiedzieć, że tamtego wieczoru nie byłaś sobą, a potem, kiedy odjechałaś bez słowa, pomyślałem... - chwycił mnie w ramiona i spojrzał łagodnie w oczy. - Czy to Flo powiedziała coś przykrego? A może to ja? Nie obchodzi mnie gniew wuja, bałem się, że to ja cię uraziłem!

Nie odezwałam się ani słowem, a on wodził wzrokiem po mojej twarzy, marszcząc brwi.

- A zatem coś jest nie w porządku. - Szepnął. Nie możesz tego ukryć. Czy to mój wuj? Czy to on cię obraził?

Próbowałam się wyrwać, ale zacisnął palce na moim posiniaczonym ramieniu, aż syknęłam z bólu. Z posepną twarzą położył mi dłonie na szyi.

- Skrzywdził cię? Mój Boże... tego już nie zniosę, nawet jeśli to mój wuj! Nic dziwnego, że chciałaś wyjechać, a ja cię zawiodłem. Ale tym razem, przysięgam, ja...

- Mark, nie! - przerwałam.

Nie potrafiłam ukryć niepokoju, a jego twarz pobraźla z gniewu.

- Tym razem się nie wywinie! Przez całe życie znęcał się nad ludźmi, a ja udawałam, że tego nie widzę. Ale jeśli ośmielił się zranić ciebie...

- Nic mi nie zrobił! Mark, nie rozumiesz tego. To prawda, pokłóciliśmy się, ale opuściłam dom, by udowodnić mu swą niezależność... nie dlatego, że...

Nie doceniłam złości Marka. A może kierował się miłością do mnie? Bez ostrzeżenia pociągnął za rękaw mojej szerokiej, wiejskiej bluzki, odsłaniając granatowe siniaki, które tak skrywałam.

- Wielki Boże! - szepnął, a ja poczułam drżenie jego dłoni.

- Mark! - rzuciłam szybko. - Musisz mnie wysłuchać! To nie sprawka twojego wuja. To przez upadek! Zeszłej nocy nie mogłam zasnąć; spacerowałam po patio, dokoła panował mrok. Byłam nieostrożna, potknęłam się o brzeg szlafroka i upadłam na mur. Rozumiesz? To nic takiego.

- Nie wierzę ci. - Mark nigdy nie przemawiał do mnie tak twardym i podnieconym tonem, a ja z przerażenia otworzyłam szeroko oczy.

Zanim wydusiłam z siebie jakieś słowo, chwycił mnie ponownie w ramiona i mocno uściskał.

- Kryjesz go, prawda? Bez względu na to, co zrobił, chcesz go chronić! Na miłość boską, Roweno! Czy i ciebie oczarował? Pewien byłem, że ze wszystkich ludzi ty jedna stawisz mu czoło.

- Tego już za wiele, Mark! - roztrzęsiona, nie potrafiłam zapanować nad głosem. - Raz jeszcze ci powtarzam, Todd Shannon nie ma nic wspólnego z tymi siniakami. Nic, słyszysz? Czy muszę przysięgać, abyś uwierzył, że mówię prawdę? Jakim prawem mnie oskarżasz?

- Kocham cię i ty o tym wiesz! - zatrzęsł się zdenerwowany. - Nie mogę patrzeć

spokojnie, jak ktoś cię rani. Masz podkrążone oczy, wiem, że nie spałaś. Na Chrystusa, Roweno! Ja też nie zaznałem chwili spokoju, bo myślałem o tobie, martwiłem się, zastanawiałem, co ci powiedział, co takiego uczynił, że uciekłaś od niego w takim popłochu! Czy ty niczego nie rozumiesz? Wiem, że nie uważasz mnie za mężczyznę, ale psiakrew, potrafię jeszcze zabić każdego, kto cię tknie i unieszczęśliwił

To gwałtowne oświadczenie zaskoczyło mnie tak bardzo, że nie opierałam się, kiedy przyciągnął mnie do siebie.

- Roweno! Gdybyś tylko mogła mi zaufać i wyjawić prawdę...

Moje skronie, twarz i usta pokrył deszcz głodnych, rozpaczliwych pocałunków. Po chwili skrył twarz na moim ramieniu, całując posiniaczone ciało. Nie spodziewałam się takiej namiętności ani zapału.

Kiedy zwolnił uścisk i podniósł głowę, w jego oczach dostrzegłam cierpienie. Stałam nieruchomo, nie odpychając ani nie odwzajemniając jego pocałunków. Głowa pękała mi od myśli. Delikatnie wysunęłam się z jego objęć, zrobiłam krok w tył i oparłam o biurko ojca.

Spojrzał na mnie błagalnie.

- Roweno... moja ukochana...

Zapanowałam nad głosem, celowo nadając mu stanowcze, pozbawione emocji brzmienie.

- Zanim powiesz choć jedno słowo, musisz mnie wysłuchać, Mark! Muszę wyznać ci prawdę, bo tak nakazuje mi uczciwość, ale wpierw musisz mi przyrzec, że pozostanie to naszą najświętszą tajemnicą; i że nie podejmiesz żadnych działań. Czy to jasne?

Zachmurzył się, a ja rzuciłam mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Mówię poważnie, Mark. Jeśli nie dasz mi słowa, niczego się nie dowiesz - dodałam przebiegle. - Jeśli naprawdę ci na mnie zależy, zrobisz to, o co cię proszę. Potrzebuję przyjaciela, Mark, kogoś, kto mnie wysłucha. Czy ty tego nie rozumiesz?

Zacisnął w napięciu usta, ale kiwnął poważnie głową.

- Dobrze wiesz, jakich użyć słów, bym zrobił to, czego pragniesz - oświadczył z goryczą, ale za moment głos jego złagodniał. - Masz moje słowo. Powiedz, co się wydarzyło. Obiecuję, że nie będę przerywał, że pohamuję swój gniew.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością, choć ciało sztywniało mi z bólu i przemęczenia. Czy mogłam mu ufać? Nie miałam wyboru. Teraz widziałam to wyraźnie. Nie mogłam pozwolić, aby wyobraził sobie najgorsze.

Z wielkim trudem przyszła mi opowieść o wydarzeniach ostatniej nocy, zwłaszcza gdy zauważyłam zmianę w jego nastroju. Zdenerwowanie przeszło w zacięty gniew, zaniepokojenie w kolejną falę wściekłości. Kilkakrotnie odniosłam wrażenie, że chce mi przerwać, ale nie złamał obietnicy; zaciskając usta czekał cierpliwie.

Milczał, aż skończyłam swą zawiłą opowieść, aż krzyknęłam oskarżająco:

- Widzisz, że nie miałeś racji? Że nie kłamałam mówiąc o upadku? To moja wina, że za nim pobiegłam, a on... Mark, nie patrz na mnie takim wzrokiem! Lucas Cord nic mi nie zrobił! Mógłby, gdyby chciał, ale powiedział tylko, że za późno na rozmowę i odszedł!

- I to dla ciebie jest „nic”? - Głos Marka brzmiał dziwnie spokojnie, kiedy wyciągnął dłoń, by delikatnie pogłaskać mnie po ramieniu. - Roweno, kiedy pomyślę o grożącym ci niebezpieczeństwie, o tym, co mogło się zdarzyć, to... Boże drogi... tracę zmysły! Lucas Cord to dzikie zwierzę. Nie twierdzę, że pragnienie zemsty na moim wuju nie ma tu znaczenia, ale i bez tego jest groźny. Bez względu na to, co mówisz, pewny jestem, że pozbawiony jest skrupułów! Przypomnij sobie jak potraktował Flo i jak zaaranżował kolejne z nią spotkanie. Czy nie widzisz, że płonie żądzą zemsty? A ty...

- Mój ojciec lubił go! Czytam jego dzienniki, więc wiem, że Lucasa potraktowano niesprawiedliwie, że miał w sobie odrobinę ludzkiego serca!

- Twój ojciec widział dobro w każdym człowieku. Taki już był! Ale ty nie możesz pozwolić, by współczucie przesłoniło ci fakty.

Mark pogładził palcami jasne włosy i przeszedł kilka razy po pokoju, doprowadzając mnie do szału. Przemawiał teraz jak logiczny, bezlitosny prawnik. I najgorsze, że wszystko, co powiedział było prawdą.

Lucas Cord został wyjęty spod prawa. Był wyrzutkiem, taką obrał sobie profesję. Mark miał rację. Pozbawiony był skrupułów, choć ze względu na szacunek i przywiązanie do mojego ojca nie zrobił mi krzywdy.

- Co się stanie następnym razem? - zastanowił się rozważnie Mark. - Najwyraźniej

podczas tej wizyty zamierzał sprawdzić, co wiesz o jego spotkaniu z Flo! Może chciał się przekonać o twojej naiwności.

- Mark! - zaprotestowałam, ale uciszył mnie.

- Na pewno wiedział, że czytasz dzienniki ojca! Chciał znaleźć w tobie sojusznika, więc udawał dżentelmena do momentu, kiedy obawa o własne życie kazała mu odsłonić prawdziwe oblicze! Wiedział, że wzbudził twoją ciekawość i celowo ją podtrzymywał. Gdzie twój praktyczny zmysł, Roweno! Jesteś bogatą, młodą kobietą, współwłaścicielką połowy rancza. Czy nie widzisz, że byłabyś doskonałym pionkiem w jego grze? Czyż nie wspomniał, że to ty jesteś kluczem do położenia kresu tej wendecie, że tak twierdził twój ojciec? Sama widzisz, jaki jest przebiegły! To świetny sposób na dokonanie odwetu - ostatecznej zemsty, której pragnął przez całe życie - przy twoim udziale!

Nie mogłam dłużej milczeć.

- Mark, mylisz się. Och, przyznaję, że twoje słowa mają sens, że masz rację, ale on naprawdę chciał mi coś przekazać! Z goryczą opowiadał o tym, co spotkało jego matkę i jak twój wuj polował na jego rodzinę. Zabił jego ojca, Lucasa osadził w więzieniu, wyznaczył nagrodę za jego głowę. To straszne żyć jak osaczone zwierzę!

Dlaczego nagle stanęłam w obronie Lucasa Corda? Nawet Mark się nad tym zastanawiał, bo spojrzał na mnie podejrzliwie.

- On nie jest wart twego współczucia, Roweno, choć podziwiam twoje poczucie sprawiedliwości. Nie, uwierz mi. Wiem coś niecoś o Lucasie Cordzie! Kiedyś sam mu współczułem, ale niewinny, zastraszonego człowieka nie dokonuje takich czynów! Czy uświadomisz sobie wreszcie, jak bardzo jest niebezpieczny? To zdradziecki morderca! Co ty wiesz o bandach zwanych *comancheros*? Opowiem ci o nich.

Mówił bez końca, a ja poczułam mdłości, słuchając o okrucieństwach, jakich się dopuszczali. Mordowali ludzi, gwałcili kobiety. Sprzedawali broń i alkohol plądrującym okolicie Indianom; sami czasami przebierali się za Indian, napadając na farmy i małe osiedla. Porywali białe kobiety i sprzedawali je jako niewolnice za granicą. Złu, które wyrządzali, nie było końca.

Wyobraziłam sobie Lucasa jako jednego z nich i zadrżałam. I pomyśleć, że wdarł się do mojej sypialni! Że dotknął mnie, że czułam na sobie ciężar jego ciała!

Mark wyjawiał mi, że Elena Kordes, mimo młodego wieku, była zimną i wyrachowaną istotą, która rozmyślnie uwiodła męża swej kuzynki, nie bacząc na chorobę biednej Almy. Obwiniłam za to Todda Shannona, a teraz usłyszałam drugą wersję tej samej historii.

- On jest tylko mężczyzną! Czy muszę ci to tłumaczyć? Kierował się zwykłą męską żądzą, miał chorą żonę, a Elena była zawsze przy nim. Czy tego nie rozumiesz? Wyznał mi, że zagroziła, iż powie całą prawdę Almie. Drażniła go, twierdząc, że Alma jest chora, a ona silna, że może urodzić mu wielu synów. Nie dał się szantażować i wyrzucił ją z domu, a wtedy zagroziła jemu. Przyrzekła zemstę, mówiąc, że któregoś dnia sam do niej przyjdzie. Czy uważasz, że bezpodstawnie obarczył ją winą za tę krwawą masakrę? Kiedy pograżył się w straszliwej rozpacz, wróciła, by dręczyć go od nowa, obiecując dziezica, którego pragnął z całego serca. Na miły Bóg - on jest tylko człowiekiem! Pamiętaj, że prawie oszalał z żalu i gniewu. Wtedy wyładował na niej całą swą wściekłość...

- A mój ojciec! Czy chcesz mi powiedzieć, że nie potrafił właściwie ocenić ludzkiej natury, że nie znał się na ludziach...

- Twój ojciec darzył ją miłością! Jak mógł dostrzec jej prawdziwe oblicze? Ona była sprytna! Rozkochała go na tyle, by zawsze mieć do kogo wrócić. Pragnęła władzy i akceptacji w świecie białego człowieka. Była jedyną kobietą w tych stronach - piękną na dodatek. I twojemu ojcu zrujnowała życie. Kiedy się zorientowała, że nie dostanie żadnego z nich, poślubiła Alejandro Kordesa w nadziei, że odzyska swe dziedzictwo. Lucas Cord jest jej synem, Roweno! Zemstę i nienawiść wyssał z mlekiem matki, teraz to cel jego życia. Na miłość boską, zrozum, że za późno, by się zmienił. Jest synem swych rodziców i poszedł w ich ślady.

Jego słowa wstrząsnęły mną, nie miałam pojęcia, komu wierzyć. Wyczerpana opadłam na fotel, nie odrywając wzroku od Marka, który przybrał łagodny wyraz twarzy.

- Tak bardzo chciałem oszczędzić ci tych plugawych historii, Roweno. Ale musiałem cię przestrzec, bo nie pozwolę, byś cierpiała! - Zerknął na mnie smutnym, zagadkowym wzrokiem. - A teraz widzę w twoich oczach współczucie dla wuja Todda. Być może przestaniesz go tak nienawidzić, być może nie mam już u ciebie żadnych szans! Wiem, że nie potrafiłaś oprzeć się jego urokowi. On tak działa na kobiety. Ale kocham

cię i nade wszystko pragnę twego szczęścia.

- Och, Mark - westchnęłam znużona, podpierając się dłońmi. - Sama nie wiem, co o tym myśleć! Co mam robić?

Nagle przypomniałam sobie coś i nabrałam pewności siebie. Odetchnęłam z ulgą.

- Przecież jest jeszcze Elmer Bragg. Lucas Cord powiedział, że to on przysłał go do mnie! Po co miałby to robić, jeśli...

Mark mruknął posepnie.

- Czy to nie dziwne, że Bragg nie pojawił się osobiście? Zastanów się. Czy ktoś taki jak on wysłałby do ciebie nieznanego bandytę bez wcześniejszego uprzedzenia?

Popatrzyliśmy na siebie, a ja poczułam, że tracę siły. W tym właśnie momencie uwierzyłam, że wszystko, co powiedział Mark, jest prawdą.

Rozdział 11

Mark obiecał, że nie pisnie słowem swojemu wujowi ani Flo, ale z całą powagą nakazał mi polecić Julesowi naprawę zasuw na zapadowych drzwiach. Jules spojrzał na mnie podejrzliwie, ale nie odezwał się ani słowem, a ja odetchnęłam z ulgą.

Po wyjeździe Marka nie mogłam dojść do siebie. Czułam zmęczenie, ale tego dnia nie mogłam sobie pozwolić na sjęstę. Nigdy wcześniej nie byłam tak przygnębiona i skonfundowana. Kilka razy podchodziłam do szuflady, w której trzymałam dzienniki ojca, i za każdym razem odchodziłam z pustymi rękami. Nie mogłam ich teraz czytać. Czy rzeczywiście ojciec mój był słabym człowiekiem, omamionym obsesyjną miłością do Eleny Kordes? Czy to dlatego moja matka gdzie indziej musiała szukać miłości? Czy Lucas Cord zamordował Elmera Bragga? Nie potrafiłam go sobie wyobrazić martwego! Mimo podeszłego wieku, z błyskiem w oczach i wyrafinowanym poczuciem humoru wydawał się pełen życia, tak pewny siebie i swych zdolności w odkrywaniu prawdy. Jaką prawdę odkrył? Uczciwie opowiedział mi o przeszłości, a jednak nie miał pewności co do Lucasa. Czyż nie przerwał w połowie zdania, kiedy zaczęłam wypytywać go zbyt dokładnie?

- Proszę nie nalegać, lady Roweno. Należę do ludzi, którzy podają fakty, a nie

przypuszczenia czy pogłoski. Nie byłem w stanie pilnować Luke'a Corda. Nie miałem takiej potrzeby. Odszedłem na emeryturę. On przenosi się z miejsca na miejsce. Czy przestrzega prawa? Tego nie jestem pewien. Krążą pogłoski, ale pogłoski to nie fakty. Ale skoro mnie wynajęłaś, młoda damo, dostarczę pani faktów.

Czy je znalazł? A może zamiast tego znalazł śmierć?

Fakty, jak mawiał pan Bragg, pozostają faktami. Nie mogłam przed nimi uciec. Dlaczego zatem wciąż słyszałam słowa Lucasa Corda?

„Przemawia pani jak mój oskarżyciel na procesie” - powiedział. - „Powiniennem wieść przed rozprawą”.

Potrafiłam jednak logicznie myśleć. Dowody i logiczne rozumowanie przemawiały zdecydowanie przeciwko niemu.

Pozostawało pytanie, co Mark Shannon i ja mamy z tym zrobić? Nie doszliśmy do żadnych wniosków.

„Wątpię, czy ośmieli się pokazać w Silver City - pocieszył mnie Mark. - Nie wobec połowy „grubych ryb” na tym terenie, z moim wujem włącznie. - Myślę, że chciał cię tylko zaniepokoić. Będę pilnował Flo, a ty uważaj na siebie. Zapytam wuja Todda, czy możesz wziąć jednego szczeniaka Frisky. To owczarki niemieckie - tutaj niezbyt popularne, ale to doskonale psy obronne”.

Następnego ranka przyjechał wielkim wozem Todd Shannon i przywiózł mi psa. Siedziałam na patio, kiedy zaniepokojona Marta zaalarmowała mnie, donosząc o jego przybyciu.

- Señorita! To sam patron! Chyba nie jest w dobrym humorze!

Wysłałam mu na spotkanie i powitałam beztrosko.

- Wielkie nieba! Co za niespodzianka! A raczej zaszczyt! Myślałam, że już nigdy się do mnie nie odezwiesz.

- Nie zasługujesz na to i dobrze o tym wiesz, panienko! Ale Mark powiedział mi, że bardzo chcesz mieć psa, a ja akurat wtedy przejeżdżałem.

Jak zwykle popatrzyliśmy sobie w oczy. Ale nawet dziś . mój stosunek do niego nie zmienił się. Czy rzeczywiście mogłabym mu współczuć? Przyjęłam przesadnie skromną pozę.

- Jesteś niezwykle uprzejmy. Wejdiesz na chwilę?

Uniósł krzaczaste brwi.

- Pewna jesteś, że nie dotknął cię udar słoneczny? A może to twoja kolejna sztuczka?

Wiedziałałam, że jest zdenerwowany, gdyż jego irlandzki akcent stał się bardziej wyraźny.

- Proszę - powtórzyłam, a jego brew podskoczyła jeszcze wyżej.

- Dobrze! Dziś zachowujesz się jak łagodna kotka! Ale nie wątpię, że naostrzyłaś pazury, by zaatakować w odpowiedniej chwili!

Dobrze wiedział, jak wyprowadzić mnie z równowagi.

- Rób, jak uważasz! - rzuciłam ostro, a on wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Teraz jesteś sobą. Z przyjemnością wstąpię na chwilę.

Próbowałam go polubić, ale jego tupet doprowadzał mnie do wściekłości.

- No, cóż! - rozejrzał się po salonie. - Niczego nie zmieniłaś. Spodziewałem się, że dokonasz wielu zmian, kupisz nowe meble.

- Dlaczego miałabym to robić?

Niespodziewanie zmienił temat.

- Dlaczego uciekłaś? Nie myślałem, że postąpisz jak tchórz. Czmychnęłaś jak przerażony królik. Nie miałaś odwagi spojrzeć mi w twarz.

- Chyba siebie przeceniasz! - odcięłam się. - Nie uciekłam. Wyjaśniłam to w liście. Chciałam po prostu wrócić do domu. Nie znoszę, jak ktoś wydaje mi polecenia!

- Tylko tyle? Pamiętasz, poprosiłem cię o rękę? Może pomyślałaś, że żartuję. A może chciałaś, abym tego dowiódł, ruszając w pogoń?

- Jak zwykle, panie Shannon, ponosi pana fantazja!

- Myślałem, że jesteś na tyle kobietą, by zaakceptować nasz związek.

- Och! - rozzłościł mnie tak bardzo, że zaczęłam krążyć po pokoju. - Dlaczego ty nie zaakceptujesz mnie? Nie dam sobą pomiatać. Nikt nie będzie mi wydawał rozkazów ani decydował o mojej przyszłości! Nie jestem gotowa do małżeństwa!

- A zatem - zerknął na mnie jadowicie - spójrz na to z drugiej strony. Kiedy ja nie daję się wodzić za nos, ty natychmiast wyciągasz pazury. Czy nie próbujesz zrobić ze

mnie marionetki? Opowiadasz tyle o sprawiedliwości, a sama powinnaś postępować uczciwie względem nas obojga. Ja nie ustąpię, ty się nie poddasz. Ale doskonale wiesz, jak wyglądają sprawy między nami. Jak długo masz zamiar ukrywać tę prawdę?

- Ja...

W tym momencie chwycił mnie w ramiona, a ja zapomniałam słów, kiedy mnie pocałował.

- Do diabła, wyjdiesz za mnie - wybuchnął gwałtownie, kiedy skończył, a ja nie mogłam złapać tchu.

- Nie masz racji! - załkałam, udając kobiecą słabość. - Ja cię nienawidzę. I nigdy ci nie ulegnę! Co więcej, nie mam ochoty żyć z duchem!

- O czym ty, u diabła, mówisz? - spytał łagodnie. - Posłuchaj, ty uparta, przewrotna kobieto! Kiedy zrozumiesz, że cię pragnę? Że przez tyle lat czekałem na kogoś takiego jak ty? Nie musisz się śpieszyć, ale zapamiętaj, że należysz do mnie. I niech mnie piekło pochłonie, jeśli cię nie zdobędę!

Porwał mnie ponownie w ramiona, nie pozwalając na chwilę zastanowienia.

- Ty mała złośnico! Wiem, że ten mój narwany bratanek zaprosił cię na tańce do Silver City. Ale ja mu już powiedziałem, że jedziesz ze mną. Do diabła, niech zabierze Flo, nie dbam o to! A my ogłosimy tam nasze zaręczyny!

- Zaczekaj! Przecież, ja jeszcze nie powiedziałam ani słowa! Nie dałeś mi szansy! Toddzie Shannonie, jesteś najbardziej irytującym mężczyzną, jakiego miałam nieszczęście spotkać! Przekręcasz moje słowa i ogłaszasz, co mamy zamiar zrobić. A ja przez cały czas odkąd cię poznałam próbuję ci uzmysłowić, że do niczego mnie nie zmusisz! Czy to jasne?

Uśmiechnął się rozbrajająco, nałożył kapelusz, a palcami przesunął po moich ustach i szyi.

- Przekonałaś mnie, najdroższa. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Wpadłem tylko na chwilę. Wkrótce znowu się pojawię. Pomyśl, w co się ubierzesz na bal w Silver City. Chcę, żeby padli z wrażenia!

Bal w Silver City.

Nawet po wyjeździe Todda ta myśl nie dawała mi spokoju. Znalazłam się w dzi-

wacznej i niezręcznej sytuacji! Todd był taki pewny siebie, taki śmiały. Co zrobię z Markiem? A jeśli, mimo czyhających niebezpieczeństw, pojawi się tam Lucas Cord? Co potem? Mogłam sobie tylko przyrzec, że o tym zapomnę, ale miałam koszmarne sny, jak poprzedniej nocy, i rzucałam się niespokojnie na łóżku.

Bragg, mój ojciec, Lucas Cord z pętlą na szyi, z gorzkim, drwiącym uśmiechem w kącikach ust, który tak dobrze zapamiętałam. Niczym upiory wypełnili moje sny, a podkrążone oczy wystarczyły, by Marta krzyknęła z dezaprobatą:

- Od czasu wyprawy do *palacio* nie przespaała pani ani jednej nocy. A każda wizyta patrona przynosi tylko kłopoty! - zacisnęła z goryczą usta.

Już wtedy wiedziałam, że ani Marta, ani Jules nie darzą Todda Shannona zbyt dużą sympatią.

Pozostawało pytanie, co ja do niego czułam? Opowieść Marka zmieniła nieco moje nastawienie do jego arogancji i bezczelności. Zaczęłam postrzegać go jako samotnika, który rozmyślnie odsunął się od świata, ukrywając rozpacz i samotność pod grubą warstwą uchwałności. Kochał swoją pierwszą żonę. Prawdopodobnie nie darzył uczuciem drugiej, jak gorzko stwierdziła Flo. Ale i ona nie żyła już od wielu lat, a on miał wiele okazji, by się ożenić, gdyby tylko chciał.

Dlaczego wybrał właśnie mnie? Co miałam mu powiedzieć?

- A więc do tego doszło - szepnęła Mark. - Chyba wiedziałem to od samego początku, ale łudziłem się... - parsknęła nieszczerym śmiechem. - Cóż, wuj Todd miał zawsze w sobie tyle charyzmy! Potrafi manipulować ludźmi według własnego życzenia. Sam muszę to przyznać. Mogę mieć tylko nadzieję, że przemyślisz to dokładnie. Upewnij się, że tego właśnie pragniesz, Roweno!

- Wielkie nieba, Mark! - zirytowałam się. - Powiedziałam tylko, że to twój wuj zdecydował się mnie poślubić. Ja nie dam się zmusić do małżeństwa. Dałam mu to do zrozumienia.

- Ale sporo o tym myślisz, prawda? Nie musisz mi odpowiadać, sam to widzę. Kocham cię i potrafię odczytywać twoje nastroje, wyraz twarzy. Wiem, że wyszukuje mi przeróżne zajęcia, podczas gdy sam składa ci tu wizyty.

- Nie miałam o tym pojęcia. - Popatrzyłam poważnie na jego dobrą i życzliwą

twarz i zastanowiłam się, dlaczego to nie on obdarza mnie tymi zniewalającymi, namiętymi pocałunkami.

Jeśli miałabym kogoś poślubić, wybrałabym Marka, bo on jeden mnie rozumiał i kochał jak prawdziwy przyjaciel.

- Och, Mark! Tak mi przykro. Wiesz, że nigdy przedtem nikogo takiego jak on nie spotkałam! Powtarzam sobie, że mógłby być moim ojcem, że chce mnie poślubić tylko ze względu na SD. Powiedziałam mu to wiele razy, ale on tylko wybucha śmiechem i nie chce mnie wysłuchać. Ale ja go nie poślubię! Nigdy!

- Czy on o tym wie?

Nasze oczy spotkały się, a ja wzruszyłam bezradnie ramionami. Odbywaliśmy konną przejażdżkę i aby zapomnieć choć na chwilę o Toddzie Shannonie, zapytałam szybko:

- Jak się miewa Flo? Nie widziałam jej od ostatniego tygodnia. Przyjechała tu, by mnie ostrzec, że kobieta z moją pozycją musi uważać na plotki! „Każdy wie, że Mark i mój ojciec odwiedzają cię zbyt często, aby uznać to za niewinne spotkania” - tak właśnie powiedziała!

- Flo to mała kocica! - Twarz Marka spochmurniała. - Cały problem polega na tym, że jest zepsuta do szpiku kości i na wiele sobie pozwala. Od tego zaczęły się wszystkie kłopoty. A teraz... sama wiesz, jak jest! Kobieta-dziecko. Myśli, że wystarczy zamrunąć do mężczyzny rzęsami, a on padnie przed nią na kolana.

- Czy ona...

Nie wiedziałam, dlaczego muszę zadać to pytanie, ale nagle poczułam taką potrzebę. Dzięki Bogu Mark natychmiast pojał, o co mi chodzi, bo przemówił poważnym tonem.

- I ja się tym martwię, bo po prostu nic nie wiem! Już ci wspomniałem, że wuj celowo wynajduje mi liczne zajęcia. Od kiedy przecięto ogrodzenie, graniczny płot strzeżony jest podwójnie, a moje zadanie polega na codziennej porannej inspekcji. Obawiam się, że nie będę mógł pilnować Flo tak jak obiecałem.

Zmarszczyłam brwi, zagniewana na samą myśl.

- Być może nadal się z nim spotyka. A jeśli tak jest, to on...

- Może się tu gdzieś ukrywa - dokończył za mnie Mark. - To mi nie daje spokoju. Pewna jesteś, że drzwi zapadowe zabito gwoździami? A pies pilnuje patio?

Uśmiechnęłam się krzywo.

- Przecież Devil to jeszcze szczeniak! Ale szczeka głośno, więc ostrzeże mnie przed nieproszonym gościem.

- Obiecujesz, że zawsze będziesz ostrożna? Proszę, nie wyjeżdżaj nigdzie sama.

Obiecałam. Jednak przesadna troska Marka oznaczała poważne niebezpieczeństwo ze strony Lucasa Corda. Zwłaszcza jeśli nadal spotyka się z Flo, bo ona z pewnością informowała go o częstych wizytach ojczyma w mojej posiadłości. Jak to się wszystko skończy? I gdzie?

Szykowaliśmy się do wyjazdu do Silver City przez tydzień. Pokoje zarezerwowano w tym samym hotelu, który miał gościć gubernatora Wallace'a i innych dygnitarzy.

Porwał mnie wir przygotowań i nawet Marta, wyjątkowo spokojna w ostatnich dniach, promieniała uśmiechem, pomagając mi wybrać odpowiednie suknie i ostrożnie złożyć je między warstwami bibuły.

Wyjeżdżałam na kilka dni. Obiecałam sobie, że myślami nie wybiegnę poza rutynowe przygotowania do podróży. Nie byłam sobą. Straciłam nagle pewność i wiarę w siebie; nienawidziłam tej zmiany.

- Kiedy pojawi się Bragg, powiesz mu, że wyjechałam - poprosiłam Martę. - Przekaż mu, że to sprawa najwyższej wagi, że muszę się z nim spotkać i porozmawiać.

Wydając te polecenia w głębi duszy wiedziałam, że Bragg się nie pojawi. Pewnie leżał gdzieś w bezimiennym grobie, zamordowany, bo próbował mi pomóc. Kiedy tylko o nim myślałam, powracało ściskające serce uczucie przerażenia, które wywołały słowa Marka: „Czy to nie dziwne, że Bragg nie pojawił się osobiście?”.

Zamiast niego pojawił się Lucas Cord, wykorzystując nazwisko Bragga, by zdobyć moje zaufanie; oraz imię mojego zmarłego ojca, który obdarzył go przyjaźnią, by wzbuźnić moją ciekawość.

- W tych stronach zabijamy grzechotniki, zanim zdążą zaatakować - oświadczył Mark zawzięcie.

Wiedziałam, czego ode mnie oczekuje, ale nie podjęłam dyskusji.

- On się tam nigdy nie pokaże - stwierdziłam.

Powtarzałam te słowa podczas naszej długiej i wyczerpującej podróży przez równiny i góry, w Santa Rita i Silver City, które swą nazwę zawdzięczało bogatym kopalniom.

Przez większość drogi eskortowała nas kawaleria z Fortu Cummings, dopiero w Santa Rita przejęli nas ludzie SD, którzy wyruszyli wcześniej z Toddem Shannonem na czele.

Zaskoczyła mnie ich liczba i ilość broni, którą mieli przy sobie.

- To teksascy strzelcy papy! - prychnęła Flo Jeffords.

Z wyraźną pogardą dodała:

- Czy myślisz, że to zwykli kowboje? Przypatrz się ich mundurom, zobacz jak trzymają broń. To własna, nieoficjalna armia papy!

Zaśmiała się piskliwie, a ja nie po raz pierwszy żałowałam, że muszę gnieść się z nią w tym małym powozie. Kiedy Mark, galopujący w siodle, podjeżdżał do nas od czasu do czasu, Flo milkła i gapiała się posepnie w okno, udając znudzenie. Intrygowało mnie o czym myśli.

Gdy jednak znaleźliśmy się bliżej Silver City, Flo ożywiła się, a jej oczy zapłonęły z podniecenia.

- Nigdy nie widziałaś górniczego miasta? To jest nieco większe od pozostałych. Obecność gubernatora uświetnia rocznicę odkrycia srebra, dzięki któremu miasto uzyskało tę nazwę. Oczywiście „miasto” to zbyt wiele powiedziane, ale w tej ospałej części świata oferuje sporo rozrywek. - Spojrzała na mnie z ukosa. - Strzelanina to tu chleb powszedni. Zwłaszcza między kowbojami a górnikiem, albo między kowbojami a mieszkańcami osiedla. Widziałaś kiedyś strzelaninę?

Jej oczy przybrały dziwnie nienaturalny blask, a ja przypomniałam sobie, że była świadkiem śmierci dwóch ludzi. Czy i ona pamiętała to samo?

- Mam nadzieję, że nigdy nie zobaczę dorosłych mężczyzn strzelających do siebie z rewolwerów! - oznajmiłam stanowczo.

Zachichotała.

- To nieuniknione, jeśli pobędziesz trochę w Silver City.

Zaraz potem wdałam się w rozmowę z Markiem, a Flo oświadczyła, że pragnie wyprostować nogi, bo podróż powozem przyprawia ją o zawroty głowy. Część drogi przebyła więc na koniu Marka.

Zauważyłam, że wyciągając swe długie nogi, zmarszczył czoło.

- Nie podoba mi się zachowanie Flo - oświadczył otwarcie. - Czy nie wydaje ci się... hmm... zbyt podekscytowana?

- Nie znam jej i nie potrafię ocenić jej nastrojów - odpowiedziałam ostrożnie.

- Ale ja niestety potrafię! Mam przeczucie, że coś knuje - pogładził się markotnie po ogolonej brodzie. - Do diabła, gdybym wiedział, co robić! Jeśli szepnę coś wujowi, stracę twoje zaufanie, a on wpadnie w złość i rozpocznie się prawdziwa wojna.

- Wojna? Wszyscy strzelcy Todda przeciwko jednemu człowiekowi?

Nie wiem, dlaczego to powiedziałam, ale Mark rzucił mi podejrzliwe spojrzenie.

- Nie zapominaj, że jesteś współwłaścicielką SD i część twoich pieniędzy przeznaczona jest na ich pensje - przypomniał mi.

- Ale po co nam mała armia? - Staralam się odwrócić jego uwagę od Lucasa Corda.

Mark pojął to w mig i spojrzał na mnie z wyrzutem, wiedząc, że celowo unikam tego tematu.

- Myślałem, że w końcu zrozumiesz, iż jest to niezbędne. Jak myślisz, dlaczego nawet Apacze boją się nas zaatakować? Słyszałem o licznych najazdach na mniejsze ran-
cza - czasami dokonują ich Indianie, a czasami zwykli bandyci szukający tu łatwych łupów.

- Pokaz siły? - domyśliłam się, a Mark kiwnął z zadowoleniem głową.

- Tak właśnie! Ale nasze bezpieczeństwo jest tego warte.

- Chyba wiem, co masz na myśli - westchnęłam i rzuciłam mu porozumiewawcze spojrzenie. - Wiem, o czym myślisz - dodałam ponuro.

- Roweno, trzeba się temu przeciwstawić! Musimy być na wszystko przygotowani. Przecież sama rozumiesz, prawda?

- Cały czas noszę w torebce mały pistolet, który mi podarowałeś - wspomniałam i wybuchnęłam śmiechem. - Przed snem wpycham go pod poduszkę.

- Ktoś będzie pilnował twoich drzwi!

- Jak wytłumaczysz to wujowi?

- Sam zrozumie, że to zwykle środki ostrożności. Silver City znane jest ze swej brutalności.

- A zatem nie mamy się o co martwić, prawda?

- Pojęcia nie masz, do czego zdolni są mężczyźni pokroju Corda! Nie zapominaj, że większość swego życia spędził na ucieczkach i zna wszystkie sztuczki! Jeśli obiecał, że spotka się z tobą Silver City, to prawdopodobnie przechwalał się tylko.

- Pewna jestem, że to nie były przechwałki - wycodziłam wolno. - To było raczej... zwykle stwierdzenie faktu!

Mark pochylił się w moją stronę i syknął niecierpliwie:

- A więc uważasz, że się tam pojawi.

- Tego nie powiedziałam! Może zamierzał, ale pewna jestem, że zmieni zdanie. Nie pojawi się. Nie ośmieli!

- Ale ośmielił się wślizgnąć do twojej sypialni! Już wcześniej ryzykował znacznie więcej. Czy pamiętasz, jak cię oszukał twierdząc, że przysłała go Elmer Bragg?

Poczułam, jak wilgotnieją mi dłonie w bawełnianych rękawiczkach.

- Mark, proszę cię! Nie mogę znieść myśli, że ten biedny staruszek...

- Musisz! Musisz myśleć praktycznie i realistycznie! - westchnął i wyprostował się na swym siedzeniu. - Nie będę nalegał, Roweno, ale błagam cię, przemyśl to. Jeśli zostawisz to mnie, na pewno sobie ze wszystkim poradzę. Znam miejscowego szeryfa i sędziego.

- Jak sobie z tym poradzisz, Mark? Kazesz go zabić? Wsadzisz go do więzienia, by czekał tam na lincz?

- Roweno! - wykrzyknął Mark, zaskoczony moim wybuchem - Nie rozumiem cię! Myślałem, że mi ufasz, że zdajesz sobie sprawę, iż mamy do czynienia z mordercą, tak samo niebezpiecznym jak te wściekłe psy indyjskie, o których mi opowiadałaś. A teraz mam wrażenie, że się nad nim litujesz!

- Nie znoszę przemocy, Mark! Nie mamy dowodów, że pan Bragg nie żyje lub że zabił go Lucas Cord. Jeśli weźmiemy prawo w swoje ręce i oprzemy się na przypuszczeniach, będziemy równie winni. Nie rozumiesz? Przecież jesteś prawnikiem.

- To ty powinnaś być prawnikiem, Roweno! - pokiwał lekko głową, ale nadal przemawiał stanowczym tonem.

- W porządku, ale przypuśćmy, że dopuści się przestępstwa. Wysłałem telegramy do różnych miejsc w poszukiwaniu pana Bragga. A jeśli po przyjeździe do Silver City szeryf potwierdzi nasze najgorsze podejrzenia?

- Wtedy oczywiście zgadzam się z tobą, że trzeba go wyśledzić i zabić jak dzikie zwierzę, do którego go porównałeś - oznajmiłam kategorycznie.

Rozdział 12

Byłam już w Silver City dwa dni, a każdy, kogo poznałam, zapewniał mnie, że miasto to jest większe i życzliwsze niż większość pozostałych miast górniczych. Skupiłam uwagę na ogromnym budynku opery, w którym miał się odbyć bal na cześć gubernatora, na białym gmachu sądu z mieszczącym się w jego podziemiach więzieniem oraz na trzech kościołach.

Z pewnością stateczni obywatele miasta woleliby zapomnieć o licznych barach i jaskiniach gry wyrastających po obu stronach głównej ulicy, nie mówiąc już o czerwonej latarni nad drzwiami dwupiętrowego budynku na końcu promenady.

Sir Edgar, próbując rozniecić we mnie płomień namiętności, zabrał mnie kiedyś na, jak to nazwał „najwspanialszą wycieczkę” po ekskluzywnych burdelach Paryża. Wszystko, co tam zobaczyłam, wywołało we mnie jedynie obrzydzenie. Tak więc dom publiczny w Silver City nie wzbudził mej ciekawości, choć Flo szepnęła prowokacyjnie, że wiele by dała, by zobaczyć, co dzieje się w środku.

- Osobiście - mruknęłam leniwie, przesuwając palcami po kotarze w naszym wspólnym pokoju - wolałabym zajrzeć do jednego z tych barów! Z pewnością są zachwycająco obskurne, jak myślisz?

Ponownie skazano nas na sąsiedztwo, gdyż jedyny porządny hotel w Silver City wypełniony był po brzegi. Tego popołudnia upał uniemożliwił jakąkolwiek wyprawę do miasta, zajęłyśmy się więc bezmyślną rozmową.

- Słyszałam, jak wyglądają! - oznajmiła Flo. Nie mogąc usiedzieć w jednym miej-

scu, przechadzała się po pokoju. - W każdym z nich znajduje się długi bar. Z mahoni, jeśli miejsce jest bardziej luksusowe. Tuż za nim znajduje się duże lustro, aby każdy widział, kto nadchodzi z tyłu. Czasami wisi tam ogromny obraz nagiej kobiety.

Zerknęła na mnie, oczekując zgorszenia, a ja uniosłam tylko brew i zapytałam:

- Och? I co jeszcze?

- Dokoła stoją stoliki do gry w karty, a kobiety podają drinki - zachichotała piskliwie. - Na pewno nie mają na sobie zbyt wiele! Na piętrze znajdują pokoje dla gości, którzy po wypiciu kilku drinków gotowi są zapłacić za kobiece towarzystwo!

- Te biedne dziewczyny nie mają chyba łatwego życia!

- Och, tego nie wiem! Z pewnością nie, ale podobno w wielkich miastach, takich jak San Francisco czy Nowy Jork, i oczywiście w Europie, najpiękniejsze i najelegantsze kobiety to kurtyzany! Zmieniają do woli kochanków i obsypywane są drogimi prezentami! To dopiero interesujące i podniecające życie - mieć u stóp oddanych niewolników.

- Chyba jest odwrotnie! - odezwałam się oziębło. - Czy uważasz, że te kobiety niczego w zamian nie dają?

- O, a skąd ty to wiesz?

Flo odwróciła się nadąsana i zaczęła przekładać kosmetyki na toaletce. Nagle, zmieniając jak zwykle temat, rzuciła:

- O, Boże! Ale jestem znudzona! Jaka szkoda, że nic się nie dzieje! I pomyśleć, że ten głupi bal odbędzie się dopiero za trzy dni. Chyba oszaleję z nudów!

- Kto wie? Może spełni się twoje życzenie i usłyszymy strzelaninę albo dwie - szepnęłam bezbarwnym głosem. - A może zamknęli w miejscowym więzieniu jakiegoś niebezpiecznego przestępcę!

Odwróciła się gwałtownie i otworzyła szeroko oczy.

- Tak myślisz?

A potem przestraszona, że się zdradziła, wzruszyła przesadnie ramionami.

- Gdyby tak się stało, dowiedziałybyśmy się o tym od papy lub Marka. Ale oni potrafią rozmawiać tylko o interesach. Mężczyźni są tak nudni, gdy się spotykają. Kobiety przynajmniej lubią plotkować!

Przybrała złośliwą minę, a ja obdarzyłam ją słodkim uśmiechem.

- Pewna jestem, że i ty to lubisz.

- A ty bez wątpienia wolisz być ich tematem - odparowała, a ja nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

- Punkt dla ciebie!

Zmieniła błyskawicznie nastrój.

- Nudzi mnie ta wymiana zjadliwych uwag! Nie odchodząc od okna, rzuciłam od niechcienia: - Może spróbujemy przekonać jakiegoś dżentelmena, by oprowadził nas po sądzie i więzieniu. Ciekawa jestem, czy mają tu lochy jak w angielskich zamkach!

- To pierwszy interesujący pomysł, jaki wpadł ci do głowy od chwili przyjazdu! - podnieciła się Flo, a jej niebieskie oczy nabrały dawnego blasku. - Czy myślisz, że nam pozwolą?

Oczywiście zapytałam Marka. Flo zapaliła się do pomysłu, mną kierowała niezdrówą ciekawość.

- Więzienie? Rozumiem, że tutejsi notable poczują się zaszczyceni, oprowadzając was po gmachu sądu, ale...

Todd Shannon nie przebierał w słowach, kiedy dowiedział się, co zamierzamy zrobić z naszym wolnym czasem.

- Chyba zwariowałyście? Brudna dziura w ziemi. Powiem wam, jak wygląda i jak śmierdzi! To nie miejsce dla dam.

Spojrzał na mnie unosząc brwi.

- Czy znasz tych wyrzutek, których pragniesz tam odwiedzić?

Poczułam wypieki na twarzy i udałam gniew.

- Toddzie Shannonie, masz niezwykle poczucie humoru! Gdybyś nie został krowim baronem, sam z pewnością skończyłbyś jak złoczyńca!

Wybuchnął głośnym śmiechem. Dlaczego wszystkie moje uszczypliwe uwagi tak go rozśmieszały?

- Aha! Nasza panienska znów pokazuje pazurki! Powiem wam coś. Jeśli rzeczywiście jesteście znudzone, po kolacji nauczę was grać w pokera.

Flo zrobiła kwaśną minę. Ja wzruszyłam ramionami. Chciałam zachować pokój z Shannonem, więc czasami pozwalałam mu na wydawanie poleceń, choć byłam pewna,

że nigdy nie namówi mnie do małżeństwa.

Na tym skończyła się nasza rozmowa. Flo dąsała się przez cały czas. Następnego ranka po śniadaniu Mark zamienił ze mną kilka słów. Jego twarz była niezwykle poważna.

- Muszę pomówić z tobą na osobności, Roweno! Co zaplanowałaś na dzisiaj?

Popatrzyłam na niego badawczo.

- Chciałyśmy wybrać się z Flo do modystki, by przymierzyć nowe kapelusze. Ale ona od wczoraj snuje się w podłym nastroju, więc zapewne wymyśli coś innego.

- Spotkajmy się przed sklepem, powiedzmy za godzinę - szepnął w pośpiechu. - Jeśli pojawi się Flo, pomyślimy o innym miejscu. Wierz mi, to niezwykle ważne!

Poszłam do pokoju, czując dziwne napięcie i zdenerwowanie. Co, u diabła, było przyczyną nagłego niepokoju Marka? Flo siedziała w fotelu przy oknie, wpatrując się w ulicę.

Kiedy usłyszała moje kroki, rzuciła mi przeprasające spojrzenie, lecz natychmiast potem mruknęła:

- Ach, to ty! Przestraszyłaś mnie wchodząc tak cicho! Jeśli chcesz, żebym z tobą wyszła, nic z tego, zmieniłam zdanie. Okropnie boli mnie głowa - to od tych cygar, które palą przyjaciele papy!

- Jak chcesz!

Tego ranka nie miałam nastroju, by się z nią droczyć. Jej uwaga na temat cygar przypomniała mi, że Todd rzeczywiście zajęty był od rana do wieczora ze swymi przyjaciółmi. Nie widywałam go w ciągu dnia, a wieczory spędzaliśmy przy kolacji wraz z jego znajomymi i ich żonami. Od czasu do czasu rzucał mi znaczące spojrzenia, ale poza tym wykazywał niezwykłą jak na niego rezerwę.

Ignorując moją obecność, Flo odwróciła się do okna, a ja zaczęłam szczotkować przed lustrem włosy.

To dziwne, ale na widok własnego odbicia zawsze wracałam myślami do przeszłości. Ile własnych wizerunków już widziałam? Brzydka, podejrzenie wyglądająca dziewczyna przybywająca do Londynu. Hinduska księżniczka owinięta w złote sari. Naga ladcznica z brylantami na szyi, nic nie czująca, niczym się nie przejmująca. Pewna siebie,

chłodna młoda kobieta w eleganckiej sukni.

Upinając spinkami włosy, przyjrzałam się dokładnie swej twarzy. Nie zmieniłam się. Te same rysy, te same zmysłowe usta. Wystarczyło, że inaczej spięłam włosy i narzuciłam odpowiednią suknię. *Voilà!* Brzydkie kaczątko przemieniło się w łabędzia.

- Widzę, że podziwiasz swą urodę! - Flo podeszła do lustra wolnym krokiem.

Przekrzywiła głowę i oznajmiła krytycznym tonem.

- Ujdzie. Ale w tej części kraju czarne włosy są zbyt pospolite, by zwrócić czyjąkolwiek uwagę. Przyznać też musisz, że mam lepszą od ciebie figurę!

Nałożyłam zdobiony kwiatami kapelusz i dygnęłam przed nią drwiąco.

- W takim razie podziwiał ją w samotności.

Wychodząc z pokoju usłyszałam jak recytuje ze śmiechem:

- Lustreczko, powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy w świecie?

Jej chichot towarzyszył mi aż do wyjścia.

Nie wiadomo dlaczego poczułam dziwny niepokój. Nagle odniosłam wrażenie, że stanie się coś strasznego i złowieszczego. Niepokój był tak silny, że serce waliło mi jak młotem, a dłonie skostniały z zimna.

Rozdygotana wyszłam z hotelu. Jeden z Teksańczyków przechadzający się na zewnątrz wyprostował się na mój widok, a ja poczułam na sobie jego zuchwały wzrok.

- Czy życzy sobie pani powozik, madam?

Z wymuszonym uśmiechem zaprzeczyłam głową i oznajmiłam mu, iż zamierzam przejść się trochę przed spotkaniem z Shannonem.

- Szef jest po drugiej stronie ulicy, w barze „Silver Dollar”.

Czy chciał w ten sposób dowieść, że mi nie wierzy. Po krótkim milczeniu mężczyzna ten dodał:

- Mogę mu przekazać, że pani czeka. Z pewnością nie chciałby, by pani czekała, zapewniam.

- Mam zamiar spotkać się z panem Markiem Shannonem - poinformowałam lodowatym tonem. - Po zrobieniu zakupów.

Przeszłam obok, nie oglądając się na niego, z dumnie podniesioną parasolką obszytą koronką.

Był jednym z mężczyzn, z którymi flirtowała Flo, a to bez wątpienia tłumaczyło jego bezczelne zachowanie. Na wspomnienie badawczego spojrzenia owego mężczyzny zastanowiłam się, czy uważa mnie za kochankę Todda. Być może tak powiedziała mu Flo.

- Tu kobieta dbać musi o swą reputację - stwierdziła z fałszywą nutą w głosie.

A było to w dniu, kiedy przyjechała, by „ostrzec” mnie przed zbyt dużą liczbą odwiedzających mnie gości płci męskiej.

- Mężczyźni szanują miłe kobiety, ale jeśli tylko zauważą, że któraś z nich jest zbyt... hm, łatwa, zobaczysz, jak szybko zmieniają swe zachowanie!

Zagryzłam usta, by nie przygadać jej na temat niedwuznaczonej przeszłości. Wielkie nieba, czasami potrafiła dopiec do żywego!

Wiedziałam, że uzbrojony Teksasczyk śledzi mnie wzrokiem, ruszyłam więc wolnym krokiem po drewnianym chodniku. Z nieba lał się żar, ale po ulicy przetaczał się tłum ludzi. Górnicy w poplamionych uniformach, niektórzy jedynie w czerwonych podkoszulkach wepchniętych w spodnie, rozchodzili się kulturalnie na boki, ustępując mi miejsca. Kowboje przechadzali się dumnie, a ich ogromne ostrogi brzęczały przy każdym ruchu. Dostrzegłam młode, rozchichotane dziewczęta rzucające im ukradkowe spojrzenia. Ponurzy farmerzy w towarzystwie bezbarwnych, wyczerpanych pracą żon i pyzatyh dzieciaków nie zwracali uwagi na kowbojów. Zauważyłam kilku owiniętych w pledy Meksykanów z opadającymi wąsami, a nawet jednego czy dwóch Chińczyków przemijających dyskretnie w tłumie. Nawet to odległe, przygraniczne miasto było doskonałym przykładem stwierdzenia, które kiedyś usłyszałam: „Ameryka to tygiel narodów”.

Przyglądałam się napotkanym twarzom, próbując zapomnieć o nieznośnym uczuciu, które jak wielki węzeł ścisnęło mi żołądek. To nic, besztalam się. To tylko jakaś tajemnica stworzona przez Marka w nagłej potrzebie. Kiedy z nim porozmawiam, z pewnością będę się śmiać z samej siebie!

Przyśpieszyłam lekko kroku.

Kiedy zbliżałam się do małego sklepu z szyldem „Madame Fleur - Modystka”, ulicą przejechał przystojny Hiszpan o jasnej cerze. Nie zauważyłabym go, gdyby nie koń na którym siedział - wspaniały okaz ogiera. Znałam się na koniach na tyle dobrze, by

rozpoznać szlachetną krew, a ten wierzchowiec był istnym cackiem.

Jeździec, który dostrzegł moje pełne podziwu spojrzenie, chwycił lejce jedną dłonią, a drugą uniósł płaski kapelusz w rycerskim geście.

- Podoba się pani mój Conde, prawda? Rzadko się spotyka piękną señoritę, która zna się na koniach! Spod cienkich wąsów błysnęły śnieżnobiałe zęby.

Był znakomitym jeźdźcem, ale nazbyt śmiałym! Schyliłam lekko głowę i nie odwracając się, weszłam do sklepiku.

Madame Fleur, rodowita Francuzka, opuściła na moment klientkę i pośpieszyła, by mnie przywitać, tonąc w uśmiechach.

- Ach, angielska milady! Pani zamówienie jest już gotowe.

- Proszę zająć się tamtą klientką. Ja się rozejrzę trochę dokoła - poleciałam uprzejmie.

Ukloniła się i zostawiła mnie samą. Mlasnęła kilka razy językiem na znak niezadowolenia, że musi obsługiwać kogoś innego, podczas gdy ja zaszczycam ją swą wizytą.

Przemaszerowałam między zapelnionymi ladami, udając zainteresowanie kokardami, piórami i kolorowymi zdobieniami. Przejrzałam bele materiału na półkach pod ścianami. Z tyłu dotarły do mnie strzępy przyciszonej rozmowy i domyśliłam się, że to ja jestem jej tematem. Przesunęłam się w drugi koniec maleńkiego pokoiku i zainteresowałam się kolekcją starych książek, które madame przywiozła przed laty z Francji.

- Uśmiech przepięknej señority rozjaśnia to obskurne miejsce niczym promień słońca w mrocznej jaskini! - usłyszałam za sobą cichy głos.

Czy latynoska galanteria nie ma żadnych granic? Zuchwały Hiszpan na ogierze śledził mnie aż do tego miejsca.

Rzuciłam mu mrożące spojrzenie i zajęłam się książkami zdobionymi ornamentem. Nagle odezwał się szeptem:

- Proszę mi wybaczyć, jeśli zdaję się przymuszać panią do tej znajomości, lady Roweno, ale to spotkanie zaplanował przed śmiercią pani ojciec.

Chwyciłam głęboko powietrze i odwróciłam głowę, patrząc w jego brązowe oczy.

- Przepraszam! - dorzucił szybko. - Zobaczyłem panią i musiałem ruszyć pani śladem. Niech mi pani wybaczy tę obcesowość. Nazywam się Ramon Kordes.

Wymówił swe nazwisko z hiszpańskim akcentem, ale ja byłam zbyt zaskoczona, by to dostrzec. Kordes! Co on tu robi? Dlaczego mnie śledzi? Jeśli on tu jest, to jego brat...

Ze wstydem przyznaję, że w pierwszym odruchu chciałam przed nim uciec, ale zaskroskany wyraz jego brązowych oczu powstrzymał mnie.

Ramon? A więc to jest najmłodszy syn Eleny i Alejandro. To jego pozostawili u jezuitów w Mexico City. „On jeden w rodzinie jest dżentelmenem!”, oznajmił niegdyś Bragg.

- Lady Roweno! Proszę mi powiedzieć, że się pani nie gniewa.

- Po co tyle zabiegów, by się ze mną spotkać? Po co? - spytałam z zaciśniętymi ustami.

Jednym ruchem obejrzał się za siebie, ściszył głos i odezwał w płynnym dialekcie kastylijskim.

- Po to, by te dwie kobiety nie wiedziały, o czym rozmawiamy. Wiem, że zna pani hiszpański. - Jego głos nabrał ostrej barwy, a ja pomyślałam nagle o bracie Ramona. - Pyta pani, dlaczego wybrałem taki sposób? Dla Todda Shannona nie ma znaczenia, że jestem całkowicie niewinny, że nie ponoszę odpowiedzialności za czyny mego brata, że całe swe życie spędziłem w Meksyku. Nie, dla niego jestem z „rodu Kordesów” i gdyby tylko wiedział o moim przyjeździe, zastrzeliłby mnie jak psa!

- Ale zaryzykował pan!

- To żadne ryzyko! On nie wie, jak wyglądam. Na listach gończych nie ma mojego wizerunku ani opisu. Rozumie pani? Jestem bezpieczny, jeżeli nie zdradzę swego imienia.

Śmiało zadałam mu pytanie, które nie dawało mi spokoju.

- Pana brat, Lucas... gdzie on jest?

Wydało mi się, że się zaczerwienił.

- Tutaj, w okolicy. Nigdy nie informuje mnie o swych planach. Zawsze tak było. Obawiam się, że dla Lucasa wciąż jestem dzieciakiem - dodał z sarkazmem. - Nie wiem, dlaczego Lucas postanowił tu przyjechać, zwłaszcza teraz, ale ja przybyłem, by odnaleźć panią. By osobiście z panią porozmawiać.

A więc Lucas dokładnie mnie opisał! Ze złością zastanowiłam się, jakich użył porównań.

- Skoro mnie już pan odnalazł... - zaczęłam głośno, ale Ramon Kordes pokręcił głową, nie dając mi skończyć.

- Proszę! Muszę panią znów zobaczyć! Porozmawiać z panią.

- To niemożliwe i pan o tym wie. Nie teraz, nie w tym miejscu! Oczekuję przyjaciela. Na zewnątrz. Za kilka minut.

- Nie zatrzymam pani. Muszę tylko wiedzieć jedną rzecz. Proszę mi powiedzieć... czy słyszała pani o mnie wcześniej? Czy ojciec nie zostawił żadnego listu? Żadnej wiadomości?

Nie odrywał ode mnie badawczego wzroku, a ja zakipiałam ze złości.

- Co to za tajemnica? Dlaczego żaden z was nie przyjdzie do mnie i nie powie wprost, o co mu chodzi? Mój ojciec... - już miałam wspomnieć o dziennikach ojca, kiedy przypomniałam sobie opowieść Marka o Lucasic Cordzie. Ramon był jego bratem, winny czy niewinny, nie mogłam mu ufać. - Panie Kordes - odezwałam się opanowanym głosem. - Pewna jestem, że zdaje sobie pan sprawę, iż nie jest to odpowiednie miejsce na tego rodzaju dyskusje. Może innym razem.

Zmieszał się i przybrał nieszczęśliwy wyraz twarzy.

- Ale w jaki sposób? Widzę, że panią rozgniewałam. Wiem, że jest pani dobrze wychowaną damą, nie przyzwyczajoną do zawierania znajomości w tak niekonwencjonalny sposób. Proszę mi wierzyć, gdyby była inna możliwość...

Spojrzałam mu prosto w oczy, a myśli, które kołatały się po mojej głowie, przybrały nagle realny kształt.

- Pański brat znalazł sposób, by się ze mną spotkać. Nie wątpię, że i tym razem coś wymyśli. Proszę go jednak ostrzec, że nie zamienię z nim ani słowa, jeśli nie powie mi, gdzie znajduje się Elmer Bragg!

Twarz Ramona Kordesa wyrażała zdumienie.

- Elmer Bragg... mówi pani? Nigdy o nim nie słyszałem! Ja...

- Lady Rowena! Ach, tu pani jest! Przepraszam, że musiała pani tak długo czekać, ale ta pani Green... to taka gaduła!

Jej czarne, przenikliwe oczy wpatrywały się w Ramona Kordesa, który stał sztywno i niespokojnie przy moim boku.

- Widzę, że spotkała pani znajomego - uśmiechnęła się chytrze.

- Ten dżentelmen poprosił mnie o pomoc w wyborze prezentu dla narzeczonej - za-improwizowałam spokojnie. - Powiedziałam mu jednak, że pani robi to znacznie lepiej.

Odwrociłam się do Ramona i rzuciłam mu promienny uśmiech.

- Señor. Życzę szczęścia i powodzenia na nowej drodze życia.

Opanował zdenerwowanie i skłonił się sztywno.

- Jest pani zbyt łaskawa, señorita. Dziękuję. Zaczekam, aż skończy pani swoje zakupy.

- *Certainement!* - zaśmiała się po cichu madame. - Wiem, że to nie miejsce dla młodzieńca, ale zapewniam pana, że kiedy narzeczone zobaczy, co dla niej wybraliśmy, będzie... jak to się mówi? Bardzo uszczęśliwiona!

Zrobiło mi się go żal, ale nadal czułam urazę do Lucasa Corda i zbyt niepokoiłam się o pana Bragga, by marnować czas na współczucie. Muszę jednak przyznać, że uwagi na temat ojca i jego planów wzbudziły moją ciekawość.

W szybkim tempie zakończyłam zakupy u madame Fleur, zachwycając się jej dziełem. Gdy wyszła do bocznego pokoiku, by zapakować kapelusze, spojrzałam przez ramię. Ramon Kordes zniknął tak cicho i dyskretnie, jak się wcześniej pojawił.

Rozdział 13

Kiedy wymknęłam się ze sklepu, madame zorientowała się, że straciła potencjalnego klienta. Na zewnątrz czekał Mark, spoglądając niecierpliwie na zegarek. Na mój widok wetknął go do kieszeni kamizelki i pośpieszył, by podać mi ramię.

- Czy mogę ponieść ci te pudła? Na Boga, Roweno, już myślałem, że nie udało ci się pozbyć Flo!

- Obawiam się, że to Flo chciała pozbyć się mnie - zauważyłam cierpko. - I dziękuję, że zaoferowałeś swą pomoc w niesieniu tych tobołów, ale nie, Mark! Mężczyźni zawsze wyglądają idiotycznie targając takie pakunki.

Spojrzałam na niego z ukosa, otworzyłam parasolkę, by schronić oczy przed oślepiającym światłem i zapytałam od niechcenia:

- Czy widziałeś kogoś wychodzącego przed chwilą ze sklepu?

Przeciskaliśmy się już przez tłum na chodniku, a on rzucił mi, roztargnione spojrzenie.

- Nie, chyba nie. Czy był to ktoś, kogo powinienem zauważyć?

Być może było tam drugie wyjście albo Mark go przeoczył. Co więcej, tak bardzo zatopił się we własnych myślach, że nie dostrzegał nawet mojej obecności.

- Musimy się śpieszyć, Roweno! Wkrótce wuj Todd wyjdzie ze spotkania Stowarzyszenia Hodowców Bydła i lepiej będzie, jeśli nas nie zobaczy razem. Musimy zdecydować, co dalej robić.

- O czym zdecydować, Mark? Na dziś wystarczy mi tych sekretów! Dokąd mnie prowadzisz?

Pędził tak szybko, że z trudem dotrzymywałam mu kroku i omal nie upadłam, potykając się o wystającą deskę.

- Mark, na miłość boską! Czy musimy się tak śpieszyć?

Zwolnił i ścisnął mnie przepaszająco za ramię.

- Wybacz! Tak bardzo o tym myślałem, że nie zdawałem sobie sprawy, iż ciągnę cię za sobą.

- Wybaczę ci natychmiast, jeśli mi powiesz, dokąd idziemy!

- Do biura szeryfa - zakomunikował stanowczym, prawie opryskliwym tonem. - Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć, Roweno. Lepiej będzie, gdy dowiesz się o tym od samego szeryfa. A gdy już go wysłuchasz, łatwiej ci będzie podjąć decyzję w pewnej sprawie.

Dziwaczne uczucie paniki powróciło w jednej chwili jak niespodziewany cios. Potknęłam się. Nie mogłam wydusić z siebie ani słowa, płonęły mi policzki, a ręce drętwiały z zimna.

W milczeniu podążałam za Markiem, który po tym lapidarnym stwierdzeniu nie miał ochoty na dalszą rozmowę.

Biuro szeryfa federalnego z ogromnym szyldem w oknie znajdowało się po tej samej stronie, co bar „Silver Dollar”, a po drugiej stronie ulicy wyrastał okazały Territorial Hotel, wykonany z nie wypalanej cegły. Spojrzałam na okna wychodzące na ulicę i zastanowiłam się, czy obserwuje nas Flo. Wszystko miało się wkrótce wyjaśnić, ale w tym momencie miałam w głowie kompletny chaos.

Mark wprowadził mnie niecierpliwie do środka, zapominając o swych przyzwoitych manierach. Siwy mężczyzna średniego wzrostu z sumiastymi wąsami podniósł się pośpiesznie z drewnianego krzesła ustawionego za zaśmieconym biurkiem. Kątem oka dostrzegłam wyblakłe listy gończe pokrywające gęsto ścianę. Tuż za biurkiem, przy ścianie stał zamknięty na kłódkę stojak na strzelby i dwa twarde, drewniane krzesła.

- Szeryfie Hayes, to jest lady Rowena Dangerfield, córka Guya Dangerfielda. Przed kilkoma miesiącami, korzystając z rady adwokata ojca, sędziego Fleminga, wynajęła w Bostonie pana Bragga. Martwiła się jego długim milczeniem i dlatego podjąłem pewne kroki, o których panu opowiedziałem.

- O co tu chodzi? - zapytał patrząc to na jednego, to na drugiego.

Szeryf odchrząknął i ostrożnie położył cygaro na brzegu biurka. Widok ten przypomni mi biednego Bragga; zbladłam, a Mark podtrzymał mnie ramieniem.

- Roweno! Nic ci nie jest? Ten upał...

Nie zwróciłam uwagi na jego słowa.

- Ma pan jakieś wieści o panu Braggu? Szeryfie, cokolwiek to jest, muszę wiedzieć!

- No, cóż... - zaczął z roztargnieniem, dotykając wielkiej gwiazdy na obwisłej kamizelce i zerkając ukradkiem na Marka i na mnie.

- Czy on... żyje? - wykrzyknęłam. - Niech mi pan powie!

- Żyje, ale mówię pani, że tylko cudem! - burknął otwarcie szeryf, starając się ukryć swe skrepowanie moją osobą. - Nie może się poruszać i z tego, co wiem, jego życie wisi na włosku. Jest w klasztorным szpitalu w Meksyku, gdzie opiekują się nim siostry miłosierdzia. Gdy go znaleźli, wymamrotał kilka słów, ale teraz jest nieprzytomny i nie wolno go niepokoić.

Pamiętam, jak Mark chwycił pudła z kapeluszami i postawił je na brudnej podłodze, a potem posadził mnie na rozchwierutanim krześle i podał filiżankę gorzkiej, gorącej kawy.

Wymusiłam na szeryfie, by opowiedział mi całą historię, i zdanie po zdaniu dowiedziałam się wszystkiego. Te fakty obciążały tylko jednego człowieka.

„Pan Bragg udał się w tajemniczą podróż do Meksyku”. Zerknęłam na Marka, a on kiwnął potakująco głową. „Najwyraźniej wytropił Lucasa Corda w małym miasteczku w prowincji Sonora; być może spotkali się przypadkowo. Faktem jest, że Lucas Cord popełnił tam jakieś przestępstwo i wylądował w więzieniu”.

Szeryf odchrząknął ponownie i spojrzał na mnie przepraszająco.

- Poszło o kobietę i nielegalny handel bronią. Pan Bragg uzyskał pozwolenie na widzenie, ale podobno opuścił więzienie zły i zdenerwowany. Tej samej nocy opuścił miasto i skierował się przez pustynię w stronę granicy, tak twierdzą meksykańscy żandarmi. Tej samej nocy Cord uciekł z więzienia.

Postanowiłam nie przerywać szeryfowi w dokończeniu tej opowieści. Dwa dni później jacyś wieśniacy znaleźli Bragga. Ktoś postrzelił go z ukrycia i zostawił rannego. Mającąc, w bólu i pragnieniu, doczołgał się do zacienionej skały i tam przetrwał.

- Ach, ci ludzie starej daty! Twardzi, odważni! - westchnął z podziwem szeryf.

- Ale powiedział pan, że rozpoznał napastnika.

Na co liczyłam? Że zaprzeczy? Czy potwierdzi moje podejrzenia?

Otrzymałam jedynie „suche, nie upiększone fakty”, jakby określił to pan Bragg.

Zakonnice w szpitalu, do którego go zabrano, rozumiały trochę po angielsku. W

majaczeniach wypowiadał jedno imię. „Luke Cord... musicie znaleźć Luke'a Corda...”, a potem „trzeba powstrzymać...” i moje imię. „Trzeba powiedzieć Rowenie... trzeba ją ostrzec...”.

Szeryf popatrzył na mnie z pokorną miną.

- Zakonnice rozumieją tylko trochę po angielsku. Kiedy po otrzymaniu naszego telegramu pojawił się tam kapitan żandarmerii, Bragg stracił przytomność. Przykro mi to mówić, ale jeszcze jej nie odzyskał. Jednak jedna z zakonnice wykazała nieco sprytu. Siadła przy jego łóżku i zapisała wszystko, co zdołała zrozumieć z jego bełkotu. To na wszelki wypadek, tak powiedziała. W ten sposób poznaliśmy całą historię.

Przybrał posępną minę i zacisnął usta pod sumiastymi węsami. Zrozumiałam nagle, dlaczego ten siwy mężczyzna w średnim wieku został szeryfem federalnym.

- Proszę się nie martwić, madam. Ostrzeżono wszystkich szeryfów w okolicy. Cord był na tyle sprytny, by od czasu wyjścia z Alcatraz nie łamać prawa, ale teraz mamy przeciw niemu dowody. Znajdziemy go.

- Czy ma znaczenie fakt, że przestępstwo popełniono w Meksyku? - spytałam, a szeryf Hayes spojrzał na mnie z niechętnym podziwem.

- Bragg jest obywatelem amerykańskim. A zasadzka jest zasadzką. Jeśli sędzia stwierdzi, że nie możemy sądzić Corda tutaj, żandarmeria z przyjemnością wymierzy mu sprawiedliwość. Z radością dokonamy ekstradycji!

- Dziękuję, szeryfie! - oznajmił Mark i ostrzegawczo ścisnął mi palce. - Roweno, przykro mi, że musiałaś wysłuchać tych straszliwych wieści, ale pewny byłem, że zechcesz je poznać.

- Oczywiście, że tak, Mark!

- Myślę, że potrzebujesz nieco czasu, by ochłonąć z szoku. Zabiorę cię do hotelu, a potem... - zerknął znacząco na szeryfa. - Być może będę miał dla pana jakieś informacje, szeryfie Hayes. Niczego nie jestem jeszcze pewien, ale porozmawiam z ludźmi i wyjaśnię niektóre wątpliwości. Proszę jeszcze niczego nie ogłaszać. Wolę porozmawiać wpierw z moim wujem, bo może pomyśleć, że knuję coś za jego plecami.

- Oczywiście, oczywiście, panie Shannon! Rozumiem! Z przyjemnością znów się z panem spotkam.

Mark nie chciał, bym cokolwiek zdradziła szeryfowi, choć mój szok i gniew były tak potężne, że gotowa byłam wyznać wszystko: obecność Lucasa w tym mieście; spotkanie z jego bratem. Mark jednak miał rację. Przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji musieliśmy wszystko razem przemyśleć.

Wyszliśmy z biura. Mark trzymał mnie mocno pod ramię, ja dźwigałam pakunki. Pamiętam, że zatrzymaliśmy się na chwilę na drewnianym chodniku, by oczy przywykły do oślepiającego blasku zabrudzonej ulicy. I wtedy to się stało.

Dostrzegłam Todda wychodzącego z baru w towarzystwie dwóch mężczyzn. Trzymał wysoko podniesioną głowę.

Zobaczyłam błysk i kłęby dymu unoszące się w górze, gdzieś po drugiej stronie ulicy, a następnie usłyszałam eksplozję dudniącą mi w uszach. Na białej koszuli Todda pojawiła się purpurowa plama; powiększała się z każdą sekundą. Z przerażeniem patrzyłam jak słania się na nogach i pada na ziemię.

Wszystko zamarło, ustał wszelki ruch; nagle dokoła rozległ się wrzask i zamieszanie. Tupot i jakieś krzyki, szeryf biegnący obok nas z niezwykłą energią. Szept Marka; „O, Boże!”, jego palce zaciskające się na moim ramieniu.

Wyrwałam się z jego objęcia, pudła z kapeluszami upadły na chodnik a ja biegłam... biegłam.

Nie mogłam przedostać się przez gęsty tłum mężczyzn. Ich okrzyki zagłuszały pytania szeryfa.

- Proszę! - błagałam. - Proszę mnie przepuścić!

Gotowa byłam się przepchać siłą, ale widząc moją zatroskaną twarz ustąpili mi miejsca. Usłyszałam nad sobą jakieś szepty i pomruki, ale nie rozumiałam słów. W tym momencie patrzyłam na Todda, z którym walczyłam, którego tak nienawidziłam. Boże, leżał tak nieruchomo. On, który zawsze był pełen życia i siły.

Obok Todda klęczał posiwiały mężczyzna w czarnym surducie. Słyszałam, jak utyskiwał: „Na miłość boską, niech się ten tłum odsunie! Złapcie tego, kto to zrobił, a mnie zostawcie z pacjentem!

Przepchnęłam się do przodu, a dwaj kowboje towarzyszący Toddowi rozstąpili się. Popatrzyłam na niego.

Jego zazwyczaj rumiana twarz wyglądała niepokojąco blado; miał zamknięte oczy. Ktoś rozciął mu koszulę i marynarkę, a palce doktora przesuwają się po krwawej, straszliwej ranie. Przykucnęłam obok.

- Todd! - szepnęłam. - Toddzie Shannonie! Chyba nie ośmielisz się umrzeć!

Widziałam, jak zadrżały mu usta. Lekko poruszał powiekami.

- Nie... nie teraz! Najpierw... ożenię się z tobą!

Z trudem wymawiał słowa, a ja poczułam, że się rumienię.

- Zamknij się, Shannon! - nakazał doktor, dowodząc długoletniej zażyłości.

- Niech się pani zgodzi, panienko. - Uniósł krzaczaste, siwe brwi. - W przeciwnym razie nie odpowiadam za skutki! Jeśli pani nie wie, jest to najbardziej uparty, najtwardszy i najgroźniejszy drań na świecie!

Nie dając za wygraną, Todd szepnął:

- Wyjdiesz... za mnie! Zawsze to wiedziałem. A... ty?

- Niech cię diabli, Shannon! Chyba nie mam wyjścia?

Przysięg mogę, że uśmiechnął się z satysfakcją, zanim zamknął oczy. Spojrzałam w górę i napotkałam wzrok Marka. Słońce oświetlało mu twarz - dziwnie zagniewaną i zaniepokojoną.

Zrobił krok naprzód.

- Doktorze?

- Będzie żył! Kula przeszła koło serca. Obiła się o żebro. Nie wolno go ruszać.

- Dzięki ci, Boże! - szepnął Mark.

Mój umysł pracował na szybkich obrotach, a jedna myśl nie dawała spokoju: „Co ja takiego zrobiłam? Na co się dałam nabrać?”.

Jak we śnie ruszyłam w stronę hotelu.

- Ktoś musi powiadomić Flo! Czy dasz sobie z tym radę? - Mark zachowywał się jak oszalały.

- Zostaję z nim, ale będę musiał porozmawiać z szeryfem. Czy obiecujesz, że pozostaniesz w hotelu aż do mojego powrotu? Może i ty jesteś w niebezpieczeństwie! Uważaj na siebie! - nakazał cichym, stłumionym głosem.

Nie zwracałam uwagi na jego ostrzeżenia, bo nadal pozostawałam w szoku. Kiedy

jednak weszłam do hotelowego westybulu, mój umysł odzyskał dawną precyzję.

Wolno przeszłam obok gapiącego się recepcjonisty i gromadki podekscytowanych mężczyzn przy kontuarze.

Wchodząc po schodach kurczowo chwyciłam się poręczy. Mark odesłał mnie do hotelu, ale popatrzył na mnie tak znacząco... Zastanowiłam się, czy i on dostrzegł błysk pomarańczowego światła i dym, czy i on podejrzewał, to co ja.

Podejrzenia? Nie, ja to wiedziałam! Pewna byłam, że Lucas Cord strzelał do swego wroga z tego właśnie hotelu. W podobny sposób zastrzelił Elmera Bragga. A Ramon? Czy domyślał się czegoś i próbował mnie ostrzec?

To moja wina, o, Boże - gdybym tylko posłuchała Marka, gdybym ostrzegła Todda! Czy to z poczucia winy obiecałam Toddowi, że go poślubię?

Właśnie otwierałam drzwi do pokoju, kiedy przybiegła Flo. W szlafroku, z rozwianymi włosami z trudem chwyciła powietrze, a jej wielkie z przerażenia oczy jaśniały nienaturalnym blaskiem.

- Czy on nie żyje? Powiedz mi! Czy papa nie żyje?

Spojrzałam na nią i straszliwe podejrzenie, które przemknęło mi przez myśl nabrało tak realnych kształtów, że odebrało mi mowę. Otworzyłam drzwi i weszłam do środka; Flo wpadła za mną.

- A więc nie żyje! Wiem to!

Nie odrywałam od niej wzroku.

- Gdzie on jest?

Odwzajemniła spojrzenie i zatrzymała się jak rażona piorunem.

- Czy ty oszalałaś? - wydusiła. - Nie wiem, o czym mówisz! Pytałam cię o papę.

- Twój ojczym został poważnie ranny, ale żyje - z obrzydzeniem popatrzyłam na jej potargane blond włosy opadające luźno na ramiona, na półotwarte czerwone usta; krągłości jej ciała wynurzające się spod cienkiego, jedwabnego szlafroka. - Czy zawsze biegasz półnaga po hotelowych korytarzach?

Instynktownie ściągnęła szlafrok na piersiach i wbiła we mnie wzrok.

- Spałam! - wrzasnęła. - A potem usłyszałam strzał i wybiegłam! To było tak blisko, tak głośno! Bałam się! Wiedziałam, że stało się coś okropnego!

- Ale nie wybiegłaś na zewnątrz - stwierdziłam z chłodną, bezlitosną logiką. - Pobiegłaś w drugą stronę, prawda? Gdybyś pobiegła w stronę wyjścia, zauważyłabym cię wcześniej. Od czasu strzelaniny minęło dobre dwadzieścia minut.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Dlaczego mnie przesłuchujesz? Czy myślisz, że to moja sprawka? O, Boże! To śmieszne! To...

- Milcz!

Mój głos zabrzmiał dość ostrzegawczo, bo urwała w połowie zdania.

- Skąd wiedziałaś, że strzelano do twojego ojczyma? Mówiłaś, że spałaś, a potem wybiegłaś. Jak daleko pobiegłaś?

- To nie rozprawa sądowa! - Na jej policzkach pojawiły się czerwone plamy.

- Ale może do niej dojść, jeśli nie wymyślisz bardziej przekonującej historii. Jeśli ukrywasz przestępcę, jesteś tak samo winna jak on!

- Nie, ty zwariowałaś! Widziałaś jak strzelają do papy i postradałaś zmysły!

Potrząsnęła prowokująco głową, ale kiedy podeszłam bliżej, skuliła się.

- Nie zbliżaj się! Jak śmiesz mówić do mnie takim tonem?

- Skąd wiedziałaś, że strzelano do Todda? Ostrzegam, jeśli nie odpowiesz, sprowadzę tu szeryfa i wtedy odpowiesz na jego pytania.

- Zrobiłabyś to, prawda? Zawsze mnie nienawidziłaś! - Zagryzła usta i dodała spokojnie. - Najpierw podbiegłam do okna. Czy to nie jest naturalny odruch? Kiedy zobaczyłam... jak możesz winić mnie za to zdenerwowanie? Chwyciłam z fotela szlafrok, a potem wydało mi się, że słyszę tupot na schodach! Tak się bałam! Narzuciłam więc szlafrok i wybiegłam z pokoju.

- Dokąd?

- Co cię to obchodzi? Nie jesteś...

- Mów dalej - ponagliłam ją bezlitośnie, a ona opuściła ponuro głowę i przesunęła po dywanie bosą stopą.

- Nie pamiętam. Wpadłam w histerię. Krzyczałam coś i wypadłam z pokoju! Jak najdalej od tego straszliwego widoku! Na górę. Do pokoju Marka. Waliłam w drzwi, wołałam jego imię, aż przypomniałam sobie, że widziałam go tam na dole. A potem... och, nie pamiętam! Usiadłam na podłodze skulona i płakałam.

Jej pełen nienawiści wzrok mówił: „Spróbuj dowieść, że było inaczej!”.

- Bez namysłu potrafisz wymyślać sprytnie kłamstwa - mruknęłam ze złością.

Czułam, że kłamie, choć nie mogłam odczytać tego z jej twarzy.

- Dlaczego nie przyznasz, że nie chcesz mi uwierzyć? Chciałabyś mnie usunąć ze swej drogi, prawda? Ty i papa...

- Czy rzeczywiście uważasz, że musiałabym cię usunąć, aby zrealizować swój cel?

Nie mogłam znieść jej widoku. Odwróciłam głowę i ujrzałam łóżko z wilgotnym, wygniecionym prześcieradłem. Po jednej stronie upchnięto poduszki, skopana kołdra wałała się na podłodze.

Podeszłam bliżej jak przyciągnięta magnesem.

Z tyłu usłyszałam histeryczny pisk Flo.

- Co znowu? Co ci się nie podoba? Spałam, przecież już to wiesz!

Czułam, że coś ukrywa!

Zrobiłam krok naprzód i zwierzęcy kopulacyjny zapach podrażnił moje nozdrza.

- Powiedz mi coś. Czy wystrzelił przed czy po? Czy przyglądałaś się, jak celuje i pociąga za cyngiel?

Położyła dłoń na ustach i zerknęła na łóżko.

- Ja... ja nie...

- Dokąd uciekł?

- Znowu zaczynasz! Atakujesz mnie! Rzucasz oskarżenia...

Nagle opuściły mnie siły, poczułam ucisk w żołądku. Musiałam usiąść. Nie na łóżku. Jak zwierzęta... ta myśl nie dawała mi spokoju. Nic dziwnego, że nie chciała mi towarzyszyć tego ranka. Wiedziała, gdzie jest, wiedziała, że przyjdzie, gdy tylko zniknę.

Zagłębiłam się w małym, pluszowym fotelu przed toaletką i podparłam dłońmi podbródek.

Pomyślałam, że odniosła pewne zwycięstwo. Oczywiście Flo miały błyskawice.

- Nie wstyd ci? Jesteś złośliwa i występna! Papa leży tam ranny, a ty próbujesz się mścić!

- Przestań, Flo! - nakazałam spokojnym tonem, a ona przerwała w połowie zdania.

- Czy masz mnie za idiotkę? Wiem, co się wydarzyło w tym pokoju... na tym łóżku. Cały

pokój przesiąknięty jest waszym zwierzęcym pożądaniem! Jak mogłaś to zrobić? Jak mogłaś pozwolić, by cię dotykał? Zwłaszcza po...

- Po czym? No po czym? Powiedz mi, ty zarozumiała i oziębła dziwko, skąd możesz wiedzieć jak to jest? - obrzuciła mnie stekiem wyzwisk i podeszła bliżej, zionąc nie-nawiścią. - Ach, teraz się wydało! Oskarżasz mnie, udając świętą, a sama przez cały czas... - Zaśmiała się piskliwie. - Boże! Co za hipokrytka! Poczekaj, aż powiem papie. I Markowi! A może to któryś z nich? Ile razy twoje łóżko wyglądało i pachniało w ten sposób, lady Roweno?

Spojrzałam na nią obojętnie.

- Ja przynajmniej nie poszłam do łóżka z mordercą. Gdzie on jest, Flo? Czy strzelał z tego okna?

Zmierzyła mnie zuchwale wzrokiem, a ja wzruszyłam ramionami, wstałam i ruszyłam w stronę drzwi. Pobiegła za mną.

- Dokąd idziesz? Niech cię diabli!

- Po szeryfa. Ubierz się, zanim wrócimy.

- Nie! Nie ośmielisz się! Ja im powiem...

- Co im powiesz, Flo Jeffords? To ja opowiem im pewną historię.

- Nie, zaczekaj! - Chwyciła mnie palcami za rękaw.

- Poczekaj! Powiem ci wszystko, ale obiecaj, że nie zdradzisz im ani słowa! Nie możesz! To by się nie spodobało papie! Wolałby raczej umrzeć, niż ponownie mieć do czynienia z tym starym skandalem.

Zatrzymałam się i oparłam o drzwi, bo nie chciałam, by zauważyła, że z emocji drżą mi kolana.

- W porządku, to prawda. Widziałam się z Luke'em. Domyślałaś się tego, prawda? Powiedział mi, że znalazłaś ten czerwony skrawek jedwabiu i że musimy bardziej uważać.

- A dzisiaj?

Popatrzyła na mnie z urazą.

- Tak. Pojawił się tutaj! Wiedziałaś, że przyjedzie do miasta, rozmawiałam z nim, ale ty nie byłaś na tyle sprytna, by się tego domyślić. Opracowaliśmy inny sygnał i kiedy

tylko wyszłaś, przyszedł do mnie. Jej oczy przybrały dziki blask. - Wiesz, nie mógł beze mnie żyć! Nie zdajesz sobie sprawy, co ryzykował, by mnie zobaczyć! Jest mężczyzną, rozumiesz? Nie masz pojęcia, co to znaczy być z prawdziwym mężczyzną, jeśli musisz sypiać z grubym, brzuchatym staruchem o lepkich dłoniach!

- Nie interesują mnie te plugawe szczegóły! Obchodzi mnie tylko dzień dzisiejszy. Flo wzruszyła posępnie ramionami.

- Byłam z Luke'em, ale musieliśmy się śpieszyć, bo ty mogłaś nadejść w każdej chwili. Wyszedł. A po chwili usłyszałam strzał! Mówiłam prawdę! Spałam, kiedy go usłyszałam, a potem wybiegłam, tak jak już powiedziałam!

- Szukałaś go, prawda? - oskarżyłam ją. - Widziałaś, co się stało i wiedziałaś, że on to zrobił!

- Być może go szukałam. Może nie. Zgaduj sobie aż do utraty tchu, ale to wszystko!

Zaląła się prawdziwie histerycznymi łzami.

Wyszłam z pokoju, słysząc za sobą jej łkanie. Nie wiedziałam dokąd pójść. Wyszłam po schodach do pokoju Marka. Drzwi otworzyły się bez trudu, kiedy przekręciłam klamkę. Kolejne kłamstwo. Byłam jednak zbyt znużona i wyczerpana, by o tym myśleć. Siadłam w fotelu przy oknie i czekałam.

Część trzecia

Przemoc i pokój

Rozdział 14

Powróciliśmy do SD w minorowych nastrojach. Mark powtarzał mi, że się zmieniłam. Z niepokojem i smutkiem próbował wyperswadować mi mój „lodowaty chłód”.

Straciłam cierpliwość.

- Nie zmieniałam się. Czy ty tego nie widzisz, Mark? To przez moje lenistwo. Dałam się ponieść emocjom. To nie powinno było się wydarzyć. Zapomniałam o moim rozsądku.

- Jesteś kobietą, Roweno!

- Czy z tego powodu muszę okazywać słabość?

Nikt już nie posądzi mnie o słabość. W tym upalnym klimacie całkowicie się zaniedbałam; nadmiernie zaufałam ludziom. I co z tego wynikło! Todd został ranny i mimo głośnych protestów zatrzymano go w Silver City. A ja, rozleniwiona i rozmarzona w słońcu, zostałam nowym szefem SD. Sam Todd nalegał, bym przyjęła tę nominację.

- Mark ci pomoże. Sporo wie o prowadzeniu rancza. Ale i ty możesz nauczyć się prowadzenia interesów, panienko. Czyż nie zwykłaś mi przypominać, że jesteśmy współnikami? Tak będzie i po ślubie, ale nie w sypialni.

- Nie powinieneś teraz o tym myśleć, Toddzie Shannonie! - rzuciłam ostro, ale on tylko wybuchnął śmiechem.

Śmiech zamienił się w głośny kaszel. Natychmiast pojawił się lekarz i popatrzył na mnie figlarnie.

- Czy nie mówiłem, że ten stary cap musi leżeć w spokoju? Proszę popatrzeć - śmieje się, a kula wywierciła dziurę w jego płucu! Proszę wyjść, panienko. O weselnych planach porozmawiacie później.

Mimo rany Todd tryskał humorem i radością, jak nigdy przedtem. Lecz ja nie myślałam o weselu. Odłożyłam te sprawy na później, do powrotu Todda na ranczo. Teraz chciałam mu tylko udowodnić, że potrafię zarządzać gospodarstwem. Postanowiłam nie popełnić najmniejszego błędu.

Przewiozłam swoje rzeczy do wielkiego domu, choć dom mojego ojca na zawsze miał pozostać moim własnym, wyjątkowym miejscem, w którym czułam się bezpieczna. Jules i Marta dadzą sobie radę, tak jak przed moim przybyciem. Musiałam im jednak wytłumaczyć, dlaczego to robię. Chciałam jak najwięcej dowiedzieć się o prowadzeniu ogromnego rancza, a *palacio* był centrum wszelkich działań i zajęć. Nie powiedziałam Marcie całej prawdy o wydarzeniach w Silver City. Wcześniej czy później sama się dowie, że jej „señor Lucas” jest ponownie ścigany listem gończym, a nagrodę za jego głowę wyznaczył sam gubernator.

Oczywiście, Todd wiedział wszystko. Nie mogliśmy tego przed nim ukryć. Mark nie zdradził, że wiedziałam o pobycie Lucasa Corda w Silver City. Opowiedzieliśmy mu historię o tym, jak rozpoznała go Flo, ale było już za późno na pościg.

Flo wróciła razem z nami, ale przez całą drogę nie odezwała się ani słowem. Dokładała wszelkich starań, by mnie unikać, a i ja nie miałam ochoty na jej towarzystwo.

Zamieszkałam w największym pokoju gościnnym i przez pierwsze kilka tygodni chłonełam wiedzę. Odwiedziłam każdą chatę, sprawdziłam każdy płot graniczny. Wieczorami studiowałam księgi rachunkowe, które tak starannie prowadził Todd.

Wpadłam w codzienną rutynę. Po wczesnym śniadaniu z Markiem wyjeżdżałam konno na inspekcję. Towarzyszył mi zawsze Mark albo mrukliwy Chuck Daly. Widziałam, że mężczyźni zaczynają mnie akceptować, zwłaszcza kiedy zauważyli, iż nigdy nie skarżę się na zmęczenie czy upał. Z prawdziwym zainteresowaniem przyglądałam się ich pracy. Na mój widok nawet twardzi Teksaszczyk przestali rzucać mi badawcze, zuchwałe spojrzenia.

Jak szybko można zmienić tok zajęć! Jediną odmianą w tej monotonii były wyprawy do „domu”, gdzie zagłębiałam się w lekturze dzienników mojego ojca. Nie zdarzało się to często - raz lub dwa razy w tygodniu. Podczas tych krótkich wizyt wyczułam chłód w zachowaniu Marty i Julesa, i pewnego razu postanowiłam to wyjaśnić.

- Może przestaniesz kiwać na mnie tak uparcie głową i powiesz mi, o co ci chodzi?

Wciąż jestem tą samą osobą, choć mieszkam teraz w *palacio*.

Zareagowała szybko w potocznym języku hiszpańskim.

- Patrona się zmieniła! Patrona nie okazuje już współczucia jak kiedyś. *Si*, powiem to. Patrona może mnie teraz przepędzić.

- Przestań nazywać mnie „patroną”! - zaprotestowałam.

- Marto, robię to, czego chciał mój ojciec. Uczę się, jak być farmerem. Pozwól, że cię zapytam. Czy chciałby, abym wylegiwała się beczynn timer na słońcu?

Spojrzała na mnie hardo.

- Pani *padre* by zrozumiał. On tylko pragnął pani szczęścia.

- A czy ja wyglądam na nieszczęśliwą? Powiem ci coś, Marto. Jestem bardziej szczęśliwa, kiedy coś robię, czegoś się uczę. Nie mogę przecież odizolować się od życia. Czy to rozumiesz?

- Rozumiem, że patrona jest jeszcze młoda. Wkrótce patrona wyjdzie za mąż. Co się wtedy stanie?

Zmarszczyłam czoło.

- Co przez to rozumiesz? Moje małżeństwo niczego nie zmieni. Ojciec na pewno by je zaaprobował.

- Ja tu nie mam nic do powiedzenia. Patrona zrobi tak, jak chce.

Łagodna perswazja napotkała mur chłopskiego uporu Marty. Podałam się i wróciłam do mojej wielkiej, bezosobowej sypialni w *palacio*.

W starym pokoju wielka zasuwa nadal podtrzymywała mocno zapadowe drzwi. Tu nie musiałam się obawiać nieproszonych gości. Ale dlaczego przyszedł? Co próbował mi powiedzieć? Lucas Cord był kochankiem Flo. Ramon Kordes patrzył mi długo i głęboko w oczy, skrywając jakąś tajemnicę. Jakimi ludźmi byli ci tak odmienni bracia? Ramon - spokojny i łagodny. Lucas - zuchwały i brutalny. Morderca zaślepiony żądzą zemsty. Ale dlaczego chciał zabić Elmera Bragga?

Pewnego dnia, kiedy wychodziłam z sypialni, Flo zaskoczyła mnie swą decyzją. Od czasu powrotu z Silver City, po utraconym balu, na który tak bardzo czekała, chodziła markotna i posępna.

- Przypuszczam, że papa wróci wkrótce do domu, więc oboje nie będziecie mieć ochoty na moje towarzystwo!

Miałam za sobą męczący dzień, odpowiedziałam więc znużona:

- Och, naprawdę Flo, czy raz jeszcze chcesz do tego wracać?

- Już teraz przemawiasz jak moja macocha! Mój Boże! Nie patrz tak na mnie. Jestem dorosłą kobietą, jeśli zechcę, potrafię nawet zakłąć!

- Proszę bardzo, nie będę ci przeszkadzać - oznajmiłam uprzejmie, próbując ją ominąć, ale stanęła w przejściu, blokując mi drogę.

- Ja jeszcze nie skończyłam.

- W porządku. Słucham.

- Wracam. Do Nowego Jorku. Do Dereka. Wolę jego niż to więzienne życie! Jestem znudzona i mam tego powyżej uszu! Obrzydły mi świętoszkowate upomnienia Marka, mdli mnie na widok twojej twarzy. Zaczynasz nawet mówić jak papa, zdajesz sobie z tego sprawę? Nie mam ochoty wysłuchiwać jego krzyków i kazań. To na tyle!

Popatrzyłam na nią wyzywająco.

- A więc to tak! Czy rozmawiałaś już z Markiem o swoich planach?

- A po co? To ty jesteś patroną, prawda? Ty jesteś tu prawdziwym bossem i nawet Mark zdaje sobie z tego sprawę. Po co mam go informować? Nie możecie mnie zatrzymać. Mam ponad dwadzieścia jeden lat, jestem mężatką i papa pierwszy stwierdzi, że moje miejsce jest przy mężu!

Pokiwałam od niechcienia głową.

- Oczywiście, masz rację. Daj mi znać, kiedy będziesz gotowa do wyjazdu. Któryś z naszych ludzi odwiezie cię do Santa Rita.

- Planowałam wyruszyć z El Paso. Mam tam przyjaciół - Barlettów. - Mark zna ich dobrze, jeśli mi nie wierzysz! Nienawidzę Nowego Meksyku. Teksas przynajmniej jest stanem i dyliżanse kursują tam regularnie.

- El Paso leży daleko stąd. Pomyślałaś, jak się tam dostać?

- Mogę złapać dyliżans w Deming albo w Les Cruces, prawda?

- Skoro się zdecydowałaś na wyjazd, wszystko przygotujemy - westchnęłam. - Wyślesz telegram do swego męża?

- Nie ufasz mi, co? W końcu to nie twój interes, ale napiszę wiadomość, a ty możesz ją wysłać osobiście do Dereka. Nie mam wątpliwości, że z radości popędzi na giełdę i zarobi następne kilka tysięcy!

Przeszła obok, dając mi do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. Ruszyłam schodami w dół, zastanawiając się, co ukuła tym razem.

Kiedy wieczorem poinformowałam Marka o jej decyzji, stwierdził tylko, że jej wyjazd będzie najlepszym rozwiązaniem dla nas wszystkich.

- Wiesz, że jej obecność trzyma nas wszystkich w napięciu - przypomniał mi łagodnie. - Wielkie nieba, Roweno, lepiej niech wyjedzie przed powrotem wuja Todda, bo może się to źle skończyć. Już ona potrafi głaskać go pod włos, a kiedy on dowie się, że brała udział w tym zamieszaniu, to... - Uniósł dramatycznie ramiona, a ja przyznałam mu rację.

Żadne z nas nie miało zamiaru wyrzucić Flo z jej własnego domu, ale to ona pierwsza wspomniała o powrocie do swych małżeńskich obowiązków.

Odwieźliśmy ją z Markiem aż do Fortu Selden, gdzie złożyliśmy kurtuazyjną wizytę pułkownikowi dowodzącemu tamtejszą jednostką kawalerii. Wysoki, dobrze ułożony oficer zapewnił nas, że Flo dostanie eskortę aż do El Paso.

- To dla nas żaden kłopot. Ostatnio mieliśmy trochę kłopotów z Apaczami, więc wszystkie dyliżanse dostają eskortę. To na wszelki wypadek, sama pani rozumie. Pokaz siły. Victorio i jego drużyna wiedzą to doskonale.

Okazało się, że pułkownik Poynter znał mojego ojca.

- Szlachetny człowiek. Najlepszy szachista, jakiego miałem zaszczyt poznać.

Był też, jak się dowiedziałam, bardzo szczery.

- Guy powinien być dziś wśród nas. Ale coś go zżerało od środka. Tłumił to w sobie. Nawet jego najlepsi przyjaciele nie wiedzieli, co naprawdę myśli. Ze wszystkiego jednak zwierzył się w swych dziennikach. Przeczytała je pani?

Musiałam wyznać, że nie wszystkie.

- Powinna pani, jeśli chce go pani zrozumieć. Zdaję sobie sprawę, że Guya niełatwo traktować jak kogoś bliskiego. Nie znała go pani, on nie znał pani, choć po kilku kieliszkach brandy opowiadał, jak to jego córka wyrośnie na prawdziwą przedstawicielkę

rodu Dangerfieldów.

- Czy wspomniał coś o szatanie Dangerfieldów? Ktoś napomknął mi niegdyś o skażonej krwi. A to wszystko przez praprababkę, która była prawdziwą czarownicą.

Pułkownik Poynter wysilił się na uśmiech.

- Ach, tak. Ale w pani przypadku, lady Roweno, możemy być pewni, że ten tradycyjny diabeł przeskoczył jedno pokolenie!

Podziękowałam mu z przesadną skromnością i zmieniliśmy temat. Pojawił się Mark, a pani Poynter, zajęta do tej pory szyciem, podniosła się z rogu pokoju i oznajmiła, że podano kolację.

Dyliżans odjechał punktualnie do El Paso, ale my skorzystaliśmy z ich gościny jeszcze przez jeden dzień. Polubiłam pułkownika Poyntera i jego cichą żonę i żywo zainteresowałam się opowieściami o Apaczach.

- Miejmy nadzieję, że ich pani nigdy nie spotka - mruknął poważnie pułkownik Poynter. - Niech mi pani wierzy, lady Roweno, nie zamierzam pani straszyć, a te historie nie są wysane z palca. To prawdziwi wojownicy, roszczą pretensje do tej ziemi i nienawidzą nie tylko Amerykanów, lecz Hiszpanów i Meksykanów także. Są wspaniałymi, dzikimi wojownikami. Takich wrogów należy szanować, lady Roweno. Niech mnie pani dobrze zrozumie.

- Pan próbuje mnie przestraszyć, pułkowniku!

Popatrzył na mnie z zadumą, badając moją odwagę.

- Nie mam takiego zamiaru. Zachęcam jedynie do ostrożności. Apacze jeszcze się nie pokazali, prawdopodobnie sami są rozważni. Ale oni tam są. Nie można ich ignorować.

Powróciłam na ranczo w minorowym nastroju, choć Mark próbował mnie rozbawić.

- Pułkownik od lat służy na granicy. Wydaje mu się, że za każdą kępą kaktusów czai się Apacz.

- Mark, wiesz, że to nieprawda! Pułkownik Poynter jest żołnierzem. Zna Indian i wie, co mówi. Nie chciał mnie nastraszyć, lecz jedynie ostrzec.

- Przed czym, na miłość boską?

- Tego nie wiem, Mark - odparłam wolno. - Ale jako komendant jednego z największych fortów w tym rejonie, jest z pewnością dobrze poinformowany. Jak sam wspomniałeś, jest tu od lat. Znał mojego ojca, zna Todda. Pewna jestem, że wie o wiele więcej. Mark, coś się kryje za jego ostrzeżeniem i to nie dlatego, że Apacze narobili mu ostatnio kłopotów.

Spojrzał na mnie zakłopotany.

- Gdyby słyszał o czymś konkretnym, ostrzegłby nas wyraźnie. Myślałaś o Lucacie Cordzie, prawda? Roweno, on jest daleko w jakiejś kryjówce! A teraz, kiedy kuzyneczka Flo postanowiła nas opuścić i wrócić do małżeńskich pieleszy, nie ma już sojusznika w obozie wroga, prawda?

Wyczułam w jego głosie dziwny niepokój i zaczęłam się modlić o szybki powrót Todda.

Byliśmy teraz dla siebie jak brat i siostra, choć mieszkanie pod jednym dachem bez Flo jako przyzwoitki okazało się niemożliwe. Powróciłam do małego domku, a Marta i Jules powitali mnie z radością, choć Marta zachowywała chłodny dystans.

Mijały dni, a ja spędzałam je tak jak ostatnie tygodnie. Temperatura rosła z dnia na dzień, choć czasami nad odległymi górskimi szczytami gromadziły się burzowe chmury.

Codziennie zajęcia sprawiały mi sporo radości, ale to mi nie wystarczało. Czekałam na jakąś odmianę, która przerwałaby nudną rutynę.

Todd... pomyślałam. Wkrótce wróci i kłótnie rozpoczną się od nowa. Doprowadzi mnie do szału, a potem wymusi pocałunek w chwilowym zawieszeniu broni.

Czekał nas ślub. Dałam mu słowo, ogłosiłam to publicznie. Małżeństwo to nie przelotny romans. Ile razy obiecywałam sobie, że nigdy nie wyjdę za mąż, a tu nagle i nie wiedzieć czemu złożyłam przyrzeczenie. Czy go kochałam? Szanowałam jego moc, podziwiałam niechętnie jego silną wolę. Ale miłość? Czy wiedziałam, co to znaczy?

Z tych rozmyślań wyrwał mnie list od Flo. Przybył na dzień przed powrotem Todda i zaadresowany był do Marka.

Piszę ten list tylko dlatego, że Derek z pewnością będzie się niepokoił, co się ze mną dzieje. Możesz mu ode mnie przekazać, że postanowiłam żyć! Boże, jaka byłam znu-

dzona. Jak zmęczona ciągłym nadzorem i zaplanowaną każdą godziną! Wiem, że pokażesz ten list Rowenie, ale nie dbam o to! Może tobie wystarczy namiastka życia, ale nie mnie.

Zmęczyli mnie dżentelmeni. Potrzebuję mężczyzny. Spytaj Rowenę, ona wie, co mam na myśli. Biedny Marku, papa miał niegdyś nadzieję, że wyjdę za ciebie z rozsądku. Ale potem pojawiła się ona i wszystko zepsuła. Teraz nie ma to już znaczenia.

Odchodzę z Lucasem. Wyślij za nami szeryfów, a ja wyznam publicznie, że byliśmy kochankami, że był ze mną, kiedy strzelano do papy. Pomyśl o tym skandalu!

Jesteś zdolnym adwokatem, Mark. Wymyśl jakąś historyjkę, która zadowoli każdego. Zostawcie mnie w spokoju. Nie dręczcie mnie, a i ja nie będę was niepokoić. To chyba uczciwe postawienie sprawy, prawda?

Na kilku następnych stronach obwiniła mnie za wszystko. Jednak istota tego listu nie budziła żadnych wątpliwości.

Jak się obawialiśmy, wpływ tych wiadomości na Todda był katastrofalny. Poczerniał na twarzy i zaczął wrzeszczeć na Marka i na mnie. To nasza wina, że jej nie nadzorowaliśmy, że pozwoliliśmy jej wyjechać! Postanowił wynająć ludzi, by ją sprowadzili. Jeśli szeryfowie na terytorium okażą się bezsilni, chciał wynająć płatnych zabójców, by schwytali Luke'a Corda - ludzi równie niebezpiecznych i drapieżnych jak on sam.

Mark próbował wszystko wyjaśnić spokojnym i rozważnym tonem. Ja ruszyłam w stronę wyjścia.

- Niech cię diabli, wracaj! - darł się Todd. - Jeszcze nie skończyłem!

Zignorowałam jego krzyki i nie zwołam kroku, ale dopadł mnie na dziedzińcu.

- Roweno! Dokąd się wybierasz? Powiedziałem, że jeszcze nie skończyłem.

Chwyił mnie za ramię, a ja odwróciłam głowę i rzuciłam mu lodowate spojrzenie.

- Wiesz dobrze, że nikt nie będzie na mnie pokrzykiwał. Porozmawiaj z samym sobą. Wrzeszcz na Marka. Ale zapamiętaj jedno, Toddzie Shannonie, nie jestem twoją własnością.

- Niech cię diabli, wyszłaś w połowie. Nie jestem do tego przyzwyczajony.

- Gadałeś bzdury. Nie mam ochoty wysłuchiwać dziecinnych przechwałek.

- Na Boga! Ośmielasz się twierdzić, że jestem dziecinny? Sama jesteś zepsutym bachorem.

- W takim razie pewna jestem, że nie zechcesz mnie poślubić.

Próbowałam się wyrwać, ale zacisnął dłoń. Odwrócił mnie i spojrzał prosto w oczy.

- Czy musisz publicznie dowodzić swej brutalnej siły?

- Przestań mi docinać tym ostrym jęzorem, panienko! Czy dziwisz się, że wpadłem w złość? Flo zrobiła z nas głupców, obnosząc się ze swoim bezwstydem na oczach całego terytorium. Chcesz, abym usiadł i rozważył to racjonalnie?

- Możesz chyba rozmawiać spokojnie, czyż nie? Poza tym marnujesz czas, zrzucając na nas winę.

- Jak mi Bóg miły, nie dam za wygraną! Przyniosła mi wstyd, uciekając z tym cholernym mieszkańcem, który próbował mnie zabić!

- Nie szukam wymówek dla Flo, ale musisz pamiętać, że jest dorosłą kobietą.

- Pamiętam o wielu rzeczach - stwierdził ponuro Todd.

Zdał sobie jednak sprawę, że nie pozwolę się zastraszyć i utyskując przeprosił za swe gwałtowne zachowanie.

Trudno było zapomnieć o tym nieprzyjemnym incydencie. Czy kiedykolwiek ludziłam się, że tak się stanie? Dotarły do nas wieści o Flo. Widziano ją w San Antonio z Lucasem Cordem. Ktoś rozpoznał ich w Amarillo. Prawdopodobnie Lucas zrozumiał, że jej obecność przyciąga tylko „łowców głów”, bo najwyraźniej porzucił ją w jednym z dzikich miasteczek w Kansas.

Mark opowiedział mi tę historię, by przygotować mnie na spotkanie z Toddem, który pienił się z wściekłości.

- To wstrętna sprawa, Roweno! Bóg jeden wie, dlaczego zachęcił ją do ucieczki, chyba że planował publiczne ośmieszenie pasierbicy Todda Shannona.

- Uważasz, że była to wyłącznie jego zemsta?

- A co innego? Wykorzystał ją, a potem na oczach wszystkich pozbył się jej. Przykro mi, Roweno. Wygląda na to, że to ja przynoszę zawsze złe wieści. Wystawił ją na licytację w jakimś tanim barze i przegrał w pokera z zawodowym karciażem.

Nie mogłam uwierzyć w taką gruboskórność, ale otrzymałam raport od jednego z detektywów z agencji Pinkertona. Porzuciwszy Flo, która stała się wyłącznie ciężarem, Lucas Cord zniknął ponownie.

- Czy ten detektyw nie mógł nic zrobić?

- Usłyszał tę historię od człowieka, który był świadkiem zdarzenia - zachmurzył się Mark. - Kiedy przystąpił do dokładnego śledztwa, nikt nie wiedział, dokąd wyjechała. Podobno opuściła miasto z pokerzystą.

Rozdział 15

W ciągu następnych tygodni po haniebnej eskapadzie Flo Todd popadł w obsesję. Mark zwierzył mi się, że musiał chodzić koło niego na palcach; starał się też jak najrzadziej przebywać w *palacio*.

Z Markiem spotykałam się częściej niż z Toddem, a podczas naszych przypadkowych spotkań wydawał się całkowicie pochłonięty pracą. Unikałam rozmów na temat daty ślubu. „Jak się wszystko wyjaśni... po spędzie bydła...”.

- Przywiozę ci najpiękniejszą suknię ślubną, jaką kiedykolwiek widziałas - oświadczył Todd, gdy odzyskał humor. - I brylanty na pierścionek i do włosów.

- Och, nie - zaprotestowałam odruchowo. - Tylko nie brylanty!

Widząc jego zasmucone spojrzenie, dodałam szybko:

- Nigdy ich nie lubiłam. Wolę szafiry albo szmaragdy.

- Dostaniesz wszystko, co zechcesz, maleńka. Wtedy nigdy mnie nie opuścisz.

Otoczył mnie ramionami i umilkła rozmowa. Zawsze tak było. Kiedy jednak zostawiał mnie samą, uwierzyć nie mogłam, że wychodzę za mąż. „Nie zostanę niewolnicą żadnego mężczyzny!” - powtarzałam sobie odważnie. Czy możliwe, że uległam tak łatwo?

Gdy zaczął się wiosenny spęd bydła, Todd pojawiał się coraz rzadziej, a ja wyjeżdżałam niekiedy przed wschodem słońca, by zobaczyć, co się dzieje. Było to niezwykle uciążliwe i wyczerpujące zajęcie: wypędzanie bydła, znakowanie cielaków i sortowanie najlepszych sztuk. Wyglądało na to, że przygotowania do długiego spędu na najbliższą

stację zajmą wiele miesięcy, w zależności od tego, jak daleko zabłąkają się niektóre sztuki.

Jako członek nowo powstałego Stowarzyszenia Hodowców Bydła Todd nie organizował spędu w pojedynkę. Nieustanne problemy z Indianami i koniokradami zmusiły wszystkich hodowców na tym terenie do połączenia sił i poprowadzenia wspólnego, ogromnego spędu.

- Chciałem zabrać z nami Marka - burknął Todd. - Ale chyba bardziej przyda się tutaj, pilnując interesów.

Wiedziałam, że myśli o przeszłości, kiedy wyjechał z moim ojcem na poszukiwanie srebra, a po powrocie okazało się, że stracił wszystko, co kochał i na co pracował. Współczułam też Markowi, który przecież był adwokatem, nie farmerem.

Gdy napomknęłam o tym Toddowi, prychnął tylko.

- Mark wie, kto go utrzymuje! Jest moim dziedzicem i czas najwyższy, żeby się czegoś nauczył o hodowli - mrugnął do mnie znacząco. - Oczywiście, dopóki ty wszystkiego nie odmienisz, najdroższa. Daj mi syna, a Mark wróci do Bostonu, do swoich mądrych ksiąg.

- Toddzie Shannonie, nie jestem klaczą zarodową!

- Jesteś na to zbyt piękna. I przestań się martwić o Marka, bo będę zazdrosny.

- Trochę na to za późno, prawda? - zareplikowałam zuchwale, ale on jak zwykle parsknął tylko śmiechem, pewny swojej władzy nade mną.

Tak, Todd był mnie pewny, ale czy ja byłam pewna siebie? Swoich uczuć. Przyjechałam tu, by odnaleźć własną tożsamość, by stawić czoło wyzwaniom, a znalazłam jedynie przemoc i zamieszanie. Wielokrotnie przypominałam sobie, że jestem przecież bogatą kobietą. Rezygnacja z SD nie miała najmniejszego znaczenia; i tak wystarczyłoby mi na liczne podróże i zachcianki. Ale jak mogłam teraz wyjechać? Nie przeczę, że Todd pociągał mnie fizycznie. Było to jedynie pożądanie zmysłów, czy miało więc jakieś znaczenie? Czy właśnie to ludzie nazywali miłością?

Nagle pomyślałam o ojcu, który mnie kochał i ufał mi, choć nie widział swej córki na oczy. W każdym człowieku cenił dobro i za to go szanowano. Czego chciał ode mnie? Dlaczego postawił warunek, że muszę przeżyć w Nowym Meksyku przynajmniej rok?

Staralam się nie myśleć o zagadkowych uwagach Ramona Kordesa. Próbowałam wyrzucić z myśli jego brata. A potem przyszła tragiczna wiadomość z Nowego Orleanu.

Flo nie żyje. Zginęła podczas jakiejś bijatyki w barze. Biedna Flo. Taka znudzona, taka ciekawa życia!

- To on ją zabił! To tak jakby sam do niej strzelił. Niszczą wszystkich i wszystko, co do mnie należy. Ale przysięgam na Boga, że tym razem zmiotę z powierzchni ziemi to stado grzechotników!

W tej sytuacji żadne racjonalne argumenty nie przemawiały do Todda, powróciłam więc do domu, a tej samej nocy nawiedziły mnie koszmary senne. Biedna, głupiutka Flo.

Otworzyłam dzienniki ojca; posłusznie zaczęłam od rozdziałów, w których opisywał swe młodzińcze lata. Z trudem mogłam go sobie wyobrazić jako młodego człowieka: buntowniczego, żyjącego nadzieją, ambicjami i marzeniami. Jak mógł zmienić się w starego samotnika szukającego zapomnienia w butelce brandy? Kiedy stracił wszelkie złudzenia? Zbyt późno... zbyt późno... tak powiadali wszyscy. I ja pojawiłam się za późno, ale czy to moja wina? Czego ode mnie oczekiwano?

Niczego - odpowiedział Mark. Mój ojciec byłby ostatnim człowiekiem, który zażądałby ode mnie jakichkolwiek poświęceń.

- Pragnął tylko twojego szczęścia, a jeśli je odnalazłaś, Roweno, nie rezygnuj. Przestań się zadręczać myślami, że go zawodzisz.

- Och, Mark! Co ja bym bez ciebie zrobiła?

- Pewny jestem, że dałabyś sobie radę! - Zmusił się do uśmiechu. - Wiesz, co w tobie najbardziej podziwiam? Twój upór i charakter. Tak, ty zawsze sobie poradzisz. Twój ojciec byłby z ciebie bardzo dumny.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy Mark przyjął rolę troskliwego przyjaciela. Pogodził się z faktem, że poślubię jego wuja. Nie wiem, co bym zrobiła bez jego towarzystwa i zdrowego rozsądku.

Gdy Todd wyruszył na długi spęd, przebywaliśmy ze sobą tak długo, jak pozwalały na to względy przyzwoitości. W niepamięć poszły jego miłosne wyznania i nie przyszło mi do głowy, że nasza zażyłość może mieć taki wpływ na jego dżentelmeńską cierpliwość.

Pierwszych podejrzeń nabrałam zapraszając go na kolację, dodając od niechcienia, że może zostać na noc, gdyż Marta prześpi się w domu czuwając nad konwenansami.

Graliśmy w szachy; nagle podniósł się z krzesła, przewracając szachownicę i rozsypując pionki na podłodze.

- Mark! Co z tobą? Właśnie miałam zamiar dać ci mata!

- Dobrze wiesz, że nie mogę zostać! - Z trudem panował nad głosem.

Popatrzyłam na niego z przerażeniem.

- Dlaczego nie, u licha? Co w ciebie wstąpiło?

- Roweno, na Boga, czy uważasz mnie za mężczyznę ze stali? A może dla ciebie nie jestem mężczyzną? Czy nie zdajesz sobie sprawy, co to znaczy widywać cię codziennie, przebywać z tobą, wiedząc, że należysz do mojego wuja i nigdy cię nie będę miał?

- Przykro mi, Mark. Nie myślałam... wydawało mi się, że... zapomniałeś o swym zauroczeniu.

- To nie było zauroczenie, a ja staram się postępować jak dżentelmen i brat, którego tak pragniesz. Ale nie utrudniaj tego proponując spędzenie nocy pod tym samym dachem! - dodał tym samym opanowanym głosem. - Byłoby mi łatwiej, gdybym wierzył, że kochasz mego wuja. Nie jestem durniem, wiem, że możesz pokochać kogoś innego. Ale ty go nie kochasz. Obiecałem, że zawsze będę z tobą szczery, Roweno. Widzę, że on cię pociąga. Nigdy kogoś takiego nie spotkałaś - silnego i brutalnego. Intryguje cię, prawda? Ale nie kochasz go więcej niż mnie!

Wciągnęłam głęboko powietrze i zmusiłam się do uśmiechu.

- Cóż, nie podobają mi się te słowa, ale cenię twą szczerą! Mark, przykro mi! Jestem samolubna. Nie pomyślałam o twoich uczuciach, tak bardzo cieszyłam się twoją przyjaźnią i towarzyszeniem. A jeśli chodzi o moje uczucie do Todda, to jest coś, czego nawet tobie nie mogę wyznać. Czy możemy pozostać przyjaciółmi?

Westchnął głośno i opuścił ramiona.

- Zawsze będziemy przyjaciółmi. Wybacz mi ten wybuch. Nie zapraszaj mnie nigdy na noc, dobrze?

Kiedy wyjechał, nie mogłam darować sobie takiej bezmyślności. Obawiałam się, że już następnego dnia nasza przyjaźń stanie pod znakiem zapytania. Nic się jednak nie

zmieniło, obdarzył mnie tym samym ciepłym uśmiechem, a ja w ciągu kilku dni zapomniałam o całym incydencie.

Nic się nie zmieniło, powtarzałam sobie, nic.

Jeździliśmy razem konno, grywaliśmy w szachy, wspólnie przeglądaliśmy księgi rachunkowe i żadne z nas nie wspomniało o tamtym wieczorze. Nasza przyjaźń była tak niewinna, że nigdy nie zastanawiałam się, co o niej myślą ludzie. Wyglądało na to, że lekceważę konwenanse do takiego stopnia, iż nawet o nich nie myślę. W końcu nie mieszkaliśmy pod jednym dachem, a Todd zostawił nas razem. Mark był jego bratanikiem, ja współniczką i narzeczoną Todda. Stanowiliśmy prawie rodzinę!

A potem...

Łatwo jest zadawać sobie pytanie, co by było, gdybym tego nie zrobiła? Co by było, gdybym postąpiła inaczej? Z tego, co pamiętam, tamtej nocy położyłam się wcześniej do łóżka. Obudziłam się o świcie i przy śniadaniu ponownie przeczytałam list od pani Poynter, w którym zapraszała mnie na kilka dni do Fortu Selden. Wiedziała, że Todd wyjechał, przekonana była, że przeżywam śmierć Flo i tęsknię za damskim towarzystwem. Wspomniała o swej podróży do El Paso i zaproponowała, bym towarzyszyła jej w wyprawie do tego słynnego granicznego miasta.

Pomyślałam, że muszę omówić to z Markiem. Obiecał odwiedzić mnie koło południa, ale jeśli wyjadę wcześniej, być może złapię go przed eskapadą na ujeżdżanie dzikich mustangów. Być może zabierze mnie ze sobą.

Dowiedziawszy się o mojej samotnej wyprawie, Marta pokręciła z dezaprobatą głową.

- To niemądry pomysł. Niech pani jedzie z Julesem.

- A kto wtedy zostanie z tobą? Znam drogę i potrafię o siebie zadbać.

Aby uspokoić jej obawy, wyciągnęłam z kieszeni spódnicy mały rewolwer.

- Nadal uważam, że powinna pani poczekać na señora Marka.

- Nie mam zamiaru! Nie dąsaj się na mnie, Marto, wiesz, jaka jestem uparta!

Wyjechałam w akompaniamencie niezrozumiałych pomruków w dialekcie meksykańskim i wielu rozpaczliwych gestów. Tego ranka byłam w radosnym nastroju i nie mogłam pozwolić, aby zepsuły go złe przeczucia Marty.

Lekko pędziłam na koniu, czując podniecenie, że ja, Rowena Dangerfield, jestem właścicielką tej dzikiej, pięknej krainy. Lekki powiew wiatru od strony gór rozwiewał mi kosmyki włosów, a ja upajałam się wolnością samotnej jazdy.

A jeśli Mark opuścił już dom? To nie ma znaczenia, zostawię konia w stajni, każę osiodłać innego i ruszę za nim. Być może zjem lunch na wozie z prowiantem. W takim dniu jak ten, nawet fasola będzie przysmakiem!

Przejechałam wesoło obok wielkiego kaktusa saguaro, z którym zawsze kojarzyły mi się przykre zdarzenia. Nic nie może mi zepsuć tego dnia. Wjechałam na szczyt małego wzniesienia, na którym zatrzymałam się kiedyś z Flo, i popędziłam konia po łagodnym stoku po przeciwnej stronie. To już niedaleko.

I wtedy go dostrzegłam. Wysoki jeździec w kapeluszu obracał dokoła swego wierzchowca, blokując mi drogę.

- Dzień dobry pani! Miły ranek na przejażdżkę! Jeśli szuka pani Marka, to niepotrzebnie. Tego ranka wyjechał bardzo wcześnie.

- Marka? - zapytałam wyniośle, unosząc brew, a on zaśmiał się cicho.

- Tak go nazywam. Dlaczego miałbym nazywać go panem Markiem? To nie on płaci mi pensję!

Stanął na środku drogi i zmusił mnie, bym przytrzymała konia.

Nienawidziłam tego człowieka od owego ranka w Silver City, kiedy bezczelnie wodził po mnie wzrokiem. Teraz moja nienawiść wzrosła jeszcze bardziej, ale nie zastraszył mnie. Jeszcze nie...

- To ja ci płacę pensję, Gilu Pardee - rzuciłam lodowato. - Będę wdzięczna, jeśli się odsuniesz. Śpieszę się!

Przechylił głowę i badawczo przyglądał się mojej twarzy.

- No, szefowo, to nieładnie z twojej strony. Myślałem, że docenisz moją uprzejmość, bo chciałem zaoszczędzić ci długiej drogi. Widzę jednak, że nie przywykłaś jeszcze do naszych manier.

Po raz pierwszy wyczułam nadchodzące niebezpieczeństwo i zacisnęłam usta. Czy próbował mnie przestraszyć? A może chciał mnie sprawdzić? Nie zważając na jego motywy, postanowiłam nie okazywać strachu.

Popatrzyłam na niego chłodnym wzrokiem.

- Pomyliłeś się zatem, a moja cierpliwość powoli się wyczerpuje.

- Tak się śpieszysz na spotkanie z Markiem? Często sobie powtarzałem: „Ten facet to ma szczęście"! Sam bym się chętnie zaopiekował taką śliczną damulką jak ty.

Zaczęłam zdawać sobie sprawę ze znaczenia jego szyderczych słów i do bólu zacisnęłam pięści, hamując wybuch gniewu.

- Panie Pardee, jest pan zwolniony. Nie podoba mi pańskie zachowanie ani manie-ry. Może pan już dziś odebrać swoją wypłatę.

Pokiwał głową i wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu.

- Nic nie rozumiesz, szefowo. Zatrudnił mnie Todd Shannon. I pewny jestem, że mnie nie zwolni, kiedy mu opowiem, co wyprawiasz z tym jego bratankiem. - Uśmiech-nął się szerzej, ukazując żółte od tytoniu zęby. - Ale jeśli będziesz dla mnie taka miła jak dla Marka, hmm... wszystko będzie inaczej! Poznasz mnie bliżej i przekonasz się, że nie jestem taki zły. Łatwo ulegam takim słodkim damulkom.

Sytuacja, w jakiej się znalazłam, zakrawała na kiepski żart. Powoli ogarniało mnie przerażenie, ale niczego nie dałam po sobie poznać.

- Jeśli Todd Shannon dowie się, co wygadujesz, zastrzeli cię na miejscu - Prychnę-łam z pogardą. - Lepiej ruszaj w drogę, Gilu Pardee, i to szybko!

Zacisnął usta i łypnął na mnie okiem.

- Uważasz się za coś lepszego? Może myślisz, że nie wiem jak sprawić przyjem-ność kobiecie. Ta mała Flo była innego zdania! Co więcej, wyglądała na szczęśliwą i błagała mnie o więcej. Dlaczego miałybyś być inna? Oddajesz się Markowi, więc może zostanie coś i dla mnie.

Zamachnął się jak błyskawica, a ja straciłam kontrolę nad koniem. Przez cały czas trzymał swego konia przy moim, a teraz chwycił za lejce, które ścisnęłam z całej siły.

Dancer stanął dęba, prawie wyrzucając mnie z siodła. Pardee trzymał lejce, próbując opanować Dancera i swojego konia. Słyszałam jak zaklął na cały głos.

I wtedy strzeliłam do niego. Bóg jeden wie, jakim sposobem wyciągnęłam z kie-szeni rewolwer; myślę, że kierowałam się odruchem. Był tak blisko, a ja zawsze należa-łam do najlepszych strzelców. Nie zdawałam sobie sprawy z własnego czynu, dopóki nie

zobaczyłam jak spada z konia z otwartymi ustami i przerażeniem w oczach. Krew zalała mu całą koszulę. Zanim opuściłam rewolwer, z trudem opanowałam przestraszonego konia.

Zabiłam człowieka. Pojęcia nie miałam, że to takie proste. Mark twierdził, że przeżyłam szok. To dlatego zeszywniało mi ciało, a twarz i ręce zdrętwiały z zimna. Pozostawiłam Gila Pardee leżącego twarzą do ziemi w kałuży krwi i popędziłam na poszukiwanie Marka.

- Czy jestem morderczynią? Czy pošlemy po szeryfa?

Siedzieliśmy w ogromnym gabinecie Todda. Mark wmusił we mnie kieliszek brandy, przykucnął obok i pocierając mi dłonie, szeptał coś łagodnie. Nie rozpoznawałam własnego głosu.

- Kiedyś w Indiach zastrzeliłam szarżującego na mnie dzikiego bawołu. Przyklekłam na jedno kolano; - nie było czasu na złożenie się do celu. Ale trafiłam go tam, gdzie chciałam. Padł kilka stóp przede mną. Tego dnia dziadek był ze mnie bardzo dumny.

- Roweno, przestań o tym myśleć. Zrobiłaś to, kierując się instynktem. Musiałaś tak postąpić. Mój Boże! - Ścisnął mnie konwulsyjnie palcami. - Kiedy pomyślę, co mogło cię spotkać! Gdybyś go nie zastrzeliła, ja bym to zrobił. Nie możesz się wciąż obwiniać.

- Nie obwiniam się. Czy tego nie widzisz, Mark? To jest najgorsze. Zabiłam człowieka i nic nie czuję. Nie mam wyrzutów sumienia. Tak bardzo go nienawidziłam, że chciałam go zabić.

Szeryf przyjechał i odjechał, z posępną i poważną miną. Podzielał zdanie Marka. Broniłam swego honoru i cnoty. Zabijając tego brutala, zaoszczędziłam pracy komuś innemu. Nikt nie ganił mnie za samotną wyprawę. Nikt nie wątpił w moją opowieść.

Powoli przyszedł do siebie. Tylko Mark wiedział, co rzeczywiście powiedział mi ten mężczyzna. Martwił się o mnie.

- Pardee był jak chore zwierzę. Po tym, co powiedział o Flo... Roweno, wiesz, że wuj Todd nigdy by mu nie uwierzył! Obiecuj, że nie będziesz się tym zadrećcać.

Brandy rozgrzała mnie nieco i przypawiła o lekki zawrót głowy. Nie odebrała jednak zdolności myślenia.

- Muszę wyjechać na jakiś czas. Zaproszenie od pani Poynter przyszło w samą porę.

- Nie możesz uciekać, Roweno! Nikt cię nie oskarża.

- Nie powiedzieli tego otwarcie. Ale ci Teksaszczyki, przyjaciele Pardee. Skąd mogę wiedzieć, co myślą naprawdę?

- Sama widziałaś, w jaką wpadli złość! Mówili, że był samotnikiem. Nikt go nie lubił. Potrafił się tylko przechwalać.

- Był człowiekiem, a ja go zabiłam.

- Roweno, przestań!

- Chcę wyjechać, Mark - uparłam się. - Potrzebuję odmiany. Jutro odpiszę pani Poynter.

Nic nie było w stanie zmienić mego postanowienia. Być może uciekałam. Być może potrzebowałam jedynie zmiany. Tyle się wydarzyło w tak krótkim czasie; zasłużyłam na krótkie wakacje.

Rozdział 16

Młody żołnierz z pobliskiego Fortu Thorn przyniósł mi odpowiedź od pani Poynter. W ciągu tygodnia gotowa byłam do podróży.

Mark odwiózł mnie do Rincon, gdzie złapałam dyliżans do Fortu Selden. Miałam przed sobą prawie cały dzień drogi. Towarzyszyła nam niewielka eskorta z Fortu Thorn.

Żołnierze tryskali humorem. Większość z nich stanowili młodzi chłopcy, z wyjątkiem starszego mężczyzny noszącego szewrony sierżanta. W dyliżansie siedziało już czterech pasażerów. Dwaj mężczyźni: jeden z nich to właściciel niewielkiego rancza; żona oficera jadąca na spotkanie z mężem i jakaś groźnie wyglądająca kobieta w nieokreślonym wieku, ukryta pod ogromnym, kapeluszem przybranym kwiatami.

Mark pochylił się nade mną i z zaskakującą wylewnością, pocałował w policzek.

- Wracaj szybko, Roweno. I uważaj na siebie.

Woźnica trzasnął z bicia i wypluł na ziemię przeżuty tytoń.

Ostatni pasażer, niski mężczyzna o puciołowatej twarzy przepchnął się obok Marka

i wskoczył do środka. Dysząc ciężko, zatrzasnął za sobą drzwiczki. Ruszyliśmy.

Miałam szczęście, że siedziałam przy oknie. Wychyliłam się i pomachałam Markowi. Siedząca obok kobieta uśmiechnęła się nieśmiało.

- Pożegnania nie są łatwe. Moja mama przepłakała całą noc, a ja nie mogłam zasnąć, choć tak bardzo oczekuję spotkania z Johnnym.

- Ja nie wyjeżdżam na długo - odpowiedziałam. - To krótka wizyta.

Wtedy w to wierzyłam. Jakaż byłam zadufana!

Miałam na sobie dyskretną suknię podróżną w szarym kolorze, z prawie niewidoczną turniurą; zupełnie inną niż moje pozostałe, modne suknie. Obszyta niebieską tasiemką miała długie, wąskie rękawy, żabot pod szyją i małe, niebieskie guziki z przodu dopasowanej baskinki.

Włosy spięłam w kok na modłę hiszpańską i nałożyłam mały, modny kapelusik w kolorze sukni, zdobiony długimi, błękitnymi wstążkami. Moją jedyną biżuterię stanowiły maleńkie klipsy z szafirami.

Mężczyźni przyjrzeni mi się badawczo, a potem odwrócili wzrok. Byłam kobietą Todda Shannona i współwłaścicielką ogromnego rancza SD. Na tym terytorium każdy o tym wiedział. A ilu z nich wiedziało, że zastrzeliłam Gila Pardee?

Siedząca obok młoda kobieta okazała się niezwykle sympatyczna. Puciołowaty mężczyzna wbił obojętny wzrok w kobietę w kapeluszu wyglądającą przez okno. Farmer nie odrywał oczu od czubków swych wysokich butów.

Stanowiliśmy przypadkową zbieraninę ludzi, ale po licznych podróżach nie robiło to na mnie żadnego wrażenia.

Młoda kobieta, Emma Jensen, przeproszała za swe niezliczone pytania, ale kiedy tylko dowiedziała się, że znam Fort Selden, nie dawała mi spokoju.

- Johnny ostrzegł mnie, że nie będzie łatwo. Upał, Indianie, ciasnota. Ale ja się nie przejmuję. Przeniesiono go tam zaraz po naszym ślubie - zaczerwieniła się. - Strasznie za nim tęsknię!

Farmer wyciągnął cygaro i spytał uprzejmie, czy może zapalić. Puciołowaty mężczyzna nie odrywał wzroku od wysokiej kobiety przy oknie. Zapytał ją, czy jedzie do El Paso.

- Sam się tam wybieram. Mam tam wielu przyjaciół. Zna pani Dana Sutherlanda? To właściciel baru „Matador”.

Jej opanowanie wzbudziło mój podziw. Odwróciła głowę od krajobrazu za oknem, spojrzała na niego od niechcienia i chłodnym tonem oznajmiła, że nikogo takiego nie zna.

- Nie wydaje mi się, byśmy mieli wspólnych znajomych, szanowny panie. Nie zamierzam też zawierać nowych przyjaźni.

Prychnął i zachmurzył się. Chciał coś dodać, ale dostrzegł wrogie spojrzenia Emmy Jensen i moje.

Jechaliśmy w milczeniu, a z nieba lał się żar. Obok woźnicy siedział uzbrojony strażnik, gdyż dyliżans przewoził ładunek srebra. Od czasu do czasu dochodziły mnie okrzyki żołnierzy. Przebyłam ten szlak już wcześniej i jak poprzednio wszystko dokoła zdawało się ciche i spokojne. Podróżowaliśmy mniej więcej wzdłuż Rio Grande, rzeki, która przecinała terytorium Nowego Meksyku na dwie części. Była to również kraina hodowli bydła, a jej krajobraz przypominał mi naszą dolinę. Nie mogłam się doczekać przyjazdu do fortu i zmiany stroju. Pamiętam, że celowo nie założyłam na ten upał gorse-tu. Dlaczego kobiety zmuszały się w tym klimacie do takiej niewygody? Miałam szczęście, że moja wiotka figura nie potrzebowała sznurków i fiszbinów.

Słońce wznosiło się coraz wyżej, a miarowy turkot dyliżansu kołysał mnie do snu. Zapadłam w drzemkę, nie bacząc na pot spływający mi po czole. Po minucie usłyszałam głośny huk z boku dyliżansu, a kołysanie przybrało na sile. W tej samej chwili rozległy się strzały i okrzyki żołnierzy.

- Co u diabła? - Farmer wyjrzał przez okno i wydał zduszony jęk.

Jego ciało wygięło się w tył, a Emma Jensen krzyknęła z całej siły. Z szyi sterczała mu strzała, otworzył szeroko oczy i przez kilka sekund jęczał straszliwie.

- Wszyscy na podłogę - nakazała starsza kobieta; bez namysłu ściągnęłam Emmę z siedzenia i przykucnęliśmy wszyscy na małej powierzchni.

Pucołowaty mężczyzna mrucał do siebie głośnym, jęklwym głosem.

- Apacze! O mój Boże! Mój Boże!

- Nie czas na modlitwy! Niech pan wyciąga pistolet i strzela!

Wyglądało na to, że jedyną opanowaną i praktyczną osobą w całym dyliżansie była

milcząca dotąd kobieta.

Emma nie potrafiła opanować wrzasku. Myślę, że była gotowa wyskoczyć z tego trzeszczącego i rozbujanego dyliżansu, gdybym tylko ją wypuściła. Przycisnęłam się do niej całym ciałem, próbując ją uspokoić. Tamta kobieta wyciągnęła dłoń i uderzyła ją w twarz.

- Tylko tak można opanować histerię. Jej wrzaski nikomu tu nie pomogą.

Poczułam oszołomienie. Spojrzałam jej w oczy, a ona kiwnęła lekko głową.

- Widzicie, jak szybko teraz pędzimy? A i wystrzały są coraz cichsze. Trzymajcie się mocno, bo chyba nie weźmiemy następnego zakrętu.

- O czym ty mówisz, kobieto? - sapnął grubas z przerażeniem w oczach. - Przecież się od nich oddalamy!

Zabity mężczyzna stoczył się na niego z siedzenia, tryskając krwią.

- Boże! - wydał okrzyk przerażenia

Zapamiętałam tylko jego wrzask. Jedno z kół musiało trafić na kamień lub inną przeszkodę na drodze, bo nagle wylecieliśmy w powietrze, objając się o siebie. Dyliżans przechylił się alarmująco, a potem nastąpił straszliwy łomot. Wypadłam na zewnątrz i przekościółkowałam kilka razy, a w uszach dudniły mi jakieś dźwięki. Konie? Emma? A może był to mój własny krzyk. Nigdy się tego nie dowiedziałam.

Kiedy zamknęłam oczy? Dlaczego tak bardzo bolała mnie głowa? Dlaczego nie umilkły wrzaski?

Monotonny krzyk zmusił mnie do otwarcia oczu. Przed sobą ujrzałam brązową kamienną twarz pomalowaną w biało-czarne pasy. Myślałam, że to senny koszmar, że jeśli zamknę oczy wszystko zniknie.

Ktoś odezwał się niskim, gardłowym głosem i choć nie zrozumiałam ani słowa, wiedziałam, że był to rozkaz. Po chwili usłyszałam zniecierpliwiony głos kobiety.

- Na miłość boską, obudź się! Weź się w garść, bo cię zabiją!

Posłuchałam jej polecenia i spojrzałam prosto w małe, czarne oczy Apacza. Miał czarne, proste włosy zwisające do ramion, a na czole czerwoną przepaskę. Wszystko to dostrzegłam nie odrywając wzroku od jego twarzy.

Powiedział coś do mnie i poruszał gwałtownie głową. Mimo szoku zrozumiałam,

że nakazuje mi wstać. Ile kości sobie złamałam? Wiedziałam, że kiedy gwałtownie otworzyły się drzwiczki, wyleciałam z dyliżansu i przetoczyłam się po drodze.

Ale żyłam! Dlaczego Emma nie przestaje wrzeszczeć?

- Wstawaj! - poleciła kobieta w kapeluszu.

Dlaczego była taka zła?

Podniosłam się z trudem, czując jak włosy opadają mi ciężko na ramiona. O Boże - teraz mnie oskalpują. Apacz chrząknął coś i chwycił mnie za ramię. Czy już oskalpowali Emmę? Czy to dlatego... Nagle odwróciłam głowę i zdałam sobie sprawę, że to nie Emma wydawała z siebie te zwierzęce ryki. Biedna, mała Emma już nigdy nie zobaczy swego Johnny'ego. Zostawili ją na drodze ze złamanym karkiem. Nie mogłam uwierzyć, co zrobili z mężczyznami. Dwaj z nich jeszcze żyli.

Zarzucono mnie na konia. Indiański wojownik, który uznał mnie za swą zdobycz, przytroczył mnie mocno w pasie do konia. Związał mi ręce, a ja poczułam cuchnący zapach potu i oliwy, którą wysmarował swe ciało.

Miałam podartą spódnicę, zgubiłam gdzieś kapelusz, a cały mój strój pokrywały krwawe plamy. Jewel nie wyglądała lepiej ode mnie, miała podrapaną połowę twarzy.

Szok przytępił moje zmysły. Nauczyłam się tego wcześniej. Nie szarpałam się, nie płakałam i chyba dzięki temu ocalałam życie. Minęło sporo czasu, zanim zaczęłam się niepokoić. W tym czasie mój oziębiały umysł koncentrował się na szczegółach. Na kierunku, w którym się udawaliśmy, przeciwnym do kierunku naszej wcześniejszej podróży. Na nieruchomych, rozrzuconych ciałach żołnierzy, tak radosnych i pełnych życia jeszcze tego ranka. Teraz wyglądali jak niezdarne, połamane marionetki w niebieskich mundurkach.

Upał stawał się nie do zniesienia, a my posuwaliśmy się w stronę gór, których groźne cienie zbliżały się z każdą minutą. Podobnie jak ja, Jewel nie odezwała się ani słowem.

Nasza podróż przypominała nocny koszmar. Apacze nie czuli upału, zmęczenia, głodu i pragnienia. Końskie pyski z wyczerpania pokryły się pianą, lecz Indianie nie dali im ani chwili wytchnienia. Ich twarze były puste i odrażające. Nie rozmawiali ze sobą, a ich milczenie i nam odebrało odwagę.

Wiedziałam, że przejeżdżamy przez jałową pustynię. Później dowiedziałam się, że była to *Jornado del Muerto* - po hiszpańsku „podróż śmierci”. Nie zrobiło to na mnie większego wrażenia. Śmierć wydawała się niczym w porównaniu z tym, co mogą zrobić z nami Indianie, kiedy zatrzymają się na nocny spoczynek.

Dotarliśmy do groźnie wyglądających gór San Andres, kiedy padł pierwszy koń. Jego jeździec zdążył zeskoczyć zręcznie tuż przed samym upadkiem nieszczęsnego zwierzęcia. Nasi zdobywcy w mgnieniu oka zarżnęli zwierzę; niektórzy z nich wepchnęli sobie do ust płaty surowego mięsa, przeżuli je i wypluli.

Od tej chwili szliśmy pieszo. Przywiązali mnie do Jewel i pociągnęli przez kamienny teren, nie pozwalając na chwilę wytchnienia.

- Zabiją nas, jeśli nie damy rady - ostrzegła mnie cicho; widząc ich twarze i zachowanie nie miałam wątpliwości, że tak się stanie.

Prowadzili również konie. Ogromne poławie mięsa z zabitego konia zawinęli w skóry i przewiesili przez lekkie derki, które służyły im za siodła.

Nie pamiętam, jak długo szliśmy i ile razy się potknęłam; za każdym razem mój zdobywca odwracał głowę i rzucając mi wściekłe spojrzenie, mamrotał coś srogo. W butach nie przeznaczonych do takiej wędrówki spuchły mi pokryte bąblami stopy. Każdy krok powodował ból nie do zniesienia, ale wiedziałam, że muszę iść przed siebie. Z trudem chwyciłam powietrze, a wilgotne kosmyki włosów opadały mi na twarz. Nie liczyło się już nic, tylko kolejny krok naprzód.

Posuwaliśmy się krętym, skalistym szlakiem, czasami głęboką rozpadliną na zboczu góry, często wąskim przesmykiem w dzikim, fantastycznie uformowanym bloku skalnym. Zdarzało się, że nie mogłyśmy iść obok siebie, więc Jewel pozostawała w tyle. Słyszałam jak dyszy ciężko i szlocha.

Na nocne obozowisko Indianie wybrali wąski, osobliwie ukształtowany kanion o stromych ścianach, szerszy pośrodku niż po bokach. Doskonały punkt obronny, ale kto by nas tu znalazł? Przeszliśmy prawdziwą pustynię, a te prastare wulkaniczne góry zbudowane były z kamienia i łupków, na których nie podkute konie Apaczów nie zostawiały najmniejszych śladów. Nie, dla mnie i dla Jewel nie było już nadziei.

Jak do tego doszło? Dlaczego byłam tak nieprzygotowana na przemoc, która czaiła

się pod płaszczykiem najpiękniejszego poranka?

Gesty i gardłowe chrząknięcia Indian dały nam do zrozumienia, że będziemy spełniać obowiązki squaw. Pokazali nam, jak zbierać chrust na podpałkę, zapalili małe, bezdymne ognisko, a my zajęłyśmy się pieczeniem końskiego mięsa. Jewel stanęła bezradna ze łzami w oczach. Ja, dzięki Bogu, pamiętałam jak przygotowywali posiłki nasi kucharze w Indiach, kiedy wyruszaliśmy na polowania na tygrysy. Odniosłam wrażenie, że mój zdobywca dumny był ze mnie, kiedy zademonstrowałam Jewel jak zaostrzyć kij o kamień i nadziać na ten kij mięso.

Odór pieczeni przyprawił mnie o mdłości, zacisnęłam usta, by nie wymiotować. Przed oczami pojawili mi się żołnierze przeszyci strzałami, przypominałam sobie straszliwą woń przypalanych ciał. Wiedziałam, że Jewel myśli o tym samym, starałam się więc unikać jej wzroku.

Indianie przystąpili do posiłku, rzucając nam ukradkowe spojrzenia. Domyśliłam się, że pozwolą nam zjeść resztki.

- Musimy jeść! - szepnęłam do Jewel.

Teraz ja byłam silniejsza. Byłam młodsza, a ona padała z wyczerpania.

Końskie mięso, choć twarde i żyłaste, dawało się przełknąć, a jeden z Indian pozwolił mi pociągnąć łyk wody ze starej, żołnierskiej manierki, którą nosił przewieszoną na szyi. Kiedy próbował ponownie związać mi dłonie, powstrzymałam go i ściągnęłam buty, czując na sobie jego wzrok. Popękane bąble na stopach powodowały ból nie do zniesienia, a pończochy przylepiły się do otwartych ran. Popatrzyłam mu w oczy i niezdanym ruchem poprawiłam włosy. Zamilkli, przyglądając się bacznie, jak splatam długie, grube warkocz. Z postrzępionej sukni oderwałam kawałek materiału i związałam koniec warkocza. W kolejnym geście odwagi zawiązałam szerszy skrawek materii wokół czoła, na modłę indiańską, a jej końce zwisały mi nad uchem.

Mężczyzna, który mnie pojmał, wydał niezrozumiały bełkot - na znak aprobaty lub nie, tego nie wiedziałam. Zauważyłam, że Jewel poszła w moje ślady, ściągając jasne włosy, nieco krótsze od moich, z tyłu głowy i związując je kawałkiem materiału. Pojęcia nie miałam, jak wyglądamy. Przedstawiałyśmy prawdopodobnie żalosne widowisko. Nawet Apacze byli wybredni wobec kobiet, które porywali. W każdym razie tej nocy zo-

stawili nas w spokoju. Związane, przykryłyśmy się brudną derką i zapadłyśmy w głęboki sen.

Następnego ranka obudzono nas brutalnie. Każda otrzymała parę skleconych w pośpiechu mokasynów, które przywiązałyśmy do kostek paskami z podartego materiału. Miałam spuchnięte i wilgotne od krwi stopy; przynajmniej te mokasyny lepiej nadawały się do dalszej wędrówki.

Maszerowaliśmy bez końca, w głowie miałam kompletną pustkę, ale co kilka godzin przystawaliśmy na parę minut. Te chwile wytchnienia przeznaczone były bardziej dla nas i dla koni, niż dla samych Apaczów.

Nie próbowałam nawet rozmawiać z Jewel. Kiedy Indianie przystawali, natychmiast padałyśmy na ziemię, by za moment podnieść się znowu.

Nie wiem, ile przebyliśmy mil, posuwając się coraz głębiej w górskie otchłanie. Nie rosło tu nic prócz twardych, poskręcanych krzewów, których nigdy nie widziałam, i sporadycznie kaktusów.

Apacze, najwyraźniej doskonale obyci z tą odległą krainą, odcinali czasami czubek kaktusa, wydrążali miąższ i przeżuwali go, połykając wyłącznie sok. Byłam tak spragniona, że poszłam w ich ślady, a i smak okazał się całkiem przyjemny.

Wędrowaliśmy godzinami, a może mijały dni? Czy można zasnąć na stojąco i maszerować z zamkniętymi oczyma? Wspinaliśmy się teraz i ku mojemu zdumieniu, kiedy słońce zniknęło za horyzontem, pojawiła się pierwsza roślinność, zwłaszcza wokół pradawnych kraterów wypełnionych wodą i skalistych kotlin.

Nasi porywacze przyspieszyli kroku i zaczęli nawoływać się w przedziwnym języku przypominającym serię bełkotów w różnej tonacji. Dwa konie dźwigające ładunek srebra również zwiększyły tempo. Tylko one dostawały wodę i pożywienie. Nie miałam złudzeń, że jeśli padną, Jewel i ja zostaniemy zmuszone do targania ciężkich worków.

Serce mi zamarło, kiedy zza skały wynurzył się kolejny Apacz ze strzelbą gotową do strzału. Pomachał do nas, a następnie omiótł kamiennym wzrokiem Jewel i mnie. Z pewnością przyzwyczajony był do widoku jeńców i łupów! Domyśliłam się, że zbliżamy się do obozu, a kiedy wspięliśmy się na kamienistą grań, ziemia uskoczyła gwałtownie, musiałyśmy więc przykucnąć, by nie stracić równowagi. Dostrzegłam drzewa wyrastają-

ce gęsto wzdłuż niewielkiego strumienia. Przed dziwnymi konstrukcjami z gałęzi płonęły małe ogniska; gdzieś zawarczał pies, ale najwyraźniej nie odważył się szczekać.

Zawleczono nas do obozu niczym jeńców przykutych łańcuchami do rydwanu rzymskiego zdobywcy. Zapadał zmierzch. Z wigwamów wybiegły kobiety z dziećmi, ale na ich twarzach nie dostrzegłam najmniejszego współczucia ani życzliwości.

- Boże, i co teraz? - szepnęła Jewel, a ja oblizalam suche wargi i podniosłam głowę, choć jej pytanie nie dawało mi spokoju.

Co teraz? Czy nas zabiją? Poddadzą torturom? A może coś gorszego?

Słyszałam opowieści o kobietach przywiązanych do pała i gwałconych przez indiańskich wojowników, bitych na śmierć przez ich kobiety. Porwanie przez Apaczów było najgorszą rzeczą, jaka mogła się przytrafić białej kobiecie. Kto to mi powiedział - pułkownik Poynter czy Todd? Przez cały czas koncentrowałam się wyłącznie na marszu. A teraz, kiedy Jewel wpadła na mnie, a Indianki zaczęły popędzać nas ze złością długimi kijami, przypomniałam sobie wszystkie przerażające historie. Myślę, że kobiety nie darowałyby nam życia, gdyby Apacz, który mnie pojmał, zdecydowanie ich nie odpędził. Tym samym ocalił nam życie.

Pojawili się inni mężczyźni i nietrudno było odgadnąć, że radują się zdobyczami. Wytykano nas palcami, pokazywano na worki ze srebrem. Wojownicy chępli się rewolwerami i strzelbami należącymi do zabitych żołnierzy i to one wzbudziły najwięcej zachwytu i pełnych uznania pomruków.

Stałyśmy milcząco w kręgu Indian, którzy podchodzili coraz bliżej. Wydawało się, że na moment zapomnieli o nas, zajęci podziwianiem łupu, ale złośliwe, krzywe spojrzenia Indianek pozbawiły nas złudzeń.

I wtedy właśnie spostrzegłam wojownika przewyższającego wzrostem pozostałych, ubranego w stary mundur kawalerzysty. Nadchodził powolnym krokiem, a pozostali ustępowali mu z drogi.

Popatrzył na mnie przez chwilę, a jego oczy zdawały się jaśniejsze, rysy odmienne od rysów innych wojowników. Miał prosty nos i wąskie usta. Było w nim coś niepokojąco znajomego. I wreszcie z przerażenia i rozpaczki odzyskałam zdolność myślenia. Zastanowiłam się, czy to możliwe... tak, dlaczego nie? Szansa jedna na sto, ale przypomniam

łam sobie słowa wypowiedziane chyba przed wiekami. „Julio, drugi syn, pozostał wśród Apaczów. Ożenił się z Indianką”.

Wiedziałam już, że człowiek ten przypomina mi Ramona Kordesa. Zbieg okoliczności? Możliwe. Ale warto było spróbować. Nie odważyłam się pisnąć ani słowa, ale wyprostowałam się i podartym rękawem przetarłam twarz.

Tak jak się spodziewałam, tym nieznacznym ruchem zwróciłam na siebie uwagę. Wodził po mnie wzrokiem, a ja spojrzałam mu śmiało w twarz. Zmarszczył brwi, miałam nadzieję, że coś powie, ale nie złamał utartych zwyczajów. Zwrócił się do wojownika, który mnie porwał, i wyglądało na to, że się targują albo kłóć.

Nie traciłam nadziei, wyprostowałam się jeszcze bardziej i modliłam w duchu, by znowu na mnie spojrział. Ale on powiedział coś do stojącego obok chłopca. Malec pobiegł gdzieś, a ja ścisnęłam dłoń Jewel. To dzięki niej przetrwałam te pierwsze, najtrudniejsze godziny.

Chciałam jej pomóc, uspokoić, ale ona porzuciła już wszelką nadzieję i stała obok, opadając z sił.

Rozmowa rozpoczęła się od nowa, ale w nieco spokojniejszym tonie. Z ukradkowych spojrzeń wywnioskowałam, że się targują.

Ale o co? O podział srebra, czy...

Teraz dopiero zdałam sobie sprawę, że w obozie byli nie tylko Indianie. Dwóch mężczyzn o niewyraźnych w blasku ogniska twarzach podeszło bliżej. Idący na przedzie wyglądał na Meksykanina. Miał na sobie skrzyżowane bandolierki i chlubił się długimi wąsami bandyty. Zignorowałam jego spojrzenie; wodził oczami to po mnie, to po Jewel.

Odezwał się po hiszpańsku do wysokiego wojownika, zrozumiałam aż nazbyt wyraźnie.

- A więc mieliśmy rację, spodziewając się łupu. A kobiety - czy one też są na sprzedaż?

- Uważasz, że są coś warte? Być może ta z jasnymi włosami. A druga... nie wiem, czy mój przyjaciel coś za nią wymieni. Nie wygląda najlepiej, ale jest silna.

Wojownik przybrał lekko drwiący ton.

- Myślałem, że chcecie targować się o srebro, a nie o kobiety, których tu nie braku-

je.

Mimo pogardy w jego słowach pomyślałam, że nie chce mnie sprzedać temu człowiekowi, który najwyraźniej wyglądał na obcego. *Comanchero*? W tym samym momencie dostrzegłam drugiego mężczyznę, który zbliżył się i trzymając dłonie za pasem, wzruszył niechętnie ramionami.

- Siquisn, myślałem, że potargujemy się przy ognisku jak mężczyźni. Nie ma pośpiechu.

Wyglądający na bandytę Meksykanin odwrócił się ze śmiechem.

- Ale mamy tu coś więcej niż srebro, *amigo*, choć wydaje mi się, że twój brat nie ma ochoty sprzedawać tej czarnulki!

Jego kompan spojrzał na mnie, a ja automatycznie wykrzyknęłam jego imię.

- Lucas Cord!

Z mojego głosu biła nienawiść. Był tu, kupcząc srebrem splamionym krwią. *Comanchero*. A więc te straszne opowieści okazały się prawdziwe.

Nie rozpoznałby mnie, gdyby nie moje słowa. Otworzył szeroko oczy, zmrużył je, wykrzywając w uśmiechu usta. Zaległa cisza. Nawet mój porywacz zapomniał języka w gębie. Julio, bo mógł to być tylko on, wycedził powoli:

- Znasz tę kobietę, bracie?

Lucas miał czelność do mnie przemówić.

- Pewna jesteś, że się znamy? Nie przypominasz mi tej pachnącej, uszczypliwej damy, którą pamiętam. Zastanówmy się - to było w twojej sypialni, prawda?

- Och! Coś takiego, ty...

- Chyba nie pora zadzierać nosa. Zamilcz!

Jego nagła szorstkość przestraszyła mnie i zdałam sobie sprawę z własnej sytuacji.

Obserwowałam ich kłótnię. Lucas Cord przemienił się w Apacza, wywołując niezadowolenie swego przyjaciela-*comanchero*.

Spór rozgorzał najpierw między Lucasem a jego bratem, po chwili do sprzeczki przyłączył się wojownik, który mnie pojmał. Pojęcia nie miałam, że Apacze potrafią się uśmiechać, ale niektórzy z nich próbowali ukryć rozbawienie, zakrywając twarze rękami. Co takiego mówił?

Po ostrej wymianie słów Lucas Cord obrócił się na pięcie i odszedł. Tuż za nim ruszył jego kompan, mamrocząc po hiszpańsku:

- Ale co ze srebrem? Przybyliśmy tu po srebro!

- Zajmij się tym, Gado! - padła odpowiedź.

- Co się dzieje? Czy znasz któregoś z nich? - Oszalały szept Jewel ożywił moje nadzieje.

- Nie jestem pewna.

Julio rzucił mi ponure spojrzenie. Nie odrywał ode mnie oczu, nawet po powrocie brata targającego długi futerał.

Lucas ani razu nie zerknął w moją stronę, otworzył tylko pudło i wyciągnął lśniącą, inkrustowaną srebrem strzelbę.

Targ dobiegł końca i Julio Kordes odszedł powolnym krokiem. Zostałam zakupiona za nowy sztucer Henry'ego i kilka nabojów.

Rozdział 17

W tamtym momencie nie bardzo wiedziałam, co się dokoła mnie dzieje. Domyślałam się tylko, a pewności nabrałam widząc jak sztucer zmienia właściciela. Lucas Cord obrzucił mnie zagadkowym spojrzeniem. W migocącym blasku ognia osobliwe, zielonkawe ogniki w jego oczach stały się jeszcze bardziej wyraźne.

Szorstkim tonem odezwał się do mnie po hiszpańsku.

- *Ven aqui.*

Ze złością zacisnęłam szczęki, bo wiedziałam, że chce udowodnić każdemu, iż jestem jego własnością. Jak niewolnica - towar, którzy można kupić lub sprzedać!

Zawahałam się, czując desperacki uścisk Jewel.

- A co z nią? To biała kobieta. Chyba nie zamierzasz jej tu zostawić?

- Zapominasz, że sam jestem jednym z nich - oznajmił okrutnie.

Zrobił krok naprzód, chwycił sznur, którym związane mi dłonie, i pociągnął mocno, aż się potknęłam.

Nie miałam wyboru, choć za sobą usłyszałam histeryczny szloch Jewel.

- Nie możesz jej tu zostawić! Czy nie ma w tobie odrobiny uczucia? - zmusiłam się do błagania. - Proszę!

- Ona mnie nie obchodzi.

Posuwał się teraz wielkimi krokami, a ja dostałam zadyszki, próbując go dogonić. Pociągnęłam za sznur, ale potknęłam się ponownie.

- Musisz coś dla niej zrobić! Nawet jeśli cię nie obchodzi, że jest białą kobietą, jest kobietą! Co oni z nią robią?

- Posłuchaj teraz uważnie, bo nie zamierzam się powtarzać! - Zatrzymał się gwałtownie, więc wpadłam na niego, a on uchwycił mnie niechętnie w pasie.

Był zły i z trudem panował nad ochryłym głosem.

- Słuchaj... - powtórzył przez zaciśnięte zęby. - To nie jest SD, a ty nie jesteś tutaj szefem, więc przestań wydawać mi rozkazy. Wiesz, co jest dla ciebie najlepsze, zatem bądź posłuszna. I żadnego marudzenia. Co ty sobie, u diabła, wyobrażasz? - Wpadł w taką złość, że aż mną potrząsnął. - Myślisz, że wystarczy im powiedzieć, iż jesteś kobietą Todda Shannona, a oni zaczną się kłaniać?

- Kiedy Todd dowie się, gdzie jestem, ogniem wykurzy każdego Apacza z tego terytorium! - Byłam równie wściekła jak on, ale moja złość rozbawiła go tylko.

- A w jaki sposób Shannon lub ktokolwiek inny dowie się, gdzie jesteś? Moi przyjaciele nie zostawiają śladów jak biali ludzie. Pewnie przypuszcza, że już nie żyjesz, zakopana, gdzie nikt cię nie znajdzie. Albo że cię sprzedano do Meksyku, gdzie za piękną białą kobietę można dostać nawet pięćdziesiąt pesos.

Na dźwięk jego słów krew odpłynęła mi z twarzy. Czy to dlatego Indianie zadali sobie tyle trudu, aby nas tu sprowadzić? Czy to miał na myśli ten drugi człowiek, mówiąc że mają tu coś więcej niż srebro?

Przeraziłam się na dobre. Lucas Cord w milczeniu pociągnął mnie za sobą. Był jednym z *comancheros*. Dlaczego mnie kupił?

Zostawiliśmy za sobą światła ognisk i zbliżyliśmy się do drzew. Pomyślałam o najgorszym. Instynktownie próbowałam się wyrwać, a mój nagły ruch zaskoczył go. Trzymał mnie mocno za ramię i kiedy przekreśliłam się, usłyszałam trzask pękającego rękawa. Rzuciłam się do ucieczki, ale potknęłam się o wystający korzeń. Upadłam.

Był to najgorszy moment od czasu tego wspianiałego poranka, kiedy radośnie opuściłam dom i udałam się na samotną przejażdżkę. Leżałam na ziemi, czując ból we wszystkich kościach i po raz pierwszy w życiu wybuchnęłam płaczem.

Nie mogłam powstrzymać łez. Pochylił się nade mną i chwycił mnie za ramię.

Nie byłam w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Byłam pewna, że już nigdy się nie podniosę.

- Na miłość boską, co się z tobą dzieje? - zniecierpliwił się. - Ruszaj!

Ścisnął mi ramię i pociągnął brutalnie do góry. Poczułam przeraźliwy ból w kostce i krzyknęłam rozpaczliwie.

Zaklął cicho i brutalnie. Chwycił mnie w ramiona i zaczął mnie nieść. Nic nie mogłam zrobić.

Dotarliśmy do prowizorycznego szałas z gałęzi i skór. Nie był lepszy od zwykłej przybudówki; w środku leżało kilka koców. Najwyraźniej Lucas Cord i jego *comanche-ros* dzielili tę małą przestrzeń, w której siodła służyły za poduszki.

Położył mnie na kocach.

- I po co próbowałaś tej głupiej sztuczki? - mruknął, kucając obok - Jak daleko miałaś zamiar uciec?

Obojętnym ruchem podniósł brzeg mojej sukni i ściągnął mokasyn z mojej lewej stopy.

- Dość tego! Co...

Próbowałam podnieść się na łokciu, zapominając, że nadal mam związane ręce. Opadłam bezradnie na plecy. W mrocznym świetle wyglądał niemal złowieszczo, choć przemawiał bezosobowym tonem, delikatnie badając palcami moją spuchniętą kostkę.

- Nie ruszaj się. Leczyłem kiedyś konie. Chyba nie jest złamana.

- Sprawia ci to przyjemność? - syknęłam z bólu, kiedy wzmocił uścisk.

To niedorzeczne, ale miałam ochotę zanieść się szlochem. Próbowałam pokonać własną słabość, ale sapnęłam płaczliwie, a on spojrzał na mnie uważnie.

- Boli czy jesteś po prostu zła?

Rwało mnie w kostce, ale nie dałam tego po sobie poznać. Niech nie myśli, że błagam go o litość!

Zacisnęłam usta i obróciłam głowę. Nie mogłam pozwolić, by usłyszał mój jęk. Nie piszczałam, nie szlochałam, nie płaszczyłam się przed nim. Bez względu na to, co robił...

Poluzował drugi mokasyn i uwolnił moją stopę. Zastanawiałam się, jaki będzie jego kolejny krok, ale nie odwróciłam głowy.

- Zdaje mi się, że zbyt długo spacerowałaś - zakpił, a ja zniecierpliwiona zwróciłam na niego uwagę. - Zaczekaj. Zaraz wracam.

Podniósł się szybko z lekkością zwierzęcia i popatrzył na mnie przez chwilę. Udałam, że mam zamknięte oczy i nie odezwałam się ani słowem. Przez rzęsy dostrzegłam, że wzrusza ramionami i odchodzi w milczeniu.

Powiedział „zaczekaj”, jakbym mogła się gdziekolwiek ruszyć. Być może oczekiwał, że spróbuję ucieczki. - Dokąd? W krzaki?

Ogarnęło mnie zmęczenie; zapadłam w drzemkę, a może zemdlałam. Byłam zbyt wyczerpana, by myśleć...

Kiedy otworzyłam oczy, obok płonęło małe ognisko. W stopie odczuwałam piekący ból.

Musiałam się niechętnie poruszyć, bo matowy, zniecierpliwiony głos Lucasa Corda kazał mi leżeć bez ruchu. Byłam wycieńczona, z głodu i pragnienia dostałam zawrotów głowy. Obudził mnie zapach gotowanej stawy.

Czy zamierzał mnie torturować? Paskami materiału zerwanymi z mojej halki obwiązywał mi stopę i zranioną kostkę; zwinnie i w milczeniu. Kiedy odrywał kolejny skrawek, zdobyłam się jedynie na ciężkie westchnienie.

Wyprostował się i spojrzał na mnie beznamiętnie. W blasku ognia dostrzegłam złote refleksy na jego szczeciniastym zaroście.

Podszedł do ogniska i przyniósł stamtąd pękate naczynie.

- Pomyślałem, że może jesteś głodna. - Zerknął na mnie, a kąciki ust zadrżały mu w lekkim uśmiechu. - Nie obawiaj się, to nie mięso końskie ani psie, tylko dziczyzna. Dziś rano upolowałem jelenia.

- Psie mięso! - Spojrzałam na niego z przerażeniem, a on rozbawiony potrząsnął głową.

- Nie wiedziałaś? To prawdziwy przysmak. Ale twój żołądek musi się do niego przyzwyczaić.

Upřednie zniecierpliwienie ustąpiło miejsca uprzejmości, ale nadal mu nie ufałam. Zauważyłam jednak, że rozwiązał mi ręce.

- Lepiej oprzyj się o to siodło; łatwiej będzie ci jeść.

Zanim zdołałam się poruszyć, pochylił się nade mną i podciągnął do góry.

Zza siodła wyciągnął obitą menażkę, do połowy wypełnioną zimną wodą. Umierając z pragnienia, już miałam zamiar wypić ją jednym haustem, lecz ostrzegł mnie, by na początku pociągnąć kilka małych łyków i zwilżyć gardło.

- Jeśli wypijesz za dużo, dostaniesz takich boleści, że nie tkniesz jedzenia.

Była to najsmaczniejsza potrawa, jaką kiedykolwiek jadłam, choć nie ośmieliłam się zapytać, co zawierała oprócz dziczyzny. Oczywiście w tym momencie zjadłabym wszystko - po przymieraniu głodem i wielomilowej wędrówce w prażącym słońcu! Nie miałam pojęcia, jak udało mi się przetrwać.

Lucas Cord przyglądał mi się, mrużąc oczy i ani drgnął, gdy podniosłam wzrok i nasze spojrzenia się spotkały.

Przemówił ochryłym, zjadliwym głosem, który nie był mi już obcy:

- Nie licz, że jutro też będę ci usługiwał! Kolację przygotowała żona mego brata; to ona sporządziła maść, którą posmarowałam ci stopy. Ale jutro znajdź sobie jakieś pożyteczne zajęcie w obozie. Mała Ptaszyna wszystko ci pokaże.

Opuściłam naczynie i rzuciłam mu wściekłe spojrzenie.

- Co masz na myśli? W obozie? Chyba nie zamierzasz mnie tu trzymać?

Siedział przede mną ze skrzyżowanymi nogami jak Apacz. Pochylił się do przodu i prawie dotknął mojej twarzy.

- Nie słuchasz zbyt uważnie. Kupiłem cię za cholernie dobrą strzelbę, wartą więcej od ciebie. A to znaczy, że mogę zrobić z tobą, co mi się podoba. Raz na zawsze wbij to sobie do głowy!

Kiedy dotarły do mnie jego słowa, poczułam jak krew napływa mi do twarzy. Złość i oburzenie odebrały mi mowę, a jego pełen zadowolenia wzrok wytrącił mnie z równowagi.

- Teraz lepiej. Jeśli będziesz robić to, co ci każę, może nie będę musiał cię bić, byś lepiej zrozumiała moje polecenia.

Tego było już za wiele. Zapomniałam o głodzie i rzuciłam w niego naczyniem. Przykucnął z zadziwiającą zręcznością, a ja prawie wybuchnęłam płaczem na widok resztek wspaniałej potrawy rozrzuconych dokoła.

Widząc jego twarz, kiedy powoli podnosił się z ziemi, pewna byłam, że mnie zabije. Ku mojemu zdumieniu parsknął śmiechem.

- Niech mnie licho, ale masz charakterek! I jaką odwagę, by zmarnować tyle jedzenia! Trudno, jutro będziesz pracować o pustym żołądku!

Nie dostrzegłam zmiany w tonie jego głosu. Zanim zrobiłam najmniejszy ruch, zbliżył się kocim krokiem i przyciskając mnie swoim ciałem, ścisnął mi dłonie nad głową. Z pogardą spojrzął na moją twarz, a ja nawet nie drgnęłam, czując na sobie ciężar jego ciała.

- Ponieważ sporo przeszłaś i udało ci się przeżyć, tym razem ci wybaczę. Ale jutro nie szukaj żadnych wymówek, że jesteś zmęczona, przestraszona czy rozhisteryzowana. Spróbuj raz jeszcze rzucić czymś we mnie, a obiecuję, że spiorę cię na kwaśne jabłko.

Skręciłam się pod nim z bólu, mając nadzieję, że przynajmniej moje oczy wyrażają nienawiść i pogardę. Ironicznie wyduł usta i uśmiechnął się lekko.

- Widzę, jak się pode mną zwijasz i zastanawiam się nad czymś... - sugestywnie przerwał w połowie, a moje ciało zeszywniało z przerażenia. - Trudno odgadnąć, o czym myśli taka kobieta jak ty - dodał cicho.

Poczułam jego oddech na rozpalonych policzkach. Czy zamierzał mnie pocałować? Odwróciłam głowę i syknęłam przez zaciśnięte zęby:

- Nie musisz zgadywać, bo sama ci powiem! Myślałam właśnie, jak bardzo cię nienawidzę, jak bardzo tobą pogardzam, jakim jesteś potworem! Mogę się tylko cieszyć, że mój ojciec nie doczekał chwili, w której przemieniłeś się w zwierzę!

Usłyszałam, jak zaczerpnął głęboko powietrza, a potem chwycił brutalnie mój podbródek i spojrzął mi w twarz.

- A więc o tym myślisz!

- Taki właśnie jesteś! Potwór - dzikie zwierzę - nieokrzesany morderca!

Chciałam dodać coś jeszcze, ale nie dał mi szansy. Uniósł się lekko nade mną i szybkim ruchem rozdarł na pół resztki mojej poszarpanej sukni.

Krzyknęłam, bijąc go z całej siły pięściami, ale byłam zbyt słaba, by stawić mu czoło.

Nawet teraz, kiedy o tym myślę, płonę ze wstydu. Rozebrał mnie do naga, przekreślając moje ciało mimo gwałtownych protestów.

A potem znów znalazłam się pod nim, czując na gołej skórze jego szorstki ubiór, a on po prostu leżał spokojnie! Spoglądał tylko na moją twarz, z radością odczytując na niej upokorzenie i nienawiść.

- Rób, co ci się podoba - sapnęłam ze złością. - Udowodniłeś, że jesteś ode mnie silniejszy. Dowiodłeś, że miałam rację! Jesteś zwierzęciem! Potworem, który siłą zdobywa kobietę! Taki masz już zwyczaj, prawda?

- Uważasz, że zamierzam cię zgwałcić? - przemówił zadziwiająco opanowanym głosem. - Mylisz się, jak w przypadku wielu innych rzeczy. Zamiast pochopnie wyciągać wnioski, lepiej przejrzyj się w lustrze. - Uśmiechnął się okrutnie. - Jest na co popatrzeć, lady Roweno Dangerfield! Twoja skóra jest prawie tak ciemna jak moja, łuszczy ci się nos. Prawdę mówiąc, mogłabyś umyć twarz. Przydałaby ci się kąpiel! I jeszcze coś. Poznałem takie jak ty. Na zewnątrz pełne uroku i obietnic, wewnątrz jedynie lodowaty chłód...

- Ty...!

- Jeszcze nie skończyłem. Nie rozebrałem cię dlatego, że cię pożądam, a tylko po to, by udowodnić, co mógłbym uczynić! Poza tym twoja suknia nie przystoi indiańskiej squaw. Jutro przyniosę ci jakiś strój, a ty zacznij przyzwyczajając się do tego miejsca.

Zsunął się ze mnie i stanął na równe nogi. Mruknął coś z pogardą i przykrył mnie kocem.

- Opatul się i spróbuj zasnąć. Nie związę cię, bo i tak nie masz dokąd pójść. *Adios*. Nie odwracając się za siebie, ruszył w stronę ognisk, a ja trzęsłam się z przerażenia, wtulając w koc.

Mimo przepełniającej mnie goryczy, zapadłam w głęboki sen. Byłam tak wyczerpana, że jedynie w półśnie usłyszałam, jak Lucas Cord powrócił do wigwamu i położył

obok. Przekreśliłam się na brzuch z przytłumionym westchnieniem i jeszcze mocniej opatulłam kocem, ale on nawet mnie nie tknął. Ku własnemu zdumieniu, zasnęłam znowu.

Po dwóch dniach pobytu w obozie Apaczów odzyskałam resztki godności i zdrowego rozsądku. Nie miałam żadnego wyboru. Byłam niewolnikiem, jeńcem, ale moja pozycja była znacznie lepsza od tych nieszczęśników pojmanych przez Apaczów. Nikt mnie nie bił, nie musiałam też spać pod gołym niebem jak pies. Nie pracowałam do utraty tchu, a kobiety i dzieci pozostawiły mnie w spokoju.

Nie zostałam żoną Lucasa Corda, choć spędzał ze mną każdą noc w wigwamie, który pomogła mi zbudować Mała Ptaszyna, żona jego brata. Nie byliśmy kochankami, choć nikt poza nami o tym nie wiedział. Dał mi wyraźnie do zrozumienia, że jako kobieta nie budzę w nim najmniejszego pożądania. Wkrótce zdałam sobie sprawę, że jedynie mści się na Toddzie Shannonie, a ja będąc narzeczoną człowieka, którego tak nienawidzi, sama stałam się jego wrogiem. Wziął mnie w zastaw, ale zbywał mnie milczeniem. Tylko raz wyśmiał mnie, budząc wczesnym rankiem i rzucając w moją stronę bluzkę i spodnicę. Był to typowy strój indiańskich kobiet. Najwyraźniej nie nosiły na sobie niczego więcej!

- Co zamierzasz ze mną zrobić? - zaatakowała go. - Mam prawo wiedzieć!

Wyprostowałam się, opatulona mocno kocem, a on zdawał się rozbierać mnie wzrokiem.

- To zależy od ciebie - wycedził chrapliwym głosem.

- Mam tu parę spraw do załatwienia, a potem udaję się w odwiedziny do mojej rodziny. A ty - podniósł głos - wybieraj: możesz pojechać ze mną jako gość lub jako służąca. Kiedyś obiecałem mojej matce białą kobietę za służącą. Szanowała twego ojca, tak jak ja, ale skoro Todd Shannon przekonał cię, że wszyscy jesteśmy bandytami i mordercami...

- Mój ojciec ocalił ci życie! - wykrzyknęłam mu w twarz. - Uratował też twoją matkę! Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

- Błagasz mnie o wolność ze względu na Todda Shannona, twego ojca czy siebie? Przypominasz mi o długu, który muszę spłacić? Wiele zawdzięczałem Guyowi Dangerfieldowi. Myślałem, że jego córka będzie do niego podobna, ale tak nie jest. Jesteś taka,

jaką cię stworzyli - twój dziadek, twoja matka - cała ta śmietanka towarzyska Londynu. Przyjechałaś w odwiedziny do Nowego Meksyku. Zobaczyłaś, jak żyją tubylcy. Nie obchodziło cię, co kryje się pod powierzchnią tego, co ci pokazali...

Przerwał, a twarz pociemniała mu z gniewu.

- Cholera! Jakie to ma znaczenie? Patrzysz na mnie z nienawiścią i nic więcej cię nie interesuje. Masz wybór. Porozmawiamy później.

Obiecał mi możliwość wyboru, ale w tej chwili nie mogłam wybierać. Lucas prawie wcale ze mną nie rozmawiał, wydawał jedynie polecenia. Czekał na mój bunt, nieposłuszeństwo czy kolejny atak złości. Ale ja nie dałam mu okazji, by zbił mnie przed całym obozem lub by pokazał mi, gdzie moje miejsce. Zaciskałam tylko usta i posłusznie wykonywałam jego rozkazy, choć z pewnością zdawał sobie sprawę z mojego sarkazmu.

Mała Ptaszyna, żona Julio i córka wodza, nie należała do zbyt rozmownych, choć znała kilka słów po hiszpańsku. I ona nie rozumiała mojej pozycji w obozie. Nauczyła mnie, jak zbudować wigwam i zbierać jadalne korzenie oraz zioła. Pokazała mi jak suszyć skóry, rozpalać ognisko i gotować indiańskie potrawy. Okazałam się pojętną uczennicą i bez słowa protestu wykonywałam wszystkie polecenia.

Spółeczność Apaczów była przykładem pradawnego społeczeństwa. Wszechwładni mężczyźni byli wojownikami; służalcze kobiety prowadziły gospodarstwa domowe. Wojownik wyruszał na polowania lub łupieżcze wyprawy, sam wykonywał swą broń. Kobieta zajmowała się pozostałymi pracami. Jak w każdej prymitywnej społeczności, i tu Indianie mieli swe tabu.

Mężczyzna nie mógł spojrzeć w twarz swej teściowej ani zamienić z nią nawet kilku słów. Mieszkał zazwyczaj z rodziną swej żony. W męskim towarzystwie kobieta nie miała prawa głosu bez pozwolenia.

Kilkakrotnie widziałam z dala Jewel. Dowiedziałam się, że kupił ją *comanchero* Delgado. Nadal miała na sobie resztki poszarpanej sukni, ale nie wyglądała na nieszczęśliwą. Podobnie jak ja przygasła i przycichła.

Kiedy drugiego dnia Lucas wyruszył na polowanie w towarzystwie kilku Indian, ubrał się podobnie jak oni - w skórzany strój i mokasyny do kolan. Zabrali ze sobą łuki, strzały, a także strzelby.

Nienawidziłam go. Co miał na myśli mówiąc, że podczas odwiedzin u jego rodziny mogę być gościem albo służącą? Kiedy opuści obóz? Czasami zastanawiałam się nad reakcją moich przyjaciół, gdyby dowiedzieli się, co się stało.

Biedny Mark! Jak bardzo musiał się obwiniać! I pani Poynter. Co gorsza, jeśli Todd wiedział już, co się wydarzyło, z pewnością oskarżał wszystkich dokoła. Ale ja musiałam żyć teraźniejszością. Nie odzywałam się do nikogo, a w obecności mężczyzn spuszczałam głowę.

To przystosowanie nie sprawiało mi trudności; przywykłam już do gorszych warunków. Udawałam potulność i Lucas Cord wiedział o tym bardzo dobrze. Kiedy nie było w pobliżu Małej Ptaszyny, czułam na sobie wzrok jego brata i wyczuwałam, że nadal mnie pożąda. Dobrze, pomyślałam sobie. To jeszcze jedna broń przeciwko Lucasowi. Być może za pieniądze Julio wypuści mnie na wolność.

Minęły dwa tygodnie - i jeszcze trzeci. Tylko dzięki kontrolowanej sile woli i umysłu pozostałam na pozór uległa i cicha.

Mieliśmy wyruszyć wczesnym rankiem, a Mała Ptaszyna poinstruowała mnie o przygotowaniach do długiej podróży. Jak zwykle oszczędna słowach, wydawała się niezwykle podniecona tą szczególną wyprawą. Miała towarzyszyć nam z Julio i dwójkiem małych dzieci, dziewczynką i chłopcem, przytroczonych w prymitywnym plecaku. Widząc ilość gromadzonej wody, domyśliłam się, że ponownie przejdziemy *Jornado del Muerto*. Mieliśmy okrążyć *Canada de Alamosa*, pradawną krainę wschodnich Apaczów Chiricahua i stamtąd wyruszyć w stronę Czarnego Pasma.

Czy to tam kryła się owa tajemnicza dolina? Spytałam o to Małą Ptaszynę, ale nie odpowiedziała mi bezpośrednio i odwróciła głowę. Odniosłam wrażenie, że chce mi coś wyznać, ale powstrzymuje ją szacunek dla męża i jego brata.

Przygotowaliśmy muły i konie. Na muły załadowano worki ze srebrem. Apacze mieli mgliste pojęcie o jego wartości. Wymieniali zrabowane srebro i złoto na strzelby i amunicję, sztuki płótna i błyskotki, garnki i narzędzia; przedmioty o istotnym dla nich znaczeniu. *Comancheros* znali rzeczywistą wartość cennego kruszcu, odkupując go od Indian i sprzedając w Meksyku.

Tuż przed podróżą miałam okazję porozmawiać z Jewel. Pograżona w smutku, sta-

ła z dala od swego nowego właściciela, a ja rzucając Lucasowi zuchwałe spojrzenie podszłam do niej bliżej.

- Jewel! Tak mi przykro, że nie mogłam porozmawiać z tobą wcześniej. Jak się czujesz? Czy traktują cię należycie?

Wzruszyła ramionami.

- Sama wiesz, jak tu jest! Ale Gado jest dość miły i chyba mnie lubi. Przynajmniej obiecuje, że nie zamierza mnie sprzedać w Meksyku. Kto wie? - Popatrzyła na mnie filozoficznie. - Nie jest taki zły jak niektórzy „opiekunowie”, których miałam. Nie bije mnie, nie oddaje dla zabawy innym mężczyznom.

Uścisnęła mnie ukradkiem i w pośpiechu.

- Martwię się o ciebie. Nie wyglądasz na... Ale on jest młody, prawda? I całkiem przystojny. Uważaj na siebie, Roweno. Kobieta może przetrwać tylko wtedy, kiedy okaże się sprytniejsza od mężczyzny.

Tak się rozstałyśmy, bo nie było czasu na pogawędki. Mała Ptaszyna pociągnęła mnie za rękę, a ja dostrzegłam dziwne spojrzenie Lucasa. Z mężczyznami na przedzie, opuściliśmy pieszo mały, ukryty kanion.

Rozdział 18

Wędrowaliśmy bardzo wolno i ostrożnie, czasami nocą, choć widziałam przestrach w oczach Małej Ptaszyny. Apacze nie zwykli podróżować nocą, gdyż wierzyli w czyhające nań złe duchy, ale Julio, podobnie jak jego brat, szydził z takich przesądów.

Dowiedziałam się, że Mała Ptaszyna oczekuje kolejnego dziecka i choć na nic się nie skarżyła, widziałam, że wielogodzinna wędrówka z dzieckiem na plecach wyczerpuje jej siły. Zaoferowałam swą pomoc, ale jej spojrzenie, choć pełne wdzięczności, zaniepokoiło mnie. Dziewczynka jechała na koniu z poważną, pozbawioną uśmiechu twarzą. Niemowlę, jak wszystkie niemowlęta Apaczów, nigdy nie uroniło ani jednej łzy.

Chłopiec miał na imię Chód Kojota, okrągłe, pełne ciekawości oczy i prostą, czarną grzywkę. Od czasu do czasu rzucał mi ukradkowe spojrzenie, a ja zastanawiałam się, czy gdy dorośnie, będzie przypominać swego wujka. Ale teraz był tylko dzieckiem i choć zawsze czułam się niezręcznie wśród dzieci, polubiłam go i jego małą siostrzyczkę.

Czasami czułam na sobie zagadkowy wzrok Lucasa, czasami Julia. Czego dowiedział się o mnie od Lucasa? O czym myślał? Ja postanowiłam nie myśleć o niczym. Było mi łatwiej, gdy ciężkim krokiem, pieszo, by nie przeciążać koni, posuwaliśmy się przez bezmierne przestrzenie rozpalonych, białych piasków. Na skraju pustyni zajęliśmy się rozbijaniem obozu, a mężczyźni zażywali spoczynku.

Wyrzuciłam z głowy wszelkie myśli. Kiedy Lucas kładł się obok mnie w szałasie, leżałam nieruchomo. Nie rozmawialiśmy ze sobą, a on za każdym razem odwracał się do mnie plecami. Czasami odnosiłam wrażenie, że Mała Ptaszyna rzuca mi zagadkowe, pełne współczucia spojrzenia, choć nigdy nie zadała mi żadnego pytania. Była dla mnie miłą, porozumiewaliśmy się po hiszpańsku, choć próbowała mnie nauczyć kilku słów w języku Apaczów. Nie byłam jednak w stanie wydobyć z siebie ich gardłowych dźwięków.

Lucas Cord wciąż pozostawał mi obcy. Bywało, że i ja czułam się inną kobietą. Odbywałam tę wyczerpującą, idiotyczną podróż - teraz polowano na nas. Wiedziałam, że gdzieś niedaleko muszą być jacyś ludzie. Biali osadnicy, żołnierze. Z pewnością Todd postawił na nogi całe terytorium, by mnie odszukać. A jednak nie ujrzeliśmy żywej du-

szy. Dotarliśmy do podnóża strzelistych szczytów i grani, tworzących Czarne Pasma, legendarną kryjówkę Apaczów.

Kiedy wkroczyliśmy do wioski Apaczów, Mała Ptaszyna ożywiła się nagle. Mieszkał tu jej ojciec, krewny samego Victorio. Cała rodzina otoczyła nas ciasnym kręgiem. Tylko jej matka z grzeczności skryła się przed swym zięciem. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo Apacze kochają dzieci. Chód Kojota i jego mała siostrzyczka porwani zostali w ramiona czułych i pełnych podziwu krewnych. Czułam na sobie ukradkowe, ciekawskie spojrzenia, ale z wrodzoną uprzejmością okazywaną gościom nikt nie zadawał mi pytań; nikt nie potępiał mojej obecności.

Mała Ptaszyna potraktowała mnie niezwykle gościnnie. Poczułam się jednak niezręcznie, kiedy siedząc w cieniu wraz z innymi kobietami dostrzegłam czarownika plemienia - starca z pasmem siwych włosów wystających spod pióropusza, który nie odrywał ode mnie wzroku.

Zapytał o coś Lucasa, a po odpowiedzi, jaką otrzymał, spojrzął na mnie baczniej, choć nie odezwał się ani słowem.

Mieliśmy spędzić tu noc, i na samą myśl o tym poczułam ulgę. Wioska znajdowała się w niezwykle malowniczym miejscu. Niewielki płaskowyż otoczony z trzech stron stromymi skałami, przepełniony soczystą zielenią, skryty w cieniu sosen i osiki. Przez jej środek wiał się mały strumyk, tryskający z urwiska niczym miniaturowy wodospad. Od niepamiętnych czasów była to siedziba Apaczów, choć Mała Ptaszyna szepnęła mi w zaufaniu, że w okresie zimy zwanej tu Twarzą Ducha musieli zmieniać miejsce pobytu. Uprawiali tu kukurydzę, zioła i pataty. Wszystko wyglądało uroczo i spokojnie, ale dobrze wiedziałam, że tu zatrzymywał się niekiedy wojowniczy wódz Victorio, tu powstawały plany krwawych napadów na dyliżanse i niczego nie podejrzewających białych osadników.

Obiecałam sobie solennie, że nie będę o tym myśleć. W końcu byłam gościem, a Apacze hodowcy różnili się od Apaczów wojowników, wyruszających na wojnę z pomalowanymi twarzami.

Mężczyźni udali się do obrzędowej łaźni, a późnym wieczorem wraz z innymi kobietami wykapałam się w zacisznej części strumienia. Słyszając chichoty i wesołą paplani-

nę, przypomniałam sobie haremowy staw maharadży Jhanpuru. Kobiety myły włosy mydłem z juki i rozczesywały je grzebieniami z kości lub kolców kaktusa.

Jak zwykle moje mokre włosy opadały ciężko na ramiona. Uczesalam je grzebieniem pożyczonym od Małej Ptaszyny, a kiedy wyschły, przewiązałam na czole wąską opaskę z jeleniej skóry.

- Przejrzyj się w wodzie - nakazała Mała Ptaszyna, a ja zachichotałam.

Od czasu pojmania nie widziałam lustra, nie wierzyłam więc własnym oczom. Nie rozpoznałam własnego odbicia!

Wyglądałam jak kobieta Apaczów i nawet moje niebieskie oczy nabrały ciemnej barwy w gasnącym świetle. Opalona w słońcu skóra lśniła brązem i przestała się łuszczyć. W bluzie ze stójką i długimi rękawami, typowej dla Indianki, z przedziałkiem we włosach przypominałam ciemnoskórą amazonkę.

Gdzie się podziała ta zaniedbana dziewczyna w okularach na czubku nosa? Ta wyrefinowana dama w klejnotach lśniących na jej szyi i w uszach? Nadal miałam na sobie małe, kolczyki z szafirami, które nie pasowały do mojego nowego wyglądu. Bez namysłu zdjęłam je i wręczyłam Małej Ptaszynie.

- Podarunek - oznajmiłam po hiszpańsku. - Bo jesteś dla mnie taka miła.

Zmieszała się, spoglądając to na migocące klejnoty, które trzymałam w dłoni, to na moją twarz.

Wzięła je z poważną miną i dotknęła mojej ręki.

- *Gracias* - podziękowała po hiszpańsku, a w języku Apaczów dodała cichym głosem *nidee*, co znaczyło „siostra”.

W tym momencie zostałyśmy przyjaciółkami.

Szkoda, że Lucas zepsuł tę chwilę. Podeszedł do nas szybkim krokiem, a na jego nagim torsie zwisał przewieszony na szyi woreczek z jeleniej skóry - magiczny woreczek noszony przez każdego wojownika Apaczów. Dlaczego nie, przecież był dumny ze swej indiańskiej krwi? Jego włosy lśniły w zapadającym mroku, a kamienna twarz nie zdradzała żadnych emocji.

- Czarownik pragnie z tobą porozmawiać.

Mała Ptaszyna odsunęła się na bok, a on zacisnął palce na moim przegubie.

- Okaż szacunek. To bardzo stary, i mądry człowiek. Mój... - nie wiem, dlaczego się zawahał, zanim dorzucił - mój dziadek.

- Zawsze szanuję tych, którzy na to zasługują - przechyliłam głowę i spojrzałam mu w oczy. - Czy myślisz, że przyniosę ci wstyd?

- Skąd mam wiedzieć, czego się po tobie spodziewać? - mruknął zrezygowany. - Jesteś nieobliczalna!

- Łatwo się przystosowuję - stwierdziłam chłodno, wrywając dłoń z jego uścisku. - Jestem też cierpliwa. Znam swoje miejsce. Czyż nie powinnam iść kilka kroków za tobą? Oczywiście, z potulnie opuszczoną głową. Wiem, że nie chcesz, aby ktokolwiek pomyślał, że twoja niewolnica zasługuje na dodatkowe przywileje!

Z satysfakcją dostrzegłam, jak rzuca mi gniewne, choć zakłopotane spojrzenie.

- Uważaj na to, co mówisz... - nakazał i ruszył przede mną w stronę największego wigwamu w całym obozie.

Zdenerwowałam się strasznie, choć za nic w świecie nie dałabym tego po sobie poznać. Dlaczego czarownik chciał ze mną rozmawiać? Nie rozumiałam tej tremy. Przedstawiono mnie królowej Anglii i podczas całej ceremonii ani raz nie ścisnęło mnie w żołądku! Ale nie byliśmy w Anglii i choć jeszcze miesiąc temu uznałabym to za żart, byłam więzieniem człowieka, którym gardziłam.

- Nie zabieraj pierwsza głosu - pouczył mnie Lucas, zanim wkroczyliśmy do wigwamu. - Siedź cicho i nie ruszaj się z miejsca.

Nie mogłam opanować sarkazmu w głosie.

- Dziękuję za lekcję dobrych manier! Twoja branka postara się nie przynieść ci wstydu.

Obdarzył mnie tym samym pozbawionym wyrazu spojrzeniem, dając do zrozumienia, że posuwam się za daleko. Nie odezwał się jednak słowem, tylko pochylił głowę i wszedł do ponurego pomieszczenia z płonącym na środku ogniskiem.

Usiedliśmy po przeciwnych stronach wejścia, a czarownik najwyraźniej zapadł w krótką drzemkę. Nie drgnął nawet, nie zwrócił uwagi na naszą obecność. Tuż za nim krzątała się cicho tęga kobieta, znacznie od niego młodsza. Córka? Żona? Czy czarownicy mogli się żenić? Zdjął tradycyjny pióropusz zdobiony piórami orła i indyka, pozosta-

wiając na czole jedynie opaskę wojownika Apaczów. Jego brązową twarz pokrywały bliźny i zmarszczki. Mógł mieć ze sto lat.

- Mój dziadek - oznajmił Lucas z lekkim wahaniem.

Czy to możliwe, że był ojcem Eleny Kordes? Wódz Apaczów, który pojął za żonę młodą Hiszpankę?

Przyglądałam mu się bacznie spod opuszczonych rzęs i po chwili pewna byłam, że robi to samo.

- A więc to ty - odezwał się niespodziewanie po hiszpańsku, a ja podskoczyłam w miejscu.

Szczwany lis! A więc obserwował mnie przez cały czas. Podniosłam wzrok, ale nic nie powiedziałam. On zaczął od oświadczenia. Co miałam odpowiedzieć?

Przyglądaliśmy się sobie, a po kilku sekundach starzec otworzył szeroko oczy i zwrócił się do Lucasa.

- Czy ona potrafi mówić, a może się boi?

Zacisnęłam usta, kiedy Lucas odpowiedział mu złośliwie:

- Czasami mówi zbyt wiele, dziadku. Pewny jestem, że się nie boi.

Staruszek pokiwał głową i przeniósł na mnie wzrok.

- To dobrze. Nie wyglądasz na wystraszoną kobietę. Czasami mój wnuk nie jest tak mądry, jak mu się wydaje. Kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy, pomyślałem sobie: To jedna z tych rzadkich kobiet, które słuchają, patrzą i szybko się uczą. Widzę, że poznałaś już nasz sposób życia. Powiedziałem sobie: Może umysł i serce tej kobiety są tak otwarte i uczciwe jak jej ojca, który przybył samotnie do naszego obozu bez cienia strachu, twierdząc, że potrafi zrozumieć Apaczów.

Staruszek pokiwał głową, a wspomnienia te sprawiały mu najwyraźniej przyjemność.

- Twój ojciec był jedynym białym człowiekiem, którego nazywałem *siquism* - brat. Przez całe życie był prawdziwym bratem Apaczów.

Jego stare, kaprawe oczy badały moją twarz.

- Teraz rozumiesz, dlaczego cię wezwałem?

Nie rozumiałam, przynajmniej nie do końca. Mój ojciec bratem tych dzikich, bezli-

tosnych Indian, którzy napadli na dyliżans, mordowali, torturowali, a potem mnie porwali?

Czarownik oczekiwał mojej odpowiedzi. Nic nie przyszło mi do głowy, więc zaprzeczyłam:

- Nie, nie jestem pewna, czy rozumiem. Zatem wiedziałeś kim jestem? Od samego początku?

- Ach, ach! - Siedzący ze skrzyżowanymi nogami staruszek kołysał się w przód i w tył. - Wzbudziłem twoją ciekawość. To dobrze. Zaczнеш mówić, zadawać pytania. Już wcześniej zastanawiałaś się, dlaczego ten starzec chciał się z tobą widzieć? O co cię spyta? Jesteś córką swego ojca, jego jedynym dzieckiem z za wielkiej wody. To dlatego tu jesteś.

Przerwał. Pochyliłam się do przodu, lecz on uniósł dłoń w rozkazującym geście.

- Widzę w twoich oczach wiele pytań, ale zadasz je później. Zastanawiasz się, czy wojownicy, którzy przyprowadzili cię do obozu jako jeńca, otrzymali takie zadanie. Nie. To była wyprawa grabieżcza. Przez wiele dni ci młodzieńcy obserwowali dyliżans, by dowiedzieć się, ilu żołnierzy go strzeże, ile mają strzelb. Czasami koła zostawiały głębsze ślady. Wiedzieli, że właśnie wtedy w pudle ukrytym z tyłu przewożone jest srebro. Moja córko, to przypadek, że znalazłaś się w dyliżansie zdobytym przez naszych młodych wojowników. A może tak ci było pisane, kto to wie?

Popatrzył na Lucasa, który z nieruchomą twarzą siedział cicho po turecku.

- Może to przeznaczenie, że w dniu, kiedy przyprowadzono cię do obozu mego wnuka, on przebywał tam również. Wiedział, kim jesteś. Sprowadził cię tu najpierw, tak jakbym sobie tego życzył.

Najpierw? Wszyscy mówili zagadkami - Lucas, jego brat Ramon, a teraz ten staruszek. Nikt mi nie powiedział, czego ode mnie oczekiwano. Dlaczego poddawano mnie takiemu upokorzeniu?

Nie zważając na tutejsze obyczaje, nie mogłam wysiedzieć w spokoju ni minuty dłużej. Rzuciłam Lucasowi gniewne spojrzenie, a on uniósł brew, jakby nakazując milczenie albo zachęcając do mówienia. Tak, będę mówić, nawet jeśli mu się to nie spodoba.

- Chcesz coś powiedzieć, a słowa rozsadzają ci gardło.

Być może czarownik potrafił czytać w myślach.

- Tak! - wybuchnęłam, starając się kontrolować tłumioną złość. - Chciałabym wiedzieć, po co mnie tu sprowadzono i dokąd mnie zabieracie. On - prychnęłam z największą pogardą - nic mi nie chce powiedzieć. Podobno mogę być gościem jego matki albo jej służącą! Co więcej, wykorzystuje mnie nikczemnie, grozi mi; zrobił ze mnie niewolnicę - tak jakbym go czymś zraniła, jakby mój ojciec nie ocalił jego nędznego życia! Powiedziałaś przed chwilą, że mój ojciec był dla ciebie jak brat, potraktowałaś mnie jak gościa, ale on...

- Dosyć! - Zgorzkniały, wściekły głos Lucasa jak nóż przeciął potok moich słów. - Uważaj na to, co mówisz...

- Nakazuję spokój! Zamilczcie oboje.

Głos czarownika był łagodny i cienki; szeleszczący głos starego człowieka. Ale bijąca z niego surowa nuta władzy uciszyła nas, jak sobie tego życzył. Wodził po nas wzrokiem, a następnie przemówił jeszcze łagodniej:

- Słuchając gniewnych słów pomyślałem, że musi być jakaś przyczyna tej nienawiści między wami. Szkoda, bo twój ojciec z pewnością by sobie tego nie życzył.

Zwrócił się do mnie, a ja zacisnęłam buntowniczo usta.

- Być może mój ojciec nie znał go zbyt dobrze!

- A ty go znasz?

- Tak, doświadczyłam tego na własnej skórze!

- To uparta, złośliwa kobieta!

Wbiłam wzrok w Lucasa.

- A ty jesteś bezwzględny mordercą i gwałcicielem kobiet!

Czarownik uniósł dłoń, a ja zauważyłam, że zmarszczył brwi.

- Czy to prawda? Znasz nasze obyczaje, wiesz, że uważam tę kobietę za własną córkę. Świadom jesteś, że...

- Jestem świadom, czego pragnął Guy Dangerfield, ale ona nie ma o tym pojęcia.

Przysięgam, że nawet jej nie tknąłem.

Jak mógł tak otwarcie kłamać w mojej obecności? Złość dodała mi odwagi.

- Zapytaj go, czy już pierwszej nocy nie podarł na mnie sukni, przypominając mi brutalnie, że kupił mnie, więc teraz należę do niego! Zagroził, że mnie pobije.

- Zasłużyła na to. Była głodna, więc przyniosłem jej strawę. W gniewie rzuciła we mnie naczyniem.

- Jak sprytnie wszystko przekręcasz! To twoje słowa doprowadziły mnie do wściekłości - nie pamiętasz?

Popatrzyliśmy na siebie i nawet w świetle ogniska dostrzegłam niebezpieczne, zielonkawe błyski w jego oczach.

- Jesteście jak dzieci obrzucające się w gniewie wyzwiskami. Moja córko, czy on posiadał cię siłą?

Wpadłam we własne sidła, pomyślałam, zagryzając usta.

- On... kładł się obok mnie każdej nocy. Nie ma wątpliwości, że jego przyjaciele uważają, iż nie na darmo pozbył się tak wspaniałej strzelby! Ale nie zrobił nic więcej.

Staruszek pokiwał głową.

- Jesteś sprawiedliwa. Chyba rozumiesz, jak działa umysł mężczyzny.

- Tego mężczyzny, być może! On jest...

- Powtarzasz się, lady Roweno. Czy nie jesteś w stanie powiedzieć coś nowego?

Rzuciłam mu lodowate spojrzenie i odwróciłam głowę. Jeśli chce się zachowywać jak obrażony dzieciak, proszę bardzo.

Ponownie odniosłam wrażenie, że czarownik czyta w moich myślach.

- Wciąż jesteś zmieszana, prawda? Zastanawiasz się, co tu robisz i dlaczego opowiedziałem ci o życzeniach twego ojca. Czy gotowa jesteś wysłuchać mnie do końca?

Moje milczenie uznał za zgodę, a jego głos znów zaszeleścił w ciszy.

- Rozmawiałem z twoim ojcem o pokoju. Dziwi cię to? Niewielu już zostało Apaczów, a każdego dnia coraz więcej białych ludzi osiedla się na naszych starych terenach łowieckich. Nasi młodzi wojownicy grabią i zabijają, ale na miejsce każdego białego człowieka, którego zabijamy, przybywa dwóch lub trzech nowych; coraz więcej żołnierzy z bronią. Jestem starym człowiekiem i widzę, do czego to prowadzi. Jeśli nie zdołamy zawrzeć pokoju z białymi, dni Apaczów są policzone. Twój ojciec, a mój brat, rozmawiał ze mną o tych sprawach. Zapisał wszystko w swoich dziennikach, mówił, że zo-

stawi je tobie. Wiedział, że nie pożyje długo, ale kiedy pojawi się jego córka, wszelkie zło zostanie naprawione. Nie przeczytałaś jego ksiąg?

Potrząsnęłam głową i poczułam na sobie pogardliwy wzrok Lucasa.

- Zaczęłam je czytać. Ale przed przyjazdem dostałam od niego list z prośbą, bym przeczytała je od samego początku. Zaczęłam, ale gorące słońce rozleniwiło mnie. A potem wydarzyło się tak wiele, że zabrakło mi czasu.

- Ale nie brakowało ci czasu dla Todda Shannona i jego bratanka.

Nie miałam ochoty spojrzeć na Lucasa.

- Todd Shannon był współnikiem mojego ojca. Zamierzałam go poślubić.

Czarownik uśmiechnął się dobrotliwie.

- Shannon to stary człowiek, pełen nienawiści. Twój ojciec zdawał sobie z tego sprawę. Nie zrozum mnie źle, szanował swego partnera. Miał nadzieję, że będziesz mogła żyć z nim w pokoju. Ale znał tego człowieka. Względem ciebie miał inne plany. Pragnął zakończyć stare urazy i niesprawiedliwość. Jaka szkoda, że nie przeczytałaś jego dzienników.

- Wszyscy mi to mówią! Ale...

- Musisz być cierpliwa, moja córko, jak twój ojciec. Jestem czarownikiem tego plemienia. Ale twój ojciec był ode mnie mądrzejszy. On wykraczał myślami w przyszłość. Nade wszystko cenił prawdę i sprawiedliwość.

Popatrzył na mnie łagodnie. Jego cierpliwość zdenerwowała mnie.

- Wszyscy mówią zagadkami! Każdy opowiada mi o życzeniach ojca, ale nikt nie powiedział mi, jakie były naprawdę.

- Jesteś kobietą o bystrym jak u mężczyzny umyśle. Musisz jednak nauczyć się czekać i słuchać.

Pokiwał głową, a jego wychudzone ciało zakołysało się.

- Twój ojciec pokochał kiedyś moją córkę. Może zawsze ją kochał. Moja córka odwróciła się od własnego ludu i wybrała drogę białego człowieka. Pozwoliłam jej odejść. Miała umysł wojownika - uparta, niezależna, zdecydowana. Ona też nienawidzi. I to dlatego twój ojciec pewien był, że nienawiść tę trzeba zakończyć w starym stylu. To nasz zwyczaj i wasz zwyczaj. Ojciec twojego ojca był wodzem. Twój ojciec ożenił się na

jego życzenie. Czy to nieprawda? Oczekiwał, że i ty zrobisz to samo. Pragnął, abyś poślubiła jednego z synów mojej córki.

- Ale nie jego! - wybuchnęłam.

- O to się nie martw! Lubię sam zapolować na własną zwierzynę.

- Chyba masz na myśli żerowanie!

Staruszek przerwał nam łagodnym głosem.

- Wygląda na to, że nie będziecie do siebie należeć. Julio ma już żonę. Zostaje tylko Ramon. Nie uważa się za Apacza, jest wykształconym dżentelmenem. Doskonale pasuje do świata białego człowieka. A przecież jest moim wnukiem. Widział cię i rozmawiał z tobą. Rozumie swój obowiązek, a ty powinnaś zrozumieć swój.

- Nie! - wyprostowałam się. Nie mogłam już dłużej wytrzymać tej farsy. - To... nie jest możliwe! Mam poślubić człowieka, którego nie znam? Z powodu jakiejś wendety, która zaczęła się przed moimi narodzinami?

- Kiedy się zastanowisz i lepiej poznasz Ramona, małżeństwo to wyda ci się całkiem możliwe. Zauważyłem, że z łatwością przystosowujesz się do sposobu życia odmiennego niż twój. Zrozumiesz, dlaczego jest to konieczne. Czy w twoim kraju takie sojusze między rodzinami są czymś niezwykłym? Małżeństwo twego ojca z twoją matką... czyż nie służyło takim właśnie celom?

- Być może, ale jak się zakończyło! Nie kochali się. Mój ojciec...

- Twój ojciec był mądrym człowiekiem, a ty jesteś jego córką. To dlatego posłał po ciebie.

- Abym poślubiła obcego mężczyznę? Żeby stała się pionkiem w tej grze?

- Masz bardzo silną wolę. Taka była moja córka. Gdyby poślubiła człowieka, którego jej przeznaczyłem... nie mogłem jej zmusić, miała oczy swojej matki... ale to już przeszłość. Dotrzymam słowa, które dałem mojemu bratu - popatrzył mi w oczy, uciszając mój gniewny protest. - Wyglądasz buntowniczo, moja córko. Nikt cię nie zmusi do tego małżeństwa. Musisz jednak mieć czas, by poznać człowieka, którego wybrał dla ciebie ojciec. Odejdź teraz i przemyśl moje słowa.

Chciałam coś powiedzieć, wykrzyzczyć swą złość, ale Lucas Cord zacisnął palce na moim ramieniu i siniacząc mi ciało, postawił na nogi.

Staruszek popatrzył na nas spod opuszczonych powiek.

- To twoja siostra; jesteś jej bratem. Szanuj ją i ochraniaj. Porozmawiamy przed waszą wyprawą do doliny.

Wyszliśmy na zewnątrz, a ja nadal nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam.
Niemożliwe!

- Nigdy! - wykrzyknęłam głośno, a Lucas potrząsnął moim ramieniem i groźnie na mnie spojrzał.

- Tylko zacznij się drzeć albo robić sceny, a przysięgam, że cię stłukę, siostrzyczko.

Z przerażenia straciłam oddech, a on wykrzywił usta.

- Lepiej bądź znowu łagodna i potulna - to ci bardziej pasuje. Gdybyś była moją kobietą, obciąłbym ci język!

Ochłonęłam i zatrzymałam się w miejscu, uśmiechając promiennie.

- Ale nią nie jestem. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze.

Puścił moje ramię jak oparzony, a ja z satysfakcją przyglądałam się, jak opanowuje wściekłość. Bez słowa odwrócił się na pięcie i odszedł, więc sama musiałam znaleźć drogę do wigwamu krewnych Małej Ptaszyny.

Rozdział 19

Często oskarżano mnie o chłód, bezwzględność, nieczułość i wyrachowanie. Być może taka właśnie byłam. Pamiętam własną dumę z kontrolowania własnych emocji.

Nienawidziłam sytuacji, w których byłam bezsilna, zdana na łaskę innych. Tamtego wieczoru, kiedy Lucas odszedł bez słowa, czułam jak gniew zatyka mi dech w piersiach.

A jednak przez noc zdołałam się opanować. Zaciekawiała mnie dolina, do której mnie zabierano i ludzie, którzy w niej żyli.

Ślub z Ramonem Kordesem wciąż wydawał się absurdalny, ale wyglądało na to, że nie mam wyboru i muszę spotkać się z nim ponownie. W porządku, stwierdziłam zdecydowanie. Jeśli rzeczywiście jest takim dżentelmenem, jak mówią, z pewnością pojmie niezręczność sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Kiedy zda sobie sprawę, że nikt nie zmusi mnie do małżeństwa z wyrachowania, być może sam pozwoli mi odejść. Ale co z Eleną Kordes, o której tyle słyszałam? Co z Lucasem?

Podczas wieczornego posiłku starał się mnie unikać. Jak zwykle mężczyźni zjedli pierwsi, a kobiety cierpliwie czekały na swoją kolej.

Po posiłku tęga kobieta z szałasów czarownika podeszła bliżej i szepnęła coś do ucha matce Małej Ptaszyny. Okazało się, że staruszek postanowił publicznie ogłosić nasz związek. Byłam córką jego brata, czuł wobec mnie ojcowski obowiązek, powinnam więc spać w jego wigwamie i uważać go za swój dom.

Mała Ptaszyna szepnęła mi, że to wielki zaszczyt, i nawet jej groźnie wyglądająca matka spojrzała na mnie z szacunkiem.

Stary czarownik, który leżał przed dogasającym ogniskiem opatulony w koce, podniósł się na łokciu i kiwnął głową na powitanie.

- Jest w naszym zwyczaju, że młode, niezamężne kobiety śpią w szałasach starszych krewnych - oznajmił kruchym głosem. - Śpij dobrze, moja córko.

Na tym zakończyła się nasza rozmowa. Tęga squaw, którą, jak się później dowiedziałam, zwano Spadającym Liściem nie znała hiszpańskiego. Na migi poinformowała mnie, że powinnam szykować się do snu i pokazała mi miejsce przy ścianie, gdzie leżał

już gotowy koc.

Położyłam się posłusznie i zastanowiłam się, czy starszek bronił mej reputacji, czy też delikatnie dawał do zrozumienia swemu wnukowi, że nie powinnam być traktowana jak jeniec, lecz jak prawdziwa dziewczica Apaczów. Jaka była moja prawdziwa pozycja? Co się stanie, kiedy wyruszymy do ukrytej doliny.

W ciągu kilku tygodni moje życie uległo drastycznej przemianie i wciąż nie wierzyłam, że to wszystko dzieje się naprawdę. Tej nocy nie mogłam zasnąć, bo głowa pękała mi od pytań, na które nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi. Zamknęłam oczy i natychmiast nawiedziły mnie senne koszmary. Przemierzałam jakąś pustynię, a stopy grzęzły mi w piachu. Tuż za sobą słyszałam stukot kopyt koni moich prześladowców. Prerażona i zrozpaczona, znalazłam się nad skalnym urwiskiem i spojrzałam w dół, w nicość; ktoś złapał mnie za ramię i pchnął...

Zerwałam się z mokrą od potu twarzą i ujrzałam starą kobietę usiłującą mnie obudzić. Przez chwilę otaczająca mnie rzeczywistość wydała się nierealna. Zdrętwiały mi nogi jak od prawdziwego biegu, w uszach tętniła mi krew.

Czarownik spał nadal. Był starym człowiekiem i nie zwykł budzić się przed południem. Od Małej Ptaszyny dowiedziałam się, że czasami jego sny przepowiadały pewne zdarzenia, czasami przynosiły ostrzeżenia. Zastanowiłam się, czy moje sny ostrzegały mnie o nadchodzącym zagrożeniu.

Uczucie niebezpieczeństwa, z którym się obudziłam, narastało z każdą minutą. Zajęłam się pracą. Już wcześniej zauważyłam, że kobiety w obozie Apaczów nigdy nie siedziały beczynnym, podczas gdy mężczyźni, jeśli tylko nie wyruszali na polowania lub grabieżcze wyprawy, siadali przed swymi szałasami przeglądając broń i plotkując.

Mała Ptaszyna zabrała mnie na zbieranie korzeni i dzikich jagód, z których miałyśmy przygotować podróży posilek. Ruszyłyśmy wzdłuż małego strumienia, a ona pokazywała mi przeróżne jadalne rośliny; liście niektórych miały właściwości lecznicze. Tego ranka zachowywała się z mniejszą niż dotychczas rezerwą i traktowała mnie jak prawdziwą przyjaciółkę. Od czasu do czasu nazywała mnie *nidee* - siostra, rzucając - nieśmiało spojrzenia. Kiedy wspominała o nadchodzącej podróży, mówiła: „Kiedy dotrzecie do doliny...” albo „Kiedy wyruszyście jutro...”.

- Ale ty pójdiesz z nami, prawda? - spytałam.

Popatrzyła na mnie przestraszona i zakłopotana.

- Myślałam, że już ci powiedziano. Mój ojciec jest bardzo stary, więc poprosił mego męża, by pozwolił mi zostać w jego wigwamie wraz z dziećmi przez kilka dni. Mój mąż zgodził się łaskawie.

Teraz ja popatrzyłam na nią zaskoczona.

- Ale chyba nie zmuszą mnie, bym podróżowała samotnie z tym mężczyzną?

- Och, nie! - oburzyła się lekko Mała Ptaszyna. - Pojedzie z wami mój mąż. Od dawna nie widział swej matki, twierdzi, że to jego obowiązek. I jeszcze trzech wojownicy - do pomocy w polowaniach po drodze. Dwaj z nich, jeszcze bezdzietni, zabiorą ze sobą kobiety, by oczyściły i uwędziły mięso oraz zakonserwowały skóry. Nie będziesz samotna pod opieką dwóch braci.

- Braci? - Wbiłam w nią tępy wzrok, a ona zakryła dłonią usta i zachichotała cicho.

- Moja ciotka, wdowa, która opiekuje się czarownikiem powtórzyła mojej matce jego słowa. Podobno twój ojciec i dziadek mego męża rozmawiali o tym na długo przed twoim przybyciem do tego kraju. Uwierz mi, *nidee*, gdybym wiedziała, że masz poślubić młodszego brata mego męża, uczyniłabym wszystko, aby twój przyjazd do naszego obozu był szczęśliwszy. Tak mi wstyd...

- Ale ja... - Zerknęłam na jej zatroskaną twarz i nie potrafiłam dokończyć zdania.

Nie zrozumiałaby mnie, a mój opór zasmuciłby ją jeszcze bardziej. Jadowitą przemowę przygotowałam natomiast dla Lucasa Corda, czekając na nasze kolejne spotkanie.

Nie widziałam go jednak przez cały dzień. Kobiety znalazły mi kolejne zajęcia, a ja, pozornie potulna, wykonywałam ich polecenia. Złość rozsadzała mnie od środka, gdy dowiedziałam się, iż muszę przygotować mu jedzenie na podróż i wyprać zabłocone ubranie. Naśladując pozostałe kobiety przy strumieniu, uderzałam jego spodniami o płaski głaz z dziką furią, w nadziei, że rozpadną się na kawałki.

- Nie tak mocno! - zaprotestowała ze śmiechem Mała Ptaszyna.

- A co ze mną? Podarł moje suknie, a to jest mój jedyny strój. W dodatku brudny! Zatroskała się.

- Nie wiedziałam, *nidee*. Twój ojciec-czarownik sprezentuje ci nowe szaty. Jest bo-

gaty.

- To nie to samo! - zauważyłam.

Tego wieczoru starzec podarował mi uroczyście tradycyjny strój indiański.

- Obecnie nasze kobiety wolą suknie białych kobiet niż skórzane stroje - dumę ich matek - oznajmił. - Ten należał do Carmelity, matki mojej córki Eleny. Miała go na sobie, kiedy przed całym plemieniem brałam ją za żonę. Przyjmując go, uradujesz serce starego człowieka, moja córko.

Tradycyjny strój Indianki składał się z długiej spódnicy do kostek, bogato haftowanej koralikami i przybranej piórami. Wysoka pod szyję bluzka, zdobiona frędzlami, nie ustępowała bogactwem haftu spódnicy.

- Zrób mi tę przyjemność i włóż go na siebie, kiedy dotrzesz do doliny. Być może przypomni on mojej córce Elenie, że jest Apaczką.

- Czuję się zaszczycona takim prezentem - mruknęłam.

Zastanowiłam się, czy ten stary człowiek z twarzą pooraną bliznami i zmarszczkami kochał swą młodą branekę. A ona - czy odwzajemniała to uczucie? Stare opowieści o nienawiści, smutku i miłości przypominały mi bezustannie o przeszłości, z którą nie miałam nic wspólnego. Musiałam coś postanowić, ale jak? Nawet mój ojciec stawał mi się coraz bardziej obcy. Czego naprawdę ode mnie oczekiwał?

Czarownik - mój przybrany ojciec poważnie potraktował swój obowiązek. Dostałam kilka innych prezentów: mokasyny, długą spódnicę z bawełny i podróżną bluzkę.

Sprzeciwiałam się tej wyprawie i towarzystwu, w jakim miałam podróżować. Ośmieliłam się zaprotestować, a on naprężył mięśnie twarzy.

- Ostatniej nocy miałem sen. Tak ci było pisane. Twój ojciec, który powinien był być czarownikiem swego ludu, przewidział to pierwszy.

- Nawet nie wiedział, gdzie jestem - sprzeciwiłam się. - Ani czy zgodzę się na przyjazd.

- Dobrze wiedział, że w twoich żyłach płynie jego krew. Mówię ci, córko, on to wiedział. Pokój z tobą. Jedź do doliny, spotkaj się z Ramonem. On pochodzi z twojego świata. Nie poznasz nigdy swych prawdziwych uczuć, jeśli pozostaną w ukryciu.

Po raz kolejny czarownik w tajemniczy sposób odczytał moje myśli:

- Wciąż gniewasz się na Lucasa, prawda?

- Nic nie mogę na to poradzić. Obchodzi się ze mną nikczemnie. Kiedyś próbowałam go bronić przed innymi. Ale gdy pokazano mi dowód...

- Cóрко, dowód, o którym mówisz, ma wiele wymiarów. Usłyszałaś o nim od osób, które nienawidzą Lucasa. Czy zapytałaś jego, gdzie leży prawda?

- Jaka prawda? - Zmieszana, zapomniałam o ostrożności. - Wiesz, że mój ojciec zaufał mu, ale co zrobił później? Strzelał do ludzi z zasadzki, uciekł z pasierbicą Todda Shannona, a potem ją porzucił. Sprzedał ją drugiemu człowiekowi! To wszystko z zemsty. Zginęła w jakiejś bójce. Czy on o tym wie?

- Dlaczego sama go o to nie spytasz? - Jego głos był cichy jak szelest zwiędłych liści.

- Zapytać go? - Podniosłam głos i natychmiast go opanowałam. - Będzie kłamał jak przedtem. Albo nie odpowie na moje pytanie. Może nawet wpadnie w gniew.

- Czy jest sprawiedliwe, aby człowiek oskarżany przez innych nie miał prawa do obrony?

Ten stary Indianin mógł być moim ojcem - lub dziadkiem, który pierwszy dał mi lekcję logiki i prawa. Pod siłą jego łagodnego wzroku spuściłam oczy.

- Myślisz, że powinnam zapytać?

- To ty tak myślisz, moja cóрко. Sama odpowiedz na to pytanie. Mogę ci tylko powiedzieć, że Lucas jest zawzięty i bardzo rozgniewany. Ale jeśli ty zapomnisz o nienawiści i zapytasz go, odpowie. Rozmawiałem z nim. Okaże ci respekt należny siostrze. To wszystko - westchnął. - Aby osiągnąć pokój, ludzie muszą usiąść razem i powiedzieć, co im leży na sercu. Łatwo jest wpadać w złość. Trudniej jest powiedzieć: „Postaram się dowiedzieć, co niepokoi mego brata, spróbuję zrozumieć”.

Westchnęłam.

- Przypominasz mi mojego dziadka. Był upartym, zatwardziałym starcem pogrążonym we własnych przemyśleniach. Ale kochał mnie i próbował nauczyć korzystać z własnego umysłu. Powtarzał, że fakt, iż jestem kobietą nie oznacza, że nie mogę myśleć racjonalnie. Wydaje mi się, że robisz dokładnie to samo.

- Czyż nie powiedziałem, że masz umysł bystrego mężczyzny? Jesteś córką swego

ojca. Widzisz obie strony monety.

Zadziwiająco dobrze spałam tej nocy, być może dlatego, że nie spotkałam Lucasa. Ale kiedy następnego ranka zbieraliśmy się do drogi, ponownie zatrząśłam się ze złości. Zauważyłam bowiem tylko dwa konie obciążone prowiantem i skradzionym srebrem.

- A gdzie są pozostałe konie? Chyba nie masz zamiaru zmuszać nas do marszu?

- Konie opóźnią tylko naszą wyprawę, siostrzyczko - wysilił się na uprzejmy ton, ale ja wiedziałam lepiej. - Jesteś teraz Apaczką. Pewny jestem, że marsz nie sprawi ci trudności.

Czułam na sobie wzrok pozostałych uczestników podróży. Dwie pozostałe kobiety czekały cierpliwie, nie skarżąc się na ciężkie pakunki, które miały przytroczone do pleców. Julio stanął obok swego brata z kamienną twarzą.

Wzruszyłam ramionami. On przynajmniej zrozumie mój sarkazm.

- Oczywiście. Sama powinnam była się domyślić, prawda?

- Kiedy ujrzysz krainę, przez którą musimy się przedrzeć, zrozumiesz - odparł cicho.

Odniosłam wrażenie, że słowa te były ustępstwem na rzecz dziadka, który zbudził się wcześniej, by nas pożegnać.

Ruszyliśmy więc pieszo, prowadząc konie; o wiele wolniej niż poprzednio, bo szlak piął się w górę.

Zbocza Czarnego Pasma porastał gęsty las, a w czystym, chłodnym powietrzu unosił się słodki zapach sosen i olch. Góry sprawiały wrażenie nietkniętych, dziewiczych. Nie dotarli tu górnicy żądni cennych kruszców. Nikt nie osiedlił się jeszcze na tych terenach; pozostały naturalnym siedliskiem dzikich zwierząt. Nikt nie musiał mnie informować, że była to kraina Apaczów.

Mężczyźni szli na przedzie sprężystym krokiem, lekko wdychając rzednące wraz z wysokością powietrze. Nieśli na plecach strzelby, ale polując na zwierzynę korzystali ze swej pradawnej broni - łuku i strzał.

Czy rzeczywiście maszerowałam cały dzień? Tydzień temu pomyślałabym, że to niemożliwe. Zatrzymaliśmy się kilka razy; by dać wytchnienie koniom i skubnąć kilka kęsów pemikanu - potrawy, którą z wielkim trudem nauczyła mnie przygotowywać Mała

Ptaszyna.

Kiedy szykowaliśmy nocne obozowisko, słońce zachodziło za najbliższą granią. Mężczyźni znaleźli małą jaskinię w ścianie wysokiej skały, która miała chronić nas przed drapieżnikami. Tej nocy nie postawiliśmy wigwamów; wykopano otwór na niewielkie, bezdymne ognisko, a pod skalistymi ścianami rozłożono koce. Już zaczęłam sobie wyobrażać, że Indianki są jedynie niewolnicami swoich mężów, ale widząc nieśmiałą wymianę spojrzeń i szeptów dostrzegłam inny wymiar ich życia. Dwie młode kobiety i ich mężowie przypominali pary młodych kochanków - nie przyzwyczajonych jeszcze do siebie, zakłopotanych okazywaniem uczuć w obecności innych.

Sama czułam się trochę jak aktorka na scenie. Rowena Dangerfield - dziewczica Apaczów. Nieśmiała, skromna, usuwająca się w cień. Przyszła narzeczona zarumieniona ze wstydu. Wykrzywiłam się na samą myśl. Stajesz się cyniczna, ostrzegłam się, uważaj! Tak, musiałam uważać, jeśli marzyła mi się wolność. Z łatwością pozbędę się Ramona Kordesa. Mimo swej śmiałej hiszpańskiej galanterii, pozostawał młodym mężczyzną, a ja pewna byłam, że potrafię przemówić do jego rycerskości. Nie, to nie Ramon budził moje obawy, kiedy opatulona kocami leżałam w ciemnościach, szczękając z zimna zębami. To jego matka, groźna Elena Kordes, która rozpoczęła tę krwawą wendetę; kobieta, której Todd Shannon nienawidził, a którą mój ojciec kochał z całego serca. Bezwzględna, wyniosła, podstępna; wychowała swych synów w nienawiści i nie wahała się wykorzystać ich w swej zemście. Jaką kobietę spotkam, kiedy dotrzemy do ukrytej doliny? Instykt podpowiadał mi, że stanie się moją przeciwniczką, ale nie wolno mi ignorować jej siły i determinacji.

Jeśli wierzyć opowieści Todda, to ta sama kobieta, będąc młodą dziewczyną pozwoliła zabić swą kuzynkę i jej dziecko, by zdobyć jej męża. Kobieta, o której własny ojciec powiedział: „Była zdecydowana i mądra”.

W półśnie obróciłam się niespokojnie. Tej nocy kobiety spały, a mężczyźni pełnili wartę. Ogień powoli dogasał, a ja dostrzegłam jarzący się czerwienią koniuszek cygara i poczułam jego woń. Wiedziałam, który z mężczyzn siedzi po turecku przed jaskinią.

Lucas Cord. Syn, który przejął zemstę swej matki. Czy i on o niej myślał? Przypomniałam sobie urywane zdania.

„Zawsze uwielbiał swoją matkę... była dla niego wszystkim...”.

Jaki człowiek krył się w tym barbarzyńcy? Jaka kobieta mogła wydać na świat takiego syna? Próbowałam wyobrazić sobie, jak może wyglądać po tylu latach. Oczywiście, będzie stara, pomarszczona, z czarnymi niegdyś włosami przyprószonymi siwizną. Bynajmniej nie ta sama młoda, namiętna piękność. Wyobraziłam ją sobie wyraźnie, a potem zapadłam w głęboki, spokojny sen.

Rozdział 20

Jak się później okazało, Elena Kordes była całkiem inną kobietą. Ale nasze pierwsze spotkanie nie nastąpiło szybko. Dolina była tak ogromna, że pokonywaliśmy ją przez cztery godziny.

Od chwili opuszczenia wioski Apaczów minęło pięć dni. Dotarliśmy do miejsca niemal budzącego grozę swym przepychem; górski szczyt wyrastający ponad drugim szczytem. Wspinaczka nasza nie miała końca, a ja padałam ze zmęczenia, nie pisnąwszy słowem w proteście. Na czele kroczył Lucas Cord i nawet jego brat utyskiwał, że pośpiech taki jest zbyteczny.

- To dobry teren łowiecki - po co się śpieszyć? W końcu i tak tam dojdziemy!

Julio przemawiając do mnie zwracał się zawsze z przesadną uprzejmością, nazywając mnie *nidee*. Ale nadal czułam na sobie jego wzrok wprawiający mnie w zakłopotanie.

Lucas nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. To prawda, zrezygnował z szyderczych uwag i nabrał nieco większego dystansu. Dziękował mi, gdy podawałam mu jedzenie, ostrzegał przed wyboistym i niebezpiecznym terenem, ale nic więcej. Jakby dramatyczny konflikt między nami nigdy nie istniał. Zaczęłam zastanawiać się, co nim kieruje.

Przez całą podróż pogrążony był w rozmyślaniach. Zauważyłam, że prawie z nikim nie rozmawiał, siadał samotnie przy ognisku i patrzył w dal. O czym myślał?

Pewnej nocy przysiadł obok mnie Julio i śledząc mój wzrok szepnął:

- Mój brat to prawdziwy myśliciel, prawda? Nawet ja nie znam go zbyt dobrze. Ale mogę odgadnąć, o czym teraz rozmyśla - dodał figlarnie. - W domu mojej matki czeka na

niego kobieta. Młoda i piękna, córka przyjaciela, który zmarł. Ma nadzieję, że Lucas podejmie decyzję.

- Przykro mi to mówić - rzuciłam lekceważąco - ale bardzo jej współczuję!

- Nie lubisz mego brata?

Może był to tylko figiel mojej wyobraźni, ale w głosie Julia wyczułam ton satysfakcji. Po chwili wzruszył ramionami.

- To chyba ze względu na ciebie, *nidee*.

Nie spytałam go dlaczego, gdyż nie miałam ochoty na dalszą rozmowę. Julio przeciągnął się, ziewnął i zostawił mnie samą.

Stałam teraz wraz z innymi na cienkiej pokrywie śniegu i powtarzałam sobie gwałtownie, że nie jestem w stanie zrobić kolejnego kroku. Co nas teraz czekało? Wspinaczka na to strome urwisko, a potem przeprawa przez skalny występ, który wisiał groźnie nad nami? To zadanie dla górskich kozic!

Lucas Cord popatrzył w górę i po raz pierwszy dostrzegłam na jego twarzy ludzkie emocje. Rozpacz? Frustrację? Trudno powiedzieć. Może coś się stało; może w śniegu nie potrafił odnaleźć drogi do ukrytej doliny.

Zobaczyłam, jak chwycił pas niewyprawionej skóry i zawiązał go wokół szyi. Bez słowa przyłgął do pionowej ściany urwiska i ruszył po jego krawędzi. Wciągnęłam głęboko powietrze, a Julio rzucił mi krótkie spojrzenie.

- Tam jest ścieżka, *nidee*. Niezbyt szeroka, ale wydeptana przez górskie kozice. W ten sposób Lucas znalazł drogę do doliny. Poczekaj, a zobaczysz, jak wszyscy tam dojdziemy.

Wydawało mi się, że mijają wieki, ale wszystko trwało jedynie piętnaście minut. Julio jak gdyby nigdy nic rozprawiał z trzema Apaczami. Kobiety zajęły się rozkulbaczaniem koni, a ja - zawstydzona własną biernością - pośpieszyłam im z pomocą. Worki ze srebrem były bardzo ciężkie. Przypomniałam sobie, w jaki sposób zdobyto ten kruszec. Zrabowany i splamiony krwią niewinnych żołnierzy, którzy próbowali go bronić.

Usłyszałam krzyk jednej z kobiet. Odwróciłam głowę i dostrzegłam spadającą z góry linę. Między ogromnym urwiskiem a skalną ścianą, niemożliwą do pokonania, musiała istnieć jakaś szczelina.

Popatrzyłam w górę z przerażeniem. Czy mieliśmy wspinać się po tym stromym urwisku przewiązani jedynie cienką liną?

Zwróciłam się do Julio, by zaprotestować, ale on chwycił już zwisający koniec liny i podpierając się stopami rozpoczął wspinaczkę z zadziwiającą zręcznością.

Kiedy zniknął w maleńkiej, zaciemnionej rozpadlinie, Lucas Cord spuścił się na dół, ściskając w dłoniach sznur.

W milczeniu wraz z pozostałymi mężczyznami obwiązał liną siodła, a Julio podciągnął je w górę. Stałam obok z dwiema kobietami, z minuty na minutę wpadając w coraz większą złość.

Nie będę się wciągać po tej idiotycznej linie! Jeśli ześlizgną mi się ręce... Wzruszyłam ramionami, starając się nie myśleć o zagrożeniu. Poczułam jak wilgotnieją mi dłonie. Pogardzałam własnym tchórzostwem, ale nie przepadałam za takimi wysokościami.

Najpierw wciągnięto srebro, ciężkie siodła obijały się o górską ścianę. Potem przyszła kolej na nasz prowiant i zapasy; skóry i mięso niedźwiedzia oraz jelenia. Następnie na górę wdrapali się mężczyźni, podobnie jak Julio, z wielką łatwością. Kobiety pokiwały głowami, dając mi do zrozumienia, że nadeszła moja kolej, ale ja potrząsnęłam grzecznie głową. Lucas Cord uniósł ironicznie brew, ale nic nie powiedział, tylko udzielił kobietom kilku rad w języku Apaczów. Lekko wciągnęły się po linie, chichocząc przy tym jakby to była radosna zabawa.

Dlaczego właśnie ja zostałam z nim na dole? Wyczuł chyba mój strach i rozkoszował się nim; każde jego słowo przepełnione było ironią.

- Twoja kolej, siostrzyczko. Chyba się nie boisz?

- Oczywiście, że nie! - warknęłam. - Ale co zamierzasz zrobić z końmi? Jak je tam podciągniesz?

Wiedział, że się ociągam. Zmrużył oczy i przyjrzał mi się z powagą.

- Martwisz się o te dwa mizerne kucyki? Nie przypuszczałem, że masz tak miękkie serce.

Dlaczego zawsze potrafił mnie rozgniewać? Odniosłam wrażenie, że szydzi ze mnie.

- Chyba nie masz zamiaru...

- Chciałem zarznąć je dla mięsa.

Widząc mój przerażony wzrok, wzruszył ramionami.

- Jeśli cię to niepokoi, zostawimy je tutaj. To dzikie konie. Znajdą sobie pożywienie.

- Życie zwierząt czy ludzi nie ma dla ciebie większego znaczenia! Te biedne stworzenia...

- Dadzą sobie radę, już ci powiedziałem. A teraz ruszaj, bo w przeciwnym razie obwiążę cię liną w pasie i wciągnę na górę jak worek!

Cofnęłam się na widok jego groźnego kroku w moim kierunku. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że złość dodała mi odwagi; wspięłam się na skalną ścianę, nie patrząc w dół. Lucas zaoferował mi swoje rękawice, ale ich nie przyjąłam. Przez kilka następných dni skóra na moich dłoniach zdarta była do krwi, a podciągając się do góry jak pozostali i objając o sterczące skały, nabawiłam się licznych siniaków na kolanach i biodrach. Odetchnęłam z ulgą, kiedy Julio chwycił mnie mocno za nadgarstki i wciągnął do skalnej szczeliny przechodzącej w jaskinię.

- Chodź, *nidee*. Tędy.

Z drżącymi kolanami ruszyłam za Julio. Obeszliśmy kamienny występ, i wtedy dostrzegłam światło na końcu czegoś, co nie było jaskinią, lecz górskim uskokiem w kształcie tunelu.

Nic dziwnego, że zwali to miejsce ukrytą doliną! Zrozumiałam nareszcie, dlaczego nikt nie potrafił jej znaleźć, a jeden człowiek z odrobiną amunicji mógł tu powstrzymać całą armię napastników.

- Mój brat odkrył to miejsce, kiedy wędrował samotnie po górach szukając swego snu - poinformował mnie Julio. - Dostrzegł górską kozicę, która nagle zniknęła, i ruszył jej śladem. W ten sposób trafił na dolinę. Widzisz, *nidee*? Dokoła wyrastają góry, tworząc wysoki mur. To tak jakby rozstały się pośrodku, tworząc to miejsce.

Gdy ujrzeliśmy światło dzienne, rozejrzałam się dokoła i rozpoczęłam mozolną wędrówkę po skalistym stoku w dół, ku zielonej łące porośniętej wysoką trawą.

Widziałam rozciągające się przede mną przestrzenie; w tym końcu dolina była nieco węższa, ale dalej rozszerzała się gwałtownie. Jej prawa strona była skalista i pagór-

kowata, pokryta gigantycznymi głazami, które zsunęły się ze skał przed wiekami, kiedy to potężne trzęsienie ziemi albo jakieś inne ruchy tektoniczne uformowały tę naturalną kotlinę.

- Jest przepiękna - szepnęłam do Julio, a on mlasnął z dumy.

- Nie widziałaś jeszcze wszystkiego. Poczekaj trochę, a dopiero zobaczysz! To kraina bogata w wodę, mamy bydło i konie. Czują się tu doskonale, stado rozmnaża się, ale mówię ci, na początku niełatwo było przetransportować je tutaj!

Pomyślałam o Lucasie, który nie przejął się biednymi końmi targającymi ładunek srebra i zacisnęłam z oburzenia usta. W tej samej chwili Lucas dogonił nas.

Towarzyszący nam wojownicy zniknęli gdzieś ze swymi kobietami, a ja nagle zdałam sobie sprawę, że jestem sama z moimi przybranymi „braćmi”. Bardziej wyobrażałam sobie w tej roli Julio, ale nie Lucasa.

- A więc znowu czeka nas piesza wędrówka? - spytałam twardym głosem.

Spojrzałam na Julio, ale to Lucas odpowiedział na pytanie.

- Kilka mil stąd znajdziemy konie w małej zagrodzie. Ramon trzyma je tam na wszelki wypadek.

- Bardzo sprytnie - mruknęłam chłodno, a Julio zerkał w milczeniu to na Lucasa, to na mnie. Wiedział, że nie znoszę jego brata; dlaczego miałam udawać?

Ruszyliśmy naprzód; Lucas prowadził, Julio trzymał się tuż za mną. Uważał na mnie, a kiedy się potknęłam, złapał za ramię. Lucas nie odwrócił nawet głowy, by sprawdzić, czy wciąż za nim idziemy.

Nie pamiętam jak długo trwała ta wędrówka. Dolina rozciągała się przed nami jak miniaturowe królestwo. Kraina po lewej stronie była płaska, pokryta trawą; po stronie prawej, gdzie wzbijały się do nieba strzeliste szczyty, wyboisty teren przedzielały wąskie wąwozy i żleby, które - jak wyjaśnił Julio - kiedy latem topniały na szczytach śniegi, zamieniały się w wartkie potoki.

Zagroda, o której opowiadał Lucas, okazała się prymitywnym, drewnianym ogrodzeniem ukrytym w niezwykle wysokiej trawie. W środku znajdowało się cztery, pięć koni; niespokojne długonogie zwierzęta maści arabskiej.

Apacze nie używali siodeł, jedynie derek przerzuconych przez koński grzbiet, a

cugle wykonane były ze splecionego końskiego włosa lub jeleniej skóry. Całe to wyposażenie znaleźliśmy w przybudówce obok zagrody.

- Zechcesz wybrać sobie konia do jazdy? - zaskoczył mnie Lucas, opierając łokcie na surowym ogrodzeniu.

Kochałam konie i nie potrafiłam udawać obojętności.

- Tamten... cętkowany ogier. Nie wiem jaka to rasa, ale wyczuwam w nim arabską krew.

- Znasz się na koniach, *nidee*.

Słowo „siostra” wypowiedział z lekkim sarkazmem, ale wiedziałam dobrze, że prawi mi komplement.

- To pół-Appaloosa. Spłodzony z mojego pierwszego konia i arabskiej klaczy. Pewna jesteś, że dasz sobie z nim radę?

Czyżby znowu rzucał mi wyzwanie? Spojrzałam na niego poważnie, ale tym razem na jego twarzy nie dostrzegłam ironii.

- Czy mogę go dosiąść?

Wzruszył ramionami.

- Wsiadaj na niego z prawej strony. I pamiętaj, przyzwyczajony jest do poleceń za pomocą uścisku kolan. Ma delikatny pysk, więc nie ciągnij zbyt mocno za uzdę. To najlepszy wierzchowiec w zagrodzie. Dobry wybór.

Mimo złych przeczuć nie mogłam się doczekać, kiedy znów dosiądę konia. Lucas niespodziewanie nabrał ogłady, a Julio, z dala od swych rodzinnych obowiązków, tryskał radością.

Kiedy „osiodłano” konie na modłę Apaczów, ruszyliśmy w drogę, a Julio rzucił mi komplement:

- Widzę, że nasza mała siostrzyczka jest niezłym jeźdźcem - zwrócił się do Lucasa, który niedbale kiwnął głową i omiół mnie obojętnym wzrokiem.

Wyglądało na to, że znów zatopił się w swych mrocznych myślach. Przez całą drogę rzucałam mu ukradkowe spojrzenia. Wyglądał na człowieka, którego coś gnębi, ale dlaczego? Był wolny; czekała na niego dziewczyna. Nie należał do ludzi trapionych wyrzutami sumienia.

Przemierzyliśmy kolejny głęboki, skalisty kanion, a jadący obok mnie Julio szepnął:

- Mój brat ma tam w górze małą chatę, miejsce, do którego ucieka, gdy pragnie samotności. Nigdy tam nie byłem. Ale... - wzruszył ramionami. - Nie bywam tu często. Wolę wolność mego ludu.

Chwilami zapominałam, że Julio był wodzem Apaczów, ojcem dwojga dzieci. Podobnie jak jego brat, krył jakąś tajemnicę. Ale mimo wszystko to Lucas intrygował mnie najbardziej. Taki człowiek jak on - dlaczego pragnął samotności? Łatwiej było mi pojąć jego zwierzęce instynkty. Co takiego zaciekało w nim Flo, że z nim uciekła, porzucając wszelki dostatek? Następną myśl trafiła we mnie jak błyskawica: „Co ja tu robię, dlaczego jestem tylko bezradnym pionkiem w tej intrydze?”

Schodziliśmy teraz prawie niepostrzeżenie, w tę część doliny, która przypominała wielki kielich, zielonobrazowe wgłębienie. Zmienił się nieco klimat. Zniknęły śniegi, wzrosła temperatura powietrza. Otaczające nas góry pięły się dumnie ku niebu, niedostępne dla zwykłego śmiertelnika. Urwiste wierzchołki pokryte śniegiem ginęły w chmurach.

Co ja tu robię? Jak się tu znalazłam? To dziwne, ale ta myśl przestała mnie przerażać. Czekające na mnie wyzwanie i urok tej krainy dodawały mi ducha. Maleńki Eden. Jak długo dolina ta pozostanie nietknięta niczym dziewica gotowa do pierwszej miłości? Umysł zaprzętały mi przedziwne myśli dalekie od moich zwyczajowych, praktycznych refleksji. Przybyłam do tego miejsca. Stary czarownik opowiadał o rzeczach, które zrządził los; przypominałam sobie, jak indyjscy mędrcy rozprawiali na temat karmy - nieuniknionego losu każdego człowieka, będącego rezultatem wydarzeń z przeszłości. To dziwne, ale od dnia, w którym otrzymałam list od mojego ojca, żyłam w przeszłości, pod wpływem zdarzeń, które miały miejsce przed moimi narodzinami. Mój pobyt w tym miejscu również związany był z przeszłością, choć po raz pierwszy od przyjazdu do Ameryki poczułam, że jestem całkowicie niezależna, nikt mną nie kierował, nie udzielał rad. Polegałam na własnej intuicji i inteligencji...

Julio jadący na przedzie z Lucasem zawrócił i pokłusował w moją stronę.

- Podoba ci się?

- Cóż ja na to poradzę? - odparłam uczciwie. - Tu jest cudownie. Ale... - głośnym tonem zadałam pytanie, które nie dawało mi spokoju. - Gdzie są ludzie? Widziałam bydło i konie; kto ich dogląda?

Wybuchnął dziwnym śmiechem.

- Bystry masz wzrok, *nidee*. Tak, mamy tu ludzi, którzy pilnują zwierząt - niezbyt wielu. Kilku zaufanych mężczyzn i kobiet sprowadzonych przez matkę z Meksyku. Teraz pewnie siedzą w domu i spożywają wieczorny posiłek. Robi się późno, tu słońce szybko znika za horyzontem. Nie musimy uważać na intruzów, kto by znalazł to miejsce?

- Twoi ludzie wiedzą o nim z pewnością?

- Niektórzy. Szanujemy siedziby naszych rodzin i przyjaciół. Czasami, podczas mroźnej zimy, chronimy się tutaj. Nie brakuje jedzenia i zwierzyny. Moi bracia, którzy nam towarzyszyli zostaną tu przez jakiś czas - wyprawia skóry i uwędzą mięso. Potem powrócą do obozu.

- Dlaczego nie jadą z nami?

- Apacze nie lubią domów. Znajdą jakieś legowisko, a kobiety wzniosą wigwamy.

- Zostawiłeś też srebro - prychnęłam sarkastycznie, ale Julio odporny był na sarkazm.

- Nikt go nie tknie. Niebawem jeden z *vaqueros* mojej matki przywiezie je do domu.

- Dom - powtórzyłam wolno. - Czy nie będziesz się dusił w czterech ścianach?

- Myślę, że zaczynasz rozumieć mój lud, *nidee*. Tak, ja też nie lubię domów. Będę spał na zewnątrz, choć moja matka jest zawsze temu przeciwna.

Chciałam zapytać go, po co przyjechał. Kiedy opowiadał o matce, w jego głosie nie było najmniejszego uczucia. Może dlatego, że był Apaczem, nie przyzwyczajonym do okazywania ludzkich emocji.

Pod wpływem impulsu wykrzyknęłam:

- Jaka szkoda, że nie ma z nami Małej Ptaszyny!

Popatrzył na mnie z niewyraźnym uśmiechem.

- Mała Ptaszyna nie lubi mojej matki. Matka jej też nie cierpi. Moja żona szczę-

śliwsza jest wśród swoich. Ale cieszę się, że się polubiliście. W tak krótkim czasie, szybko poznałaś nasz sposób życia, siostrzyczko.

Czułam, że chce coś dodać, ale w tej chwili Lucas zawrócił konia i znalazł się przy nas.

Jak zwykle poczułam oburzenie, dostrzegając jego spojrzenia, które mówiły mi, jak niechlujnie i niedbale wyglądam z potarganymi włosami.

- To już blisko, ale zatrzymamy się, by dać wytchnienie koniom. Jeśli chcesz się wykapać i zmienić ubranie, za tymi drzewami płynie mały strumień.

Instynktownie odgarnęłam z twarzy kosmyki włosów, a jego usta wykrzywiły się w ledwo widoczny uśmiech.

- Daję ci dziesięć minut, siostrzyczko. A potem sam chcę się wykapać. Muszę zmyć z siebie ten brud i kurz.

Pod jego kpiącym spojrzeniem chwyciłam tobolek z moim nowym ubraniem i ruszyłam w stronę drzew, nie oglądając się za siebie.

A więc muszę doprowadzić się do porządku, zanim spotkam jego matkę? Żałowałam, że nie mam na sobie tej okropnej sukni, w której przyjechałam z Bostonu. Wtedy Ramon z pewnością zapomniałby o małżeństwie!

Mimo gniewu, zanurzyłam się w chłodnym, orzeźwiającym strumieniu i odświeżona natychmiast poczułam się lepiej. Pamiętając o obietnicy złożonej czarownikowi, przywdziałam tradycyjny strój Apaczki i rozczesałam mokre włosy, przerzucając je na plecy. Co za próżność, skarciłam się, podziwiając własne odbicie w lustrze wody i zastanowiłam się, o czym pomyśli na mój widok Elena Kordes.

Część czwarta

Dolina Ukrytych Pragnień

Rozdział 21

W pierwszej chwili, gdy ujrzałam Elenę Kordes schodzącą po schodach hiszpańskiego domu z suszonej cegły i drewna, pomyślałam, że wygląda niezwykle młodo jak na swój wiek.

Zachodziło słońce, ale płonęły już lampy, rzucając blask na klejnoty migocące w hiszpańskim grzebieniu podtrzymującym jej wysoko upięte, czarne włosy. Rubiny, takie same jak kamienie w jej naszyjniku.

- Moi synowie!

Miała głęboki, melodyjny głos i lekki obcy akcent.

- *Si, madre* - twoi synowie.

Czy mi się zdawało, że w tonie Julio wyczułam sarkazm?

Kiedy Julio zrobił krok naprzód i utonął w objęciach matki, odniosłam wrażenie, że wszystko zostało dokładnie wyreżyserowane.

- Lucas!

Stał u podnóża schodów z przechyloną głową, ale gdy chwyciła go w ramiona, poczułam się niezręcznie, obserwując to prywatne przedstawienie, którego nie miałam prawa oglądać.

- Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek, Eleno!

Zaśmiała się jak młoda dziewczyna i pogłaskała go po twarzy.

- A ty co masz na swoje usprawiedliwienie? Tęskniłam za tobą! Wszyscy za tobą tęskniliśmy.

Raz jeszcze przemknęły mi przed oczami słowa ojca: „Lucas uwielbia swoją matkę...”.

Gdy tak spoglądał na nią, jego twarz przybrała młodzieńczy, spokojny wygląd. W gasnącym świetle nie potrafiłam odszyfrować wyrazu jego twarzy, ale już po chwili uśmiechał się przekornie do Eleny.

- Zawsze mi to powtarzasz, kiedy wracam po długiej nieobecności!

Przemawiał tonem beztróskim, ale pełnym wzruszenia, jakiego dotąd nie słyszałam w jego głosie. Dotknął lekko jej ramion, a stojący z tyłu Julio odezwał się cicho:

- Czyż to nie wzruszające ujrzenie takie przywiązanie syna do matki?

Był chyba zazdrosny i nie miałam mu tego za złe. Tych dwoje... Zaraz potem Elena Kordes zauważyła moją obecność.

- Przecież to nie jest Mała Ptaszyna! Julio, czy poślubiłeś inną kobietę?

Lucas parsknął przytłumionym śmiechem, a ja ze złością przechyliłam głowę. Nie miał prawa stawiać mnie w tak kłopotliwej sytuacji. Biednego Julio też.

Zadziwiająco szybko Julio stanął na wysokości zadania.

- Jeszcze nie, *mamacita*, ale być może wkrótce o tym pomyślę.

Lucas zapomniał o uśmiechu, zmarszczył czoło i spojrzał na niego z ukosa.

Śmiało zrobiłam krok naprzód i stanęłam u podnóża schodów, twarzą w twarz z tą piękną, dumną kobietą o ruchach księżniczki, wyglądającą tak młodo jak ja.

- Ponieważ synowie pani zapomnieli o dobrych manierach, muszę przedstawić się sama - oznajmiłam miarowym głosem. - Nazywam się Rowena Dangerfield. Znała pani mego ojca.

Nawet jeśli moje otwarte wystąpienie zaskoczyło ją, nie dała tego po sobie poznać. Uniosła tylko czarne brwi i rzucając Lucasowi pełne wyrzutu spojrzenie, pośpieszyła w moją stronę z wyciągniętymi rękami.

- To ty jesteś Roweną, córką Guya? To nieładnie, że moi synowie nie dali mi wcześniej znać - to tacy barbarzyńcy.

Dotknęła moich dłoni, a potem niespodziewanie dotknęła lekko mojego podbródka i popatrzyła mi w twarz.

- Wybacz mi, ale masz oczy swego ojca! Ach, powinnam była dostrzec twoje oczy, mimo tego tradycyjnego stroju Apaczów.

Zaśmiała się cichutko.

- Przypuszczam, że to był pomysł mojego ojca. To w jego stylu. Cieszę się, że spełniłaś jego życzenie.

W tej kobiecie nie było ani śladu półdzikiej Indianki. Gdyby nie jej lekki akcent, mogła być ozdobą każdego londyńskiego salonu.

- Twój ojciec był dla mnie bardzo życzliwy. A ten tradycyjny indiański strój jest przepiękny.

Julio chrząknął z aprobatą za moimi plecami.

- Moja siostrzyczka przystosowała się do naszego sposobu życia. Skoro czarownik, nasz dziadek, zaadoptował ją jako swoją córkę, jest teraz Apaczką.

Elena wciągnęła gwałtownie powietrze i odwróciła się w stronę Lucasa, który opierał się nonszalancko o drewniany filar przy kamiennych schodach.

- To prawda - rzucił wymijająco. - Czarownik i Guy Dangerfield byli braćmi krwi, pamiętasz? Chyba ją polubił.

- Przykro mi, że nie mogę tego powiedzieć o tobie, Lucasie Cord! - palnęłam.

- Ma paskudny charakter i język złościcy - poinformował swą matkę ponad moją głową. - Być może Ramon ją poskromi!

Elena Kordes wodziła po nas roziskrzonym wzrokiem.

Kiedy Julio oznajmił donośnym głosem: „Zapominasz, bracie, że ja też jestem z rodu Kordesów”, Elena zmarszczyła brwi, a Lucas nie odezwał się ani słowem.

- Wystarczy! Nie zaczynajcie wizyty od dziecinnych sprzeczek! Roweno, proszę... Chodź ze mną. Twoja obecność sprawia mi ogromną radość. Jeśli chodzi o moich synów, nie zwracaj na nich uwagi!

Słyszając słowa Lucasa, już miałam ciętą odpowiedź na końcu języka, ale zacisnęłam usta i ruszyłam za Eleną. Byłam tu, otoczona górami, które przypominały mi, że dolina ta może być więzieniem, ale i schronieniem. Na razie wszelkie protesty nie miały sensu. „Poznaj swego wroga...”.

Wyglądało na to, że mam czas!

Ani trochę nie zniechęcona moim uporczywym milczeniem, Elena Kordes rozprawiła niezmordowanie, prowadząc mnie przez ogromny hol w stronę wąskiej klatki schodowej, łączącej go z galerią biegnącą wzdłuż trzech ścian pomieszczenia.

- Architektura tego domu jest bardzo prosta, wybrałam styl hiszpański, który najbardziej pasuje do tutejszego klimatu. Podoba ci się galeria? Latem jest tu chłodno, poza tym ma się wrażenie... jak to jest po angielsku? Przestrzeni, tak, przestrzeni. Tu znajdują się też sypialnie - uniosła dłoń, a ja dostrzegłam blask ogromnego, krwawego rubinu w antycznej oprawie. - To skrzydło przeznaczone jest dla moich synów i gości. Po tej stronie są pokoje moje i Luz. Słyszałaś o Luz?

Zaprzeczyłam gestem, zastanawiając się, dlaczego jej wylewny, przyjacielski szczebiot nie przystaje do prawdziwej natury tej kobiety. Czy to dlatego, że uprzedziłam się do niej już na samym początku? Zmarszczyła lekko brwi i otworzyła drzwi do swojej sypialni - wielkiej, wspaniale urządzonej, zdominowanej przez ogromne łoże z baldachimem.

- Widzę, że nic ci nie powiedzieli! Luz... jest córką starego przyjaciela. Po śmierci ojca Lucas przywiózł ją tutaj. Mieszka ze mną, kochane dziecko, cieszę się z jej towarzystwa. Kiedy mój syn porzuci włóczęgę... mam nadzieję, że któregoś dnia ją poślubi. Luz wyobraża sobie, że jest w nim zakochana.

Odniosłam wrażenie, że mnie sprawdza; że czeka na moją reakcję.

Wzruszyłam ramionami i weszłam do pokoju.

- Jeśli mają się pobrać, niech sobie dalej wyobraża, że go kocha. Ale szczerze mówiąc, współczuję tej biednej dziewczynie. Czy ona wie o Flo Jeffords i co się z nią stało?

Myślę, że w tej chwili obie przestałyśmy udawać. Stałyśmy twarzą w twarz. Elena wsparła się dłonią o drzwiczki bogato rzeźbionej szafy stojącej w kącie pokoju.

- Nie lubisz Lucasa. To dziwne, bo większość kobiet go uwielbia. Może jesteś po prostu zła, że cię tu przywiózł. A może wyobraziłaś sobie, że kochasz Todda Shannona?

Stało się. Imię Todda padło między nami i choć chyba miała nadzieję mnie zaniepokoić, odetchnęłam z ulgą, że wreszcie mogę być sobą.

- Nie wiem, czy go kocham. Jestem z nim zaręczona. To było bardzo praktyczne przedsięwzięcie. Co ma do tego miłość? Obawiam się, że jestem bardziej praktyczna niż sentymentalna.

- I dlatego tu jesteś, prawda? Tak, wyglądasz jak Guy, ale w niczym go nie przypominasz? Guy był niezmiernie wrażliwy i delikatny.

- Może jestem podobna do pani? - szepnęłam. - Jeśli trzeba, schylę się, ale nigdy się nie złamię.

Ku mojemu zdziwieniu klasnęła w dłonie, a rubinowy pierścień zaśnił w świetle lampy.

- Teraz żałuję, że nie jesteś moją córką! Sama widzisz, że kobieta potrafi być silniejsza od mężczyzn. Kiedy ujrzałam cię w tym stroju Apaczki, pomyślałam: córka Guya - czy rzeczywiście jest tak potulna, na jaką wygląda? Czy będzie taka jak Luz? Jesteś inna. Luz się mnie boi. Ty potrafisz myśleć samodzielnie. Obie stoimy przed wielkim wyzwaniem. Czy poślubisz jednego z moich synów, by spełnić wolę zmarłego ojca? Czy pozostaniesz uparta? Z pewnością twój przyjazd wniesie trochę odmiany do mego życia. - Uśmiechnęła się i otworzyła szafę pełną sukien. - Myślę, że poczujesz się mniej skrępowana w jednej z nich. Chyba jesteśmy tego samego wzrostu. Wybór należy do ciebie!

Poczułam się jak ryba w wodzie. Rzuciłam jej uśmiech i zajęłam się oglądaniem strojów, które mi zaoferowała.

- Jest pani bardzo uprzejma. Rzeczywiście, potrafię myśleć samodzielnie i jestem bardzo praktyczna. Czy naprawdę mogę włożyć jedną z tych sukien?

Zaśmiała się uradowana.

- Ależ oczywiście! Chcę, abyś wyglądała pięknie dla moich synów. I dla mnie też. W końcu dojdziemy do porozumienia. Już dawno nikt nie rzucił mi wyzwania.

- Ani mnie... - rzuciłam cicho i uśmiechnęłyśmy się do siebie.

Na kolację schodziłyśmy niemal jak przyjaciółki. Obie wiedziałyśmy, dlaczego tu jestem i co jest przyczyną mego oburzenia. Wydawało mi się, że Elena cieszy się na myśl, iż moja obecność może zadziałać jak katalizator. Pomogła mi wybrać suknię z ciemnoniebieskiego jedwabiu. Posadziła mnie przed lustrem i upięła włosy; gęste loki opadały mi na szyję i ramiona ze skróconego z tyłu głowy koka.

- Masz czarne i gęste włosy jak moje... jak to się stało, że nie jesteś podobna do matki? Była blondynką, wiem to od Guya. Nie żał ci było ją zostawić?

- Nie rozpaczala z powodu mojego wyjazdu - stwierdziłam lakonicznie. - Nic nas nie łączy.

- To dziwne. Mam wrażenie, że mamy ze sobą wiele wspólnego - oświadczyła i za-

śmiała się lekko.

- Nie mogę pojąć, dlaczego chce mnie pani wydać za swego syna - oznajmiłam otwarcie. - Czy na moim miejscu postąpiłaby pani tak samo?

- Może, gdybym nie miała wyboru! Takie było życzenie twego ojca, a ja mam trzech synów. Wybieraj!

- A jeśli nie zechcę żadnego? - Musiałam o to zapytać, ale ona potrząsnęła tylko głową.

- Jeśli jesteś rozsądna i praktyczna, wybierzesz jednego z nich. Tylko w ten sposób możesz opuścić tę dolinę. Sama widzisz, jestem nie tylko praktyczna, ale i zdeterminowana. Tak czy inaczej, wybór nie jest taki trudny. Moi synowie są jeszcze młodzi. Todd Shannon jest stary - zbyt stary dla ciebie. Porozmawiamy o tym później.

W jej głosie rozpoznałam nutę nieprzejednania i wzruszyłam ramionami. Oczywiście, że o tym porozmawiamy. Tymczasem byłam pewna, że czekająca nas kolacja okaże się ciekawym doświadczeniem.

Zauważyłam Ramona Kordesa i na jego sztywny ukłon odpowiedziałam lekkim skinieniem głowy. Luz okazała się atrakcyjną dziewiętnastoletnią dziewczyną o ciemnych włosach, ubraną w jaskrawą marszczoną spódnicę i obszerną meksykańską bluzkę. Rozpuszczone włosy opadały jej do pasa. Na ślicznej twarzy malowało się przygnębienie, a z rzucanych mi spojrzeń wywnioskowałam, że nie cieszy się z mojej obecności. Całą swą uwagę skupiła na Lucasie, który traktował ją z wyraźną obojętnością.

Zacisnęłam zęby. Nie przebrał się do posiłku, choć zgolił gęstą brodę. Nawet Julio starał się przestrzegać dobrych manier, choć przy stole czuł się bardzo niezręcznie.

W stylowej jadalni z łukowatym sufitem i ciemnymi hiszpańskimi meblami musieliśmy obsłużyć się sami. Stara kobieta wniosła różnorodne pikantne potrawy i postawiła je na brzegu stołu.

Kiedy zasiedliśmy do jedzenia, Ramon - ku mojemu zdziwieniu - pierwszy rozpoczął sprzeczkę. Zauważyłam, że Luz poderwała się na równe nogi i zaczęła podawać parujące naczynia, oczywiście rozpoczynając od mężczyzn. Na myśl przyszła mi indiańska wioska, gdzie kobiety musiały czekać na swoją kolejkę. Automatycznie pośpieszyłam jej z pomocą.

Julio przyjął to za rzecz naturalną. Lucas uniósł brew i popatrzył na młodszego brata.

- Widzisz, jak jest wyćwiczona? Nauczyła się nawet gotować; prawda, Julio?

Już miałam na końcu języka zjadliwą ripostę, kiedy Ramon zaskoczył nas wszystkich wstając gwałtownie od stołu.

- Nawet ty posuwasz się za daleko! - Łypnął z wściekłością na Lucasa. - Czy już zapomniałeś o długu wobec ojca Roweny? To szlachetnie urodzona dama, a nie twój kolejny jeniec! Nie masz prawa...

- Braciszku, mam prawo postępować tak, jak mi się podoba. Zapamiętaj to sobie. Kupiłem ją za doskonałą strzelbę i kilka sztuk amunicji. Czyż nie tak, Roweno? Gdyby nie ja, siedziałyby teraz w jakimś meksykańskim burdelu, a może byłyby już martwa. Lepiej podziękuj mi, braciszku, że ją tu przywiozłem, bo zmienię zdanie i sam przystąpię do tych cholernych zawodów!

- Jeśli to ja mam być nagrodą w tych zawodach, wybij je sobie z głowy, Lucacie Cord! Jesteś ostatnim mężczyzną na ziemi, który miałby u mnie szansę!

- Wołałabyś Shannona, prawda? Tyle że dla niego jesteś już martwa - albo jeszcze gorzej! Rozejrzyj się lepiej za jakimś zastępstwem. Poszukaj kogoś młodszego, nawet jeśli nie jest współwłaścicielem potężnego SD!

Zapadła głucha cisza, a ja z wściekłości wciągnęłam powietrze.

- Mężczyzny, prawda? Czy rozmawiamy o mężczyznach? Co ty możesz o nich wiedzieć, skoro sam nim nie jesteś? Wolisz brać kobiety siłą, może się mylę?

- Żałujesz, że ciebie to nie spotkało? Może dlatego zmieniłaś się w taką cholerną jędzę.

Głos Eleny niczym sztylet przeciął jego gniewne słowa.

- Dostyc! Lucacie, czy zapomniałeś o dobrym wychowaniu?

Ramon zachłysnął się ze złości.

- Lucas zapomina się jak zwykle. Obraził... najwyraźniej nie pasuje do cywilizowanego towarzystwa! Wybacz mi, Roweno. Przepraszam za zachowanie mego brata.

- Czy chcesz powiedzieć, braciszku, że w cywilizowanym towarzystwie musisz zachowywać się jak hipokryta?

Nie mogłam znieść lekceważącego, sarkastycznego tonu, jakim Lucas zwrócił się do brata, prostując się na krześle. Na miejscu Ramona wymierzyłabym mu policzek!

Przez moment wydało mi się, że Ramon tak właśnie postąpi. Stał przy stole, zaciskając do białości palce na jego krawędzi.

- Ośmielasz się nazywać mnie hipokrytą, Lucasie? Właśnie ty?

Najwyraźniej odwoływał się do czegoś, lecz nie miałam pojęcia, o czym mówi. Lucas wpadł w gniew, a jego zmrużone oczy przybrały znajomy, koci blask. Od gwałtownego, nieodpowiedzialnego zachowania powstrzymało go jedynie ostrzeżenie Eleny:

- Lucas!

Wciągnął głęboko powietrze i zacisnął do białości usta. Zapanowało dziwne napięcie, którego nie rozumiałam, i mimo złości poczułam nagłą ciekawość.

- Ramonie, usiądź i przypomnij sobie, że ty jeden zostałeś wychowany na dżentelmena! - zdenerwowała się Elena. Opanowanym już głosem dodała: - Pewna jestem, że Rowena potrafi sama walczyć o swoje. Czyż nie mam racji?

Ponieważ zwróciła się do mnie, wzruszyłam ramionami i z fałszywą lekkością odpowiedziałam:

- Jak dotąd mi się to udawało.

Popatrzyłam na zasmuconą twarz Ramona i uśmiechnęłam się.

- To miło z twojej strony, że pośpieszyłeś mi z pomocą, ale niepotrzebnie. Przywykłam do grubiaństwa twego brata!

- Przepraszam za niego - odezwał się cicho Ramon i na tym skończył się cały incydent.

Uświadomiłam sobie jednak, że między trzema braćmi istnieje dziwne napięcie, a moja obecność tylko je rozpala. A może zawsze istniało? Czy Julio i Ramon zazdrośni byli o Lucasa, ulubieńca matki?

Postanowiłam odkryć prawdę. Z przesadną uprzejmością traktowano mnie jak gościa, choć wszyscy wiedzieliśmy, że nim nie jestem. Przywieziono mnie tu w określonym celu, a w momencie słabości obiecałam czarownikowi, że z otwartą głową wysłucham drugiej wersji tej samej historii, która dotknęła już wielu ludzi, i mnie też.

Mój dziadek nauczył mnie, że każdym sporze mają udział dwie strony. Może warto

zdobyć się na cierpliwość, popatrzeć, posłuchać? Już dawno temu pan Bragg udzielił mi tej rady; za każdym razem, kiedy o nim myślałam, dławiała mnie nienawiść. Co wiedziała Elena Kordes o występkach swego syna?

Pograżyłam się w rozmyślaniach, kiedy z boku dobiegł mnie zduszony szept Ramona:

- Gdybyś tylko wiedziała, jak tym razem mój brat mnie rozgniewał! Jeśli potraktował cię niewłaściwie...

Potrząsnęłam ramionami.

- Nie warto o tym mówić! Nie po raz pierwszy musiałam sobie jakoś radzić.

Uwierz mi, nie jestem taka słaba, na jaką wyglądam!

- Jesteś wspaniała! - zapewnił żarliwie. - Kiedy pomyślę tylko, co przeszłaś przez te ostatnie tygodnie...

- Twój brat Julio i jego żona byli dla mnie bardzo życzliwi - stwierdziłam dosadnie.
- I twój dziadek również.

Liczyłam, że usłyszy mnie Lucas Cord, ale kiedy rzuciłam mu ukradkowe spojrzenie, zobaczyłam, że nie odrywa wzroku od swej matki, która śmiała się z jego słów.

Rozdział 22

Późnym wieczorem w swoim pokoju miałam nareszcie czas, by pozbierać myśli i wrażenia z całego dnia.

Moja sypialnia sąsiadowała z sypialnią Luz, ale zamiast drzwi dzieliło nas nisko sklepione przejście. Przeprosiła mnie przygnębionym głosem za brak prywatności, a ja zastanowiłam się, czy celowo ulokowano mnie tutaj, by mogła mnie obserwować.

- Kiedy będzie ci zbyt gorąco, możesz wyjść przez okno - na dachu galerii jest wystarczająco dużo miejsca. Tam chwycisz trochę chłodnego powietrza.

Już miała zamykać okiennice, kiedy poczułam zapach dymu z cygara. Usłyszałam chrapliwy głos Lucasa Corda przepelniony rozpaczą.

- Wiesz, dlaczego nie przyjeżdżam tu częściej! Na Boga - czy myślisz, że jestem z kamienia? Są chwile...

- Ja też znam te chwile! Czy sądzisz, że lubię życie na tym odludziu?

- Odwiedza cię Jesus Montoya. Masz na palcu nowy pierścień, prawda? Dał ci go na pamiątkę starych czasów? Boże, Eleno! Nie potrafię trzymać się z dala, a kiedy tu powracam...

- Pamiętasz, jak obiecałeś zabić dla mnie wszystkie potwory? Byłeś wtedy dzieckiem; Apaczem, jak teraz Julio. Widziałam, jak na mnie patrzysz... nie chciałeś mnie polubić, prawda? I ja nie chciałam polubić ciebie. Ale wiedziałam, że kiedy poprosimy cię, byś pojechał z nami, zrobisz to.

Nigdy w życiu nie słyszałam tyle rozpaczy w głosie mężczyzny.

- Kiedy cię ujrzałem, stałaś się moim snem. Byłaś... ale ja jeszcze nie zabiłem dla ciebie tego potwora, prawda?

- Kiedyś to się stanie. A wtedy zobaczysz...

Cichy głos Eleny dotarł do naszych uszu; odwróciłam się w momencie, kiedy Luz delikatnie, lecz stanowczo zamykała okiennice.

Spojrzałam jej w oczy; miała nieprzytomny wzrok i zaciśnięte usta.

- Teraz już wiesz, dlaczego nie wyszłam za Lucasa. Dlaczego on nigdy nie poślubi żadnej kobiety! Czy myślałaś, że przywiózł cię tu dla siebie?

- Przywiózł mnie dla Ramona. Być może z chęci zemsty. Byłam zaręczona z Toddem Shannonem, czy nikt ci o tym nie powiedział?

Luz zmarszczyła swą małą twarz.

- Nic mi nie powiedzieli! Nigdy mnie o niczym nie informują. Pomyślałam tylko... Wiem, że Lucas ma inne kobiety, kiedy przebywa poza doliną. Tutaj... jakie to ma znaczenie? Zabrał mnie od Montoyi, powiedział, że potrzebuje kobiety, a teraz traktuje mnie jak małą siostrę! A ona... ona śmieje się tylko i cieszy się, kiedy jesteśmy razem. „Dlaczego nie zabierzesz Luz na konną przejażdżkę? Ty i Luz...” - mówi - „Jesteście młodzi, zabawcie się... zabierz ją do Meksyku...”. Widzisz, jak mu ufa! A teraz on przywiózł ciebie...

Żałowałam, że usłyszałam tę intrygującą rozmowę pod oknem i bezwstydnie wyznanie Luz, współczując jej jeszcze bardziej.

Pragnęłam pozostać biernym widzem, ale teraz, przez wzgląd na nią, oburzyłam się.

- Nawet jeśli ci niczego nie powiedzieli, z pewnością domyśliłaś się, że nie jestem tu z własnej woli - rzuciłam oschle.

Nagle przypomniałam sobie sardoniczne, szydercze wręcz słowa Julio: „Takie przywiązanie syna do matki!”.

To, co usłyszałyśmy mogło być rozmową dwojga kochanków. Czy dlatego w tym domu panowało takie napięcie, wisiało w powietrzu tyle nieudomówień?

Litowałam się nad Luz, która obdarzyła głupią miłością mężczyznę zakochanego we własnej matce i nie zwracającego uwagi na inne kobiety.

- Czy zamierzasz poślubić Ramona? - Luz popatrzyła na mnie z zaciekawieniem, ale w jej oczach pojawiły się łzy.

- Mówiąc szczerze, wybrałabym mężczyznę, którego mam poślubić! Zapewniam cię, że nie mam żadnych planów co do Lucasa Corda. Wybacz mi, Luz. Nie znoszę go, nie ufam mu. Co więcej, nienawidzę go! Nawet Julio jest przy nim dżentelmenem.

Zaoponowała, stając w obronie Lucasa.

- Zatem nie znasz Lucasa! Wiem, co gadają o nim ludzie, ale on ma dobre serce. To nie jego wina, że Elena go omotała. Julio jest żonaty, a Ramon... och, Ramon też jest

miły, ale brak mu męskości jego brata! To Lucas znalazł to miejsce i sprowadził ich tutaj. To on zapewnia nam byt.

Stałam naprzeciw niej.

- Skoro go kochasz, dlaczego nic nie robisz? Dlaczego pozwalasz, by traktował cię jak powietrze? Jak siostrę. Elena Kordes to atrakcyjna i silna kobieta, ale ty nie jesteś jego matką i jeśli tylko zechcesz...

- Niczego nie rozumiesz! - Odwróciła się i padła na łóżko. - Nie możesz! Jesteś tu zbyt krótko!

- A może ty jesteś tu zbyt długo? - odpaliłam - Wiesz, czasami warto spojrzeć na wszystko z pewnego dystansu. Czy uważasz, że można cokolwiek zdobyć bez najmniejszego wysiłku? To prawda, jestem tu dopiero kilka godzin, ale zauważyłam, że jesteś oczarowana Lucasem, Ramon powoli zakochuje się we mnie, a Lucas nie spuszcza wzroku ze swej matki.

Przekręciła głowę, popatrzyła na mnie zaskoczona, a ja ciągnęłam poważnie:

- Jedyna osoba, która jest osnuta mgiełką tajemnicy, to Julio, ale obiecuję, że i jego wkrótce rozszyfruję.

- Jak możesz mówić o tym wszystkim z takim spokojem? - zapytała Luz, a w jej oczach zakręciły się łzy. - Obserwowałam cię przez cały wieczór i zauważyłam, z jaką łatwością prowadzisz rozmowę. Jesteśmy przecież dla ciebie obcymi ludźmi! Rozzłościłaś się tylko, kiedy Lucas powiedział... - zagryzła usta i uspokoiła się. - Pomyślałam, że może wolisz Lucasa i denerwujesz się, kiedy cię ignoruje.

- Mam wiele powodów do gniewu, ale jego obojętność nie a z tym nic wspólnego! Co więcej, mój wymuszony pobyt tutaj byłby o wiele przyjemniejszy, gdybym go nie musiała widywać! - Powstrzymałam się od bardziej zjadliwej uwagi.

Nie chciałam zrażać do siebie Luz. Wolałam zdobyć jej przyjaźń, a przynajmniej zaufanie. Przyjdzie czas, że będę potrzebować pomocy, bo wiedziałam, że nikt nie zmusi mnie do małżeństwa i że opuszczę tę dolinę, nawet gdybym musiała skorzystać z najbardziej przebiegłych metod.

Luz podniosła się na łóżku i nie odrywała ode mnie wzroku.

- Nie tak sobie ciebie wyobrażałam. Ty chyba zawsze robisz to, na co masz ochotę.

Wzruszyłam ramionami.

- Obawiam się, że zawsze miałam niezależny charakter. Wiele osób boleje nad tym faktem. Ale jestem także realistką. I ty powinnaś się tego nauczyć, jeśli chcesz coś osiągnąć.

- Chcę tylko wyjść za Lucasa! I opuścić to miejsce, nie zależy mi na tym, dokąd mnie zabierze. Czasami... czasami nie zależy mi na ślubie, byle tylko mnie pożądał!

Luz musiała najwyraźniej z kimś porozmawiać i pewna jestem, że powierzyłaby mi wszystkie sekrety, gdybym jej na to pozwoliła. Wiedziałam jednak, że muszę zachować ostrożność, ziewnęłam więc demonstracyjnie, dowodząc, że temat Lucasa nudzi mnie.

- Jeśli chcesz, aby mężczyzna cię zauważył, musisz się nieco zmienić. Zachowuj się z większą rezerwą - a jeszcze lepiej wzbudź jego zazdrość! Tak czy inaczej, to nie mój problem. Staram się nie wtrącać w sprawy innych ludzi.

- Ach, chyba jesteś śpiąca! - szepnęła ze smutkiem, a ja zasiadłam przed wspólnym lustrem i zaczęłam szcotokować włosy.

- Czy porozmawiasz ze mną jutro? Wstaję bardzo wcześnie, pomagam przy śniadaniu, ale potem... - rozpromieniła się. - Może pozwolą nam na wspólną przejażdżkę. Pokażę ci resztę doliny. Jest przepiękna. Chciałabym bardzo, żebyś opowiedziała mi o tych wielkich miastach i ludziach, którzy w nich żyją. Ramon opisywał mi je trochę, ale on jest tylko mężczyzną; nie rozumie, co interesuje kobiety.

Uśmiechnęłam się do niej w lustrze.

- W porządku. Jeśli mnie obudzisz rano, pomogę ci przy śniadaniu. Skoro już tu jestem, może się na coś przydam!

Powinnam była się wstydzić. Planowałam wykorzystać Luz i Ramona dla własnych celów. Ludzi, którzy okazali mi najwięcej sympatii. Leżąc już w łóżku zastanawiałam się, kiedy zrozumie wreszcie przyczyny tych niedomówień, które wyczułam już pierwszego wieczoru.

Wielokrotnie przypominałam sobie, że jestem zaledwie obserwatorem. Że życie, uczucia i nienawiść między tymi ludźmi nic mnie nie obchodzą. Miałam przed sobą jeden cel: odzyskanie wolności. Dlaczego musiałam sobie o tym przypominać tak często? Byłam więźniem w ukrytej dolinie, otoczonej górami nie do zdobycia. Znalazłam się

wśród osób, które tu mieszkały, i nie mogłam pozostać obojętna na mroczne, tajemnicze uczucia, które wibrowały pod pozornie gładką powierzchnią. To nie był zwykły dom, bo władająca nim Elena Kordes nie była przeciętną kobietą.

Od pierwszego spotkania wyczuwałam jej siłę i władzę, jaką dzierżyła nad swoimi synami - nawet nad Julio, który opowiadał zawsze o niej z ponurym lub sarkastycznym wyrazem twarzy.

Luz drżała przed nią ze strachu, ale nie ja. Myślę, że oeniłyśmy się wzajemnie podczas naszej pierwszej rozmowy. Może dlatego tak bardzo poszukiwała mego towarzystwa. Rozprawiałyśmy o książkach, teatrze i operze - nawet o ostatniej modzie. Chciała zrobić na mnie wrażenie swym wykształceniem i znajomością zewnętrznego świata, a była rzeczywiście kobietą inteligentną i czytana. Rozmawiałyśmy o moim ojcu, a sporadycznie nawet o Toddzie Shannonie. Odpowiadałam wtedy z powściągliwością i wzruszałam ramionami, nawet gdy dawała mi delikatnie do zrozumienia, że potrafił być czarujący dla kobiet, jeśli akurat miał na to ochotę, bo przede wszystkim opętany był myślą o zdobyciu całej ziemi, którą uważał za swoją własność.

- Twój ojciec myślał inaczej - oznajmiła mi kiedyś. - On wiedział, co to sprawiedliwość. Ludzie pokroju Todda Shannona to zwykli grabieżcy. Mój mąż miał większe prawo do ziemi, którą Shannon uważa za swoją, ale w świetle angielskiego prawa był jedynie Hiszpanem, pochodził z podbitej rasy.

- Pewna jestem, że w ten sam sposób Hiszpanie zabrali ziemię Indianom, kiedy przybyli do Nowego Meksyku - odparowałam spokojnie.

- Umiesz dobierać słowa i myślisz logicznie. - Oczekiwałam jej gniewu, ale ona uniosła tylko brwi. - Ta sama logika musi ci więc podpowiadać, że zgodnie z prawem jeden z moich synów powinien odziedziczyć przynajmniej część spuścizny po swym ojcu. Twój ojciec zdawał sobie z tego sprawę. To dlatego zaplanowaliśmy wspólnie, że poślubisz jednego z moich synów. - Uśmiechnęła się, gdy wzruszyłam ramionami. - Oczywiście, twój zdrowy rozsądek nie pozwala ci wierzyć w miłość. Nie wydaje mi się, byś mogła pokochać Todda Shannona; nie wyglądasz na kobietę o złamanym sercu!

- Jak już pani zauważyła, jestem bardzo praktyczna. Ale nie podoba mi się, gdy ktoś próbuje mnie zmusić do wyboru męża.

Spojrzałam jej w oczy, a ona uśmiechnęła się znowu.

- A jeśli nie będzie innego praktycznego wyboru? Widzę, że sporo czasu spędzasz w towarzystwie Ramona. On cię kocha i z pewnością łatwo go sobie podporządkujesz.

- Tak jak pani podporządkowała sobie swoich synów? - Widziałam jak mruży oczy i przeciągnęłam się wolno. - Nie wiem... być może potrzebuję wyzwania. Podobnie jak pani, prawie przez całe moje życie robiłam to, na co miałam ochotę. Nie muszę się śpieszyć, prawda?

- Myślę, że jesteś bardziej do mnie podobna niż bym sobie tego życzyła - szepnęła.

- Ale masz rację, pośpiech jest tu zbyteczny.

Nie śpieszyłam się zatem. Pozornie nie byłam nawet więźniem. Jeździłam konno, korzystałam z biblioteki Ramona i zadziwiająco zasobnej garderoby Eleny. Byłam gościem, choć tylko na pozór, bo już wkrótce przekonałam się, iż mimo rozmiarów *estancia*, tylko dwie osoby ze służby mieszkały w domu. Ponury i gderliwy staruszek Fernando, całkowicie oddany Elenie i wykonujący tylko jej polecenia, i starsza od niego, prawie głucha Paquita, gadająca do siebie w ogromnej kuchni. Był tam jeszcze mężczyzna około pięćdziesiątki z żoną, zajmował się uprawą warzyw i kukurydzy oraz pomagał przy wypasie bydła, a także chyba z pięciu *vaqueros* mających własne kwatery.

Luz zajmowała się odkurzaniem i słaniem łóżek, pomagała przy gotowaniu i podawaniu jedyne go wspólnego posiłku - kolacji. Mimo protestów Ramona zaczęłam pomagać jej w codziennych zajęciach.

Mężczyźni zwykle jedli śniadanie przed nami, a południowy posiłek spożywali poza farmą. Na szczęście Lucasa spotykałam wyłącznie przy kolacji, ale od tego pamiętnego wieczoru zamieniliśmy może dwa zdania. Tak było do dnia, kiedy w kuchni pojawił się Julio.

Od mojego przyjazdu minęło chyba pięć dni. Julio wyjeżdżał codziennie wczesnym rankiem z Lucasem i pozostałymi mężczyznami, by powrócić dopiero przed zachodem słońca.

Słyszałam jak rozmawiają o znakowaniu bydła i naprawie ogrodzenia. Przypomniałam sobie, że przez krótki czas byłam patroną SD, wtedy gdy Todd Shannon leżał ranny w Silver City... Zastanowiłam się, o czym teraz myśli. Czy uwierzył w moją

śmierć? Czy ruszył na poszukiwania? A Mark, mój prawdziwy przyjaciel? Nienawiść do Lucasa Corda wracała ze zdwojoną siłą, podobnie jak moje pragnienie szybkiego opuszczenia tego miejsca.

Tego popołudnia przekonałam Luz, by zawiozła mężczyznom południowy posiłek i ostrzegłam ją, by nie zwracała najmniejszej uwagi na Lucasa.

- Obojętność to jedyny sposób, by cię zauważył - pouczyłam ją.

Udało mi się nawet namówić Ramona, by jej towarzyszył.

- Bawisz się w swatkę? - drażnił się ze mną. - Czasami jesteś dla nas wszystkich taka chłodna i obojętna, a potem...

- Mógłbyś pochwalić Luz w obecności swego brata - mruknęłam. - Na miłość boską, czas już, byście zaczęli traktować ją jak kobietę, a nie jak niewolnicę!

- Żebyś ty mogła harować w kuchni?

Wiem, że moją postawę przypisywał miękkiemu sercu, a nie podstępnemu umysłowi, i zniecierpliwiłam się za takie wyrachowanie. Ale Ramon, jak zauważyła Elena, durzył się we mnie i bez wahania wykonywał moje prośby.

Wyjechał z Luz, a ja zostałam sama - całkiem miłe uczucie, bo dopiero w samotności mogłam odnajdywać siebie.

Każdego popołudnia Elena odbywała krótką sjęstę, a Paquita spała prawie cały dzień. Nie wiedziałam, gdzie podziewa się Fernando, ale podejrzewałam, że i on zapadł w poobiednią drzemkę. Lubiłam być sama. Namoczyłam fasolę i pokroiłam mięso na kolację. Luz zdziwi się, widząc, że i ja potrafię gotować.

I wtedy znalazł mnie Julio. Nie usłyszałam jak wszedł do środka, obejrzałam się i ujrzałam go stojącego pod ścianą, z tym samym baczym, nieodgadnionym wzrokiem, który wrył mi się w pamięć w dniu, kiedy uwięziono mnie w obozie Apaczów.

Zaczerpnęłam z przerażenia powietrza, a on zmusił się do uśmiechu, wykrzywiając usta.

- Chyba cię nie przestraszyłem? Widziałem jak Ramon i Luz wyjechali z jeźdźniem, a ponieważ postanowiłem wrócić do domu na obiad, miałem nadzieję, że coś dla mnie przygotujesz.

- Przepraszam, nie usłyszałam twoich kroków. To nie potrwa długo, piec jest jesz-

cze gorący, potrzebuję tylko trochę drewna.

Kiedy wychodziłam po drewno, leniwym ruchem chwycił mnie za ramię.

- Julio! Myślałam, że jesteś głodny.

- Potrzebuję nie tyle jedzenia, co rozmowy z tobą, *nidee*.

Próbowałam wyrwać się z jego uścisku.

- Zawsze możemy porozmawiać. Ale jeśli chcesz coś zjeść...

- Nie boisz się mnie chyba?

Stałam tyłem do ściany, a on, wciąż ściskając mi ramię, pochylił się tuż nade mną.

- Julio!

- Teraz moja kolej. Widziałem cię z moim bratem Ramonem, wcześniej zabrał mi ciebie Lucas. Pamiętam jak spojrziałaś na mnie pierwszej nocy, kiedy wojownicy przyprowadzili cię do obozu. Tak samo patrzyłaś na mnie potem, siostrzyczko. Wiem, co planuje moja matka, ale zapomina, że Kordes był także moim ojcem, a ja jestem jej synem. Widziałaś, jak się zdenerwowała, kiedy jej o tym przypomniałem? I to nie dlatego, że wymyśliła to wspólnie z twoim ojcem. Jestem Apaczem - ziemia znaczy dla mnie tyle samo, co dla tych, którzy wolą mieszkać w jednym miejscu. To ciebie pożądam i ty o tym wiesz, ale podobnie jak kobiety z mojego plemienia byłaś skromna i spuszczałaś wzrok. A teraz patrzysz mi prosto w oczy.

W tej chwili do głowy przyszła mi tylko głupawa uwaga:

- Ale ty już jesteś żonaty! Lubię Małą Ptaszynę. Jeśli myślisz, że jestem kobietą, która...

Z irytacją potrząsnął moim ramieniem.

- Czy uważasz, że miałem na myśli coś innego niż małżeństwo? Jesteś dziewczyną i skoro dziadek przyjął cię do naszego plemienia, nie mógłbym się do ciebie zbliżyć bez honorowej oferty małżeństwa. Gdybyś pomieszkała z nami dłużej, przywiązałbym moje najlepsze konie do wigwamu czarownika na znak moich intencji. Jednak w tej sytuacji nie mam wyboru. Muszę wyznać ci moje uczucia. Ze spokojem przyjęłaś słowa mojej matki; wiem, że nie kochasz Ramona, więc...

Nareszcie odzyskałam mowę i choć nie próbowałam uwolnić się z jego uchwytu, popatrzyłam mu śmiało w oczy.

- Twój dziadek powiedział mi, że sama będę mogła dokonać wyboru i choć nabrałam do ciebie szacunku, jesteś dla mnie tylko żonatym bratem. To prawda, Julio, zaakceptowałam sposób życia i myślenia Apaczów, ale wciąż pozostaję upartą kobietą. Kiedy wybiorę męża, nie będę w stanie się nim z nikim dzielić. Mam nadzieję, że to rozumiesz, bo nie chcę stracić twej przyjaźni.

Zdobyłam się na spokój i rozwagę, niestety nie można tego było powiedzieć o Julio.

Tego popołudnia miałam na sobie ubranie Luz - marszczoną spódnicę do kostek i bluzkę z dekoltem. Julio wodził po mnie wzrokiem.

- Twój głos, *nidee*, mówi coś innego niż twe oczy i szybko bijące serce. Nie chcesz należeć do żadnego mężczyzny, a twój strach wypełnia cię chłodem. Ale twoje zmysły domagają się czegoś więcej. Tak było z moją babką, hiszpańską kobietą pojmaną przez mego dziadka. Została jego trzecią żoną. Po pewnym czasie...

- Nie!

Przycisnął mnie do ściany, a pożądanie bijące z jego zazwyczaj obojętnej twarzy tak mnie rozgniewało, że zapomniałam o ostrożności.

- Powiem ci coś. To ja zadecyduję, kiedy to nastąpi, a wtedy sama dokonam wyboru! To tak dotrzymujesz obietnicy danej czarownikowi, że traktować mnie będziesz jak siostrę?

- Nie siostrę widzę w tobie, lecz kobietę! Zapragnąłem cię od pierwszej chwili, kiedy stałaś z dumnie z podniesioną głową i patrzyłaś mi prosto w oczy. Kupiłbym cię...

- Ale nie kupiłeś. Uczynił to twój brat. Czy pozwolił ci się do mnie zbliżyć?

Zauważyłam jak brązowe oczy Julia zamieniają się w wąskie szparki.

- Mój brat, co? Może przez te wszystkie noce nie leżał beczynn timer przy twoim boku! A twoja niechęć do niego to udawanie czy zazdrość? - parsknął grubym śmiechem. - Jeśli pragniesz Lucasa, *nidee*, poczekasz sobie na niego - jak Luz! A może nie dostrzegłaś jego zachowania? Dla mojego brata wszystkie kobiety, z wyjątkiem jednej, są wyłącznie źródłem przyjemności; wykorzystuje je i rzuca. Masz bystry wzrok, może więc celowo w tym przypadku odwracasz oczy? Może nie chcesz przyznać, że Lucas kocha moją matkę!

- Chyba nie wiesz, co mówisz! - Gapiłam się w jego posepną, rozgniewaną twarz i czułam jak drętwieją mi usta.

- Nie chcesz? Powtórzę więc raz jeszcze, siostrzyczko, nieco wyraźniej. Mój brat i moja matka są kochankami.

Zaszokowana zaczerpnęłam głęboko powietrza, a Julio uśmiechnął się jadowniczo.

- Zaszokowałam cię? Niepotrzebnie. Powiadają, że Lucas jest bękartem mego ojca. Moja matka była żoną mego ojca. Teraz rozumiesz?

- Ale... przecież ona jest od niego o wiele starsza!

- Starsza, mówisz? Przecież ją widziałas. Jest piękna i wygląda młodo. W jego obecności wygląda jeszcze młodziej. Pamiętam dzień, jak przyjechali do naszego obozu. Lucasowi i mnie powiedziano, że przyjechali nasi rodzice. Rodzice! Już wtedy traktowałam mego dziadka jak ojca. Porzucili nas, a potem wrócili, szukając swych synów! Nie chciałem z nimi odjechać. Lucas był ode mnie starszy i jeszcze bardziej zdeterminowany. A potem ją zobaczył; uśmiechnęła się, przemówiła miękkim i pieszczotliwym głosem. Widziałem jego oczy, pewny byłem, że pojedzie - z jej powodu. Zrozumiałem wszystko i mój dziadek też zrozumiał. A potem nie mogli już dłużej ukrywać tego romansu przed moim ojcem... Chcesz wiedzieć, co się wydarzyło później?

Julio zaciskał boleśnie palce na moim ramieniu, ale nie zwracałam na to uwagi. Nie miałam ochoty wysłuchiwać jego opowieści, a jednak musiałam. Julio czytał z mojej twarzy, bo z zadowoleniem kiwnął głową.

- A więc jesteś ciekawa. Ja też byłem ciekawy, gdy pewnego dnia Lucas pojawił się w naszym obozie całkowicie oszołomiony. Siedziałem przed wigwamem czarownika i słuchałem, jak opowiada dziadkowi o kłótni z ojcem. „Nie mogę tam wrócić”, powiedział tak udręczonym głosem, że z trudem go rozpoznałem. Tej samej nocy przyjechała Elena, moja matka, z rozpuszczonymi na wietrze włosami, z nieprzytomną twarzą. „On nie żyje!”. Nigdy nie zapomnę jak krzyczała. „Shannon go zabił” - szlochała - „On albo jego ludzie! Jeśli żaden z was go nie pomści, zrobię to sama!”.

Julio przerwał na moment, oczekując mojej reakcji, ale ja milczałam.

- Reszty pewnie się domyślasz - szepnął. - Pomścił śmierć mego ojca, ale czy ryzykował swe życie w imię zasady „krew za krew”, czy też chciał zmazać własną winę?

Poczułam dziwne klucie w żołądku. Przypomniałam sobie zapisek w dzienniku ojca; ostatni, nad którym się zatrzymałam i postanowiłam wrócić do niego później.

Historia Edypa toczy się przed moimi oczyma - nagryzmolił drżącą ręką chorego człowieka. - Jest już za późno... za późno, by zmienić scenariusz tragedii. Czy zawsze prześladować nas będą stare zbrodnie - stare winy?

Pamiętam, jak zastanawiałam się, czy pisze o sobie. Jak mogłam cokolwiek zrozumieć, nie wiedząc nic o tej historii?

Z wysiłkiem podniosłam rękę i położyłam je na dłoniach Julio.

- Sprawiasz mi ból.

- Tyle tylko masz do powiedzenia?

Zwolnił jednak uścisk i mierzył mnie wzrokiem.

- Myliłeś się, myśląc, że odrzucam twą ofertę ze względu na skryte uczucie do twego przybranego brata. Chyba nie jestem zdolna pokochać mężczyzny na tyle, by porzucić dla niego wszystko, zostać jego niewolnicą i rodzić mu dzieci. Wolałabym wcale nie wychodzić za mąż, ale jeśli będę musiała, wybiorę człowieka, który nie będzie tego ode mnie wymagał.

Zdobyłam się na lekki uśmiech i dodałam stanowczo:

- Bądź pewien, że doceniam twoją troskę o moje przyszłe szczęście, ale kiedy zastanowisz się nad tym dokładnie, zdasz sobie sprawę, jaką byłabym nieposłuszną żoną!

Zapanowała niezręczna cisza, a ja nie byłam pewna, czy Julio zaakceptował moje słowa. Przysunął się bliżej, aż poczułam ciepło jego ciała i dotknął mego podbródka.

Nie skuliłam się ze strachu i spojrzałam w jego gniewne oczy.

- To prawda. Nigdy nie byłabyś uległą żoną. Byłby z ciebie lepszy wojownik, jak siostra Victorio, która walczy nie gorzej niż nasi młodzieńcy. - Rozciągnął usta w niechętnym uśmiechu i burknął. - Wygląda na to, że pozostaniesz moją siostrą. A ja nie jestem bratem, który ocali ci życie.

- Ocali mi życie? Co to znaczy?

Zmarszczyłam brwi. Pokiwał głową i podszedł do wielkiego glinianego garnka wypełnionego zimną wodą.

- Wyglądasz niezwykle srogo, *nidee!* Nie nauczyłaś się jeszcze okazywać szacunku

mężczyznom!

Jego gniew i niechęć przemieniły się w lekką kpinę. Zaczepnął wody i pociągnął łyk.

- Julio!

Wzruszył niedbale ramionami.

- To tylko sen mego dziadka. Ale sny czarownika nigdy nie są pozbawione znaczenia. Być może Ramon uratuje ci pewnego dnia życie i wtedy go poślubisz. Śnił mu się biały ptak ścigany przez jastrzębie, który wpadł w sieć myśliwego. Dwa jastrzębie były na tyle sprytnie, by zrozumieć, że to pułapka, i odleciały w poszukiwaniu innego żeru. Ale trzeci z nich jak strzała poszybował prosto na twarz myśliwego, oślepiając go ostrym dziobem i szponami. Biały ptak był znowu wolny i odfrunął w cieniu skrzydeł jastrzębia.

- To straszny sen! Gdybym była ptakiem, wolałabym zostać jastrzębiem niż głupią, przestraszoną gołębicą.

Ale on rzucił mi tylko ironiczne spojrzenie i odszedł cicho bez słowa. Prawdę mówiąc, scena ta wstrząsnęła mną mocno, więc odetchnęłam z ulgą, kiedy Julio opuścił kuchnię.

Zajęłam się krojeniem mięsa w drobną kostkę, ale głos Julio wciąż dźwięczał mi w uszach. - „Moja matka... mój przyrodni brat... są kochankami, może celowo odwracasz oczy?”.

A więc to była przyczyna nieszczęścia Luz i ukrytego oburzenia Julio i Ramona. Elena - główna animatorka ich egzystencji. Myślałam, że powoli ją poznaję, ale wiedziałam tylko tyle, na ile mi pozwalała. Fascynowała i sprawowała władzę. Wyglądało na to, że jedynie Tod Shannon odporny był na jej wdzięki.

Todd - jego imię zadudniło mi w uszach. Kiedy myślałam o nim po raz ostatni? Czy celowo usuwałam go z pamięci, bo bałam się wspomnień? Gdybym go posłuchała, gdybym zwróciła uwagę na ostrzeżenia Marka! Przypomniałam sobie Todda ściskającego mnie w ramionach, całującego do utraty tchu. Co ja tu robię, pośród przemocy i mrocznych intryg, których treścią można by zappełnić tomy greckiej tragedii?

Rozdział 23

W kuchni panował upał nie do zniesienia, a pot spływał mi strumykiem po pierśsiach i plecach. Niecierpliwym ruchem odgarnęłam z czoła wilgotny kosmyk włosów. Miałam spocone dłonie... i wtedy to się stało.

Nóż wysunął mi się z ręki. Wszystko, co teraz pamiętam, to ostry, przesywający ból. Nóż upadł z łoskotem na stół, a ja tęnym wzrokiem gapiłam się na moje palce jakby należały do kogoś innego; na krew tryskającą z głębokiego przecięcia dwóch z nich. Wiedziałam, że muszę coś zrobić. Nie mogłam stać tak w bezruchu i patrzeć jak krew ciecze na mięso, stół i podłogę. Przypuszczam, że to połączenie szoku i złości na własną niezgrabność sparaliżowało mnie całkowicie; obojętnie patrzyłam, jak wycieka ze mnie krew.

Nagle ktoś kopnięciem otworzył drzwi. Oszołomiona spojrzałam w tamtą stronę i ujrzałam osobę, której spodziewałam się najmniej.

- Luz? Gdzie się wszyscy podziali, u diabła?

Wchodząc, schylił się w niskim przejściu, zasłaniając strumień jasnego światła, które na moment wpadło do kuchni, oślepiając mnie swym blaskiem.

Miałam na sobie strój Luz i zanim jego oczy przyzwyczyły się do półmroku, wziął mnie za nią.

- Czasami myślę, że wszyscy tu powariowali! Gdzie jest Ramon? I co, u diabła, nagadałaś Julio, że chodzi z tak markotną miną? Musiałem zastrzelić konia - odwrócił się do garnka i, spragniony, zaczerpnął łyżką kilka łyków wody. - Oczywiście był to mój koń, więc musiałem wlec się tutaj pieszo w prażącym słońcu. A Julio... myślałem, że się zatrzyma i mnie podwiezie, ale nie. Mruknął coś ponuro i popędził przed siebie. I co się tak na mnie gapisz, na miłość boską?

A potem przez brzeg blaszanej łyżki dostrzegłam, jak otwiera ze zdumienia oczy. Rozpoznał mnie w końcu i odwrócił się w moją stronę.

- Rowena? Ty w kuchni...

Z utraty krwi dostałam zawrotu głowy. Cofnęłam się pod jego zdziwionym spojrzeniem, ale poczułam się tak słabo, że musiałam chwycić się stołu. Lepka, ciepła krew

plamiła mi fałdy spódnicy. Z gniewnym okrzykiem jednym krokiem znalazł się przy mnie.

Chwycił mój nadgarstek, a ja krzyknęłam głośno.

- Jezu Chryste! Co ty zrobiłaś? Chcesz wykrwawić się na śmierć? Jeśli nie potrafisz kroić mięsa bez odcinania sobie palców... chodź ze mną.

Pociągnął mnie za sobą przez kuchnię. Osłabiona, wpadłam na niego, kiedy się zatrzymał. Zerwał czerwoną bandanę z szyi i zanurzył w garnku z wodą, nie zważając na czystość ani higienę.

- Nie rób tego! - zaprotestowałam omdlewającym głosem, ale zignorował mnie, wycierając krew, która kapała miarowo na podłogę.

- Jezu! - zawołał, a ja skrzywiłam się nie tyle z bólu, co na dźwięk jego podniesionego głosu.

- Jak mogłaś zrobić coś tak głupiego? Skaleczyłaś palce prawie do kości. Miałaś szczęście, że ich sobie nie obcięłaś!

Z zamkniętymi oczami łatwiej zachowywałam równowagę.

- Lepiej usiądź... tutaj... nie ruszaj się.

Usłyszałam szurnięcie drewna po podłodze. Bezceremonialnie pchnął mnie na krzesło.

- Połóż głowę na kolanach - nacisnął mi szyję. - Dłonie... obie dłonie trzymaj przed sobą. Spróbuj przytrzymać lewy nadgarstek drugą ręką i na miłość boską nie spadnij z krzesła! Zaraz wrócę. Gdzie u diabła jest ta przeklęta Luz? I Ramon?

- Oni... wyjechali, by zawieźć wam lunch, a ty nie miałaś prawa wracać tak wcześnie do domu! Nigdy tego nie robisz!

- Znowu się ze mną kłócisz, a jesteś już i tak pólżywa z utraty krwi! Przysięgam, nigdy nie widziałem tak niezdarnej, głupiej i upartej kobiety jak ty!

- Och!

Próbowałam podnieść głowę, ale przycisnął ją znowu.

Zacisnęłam z bólu zęby, ale nie mogłam powstrzymać się od zwierzęcego skowytu, kiedy brutalnie przyłożył do moich zranionych palców moką chustkę.

- Krwawisz jak... - przerwał, zaklął i dodał chrapliwym głosem. - Tylko jedno mo-

że zatrzymać to krwawienie, ale przez chwilę będzie boleć jak diabli, więc jeśli chcesz zemdleć, zrób to teraz!

- Ja nigdy nie mdleję!

Nawet w moich uszach własny głos brzmiał słabo i niepewnie.

- W porządku, zaciśnij zęby.

Zanim zorientowałam się, co się dzieje, podniósł mnie i rzucił na podłogę.

- Co...

Próbowałam się podnieść, otworzyłam oczy i zobaczyłam jak stoi nade mną z rozżarzoną do czerwoności nożem.

- Zamknij się i siedź spokojnie, bo za drugim razem będzie jeszcze gorzej.

Nie miałam pojęcia, co zamierza. Chwycił mój nadgarstek, a ja wrzasnęłam, kiedy pociągnął nożem po moim udreńczonym ciele.

Nie miałam czasu, by się wyrwać. Po chwili szybko i sprawnie obwiązywał mokrą chustkę wokół moich palców.

Nie pamiętam, czy zemdlałam, czy nie.

Podniósł mnie i niósł gdzieś na rękach... pamiętam, jak próbowałam się wyrwać, jak szeptałam ze złością, że nie chcę, aby to on był tym, który...

- Co tam mruczysz, u licha? Przestań się kręcić, bo cię upuszczę, a skreconą szyję trudniej będzie wyleczyć niż dwa przecięte palce!

- Nie wiem, dlaczego tak się denerwujesz! Nie ocaliłeś mi życia! Ludzie nie umierają od krwawiącej rany...

- Co za przekłeta baba! Posłuchaj, gdybym wiedział, że zatamowanie krwotoku uratuje ci życie, pozwoliłbym ci się wykrwawić! Myślisz, że chciałbym wpaść w łapy takiej żony jak ty?

- Oczywiście, że nie! To Eleny pragniesz za żonę, prawda?

Pożałowałam własnych słów. Zaciśnął ramiona, a na policzku poczułam jego sztywne mięśnie - dlaczego z taką ufnością opierałam głowę na jego ramieniu?

- Niech to diabli! Powinienem cię zrzucić z tych schodów, zamiast targać na górę, ty złośliwa wiedźmo!

Otworzyłam oczy i zobaczyłam jego ponury, groźny wzrok. Zawsze kiedy był roz-

gniewany poruszał lekko nozdrzami, a w tym momencie pomyślałam, że spełni swą groźbę albo mnie udusi. Nie pamiętam, co jeszcze powiedziałam, co on powiedział, gdy znaleźliśmy się na piętrze, obok pokoju Eleny. Zatrzymał się i spojrzał na mnie, kiedy otworzyły się drzwi.

- Lucas?

Zdawało mi się, że słyszę twój głos. Czułam, że nie zniosę widoku jej twarzy ani jego - tego znaczącego wyrazu, kiedy na nią patrzył. Zamknęłam oczy, zagryzłam usta i udałam, że mdleję, choć z pewnością nie dał się nabrać.

- Przecięła sobie boleśnie palce. Nikogo nie było w pobliżu, musiałem wypalić ranę.

- Z pewnością zemdląca. Wielkie nieba, Lucas, kiedy cię ujrzałam, pomyślałam...

Przerwał jej w połowie, wiedząc, że wszystko słyszę i domyślam się, co ich łączy. Nienawidził mnie za to, a jego nienawiść emanowała wyraźnie ze sposobu, w jaki mnie trzymał.

- Zaprowadzę ją do sypialni, a potem opowiem ci, jak to się stało.

Zatriumfowałam, kiedy minął ją bez słowa, ale nie trwało to długo. Nie powinnam była się odzywać - jeszcze nie wtedy. Powinnam była zachować trochę zdrowego rozsądku, i nie zdradzać się głośno z myślami, bez względu na to, czy miałam rację, czy nie.

Brutalnym kopnięciem otworzył drzwi do mojego pokoju i bezlitośnie rzucił mnie na łóżko.

- Jak tylko pojawi się Luz, przyślę ją do ciebie. A ty... ty naucz się trzymać język za zębami, przestań wtrącać się do mojego życia i zadawać pytania, bo jak mi Bóg miły...

- Co? Zabijesz mnie? Sprzedasz jednemu ze swych znajomków, jak to zrobiłeś z Flo? Powiedziałam prawdę i dobrze o tym wiesz! Dlaczego się tego wstydzisz? Kochasz Elenę. Uważasz, że jestem ślepa? Myślisz, że wszyscy są ślepi, bo nikt nie ma odwagi powiedzieć głośno tego co ja?

Nie odrywał ode mnie wzroku, a jego twarz pobladła pod złotą opalenizną. Malowały się na niej nienawiść, ból - a może poczucie winy?

- Po co ja cię tu przywiozłem? - odezwał się zimnym, obojętnym głosem, jaki zapamiętałam z obozu Apaczów. - Już po pierwszym spotkaniu powinienem się domyślić,

co z ciebie za ziółko.

Próbowałam się podnieść, ale opadłam na miękką poduszkę.

- Nie masz najmniejszego pojęcia, jaka jestem i co czuję. Ale nie podoba ci się, że przejrzałam cię na wylot! Tak, masz rację, nie powinieneś mnie tu sprowadzać! Nie miałam ochoty tutaj przyjeżdżać!

- Tak, w porządku. Pamiętam.

Nagle zdałam sobie sprawę, że gapię się na zamknięte drzwi, a odgłos ich zatrzaśnięcia dźwięczał mi w uszach. Po raz drugi w życiu poczułam zniechęcenie, zdradzieckie łzy złości i zawodu spływające mi po twarzy. Ukryłam głowę w poduszce.

Staralam się zasnąć, ale ból nie dawał mi spokoju. Usłyszałam odgłos otwierających się drzwi. Do pokoju weszła na palcach Luz niosąc tacę.

- Och, Roweno! Tak mi przykro! Lucas nigdy nie był w tak złym humorze. Nawet Julio opuścił dom. Ramon chciał cię odwiedzić, ale kazałam mu poczekać, aż poczujesz się lepiej. Czy bardzo boli?

Z trudem znosiłam jej życzliwość, współczucie i troskę, z jaką zdejmowała prowizoryczny opatrunek założony przez Lucasa, by na moje spuchnięte, odrażające rany nałożyć kojące, chłodne okłady.

- Gdyby nie Lucas, mogłabyś wykrwawić się na śmierć.

Mówiła o nim z nieświadomą dumą. Musiałam poruszyć się odruchowo, bo natchmiast nakazała mi spokój.

- Te zioła zapobiegają infekcji i ukoją ból. Pozostaną blizny, ale to bez znaczenia. Jeśli nie będziesz chciała na nie patrzeć, możesz nosić rękawiczki! Koniecznie wypij ten rosół - to cię wzmocni i pomoże zasnąć. Odpocznij... Już nigdy nie zostawię cię samej w kuchni! To moja wina.

- Czy to Lucas powiedział? To nie była twoja wina. Było gorąco, a ja zachowałam się nieostrożnie... niezdarnie.

Luz zdobyła się na pogodny ton.

- Tak czy inaczej, musisz odpocząć. Wrócę niebawem, bo możesz czegoś potrzebować.

- Nie jestem inwalidką! Na miłość boską! Ja tylko skaleczyłam sobie palce! Nie ma

potrzeby, bym leżała w łóżku.

- Ale Lucas powiedział, że masz zostać w łóżku. A jeśli wstaniesz, wszyscy się na mnie rozgniewają.

- Ja rozgniewam się najbardziej!

Nie usłyszałam jak Elena weszła do sypialni. Uśmiechała się do mnie z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

- Zostań w łóżku... odpocznij. Później, jeśli pozwolą ci na to siły, możesz zejść na kolację. W tym upale nie zaszkodzi krótka sjesta.

Nie wiedziałam, czy ze mnie kpi, czy mi współczuje i to mnie rozwścieczyło.

Luz opuściła już pokój, a ja odezwałam się niewinnym, lekko zmieszanym tonem:

- Chcę się zobaczyć z Lucasem. Nie podziękowałam mu za to, co dla mnie zrobił.

Obawiam się, że byłam dla niego nieuprzejma.

Uniosła brew.

- Z Lucasem? Nie z Ramonem?

Spojrzałam jej w oczy.

- Z Lucasem. Ramona nie było przy mnie, kiedy upuściłam nóż.

- A Julio właśnie wyjechał. Nie masz pojęcia, jak się martwi. Wygląda na to, że oczarowałaś wszystkich moich synów, Roweno.

- Och, jestem pewna, że Lucas nie dał się oczarować! Nie lubi mnie i ja go nie lubię. Ale jestem mu wdzięczna i obawiam się, że nie potrafiłam tego okazać. Zadał mi ból, a ja nie wiedziałam, że to dla mojego dobra. Rozumie pani z pewnością, że czuję się niezręcznie.

Pochyliła się nade mną i dotknęła mej dłoni.

- Tak bardzo przypominasz mnie samą, kiedy byłam młodsza! Zawsze pragnęłam tego, czego nie mogłam mieć. Gdyby Guy był taki jak ty... kto wie? Wszystko potoczyłoby się inaczej! Ale jeśli chcesz zobaczyć Lucasa, poślę po niego, ryzykując gniew pozostałych synów.

- Tak bardzo jest go pani pewna, prawda?

Musiałam zadać to pytanie.

- Dlaczego nie? - uśmiechnęła się. - Chyba już wszystko rozumiesz. Ale jak już

wspomniałam, możesz wybierać. Poślubisz Julio, zostaniesz jego drugą żoną i będziesz musiała żyć jak Apacze. Wyjdiesz za Ramona, a otrzymasz męża, który da się kontrolować. Może nawet poślubisz Lucasa, kto wie? Wydaje mi się, że twoja niechęć intryguje go. Ale nawet jeśli ci się to uda, będziesz się dzielić ze mną, a ja zawsze otrzymam większą część. Nie, nie wygląda na to, że będziesz jak moja biedna, śliczna Luz - która ludzi się i czeka. Podobnie jak ja, lubisz, kiedy coś się dzieje. A teraz powiem Lucasowi, że chcesz z nim porozmawiać.

- Jak to miło, kiedy spełniane są nasze życzenia!

Zmusiłam się do uśmiechu, a ona kiwnęła potakująco głową.

Kiedy wyszła, wyciągnęłam się na plecach i zamknęłam oczy. Rwący ból dłoni ustawał powoli, a wypity rosół powodował senność.

Dlaczego tak nalegałam na rozmowę z Lucasem? Gdyby nie Elena i jej uśmiech, nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Teraz obie stałyśmy przed wyzwaniem. Nie miałam wątpliwości, że go do mnie przyśle, a ja odeślę go z powrotem w jeszcze większej nienawiści. Czyżby? Pomyślałam o szachach. Czarna królowa i biała królowa. Kto jest pionkiem? Albo królem? Szachy są grą silnych kobiet i jeśli trzeba, pójdę w zawody z Eleną.

Zapadłam w lekką drzemkę. Obudziło mnie trzaśnięcie drzwi i poderwałam się gwałtownie.

- Czy zawsze musisz robić tyle hałasu?

- Co takiego masz mi do powiedzenia, czego nie powiedziałaś wcześniej?

- Zdziwiałam mnie twoje poczucie obowiązku - mruknęłam z przesadnym bólem w głosie, a przez przymknięte powieki zauważyłam zielonkawy blask w jego oczach.

Z trudem opanowywał złość, sprawiając mi tym ogromną przyjemność.

- Elena powiedziała, że chcesz ze mną porozmawiać. Dlaczego właśnie ze mną?

- Elena powiedziała, że przyśle cię do mnie. Dlaczego? Bo czułam, że powinnam ci podziękować za przytomność umysłu. Przekonałam ją o tym i chyba mi uwierzyła. Byłam też nieuprzejma. Przepraszam.

- Dałbym się nabrać, gdyby twoje oczy mówiły to samo co słowa.

- Nie miałam pojęcia, że moje oczy są tak zdradliwe.

Lucas przeszedł zagniewany obok łóżka i stanął przy oknie.

- Jeśli chcesz uprawiać jakieś gierki, spróbuj z Ramonem. Może z Julio. To dlatego nawet Shannon je ci z ręki?

Spojrzał na mnie z pogardą, ale ja nie mrugnęłam nawet okiem.

- Dlaczego gardzisz we mnie tym, co najwyraźniej podziwiasz w swojej... Elenie?

Dostrzegł zamierzoną przerwę w zdaniu i obdarzył mnie niebezpiecznym spojrzeniem.

- Dlaczego nie powiesz wprost, co aż tak ważnego nie dawało ci spokoju?

Panował nad głosem, ale nie zdołał opanować jego chrapliwości. Najwyraźniej zbierał się do wyjścia. Postanowiłam zatrzymać go jak najdłużej. Może Elena zacznie się zastanawiać...

- Przecież ci już powiedziałam - odparłam niewinnie. - Chciałam podziękować. Byłam taka niewdzięczna, a wiem, że zrobiłeś, co trzeba. Często jestem taka niezdarna, a ty czasami potrafisz mnie zirytować!

- Bądź pewna, że mogę to samo powiedzieć o tobie! - mruknął ponuro Lucas, ale wydawało mi się, że patrzy na mnie ostrożnie, zastanawiając się, co knuję tym razem.

- Chciałam cię prosić, abyś nie gniewał się na Luz - szepnęłam. - To nie była jej wina. Nalegałam, żeby wyjechała... jest młoda i taka śliczna. To niesprawiedliwe, że spędza cały czas w kuchni jak niewolnica!

Poczerwieniał ze złości.

- Luz nie jest niewolnicą! Nikt jej tak nie traktuje. I ona tak nie uważa.

- A zatem co tu robisz? Moja pozycja jest przynajmniej zrozumiała, ale Luz? Początkowo myślałam, że jest twoją... jak to się mówi po hiszpańsku? Twoją *novia*. Kocha cię - biedactwo, nie potrafi tego ukryć. Czy zamierzasz ją poślubić, Lucasie? A może zawsze będziesz żyć, rozdarty między pożądaniem Eleny i poczuciem winy, bo była żoną twego ojca?

Wyglądał jakby go uderzył piorun. Zbladł i popatrzył na mnie oszołomiony, nie wierząc, że wypowiedziałam głośno te słowa.

- Chryste! - wydusił z siebie drżącym z gniewu głosem. - Tym razem posunęłaś się za daleko, wtrącasz się...

- Za daleko, powiadasz? Bo uczciwie wygarnęłam ci całą prawdę? Nie wydaje ci się, że to konieczne, tak jak konieczne było wypalenie moich ran? A może jesteś tchórzem, który nigdy się do tego nie przyzna?

- Uspokoisz się wreszcie? - Zrobił groźny krok w moim kierunku, lecz podciągnęłam się na łokciach i śmiało spojrzałam mu w twarz.

- Nie! Bo i po co? Zbyt często dawałeś mi do zrozumienia, co o mnie myślisz. Polubiłam Luz. Skoro ty wtrąciłeś się do mojego życia, Luke'u Cord, dlaczego nie miałabym zrobić tego samego? Oczywiście, jako twoja zatroskana siostra.

Stał nieruchomo, wbijając we mnie wzrok, bojąc się wypowiedzieć choć jedno słowo. Na jego twarzy odbijał się taki ból, frustracja i złość, że zawstydziłam się własnego postępowania. Wiedziałam już, jakiej broni użyć, odkryłam jego czułe miejsce, a jednak straciłam całkowicie ochotę do walki. Nie odrywając od niego wzroku, ciągnęłam:

- Dlaczego, Lucas? Jeśli ją kochasz, zrób coś!

- Zrobić coś, powiadasz? Ale co? - Słowa wrywały mu się z ust. - Czy myślisz, że moglibyśmy się kiedykolwiek pobrać? Że by nam na to pozwolili? Boże mój, czy ty kiedyś zrozumiesz, co to znaczy pragnąć i tęsknić za czymś, czego nigdy nie będziesz mieć?

Odwrócił się ode mnie jak ślepiec, stanął przy oknie i zacisnął palce na parapecie.

- Elena jest jak... zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Od tego momentu jest jak gorączka, choroba, z której nie mogę się wyleczyć! I nie chcę się wyleczyć. Czy to rozumiesz? Czy rozumiesz, jak do tego doszło? Początkowo myślałem, że jest naprawdę moją matką. A ja jej synem. Naturalnie kochałem ją wtedy jak matkę. Ale pewnego dnia powiedziała mi. Jesteś wystarczająco dorosły, by usłyszeć prawdę, rzekła. Nie miało to żadnego znaczenia dla mnie, dla naszego związku, bo kochała mnie bardziej niż swych własnych synów, a ja - Boże zlituj się nade mną - myślałem tylko o tym, że nie jest moją matką - że jest kobietą, której pragnę. Nic się nie liczyło, słyszysz? Marzyłem tylko, aby ją mieć dla siebie - trzymać w ramionach, całować jej usta... Czyż nie wyznała mi swej miłości? „Kocham cię bardziej niż własnego syna”, rzekła, a ja odczytałem z jej słów, to co chciałem odczytać. Ja... niech to diabli!

Odwrócił się do mnie gwałtownie, a ja zaczerpnęłam głęboko tchu.

- Dlaczego właśnie tobie to opowiadam? Dlaczego tobie? Osądzasz mnie i niena-

widzisz. Nawet cię nie lubię. Ale wiesz co? Przypominasz mi czasami Elenę. Twoje proste włosy opadające ciężko na ramiona, wyraz twarzy, kiedy jesteś zagniewana lub uparta. Ale ty masz najzimniejsze oczy na świecie; jedynie kiedy się złościś...

- To dlatego tak często wyprowadzasz mnie z równowagi? - mój głos zamienił się w mechaniczny szept, odniosłam przedziwne wrażenie, że znajduję się na granicy przerażającego odkrycia, które na zawsze odmieni moje życie.

Nie chciałam się zmieniać, nie znosiłam bezradności. Lucas podszedł do mnie, a ja nie byłam w stanie wykonać najmniejszego ruchu.

Stał nade mną zmieszany, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu, a w jego oczach było coś, co napawało mnie strachem.

- Dlaczego zmusiłaś mnie do tych wyznań? Co cię obchodzą nasze życie i nasze sekrety? Uprawiasz jakąś grę, jak szachy, w które nauczył mnie grać twój ojciec. Jeśli nawet kocham Elenę, to nie twoja sprawa. Poślub mojego brata i opuść dolinę. Zapomnij o nas. Ty nie kochasz nikogo z wyjątkiem siebie, Roweno Dangerfield!

Mówił do mnie po hiszpańsku dziwnie chrapliwym głosem, a ja odpowiedziałam mu w tym samym języku:

- Czy zabiłeś swego ojca?

Nie mogłam się powstrzymać, nie wiem nawet dlaczego zadałam to pytanie. Wzdrygnął się wyraźnie, ale udzielił mi odpowiedzi.

- Więc i ty tak myślisz? Widzisz, potrafię przyznać się do winy, kiedy trzeba. Można mówić, że zabiłem własnego ojca, ale nie tak, jak sobie wyobrażasz. Nie wystrzeżiłem do niego z pistoletu, ale to przeze mnie znalazł się tamtego dnia na terenie SD. Chcesz wiedzieć jak do tego doszło? Nie domyślasz się?

Wybuchnął krótkim śmiechem, który w niczym nie przypominał śmiechu, a jedynie stłumiony odgłos pogardy.

- Wyglądasz tak niewinnie! Głowę dam, że drżą ci usta. Dlaczego Roweno? Chcesz poznać prawdę, by mnie lepiej osądzić?

Zwinnym, szybkim ruchem znalazł się na łóżku, przycisnął mnie do poduszki i spojrzał głęboko w oczy.

- Powiem ci, ale jeśli kiedykolwiek jeszcze raz o to zapytasz, przysięgam, że cię

zabiję!

Przemawiał cichym głosem, ale jego groźny ton sparaliżował mnie całkowicie.

- Zastał nas razem. Nie, nie byliśmy w łóżku, ale całowałem ją, trzymałem w ramionach, a ona trzymała dłonie na mojej szyi. Wszedł. Nie spodziewaliśmy się go tak szybko z Meksyku, więc może powrócił celowo. Dziwię się, że był tak opanowany. Na jego miejscu zabiłbym. Podszedł do niej i uderzył ją; wtedy byłem gotowy go zabić, ale rzuciła się między nas i kazała mi wyjść. A on powiedział... powiedział „Zejdź mi z oczu zanim się zapomnę i zostaw mi moją żonę. Byłem odpowiedzialny za śmierć twojej matki i nie mam zamiaru zbrukać sobie rąk twoją krwią!“. A ona krzyczała, bym zostawił ich jak najszybciej. Chryste, byłem wtedy taki młody i nie wiedziałem, co robić! Czułem się jednak winny strasznego przestępstwa, a on miał pełne prawo mnie zabić. Żałuję, że tego nie uczynił! Kiedy tak się wahałem, uderzył mnie z pogardą jak psa - kolbą rewolweru. Nadal mam bliznę, widzisz? Pośród wielu innych ta jest kainowym znakiem.

Nie mogłam dłużej słuchać jego strasznego zrozpaczonego głosu.

- Ale odszedłeś! Nie zabiłeś go! - wykrzyknęłam, a jego palce wbiły się w moje ciało.

- Powinienem być zostać i zabić go albo zabrać ją ze sobą. Wychłostał ją batem i odjechał. Całą winę zrzucił na nią; oznajmił, że znajdzie Shannona i powie mu, gdzie się ukrywa Elena. W ten sposób wendeta zakończy się raz na zawsze. Ale ludzie Shannona dopadli go pierwsi i zabili z zasadzki, nie dając szansy obrony. Gdyby go nie zabili, nienawidziłbym go do końca życia za to, co zrobił. Ponieważ...

- Zabiłeś jego oprawców. Pomściłeś go! Nawet mój ojciec stwierdził, że była to uczciwa walka, że miałeś do niej prawo.

- Nie zabiłem ich dla niego! Zabiłem ich dla siebie. Domyśliłaś się tego na samym początku, prawda? Zastrzeliłem ich, a nie oni mnie - a twój ojciec uratował mnie przed stryczkiem. Nie powinien był. W przeciwnym razie nie byłoby ciebie tutaj.

- Chciałeś umrzeć? - szepnęłam oskarżycielsko.

- Nie wiem! Może tak. Byłem tak skołowany, że niczego już nie pamiętam. I nawet potem...

Nie dokończył. Nie musiał. Spojrzałam na jego twarz i wiedziałam, że myśli o Ele-

nie. Nie mam pojęcia, co mnie wtedy opętało; może Luz dodała coś do rosółu. Nienawidziałam Lucasa i nienawidziałam Eleny. Bo była jeszcze Flo, i Luz - i pewnie bezmiar kobiet, z którymi się zabawiał i wykorzystywał, pożądamy tylko Eleny.

Nie rozpoznałam własnego głosu.

- Być może powinieneś pomyśleć o czymś innym. O innej kobiecie, która jest równie nieosiągalna i podobnie wyrachowana.

Uniosłam zdrową rękę, dotknęłam jego włosów i przyciągnęłam jego twarz.

Nie pamiętam, co chciałam tym udowodnić. Czy pragnęłam go ukarać za wcześniejsze odrzucenie? Czy miałam zamiar dowieść, że kobiety także potrafią wykorzystać swe usta i ciała do wzbudzenia pożądania? A może rzucałam wyzwanie pewnej siebie Elenie?

Wszystko, czego pragnęłam dowieść i osiągnąć poszło w niepamięć, kiedy Lucas mnie pocałował. Nawet teraz, kiedy piszę te słowa, czuję nagły przypływ emocji, które opętały mnie, odbierając wolę.

Nie znaczy to, że nigdy wcześniej nie pocałował mnie mężczyzna, że nie wiedziałam, jak odpowiedzieć na pocałunek. Pocałunki Todda Shannona odbierały mi dech i przyprawiały o zawrót głowy. Był mężczyzną przyzwyczajonym do zwycięstw; mężczyzną, który mnie pragnął i okazywał to przed całym światem.

Ale z pocałunków Lucasa biła nieuchwytna nienawiść; nie potrafił się powstrzymać, choć przez moment wyczułam jak się instynktownie cofa. Zachowywał się jak człowiek, który znalazł się na dnie rozpaczony i nie ma dokąd pójść.

Byłam przy nim. Byłam kobietą o gorących ustach i z rozmysłem nim manipulowałam. Wiedzieliśmy o tym oboje podczas kilku pierwszych sekund, gdy przesunął dłońmi po moich ramionach i szyi, jakby chciał mnie udusić. Ale on trzymał ręce przy moich skroniach, a palce zaplótł w moje włosy. Nie mogłam uciec przed jego gniewnymi, bolesnymi pocałunkami, nawet gdybym chciała.

I wtedy zdałam sobie sprawę, że nie chcę przed nimi uciekać. Było to przerażające odkrycie, bo czułam, że przekraczam próg namiętności, o której mi się nawet nie śniło. Jakby opętał mnie demon.

Jęknęłam pod naporem jego pocałunków. Zapomniałam o bólu i bandażach, tak

starannie obwiązanych wokół mojej dłoni. Wsunęłam palce pod jego koszulę i poczułam jego nagie, rozpalone ciało. Pożądałam go i przestraszyłam się, że jestem w stanie czuć taką namiętność do mężczyzny.

Szatan jakiś nas opętał, wiem, że on był tego świadom. Przycisnął się do mnie całym ciałem, a ja poczułam gorączkę i ciężar jego żądz.

Przesuwał ustami po moich oczach i uszach. Jego szept zabrzmiał jak przekleństwo.

- *Bruja!* - mruknął. - Czarownica!

A przecież to on mnie oczarował. Nasze usta spotkały się znowu i zapadłam się w nicość.

Rozdział 24

To Lucas okazał się silniejszy ode mnie tego gorącego, prażącego słońcem popołudnia, kiedy szatan Dangerfieldów, owa „skażona krew”, kazał mi zapomnieć o wszystkim z wyjątkiem odruchów własnego ciała.

Odepchnął mnie gwałtownie, a ja westchnęłam ciężko, oszołomiona powrotem do rzeczywistości. Przez okno wpadł do pokoju chłodny śmiech Eleny. Rozmawiała z kimś na dole, ale nie słyszałam jej słów. Oddychałam głośno, gorzko zawstydzona swym zachowaniem.

Lucas wpatrywał się we mnie, ale nie widziałam wyrazu jego twarzy, gdyż stałam tyłem do okna i przesłaniałam strumień światła. Powoli uświadamiałam sobie jak wyglądam: opuchnięte i poranione od jego pocałunków usta, potargane włosy, opadająca z ramion bluzka. Musiałam przypominać kobietę opętaną pożądaniem. Nienawidziłam i siebie, i jego.

- Roweno...

W jego głosie zabrzmiała prawie przepraszająca nuta, ale byłam już zbyt rozgniewana, zbyt upokorzona, by się nad tym zastanawiać.

- I co? Widzisz jak łatwo znaleźć ukojenie w pocałunkach kobiety? Czy pomogłam ci choć przez chwilę o niej zapomnieć? - zapytałam cienkim, wymuszonym głosem.

Zacisnął usta, a ja ucieszyłam się widząc jego gniew! Bo teraz z pewnością nie zwróci uwagi na haniebne oznaki mojej słabości i namiętności.

- Lubisz drażnić się z ludźmi, prawda? - rzucił twardo z pogardą. - Gdzie się nauczyłaś tych sztuczek złośliwej dziwki? Od Shannona czy od jego bratanka? I co chciałaś tym udowodnić?

Krew napłynęła mi do twarzy, ciało miałam gorące i rozleniwione, ale zdobyłam się na uśmiech.

- Dlaczego się złościsz? Próbowałam ci tylko pomóc udowadniając, że we właściwym czasie i stosownym miejscu wszystkie kobiety są takie same. Powinieneś poślubić Luz i zadbać o jej szczęście.

- Boże wszechmocny! - wybuchnął, a jego twarz pociemniała z wściekłości. - Co z ciebie za kobieta? Czasami jesteś zimna jak lód, a jednak jest w tobie tyle ciepła.

- Dziwi cię, że kobieta potrafi także być przebiegła i sprytna jak mężczyzna? Dlaczego mężczyzn szokuje fakt, że kobieta potrafi pokonać ich w ich własnej grze?

- Niech cię diabli, ja w nic nie grałem!

Jego zrozpaczony głos wstrząsnął mną przez moment, ale nie dałam niczego po sobie poznać.

- A zatem w co się bawiłeś? Wiem, że mnie pragnąłeś, Lucasie, ale co jeszcze? Czyżbyś się we mnie zakochał? Czy chciałbyś mnie poślubić i kontrolować mój majątek? Czy tak łatwo możesz zapomnieć Elenę?

Uspokoił się. Być może się zdradziłam.

- Nie, nie potrafię o niej zapomnieć. Czy ty tego nie widzisz? Jest częścią mnie jak powietrze. Chciałaś znać prawdę, to ją masz. Elena zawsze pozostanie częścią mnie i mojego życia. Ale potrzebuję innej kobiety. Pragnę ciebie. Nie twoich przeklętych pieniędzy ani połowy SD. Czy to wystarczy? Na miłość boską, czego ty ode mnie chcesz?

- Niczego! - rzuciłam mu w twarz.

Musiałam go zranić, by chronić siebie i swoją słabość. Cord, ja nigdy nie zadowolę się taką namiastką!

- Ty nie masz pojęcia, czym jest miłość. Należysz do tego typu kobiet, które trzymają mężczyznę u swych stóp, dopóki im się nie znudzi.

- Czy Elena jest inna?

- Elena jest kobietą, na miłość boską! Cierpi. Jest wrażliwa. Nie eksperymentuje na uczuciach jak ty.

- Jesteś ślepy!

- Nie mam zamiaru cię słuchać - oznajmił twardym, stanowczym głosem. - A teraz zapamiętaj dobrze moje słowa. Od chwili przyjazdu sprawiasz same kłopoty, więc ostrzegam cię - przestań się wtrącać! Miałaś wystarczająco dużo czasu na dokonanie wyboru, możesz zdecydować teraz. Wyjdź za Ramona i wyjedź z nim albo poślub Julio i zostań jego drugą żoną.

- Czy celowo pominąłeś swoją osobę? A może zostawiłeś siebie na deser?

- Na sam koniec. Jeśli tu zostaniesz, zrobię to, co powinienem zrobić już dawno. Wezmę cię siłą. Nie oczekuj jednak ode mnie oświadczeń. Jeszcze nie spotkałem kobiety, która by mnie nie znudziła po krótkim czasie. A jak już się z tobą rozprawię, poinformuję Shannona, gdzie jesteś. Zapłaci okup, aby cię odzyskać. Dostanie cię nieco przybrudzoną i napoczętą, ale dla niego w sam raz!

Łomot zatraskiwanych drzwi poraził moje uszy. Pozbierałam się jednak, zanim pojawił się Ramon - rozgniewany i urażony.

- Roweno! Gdybyś wiedziała, jak bardzo się martwiłem! Ale matka powiedziała mi, że chcesz widzieć Lucasa, a ja...

Przemierzał nerwowo pokój. Jeszcze nigdy nie widziałam go tak poruszonego i zdenerwowanego.

- Nie wiedziałem, co myśleć! Roweno, odpowiedz mi. Pewny jestem, że dostrzegłaś moją sympatię - coś więcej - moją miłość. Powstrzymałem się przed wyznaniem ze względu na okoliczności, w jakich tu przybyłaś. Nie chciałem, abyś pomyślała... O, Boże! Nie wiem, co mówię. Postanowiłem powiedzieć ci wszystko, gdy nadejdzie czas, gdy będziesz gotowa, by mnie wysłuchać. Ale teraz... Co on ci powiedział? Co ci zrobił? Jeśli cię tknął, przysięgam, że go zabiję, brat czy nie brat!

- Nie ma potrzeby. Pokłóciliśmy się jak zwykle. Postawił mi ultimatum. Bardzo trudne. Boję się, bo jeszcze mi się nie oświadczyłeś, Ramonie. Czy masz taki zamiar?

Ramon kochał mnie, więc wszystko poszło bardzo łatwo. Postanowiłam zachowy-

wać się rozsądnie. Poślubię Ramona, jeśli trzeba, i opuszczę tę dolinę. W końcu skoro muszę już kogoś poślubić, dlaczego nie jego? Todd Shannon był zbyt wszechwładny, zbyt wyniosły. Mark nie poprosił mnie o rękę. Ramon będzie w sam raz.

Nie zaczerwieniłam się ani razu. Tamtego wieczoru przy kolacji odpowiedziałam na toast Eleny i przyjęłam posępne życzenia wszystkiego najlepszego od Julio. Lucas, jak się dowiedziałam, zabrał Luz na konną przejażdżkę.

- Najwyższy czas, by zwrócił uwagę na tę biedną istotę - odezwała się Elena, a jej delikatny głos wyrażał jedynie radość. - Jutro urządzimy uroczyste przyjęcie.

- Nie liczcie na mnie! - oświadczył cierpko Julio odstawiając krzesło. - Jutro wracam do domu i do mojego plemienia.

Ramon zaniósł mnie na rękach do sypialni, choć protestowałam, że nic mi nie jest, że skaleczyłam sobie palce, a nie stopy.

Elena zlekceważyła moje słowa. Kiedy Ramon opuścił pokój, by przynieść kolejną butelkę wina, pochyliła się z uśmiechem nad stołem.

- Nie sprzeciwiaj się temu biednemu chłopcu. Zdajesz sobie chyba sprawę, że po prostu chce cię potrzymać w ramionach? - westchnęła. - Mój Ramon jest takim dżentelmenem! Czasami zastanawiam się, czy nie popełniłam błędu, zostawiając go u ojców jezuitów, ale tak chciał mój mąż. Nie myśl sobie, że Ramon nigdy nie miał do czynienia z kobietami. On jest taki nieśmiały i delikatny tylko wobec tych, które szanuje.

- Och? - uniosłam pytająco brew, zastanawiając się, do czego zmierza. - Wydaje mi się, że wszyscy pani synowie aż nadto lubią kobiety.

- Moi synowie są mężczyznami, ale małżeństwo to co innego. Twoja uroda oczarowała Ramona od pierwszej chwili kiedy cię ujrzał. O niczym innym nie potrafił mówić. A potem, oczywiście, pozwoliłaś, aby się w tobie zakochał.

- To takie wygodne dla nas obu! - Nie mogłam opanować sarkazmu, ale moja uwaga tylko rozbawiła Elenę.

- Oczywiście! Ramon jest idealistą. Choć szanował twego ojca i znał moje życzenie, nie zgodziłby się na ślub, gdyby cię nie kochał.

- Wielkie nieba! To znaczy, że musiałabym wybierać między Julio a Lucasem? Bo moje sympatie nie miałyby żadnego znaczenia. Proszę mi powiedzieć - gdybym nie zna-

lazła się w tym pechowym dylizansie, w jaki sposób doszłoby do małżeństwa, które rzekomo zaaranżował mój ojciec?

Elena popatrzyła na mnie z ironicznym wyrzutem.

- Ależ Roweno, chyba nie wątpisz w moje słowa ani w słowa mego ojca - czarownika plemienia? Gdyby nie to zrządzenie losu, wymyślilibyśmy coś innego. Pozostawilibyśmy ci ten sam wybór. Chyba nie czujesz na sobie żadnego przymusu?

Jej ciemne oczy lśniły nieodgadnionym blaskiem, a ja zastanowiłam się, czy wie o tym przedziwnym, pełnym napięcia preludium, które nastąpiło między Lucasem a mną.

Rzuciłam jej niewyraźny uśmiech.

- Pewna jestem, że wszystkie kobiety są od czasu do czasu zmuszane do pewnych zachowań, czyż nie? Ja zawsze miałam szczęście i potrafiłam postawić na swoim.

W tym momencie wrócił Ramon i nasza intymna rozmowa nabrała ogólnego charakteru. Elena oznajmiła, że nie ma powodu, by opóźnić nasz ślub. Ramon spojrzał na mnie pytająco i nieśmiało, a ja, nie chcąc by Elena kierowała moim życiem, oświadczyłam z wyszukaną grzecznością, że o planach małżeńskich porozmawiamy później.

- Przecież dopiero się zaręczyliśmy! Oboje potrzebujemy czasu, by się do tego przyzwyczaić!

Spojrzałam na Ramona, a nie na Elenę, licząc na jego poparcie, a on zgodził się ze mną, pokraśniały z radości i dumy. Odniosłam wrażenie, że zgodzi się ze wszystkim, co powiem, jeśli tylko zrobię to taktownie.

Ramon zaniósł mnie do łóżka i pocałował delikatnie lecz stanowczo w usta.

- Roweno, proszę, uwierz mi, że nie chcę cię do niczego zmuszać. Kocham cię i przysięgam, że zawsze będę łagodny i cierpliwy, jeśli sobie tylko zażyczysz.

W swym uczuciu Ramon był szczery, otwarty i uczciwy. Wierzył, że jestem dziewczicą i dlatego uwielbiał mnie jeszcze bardziej. Subtelny i rozważny, traktował mnie jak kruche cacko - tak nie zachowywał się nawet Todd Shannon. Pomyślałam sobie, że to całkiem wygodny układ, zwłaszcza że nie miałam innego wyjścia.

Leżałam z otwartymi oczami, wpatrując się w blade światło księżyca wpadające przez okno, dotykające mojego koca i rzucające pasiaste cienie na puste łóżko Luz w drugim kącie pokoju.

Nie, powiedziałam sobie. Nie będę się zamartwiać, dokąd zabrał ją Lucas i co robią o tak późnej porze. Światło księżyca nie pozwalało mi zasnąć, podeszłam więc do okna. W pokoju Eleny paliła się lampa. Ze złośliwą satysfakcją pomyślałam, że ona zastanawia się nad tym samym. Uważałam ją za silną kobietę, ale jej nie znosiłam i nie ufałam jej za te wszystkie chytre pochlebstwa i udawaną troskę. W tym momencie poczułam lekką przewagę.

Położyłam się do łóżka, a na samą myśl o jej kazirodczym związku z Lucasem poczułam ucisk w żołądku. Oskarżałam przede wszystkim ją, ale i on nie pozostawał bez winy. Żona jego ojca... pożądał jej bezwstydnie, wykorzystując inne kobiety, a ją stawiając na piedestale. Nienawidziłam się za własne postępowanie tego popołudnia; za moją odpowiedź na jego pocałunki. Nienawidziłam go za te groźby - za „ultimatum”, które mi postawił. Namiętność - nie, dzikie pożądanie - było czymś wstrętnym i należało go unikać. To ono zniewalało mężczyzn i kobiety. Czy to przez nie moja matka znalazła się w łóżku Edgara Cardona? „Kocham go!” - powiedziała mi. - „Ty tego nigdy nie zrozumiesz”. Dlaczego nazwała to miłością? Przecież miłość była niczym innym jak dzikim pożądaniem ubranym w piękne słowa i frazesy.

Nie spałam, kiedy wróciła Luz. Na palcach, z butami w rękę wkradła się do sypialni. Nie miałam pojęcia, która jest godzina, ale księżyc stał już wysoko na niebie i nie oświetlał naszych łóżek. Usłyszałam jak pada na łóżko i zanoszą się cichym szlochem.

Rankiem dostrzegłam jej przygnębioną twarz i spuchnięte oczy.

- Luz? Wyglądasz na zmęczoną, a mnie nie boli już ręka. Zostań w łóżku, a ja pomogę przy śniadaniu, dobrze?

- Jeśli się czymś nie zajmę, to... och, jakie to ma znaczenie? Ty tego nie zrozumiesz! Wczoraj wieczorem byłam taka szczęśliwa, kiedy zaprosił mnie na przejażdżkę w świetle księżyca, a potem...

Zadrzał jej głos, wiedziałam, że powinnam ją zostawić, ale nie mogłam się powstrzymać.

- A potem...

- Potem... nic! Jechaliśmy konno, rozmawialiśmy, ale to ja jak zwykle zabierałam głos. Pocałował mnie, kiedy się zatrzymaliśmy i położyliśmy obok siebie na trawie. Po-

myślałam sobie „Teraz!”. Tym razem nie będą to tylko pocałunki, a ja pozwolę mu na wszystko, a potem weźmiemy ślub... I wiesz co? Nic! Czasami zastanawiam się, po co zabrał mnie Montoyi i przywiózł tutaj! Czasami wydaje mi się, że to ona wyssała z niego całą męskość! Ja też jestem kobietą, bardziej niż ona, ale on tego nie widzi! Przynajmniej - o, Boże, przynajmniej Jesus Montoya doceniał to we mnie!

Zaniepokoiłam się, widząc nagły rumieniec na jej policzkach i słysząc rozpaczliwą nutę w jej głosie.

- Nie wiesz, co mówisz! - wtrąciłam ostro. - Pewna jestem, że Lucas powstrzymuje się, bo darzy cię szacunkiem.

- Szacunkiem! - powtórzyła Luz histerycznym tonem. - Myślisz, że to mi wystarczy? Czy muszę na zawsze pozostać dziewicą, pragnąc mężczyzny i ciepła jego ciała? Lucas wie, że go kocham, że go pożądam! Zapomniałam o wszystkim, co mi powiedziałaś, nie mogłam pozostać obojętna na jego pocałunki, pokazałam mu, jak bardzo go pragnę, jak bardzo... i nic. To nie dlatego, że mnie szanuje, ale dlatego, że szaleje za nią. Myślisz, że nie wiem, do którego pokoju poszedł po naszym powrocie? Kiedy prowadził konie do stajni, wślizgnęłam się do jego sypialni. Zdjęłam ubranie i czekałam. O, Boże! Czekałam na niego bez najmniejszego wstydu. Pomyślałam, że kiedy mnie zobaczy, nie będzie w stanie się powstrzymać. Ale on się nie pojawił. Kiedy zmęczyło mnie oczekiwanie i ruszyłam do swojego pokoju, usłyszałam jej śmiech i jego głos dobiegające z jej sypialni!

Popatrzyłyśmy na siebie. Twarz płonęła mi z gniewu i oburzenia.

- Taki człowiek nie jest wart twojej miłości - nie warto nawet na niego splunąć! Posłuchaj Luz, kiedy poślubię Ramona i opuszczę z nim dolinę, musisz wyjechać z nami. Są jeszcze inni mężczyźni na świecie. Mężczyźni, którzy traktują kobietę jak istotę ludzką, a nie jak przedmiot.

Podeszłam do niej i objęłam ramionami.

- Obmyj oczy zimną wodą. Czy chcesz, aby zobaczył, że płakałaś? Na miłość boską, miej trochę godności! Nie zwracaj na niego uwagi. Kiedy zaprosi cię następnym razem na przejażdżkę, powiedz „nie”!

Nie wiem, ile zrozumiała z mojej gorliwej przemowy, bo w złości mówiłam po an-

gielsku, a nie po hiszpańsku. W każdym razie pozwoliła mi przemyć oczy zimną wodą i w nieco inny sposób ułożyć jej włosy. Spięłam je na czubku głowy, a długie loki spadały luźno na ramiona.

Luz, jak dziecko, natychmiast zapomniała o wszystkim, widząc swe odbicie w lustrze. Przekręcając głowę, podziwiała swój nowy wygląd.

- Och, teraz wyglądam ślicznie! Jak prawdziwa dama, och, Roweno! Czy myślisz, że teraz mnie zauważy? Nie będziesz zazdrosna, jeśli zerknie na mnie Ramon? Gdybym miała jakąś piękną suknię, jedną z tych, które Lucas przywozi jej...

Wzruszyłam rozpaczliwie ramionami, ale obiecałam coś wymyślić.

- Zostań tu.

Śmiałym krokiem ruszyłam galerią w stronę drzwi Eleny i zapukałam.

- Wejdz - poleciała zaspanym głosem, ale na mój widok uniosła brew.

- Ty? Nie powinnaś zrywać się tak wcześnie. Boże mój!

Przeciągnęła się i ziewnęła, a ja zauważyłam z niechęcią, że nawet w porannym świetle wygląda młodo i ponętnie, z długimi włosami opadającymi na ramiona. Była sama... czy naprawdę spodziewałam się go tu zastać?

- Chciałam wstać wcześniej, by pomóc Paquicie przy śniadaniu. Przypuszczam jednak, że wszyscy mężczyźni już wyjechali. Czy coś się stało, Roweno?

Niechętnie zdobyłam się na przeprosiny.

- Przykro mi, jeśli panią obudziłam. Ale pomyślałam sobie... jest pani dla mnie tak życzliwa, pozwala nosić swoje stroje. Dostałam kiedyś od pani różową suknię. Czy mogę podarować ją Luz?

Sposób, w jaki uniosła brew, mówił mi wyraźnie, że poznała się na moim fortelu, ale odezwała się głosem pobłażliwym, a nawet lekko rozbawionym.

- Ależ oczywiście, że tak! Jest twoja, rób z nią, co chcesz. To miło, że tak przejmujesz się naszą małą Luz. Pewnie myślisz, że ją zaniedbuję. Tak, rzeczywiście...

Podnosząc się na łóżku, Elena zmarszczyła z powagą czoło, udając zatroskanie, a ja odniosłam wrażenie, że nadal rywalizujemy ze sobą, jak na samym początku.

- Muszę przypomnieć memu bezmyślnemu synowi, by podczas następnej wyprawy do Santa Fe lub Meksyku kupił jej jakieś piękne kreacje. Ja mam ich tyle, że nie jestem w

stanie wszystkich nosić. Niektóre można dla niej przerobić. - Nasze oczy spotkały się i Elena obdarzyła mnie uśmiechem.

- Czy teraz masz o mnie nieco lepsze zdanie? Nie myśl, że nie lubię Luz.

- Nigdy w to nie wątpiłam - odparłam wymijająco i uśmiechnęłam się, dziękując za wspaniałomyślność.

- Jeśli czegoś potrzebujesz, wystarczy mnie poprosić. Jesteś moją córką - przerwała na moment i dodała figlarnie. - Lub raczej moją siostrzyczką. Przecież czarownik, mój ojciec, zaadoptował cię!

Rozumiałam się z Eleną Kordes doskonale, a czasami nasze słowne potyczki sprawiały mi wiele satysfakcji. Tego poranka czułam, że zachowuje się z przesadną uprzejmością - zarówno wobec mnie jak i Luz, traktując nas jak małe dziewczynki.

Zeszłam na dół, zostawiając Luz podziwiającą przed lustrem nową suknię. Już wchodziłam do kuchni, gdy z tyłu dobiegł mnie gniewny głos Lucasa, który pędził susami w moją stronę.

- Co tu robisz? Powinnaś odpoczywać.

Wyglądał na roztargnionego i gdybym nie stanęła mu na drodze, minąłby mnie obojętnie.

- Dzień dobry, Lucasie. Czy nie zamierzasz mi pogratulować? W końcu to ty wpłynąłeś na moją decyzję o poślubieniu twego brata!

Zamrugnął oczami, aby mi się lepiej przyjrzeć. Był bez koszuli, a na nogach miał indiańskie mokasyny haftowane koralikami. Wyglądał na zmęczonego i zdenerwowanego.

- Pogratulować ci? - powtórzył chrapliwym głosem moje słowa, nie wiedząc, o czym mówię; nerwowym ruchem odsunął włosy z czoła.

- Oczywiście z okazji zaręczyn z Ramonem! - powtórzyłam kpiąco. - Czy już zawsze będziesz powracał do domu tak wcześnie, Lucasie? Jeśli tak, postaram się nie wchodzić ci w drogę...

- O czym ty gadasz, do diabła? Gdzie Elena? Wygląda na to, że mamy gości...
Chciałem wszystkich ostrzec.

Wydawało mi się, że myślami błędzi gdzie indziej, choć raczył udzielić mi odpo-

wiedzi. Na jego twarzy dostrzegłam napięcie i głębokie zmarszczki wokół oczu.

- To znaczy, że ktoś tu jedzie? Ktoś z zewnątrz?
- Na nic nie licz. Nie znasz go.
- Wygląda na to, że grubiaństwo jest dla ciebie chlebem powszednim!
- A ty zadajesz cholernie dużo pytań.
- Pewna jestem, że potrafię znaleźć na wszystko odpowiedź bez twojej pomocy!
- Zaczekaj chwilkę! - Brutalnie chwycił mnie za ramię i przyciągnął do siebie. -

Słuchaj... przepraszam.

Jego głos był tak twardy jak uścisk palców na moim ramieniu, ale tym razem znie-
ruchomiałam ze zdumienia.

- Nie chciałem cię urazić. Są jednak rzeczy, których nie zrozumiesz.
- Słyszę to za każdym razem.
- Co takiego słyszysz?
- Lucas, czy znowu się kłócicie? Nie chcę się wtrącać, ale gdy usłyszałam twój
głos... coś się stało?

Lucas puścił moje ramię jak oparzony i przysiąc mogę, że zarumienił się zmieszany, gdy za jego plecami zadźwięczał rozbawiony głos Eleny.

Nie odrywałam oczu od jego twarzy. Zawsze w ten sam sposób reagował na jej widok, ale tym razem było z niej napięcie i gniew.

Być może, gdyby nie moja obecność, nie zdobyłby się na taką otwartość.

- Przybyłem, by cię poinformować, że nadjeżdża Montoya. Wysłał sygnał i Julio wyruszył mu na spotkanie.

Zapadło milczenie i przez ułamek sekundy Elena wahała się, by po chwili wybuchnąć cichym śmiechem.

- Ależ to cudownie! W końcu się spotkacie i dojdziecie do porozumienia, od dawna miałam taką nadzieję! Najwyższa pora, dobrze o tym wiesz!

- Nie bądź taka pewna! - zazgrzytał zębami Lucas.

Na chwilę zapomnieli o mojej obecności.

- Ja i Montoya - czy oczekujesz, że wszystko się ułoży i znów będziemy przyjaciółmi? Wiesz dobrze, co wydarzyło się podczas naszego ostatniego spotkania. Po co on

tu przyjeżdża? Dlaczego go zachęcasz?

Odchyliła głowę i zmrużyła oczy.

- A dlaczego nie? Tylko dlatego, że wdałeś się z nim w głupią sprzeczkę mam odwrócić się od starego przyjaciela? Przyjaciela twego ojca, czy muszę ci o tym przypominać?

- Nie, nie musisz mi o tym przypominać! - warknął dziko.

Trudno było nie zauważyć narastającego między nimi napięcia. Patrzyli na siebie jakby byli sami i to Elena pierwsza przypomniała sobie o mojej obecności.

- Lucas, proszę cię! Zdobądź się choć na odrobinę cywilizowanego zachowania! Zrób to dla mnie. Jesus ma do ciebie żal, tak i ty czujesz do niego urazę, ale to było dawno temu. Przeszło, minęło! Bywa tutaj, pogodził się z faktem, że mieszka ze mną Luz. Nigdy nie próbował jej do niczego zmuszać.

- A ciebie? Czy możesz przysiąc? Dlaczego nigdy nie zapomina o prezentach? Jak ten... - chwycił jej dłoń i uniósł w górę.

Ogromny rubin zamigotał krwistym ogniem i nie pamiętam już, która z nas westchnęła cicho.

- Lucas!

Nie wyrwała dłoni, lecz podniosła drugą rękę i pieszczotliwie, prawie z czułością dotknęła jego nagiego torsu.

- Wiesz, że Jesus Montoya jest dla mnie jak brat. Znamy się od lat, od czasu kiedy byłeś jeszcze dzieckiem! - Cichy głos nabrał surowego tonu. - Przypomnij sobie, kto podarował ci pierwszego konia? A pierwszą strzelbę? Przed tą kłótnią byliście jak ojciec i syn. Jesus był zawsze hojny dla swych przyjaciół i doskonale o tym wiesz!

Lucas wciągnął głęboko powietrze i spojrzał na nią ponuro.

- Już ty wiesz, jak przymilnym słowem ułagodzić mój gniew! Ale Montoya niech sobie zapamięta, że nie jestem już *niño* - jak mnie zwykł nazywać. Ostrzegam cię, jeśli on...

Elena odwróciła się do mnie z ironicznym śmiechem.

- Ach, Roweno! Sama widzisz, jakiego mam dzikiego syna!

Wyglądało na to, że cierpliwość Lucasa kończy się.

- Wcale nie, *mamacita!* Pod twoimi rozkazami zawsze daję się oswoić, prawda? Po raz pierwszy usłyszałam, jak nazywa ją „matką”. Otworzyła szeroko oczy na ponury sarkazm bijący z jego słów.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, Lucas położył mi dłoń na ramieniu i pociągnął za sobą.

- Czy nam wybaczysz? Rowena przypomniała mi, że nie pogratulowałem jej i Ramonowi. Mam ochotę na kieliszek wina.

Uśmiechnęła się z pobłażaniem.

- Ależ oczywiście! Poszukajcie Ramona i uczcijcie to wszyscy razem. Mam lepszy pomysł - dziś wieczorem przygotujemy *fiestę!*

Szeleszcząc suknią ruszyła do kuchennych drzwi, a Lucas puścił moje ramię, by je otworzyć. Już wcześniej dostrzegłam, że zachowywał się wobec niej wyjątkowo szarmancko - ale miała na to wyłączność.

Gdy odwrócił się do mnie, rzuciłam mu lodowate spojrzenie.

- Dlaczego nie pobiegiesz za nią, nie poprosisz o przebaczenie za te słowa małego chłopczyka? - Nie mogłam powstrzymać się przed tą jadowitą uwagą, nie ukrywałam swego oburzenia.

Zacisnął usta.

- Czy zawsze musisz wyszydząć uczucia innych? A może ta obojętna poza jest tylko przykrywką twojej słabości?

- Słabości! - krzyknęłam, nie wierząc we własny gniew. - Dlaczego ci, którzy sami są słabi, muszą dopatrywać się podobnej ułomności u innych?

- Przypuszczam, że i miłość jest dla ciebie oznaką słabości. Co z ciebie za kobieta?

- Kobieta, o którą już nie musisz się troszczyć! - odparowałam.

Staliśmy bardzo blisko siebie i mimo tych słów obawiałam się, że mnie dotknie, obawiałam się bardzo własnej słabości.

Miałam nadzieję, że zareaguje gniewem, ale popatrzył tylko zaskoczony.

- Co ci takiego uczyniłem, że tak mnie nienawidzisz, Roweno? Och, wiem, że cię rozgniewałem, ale to coś więcej, prawda?

Stał tak blisko, że mogłam dostrzec maleńkie blizny; cienkie, białe pręgi na jego

opalonym torsie. Przez moment zapragnęłam wyciągnąć dłoń i dotknąć go jak Elena, ale sama myśl przestraszyła mnie tak bardzo, że nie potrafiłam opanować drżenia głosu.

- To nieprawda... to niedorzeczne! Na miłość boską, dlaczego myślisz, że budzisz we mnie jakiegokolwiek uczucia? Potrafisz wyprowadzić mnie z równowagi, to wszystko.

Odeszłam od niego zbyt szybko; wydawało mi się, że uciekam. Nie odezwał się ani słowem.

Rozdział 25

Noc, która nadeszła, na zawsze pozostanie dla mnie „nocą *fiesty*”. Bez względu na to, gdzie mnie rzuci los i ile lat mi przybędzie, zawsze będę w stanie zamknąć oczy i przypomnieć sobie nas wszystkich w świetle ogromnego, lekko sierpowatego księżyca wyglądającego zza górskich szczytów i migocący blask maleńkich ognisk rozpalonych na polecenie Eleny. Na tyłach domu rozciągało się zacienione drzewami *patio*, otoczone z trzech stron szerokim murem. Zapalono pochodnie, dokoła rozbrzmiewała muzyka. Nadszedł czas zabawy.

- Będziesz musiała przyzwyczać się do naszego hiszpańskiego stylu życia, Roweno - drażnił się ze mną Ramon, kiedy zaprotestowałam przeciw tak hucznemu celebrowaniu naszych zaręczyn. - Każdy pretekst jest dobry, by przygotować *fiestę*; by weselić się i być szczęśliwym. Dzisiejszej nocy będziemy szczęśliwi.

Luz doczekała się wreszcie okazji, by włożyć nową suknię i olśnić wszystkich swą wymyślną fryzurą. Elena podarowała jej sznur pereł, które lśniły na opalonej skórze. Ja miałam na sobie białą suknię - jak panna młoda, jak dziewczica, pomyślałam szydząc z własnego odbicia w lustrze. Prosta suknia, w której będę wyglądać młodo i niewinnie. Elena zaoferowała mi swoją biżuterię, ale odmówiłam; w ostatniej minucie rozpuściłam włosy. Dlaczego nie? Musiałam odegrać swoją rolę; odegram ją do samego końca. Elena zrozumie moje intencje!

Zeszłam na dół jako ostatnia, gdyż pomagałam Luz włożyć suknię i upiąć jej włosy w wymyślny kok. Za oknem ktoś grał na gitarze rzewną hiszpańską melodię. Z kuchni dolatywał aromat pikantnych potraw szykowanych przez Paquitę. Przez szeroko otwarte

drzwi do pokoju wpadały strzępy rozmów, czyjś śmiech.

Ramon czekał na mnie przy schodach. Prezentował się niezwykle elegancko w czarnym *charro* i białej koszuli z żabotem, kontrastującej z jego oliwkową cerą. Oczy błyszczały mu z pożądania, kiedy chwycił mnie za ręce i przyciągnął do siebie, całując lekko w usta.

- Wyglądasz prześlicznie! Jak księżniczka. Ilekroć na ciebie patrzę, Roweno, nie mogę uwierzyć w swe szczęście!

Wyszliśmy na zewnątrz, by zanurzyć się w potoku komplementów. Czułam, że wynikają one ze zwykłej uprzejmości, bo z trzech kobiet tam obecnych wyglądałam najskromniej. Luz promieniała, a stojący obok niej Lucas przybrał posępny wyraz twarzy. Docenił jednak tę uroczystość i przebrał się w rozpiętą pod szyją, czerwoną koszulę z jedwabiu, z szerokimi rękawami. Przypomniałam sobie wyraźnie skrawek czerwonej materii, będący sygnałem dla Flo Jeffords, i na moment uśmiech zniknął z mojej twarzy. Nie podniósł się na powitanie, ale lekko zmrużył oczy i skrzywił usta, dając mi do zrozumienia, że nie da się nabrać na mój przesadnie skromny strój.

- A więc i Rowena jest już z nami!

Elena, w jedwabno-aksamitnej sukni z trenera przylegającej do ciała, z której dumna byłaby każda hrabina, ruszyła mi na spotkanie. Powitała mnie oficjalnie, traktując jak nieśmiałego gościa.

Ramon cofnął się, kiedy chwyciła mnie pod ramię i pociągnęła za sobą.

- To jest Rowena, która wkrótce zostanie moją córką. Jesus, czyż nie jest tak piękna, jak mówiłam?

A zatem wysoki, szczupły mężczyzna, który odłożył gitarę, by się ze mną przywitać, to Jesus Montoya. *Comanchero*. To z nim Lucas walczył o Luz. Przypomniałam sobie wszystko o tych *comancheros* i kiedy podniosłam ostrożnie wzrok, dostrzegłam jego drwiący uśmiech. Z prawdziwie hiszpańską galanterią pochylił się nad moją dłoń i powiedział po hiszpańsku:

- Wiele o tobie słyszałem i nie rozczarowałem się. Muszę przyznać, że Ramon jest prawdziwym szczęściarzem!

Wyprostował się i wtedy zobaczyłam jego czarne oczy. Pasemka siwizny we wło-

sach i wąsach dodawały mu tylko uroku. Nie był ani tak stary, jak to sobie wyobrażałam, ani okrutny. A jednak czułam na sobie jego badawcze spojrzenie i coś mi podpowiadało, że muszę być z nim niezwykle ostrożna.

Uśmiechnęłam się do niego z udawaną otwartością.

- Jest pan urodzonym pochlebcą, señor! Ale która kobieta nie lubi komplementów?

- Przy twojej urodzie, señorita, trzeba być prawdziwym koneserem. Mam nadzieję, że później przyjdzie czas na pochlebstwa. Oczywiście, za pozwoleniem Ramona!

- Och, ale Rowena świata nie widzi poza Ramonem! Mogła wybierać spośród moich trzech synów, ale dwóch pozostałych odrzuciła już na samym początku, prawda?

Głos Eleny był równie beztroski jak mój, a ja zaśmiałam się cicho.

- Ach, musi pani jednak przyznać, że wybór nie był trudny! Pozostali dwaj synowie są już zajęci, tylko Ramon był tak uprzejmy, że się we mnie zakochał!

Zastanowiłam się, czy wytrzymamy ten wieczór wypełniony jedynie pięknymi, nieszczerymi słowami.

Ramon odprowadził mnie na bok, a pozostali *vaqueros* kiwali z uśmiechem głowami i życzyli nam szczęścia. Montoya przywiózł ze sobą jeszcze jednego człowieka - starszego mężczyznę o śniadej cerze i płaskiej twarzy, który gapił się na mnie bez wyrazu. Montoya rzucił mu ze śmiechem gitarę. Mężczyzna zaczął grać i po chwili wszyscy zapomnieli, jak wygląda.

- To Chato - szepnął Ramon. - Najlepszy gitarzysta jakiego znam. I jeszcze lepszy strzelec.

- Mam nadzieję, że nie będzie nam demonstrował tej umiejętności! - odszepnęłam złośliwie.

Coś nie dawało mi spokoju - zwłaszcza, kiedy dostrzegłam Elenę chwytającą Lucasa pod ramię, przepraszającą z uśmiechem Luz. Ramon porwał mnie do szybkiego tańca, którego początkowo nie potrafiłam opanować. Wkrótce potem Jesus Montoya podszedł do Luz siedzącej na niskim murku i skłonił się przed nią z wyraźną przesadą. Spodziewałam się, że się od niego odwróci, ale ona uśmiechnęła się słysząc jego słowa i wyraźną radością chwyciła go pod ramię.

Zerknęłam na Lucasa, który przybrał ponury wyraz twarzy. Pochylił głowę i wdał

się w cichą sprzeczkę z wciąż uśmiechniętą Eleną. Popatrzyłam na Ramona.

- Czy możemy spodziewać się kłopotów? Luz tańczy tak bez troski z señorem Montoyą, a ja myślałam, że jeszcze nie tak dawno temu ratowano ją przed nim!

Uspokajająco ścisnął moje palce.

- Nie martw się, *querida*! Nie widzisz, że moja matka nad wszystkim panuje? Myślę, że Luz korzysta z twojej rady, wzbudzając zazdrość mego brata. To mu dobrze zrobi. A Montoya... cóż - wzruszył zabawnie ramionami. - Tylko on jeden zna własne myśli! Ale nawet on szanuje moją matkę na tyle, by nie wszczynać żadnej bójki.

Pewnie ma rację. Na pozór wszystko wyglądało tak niewinnie! Nawet Lucas, mimo posępnej miny, zachowywał się przyzwoicie i kiedy tańczył z Luz, nie zauważyłam niczego, co trąciłoby zazdrością lub gniewem. Byliśmy wzorem dobrych manier... nie mogłam uwierzyć, że dzieje się to właśnie tutaj, że nie jest to zwyczajny wieczór. Brakowało mi Julio. On przynajmniej był uczciwy, zarówno w swych uczuciach, jak i w swoim postępowaniu. Ramon powiedział mi, że Julio opuścił dolinę po rozmowie z Jesusem Montoyą. Będąc prawdziwym Apaczem, nie dbał o formalne pożegnania. A jednak zastanowiło mnie, dlaczego wyjechał tak niespodziewanie. Nie było to jedyne pytanie, na które nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi.

Kiedy Jesus Montoya poprosił mnie wreszcie do tańca, moje wątpliwości rozwiały się.

Tańczyłam już po kolei ze wszystkimi *vaqueros*, którzy traktowali mnie jak kruchy przedmiot, godny największego szacunku. Wypiłam trzy kieliszki wina - o wiele za szybko. Wznoszono toasty na cześć moją i Ramona, a ja miałam nadzieję, że moje zaczerwienione policzki zostaną przypisane płasom.

- Nadeszła moja kolej. Czy zatańczysz ze mną, señorito Roweno?

Zachowywał się bardzo oficjalnie, więc i ja dygnęłam przed nim jak kazał obyczaj, wyrażając zgodę.

- Będzie mnie pan musiał prowadzić. Dopiero uczę się tych kroków.

Uniósł brew.

- Czy mam poprosić Chato, by zagrał walca? Tak, on potrafi nawet to. Słyszałaś już, jak gitara ożywia się pod jego palcami.

Tak więc tańczyłam walca na otwartym powietrzu, pod złotym księżycem, przy akompaniamencie gitary. Ale to mi wystarczyło. Jesus Montoya był wyśmienitym tancerzem. Nigdy nie miałam lepszego partnera.

- Jak lekko unosisz się na palcach! - zamruczał.

- Jak zręcznie pan dobiera pochlebstwa.

Uśmiechnął się zadowolony, ukazując białe zęby.

- A więc to ty jesteś córką Guya Dangerfielda i wychodzisz za Ramona. Tak życzył sobie twój ojciec.

- Pan również go znał?

- Niestety, niezbyt dobrze. Ale spotkaliśmy się. Masz jego oczy. Ale reszta... być może ktoś ci już to powiedział, ale przypominasz mi Elenę. Wydaje mi się, że jesteś silną kobietą, a nie uroczą, niewinną istotą, jaką udajesz. Czy cię uraziłem?

- Dlaczego prawdomówność miałaby mnie urazić?

- Ciekawe pytanie. Ale wiesz pewnie, że uraża wiele osób. Powiem ci coś więcej, bo jesteś kobietą, która ceni otwartość; jesteś jednym z powodów mojego przyjazdu.

Odchyliłam głowę i popatrzyłam na niego.

- Nie miałam pojęcia, że wieści docierają tak daleko, szczególnie z tak odludnego miejsca.

- Mam swoje sposoby zdobywania informacji. Zważ mnie *comanchero*. Czytam w twoich oczach, że próbujesz ukryć fakt, iż o nas słyszałaś. I z pewnością nic dobrego. Lecz nie chcę, abyś myślała, że unikam prawdy. Widzisz, byłem ciekawy. Oto pojawia się młoda Angielka, która dopiero przybyła do tego kraju. Można by oczekiwać... Czego? Nie tego, co zobaczyłem. Kobieta, która przeżyła porwanie przez Apaczów. Kobieta, która podbiła serce samego Todda Shannona. Czy wiesz, że obiecał ogromną nagrodę za jakąkolwiek informację o miejscu twojego pobytu?

Pytanie to było niespodziewane, ale nie dałam po sobie poznać zaskoczenia.

- Czy zamierza ją pan zdobyć?

Parsknął śmiechem, ale jego śmiech był dziwnie cichy, prawie bezgłośny.

- Co byś powiedziała, gdyby tak było? Wychodzisz za Ramona Kordesa, a nie za Todda Shannona. Szczerze mówiąc, nie darzę zbytnią sympatią twego poprzedniego na-

rzeczonego ani takich jak on! Może mi nie uwierzysz, ale obowiązuje mnie pewna lojalność wobec przyjaciół. Sama więc odpowiedz sobie na to pytanie, señorita, i dorzuć jedno ode mnie. Czy chcesz, aby cię ktoś oswobodził?

Popatrzył na mnie czarnymi jak węgiel oczami, ale ja nie potrafiłam mu dać żadnej odpowiedzi. Nie chciałam też uciekać się do podstępu.

- Nie jestem pewna. Mam też wątpliwości co do pana prawdziwych motywów. Czy rzeczywiście przybył pan, by się upewnić o mojej tu obecności? A może chodzi o uregulowanie starych długów?

Wzmocnił nieznacznie uścisk na mojej talii.

- Jesteś przebiegłą kobietą, Roweno Dangerfield. Odpowiadasz pytaniem na pytanie. Niczym się nie zdradasz. Chcesz, abym się przyznał do... Pewnie usłyszałaś już całą historię i w uznaniu twojej inteligencji nie będę kłamał. Tak, wiele było powodów mego przyjazdu. Być może zanim moja wizyta dobiegnie końca, oboje znajdziemy odpowiedzi na nasze pytania.

Wydawało mi się, że tego wieczoru uzyskałam odpowiedzi na wszystkie moje pytania. Gotowa byłam polubić Jesusa Montoyę za jego szczerość. Był mądrym mężczyzną. Tańczył ze mną i zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen. Tańczył z Eleną i widziałam jak skłania ku niej głowę z lekko drwiącym uśmiechem. Zatańczył też z Luz, traktując ją niemal po ojcowsku. Skrzętnie notowałam w pamięci wszystkie wydarzenia.

Podano kolację - pikantną pieczeń wołową i zawsze tu obecną fasolę. Gorące tortille i chilli, a nawet przepyszna sałatka z owoców avocado. Nie brakowało wina i tequili dla amatorów mocniejszych trunków. Zachęcona przez Ramona spróbowałam łyk, ale pozbawiony wszelkiego smaku trunek omal nie przepalił mi żołądka. Lucas nie podszedł do mnie ani razu; nie zamieniłam z nim ani jednego słowa.

Po kolacji poprosił mnie do tańca, potem zatańczyłam z Jesusem Montoyą. Wino dodało mi animuszu, więc zapytałam śmiało:

- Czy pan i Lucas pogodziliście się w końcu?

Uśmiechnął się do mnie rozbawiony, ale wykrzywił usta pod sumiastymi wąsami.

- Czy jesteśmy wrogami? To kobieta zawsze rozdziela mężczyzn. Ale kobiety odchodzą i przychodzą, *si*? Ojciec Luz był moim starym przyjacielem. Pożądałem jej, dla-

czego miałbym kłamać? Rozmawiałem z nim, kiedy leżał na łożu śmierci, wiedział, że jej pragnę. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie pojawił się Lucas. Młody, tak... uważała, że jest tak młody! Młody, twardy i zuchwały. Spojrzała na niego, on popatrzył na nią i wkrótce stało się jasne, że dziewczyna potrzebuje obrońcy i to on okazał się tym jedynym. Poza tym musiał mi coś udowodnić - mianowicie swą męskość. To jeszcze były czasy, kiedy jako chłopiec napadł z nami na pewną wioskę w Meksyku. Szokuje cię to? Słyszałaś przecież o *comancheros*, że jesteśmy gorsi od bandytów, gorsi od naszych braci Apaczów, których tak boją się Anglicy. Była tam pewna kobieta, można nawet powiedzieć dziewczyna. Znalazł ją Lucas, którego traktowałem wtedy jak własnego syna. Nie miał pojęcia, co z nią zrobić. Bawił się z nią w kotka i myszkę. Myślała, że ją zgwałci... czy cię zgorszyłem? Nie wiedział, jak się do niej zabrać, więc ja... ja zabrałem ją dla siebie. „Kiedy okażesz się na tyle mężczyzną, by walczyć o kobietę, której obaj pragniemy i zwyciężysz, wtedy przyznam ci wojenne trofeum, *niño*” - tak mu powiedziałem. Minał jakiś czas i walczyliśmy znowu, tym razem o Luz. Pokonał mnie. Dziwi cię to? Ja też byłem zaskoczony. Gotów byłem go zabić, ale on zna tajniki wschodnich walk. Czy widziałaś jak walczy? Nauczył się tego w więzieniu i od Chińczyków z którymi pracował przy budowie kolei w Kansas i Utah. Nie stosuje tych chwytów zbyt często, twierdzi, że to sekret. Złożył przyrzeczenie, że wykorzysta swe umiejętności tylko w samoobronie. Byłem wściekły podczas naszej walki, miałem przy sobie nóż, a on tylko potrzebował wymówki. Może się zdziwisz, ale ja też jestem człowiekiem honoru. „Jesteś mi winien kobietę, Montoya” - krzyknął, i to była prawda. Pozostawił mnie nieprzytomnego na piachu, a mógł mnie przecież zabić. Zabrał ze sobą Luz i odjechał. Przywiózł ją tutaj. Myślałem, że ją poślubi. Gdyby to uczynił, łatwiej bym mu przebaczył!

- A więc nie wybaczył mu pan, prawda? - szepnęłam.

Jego pełna namiętności opowieść zaintrygowała mnie, ciekawa byłam, jakie jeszcze tajemnice kryje to miejsce.

- A co z Eleną? - zastanowiłam się głośno i dostrzegłam wykrzywione w uśmiechu usta Montoyi.

- Ach, więc i ty to zauważyłaś? Elena jest jak odległa gwiazda, bogini, do której

wzdychają wszyscy mężczyźni. Zawsze jej pożądałem, nawet kiedy była żoną mego najbliższego przyjaciela. Nawet później, kiedy dowiedziałem się, co go zabiło. A teraz... sam nie wiem. Może to już nawyk. Jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi, a przez te minione lata zaczęliśmy się lepiej rozumieć. Podziwiam Elenę. Szanuję ją, jak nie szanowałem żadnej innej kobiety. Już nic ze mnie nie wyciągniesz! I tak powiedziałem zbyt dużo. Sam nie wiem dlaczego.

Spojrzał na mnie z powagą. W tym momencie ucichła muzyka. Chaco chwycił butelkę tequili i pociągnął z niej łapczywie kilka łyków.

Kiedy wrócił do swej gitary, a jeden z *vaqueros* zawtórował mu na harmonijce, zauważyłam, że to Lucas trzyma mnie w ramionach, a Elena śmiejąc się, tańczy z Jesusem Montoyą.

Nie jestem pewna, jak do tego doszło. Dostrzegłam tylko Luz w tańcu z Ramonem, a potem poczułam nagle, że sztywnieje mi kręgosłup, potykam się niezręcznie w takt muzyki. Lucas zaprowadził mnie w kąt *patio*, chwycił w talii i posadził na murku.

Nie było czasu na kłótnie ani na protesty. Nie widziałam jego twarzy skrytej przed światłem księżyca, tylko złotawy blask włosów. Stał naprzeciwko, wciąż trzymając mnie w pasie.

- Wiesz, jak zmuszać mężczyzn do wyznań, samej nie okazując najmniejszych uczuć, prawda, Roweno?

Wybuchnęłam z furją.

- Nie masz prawa mnie przesłuchiwać...

Przerwał mi chrapliwym głosem.

- Kiedy przestaniesz wreszcie uprawiać tę grę? I to nie tylko ze mną! Nie przyprowadziłem cię tutaj, by wdawać się w kolejną kłótnię, ale by cię o coś prosić! Wiem, co o mnie myślisz, może na to zasługuję, ale przynajmniej jestem szczery, Roweno! I ciebie proszę o to samo.

Z trudem złapałam powietrze i odezwałam się lodowato.

- Nie rozumiem cię, Lucasie Cord. Najpierw mnie atakujesz, a chwilę potem oczekujesz ode mnie szczerych odpowiedzi. Odpowiedzi na co? I dlaczego ode mnie?

Uspokoił się, a ja wzdrygnęłam się, czując jak zaciska dłonie na moich biodrach.

- Ty i Montoya. Widziałem jak długo z tobą rozmawiał, obserwowałem twoją twarz. Powiedział ci, prawda?

- Co miał mi powiedzieć? A może to ciebie gnębią wyrzuty sumienia? Jeszcze jeden przykład twojej gruboskórności... twojego egoizmu! Luz cię nie interesowała, ale zabrałaś ją człowiekowi, który gotów był ją poślubić i ściągnął do tego więzienia! W jakim celu? Czy ją poślubisz? Jak długo musi czekać, znosząc twoje wyjazdy i powroty? Czy masz w sobie jakieś inne uczucia, prócz niezdrowej namiętności do Eleny i nienawiści do Todda Shannona? Traktujesz wszystkich wokół jak nic nieznaczące pionki! Przywiozłaś mnie tutaj realizując własne cele - bo byłam narzeczoną Todda Shannona, bo ojciec zostawił mi w spadku fortunę. Gdybym nie zaręczyła się z Ramonem, co byś uczynił? Zatrzymał tu na zawsze jako niewolnicę? Sprzedał za granicą? A może byś mnie zabił, tak jak próbowałaś zabić Elmera Bragga? - zakończyłam drżącym głosem.

Nie miałam zamiaru tego powiedzieć, ale nagle coś, co tłumiłam w sobie wybuchło niespodziewanie i nie potrafiłam się opanować. Poprosił mnie o szczerość, więc byłam z nim szczerą.

Opuścił ręce, przychylił głowę i badawczo studiował moją twarz. Wciągnął głęboko powietrze, a ja przygotowałam się na gniewną tyradę, która wisiała w powietrzu. Z trudem tłumiłam złość, a znając jego temperament powinnam była drżeć ze strachu. A jednak w mojej głowie kłębiły mi się sprzeczne uczucia i nawet gdyby mnie uderzył, uznałabym to za wyzwolenie spod straszliwego napięcia, które zawisło między nami.

Jednak tej nocy Lucas lepiej ode mnie potrafił panować nad swymi emocjami.

- A więc nie mamy sobie nic do powiedzenia? Chodź, zaprowadzę cię do Ramona - zaproponował bezbarwnym głosem i wyciągnął rękę.

Nie dotknęłam jej nawet... nie mogłam.

- Dam sobie radę! - rzuciłam dziecinnym tonem, wciąż obawiając się drżenia głosu.

Drżały mi ręce i kiedy zeskakiwałam z murku, zaczepiłam suknią o jakąś wypukłość. Całą winę zvaliłam na poranione palce, które piekły mnie niemiłosiernie, oraz na błędną ocenę wysokości murku. Być może wypiłam za dużo wina. Poczułam, że padam głową w dół, a wtedy chwycił mnie w ramiona. Trzymał mnie przy sobie zbyt blisko, zbyt mocno. Wcisnęłam twarz w jego ramię i nie miałam siły, by zdobyć się choć na je-

den ruch.

Nie chciałam się ruszyć. Ciężko chwytałam powietrze, kręciło mi się w głowie. Przytuliłam się do niego jeszcze mocniej i co gorsza wiedziałam, że jeśli zwolni uścisk, upadnę.

Czasami pewne działania wydają się naturalne i nieuchronne. Trzymając mnie w objęciach, Lucas przesunął dłonią po moich włosach i niemal brutalnie odchylił mi głowę. Wiedział, co odczytałam z jego twarzy: zdumienie. Gorzki gniew.

I głód. A potem pocałował mnie, gwałtownie i namiętnie; eksplozja pożądania zaskoczyła nas oboje.

Oparłam się o ścianę i przylgnęłam do jego ciała z bezwstydną żarliwością, której nigdy nie znałam. Nie mogłam już dalej ukrywać mojego pragnienia; potrzebowałam go jak powietrza. Obsypał mnie pocałunkami, ale to za mało. Z namiętnością, której się nigdyś nauczyłam, a która teraz pojawiła się naturalnie i bez zahamowań, wsunęłam obie ręce pod jego koszulę; przycisnęłam dłonie do jego skóry, czując mięśnie pleców.

Oderwał usta od moich ust. Krzyknęłam coś i otworzyłam szeroko oczy. Zauważyłam, że oddycha nierówno; nie miałam pojęcia, dlaczego przestał mnie całować.

- Lucas...

- Nie, na miłość boską! Co chcesz udowodnić tym razem? Że jestem rozpustnym, podłym draniem? Że nie potrafię oprzeć się żadnej kobiecie, która wpada mi w ramiona i tuli się do mnie swym miękkim ciałem, nawet jeśli jest żoną mego ojca czy narzeczoną mego brata?

Smagał mnie słowami jak batem. Czułam jak krew odpływa mi z twarzy, a potem napływa znowu rozpalając moje policzki. Po raz drugi porwał mnie w ramiona, pocałował, zmusił do uległości, pokonując mnie własną bronią. Gdybym miała przy sobie broń, zabiłabym go na miejscu.

- Czy tak samo było z Eleną? - spytałam zdziwiona, i ze złością przeorałam jego plecy paznokciami, żałując, że to nie noże.

Poczułam... o, Boże, poczułam jak ze zdartej skóry wypływa ciepła, lepka krew. Krzyknął z bólu i zaskoczenia, chwycił mnie za ramiona i pchnął z całej siły na murek, omal nie łamiąc mi kręgosłupa.

Przysunął blisko twarz, ale tym razem nie zamknęłam oczu. Spojrzałam na niego śmiałym wzrokiem; miał czarne, błyszczące oczy; oczy Apacza. Raz jeszcze wbiłam w niego paznokcie, a on wymierzył mi mocny policzek. Zanim krzyknęłam, pochylił się nade mną i zatopił w pocałunkach. Całował mnie tak mocno, tak boleśnie, że nie mogłam chwycić powietrza. Nigdy nie zapomnę smaku jego ust.

Odpychałam się od niego pięściami, słysząc swe bezradne kwilenie.

- Czy tylko tak można cię uciszyć? - szepnął w moje poranione, półotwarte usta i przesunął dłonie na piersi. - Bez względu na to, jaki jestem, bez względu na to, jaka ty jesteś, nie mogę opanować swego pożądania.

Uderzyłam go w twarz z całej siły.

- A ja pogardzam tobą! Jesteś zwykłym zwierzęciem!

Zabolęła mnie dłoń i jęknęłam, ale miałam satysfakcję, że go zraniłam. Na jego policzku pojawiła się sina pręga. Pocierał ją machinalnie, nie odrywając ode mnie wzroku.

- Niech to licho, jesteś pierwszą kobietą, która mnie tak mocno walnęła - szepnął zdumiony.

- Pewna jestem, że tym razem na to zasłużyłeś.

Odetchnęłam głęboko i przyłożyłam bolącą dłoń do ust. Kiedy pojawił się Ramon? Jak długo stał niezauważony?

- Trzeba było wybrać bardziej odludne miejsce na zaloty względem mojej *novia*... braciszku!

Beztroski zazwyczaj i miły głos Ramona brzmiał niezwykle surowo. Jego przy-mrużone oczy nabrały lodowatego blasku.

Czułam się zawstydzona i upokorzona, ale on musnął mnie tylko nieodgadnionym wzrokiem i skoncentrował swą uwagę na Lucasie, który odwrócił się do niego powoli.

- I co? Masz chyba coś na usprawiedliwienie. Zazwyczaj nie brakuje ci wymówek. Badałeś jej prawdziwe uczucia do mnie? A może chcesz, bym ci uwierzył, że to ona rzucała się na ciebie wabiąc obietnicą rozkoszy? No, przyznać musisz, że jestem cierpliwy! Inny na moim miejscu zastrzeliłby cię bez słowa.

W tym momencie zdałam sobie sprawę z otaczającej nas ciszy. Zamilkły dźwięki muzyki. Do tego odosobnionego, ciemnego zakątka z trudem docierało światło pochodni.

Widziałam jak Ramon niedbałym ruchem wyciąga rewolwer, który zwisał mu u pasa.

Otworzyłam usta, ale z zaschniętego gardła nie potrafiłam wydobyć ani jednego dźwięku.

- Nie mam nic do powiedzenia. Żadnych wyjaśnień - odezwał się cichym głosem Lucas.

- Uważasz, że to mnie zadowala?

Kurek rewolweru trzasnął ponownie. Czułam się jak w pułapce sennego koszmaru.

- Wygląda na to, że zadowoli cię jedynie pociągnięcie za cyngiel, Ramonie. Pośpiesz się, zanim ogarną cię wyrzuty sumienia!

Nawet w szoku potrafiłam rozpoznać w głosie Lucasa Corda spokojną, lecz rozmyślnie szyderczą nutę.

Kiedy tak stali naprzeciwko siebie - Ramon z rewolwerem w dłoni i z ponurą twarzą, Lucas w niedbałej pozie z opuszczonymi rękami, pomyślałam w tej krótkiej chwili, że są mężczyźni, którzy świadomie igrają ze śmiercią, a Lucas jest jednym z nich. Ramon również zdawał sobie z tego sprawę, a jego wyrazista twarz wykrzywiła się w gorzkim grymasie.

- Chciałbyś, żebym cię zastrzelił i przez resztę mych dni żył z poczuciem winy. Ale nie ułatwię ci zadania. Gdzie jest twój rewolwer?

- Nie mam go przy sobie. I jeśli chodzi o mnie, nie zamierzam się z tobą pojedynkować, Ramonie. Na miłość boską! - zniecierpliwił się, mrużąc oczy. - Czy musimy odgrywać tu ten idiotyczny dramat? Pocałowałem Rowenę, a ona uderzyła mnie w twarz. Więc... jeśli czujesz, że musisz mnie za to zastrzelić, zrób to teraz, bo mam zamiar opuścić to miejsce.

- Czy muszę ci przypominać, że nie masz już do czynienia z małym braciszkiem, ale z mężczyzną, którego obraziłeś? Widziałem, jak uderzyłeś moją *novia* i gdybym był wtedy bliżej, leżałbyś już trupem!

Nawet w mroku widziałam twarz Ramona i szepnęłam nieśmiało:

- Ramon, nie!

Lucas uniósł drwiąco brew i ruszył przed siebie, w stronę Ramona. Prawdopodobnie chciał mu zabrać rewolwer, prawdopodobnie nie wierzył, że Ramon - ten opanowany

dżentelmen, wychowany przez jezuitów - rzeczywiście wystrzeli.

Rewolwer wypalił z oślepiającym błyskiem. Krzyknęłam, czując w nozdrzach gorzki zapach prochu. To dziwne, z jaką łatwością pamięta się szczegóły, kiedy samo wspomnienie przemocy wywołuje strach lub ból.

Pamiętam, jak oparłam się o ścianę, z trudem trzymając się na nogach. Pamiętam ciepło chropowatych cegieł pod lodowatymi dłońmi.

Ramon cofnął się, zrobił jeszcze jeden krok w tył, nie opuszczając broni. Lucas potknął się, ale stanął nieruchomo wpatrując się w Ramona. Wolnym ruchem dotknął prawego ramienia i spojrzał na swe lepkie od krwi palce. Odwrócił wzrok na Ramona i stwierdził roztargnionym głosem:

- Albo jesteś kiepskim strzelcem, *hermano*, albo doskonałym. Zraniłeś mnie. Czy twój honor został uratowany?

- Mglście masz pojęcie o honorze, jeśli tak myślisz! A teraz... czy wyciągniesz wreszcie nóż, który chowasz w bucie, czy będziesz stał jak tchórz i pozwolisz mi udowodnić, że nie jestem strzelcem gorszym od ciebie.

- A więc przyszła kolej na noże? - prychnął z pogardą Lucas. - Ramon, robisz z siebie głupca! Czy ty tego nie widzisz?

Rewolwer huknął ponownie. Tym razem kula przeszła udo; krew kapiała po nogawce, zostawiając, ciemną plamę. Lucas zerknął na ranę, a następnie przeniósł zaskokowany wzrok na Ramona.

Księżyc zniknął gdzieś za chmurami, ale w powiewie wiatru buchnęła jasnym płomieniem jedna z pochodni, oświetlając zimną, zdeterminowaną twarz Ramona.

- Czy zdołałem cię przekonać, Lucasie?

W tym momencie, trzymając w ustach cygaro, zbliżył się niedbałym krokiem Jesus Montoya.

- A więc tu jesteście! Elena usłyszała strzały i poprosiła mnie, bym wyjaśnił ich przyczynę. Czy strzelacie do celu, by zaimponować damie?

- Montoya, trzymaj się od tego z daleka! - wściekł się Lucas, a Ramon parsknął krótkim, drwiącym śmiechem.

- Próbowałem przekonać mego zazwyczaj dzielnego brata, by walczył jak mężczy-

zna. Ale wygląda na to, że nie lubi liczyć się ze skutkami swych zachowań!

Montoya wyjął cygaro z ust i przyjrzał mu się bacznie.

- Ach tak! To bardzo interesujące.

Popatrzył na Lucasa i odezwał się łagodnym głosem z odrobiną goryczy.

- Nie jestem jeszcze taki stary; mam oczy i uszy. Czy nie ostrzegałem cię kiedyś, że zgubią cię kobiety? Wciąż nie możesz się zdecydować, Lucasie *amigo*. Zawsze pragniesz czegoś, co należy do kogoś innego... lub jest nieosiągalne. Mam rację?

- To sprawa między Ramonem a mną, Montoya - syknął przez zaciśnięte usta Lucas. - Już od dłuższego czasu nie jesteśmy przyjaciółmi. Jeśli chcesz ze mną walczyć, w porządku, ale z Ramonem... - zerknął na Ramona i oświadczył stanowczo. - Nie będę z tobą walczył, braciszku. Nie zmusisz mnie, nawet jeśli wystrzelasz cały magazynek. A więc na co czekasz? Strzelaj!

- To... nie mogę uwierzyć, że to prawda! - krzyknęłam wysokim, histerycznym głosem i oderwawszy się od ściany, zrobiłam niepewny krok naprzód.

Wyglądało na to, że zapomnieli o mojej obecności, ale teraz wszyscy trzej odwrócili głowy w moją stronę.

- Czyście powariowali? Spodziewacie się, że będę milczącym świadkiem tej krwawej jatki? Co się z wami dzieje?

- Roweno, proszę, wracaj do domu - nakazał surowym tonem Ramon. - To sprawa między mężczyznami.

- Ale dotyczy mnie, prawda? - zezłościłam się, wciąż trzęsąc ze strachu. - Myślisz, że sobie pójdę, bo tak mi każesz? Nie pozwolę na żadne kłótnie z mojego powodu!

Rozgniewana i zdenerwowana, chciałam dodać coś jeszcze, ale Jesus Montoya chwycił moje ramię w stalowy uścisk i szepnął fałszywie słodkim głosem:

- Kiedyś musiało dojść do tej sprzeczki, señorita. Dużo się jeszcze musisz nauczyć o mężczyznach. To sprawa honoru.

- Pan chce, aby walczyli! Z rozkoszą będzie się pan przyglądał, jak giną, prawda? - rzuciłam mu w twarz oskarżenie, ale on tylko zachichotał.

- Nie będę ich powstrzymywał. Słyszałaś przecież, że Lucas nie zamierza walczyć ze swym bratem? - parsknął z pogardliwą drwiną. - Ramonie, łap!

Dostrzegłam błysk długiego noża, który wylądował w pniu drzewa, tuż za Ramonem.

- Dlaczego nie pokroisz go za karę, jeśli nie masz zamiaru go zabić? Nóż jest przynajmniej cichy. Zawsze twierdziłem, że pistolety robią zbyt dużo huk! Prawdę mówiąc - dodał z powagą - sam powinienem był to zrobić już dawno temu, gdybym wiedział jak potraktuje Luz...

- Niech cię diabli, Montoya! Nic nie zrobiłem Luz! Ostrzegam cię, trzymaj się od nas z daleka, bo jak mi Bóg miły, zabiję cię! - Słyszając zawzięty głos Lucasa, zaczerpnęłam głęboko powietrza, lecz Montoya zaśmiał się szyderczo.

- Bez broni? Jak długo możesz walczyć na pięści, jak kiedyś, zanim wykrwawisz się na dobre?

Lucas zrobił krok w jego kierunku, ale powstrzymało go ostrze noża przystawione do piersi. Ramon wyciągnął z drzewa nóż i z kamienną twarzą schował rewolwer do kabury.

- Zanim spróbujesz zabić jego, musisz rozprawić się ze mną.

- Ramonie, powiedziałem ci już, że nic do ciebie nie mam. Ale muszę wyrównać rachunki z moim starym przyjacielem Montoyą. Zejdź mi z drogi.

- Minął czas, kiedy mogłeś wydawać mi polecenia, mój bracie - bękarcie!

Ostrze noża mignęło szybko jak błyskawica na niebie. Rozdarło niedbale rozpiętą koszulę Lucasa Corda, a na jego nagim, opalonym torsie pojawiła się krwawa pręga.

Zaskoczony i rozgniewany, podniósł instynktownie rękę, ale nóż był szybszy i z dłoni trysnęła mu struga krwi.

- Nie - wyśmiewał go Ramon - nie wyrwiesz mi noża. Wyciągnij swój, jeśli masz odwagę. A potem zobaczymy.

- Ramonie, ty oszalałeś! Myślisz, że będę stał bezczynnie, że dam się pokrajać?

Nie mogłam powstrzymać się od krzyku, gdy ostrze noża błysnęło znowu. Lucas przyłożył dłoń do twarzy, patrząc z niedowierzaniem na Ramona.

- Niech cię piekło pochłonie! Będziesz walczyć, czy nie? Nie każ mi czekać!

Nóż wylądował znów na piersi Lucasa. Z dwóch równoległych pręg sączyły się krople krwi.

Chciałam rzucić się między nich, ale Jesus Montoya zatrzymał mnie przy sobie.

- Zostaw ich! - szepnął łagodnie, lecz wyczułam nieugięty ton i zadrżałam. - Nie wierz, co to znaczy? To musiało kiedyś nastąpić. Stój cicho obok mnie albo wracaj do domu!

Stałam więc spokojnie i choć nie chciałam patrzeć, nie mogłam oderwać oczu. Lucas cofnął się ostrożnie, nie spuszczać wzroku z Ramona. Zauważyłam jak nóż niczym język węża tnie jego koszulę na strzępy, zostawiając krwawe rany na piersiach i ramionach. Dlaczego się nie bronił? Przypomniałam sobie gladiatorów na rzymskich igrzyskach i po każdym zdradliwym cięciu noża słyszałam cichy jęk Lucasa. Sama z trudem chwytając powietrze.

Ramon dyszał również. Po twarzy spływały mu strużki potu; z trudem poruszał nozdrzami, łapiąc oddech.

- Dlaczego nie walczysz? Na miłość boską, kiedy sobie przypomnisz, że jesteś mężczyzną? - Ramon szlochał niemal ze złości. - Czy mam pociąć ci twarz, tak aby nie spojrzała już na ciebie żadna kobieta?

Na policzku Lucasa widniała już wąska rana, więc kiedy Ramon rzucił się do przodu z wyciągniętym nożem, odchylił głowę i zasłonił się ramieniem. Ostrze, stępiałe od krwi, zostawiło paskudne, głębokie cięcie na jego przedramieniu. W tym momencie jego stoicki spokój ustąpił miejsca lodowatej furii.

Dawno temu w Indiach obserwowałam walkę kobry z mangustą. Pamiętam, jak mangusta tańczyła wokół swej ofiary, rzucając się na nią raz po raz; kobra natomiast kołysała się w przód i w tył, jak w letargu, czekając na stosowny moment. Dowiedziałam się, że mangusta prawie zawsze wychodziła zwycięsko z takiej walki, ale w tym przypadku okazała się zbyt powolna, albo kobra zbyt przebiegła. Nigdy nie zapomnę z jaką szybkością zaatakowała...

Całe ciało Lucasa stało się giętkie jak zwinięty wąż. Wolno kiwał się w tył, zasłaniając twarz prawym ramieniem, aż nagle w mgnieniu oka uskoczył na bok i machnął w górę lewą ręką. Kantem dłoni uderzył w nadgarstek Ramona. Miałam wystarczająco dużo czasu, by zobaczyć szybujący łukiem nóż, zaskoczony wzrok Ramona i Lucasa wyciągającego zza pleców sztylet.

Jesus Montoya odetchnął głośnym „Ach!”, a ja nie byłam pewna, czy to oznaka ulgi czy rozczarowania.

Poczułam na twarzy chłodny powiew wiatru. W dali rozdzierały niebo błyskawice, oświetlając wszystko niesamowitym, stalowym blaskiem; gdzieś daleko rozległ się złowieszczy grzmot. Jak szybko zniknął księżyc!

- Ramonie... - odezwał się chrapliwym głosem Lucas. - Wystarczy!

Ale Ramon, oszalały z wściekłości i upokorzenia, stracił już zdolność racjonalnego myślenia.

- Nie! - wrzasnął. - Na Chrystusa, to jeszcze nie koniec! Masz teraz broń, użyj jej!

Z przerażeniem dostrzegłam, że sięga po rewolwer.

- Twój nóż - mój rewolwer. Rzucaj... rzucaj, Lucasie, bo w przeciwnym razie cię zabiję.

Łatwo i zwinnie Lucas rzucił nożem. Ostrzem wbił się on w ziemię między butami Ramona, który sekundę wcześniej wyciągnął broń i wystrzelił.

Rozdział 26

Wspomnienie tej nocy na zawsze pozostanie koszmarem. W świetle błyskawic cała scena przypominała fragment „Piekła” Dantego, a w uszach nadal rozbrzmiewa mi tamten rozpaczliwy, pełen śmiertelnego przerażenia krzyk. Budzę się oblana potem i widzę Lucasa cudem utrzymującego się na nogach; widzę jak zatacza się pod murem i osuwa na ziemię.

Jakby z zaświatów dobiegł jego głos.

- Wielki Boże, Ramonie! Nędzny z ciebie strzelec, kiedy się wściekasz.

Odetchnęłam z ulgą słysząc że żyje, i zaszlochałam. Nie pamiętam dokładnie, co stało się potem. Wiem, że uderzyłam Montoyę w ramię i wrzasnęłam:

- Puść mnie do niego! Słyszysz?

Ale on pchnął mnie w stronę Ramona, który stał nieruchomo, trzymając w dłoni dymiący rewolwer.

Rzuciłam się na niego z pięściami, ale upuścił broń i chwycił mnie za rękę. Ocknął się z tego szaleństwa, a na jego twarzy pojawiła się złość.

- Potwór... zwierzę! - krzyczałam. - Wszyscy jesteście jak zwierzęta, wszyscy bez wyjątku! Ty... on... każdy z was! Nienawidzę was!

- Ona jest tylko kobietą, nie jest przyzwyczajona do przemocy - dotarł do mnie tu-balny i opanowany głos Montoyi.

Obróciłam się w uścisku Ramona i wbiłam w niego dziki wzrok.

- On umiera! Czy tego właśnie chciałeś? Dlaczego go nie dobijesz?

Przeniosłam wzrok na Ramona i wyrzuciłam z siebie potok gniewnych, niekontrolowanych słów.

- Ty! Ty wszystko rozpętałeś - dlaczego go nie zabijesz, by udowodnić, że jesteś mężczyzną? By pomścić mój honor? Na co czekasz?

Ścisnął mi nadgarstki tak mocno, że krzyknęłam z bólu i spojrzał nad moją głową na Montoyę.

- Nie miałem zamiaru posunąć się tak daleko! - oznajmił monotonnym, grobowym głosem. - A jednak przez połowę mojego życia czułem, że muszę to zrobić.

Lucas odwrócił się, a na resztkach jego koszuli rozlewała się wielka plama krwi. Jedną ręką chwycił się wierzchołka muru i oparł się o niego plecami. Nic nie mówił, myślę, że w tym momencie nie mógł wydobyć z siebie ani słowa, ale w świetle błyskawicy jego przepojone bólem oczy nabrały zielonej barwy, jak oczy tygrysa, którego kiedyś zastrzeliłam.

- Zabierz swoją *novia* do domu, Ramonie - odezwał się Jesus Montoya. - Nadchodzi potężna burza i wygląda na to, że ulewa zatrzyma nas w dolinie kilka dni. Ja zajmę się twoim bratem.

- To znaczy, że go zabijesz. Dokończysz to, co on zaczął, prawda?

Nie rozpoznałam swego głosu, jednostajnego, pozbawionego wszelkich emocji. Montoya spojrział na mnie czarnymi, błyszczącymi oczami.

- Kiedyś Lucas był mi bliższy niż syn, którego nigdy nie miałem. Jeśli miałbym go zabić, to na pewno nie w taki sposób. Idźcie już. Macie być sobie poślubieni, należycie do siebie.

Poszłam z Ramonem. Nie miałam innego wyjścia. Nie zwolnił bolesnego uścisku na moich rękach i prawie zaciągnął mnie do domu.

Elena czekała na nas w korytarzu. Aksamitną suknię zamieniła na jedwabny szlafrok. Burza ciemnych włosów opadała jej na ramiona, twarz miała bladą i nieprzytomną.

- Na miłość boską! Co się z wami działo? Usłyszałam strzały i wysłałam Jesusa, by was odszukał... gdzie jest Lucas?

- Nic się nie stało, *madre*. Zabawialiśmy się strzelaniem do celu. A teraz chciałbym porozmawiać z Roweną.

- Gdzie jest Lucas? - wrzasnęła niemal, a Ramon wysilił się na uśmiech, odsłaniając zęby.

- Lucas jest z Montoyą. Oni też muszą porozmawiać. Czy choć raz, matko, możesz wrócić do łóżka i przestać się wtrącać? Zostaw Lucasa w spokoju... zostaw mnie w spokoju! Kiedy uświadomisz sobie wreszcie, że twoi synowie są już dorośli?

Zbladła, słysząc te słowa, ale wyprostowała plecy. Podziwiałam jej dumną postawę i zdecydowany głos.

- Dokąd zabierasz Rowenę? Chcę z nią zamienić kilka słów.

Wyczuwając sojusznika, próbowałam się wyrwać, ale Ramon trzymał mnie mocno. Dopiero teraz zaczęłam poznawać męską część rodu Kordesów.

- Obawiam się, że musisz odłożyć tę rozmowę do jutra. Dziś wieczorem Rowena porozmawia ze mną.

- Ramonie! Nie zapominaj, że ona jeszcze nie jest twoją żoną! - wybuchnęła ze złością Elena.

- Niczego nie zapominam, *mamacita*. Ale radzę ci, byś z tą całą swoją fałszywą moralnością trzymała się z dala od mych drzwi! - Pociągnął mnie za rękę, a ja tracąc równowagę wpadłam na niego. - Słyszałaś chyba, że Lucas kupił ją jako brankę od Apaczów? A ja dziś odebrałem mu ją. Jak już wspomniałem, czeka nas długa rozmowa... a może coś więcej.

- Ramonie! Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że jesteś pijany. Zapominasz się!

Parsknął śmiechem.

- Matko, jeśli niepokoisz się o swego drugiego syna, który nie jest twoim synem, idź i sama go poszukaj!

Odprowadziła nas wzrokiem, nieruchoma jak kamienny posąg. Potknęłam się na schodach, a Ramon wziął mnie na rękę, nie zważając na słabe protesty.

Myślę, że sposób, w jaki otworzył kopniakiem drzwi do swej sypialni, sprowadził mnie na ziemię. Zaryglował je starannie za sobą i rzucił mnie na łóżko niczym pakunek. Zapalił lampę i odwrócił się do mnie, rozpinając niedbale marynarkę.

- Co w ciebie wstąpiło? - Próbowałam go atakować, ale mój zdyszany głos brzmiał bardzo niepewnie.

Uśmiechnął się, wykrzywiając ponuro usta pod równo przyciętym wąsem, a ja zdałam sobie sprawę, że wcale go nie znam. To właśnie tego mężczyzny nie zamierzałam traktować poważnie, chciałam go kontrolować. „Jedyny dżentelmen w rodzinie” okazał się gorszy od swego brata zabijaki.

- Nic mi nie jest - stwierdził łagodnie i dodał tym samym tonem. - Pomyślałem, że sprawię ci przyjemność, dowodząc swej męskości. Oczywiście, powodem była obraza twego honoru. A teraz, moja przyszła żono, weź ze mnie przykład i się rozbierz. A może

wolisz, bym ci pomógł? Może jesteś nieśmiała? Miniony wieczór z pewnością wywołał w tobie wstrząs, potrzebujesz zatem ukojenia.

Uniósł brew w obliczu mego upartego milczenia.

- Chyba cię to nie oburza? W końcu jesteśmy zaręczeni, więc jakie to ma znaczenie, jeśli... jakby to powiedzieć... troszkę się pośpieszymy? Mój doświadczony brat z łatwością omijał takie przeszkody. Dziwię się jednak, że choć kupił cię dla siebie, nie skorzystał z tak wspaniałego daru! A może było inaczej?

Przywołałam resztki dumy i powściągliwości, patrząc mu chłodno w oczy.

- Jeśli tak myślisz, niepotrzebnie odgrywałeś hipokrytę, Ramonie. A teraz pozwól mi wrócić do mojego pokoju. Jutro rano porozmawiamy spokojnie i rozważnie.

Cięnięta z całej siły marynarka wylądowała na podłodze.

- Jutro rano, powiadasz? Moja słodka, praktyczna Roweno! Po co mamy czekać aż do rana? W końcu jesteśmy zaręczeni, więc nie ma znaczenia, jeśli tej nocy odegrasz pannę młodą! Obroniłem twój honor... czy nie żywisz do mnie żadnego uczucia? Omal nie zabiłem przez ciebie własnego brata... to chyba coś znaczy? Mam całkowicie uczciwe i honorowe zamiary. Przez krótki czas byłaś narzeczoną Shannona - z pewnością nie wyrywałaś się, kiedy trzymał cię w ramionach?

Podszedł do mnie, pochylił się i pchnął mnie na łóżko. Nagle rzucił się na mnie, chwycił za nadgarstki i przeciągnął je łukiem nad głowę.

- Czy zmuszałem cię do małżeństwa? To ty byłaś chętna i pełna entuzjazmu. A może to była gra? Roweno, tej nocy pragnę dowodu twych prawdziwych uczuć? Czy ty w ogóle jesteś zdolna do miłości? Pocałuj mnie, jeśli mnie kochasz, jeśli mówiłaś prawdę, a przestanę ci nie dowierzać.

Rozchyliłam wargi pod naporem jego ust, poczułam jego twarde, natarczywy język. Czy niczego się nie nauczyłam od Edgara Cardona? Przecież i on oskarżał mnie zawsze o oziębłość, a ja nie potrafiłam nigdy opanować mego odrętwienia; czułam się jak pogrzebana żywcem, kiedy przyciskał mnie swoim ciężarem. Teraz czułam się podobnie. Pozwoliłam Ramonowi na pocałunki, ale sama nie wykonałam najmniejszego ruchu. Znosiłam na sobie jego ciało, jego ręce na moich piersiach, a jakiś stłumiony głos podpowiadał mi, że muszę do tego przywyknąć.

Miałam poślubić Ramona. Było to jedyne rozsądne i logiczne rozwiązanie mojego problemu. Nie Lucasa. Nigdy nie Lucasa, który kochał inną kobietę i nienawidził mnie z wzajemnością - który pragnął mnie tak jak ja jego! O, Boże! Nie Lucasa, który być może leży gdzieś ledwo żywy; jedynego mężczyznę, który potrafił całować mnie do utraty zmysłów.

- Och, Roweno... Roweno! - szeptał Ramon. - Całujesz jak prawdziwa dziwka... jak anioł! Wydajesz się tak zimna, taka niedostępna, ale kiedy mężczyzna trzyma cię w ramionach i dotyka twoich ust, jesteś jak jedna z syren, o których pisali Grecy; słodycz twoich ust może doprowadzić mężczyznę do szaleństwa!

Pozwoliłam Ramonowi na pocałunki, a w duchu powtarzałam sobie, że to nie ma znaczenia. Kiedy opuścimy dolinę, dam sobie z nim radę; zmieni się, wszystko się zmieni.

Palce Ramona przesuwaly się niezdarnie po maleńkich guzikach rozpinając moją suknię do pasa. Dotknął ustami mojej szyi, piersi. Nie czułam nic. Leżałam nieruchomo i myślałam o Edgarze Cardonie, który tak często wykorzystywał moje zimne, lecz uległe ciało. Zastanawiałam się, dlaczego nigdy nie potrafiłam udawać rozkoszy. W ramionach Todda przeżywałam chwile zapomnienia. Lucas pokazał mi inny wymiar namiętności. Dlaczego pomyślałam właśnie o Lucasie?

Nagle zdałam sobie sprawę, że Ramon unosi się na łokciach i wbija we mnie wzrok. Położył jedną dłoń na mojej obnażonej piersi; skrzywiłam się instynktownie.

- Pozwolisz, bym cię posiadał, nawet jeśli moje pieszczoty nie sprawią ci przyjemności?

- Wydawało mi się, że mnie pożadasz. Jeśli zmieniłeś zdanie, chętnie się prześpię - oznajmiłam zmęczonym, obojętnym głosem.

Spochmurniał. Przez chwilę zdawało mi się, że mnie uderzy i było mi to obojętne.

- Czy myślałaś o śnie, kiedy z taką rozkoszą przytulałaś się do mojego brata, obejmując go ramionami? - zapytał niepokojąco cichym tonem. - Czy uważasz mnie za ślepcę?

Popatrzyłam mu prosto w oczy, przestraszona i rozgniewana; lśniły niczym brązowe kamienie, pozbawione uczucia i wyrazu.

- Nie, nie jestem ślepy Roweno! Ale czasami zakochany mężczyzna nie chce znać prawdy. Kochałem cię. Oczarowałaś mnie od pierwszego momentu, kiedy cię ujrzałem. Twój chłód, twoja powściągliwość podnieciły mnie, zaintrygowały. Marzyłem o tobie i myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę. Aż tu nagle Lucas przywiózł cię do doliny! Nadal byłaś piękna, silna, taka chłodna i wyniosła, mimo wszystkich przeżyć! Pokochałem cię jeszcze bardziej. Starłem się okazać szacunek i delikatność, wszystko, czego potrzebowałaś, na co zasługiwałaś. Lucas przysiągł, że cię nie tknął, nawet Julio potwierdził jego słowa. Myślałem, że go nienawidzisz, że nim pogardzasz! Ale czy tak było? Czy tak było naprawdę?

Potrząsnął mną i poczułam na ramionach jego palce wpijające się w moje ciało niczym żelazne szpony.

- Odpowiedz mi, do diabła! Dlaczego obiecałaś wyjść za mnie? Czy tylko po to, by wzbudzić jego zazdrość? Czy przyszłaś tu ze mną tylko po to, by upewnić się, że go nie dobiję?

- Czy chciałaś go zabić? - szepnęłam. - Mogłaś to zrobić, a jednak nie zrobiłaś. Czy tylko przeze mnie wpadłaś w taką furję? Zawsze zazdrościłaś Lucasowi, miałaś mu wszystko za złe... Ja byłam tylko pretekstem, prawda?

Za oknem powiał silny wiatr, zabrzmiał głośny huk pioruna. Pioruna? Wydawało mi się, że słyszę czyjeś głosy, stukot końskich kopyt. Ramon odczytał to z mojej twarzy, bo znieruchomiał i spojrzał na mnie badawczo.

Przytulił się do mojej twarzy. Poczulałam zapach wina. Tym razem nie odpowiedziałam na jego pytanie, wpatrując się w niego w milczeniu. Parsknął nieprzyjemnym śmiechem.

- Nie tak dawno zachowywałaś się jak histeryczka. Czy zdajesz sobie sprawę, że wtedy po raz pierwszy okazałaś prawdziwe uczucia? Ale nie dla mnie, dla mojego brata. Nawet kiedy uderzył cię w twarz, a potem chwycił w ramiona... nawet kiedy tłukłaś go pięściami, było w tym uczucie. Mnie jedynie łaskawie tolerowałaś. Nawet teraz. Dlaczego się nie wyrywałaś, nie wołałaś pomocy? Dlaczego udawałaś, że odwzajemniasz moje pocałunki?

- Po co mnie tu przyciągnęłaś? - nie wytrzymałam. - Jeśli chcesz obrzucać mnie

obelgami, powiedz, co masz do powiedzenia i pozwól mi odejść!

- Tak po prostu? Uważasz, że rano wszystko się ułoży? Czy po tym wszystkim nadal jesteś gotowa mnie poślubić?

- To zależy od ciebie, prawda? - odparowałam. - Tej nocy nie jesteś sobą, Ramonie. Rano...

- Rano! Twoim zdaniem wschód słońca wszystko zmieni? Na Boga, jesteś taka zimna, tak opanowana! Leżysz ze mną w łóżku i opowiadasz o dniu jutrzejszym. Czy myślisz, że nie widzę wyrachowania w twoich oczach? „Jutro rano Ramon znów będzie sobą; przeprosi za swe brzydkie zachowanie i wszystko wróci do normy”. Myślałaś, że dam sobą manipulować! Tak jak moja matka, jak Lucas! Jeszcze nie skończyłem. Po tym, jak się zachowałaś, mam prawo wiedzieć, co mi się dostanie. Bryła lodu czy kobieta!

W mgnieniu oka Ramon wyprostował się i długim, nienawistnym pociągnięciem rozdarł moją suknię. Próbowałam się zasłonić, a wtedy wybuchnął śmiechem.

- Nie musisz się mnie wstydzić! Tej nocy walczyłem o twój honor i zdobyłem cię w nagrodę. I to jaką nagrodę! - dorzucił ochryłym głosem, wodząc po mnie oczyma.

- Kobieta, która nie musi zakładać tych obrzydliwych gorsetów, by poprawić swą figurę, kobietę o wiotkim, pięknym ciele tancerki. Ślicznie wyglądałaś przebrana za indiańską squaw. Nic dziwnego, że nawet Julio cię zapragnął! Twoje ciało i usta winny służyć namiętności i rozkoszy. Może nauczysz się odczuwać i jedno, i drugie.

Nie spuszczać wzroku, zaczął ściągać ze mnie ubranie. Suknia leżała w strzępach na podłodze, obok halki, a cienka koszulka rozdarta była do pasa. Nic nie ukryło się pod jego ognistym spojrzeniem.

Nie pamiętam, o czym myślałam przez następne kilka sekund. Kiedy zgasił lampę i zbliżył się do łóżka wiedziałam, że nie wolno mi myśleć o Lucasie! To tylko fizyczny, cielesny pociąg - zwierzęcy instynkt. Być może zbliżenie z Ramonem wymaże tamto raz na zawsze z mojej pamięci.

Nie byłam w stanie się bronić zeszywniałymi kończynami, kiedy Ramon zasłonił mi głowę koszulą. Wzdrygnęłam się z obrzydzenia, gdy zaczął mnie pieścić. Przypomniałam sobie o obietnicach, które złożyłam po wyjeździe z Anglii: będę całkowicie

wolna i nigdy nie pozwolę żadnemu mężczyźnie wykorzystywać mego ciała. A jednak stało się, a ja nie zrobiłam nic, by temu zapobiec. To była kara za grzeszną, nieposkromioną żądzę, jaką wywołały we mnie pieszczoty i pocałunki Lucasa Corda. Dlaczego to nie Ramon przyprawiał mnie o bicie serca, które niemal wrywało się z piersi? Dlaczego niczego nie czułam, nawet nie mogłam udawać, że czuję?

Ramon próbował wzbudzić we mnie jakąkolwiek reakcję. Całował mnie, a jego pieszczoty stały się subtelne i delikatne. Nie potrafiłam się odwzajemnić tym samym. Miał gorące ciało i skórę gładką w dotyku. Jego uścisk w niczym nie przypominał brutalnego, surowego uścisku, jakim obdarzył mnie jego brat.

- Przytul się do mnie, Roweno - szepnął. - Otocz mnie ramionami i odpręż się. Przysięgam, że cię nie skrzywdzę.

Chwilę później warknął zdenerwowanym głosem:

- Na miłość boską! Czy tak trudno ci odwzajemnić moje pocałunki? Dlaczego leżysz jak kłoda?

Czułam się jak drewniana kukła, a on stracił cierpliwość i zapomniał o delikatności.

- Czego ci trzeba, by rozbudzić twoje lodowate ciało? Lubisz przemoc? A może brutalność?

Jego pocałunki sprawiały mi ból; próbowałam odwrócić głowę, ale pociągnął mnie za włosy, ograniczając swobodę ruchów i całował aż straciłam oddech, dysząc z bólu i wściekłości. Ranił mnie swymi pocałunkami, zostawiając siniaki na szyi i piersiach. A w końcu gdy straciłam siły do walki, wziął mnie przemocą i wdarł się we mnie tak boleśnie, że krzyknęłam na cały głos. Kiedy było już po wszystkim, poczułam się pusta i upokorzona, bo chciał, abym tak się czuła od momentu wkroczenia do jego sypialni.

Zsunął się z mego ciała, a gdy próbowałam się podnieść, pchnął mnie na poduszki.

- Już mnie opuszczasz w takim pośpiechu? Nie! Jeszcze nie skończyłem!

W otępieniu obserwowałam, jak maszeruje przez pokój i zapala lampę; jej jasne światło raziło mnie w oczy. Patrzył teraz, wykrzywiając usta w pogardliwym uśmiechu.

- Ani kropli krwi na prześcieradle? Teraz widzę, że cały twój chłód przeznaczony był tylko dla mnie. Drugą stronę twej natury poznał zapewne mężczyzna, który odebrał

ci dziewictwo! Powiedz mi, Roweno, bo umieram z ciekawości. Kto to był? Shannon? Lucas? Czy dlatego tak ochoczo zgodziłaś się mnie poślubić? Naiwnego głupca? Czy szukałaś odpowiedniego ojca dla dziecka, które może w sobie nosisz?

Obolała, podniosłam się i spojrzałam mu prosto w oczy.

- Och, Ramonie! Jakie to ma znaczenie? Dostałeś to, czego chciałeś i niech tak zostanie. Nie musisz się ze mną żenić.

Zbliżył się do mnie, oczekując zapewne, że skulę się ze wstydu i strachu, ale stanęłam przed nim twarzą w twarz, bez cienia fałszywej skromności.

- Żenić się z tobą? Myślisz, że interesuje mnie używany towar? Wiedząc, jaka jesteś, nie ożeniłbym się z tobą za żadne pieniądze! Ty kłamliwa, podstępna dziwko!

Uderzył mnie w twarz, mocno i nieoczekiwanie. Potknęłam się i upadłam na łóżko.

- Niech cię diabli, powiedz mi! Kto to był? A może było ich kilku? Boże, a ja myślałam, że jesteś taka niewinna i nieosiągalna, chłodna i wyniosła, taka powściągliwa... - ale tylko dla mnie, prawda? Jak zamierzałaś to wytłumaczyć? Odpowiedz mi!

Podniósł rękę, by uderzyć mnie znowu, ale odsunęłam się i klękając na łóżku rzuciłam mu w twarz.

- Żądasz odpowiedzi w sytuacji, kiedy nie masz już najmniejszego prawa zadawać mi pytań? Dlaczego nie użyjesz swego noża, Ramonie? A może wolałbyś mnie zastrzelić? Butni Hiszpanie gadający bzdury o honorze! Wiedziałeś, że przywieziono mnie tu siłą i przymknąłeś na to oczy. Wziąłeś mnie siłą i rozczarowałeś się, że nie jestem dziewicą! Bo gdybym odpowiedziała na twe umizgi, gdybym odgrywała dziwkę, wtedy czułbyś się usatysfakcjonowany, prawda? - Odgarnęłam włosy z twarzy i ciągnęłam nie zważając na ostrożność i ważkość mych słów. - Powiem ci, dlaczego nienawidzę mężczyzn, Ramonie. I dlaczego tej nocy krew nie splamiła twego prześcieradła. Kiedy miałam osiemnaście lat, zgwałcił mnie mój ojczym. Jesteś pierwszym mężczyzną, który posiadał mnie od tamtej pory. Nie Todd, nie Lucas. Nawet on okazał się mężczyzną z honorem i do niczego mnie nie zmusił, kiedy przebywaliśmy w obozie Apaczów!

Ramon pobladł i przyglądał mi się osobliwym wzrokiem; wyglądało na to, że duma nie pozwala mu uwierzyć w moje słowa.

- Teraz pewnie żałujesz, że tego nie zrobił? Widziałem, jak się całujecie, pamię-

tasz? A wczoraj, kiedy skaleczyłaś palce chciałaś się widzieć tylko z Lucasem. Zawsze tylko Lucas! To przez niego jestem tu uwięziony, jakbym był przestępcą. Moja matka... kiedy jest tu Lucas, nie obchodzą ją synowie. Luz, a teraz ty. Cóż, przynajmniej miałem cię pierwszy! Przynajmniej tego mi nie odbierze. - Uchwycił moje spojrzenie i uśmiechnął się krzywo. - Sądzisz, że go nienawidzę. To dziwne. To nie nienawiść, ale czasami nie znoszę go. Jest przecież moim bratem; łączy nas więź krwi. Tyle mówiłaś o nienawiści, więc myślę, że czujesz podobnie. Pewny jestem, że gdyby to Lucas przyprowadził cię tutaj, twoja reakcja byłaby zupełnie inna!

Nie odpowiedziałam mu. Popatrzyliśmy na siebie przez chwilę, a potem wstałam z łóżka. Nie powstrzymał mnie. Byłam naga; podarte resztki sukni nie nadawały się do użytku, ale to nie miało znaczenia. Podeszłam do drzwi i odsunęłam rygiel. Za plecami usłyszałam bezbarwny, monotony głos Ramona.

- Przypuszczam, że masz zamiar go odszukać. Zacznij od sypialni mojej matki.

Wyszłam z pokoju, nie oglądając się w tył, i zamknęłam delikatnie drzwi. W głowie miałam całkowitą pustkę. Kierowałam się wyłącznie instynktem. Śmiało ruszyłam galerią w stronę pokoju Lucasa i otworzyłam drzwi. Oczywiście, pokój był pusty, ale czy spodziewałam się go tam zastać? Ranny, okaleczony z pewnością znalazł ukojenie w ramionach Eleny.

Czy naprawdę zdobędę się na odwagę, by podejść do jej drzwi, zapukać i zażądać spotkania z Lucasem? W moim stanie umysłu byłam gotowa to zrobić. Wiedziałam, że muszę zobaczyć Lucasa i znaleźć odpowiedź na tę osobliwą namiętność i słabość, która ogarniała mnie przy każdym jego dotyku. Przypomniałam sobie, jak opatrywał moje poranione, opuchnięte stopy w obozie Apaczów; jak pielęgnował moje skaleczone palce. Nagle przypominałam sobie to, co wyrzucałam z myśli przez ostatnią godzinę: widok jego twarzy, kiedy go opuszczałam z Ramonem. Tyle krwi... Wpadłam w panikę. Może był poważnie ranny, umierający, a może już nie żył.

Popędziłam boso wzdłuż galerii, nie robiąc najmniejszego hałasu. Odgłosy grzmotów stawały się coraz mocniejsze, strugi deszczu zalewały dach. Drzwi do pokoju Eleny stały otworem i kiedy się do nich zbliżyłam, wyszła mi niespodziewanie naprzeciw; może słyszała kroki, może czekała na mnie. Widząc, w jakim jestem stanie, zmrużyła jedy-

nie oczy.

Uprzedzając jej słowa, rzuciłam pytanie:

- Gdzie jest Lucas?

Odrzuciła głowę i tylko nozdrza zadrżały lekko na jej kamiennej twarzy. Odezwała się twardym, zjadliwym szeptem:

- Śmiesz mnie o to pytać? Ty, wyskakując nago z łóżka Ramona? Powinnam była wysłuchać mego wewnętrznego etosu, kiedy się tu pojawiłaś! Miałaś oczy swego ojca i to mnie zwiodło, ale powinnam była przejrzeć twój prawdziwy charakter. Opowiadałaś tyle o nienawiści i niechęci, a chciałaś jedynie mi go odebrać. Czy to wszystko zaplanowałaś wspólnie z Ramonem? Odpowiedz!

Łagodność i pewność siebie zniknęły z jej głosu; rozwarła palce niczym szpony, gotowa drapać mi twarz.

- Czy w podobny sposób zaplanowałaś odsunąć Todda Shannona od jego żony? - odparłam z pogardą.

W odpowiedzi usłyszałam jedynie cichy syk.

Zajrzałam do jej pokoju, ale dostrzegłam jedynie puste łóżko i pogniecione prześcieradła - świadectwo jej zdenerwowania. Zauważyła moje spojrzenie.

- Myślałaś, że go tu znajdziesz? Że pozwoliłabym mu zbliżyć się do ciebie? Nie doceniłam cię, Roweno Dangerfield, ale nie wątpię w uczucie, jakim darzy mnie Lucas. Tak. Kocha mnie i ani ty, ani żadna inna kobieta nie dostanie nic poza smętnymi resztkami!

- W takim razie nie musisz się obawiać naszego spotkania. Gdzie on jest? - powtórzyłam lodowato.

Mierzyłyśmy się przez moment spojrzeniami, aż w końcu wzruszyła ramionami, choć jej oczy pozostałe zimne i wrogie.

- Odjechał. Montoya pozwolił mu odjechać w nadciągającą burzę. Jest ranny, wciąż nosi w sobie kulę. Czy myślisz, że gdyby tu był, nie byłby ze mną?

Odwróciłam się bez słowa i pobiegłam do swojej sypialni. Luz nie było w pokoju, ale nawet gdyby była, nie zwróciłabym na nią uwagi. Powiew wiatru przez otwarte okna zgasił lampę, ale dzięki błyskawicom rzucającym co rusz niesamowity blask, znalazłam

ubranie. Indiańską bluzę zapinaną pod szyją, szeroką spódnicę do kolan i mokasyny. Nie przejęłam się brakiem bielizny.

W drzwiach pojawiła się Elena.

- Co robisz? Dokąd się wybierasz?

- Myślę, że wiesz.

- Ty idiotko! Nigdy go nie znajdziesz! Z pewnością opuścił już dolinę. Utopisz się w tej ulewie. Tracisz tylko czas, wierz mi! Lucas cię nienawidzi. Dlaczego nie wrócisz do ciepłego, bezpiecznego łóżka Ramona?

- Czy tak byś postąpiła na moim miejscu? Kiedyś mi powiedziałaś, że jestem do ciebie podobna. Być może też pozbawiona jestem skrupułów. Co na to twoja pewność siebie?

Przeszłam obok i zobaczyłam jej zaciskające się w gniewie usta.

- Idź więc! Jeśli burza cię nie zabije, być może zrobi to Lucas.

- Być może - powtórzyłam. - Ale jestem gotowa zaryzykować.

Zeszłam po schodach, nie zwracając na nią uwagi. Z jadalni dobiegła mnie czyjaś rozmowa. Tubalny, sardoniczny głos Montoyi i piskliwy, histeryczny płacz Luz.

Otworzyłam drzwi - obrócili ku mnie głowy. Luz kuliła się w fotelu, zakrywając twarz rękami, Montoya stał przy niej plecami do kominka.

Luz podniosła głowę i wbiła we mnie wzrok. Jesus Montoya zmrużył podejrzenie oczy.

- Myślałam, że jesteś z Ramonem - krzyknęła oskarżycielsko Luz, a widząc mój strój dodała. - Co tu robisz? Nie wiesz, co się stało?

- Oczywiście, że wie. Była tam, kiedy to się wydarzyło. - Spojrzał na mnie i skrzywił w uśmiechu usta, ale jego oczy pozostały chmurne. - Luz i ja bierzemy ślub. Już dawno powinniśmy to zrobić. Zabiorę ją stąd, gdy tylko ustanie burza. Zgodzisz się chyba, że nie może dłużej marnować młodości i urody? Przyznaję, że żadne ze mnie cudo, ale jestem lepszy od niektórych znanych nam osób.

- Nie, nie! Ja nie jestem towarem, o który trzeba się targować! Zmusiłeś Lucasa, aby to powiedział, kiedy był ranny i bez opatrunku mógł wykrwawić się na śmierć. Uknąłś to, by się ze mną ożenić. Wiem to!

- Naprawdę tak myślisz? To dla twojego dobra przekonałem Lucasa, by wyznał prawdę. Słyszałaś jak mówi, że nie czuje do ciebie nic prócz braterskiego przywiązania, że nigdy cię nie poślubi. Nie martw się, *muchacha*. Wkrótce o nim zapomnisz. A przy dzieciach, którymi cię obdarzę, nie będzie czasu na żale.

- Gdzie on jest? - przerwałam ich prywatną kłótnię, i kiedy Luz przyglądała mi się z niedowierzaniem, Montoya pokiwał głową na znak zrozumienia.

- Nie byłem w stanie przekonać Lucasa, by pozostał tu i dał sobie opatrzyć rany. Wydaje mi się, że udał się do swojej chaty. Wiesz, gdzie to jest? - Przesunął po mnie wzrokiem.

- Tej nocy twoja wyprawa nie ma sensu. Rozszalała się gwałtowna burza, wąwozy zamieniły się w rwące potoki. Powinnaś poczekać.

Rozumiał moje intencje, Luz nie.

- O czym wy mówicie? Roweno, dokąd się wybierasz? Myślałam, że ty i Ramon...

- Nie wychodzę za Ramona - rzuciłam bez ogródek. - I potrzebuję trochę świeżego powietrza.

- Przecież pada deszcz!

- Jeszcze nie tak mocno - zmienił zdanie Montoya. - Dobrze rozumiem, że czasami człowieka ogarnia demon podróży, potrzebuje wiatru i deszczu. W takim jesteś dziś nastroju. Chato czeka na zewnątrz. Osiodła ci konia, jeśli mu powiesz, że to moje polecenie.

Obróciłam się na pięcie i wybiegłam z pokoju, a za plecami słyszałam rozdrażniony głos Luz.

- Dokąd jedzie Rowena? Co się z wami dzieje?

Nic nie było w stanie mnie powstrzymać. Zatrzasnęłam za sobą drzwi, a pędząc przez korytarz dostrzegłam na piętrze Elenę. Nie odezwała się ani słowem. Wyszłam za zewnątrz i w nocnych ciemnościach poczułam drobne krople deszczu. Z mroku wynurzył się Chato; zastanowiłam się, czy on kiedykolwiek sypia.

- Montoya powiedział, że osiodłasz dla mnie konia. Dobrego.

Jego twarz nie zdradzała zaskoczenia. Moja pewność siebie przekonała go, że mówię prawdę. Przeprowadził małą, bystrą klacz, na której już jeździłam i domyślając się,

dokąd jadę, wskazał mi drogę. Ciekawa byłam, czy obserwował z ukrycia tę tragedię, która rozegrała się wieczorem. A potem przestałam się zastanawiać. Siedziałam już w siodle i choć klacz rzucała nerwowo łbem po każdej błyskawicy i huku pioruna, nie potknęła się ani razu.

Nie mogłam uwierzyć, że jeszcze kilka godzin temu na niebie świecił pomarańczowy księżyc. Teraz chmury zlały się w jedną całość z mrocznymi sylwetkami górskich szczytów. Przypomniałam sobie wszystko, co usłyszałam o niespodziewanych, gwałtownych burzach, które w tym kraju pojawiały się bez zapowiedzi; o ulewach zamieniających wąwozy i żleby w wartkie strumienie, zmiatające wszystko co napotkały po drodze. Jednak w tej chwili nie myślałam o niebezpieczeństwach. Miałam pustkę w głowie i nie zastanawiałam się, co tu robię - w deszczu smagającym mi twarz i przemoczonym do suchej nitki skąpym stroju.

Felice, moja klacz, wyraźnie знаła drogę, kiedy skierowałam się w stronę gór wyrastających groźnie na widnokręgu. Coraz głośniejsze pioruny odbijały się o skalne zbocza, a deszcz przybrał na sile. Jechałam kiedyś tą drogą z Ramonem. Felice potrzebowała jedynie lekkiego ściśnięcia moich kolan i nieznacznego pociągnięcia za cugle. Prowadziłyśmy się wzajemnie, a od czasu do czasu gigantyczna błyskawica oświeślała nam drogę.

Straciłam poczucie czasu, a nawet kierunku. Pamiętałam jednak, że Lucas jeździł na Felice, wydawało mi się więc, że dobrze wie, dokąd ma mnie zaprowadzić.

Nie wiem, jak długo jechałam. Nie ponaglałam konia do szybszego biegu. Pochyliłam się nad jego szyją, a mokre włosy przyklepały mi się do twarzy i ramion. Musiałam wpaść w obłąd lub doznać szoku, ale wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Nie wiedziałam, co robię w tym deszczu i na wietrze, dokąd jadę. Ucieknę przynajmniej - jeśli nie odnajdę Lucasa, jeśli on mnie nie znajdzie. Odszukam drogę i wolna opuszczę dolinę. Nie chciałam być częścią splątanych losów tych ludzi, musiałam odnaleźć własną tożsamość.

Z perspektywy czasu widzę, że myślom moim brakowało spójności. Nadal nie mogę uwierzyć, jak w takim stanie zdołałam odnaleźć drogę. Oszołomiona przypominałam sobie słowa Julio, który podczas pierwszego dnia mojego pobytu w dolinie powiedział: „Mój brat ma tam w górze chatę. Udaje się do niej, kiedy chce być sam”. Pomyślałam

wtedy, jak to możliwe, że ktoś tak okrutny i bez serca jak Lucas Cord może pragnąć samotności. Potem chciałam się go pozbyć z mego życia. Teraz pędziłam do niego - może uciekałam od wszystkiego, w co mnie wplątał; nie potrafiłam się zdecydować. Nagle uświadomiłam sobie, że jadę w górę wąskiego, strome go kanionu, który prowadził na najwyższy górski szczyt.

Rozdział 27

Wydawało mi się, że widzę w górze pomarańczową poświatę, ale błyskawica zajaśniała zbyt blisko i zbyt gwałtownie, bym nabrała pewności. Łomot pioruna odbijającego się o wąskie, kamienne ściany ogłuszył mnie całkowicie, niemal uszkadzając bębenki.

- Lucas! - zapamiętałam i bezcelowo wrzeszczałam jego imię między jednym a drugim hukiem.

Usłyszałam szum rwącej wody, kiedy moja klacz, przerażona i oszalała jak ja, potknęła się i odzyskała równowagę, wspinając na najmniej stromy kawałek skalistego zbocza. Wypuściłam cugle, ściskając ją z całej siły za grzywę, a na twarzy i całym ciele poczułam ciężkie krople złowieszczej ulewy. Nigdy przedtem nie widziałam takiego deszczu. Zaatakowała mnie podstępnie masywna tafla wody.

Felice zachwiała się, omal nie zrzucając mnie z siodła, ale jej kopyta natrafiły wreszcie na kamienny występ. Ruszyliśmy w górę na pozór niedostępnego urwiska. W nagłym blasku białawego światła po raz pierwszy zauważyłam wirującą pod moimi stopami wodną kipieli. Na widok pędzącego ku nam z rykiem potoku uwolniłam stopy ze strzemion.

Kierowałam się wyłącznie prymitywnym instynktem. Nie zastanawiając się ani sekundy, zeskoczyłam z przerażonego, zwierzęcia i znalazłam się na skalnym występie, pnąc się ku górze. Nie zważając na okaleczone, podrapane palce, chwyciłam się kamiennej ściany i gramoląc się niezdarnie podciągnęłam w górę, przeklinając mój przemoczony strój.

Pojęcia nie mam, jak mi się udało - wdrapywałam się po skalistej ścianie kanionu, przyciskając się doń z całej siły; posuwałam się po niej rękami i nogami, czując jak ka-

mienie ranią mi ciało, a woda sięga zachłannie po moje stopy.

Przeklinałam raz po raz, używając słów tak obcych mi do tej pory. Wiatr i deszcz pozbawiały mnie oddechu, a pędząca z łoskotem woda podchodziła coraz wyżej, odrywając mnie od urwiska.

Natrafiłam dłońmi na karłowate drzewo wyrastające ze zbocza. Chwyciłam je z całej siły, czując jak bystry potok szarpie mnie w dół. Raz jeszcze wykrzyczałam jego imię.

- Lucas!

Dokoła rozlewało się oślepiające światło błyskawic. Wrzasnęłam raz jeszcze, tuż przed łomotem pioruna i kuląc się z przerażenia, przylgnęłam płasko do urwiska. Gdzieś z dołu dobiegło mnie ciche rżenie mojej klaczy i nie miałam odwagi spojrzeć w tamtą stronę, choć instykt podpowiadał mi, co się stało. Porwał ją rwący strumień i za chwilę, kiedy palce zziębną i zdrętwieją mi na tyle, że nie utrzymam się dłużej, ja też popłynę z prądem jak rzeczny muł. Wtem przepływająca kłoda uderzyła mnie w udo i krzyknęłam ponownie, z rozpaczą, trzymając się resztkami sił wystającej gałęzi.

I gdy już opuściła mnie wszelka nadzieja, wydało mi się, że gdzieś w górze słyszę jego głos. Krzyknęłam jego imię, tracąc niemal oddech w płucach.

- Lucas! Och, Luke... pośpiesz się, proszę!

To niemożliwe, ale tym razem usłyszałam go wyraźnie.

- Rowena? Jezu Chryste... co... ? Trzymaj się. Poczekaj.

Załkałam bezradnie, a głos utknął mi w gardle. Kurczowo trzymałam się maleńkiej krzewinki i czując wodę spienioną wokół mojej spódnicy miałam świadomość, że coraz bardziej drętwieją mi palce.

Zrzucony z góry sznur uderzył mnie nagle w twarz.

- Rowena! Słyszysz mnie? Chwyć sznur. Nie puszczaj go.

- Nie mogę! - zaszlochałam i jeszcze głośniejszym głosem wykrzyczałam całą swą rozpacz i strach. - Lucas, nie mogę! Moje palce...

- Owiń się nim. Pod pachami. To lasso, pętla. Jeśli uda ci się utrzymać na jednej ręce...

Sznur kołysał się tuż przed moim nosem, objijając się o policzki przy każdym podmuchu wiatru. Z trudem uwolniłam palce prawej dłoni, świadomie odgradzając się od

syku spienionej wody wciągającej mnie pod powierzchnię. Jedną ręką przyciągnęłam węzeł i rozciągnęłam pętlę.

Usłyszałam nad sobą głos Lucasa i zastanowiłam się, dlaczego jest tak drżący i surowy.

- Ro? Na miłość boską, pośpiesz się. Uda ci się. Tylko nie patrz w dół. Obwiąż się sznurem... pociągnij, kiedy będziesz gotowa...

Instynktownie słuchałam poleceń, wślizgując się głową i ramionami w pętlę. Pomagałam sobie jedną ręką, wiedząc, że teraz muszę zwolnić desperacki, gorączkowy uchwyt drugiej dłoni zaczepionej na drzewie i zaufać wyłącznie linie. Gdyby tylko zechciał, mógłby mnie spuścić w wodną kipieli wznoszącą się z każdą sekundą, i tylko czekającą, by wciągnąć mnie w swą wirującą toń.

Słyszałam własne jęki i ciężki oddech, a kiedy rozświetliła się błyskawica, dotarł do mnie jego głos. Czy to możliwe, że zabrzmiała w nim nuta strachu, a nawet rozpacz.

- Puszczaj, Roweno! Trzymaj się teraz sznura, słyszysz? Nie wypuść z rąk liny. Podciągam cię do góry.

Automatycznie wykonałam jego polecenie, czując jak drętwieje mi całe ciało, nie tylko palce. Ale ścisnęłam już sznur z taką siłą, z jaką trzymałam się wcześniej sterzącego drzewa.

Moje ciało posunęło się ku górze - niespodziewanie, radośnie. Co z tego, że kamienna ściana kanionu drapała mnie i raniła? Nawet przez przemoczone ubranie boleśnie czułam zdartą skórę na kolanach, piersiach, a nawet na twarzy.

Rozdarłam o coś spódnice, ale jakie to miało znaczenie? Sunęłam coraz wyżej, pozostawiając w dole rozgniewany, syczący strumień.

- Ro? Wielki Boże, co tu robisz podczas burzy? Czy nikt cię nie ostrzegł?

Poczułam na sobie jego dłonie. Wpijały się w moje poobijane ciało niemal tak boleśnie jak sznur. Padłam twarzą w kałużę wody, oddychając ciężko.

- Leż. Nie ruszaj się.

Ściągnął ze mnie pętlę sznura i pochylił się nade mną.

- Lucas?

- A kogo się, u diabła, spodziewałaś?

Głos miał ochryply i stanowczy, ale jego dłonie z niezwykłą delikatnością odsunęły włosy z mojej twarzy.

- Możesz się podnieść? Tym razem musisz, bo obawiam się, że nie jestem w formie, żeby cię nieść.

Ściszył głos, przemawiając do stojącego nad nami konia. Z siodła zwisała lina, na której mnie tu wciągnął. Nagle pomyślałam o Felice - zgrabnej, bystrej klaczy, która mnie tu przyprowadziła i rozplakałam się gorzko.

- Na Boga! To nie czas i miejsce na histerię! Nie możemy tu zostać na deszczu i wietrze. Czy spróbujesz się podnieść? Trzymaj się mnie.

Chwyciłam go za wyciągniętą rękę, podnosząc się z wysiłkiem na nogi i zastanawiając się, dlaczego się ode mnie odsunął.

- Do diabła! - zaklął cicho i zanim zdążyłam się odezwać, dodał:

- Chodź. Widzisz to ognisko? Utrzymuj równowagę - ruszaj! Chcesz, żeby cię trafił piorun?

Chwiejnym krokiem dotarliśmy do małej chatki, w której trzaskał i buzował ogień. Z trudem przekroczyłam próg i padłam ciężko na brudną podłogę.

Usłyszałam za sobą trzask zamykanych drzwi i z trudem odwracając głowę, dostrzegłam go wreszcie. Gapił się na mnie, nie wierząc własnym oczom.

- Co tu robisz, u licha?

Moją uwagę przyciągnął prowizoryczny bandaż przesiąknięty krwią. Jak to się dzieje, że stracił tyle krwi i wciąż trzyma się a nogach?

- Usłyszałeś mnie... - wydusiłam z siebie, a on zmarszczył czoło i mruknął.

- Szalona kobieto! Przysuń się do ognia i ściągnij to mokre ubranie. Ja muszę zająć się koniem.

- To ty jesteś szalony. Wszystko wokół zakrwawiłeś! Nie zważając na mokre ubranie, podniosłam się na nogi. - Ja zajmę się koniem, jeśli ci na tym zależy. I to ty powinieneś położyć się przy ogniu!

- Czy ty zawsze musisz się ze mną kłócić? - zezłościł się, a kiedy do niego podeszłam, zaklął po angielsku, hiszpańsku i w języku Apaczów.

- Jesteś w gorszym stanie niż ja. Przynajmniej nie krwawię. Zajmę się koniem, tyl-

ko powiedz mi, co mam zrobić.

Zaskoczyła mnie łagodność własnego głosu.

Zbliżyłam się do niego, a on się odsunął. Chwyciłam go za ramię i pociągnęłam za sobą, aż padł przy ogniu i rozdzierająco westchnął.

- Musisz rozsiodłać konia i zaprowadzić go do przybudówki. Ja nie mogę teraz wyjść, a ty nie potrafisz...

- Oczywiście, że potrafię! Potrafię to zrobić. Czy myślisz, że nigdy w życiu nie rozsiodłałam konia?

Pochyliłam się nad nim, by zawiązać bandaż, a on pod dotykiem moich palców zbladł i zacisnął z bólu usta.

- Zrobię wszystko, co potrzeba. Słyszysz? Nie ruszaj się, dopóki nie wrócę.

Kąciki ust zadrżały mu lekko w uśmiechu.

- Tak, pani, słyszę. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy będę mógł się podnieść.

- Nawet nie próbuj - powtórzyłam.

Zdobyłam się na stanowczy ton, chociaż dygotały mi kolana.

- Krwawisz - odezwał się niepewnym głosem.

- To tylko zadrapanie. Zajmę się tym po powrocie.

Z trudem otworzyłam drzwi i wygramoliłam się na zewnątrz, a wichura i ulewa siekły mi twarz. Koń Lucasa stał spokojnie, a jego aksamitne, mokre ciało drżało przy każdym blasku błyskawicy. Poprowadziłam zwierzę - a może to ono mnie zaprowadziło - wokół chaty do przybudówki, prowizorycznej szopy otwartej z obu stron. Zdrętwiałymi palcami udało mi się ściągnąć siodło z cierpliwego konia i wytrzeć go pękiem mokrej słomy. Nie mogłam znaleźć paszy, ale w świetle błyskawicy zauważyłam skrzynię z pokrywą umocowaną zawiasami. Zrobiłam, co miałam zrobić i opuszczając zadaszne schronienie przybudówki zwinęłam się ponownie pod strumieniem wody. Gdzieś niedaleko uderzył piorun, ale starałam się o tym nie myśleć. Przywierając do ściany chaty, skierowałam się ku drzwiom.

Znalazłam się w środku z zamkniętymi oczami i opierając się o drzwi, poczułam ciepło ognia. Nagle ocknęłam się: „Co ja tu robię? Po co tu przybyłam?”.

- Ro? Wszystko w porządku?

- Nie nazywaj mnie tak! - warknęłam, otwierając oczy, zdziwiona, że nie reaguje złością.

Zaskoczył mnie jego stłumiony głos. Podeszłam bliżej i zobaczyłam, że dygoce pod naciągniętym kocem.

- Wciąż krwawisz!

Ruszyłam w jego stronę i pochyliłam się nad nim, zdając sobie sprawę, że ociekam wodą. Mimo ciepła rozchodzącego się z paleniska, zacisnął mocno zęby i przymknął oczy. Odgarnęłam koc i dotknęłam przesiąkniętych krwią bandaży. Twarz wykrzywił mu grymas bólu.

- O, Boże, jesteś taka zimna!

Po chwili dodał tym samym niewyraźnym głosem:

- Ściągnij to mokre ubranie... tam leży... jeszcze jeden koc, tam...

- Nic nie mów!

Miał gorączkę. Czulałam ciepło jego ciała, słyszałam, z jakim trudem oddycha.

Skryłam się w kącie maleńkiej izby i zapominając o wstydzie, odwróciłam się plecami i zrzuciłam mokre, lepkie ubranie - raczej jego strzępy. Podniosłam z podłogi koc i owinęłam się nim starannie.

- Przestań się gapić! - wybuchnęłam ze złością.

Zmrużył oczy, przechylając do ust stojący na podłodze dzbanek.

- Napij się.

Zbliżyłam się i chwyciłam dzbanek, popijając kilka łyków gorącego napoju. Choć całkowicie pozbawiony smaku, omal nie przepalił mi żołądka. Kaszląc i plując z trudem utrzymałam dzban w dłoniach. Spojrzałam na Lucasa przez napływające do oczu łzy, a on roześmiał się, dzwoniąc zębami w dreszczach.

- Och! Ty...

- Lepiej zostaw trochę na później.

- Z przyjemnością wylałabym to na ciebie!

Zakaszła i wykrzywił twarz; pełna skruchy przyklęknęłam przy nim.

- Masz gorączkę. Mokry bandaż tylko może zaszkodzić. Pozwól mi spojrzeć na ranę.

- Niech cię diabli, kobieto! - sapnął ciężko. - Zabierz ode mnie ręce... uff!

Jęknął z bólu i zamknął oczy, kiedy bezlitośnie zerwałam opatrunek.

Na szczęście nie widział mojej twarzy. Z ran po nożu nadal sączyła się krew, ale rana od kuli przedstawiała ohydną dziurę, z której zwisały strzępy czerwonego mięsa.

- O, Boże! Lucas! Trzeba coś z tym zrobić.

- Masz jakiegokolwiek pojęcie... o wyjmowaniu kul? Ona wciąż tam tkwi.

Cedził słowa przez zęby, nie otwierając oczu, a gdy dotknęłam delikatnie rany, syknął głośno. Myślałam przez chwilę, że stracił przytomność.

- Lucas... - nie potrafiłam opanować drżenia głosu.

Otworzył trochę oczy.

- Wsadź... mój nóż w gorące węgle. Sam zamierzałem to zrobić, kiedy... kiedy się spałem... a teraz ty musisz... spróbuj. Słyszysz mnie, Ro?

- Nie! - Potrząsnęłam głową, choć wiedziałam, że nie mam innego wyjścia.

Umrze, jeśli nie wyciągnę tej kuli, a jeśli mi się nie uda i umrze? To wszystko przeze mnie, przeze mnie!

Nocny koszmar sięgnął zenitu podczas następnej godziny. Jedyne źródło światła stanowiła migocąca pomarańczowa poświata ognia. Musiałam się napić. Tym razem alkohol nie palił mi wnętrza, a nawet uspokoił mnie nieco, kiedy próbowałam sobie przypomnieć zawartość grubych medycznych ksiąg, które niegdyś przeczytałam. Tyle że studiowanie podręczników w celu znalezienia odpowiedzi na istotne pytania nie miało nic wspólnego z rzeczywistością. Między jednym a drugim jękiem Lucas pouczał mnie, co robić. Zanim przystąpiłam do działania, wlałam mu do gardła pół dzbanka tequili.

W żaden sposób nie mogłam zmusić się do użycia noża, w obawie że wypadnie mi z drżących palców. Polałam dłonie tequilą i zaciskając zęby, by nie dopuścić do zbliżających się nudności, rozpoczęłam poszukiwanie kuli.

O, Boże - czy kiedykolwiek zapomnę tę chwilę? Krew spływała mi po palcach; wiedziałam, że sprawiam mu ból nie do zniesienia. Nagle ogarnęło mnie przerażenie: a jeśli kula utkwiała w kości, głębiej niż się spodziewaliśmy? Jeśli...

Zamknął oczy, a na jego czole pojawiły się kropelki potu. Spływały po bladej twarzy i sinym policzku naznaczonym ostrzem noża.

Zagryzłam usta tak mocno, że na języku poczułam smak krwi. Chciałam krzyknąć, wrzasnąć: - Lucas! Nie mogę tego zrobić! Nie mogę jej znaleźć! Ale Lucas stracił przytomność, a widząc jego nieruchome ciało, nie wiedziałam, czy żyje. Nie... to niemożliwe, nie pozwolę mu odejść! W tej właśnie chwili natknęłam się na to, czego tak rozpaczliwie szukałam: spłaszczony, obrzydliwy kawałek metalu. Cisnęłam go za siebie, a krople krwi rozprysnęły się na mojej mokrej twarzy. Musiałam teraz powstrzymać krwotok, ale najpierw... Chwyciłam dzbanek z tequilą i polałam ranę czystym alkoholem.

Jego ciało poruszyło się gwałtownie, zamrugał powiekami i zamachnął się ręką, odpychając mnie.

- Niech cię diabli, Lucasie? Nie ruszaj się!

Zaszlochałam cicho. Zbliżyłam się do niego z nożem i pochyliłam nad jego ciałem, pamiętając jak zwinnie wypalił rany na moich palcach. Nie miałam wyjścia i zrobiłam to samo, wstrzymując lekko oddech, gdy swąd przypalanego ciała zaatakował moje nozdrza.

Nie zwróciłam uwagi na ześlizgujący się z mych ramion koc. Tyle jeszcze było do zrobienia. W poobijanym, przypalonym kociołku zagotowałam wodę i zanurzyłam w niej paski materiału oderwane od spódnicy. Obłożyłam nimi ranę i zabandażowałam ją dokładnie, przeciągając opatrunek wokół szyi, krzyżując wokół ręki i na ramieniu. Wtedy dopiero dotarło do mnie, jak boleśnie mam poobijane ciało. Drżałam ze zmęczenia i podierałam się o ściany z wyczerpania.

Ostatkiem sił podniosłam z podłogi koc. Przyłożyłam twarz do piersi Lucasa i z ogromną ulgą usłyszałam szybkie, nieregularne bicie serca. Miał dreszcze, zimne ciało i rzucał się niespokojnie, poruszając głową. Z trudem przykryłam nas kocem, przytulając się do niego. Czułam jak drży i żałowałam, że nie mogę podzielić się z nim ciepłem mego ciała. A potem zasnęłam, a może zemdlałam.

Nie mam pojęcia, po ilu godzinach się obudziłam. Powoli uświadamiałam sobie, gdzie jestem i co się wydarzyło. Zamrugałam oczami i ujrzałam stertę popiołów po zgasłym ognisku.

Lucas zamruczał coś chrapliwie; jego niedawno zimna i wilgotna skóra płonęła z gorąca. Próbował zerwać z siebie koc i mnie odepchnąć.

- Nie pozwolę ci umrzeć, słyszysz mnie, Lucas? - przemówiłam gniewnym głosem, ale wiedziałam, że nic nie słyszy.

Wyczołgałam się spod koca i dorzuciłam drewna do ognia. Drobne, niezbędne czynności - nalewanie wody do kociołka, poszukiwanie kawy - żeby tylko nie oszaleć. Znalazłam kawę w puszcze na jednej z półek, które Lucas zawiesił wzdłuż ściany. Zabrało mi to trochę czasu, ale odkryłam też cukier, fasolę i mąkę, także plaster bekonu zawinięty w kilka warstw gazet.

O dach i drzwi uderzały krople deszczu, w oddali słychać było trzaski piorunów. Gdzieś w dole ponuro, złowieszczo rwała wodna kipiela.

A jeśli zawali się całe zbocze, grzebiąc nas pod masą błota i skał? A jeśli...?

Nie miałam pojęcia, czy wciąż trwa noc, czy nastał już poranek. Nie dbałam o to. Kawa zagotowała się szybko wśród skaczących płomyków. Nalałam jej do kubka i podeszłam do Lucasa, przykrywając go kocem. Dolałam trochę tequili i sama też pociągnęłam kilka łyków. Wykrzywiłam się, kiedy palący napój poparzył mi usta.

Wypiłam nie wszystko. Pod wpływem nagłego zmęczenia odstawiłam kubek i wsunęłam się pod koc. Kręciło mi się w głowie i pogrążyłam się w niespokojnym śnie. Pociłam się z gorąca, choć momentami zdawało mi się, że umieram z zimna.

Obudziłam się z bólem głowy; piekły mnie oczy i miałam wrażenie, że ktoś przywiązał mi ciężary do nóg.

Deszcz nadal dzwonił o dach, ale do wnętrza wdzierało się już blade światło poranka. Po ognisku został tylko popiół; obok jak gdyby nigdy nic stał osmolony sadzą kociołek.

Odwróciłam głowę i spojrzałam prosto w zaspane, przymknięte oczy Lucasa.

- Myślałem, że mi się śnisz! - zamruczał chrapliwie, a ja poczułam jak otacza mnie ramieniem.

Leżałam u jego boku, opierając głowę na zdrowym ramieniu i przylegając do niego całym ciałem.

- Ciepło... nie odchodź, Ro.

Nieświadoma tego, co robię, podniosłam rękę i dotknęłam nieogolonej twarzy Lucasa. Przyłgął do mnie niecierpliwymi, głodnymi ustami. Westchnęłam, jak gdybym

tego właśnie oczekiwała.

Rozdział 28

- Nie odchódź, Roweno... - chrapliwy, drżący szept Lucasa zabrzmiał jak wymówka, ale nie miał dość siły, by trzymać mnie w ramionach tak mocno, jak podczas naszych pocałunków.

Tym razem ja pierwsza wyrwałam się spod rozpaczliwego naporu jego ust. Nie chciałam tego zrobić, ale musiałam; gwałtowna namiętność, którą zrodził dotyk jego warg omal nie doprowadziła mnie do utraty zmysłów. Byliśmy jak zwierzęta tulące się do siebie w poszukiwaniu ciepła, które ustąpiło miejsca pożądaniu. Pragnąc czegoś więcej niż pocałunków, otoczyłam go ramionami, a on zadrżał z bólu.

Czułam rozpaloną, suchą skórę i kiedy odsunęłam się, ciężko łapiąc powietrze, dostrzegłam jego nabiegłe krwią, rozgorączkowane oczy. Nie chciał, abym go opuściła. Podniosłam się, a widząc jego wzrok, przypomniałam sobie zbyt późno, że jestem naga.

- Nie idę daleko. Muszę dorzucić drew do ognia, rozumiesz? Nadal trawi cię gorączka.

Sięgnęłam po koc, ale przytrzymał go.

- Do diabła z ogniem! Wracaj do mnie.

Po chwili zmusił się do wypowiedzenia jeszcze jednego słowa.

- Proszę, Roweno.

Mruknęłam coś niewyraźnie, by pokonać własne wahanie.

- Musimy coś wypić... i zjeść. Potrzebuję jakiegoś ubrania, nie widzisz? Tak... tak mi zimno! - szcęknięły mi zęby.

Usłyszałam jego westchnienie.

- Tam jest koszula. Wisi na kołku przy drzwiach. Czy musisz ją nakładać?

- Jeśli się przeziebię, żadnemu z nas nie wyjdzie to na dobre. - Mój głos nabrał pewności, ale nadal unikałam jego spojrzenia.

Chwyciłam koszulę i wsunęłam ręce w przydługie rękawy, niezgrabnie zapinając guziki.

Zerknęłam na Lucasa przez ramię, ale zamknął już oczy. Ze stosu w kącie izby podniosłam kilka drewnianych szczap i wrzuciłam je do przygasającego ognia. Dmuchałam kilka razy, aż w popiołach zamigotały czerwone ogniki.

Obok stał pusty kociołek, w menażce też nie było już wody. Podeszłam do drzwi, otworzyłam je wprost na grubą ścianę deszczu. Zatrzęsłam się czując na sobie powiew wilgotnego powietrza. Z dachu spływała woda, podstawiłam więc kociołek. Z dołu dobiegł ten sam miarowy ryk spienionych wód, tego samego rwącego potoku, który chciał mnie porwać. I porwałby mnie, gdyby Lucas nie usłyszał mojego wołania. Nagle zdałam sobie sprawę z naszego odosobnienia. Jak byśmy byli ostatnimi ludźmi na Ziemi - jakby świat skurczył się do tej małej chaty, rwącego potoku i silnej ulewy. Pamiętam, jak potężnymi haustami wciągałam świeże, chłodne powietrze, próbując uporządkować kłębiące mi się w głowie myśli. Za plecami usłyszałam monotony głos:

- Zamknij szybko te drzwi, bo za chwilę będzie tu tak mokro jak na zewnątrz.

Zrobiłam krok w tył, zatraskując drzwi, i podeszłam do ognia, który ponownie buchał wesołym płomieniem. Gniewnym ruchem postawiłam kociołek na rozpalonych węglach. Z pewnością przedstawiałam widok godny pożałowania; w obszernej, sięgającej do kolan koszuli z podwiniętymi rękawami, z rozczochranymi włosami i podrapaną, posiniaczoną twarzą. To dziwne, ale nie zależało mi specjalnie na korzystnym wyglądzie. Starannie unikając wzroku Lucasa, nasypałam kawy; widząc patelnię porzuconą niedbale obok ognia, sięgnęłam po plaster bekonu i nóż.

- Roweno, na miłość boską. Czy nie możesz poczekać ze śniadaniem?

Nie zwróciłam uwagi na jego błagalny ton.

- Przestań się zachowywać jak rozpuszczony dzieciak! Jestem głodna, i ty pewnie też.

- Uważaj jak trzymasz nóż, bo znów się skaleczysz.

Spojrzałam na niego zaskoczona. Uniósł się na łokciu, a na bandażu pojawiła się czerwona plama.

- Połóż się.

- Gdybym miał więcej sił - sapnął niemal ze złością - zmusiłbym cię, abyś położyła się obok. Niech cię licho, Ro! Dlaczego uciekasz przede mną jak przerażone źrebie? A

tak, nawiasem mówiąc, co ci przyszło do głowy, by wybierać się tu w taką straszną burzę?

Nie odpowiedziałam. Być może się bałam.

Postawiłam patelnię na ognisku i podeszłam do niego, by poprawić koc.

Podniósł rękę i chwycił palcami moje włosy, pociągając ku sobie. Zesztywniałam, ale tylko delikatnie musnął moje usta. To wystarczyło, by zmiękły mi kolana.

- Nie, Lucasie!

- Dlaczego nie? Dobrze wiesz, że nie mogę cię do niczego zmusić, jeśli sama nie chcesz. To było tylko podziękowanie za to, co dla mnie zrobiłaś.

Nie mogłam przed tym uciec. Już wtedy wiedziałam o tym doskonale, zawsze wiedziałam. Miłość lub nienawiść, ale nie obojętność. Klękłam obok niego, pochyliłam głowę i całowałam go tak długo, aż zapach przypalonego bekonu ściągnął nas na ziemię.

- Czy musisz myśleć o jedzeniu?

- Poczujesz się lepiej, gdy coś przekąsisz - odparowałam.

Mój głos zabrzmiał tak radośnie, że Lucas wykrzywił usta w niechętnym uśmiechu. Wypuścił mnie bez słowa protestu. Pokonaliśmy niewidoczny mur, który nas dzielił; nie było już miejsca na gniew i brak zrozumienia. Czekaliśmy z radością na to, co się wydarzy i w milczącej zgodzie nie wracaliśmy wspomnieniami do przeszłości.

Na śniadanie zjedliśmy przypalony bekon, popijając zbyt mocną kawą. Lucas stwierdził, że nigdy nic mu tak nie smakowało. Pokazał mi, gdzie stoi jeszcze jeden dzban tequili, a ja dolałam jej obficie do kawy, pijąc bez umiaru i radując się.

- Czuję się tak... tak rodzinie. Co chcesz na kolację?

- Czy nie potrafisz myśleć o niczym innym?

Popatrzyłam na Lucasa z udawanym wyrzutem.

- Chcę, byś znów był silny. Patrz, znalazłam fasolę. Chcesz fasolę z bekonem?

- Namocz ją najpierw w wodzie - poradził mi poważnie, wodząc za mną wzrokiem.

Serce zabiło mi szybciej. Byłam szczęśliwa. Nawet gdy, mieszałam wodę z solą i namoczonym skrawkiem materiału obmywałam mu ranę. Nawet kiedy wykrzywił twarz z bólu.

Odeszły w niepamięć duchy przeszłości. Todd, Ramon, Elena. Byliśmy sami, oto-

czeniu deszczem i kanonadą piorunów. Pragnęliśmy siebie, ale czekaliśmy, bo nie było pośpiechu. Czas zatrzymał się w miejscu.

Zamiotłam podłogę, zwiniętym skrawkiem gazety oczyściłam patelnię i nalałam wody do kociołka. Mimo protestów Lucasa zdjęłam ostrożnie koszulę i stawiając czoło burzy, wyszłam na zewnątrz, by nakarmić konia. Podarte strzępy mojego indiańskiego stroju wyschły już przy ogniu, wytarłam się więc nimi po powrocie.

Naga zbliżyłam się do niego, a on chwycił mnie w ramiona. Kochaliśmy się wolno, bez pośpiechu. Przy Lucasie nie czułam żadnych zahamowań, żadnego przymusu. Pożądaliśmy się nawzajem i po raz pierwszy w życiu poznałam smak spełnionego pragnienia.

Przytuleni do siebie zasnęliśmy z wyczerpania. Przebudziliśmy się, by znów się kochać, a potem znów zapadliśmy w sen.

Straciliśmy poczucie czasu. Wiedzieliśmy, że nastał dzień, kiedy dostrzegaliśmy na zewnątrz szare światło, i noc, kiedy światło dogasało. Ugotowałam namoczoną fasolę z plasterkami bekonu; smakowała wyśmienicie. Upiliśmy się tequilą, poznając tajemnice swych ciał. Deszcz padał bez przerwy; czasem łagodny, czasem głośny i gwałtowny jak pieszczoty Lucasa. Bardzo chciałam, aby trwało to wiecznie.

Mimo namiętności, która nas połączyła, z mojej winy wdaliśmy się w sprzeczkę. Chciałam lepiej go poznać, ale brutalnie oświadczył, że nie ma ochoty rozmawiać o przeszłości.

- Wolisz rozmawiać o przyszłości? - Spojrzałam na niego ze złością. - Co zrobimy, kiedy ustanie ulewa, Lucasie? Powiedz, muszę wiedzieć!

- Co musisz wiedzieć? Nie wystarcza ci teraźniejszość?

- Czy jestem taka sama jak kobiety, które wykorzystałeś i porzuciłeś? Tak? Niech cię diabli, chyba mam prawo wiedzieć!

- Roweno... - Odetchnął głęboko i niecierpliwie, irytując mnie jeszcze bardziej.

- Nie jestem dzieckiem. Nie jestem tak naiwna jak Luz, ani tak wyrachowana jak Elena. Dlaczego nie traktujesz mnie jak człowieka?

- A jak cię traktuję? Jesteś tu... przybyłaś z własnej woli, czyż nie? Spytałem cię dlaczego, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Teraz już nie chcę wiedzieć. Jesteś tu. Pragnę cię. Czy nie potrafisz korzystać z każdej chwili?

- Nie! - wrzasnęłam, czując narastającą wściekłość. - Nie potrafię. Czy łączy nas tylko namiętność, Lucasie? To mi nie wystarcza.

- Czego ode mnie chcesz? Nigdy tego nie ujawniłaś. Co mam ci powiedzieć? Wiem, co czuję w tej chwili: pożądanie. Myślę, że zawsze cię pragnąłem, ale mnie odrzucałaś.

- Wiesz dlaczego!

- Więc dlaczego tu jesteś? Powiedz, a może znajdę dla ciebie jakieś wyjaśnienie. Przyłgnałam całym ciałem, krępując mi ruchy.

- Nie wiem. Tak... Ja też cię pragnęłam, ale jestem kobietą, Lucasie. Potrzebuję czegoś więcej. Nic o tobie nie wiem...

- Ani ja o tobie. Na miłość boską, przestań zadawać tyle pytań!

Nie potrafiłam wydusić z siebie pytania, które nie dawało mi spokoju: „Kochasz mnie? Co dla ciebie znaczę?”. Zamiast tego rzuciłam otwarcie:

- Dlaczego nie zapytałeś mnie o moje dziewictwo? Ramon zapytał. Tamtej nocy... zabrał mnie do swojej sypialni i...

- O, Boże! Roweno, to nie ma znaczenia. Słyszysz? To właśnie próbowałam ci powiedzieć. Nie interesuje mnie twoja przeszłość, to już skończone. Liczy się tylko terazniejszość i to, co nas łączy.

- A Elena?

Nie wiem, co mnie podkusiło, by zadać to pytanie, ale zauważyłam, że nagle spochmurniał.

- Dlaczego o nią pytasz?

Niespodziewanym, gwałtownym ruchem odrzucił koc i wstał.

- Lucas...!

- Muszę wyjść na zewnątrz i zająć się Diabolo. Potrzebuję trochę powietrza. Duszę się tutaj.

Ściągnął z kołka żółty płaszcz przeciwdeszczowy i narzucił go na gołe ciało. Zatrzasnął za sobą drzwi, a potem słyszałam tylko stukot deszczu, szum rwącego potoku i trzaskanie ognia.

Leżałam na pogniecionym kocu, powtarzając sobie, jak bardzo nienawidzę i jego, i

siebie. Sama tego chciałam; przyjechałam tu za nim, narzucając mu swoją obecność... Czego się spodziewałam? Kocha Elenę, a ona jest go taka pewna! Zna Lucasa lepiej ode mnie. Ja byłam w zasięgu ręki, więc posiadał mnie tak jak posiadał Flo Jeffords i dziesiątki innych kobiet. Wzdrygnęłam się z obrzydzenia, przypominając sobie, że gotowa byłam błagać o miłosne wyznanie, o prawdziwe uczucie.

A potem powiedziałam sobie z uporem, że jestem z Dangerfieldów i wiem, czego chcę. Nie ustąpię! Pragnęłam Lucasa takim jakim był, bez względu na to, co zrobił. Nie oddam go Elenie. Byłam od niej silniejsza, młodsza i byliśmy sami na tym odludziu.

Podniosłam się, odrzuciłam koc i wyszłam na zewnątrz. Złowieszczo trzasnął piorun, a przy akompaniamencie ochryplego ryku wody i nieprzerwanego stukotu deszczu. Z przestachu i zimna wciągnęłam głęboko powietrze, a podmuch wiatru wbił w moje ciało lodowate igły wody. Przemokłam w ciągu sekundy. Lucas był gdzieś tam, z raną, która dopiero zaczęła się goić. Poczułam się osamotniona i przerażona. A jeśli odjechał? Może znał jakieś sekretne przejście i zdecydował się mnie porzucić? Gdzie się podziewa? Ruszyłam wolnym krokiem naprzód, a ostre krople deszczu wbijały się w moją twarz i obnażone ciało. W jasnoszarym świetle trzymałam się ściany chaty, by nie zgubić drogi.

- Lucas! Lucasie, gdzie jesteś?

Łomot nie ustawał, a ja zastanowiłam się, dlaczego tak się boję.

- Lucas!

Po omacku dotarłam do rogu chaty i niespodziewanie poczułam jak chwyta mnie w pasie.

- Zlituj się, co ty wyprawiasz? - skarcił mnie ostro, ale pociągnął za sobą do niewielkiej przybudówki, gdzie przemoczony Diabolo przeżuwał swoją paszę.

Zaszczękałam zębami z zimna.

- Myślałam... cholernie długo cię nie było!

- Od kiedy to przeklinasz?

- Zawsze kiedy mam ochotę! Zaklnę kiedy zechcę! Niech cię diabli wezmą! Niech cię diabli!

Pchnął mnie pod ścianę, przybliżył twarz i ściągnął czarne brwi.

- Zaklnij jeszcze raz, a cię uderzę! Co w ciebie wstąpiło? W jednej chwili jesteś miękka i uległa, a potem nagle przemieniasz się w wilczycę i pokazujesz pazury.

- Nic na to nie poradzę! To przez ciebie! To ty klniesz bez przerwy...

- To co innego. Jestem mężczyzną.

- Och! Och, ze wszystkich...

- Dlaczego się wreszcie nie zamkniesz?

Był tak mokry jak ja. Woda skapywała mu z włosów na twarz. Nawet usta miał mokre i zimne.

- Po co tu przyszedłeś? - szepnął, dotykając prawie moich ust.

- Bałam się, że nie wrócisz. Byłeś taki wściekły, kiedy mnie opuszczałeś!

- Myślisz, że mógłbym odejść daleko? Nawet gdybym chciał? Szalona kobieto! Pocałunkiem ugasił mój gniewny protest i pozbawił mnie tchu.

- Czy to cię przekonało?

- Lucas...

- Nie. Nic nie mów. Posłuchaj, próbowałem sklecić lepsze schronienie dla Diabolo. Chciałem to zrobić wcześniej, ale zawsze coś mi przeszkadzało. Widzisz, mam tu deski, młotek i gwoździe. Wszystko przemokło, ale to nieważne.

- I postanowiłeś to zrobić właśnie podczas burzy?

- Zapamiętaj sobie lepiej, że robię to, co mi się podoba i kiedy mi się podoba! Zabrzmiało to prawie jak wyzwanie.

- Świetnie. A ty przyjmij do wiadomości fakt, że zamierzam być równie niezależna!

- Przyjąłem to do wiadomości podczas naszej pierwszej rozmowy. Pamiętasz, jak się rozgniewałaś? A potem wybiegłaś za mną jak wariatka, wykrzykując moje imię. Nie wiedziałem, co o tobie myśleć. Nadal nie wiem. Popatrz na siebie! Naga biegasz po deszczu...

- Nie podoba ci się?

Pochylił się nade mną, opierając dłońmi o zabłoconą ścianę, nadal ubrany w ten idiotyczny żółty deszczowiec. Zaśmiałam się prosto w jego zachmurzoną twarz, otoczyłam rękami wilgotne ciało i przytuliłam twarz do jego piersi.

- Uwielbiam twoje ciało - mruknełam. - Zwłaszcza kiedy nie jesteś ubrany.

- Bezwstydna ladacznica! - szepnął gniewnie, ale bez przekonania.

- Nie możesz ukryć faktu, że pragniesz mnie mimo wszystko! - Drażniłam się z nim i mogę przysiąc, że zaczerwienił się zażenowany.

Nie znał się na żartach, jego śmiech przepełniony był najczęściej cynizmem lub gorczyzą. Odkryłam to już wcześniej. Może nigdy nie czuł się młody i beztroski.

- Niech mnie piekło pochłonie, jeśli nie jesteś najbardziej zuchwałą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem! - oznajmił groźnie, lecz gdy przesunęłam dłonią po jego brzuchu i dotknęłam go, odetchnął głęboko, położył mi ręce na ramionach i odsunął od siebie.

- Jeśli zamierzasz tu zostać, możesz pomóc mi przy robocie; jeśli nie, wracaj do chaty i nie przeszkadzaj! - nakazał ochrypłym głosem.

Posłuchałam go potulnie, kiedy zobaczyłam jak ściąga deszczowiec i odrzuca go na bok.

- Ten cholerny płaszcz tylko mi przeszkadza, a i tak przemokłem całkowicie - mruknął, a widząc mój uśmiech, dorzucił. - I nie życzę sobie żadnych dowcipów!

Był uparty, tak uparty jak ja. Dawniej uważałam go za ponurego, zamyślnego i całkowicie bezwzględnego człowieka - wyrzutka społeczeństwa i mordercę, którego należało ścigać. Przypomniałam sobie moje obrzydzenie na wieść, że nie jest prawdziwym synem Eleny, lecz jej kochankiem; powinnam była zachować w sobie gniew i odrazę, a nie dawać się ponieść emocjom. Ale czy mogłam się tego spodziewać, skoro nigdy wcześniej nie doświadczyłam takich doznań? Jednego byłam pewna - Lucas odkrył we mnie potrzeby, o których istnieniu nie miałam pojęcia.

Przyglądałam się ukradkiem jak pracuje z gniewnym wyrazem twarzy, strząsając przy każdym podmuchu wiatru kropelki deszczu z moich rzęs. Nie zdawałam sobie sprawy, jak wspaniałe może być ciało mężczyzny, dopóki nie poznałam jego ciała. Nawet blizny po moich ostrych paznokciach i nożu Ramona czy przesiąknięty krwią bandaż na brązowej skórze nie były w stanie zeszpecić idealnej symetrii ciała i mięśni. Nagle ogarnęła mnie dzika i bezsensowna fala zazdrości. Jak można nie pragnąć takiego mężczyzny? Ile kobiet pożądał i posiadał?

Podniósł na mnie brązowozielone oczy i porozumieliśmy się bez słów. Odłożył

młotek i pudło z gwoździami, chwytając mnie za ramię.

- To szaleństwo tkwić tutaj na deszczu, kiedy w chacie czeka na nas ognisko i ciepły koc.

Wróciliśmy do chatynki.

Kapiąca z naszych ciał woda utworzyła na podłodze kałuże. Szczękałam zębami, nawet moja twarz pozbawiona była czucia. Ale kiedy sięgnęłam ręką po leżącą na podłodze koszulę, aby wytrzeć nią włosy, pociągnął mnie ku sobie na koc przy ogniu.

- Zamoczmy do cna ten koc! Lucas... zaczekaj!

- Nie! - odpowiedział dziko i żarliwie, przyciskając do mnie swoje ciało. - Taką właśnie cię pragnę. Mokrą... z wilgotnymi włosami. Zimną z wierzchu, płonąca w środku. Deszczową czarownicę.

Rozdział 29

Przy poszumie deszczu rozszalała się między nami prawdziwa burza zmysłów. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam takiego natężenia uczuć, takiego rozpustnego wręcz oddania się namiętnościom. Lucas opętał mnie, a ja chciałam opętać jego. Nasze ciała wyznały coś, czego nie ośmielilibyśmy się wyrazić słowami.

Kochaliśmy się. Trudno mi znaleźć inne określenie. Byliśmy sobie równi - mężczyzna i kobieta; nie było nic, czego nie mogliśmy sobie ofiarować. Później, kiedy szaleńcze pożądanie ustąpiło miejsca ciszy, leżeliśmy szczęśliwi razem, wciąż stanowiąc jedność. Wiedziałam, że cokolwiek stanie się w przyszłości, nikt nie odbierze mi tego doznania. Tej niezmiennej chwili zatrzymanej w czasie.

Zasnęliśmy, a gorący, surowy żar przykrywał nasze nagie ciała.

Obudziłam się pierwsza, ale nie drgnęłam nawet, nie chcąc wyrwać go z ciężkiego snu; leżałam spokojnie, rozkoszując się dotykiem jego muskularnego ciała. Nie kryło już przede mną żadnych tajemnic! Znałam je tak dobrze jak własne. Nauczyłam się je podniecać. Poznałam jego smak, zapach i dotyk; moje dłonie i głodne usta zbadały każdą bliznę, każdy cal jego skóry. Czy to możliwe, że byłam tą samą kobietą, którą zwano boginią z marmuru? Jak to się stało, że mając tak ogromną wiedzę i racjonalny, praktyczny

umysł, którym tak się szczyciłam, nie miałam pojęcia o istnieniu otchłani namiętności i uczuć? Nawet jeśli podczas naszego pierwszego zbliżenia tłumiłam w sobie sekretne zahamowania, teraz pozbyłam się ich raz na zawsze. Dlaczego próbowałam unikać prawdy? Kochałam Lucasa Corda - bezwstydnie i szaleńczo, po raz pierwszy w życiu. Czulałam się słaba i bezradna. Dlaczego ze wszystkich mężczyzn pokochałam Lucasa? Dlaczego nie Todda, który swym uporem i pewnością siebie wzbudził moje uczucie; dlaczego nie Marka, który nigdy by mnie nie skrzywdził... dlaczego nie Ramona?

Wpatrując się w pomarańczową łunę ognia i wsłuchując w głęboki, miarowy oddech Lucasa na mojej piersi zastanawiałam się, jak to wszystko się skończy. Pytałam go już wcześniej, ale nadaremnie. Za każdym razem, kiedy zatapiałam się w myślach, w głowie kołatały mi dziesiątki pytań bez odpowiedzi. Zewnętrzny świat niewątpliwie się o nas upomni. Elena. Och, Boże, dlaczego wciąż myślę o Elenie? Powinnam skoncentrować się wyłącznie na Lucasie.

Rozmyślnie wróciłam wspomnieniami do Elmera Bragga, postrzelonego z zasadzki i pozostawionego na łasce losu. Todd Shannon leżący w piachu z purpurową plamą krwi na białej koszuli. Flo i jej losy. I wszyscy pozostali. Powinnam była pogardzać tym człowiekiem i nienawidzić go, tymczasem tuliłam go w ramionach, choć ciało i zmysły podpowiadały mi co innego; na przekór zdrowemu rozsądkowi kochałam go, wiedziałam, że nigdy nie przestanę go kochać. Nie obchodziły mnie żadne zbrodnie. Gdybym mogła z nim zostać, wszystko byłoby inaczej! Lucas mnie kochał - musiał mnie kochać. Ciało mężczyzny nie potrafi kłamać...

Nie okłamie mnie. Dlaczego nie spytałam go wcześniej? Bez cienia wstydu wiedziałam, że bez względu na odpowiedź zawsze pozostanę przy nim. Kiedyś kłóciliśmy się bez przerwy, ale teraz nasz związek przybrał inny charakter; nabrałam pewności siebie, zaufałam mu. Zaczynaj od przeszłości, powiedziałam sobie, bo wciąż jeszcze obawiałam się rozmawiać o przyszłości.

Poruszyłam się niespokojnie i dostrzegłam zaspane, półotwarte oczy Lucasa.

- Czy zawsze tak się wierzisz podczas snu? Co się z tobą dzieje - znowu jesteś głodna?

- Tylko ciekawa czegoś, o co cię nigdy nie zapytałam. Twój dziadek radził mi po-

rozmawiać z tobą, ale...

Poczułam jak sztywnieje i dodałam szybko:

- Lucasie... czy opowiesz mi o Elmerze Braggu? Szeryf w Silver City powiedział...

- Wiem, co mówili. I co myśleli.

Wstrzymałam oddech i usłyszałam jego westchnienie.

- W porządku, Ro. Widzę, że nie daje ci to spokoju. Myślałem, że nigdy o to nie spytasz, ale skoro się zdecydowałaś, nie mogę cię rozczarować. Ale bez względu na to, co usłyszałaś, wiedz, że nie zaatakowałem go z zasadzki. Nie miałem pojęcia, co się stało, dopiero potem...

Nie odezwałam się ani słowem, szczęśliwa, że nadal trzyma mnie w ramionach.

Ciągnął spokojnym głosem:

- Siedziałem w więzieniu, w małym miasteczku w prowincji Sonora, kiedy mnie odszukał i Bóg jeden wie, jak mu się to udało. Wpakowałem się tam w poważne tarapaty. Oświadczyli mi, że zgniję za kratkami, jeśli nie zapłacę kaucji lub nie odpracuję wyroku. Meksykańskie więzienia nie należą do najzdrowszych miejsc na świecie, poza tym przeżuwałem, że postanowili zatrzymać mnie tam do powrotu ich cholernego *alcalde*, który ruszył nad granicę, by sprawdzić jaką nagrodę oferują za moją głowę. A potem pojawił się Bragg. Nie widziałem go od czasu rozprawy w Socorro; był ostatnim człowiekiem, którego mógłbym się spodziewać. Początkowo obawiałem się, że wynajął go Shannon, ale zaczął opowiadać o tobie. Jak przyjechałaś z Anglii, by odzyskać należną ci część rancza, jak wynajęłaś jego usługi. Dodał, że sam nie zna wszystkich faktów tak dobrze jak ja, że potrzebujesz pomocy i rady i że ode mnie zależy, czy poznasz drugą stronę tej historii. Przez cały czas uśmiechał się tajemniczo, jakby chował coś w zanadrzu. Powiedział, że spotkanie z tobą będzie prawdziwie miłą niespodzianką, pamiętam, jak wybuchnął przy tych słowach głośnym śmiechem. Zdenerwował mnie. Wiedział, że mu nie ufam, że uważam go za szaleńca, ale ten facet zawsze był uparty. Spieraliśmy się trochę, a on przypomniał mi, że nie mam wyboru. Obiecał wyciągnąć mnie z więzienia, pod warunkiem że się z tobą spotkam. Prawdę mówiąc... - Lucas wykrzywił ponuro twarz. - Ale potem zastanowiłem się, co się ze mną stanie, jeśli znajdą mnie płatni mordercy Shannona i nie chciałem dłużej czekać. Zawarłem z Braggiem umowę i tej samej nocy byłem

wolny. Przypuszczam, że przekupił strażnika... pewności nie mam, bo go potem nie widziałem. Wolny, z koniem i strzelbą popędziłem jak szalony do granicy.

Uwierzyłam mu. Bóg jeden wie, jak bardzo chciałam mu uwierzyć od samego początku. Teraz, widząc jego poważny wzrok, wyczułam instynktownie, że mówi prawdę.

- Ale Lucas, kto zatem...

- Czy myślisz, że się nad tym nie zastanawiałem? Lub dlaczego szeptał moje imię? Może próbował mnie ostrzec, może dlatego, że ja rozmawiałam z nim ostatni? Do diabła, może mnie podejrzewał? Ale to mógł być każdy, Ro. Ta część świata to doskonała kryjówka dla wyrzutków, bandytów... Dziwię się, że Bragg nie zachował ostrożności, znał przecież teren i niebezpieczeństwa.

Popatrzyliśmy na siebie i nagle mimo żaru buchającego od ognia zadrżałam.

- Myślisz, że to ktoś, kogo znał?

- Lub myślał, że zna. Nie wiem! Gdyby nie poszukiwali mnie żandarmi i szeryfowie po obu stronach granicy, pojechałbym do tego klasztoru, gdzie przebywał i sam wszystko sprawdził.

- Przebywał? Och, Lucas, on nie...

- Nie wiem. Tego wszystkiego dowiedziałem się od Flo.

- Flo...

Z pewnością dostrzegł zmianę na mojej twarzy i wyczuł niekontrolowany odruch obrzydzenia, bo ścisnął mnie mocno i nie rozluźnił uchwytu.

- Wiesz doskonale, że spotykałem się z Flo! Domyśliłaś się pewnie, że o wszystkim mi opowiada.

- Wykorzystywałeś ją!

Dlaczego wspomniał właśnie Flo?

- Tak, wykorzystywałem i nie zamierzam się usprawiedliwiać, Ro. Musiałem wyrównać stare rachunki i zrobiłem to po swojemu. Flo była jednym z nich. Kiedy wróciłem i dowiedziałem się, że porzuciła bogatego męża, zamieszkała ze swym ojcem, rozpytyjąc o mnie - niech to licho, przypomniałem sobie, jak łągała w sądzie, twierdząc, że próbowałem ją zgwałcić, kiedy przez cały czas... w porządku, miała dopiero piętnaście lat - to chciałaś powiedzieć, prawda? Ale wyglądała jak dojrzała kobieta i znała wszystkie

kobiece sztuczki i kłamstwa. Tak, miałem zamiar wykorzystać Flo. Pobić ją jej własną bronią, zemścić się na Shannonie. Domyśliłaś się tego. Tamtej nocy, kiedy z tobą rozmawiałem, rzuciłaś mi to w twarz.

- Po co przyjechałaś? Odzyskałaś wolność i nie musiałaś dotrzymywać obietnicy.

Staralam się zachować spokojny ton, ale mój głos drżał zdradziecko. Dlaczego ten mężczyzna tak na mnie działał? Nawet kiedy wyznał, z jakim wyrachowaniem i zimną krwią wykorzystał słabość charakteru Flo, nie mogłam opanować pożądania.

- Kiedy coś obiecuję, staram się dotrzymać przyrzeczenia. Choć czasami żałuję, że nie posłałem Bragga do wszystkich diabłów. Czy zdajesz sobie sprawę, że od kiedy cię spotkałem mam przez ciebie same kłopoty?

- Och! To nieprawda... Gdybyś nie przybył do Silver City, by zastrzelić Todda...

- Nie masz racji. Do Silver City przywiozłem Ramona, żeby mógł cię poznać. I wtedy rozpętało się piekło.

- Ale byłeś z Flo! Nawet teraz na tę myśl ogarniają mnie mdłości. Kiedy postrzelono Todda, a ja poszłam do hotelu, by ją odnaleźć, jej łóżko... Przyznała się. Wyznała, że była z tobą, że mimo niebezpieczeństwa nie mogłeś bez niej żyć.

Chciałam wyrwać się z jego objęć, ale mnie nie puścił. Mdło mi się zrobiło na wspomnienie Flo, nie mogłam znieść myśli, że ona i on... tak jak my teraz...

- Niech cię diabli, Ro. Zażądałaś ode mnie odpowiedzi, prawda? Nie wiem, co ci nagadała Flo, ale była zdolna do kłamstw. Jeśli uważasz, że poszedłem z nią łóżka, by potem podejść do okna i strzelić do Shannona, jesteś... Masz mnie za idiotę? Chryste, w całym mieście roило się od szeryfów i strzelców Shannona i bez względu na to, jak chciałbym go dopaść, nie miałem zamiaru dostać kulą od jego ludzi, zanim zbliżyłbym się na wystarczającą odległość. Rozmawiałem z Flo, to fakt, ale nigdy nie dałbym się złapać z nią w łóżku w hotelowym pokoju. I powiem ci coś: nie ufałem jej. Nie, to nie ja strzelałem do Shannona. Opuszczałem już miasto, kiedy to się wydarzyło i nie chciałem wracać. Nie ja jeden nienawidziłem tego drania. Każdy mógł to zrobić, ale kiedy dowiedzieli się, że byłem wtedy w mieście, całą winę zwalili na mnie. Gdybym nie przekonał Ramona do ucieczki, złapaliby mnie, a wtedy nikt, nawet ty, nie miałby ochoty na zadawanie pytań.

Powiedział to monotonnym, obojętnym głosem, stwierdzając jedynie fakt, a ja zatręślam się z przerażenia na myśl, do czego mogło dojść.

- Ale... wiedziałaś, co myślą ludzie, a ucieczka Flo tylko pogorszyła sytuację! Czy tego nie rozumiesz? Wszyscy byli pewni, że ty i ona...

- Co to za różnica? I tak wydano już nakaz aresztowania, a kiedy pojawiła się Flo, postanowiłem odegrać się na Shannonie. Nie prosiłem, by do mnie uciekała. Do diabła, to ja uciekałem, i to szybko. Po co miałbym ją ciągnąć ze sobą? Żeby opóźniała ucieczkę? Problem w tym, że zbyt dużo wiedziała. Nie dawała mi spokoju, wypytywała, dokąd jadę, co z nią zrobię. Któregoś dnia powiedziałem jej, że wybieram się do Teksasu, by znaleźć pracę na kolei i jeśli chce zostawić dla mnie wiadomość, może wysłać list pod wskazany adres. Po miesiącu lub dwóch ktoś poinformował mnie, że szuka mnie jakaś kobieta. Dostałem adres hotelu, w którym się zatrzymała, i poszedłem na spotkanie. Z ciekawości. I... - w jego głosie zabrzmiała ponura nuta. - była tam. Opowiedziała mi o swojej ucieczce i że rozpowiadała dokoła, że ucieka ze mną. Ułatwia mi tylko zadanie, tak sobie wtedy pomyślałem. Zabrałem ją ze sobą. Zanim dotarliśmy do Kansas, zdążyliśmy się znienawidzić. Nie odstąpiłem jej temu hochsztaplerowi. Nie należała do mnie. Byli w jej życiu inni mężczyźni. Wszystkim dokoła musiała udowadniać, że żaden jej się nie oprze. Była jak pijawka: zachłanna, chciwa, zaborcza. Już wtedy - niech to diabli - nie obchodziło mnie, co robi, przez jakie łóżka się przetacza. Doszło do tego, że dotykałem ją z obrzydzeniem i nie mogłem znieść jej dotyku. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego została ze mną tak długo! A potem któregoś dnia zasiadłem do gry w karty - tylko dlatego, żeby nie spędzać z nią kolejnego wieczoru. Widziałem jak patrzyła na tego hazardzistę, który prowadził w grze; on też nie odrywał od niej wzroku. Przypuszczam, że rzeczywiście go pragnęła; powiedział, że jest Francuzem, ubrany był znakomicie i wyglądało na to, że ma kupę forsy. Straciłem pulę i zanim się zorientowałem, zaoferowała siebie na spłatę długu. Zabrał ją ze sobą i już myślałem, że się jej pozbyłem. Potem dowiedziałem się o wszystkim i co opowiadają ludzie.

Trzask ognia przerwał głuchą ciszę, a ja poczułam się nagle jakby mnie ktoś przekreślił przez wyżymaczkę. Łańcuch wydarzeń, na pozór ze sobą nie związanych, które przywiodły mnie w to miejsce. Kto próbował zabić Elmera Bragga... i Todda? Czy

„przypadkowa” śmierć Flo była rzeczywiście przypadkiem? Nagle coś zaświtało mi w głowie. Podniosłam wzrok i spojrzałam Lucasowi w twarz.

- Coś sobie przypomniałam. Lucasie, czy znałeś człowieka o nazwisku Pardee?

- Hmm? - Wpatrywał się w płomienie i nie zwrócił uwagi na moje słowa.

Zmrużył oczy, które w świetle ognia zamigotały osobliwą, zielonkawą barwą.

- Masz na myśli Gila Pardee? Tego teksaskiego rewolwerowca, który pracuje dla Shannona?

- Pracował... - Zwilżyłam wargi i ciągnęłam dalej. - Zabiłam go, Lucasie. Tuż przed wyjazdem do Fortu Selden. Jechałam sama, a on próbował mnie zatrzymać. Myślał, że...

Wróciłam wspomnieniami do tamtego dnia, a w uszach zadźwięczały szydercze, obraźliwe słowa Gila Pardee... „Może myślisz, że nie wiem jak sprawić przyjemność kobiecie. Ale ta mała Flo była innego zdania! Łaziła za mną, prosząc o więcej...”. W dniu, w którym strzelano do Todda, a Flo została sama, Pardee stał przed hotelem. Później już go nie zauważyłam. Jeśli był kochankiem Flo, wiedział, że została sama...

- Może to o niczym nie świadczy - szepnęłam. - Dlaczego właśnie Pardee chciałby zabić Todda? Ale ktoś był z Flo w pokoju, w jej łóżku! Czuła się winna, kłamała, płatała się w wyjaśnieniach.

Flo biegnąca korytarzem ogarniała dłonią rozchylający się cienki szlafrok... Jej oczy błyszczały osobliwie, kiedy krzyknęła do mnie: „Czy on nie żyje? Czy papa nie żyje?”.

Flo wiedziała, że Lucas jest w Silver City i że to na niego padnie podejrzenie.

Lucas zmarszczył czoło i spojrzał na mnie zamyślonym wzrokiem.

- Czy to wszystko?

- Powiedziałam ci przecież, że prawdopodobnie to nic nie znaczy - broniłam się. - Ale jeśli Flo myślała, że poślubię Todda i ją wydziedziczę, a ty już wcześniej powiedziałeś jej o swym wyjeździe...

- Kłopot w tym, że ona nie żyje. I Pardee też. Nawet gdyby żyli, kto by mi uwierzył, że jestem niewinny?

W jego głosie nie było gniewu ani rozpacz, a jednak zadrżałam z przejęcia.

- Lucas...

- Daj spokój, Ro. Nie zabiłem Bragga i nie strzelałem do Shannona. Może w innych okolicznościach do tego by doszło. Zbyt często wynajmowałem się za pieniądze, by odczuwać wyrzuty sumienia. A jeśli chodzi o Todda Shannona - tę obietnicę złożyłem bardzo dawno temu. Chcę go zabić, ale nie przez jakieś cholerne okno czy zza pustynnego krzaka. Którego dnia stanę z nim twarzą w twarz i wtedy...

- Nie, nie! Czy nie rozumiesz, że to bez sensu? Wokół Todda zawsze się kręci gromada uzbrojonych ludzi, nawet jeśli go zabijesz, oni zabiją ciebie!

- Czy nie mówiłem ci, że jesteś zbyt gadatliwa?

Otworzyłam usta, by zaprotestować, ale pocałunkiem uciszył moje gniewne argumenty. Już miałam się sprzeciwić, ale poczułam na sobie jego ciało i oddałam się całkowicie zmysłom, zatapiając się w namiętności, pożądaniu i zapomnieniu.

Choć nie znalazłam odpowiedzi na wiele pytań, gotowa byłam pozostać z nim w ustronnej chacie na zawsze; wszechobecny dotąd plusk deszczu i huk piorunów ustawał jednak stopniowo i nieuchronnie. Obudziłam się, kiedy Lucas przykrywał nas kocem; zaspana zauważyłam, że po trzaskającym ogniu pozostały jedynie ślady popiołu. Wiatr przestał łomotać wściekle o drzwi, a gniewny pomruk deszczu przemienił się w stłumiony szept. Dlaczego szczęściu musi zawsze towarzyszyć strach? Radość, którą czerpaliśmy ze swej obecności wydała się nagle taka krucha, jak delikatny kryształ - rozbity bólem, którego nie mogliśmy uniknąć. Trzymałam w ramionach swoją miłość, tuliłam się mocniej do niego w poszukiwaniu otuchy; ale już wtedy zaczął mnie ogarniać zdradziecki lęk i smutek. Nie wiadomo dlaczego, pograżyłam się w cierpieniu.

Część piąta

Pora goryczy

Rozdział 30

Ze szmerem i pomrukami burza układnie przeszła w cisze, przerywaną jedynie wolnym, monotonnym skapywaniem wody z dachu. Zewnętrzny świat wciskał się natrętnie pod drzwi pierwszym promieniem bladego słonecznego światła. Wcześniej czas nie miał dla nas znaczenia, teraz okazało się, że go nam brakuje.

Zapanowało nieznośne napięcie, choć oboje udawaliśmy, że nie istnieje. Lucas biegał niespokojnie po chacie, przestawiając wszystko na półkach, otwierając pudła; kłął, gdy nie znajdował tego, czego szukał. Nieogolona twarz wyglądała tak groźnie, że nie odzywałam się ani słowem, nawet kiedy niezdarnie zaczął wciągać zakrwawione spodnie, podziurawione na udzie w miejscu, gdzie go trafiła kula Ramona. Wiedziałam, że rana w ramieniu sprawia mu ból przy najmniejszym nawet ruchu, ale odwróciłam się i zajęłam przygotowywaniem prowizorycznego posiłku. Brakowało jedzenia, nawet tequila, która uratowała nas przed zimmem. To dlatego musimy wracać... ale dokąd?

Za wszelką cenę starałam się ukryć ból i cierpienie, przybierając maskę chłodnej uprzejmości, która opadła na moment, gdy zauważyłam jak zapina pas z rewolwerem. Dostrzegł mój wzrok i nieznacznie wykrzywił usta w uśmiechu.

Przypomniał mi o kłótni, która nie pozwoliła nam zasnąć ostatniej nocy. Zakończyła się jak zwykle głodnymi, szalonymi pocałunkami Lucasa, zmuszającymi mnie do milczenia; miłosnym zbliżeniem, poza którym nic nie miało znaczenia. Gdy wyczerpani i zmęczeni zapadliśmy w sen, nastawał już świt.

Teraz oświetlało nas popołudniowe słońce, a nic jeszcze nie postanowiliśmy.

Rzuciłam Lucasowi lodowate, poważne spojrzenie w nadziei, że zrozumie.

- Wychodzę na chwilę.

Tym razem nie będę go szukała. Oboje potrzebowaliśmy przestrzeni - chwili samotności i refleksji.

- W porządku - odpowiedziałam, dziwiąc się, że mój głos brzmi tak chłodno i obojętnie.

Wymieniliśmy spojrzenia, a potem wyszedł, zostawiając otwarte drzwi, przez które wpadły promienie światła. Jeszcze jeden znak, pomyślałam ze złością, odgarniając z twarzy kosmyki włosów. Powracał realny świat. Ostatniej nocy to właśnie Lucas powiedział, że musimy być praktyczni. Boże, jak nienawidziłam tego słowa!

- Wielkie nieba, Ro! Dlaczego kobiety nie mają za grosz rozumu? - Przechadzał się wielkimi krokami po maleńkiej izbie, jak uwięziona w klatce śnieżna pantera. - Nie wiesz, co mówisz. Nie mogę żyć w twoim świecie, ani ty w moim. Zauważyłaś to, zanim połączyła nas ta przekłeta burza. Nie mogę cię ze sobą zabrać - natężył głos. - Będziesz opóźniać moją podróż, staniesz się zawadą. I co wtedy?

- A co zrobiłeś z Flo? Powiedziałeś, że zacząłeś ją nienawidzić, a jednak...

- Flo! Nie znaczyła dla mnie nic. Ogrzewała mnie jedynie w łóżku i była moją bronią przeciwko Shannonowi. Czy sądzisz, że ryzykowałbym twoje życie, wiedząc, co spotkało Flo? Szuka mnie połowa „łowców głów” i szeryfów na tym terytorium. W każdym miejscu istnieje niebezpieczeństwo, że ktoś do mnie strzeli, a z tobą u boku...

- Możemy stąd wyjechać, Lucasie. Wysłuchaj mnie! Możemy pojechać gdziekolwiek zechcesz: do Kalifornii, Meksyku, nawet do Europy. Po jakimś czasie wszyscy zapomną.

- Nie. To się nie uda. Nie zamierzam uciekać, ani się ukrywać.

- Przecież właśnie to robisz!

- To co innego.

- Powiedziałeś, że tego pragnął mój ojciec. Zakończenia wendety. Ty chciałeś, abym poślubiła Ramona.

- Za Ramonem nie rozsyłają listów gończych. Martwy punkt.

Zapadła między nami głucha cisza.

- Nie zabiłeś Elmera Bragga - przerwałam milczenie. - Nie strzelałeś do Todda. Nie obchodzi cię, że wszyscy twierdzą inaczej? Nie zastanawiasz się, kto tak starannie przy-

gotował ten spisek, by cała wina spadła na ciebie?

- Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć. Ale nadal chcę zabić Shannona. Ale ty nie chcesz tego słuchać, prawda?

- Nie. Bo nie robisz tego dla siebie, tylko dla Eleny, by pomścić wydarzenia sprzed wielu lat, jeszcze zanim oboje się urodziliśmy. I tego też nie chcesz słuchać, ale powiem ci! Elena, Elena! Za każdym razem, kiedy wypowiadam jej imię, zmieniasz się na twarzy. Ile miałaś lat, kiedy się w niej zakochałeś? Jak długo czekałeś i na co? Czy ona cię kocha? A może najpierw musisz spełnić pewne warunki, na przykład zabić Todda Shannona?

- Ani słowa więcej! - zagroził, ale posunęłam się zbyt daleko, by wszystko odwołać.

- Gdyby cię kochała, nic nie miałoby znaczenia. Wyjechałaby z tobą dokądkolwiek. Dlaczego tego nie zrobiłeś, Lucasie? Na co czekasz?

Położył dłonie na moich ramionach tak mocno, że sprawił mi ból.

- Wystarczy!

- Nie, to jeszcze nie koniec. Czas, abyś spojrział prawdzie w oczy, czas, byś był ze mną uczciwy. Kim jestem dla ciebie, Lucasie? Kolejną kobietą ogrzewającą twoje łóżko? Kolejną bronią przeciw Toddowi Shannonowi? A może jestem jej namiastką?

Pamiętam jak przycisnął mnie do siebie, muskając ustami moje włosy. Wspomnienie tej chwili było jak talizman, rozwiewało moje z wątpienie.

- Przestań, Ro! Przestań torturować siebie i mnie - błagał stłumionym głosem, tak rozpaczliwym jak bicie mego serca. - Nie jestem mężczyzną, jakiego potrzebujesz. Pamiętasz, kiedyś powiedziałas mi, czego oczekujesz od mężczyzny? Ja nie mogę ci tego ofiarować. Nie mogę niczego obiecać. Pytasz o Elenę i kim jesteś dla mnie, a ja mogę jedynie odpowiedzieć, że miłości nie da się zmierzyć. Wydaje mi się, że zawsze kochałem Elenę, ale wiem, że żadnej kobiety nie pragnąłem tak jak ciebie. Czego chcesz ode mnie, Ro? Jesteś jedyną kobietą, która nigdy nie spytała, czy ją kocham. Jesteś jak natarczywe pytanie, na które muszę znaleźć odpowiedź. Ale na razie nie potrafię dać ci żadnej, a przynajmniej nie takiej, jakiej pragniesz. Nie umiem dobierać słów tak składnie jak ty. Nie wiem, jak rozdzielać uczucia i je ważyć.

Przyjęłam wszystko, co mógł mi ofiarować, bojąc się prosić o więcej. Kiedy Lucas obsypywał mnie pocałunkami, trzymał mnie w ramionach i kochał się ze mną namiętnie i żarliwie, powtarzałam sobie, że to wystarczy.

Ale teraz, kiedy promienie słońca oświetliły popielisko, ogarnęły mnie wątpliwości.

Lucas bliski był miłosnego wyznania, a jednak nie postawił się w sytuacji, w której mogłabym zażądać od niego dokonania wyboru. Pragnęłam go, a on nie zaofiarował mi niczego prócz zdawkowego oświadczenia, że troszczy się o mnie, więc musimy się rozstać.

- Nigdzie nie odejdę! - mruknęłam pod nosem. - Wykorzystam każdą broń, każdy nikczemny podstęp i sztuczkę. Zwycięzę. Ona nie może mi go odebrać!

Mimo tych nieugiętych oświadczeń, bałam się jak diabli.

I kiedy po raz pierwszy od czasu mej szalonej eskapady w burzę spojrzałam w ciemne, tajemnicze oczy Eleny Kordes, poczułam mdłości.

Elena, Jesus Montoya i jego milczący kompan Chato wyruszyli na poszukiwania. Zobaczyłam ją, jak zawsze nieskazitelnie piękną, w aksamitnej amazonce kontrastującej kolorem z upiętymi wysoko czarnymi włosami. Trudno było sobie wyobrazić, że to ta sama kobieta, która obserwowała mnie z galerii, gdy opuszczałam dom; jej mizerna teraz twarz i gniewny głos przypomniały mi o władzy tej kobiety nad mężczyzną, którego kochałam. Czy pozwoliła mi odjechać tylko dlatego, że pewna była jego uczucia? Czy szukała go? A może łudziła się, że znajdzie moje szczątki?

Ruszyliśmy im na spotkanie, ale nie dostrzegłam wyrazu twarzy Lucasa. Trzymał mnie przed sobą w siodle, przyciskając do siebie jedną ręką. Wzrok Eleny uświadomił mi mój niechlujny wygląd. Miałam na sobie wyświechtane spodnie Lucasa, przewiązane w pasie czerwoną bandaną, i zbyt obszerną koszulę. Przemokłam do suchej nitki.

- Lucas! Dzięki Bogu! Gdybyś wiedział, jak bardzo się martwiliśmy! Wysłałabym kogoś, sama bym przyjechała, ale powódź...

- Woda opadła na tyle, że Diabolo mógł sprowadzić nas na dół - oznajmił Lucas obojętnym tonem, ale wciąż przyciskał mnie do siebie ramieniem.

W oczach Eleny dostrzegłam triumfalny błysk.

- Ale wróciłeś... oboje jesteście bezpieczni - napomknęła o mnie po chwili namysłu. Uniosłam wyzywająco głowę.

- Nie zamierzam odgrywać roli gospodarza w waszej *haciendzie*, ale skoro się odnaleźliśmy, a wy przemokliście do suchej nitki, może powinniśmy dokończyć to szczęśliwe spotkanie w domu? - Niezręczną chwilę załagodził Jesus Montoya, uśmiechając się sardonicznie pod cienkim, czarnym wąsem.

Czułam się jak więzień eskortowany do celi, mając po obu bokach Elenę i Montoyę oraz Chato. Lekki powiew wiatru przetoczył się przez dolinę, a ja zadrżałam z zimna.

- Biedactwo! Musi ci być zimno. Jak mogłam zapomnieć! - odezwała się troskliwie, ale w jej oczach dostrzegłam drwinę. - Weź mój szal. Lucasie, co z tobą? Powinieneś być lepiej o nią zadbać, jest taka blada i wycieńczona!

Miałam ochotę rzucić jej w twarz ten biały, wełniany szal, ale Lucas już zakładał mi go na ramiona. Przez całą drogę nie odezwał się ani słowem, ale kiedy pochylił nade mną głowę, poczułam jego usta na włosach. Czy chciał rozproszyć moje wątpliwości, a może robił to dla siebie? Poczułam lekki, słodkawy zapach perfum Eleny. Pewna byłam, że subtelnie zaznaczyła swoją obecność, by Lucas nie mógł o niej zapomnieć nawet wtedy, kiedy otaczał ramionami moje ciało.

Z wielkim wysiłkiem zeszliśmy w dół po śliskim, wąskim szlaku wzdłuż kanionu. Przeprowadzenie przez rwący potok wyczerpała nas i przeraziła; rany Lucasa znów zaczęły krwawić. Kiedy podjechaliśmy pod dom, pomógł mi zsiąść z konia i wtedy zauważyłam, że ma śmiertelnie bladą twarz i siania się na nogach.

- Lucas!

Potrząsnął głową ze złością, jakby zaprzeczając mojemu okrzykowi rozpacz.

- Nic mi nie będzie, Ro. Odpocznij. Zobaczymy się później.

Nie zwracałam uwagi na pozostałych.

- Musimy porozmawiać, nie rozumiesz tego? Nie pozwolę, abyś decydował o mojej przyszłości bez...

- Niemądre, szalone dzieciaki! Byliście tacy lekkomyślni! Później dokończycie tę kłótnię. A teraz odpocznijcie i przebierzcie się w jakieś suche ubrania.

Elena skarciła nas jak matka, ale pogarda w jej oczach przeznaczona była dla mnie.

Chciała, abym zdała sobie sprawę z własnego wyglądu; godna pożałowania istota wyłuskana z burzy.

Odwróciłam od niej wzrok i popatrzyłam na Lucasa. Z przymkniętymi powiekami opierał się o filar galerii, a na jego czole lśniły kropelki potu. Co sprawiało mu większy ból: rany czy Elena? Otworzyła się kolejna rana.

- Mam nadzieję, że nie jestem jeszcze zbyt stary, by odgrywać rolę rycerza! Idziemy, señorita Rowena! Do łóżka, a Luz zabawi się w przyzwoitkę!

Zdawało mi się, że Lucas szepce chrapliwym, zmęczonym głosem: „Zostań, Ro...”, ale być może chciałam to usłyszeć, tak jak podczas pierwszej nocy, gdy spaliśmy pod jednym kocem.

Bez względu na to, co powiedział lub chciał powiedzieć, było już za późno. Montoya mocno i zdecydowanie chwycił mnie w ramiona i jak dziecko zaniósł do pokoju. Położył mnie delikatnie w łóżku, a Luz ściągnęła ubranie, przerażona widokiem siniaków i zadrapań, o których już dawno zapomniałam.

- Powinnaś wziąć gorącą kąpiel. Cała drżysz!

Znużona, potrząsnęłam głową, a ona dodała.

- Mogłaś zginąć, wiesz! I tak, Ramon... - zacisnęła usta, jakby zdradziła jakąś tajemnicę. - Przyniosę gorącej wody i umyję cię. I coś ciepłego do picia. Proszę, nie wstawaj.

- Ramon? - Przypomniałam sobie nagle, że nie wyszedł nam na spotkanie. - Luz... co miałaś na myśli?

Podniosłam się na łóżku. Odwróciła się od drzwi, a jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.

- Pojechał cię szukać. Czuł się winny, jak sędzę. Nikt z nas nie wiedział, dopiero następnego dnia... Och, uwierz mi, to była straszna noc. A kolejna okazała się jeszcze gorsza. Elena szalała. Pomyślała, że...

- Luz!

Już wiedziałam.

- Próbował przedrzeć się przez strumień - wiesz, jaki jest piękny i płytki. Ale Chato twierdzi, że to potok rwącej wody wypływającej z głębokiej rozpadliny - albo pień drze-

wa, który znaleźliśmy, powalony przez piorun. Przykro mi, Roweno, że się wygadałam. Jak zwykle nie potrafiłam utrzymać języka za zębami.

Odwróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju. Położyłam się wyczerpana. Czy Lucas złoży całą winę na mnie? A Elena - jak mogła tak udawać? Jej twarz i zachowanie nie wskazywały na najmniejszy ślad rozpaczyny po stracie syna. Może miłość do Lucasa i ulga jego odnalezieniu tak na nią podziałały?

Nagle zapragnęłam odszukać Lucasa i wtulić się w jego ramiona; usiadłam i z powrotem opadłam na poduszkę. A może spojrzy na mnie tak jak Luz? Może już mnie nie nawidził? Znajdę przy nim Elenę, pochylającą się nad jego ciałem. Nie zniosę tego widoku. Może w tym momencie przytula do siebie Elenę, zdając sobie sprawę, że nigdy nie wyrzuci jej ze swych myśli. Boże, po co mnie tu przywiózł? - zadreślałam się.

Luz wróciła z kubkiem gorącej czekolady, ale celowo odwracała ode mnie wzrok.

- Wypij, to cię rozgrzeje. Dolałam trochę whisky.

Czekolada z whisky miała gorzki smak, ale czułam jak powoli rozgrzewa mi wnętrze. Wypiłam ją jednym haustem, nie zważając że parzy mi wargi i język. Przemogłam ból w kościach i ułożyłam się na poduszce.

- Tak, dobrze. Teraz cię umyję, a ty nie myśl o niczym. Nie martw się.

Mimo bezosobowej uprzejmości w głosie, Luz umyła mnie bardzo delikatnie. Pomyślałam, że ma rację. Zadreśnianie się jeszcze nikomu nie wyszło na dobre.

Jutro znów zobaczę Lucasa i zmuszę go do odpowiedzi. Dałam się ponieść fantazji. Darzył mnie uczuciem; czyż nie okazał tego?

Jutro, pomyślałam, i zasnęłam wyczerpana.

Rozdział 31

W nocy nawiedziły mnie senne koszmary. Przez mój sen przewijały się różne dźwięki, jakiś ruch i pomarańczowa łuna ognia. Czułam jak podnosi mnie w szponach gigantyczny ptak, a potem spadałam gdzieś w dół z ogromnej wysokości, sparaliżowana i bezsilna, lądując na ziemi. Zapadłam się w nicość - straszliwą, duszną ciemność - poczułam ciepło i przejmujący chłód. Siedziałam na jakimś wozie wiozącym mnie na gilotynę. Wóz trząsał się i skrzypiał - podniosłam wzrok i ujrzałam kata stojącego na brzegu podestu. Wolnym, groźnym ruchem ściągnął maskę. Ramon... Usłyszałam własny krzyk; ktoś podstawił mi do ust czarę wypełnioną krwią. „Pij...” - zachęcał. - „Pij! To ci pomoże...”.

I wtedy przebudziłam się. Wiedziałam o tym, choć powieki miałam jak z ołowiu i nie mogłam ich otworzyć. Wciąż siedziałam na furze - na wozie śmierci; głowa pękała mi od tych wstrząsów. Wydawało mi się, że nie żyję; podniosłam rękę i dotknęłam szyi. Owszem, żyłam. Poczułam na twarzy podmuch wiatru i jakieś poruszenie. A potem, z wysiłkiem otworzyłam oczy i moje koszmary rozplynęły się w rzeczywistości.

- Przepraszam, tak mi przykro, ale nie było innego wyjścia - dobiegł mnie cichy, pełen wahania głos Luz.

Jej blada twarz nosiła ślady zmęczenia.

- Zrobiłam to dla twojego dobra. Być może wpadłabyś w histerię, nie zrozumiałabyś.

- I dlatego podałaś mi środek nasenny - odezwałam się gardłowym głosem.

Choć nadal bolała mnie głowa, odzyskałam zdolność myślenia.

- To był jedyny sposób! - wykrzyknęła Luz. - Zawsze byłaś taka rozsądna, więc chyba rozumiesz? Czy chciałaś na zawsze pozostać więźniem w dolinie? Bez Ramona...

Przerwałam jej wzburzonym, chrapliwym głosem:

- Czy Lucas wie?

- Lucas? To był jego pomysł.

Odwróciłam od niej twarz i zamknęłam oczy. Ból głowy rozsadzał mi czaszkę. Nie Lucas, tylko nie Lucas, rozpaczał mój umysł, a potem przypominałam sobie jego nieugiętą postawę. Dlaczego nie porozmawiał ze mną? Dlaczego się nawet nie pożegnał?

Czy na widok Eleny przypomniał sobie, do kogo należy jego serce i postanowił pozbyć się mnie jak najszybciej?

Kiedy przestały działać środki nasenne, odzyskałam zimną krew - niegdyś powód do dumy - i zaczęłam myśleć racjonalnie. Tamtej nocy Lucas też stracił przytomność. Może czekolada z środkiem nasennym i moje uprowadzenie były wymysłem Eleny? Nienawidziła mnie, była zazdrosna. Być może zwątpiła w szczerść uczuć Lucasa. Chwyciłam się kurczowo tej myśli, czekając na Jesusa Montoyę, który prawdopodobnie znał odpowiedź na wiele pytań.

Pojazd, który wydawał mi się furą, okazał się małym, skleconym w pośpiechu wozem krytym brezentem. Odkryłam, że śpię obok Luz i że byłam nieprzytomna przez całe dwa dni. Luz odetchnęła z ulgą, widząc że nie kapryszę i zachowuję spokój.

- Jesus niósł cię niemal przez całą drogę. Gdy opuszczaliśmy dolinę, obwiązał się w pasie sznurem i trzymał cię w ramionach. Przez chwilę byłam nawet zazdrosna!

Jak szybko przeminęła namiętna miłość Luz do Lucasa! Czy ja przestanę go kiedykolwiek kochać? Skrywając moje uczucia, stwierdziłam okrutnie:

- Więc teraz kochasz mężczyznę, którego ponoć nienawidziłaś? Czy wkrótce wyjdiesz za mąż?

Spojrzała na mnie zażenowana i oświadczyła:

- Gdy tylko dotrzemy do Meksyku. Jesus jest dla mnie dobry. Przy nim czuję się kobietą. Czy wiesz, że ze wszystkich kobiet, które miał, tylko mnie poprosił o rękę? To coś znaczy. Już nigdy nie będę niewolnicą tej suki, Eleny Kordes. Jesus obiecał mi ogromny dom i własną służbę.

- Wygląda na to, że jest bardzo ambitny i ma śmiałe plany! - mruknęłam ironicznie.
- Czy wiesz, co zamierza zrobić ze mną?

Oznajmiła mi pośpiesznie, że Jesus sam mi to powie, kiedy powróci do naszego prowizorycznego obozowiska z resztą swoich ludzi. Ostrzegła, że Chato ma mnie na oku, a ja zastanowiłam się, dlaczego podejrzewają mnie o chęć ucieczki. Dokąd mogłabym pójść? Wciąż tkwiliśmy w górach, koczując w gęstym lesie. Nie miałam pojęcia, gdzie się znajdujemy i po której stronie leży dolina. Nie chciałam myśleć o Lucasie, który pozostał tam z Eleną. Nie mogłam, bo wprawdzie musiałam odzyskać pewność siebie.

Wzruszyłam ramionami, uspokajając Luz. Choć nadal ostrożna, gawędziła już ze mną po przyjacielsku.

Z perspektywy czasu widzę, że byłam zbyt opanowana. Tak długo żyłam na krawędzi załamania emocjonalnego, że teraz czułam się wyprana z wszelkich uczuć. Utraciłam Lucasa. W głębi serca łudziłam się, że ruszy na poszukiwanie, ale wiedziałam, że tego nie zrobi. Nawet jeśli nie chciał się mnie pozbyć, wzruszył pewnie ramionami na wieść o moim uprowadzeniu i pomyślał, że tak będzie najlepiej dla wszystkich. Znowu zostałam sama - teraz muszę dbać o siebie polegając wyłącznie na własnym sprycie. Nie rozpaczałam nad swym położeniem, lecz po rozmowie z Luz wpadłam w przerażającą apatię. Wkrótce odzyskam upragnioną niezależność, pomyślałam. Montoya liczył na ogromną nagrodę zaoferowaną przez Todda za informację o miejscu mojego pobytu. Jakie to miało znaczenie? Kiedyś pieniądze otworzyły mi drogę do wolności, ale teraz nie dbałam o to. Spłacę Toddowi ten dług i nigdy go nie poślubię. Lucas, któremu ofiarowałam wszystko, odrzucił mnie.

Tego wieczoru do obozu powrócił Jesus Montoya ze swymi *comancheros*. Każdy z nich z bandolierami skrzyżowanymi na piersiach wyglądał jak chodzący skład amunicji.

Wróciłam z Luz do wozu, a po chwili pojawił się tam Montoya, prosząc uprzejmie, abym mu towarzyszyła. Zachowywał się niezwykle łagodnie, a jego czarne oczy lśniły w blasku ogniska. Kiedy chwycił mnie pod ramię i poprowadził przed siebie, jego ludzie przerwali natychmiast rozmowy i śmiech.

Nie ocknęłam się z letargu; czułam jak wodzą po mnie wzrokiem.

- To jest kobieta, za którą Shannon gotów jest wiele zapłacić. Nie wolno jej skrzywdzić. Co więcej - błysnął bielą zębów - zabiję pierwszego, który ją tknie, żeby nie było wątpliwości. Nie będziecie jej traktować jak kolejnego jeńca, ale jak gościa. *Comprehende?*

Montoya najwyraźniej pewien był swej władzy. Pokiwali głowami, mruknęli *si*, ale ciekawość nie zniknęła z ich oczu. Może mnie wzięli za kolejną kobietę Montoyi, ale czy miało to jakieś znaczenie?

Tej nocy Jesus Montoya miał na sobie równie nienaganny strój jak podczas *fiesty*. Kiedy poprowadził mnie w mrok, z dala od ogniska, srebrne ornamenty na jego *charro*

zaiskrzyły się jak gwiazdy.

- Czy trzeba było wystawiać mnie na pokaz?

- Musiałem ich ostrzec. Czasami moi ludzie są nieco impulsywni. I, jak już wspominałem, podziwiam cię szczerze, señorito Roweno.

- Zaiste niezwykły to dowód! - odpaliłam.

Co knuje ten człowiek? Miałam wrażenie, że bawi się ze mną w kotka i myszkę i liczyłam, że wreszcie przejdzie do konkretów.

Montoya zachichotał cicho.

- Ach, pewny jestem, że zrozumiesz, kiedy przemyślisz wszystko od początku. Czy pozwolisz, że zapalę?

Kiwnęłam niecierpliwie głową i przez moment cygaro oświetliło mu twarz.

- Już podczas naszej pierwszej rozmowy odniosłem wrażenie, że jesteś mądrą i sprytną młodą kobietą. Cieszę się, że przyjęłaś to wszystko z takim spokojem. Oczywiście, winien ci jestem przeprosiny za metody, którymi musiałem się posłużyć, aby cię... powiedzmy, uratować. Widzę, z jakim gniewem unosisz głowę, ale wierz mi, to dla twojego dobra!

- Albo dla pieniędzy, które ma pan nadzieję otrzymać za mnie od Todda Shannona?

- Oczywiście, też! Nie jestem filantropem, ale biedakiem który musi zarabiać na życie. Każdy sposób jest dobry. Señor Shannon może sobie pozwolić na taki wydatek. Pewny jestem, że jesteś dla niego tyle warta. Nawet moja uparta przyjaciółka Elena Kor-des musiała przyznać, że po śmierci Ramona... Dla Julio liczy się przede wszystkim jego małe plemię, a nie walka o rodzinną posiadłość... Cóż innego mogliśmy zrobić?

- Był jeszcze Lucas - rzuciłam butnie. - Tak jej zależało, żeby wyswatać mnie z którymś z synów. Dlaczego nie z Lucasem?

Montoya pokiwał głową z przesadną cierpliwością.

- Lucas nie jest synem Eleny. Z pewnością nie zamierzasz ignorować ich... hm, dość niezwykłego związku? Elena wzięła pod uwagę taką możliwość, Lucas odmówił, a on potrafi być uparty.

- Ale...

- Licz się z faktami, señorita. Na pewno dasz sobie z tym radę! Lucas pociągał cię.

Mimo swych szorstkich manier, wie, jak postępować z kobietami. Zapragnął cię, zwłaszcza kiedy dowiedział się, że wychodzisz za Ramona. Bądź realistką. Wydaje ci się, że go kochasz, być może dlatego, że mu się oddałaś. Jak widzisz, jestem szczery. Ale Lucas? Lucas zawsze kochał Elenę, nigdy nie przestanie jej kochać. Pragnie innych kobiet, bierze je - a gdy z nimi kończy, wraca do Eleny. Gdybyś nie była narzeczoną Shannona, nie zwracałby sobie tobą głowy.

- Nie! - krzyknęłam, ale zabrzmiało to cicho i rozpaczliwie. - Kłamie pan, a Elena zaaranżowała to wszystko z zazdrości. Bała się, że Lucas... że Lucas i ja...

- Złóścisz się, bo chciałabyś w to wierzyć! - przerwał brutalnie Montoya, a dym z jego cygara uderzył mnie w nozdrza. - Celowo odsuwasz od siebie prawdę, ale myślę, że zawsze wiedziałaś, iż związek Lucasem do niczego nie prowadzi, co najwyżej do bólu i nieszczęścia. Na co liczyłaś? Że się z tobą ożeni? - Odczytując odpowiedź z mojej twarzy, Montoya parsknął szyderczym śmiechem. - *Por Dios!* Co za naiwność. Kobieta z takim charakterem i z taką klasą... Czy mogłabyś dzielić się nim z inną kobietą, zbierać resztki jego uczuć? Czy chciałabyś żyć jak więzień, jak moja biedna Luz i znosić kaprysy Eleny? Elena to bardzo silna kobieta, silniejsza od ciebie. Lucas robi dla niej wszystko, rozumiesz maleńka?

Potrząsałam głową na znak, że się z nim nie zgadzam, aż złapał moją dłoń w stalowy uścisk.

- Czy muszę ci to wszystko tłumaczyć od nowa? Nienawidzisz Eleny i obwiniasz ją za wszystko, ale choć ona także nie darzy cię sympatią, nadal ma silne poczucie obowiązku względem twego ojca. Dlatego zgodziła się na twoje odejście. Możesz uważać się za szczęściarę! Gdyby poprosiła Lucasa, by cię poślubił, zrobiłby to... dla niej, rozumiesz? A jeśli mowa o Lucasie, to on jest już trupem. To tak jakby, już nie żył. Ja jestem ostrożny, ale Lucas to narwaniec, nawet kiedy siedzi mu na karku zgraja płatnych morderców. Myśli, że zabije Shannona, ale to Shannon dopadnie go pierwszy. To jest... jak to się mówi? Nieuniknione. Póki jednak jest żywy, należy do Eleny.

Porzuciłam apatię. Byłam chora z rozpacz. Każde zjadliwe słowo Jesusa Montoyi przebijało mnie jak strzała.

Musiałam się zachwiać, bo natychmiast poczułam w pasie jego uścisk.

- Rozumiem, że nie chcesz tego słuchać, ale musiałem to powiedzieć ze względu na ciebie - odezwał się cicho. Zabiorę cię teraz do wozu, a ty zastanów się nad tym i popłacz sobie trochę. Płacz wychodzi kobiecie na zdrowie. A potem, kiedy odzyskasz zdrowy rozsądek, spróbujesz zapomnieć o Lucasie. Zapomnij o wszystkim, co cię spotkało, wyjdź za Shannona i żyj jak królowa. Może któregoś dnia wspomnisz o mnie jak o przyjacielu.

Montoya nazwał się przyjacielem. Mijały dni, a my posuwaliśmy się szlakiem przemytników do Meksyku. Zaciekawilo mnie, dlaczego ten osobliwy, tajemniczy człowiek, szaleniec bez skrupułów zaofiarował mi swoją przyjaźń. Czego ode mnie chciał?

Poradził mi, bym zapomniała o Lucasie, a jednak z wyraźnie przewrotną przyjemnością przypominał mi o mojej naiwności. W końcu nie byłam pierwszą kobietą, która pociąg fizyczny pomyliła z miłością. Żal i ból, z którymi nie potrafiłam sobie poradzić, były za to karą. Nie szalałam z rozpacz. Przekonywałam się, że słusznie od samego początku nienawidziłam Lucasa, pogardzałam nim teraz, pogardzałam własną słabością. Z upływem czasu przekonywałam się coraz bardziej, jak niewiele dla niego znaczyłam.

Któregoś dnia dowiedziałam się, że Montoya obiecał rozprować srebro przywiezione do doliny owego feralnego dnia.

- A więc znów jesteście przyjaciółmi? - spytałam cierpko. - Przypuszczam, że podzieli się pan pieniędzmi z mojego okupu.

Zaśmiał się lekko i spojrzał na mnie uważnie czarnymi oczyma.

- Oczywiście. Dlaczego nie, skoro był to pomysł Lucasa? Nie bądź taka oburzona, chyba się tego domyślałaś? Mówią, że miłość do pieniędzy jednoczy dziwnych ludzi. - Ściszył głos i zamyślił się. - Pieniądze, miłość, nienawiść - to najsilniejsze emocje, si? Z nienawiścią pojawia się pragnienie zemsty. Lucasem kierują te wszystkie motywy; nie wolno ci go zbyt za to winić. Każdy jest taki, jaki jest! Teraz rozumiesz?

Czułam jak krew odpływa mi z twarzy.

- Chce mi pan wmówić, że to wszystko było jedynie zemstą?

- Dokładnie tak. Nigdy ci to nie przyszło do głowy? Lucas kocha Elenę, choć może się do tego nie przyznaje. A Elena ma kosztowne zachcianki. A nienawiść? Wiesz, że nienawidzi Shannona, który był twoim narzeczonym. Czy jest lepsza zemsta niż zmusze-

nie go do zapłaty okupu, a potem poinformowanie go, że cię posiadł?

- Nie zrobiłby tego! Nie posunąłby się tak daleko... nie, señor. Nadweręża pan moją zdolność rozumowania!

Chciałam, by moje słowa były stanowcze i pogardliwe, ale zabrzmiały żałośnie i wyzywająco.

- Jesteś taka dumna! - westchnął Montoya, kiedy podniosłam się i ruszyłam w stronę wozu, w którym sypiałam w nocy z Luz.

Zza pleców usłyszałam jego cichy, pełen współczucia głos:

- To jeden z powodów, dla którego cię tak podziwiam. Zaczynij myśleć racjonalnie. Któregoś dnia, *niña*, podziękujesz mi za tę szczerłość.

Nawet teraz nie chcę wracać wspomnieniami do tych nie kończących się dni, długich, bezsennych nocy. Po raz pierwszy w życiu spotkało mnie takie rozczarowanie, taka udręka, że prawie błagałam niebiosa o śmierć. Byłam na krawędzi wytrzymałości, oszłamiona bólem i cierpieniem; nie dbałam już o to, co się ze mną stanie.

Luz okazywała mi współczucie, ale nawet ona przypominała moje uprzednie rady.

- Wiesz sama, że Lucas zawsze był egoistą. Łatwo jest zapomnieć, kiedy pojawia się ktoś, kto cię naprawdę pragnie? Jestem szczęśliwa i ciebie też to spotka, jeśli uzmysłowisz sobie, że ta ucieczka była konieczna.

Przemawiała do mnie tak rozważnie jak zameżna kobieta, a już po chwili z błyskiem w oku opisywała wspaniałą rezydencję, do której zabiera ją Montoya, suknie i biżuterię, które jej obiecał.

Dlaczego zadręczam się wspomnieniami, o których należało zapomnieć? Dlaczego nie pogodziłam się z faktem, że zostałam zdradzona? Przecież Lucas niczego mi nie obiecywał, szeptał jedynie, że mnie pragnie. Jego gniewne słowa, kiedy pocałowałam go owego popołudnia i zmusiłam, by odpowiedział mi pocałunkiem, nawiedzały mnie niczym upiory. „Jeszcze nie spotkałem kobiety, która by mnie nie znudziła po krótkim czasie... A jak już się z tobą rozprawię, poinformuję Shannona, gdzie jesteś. Zapłacą okup, by cię odzyskać. Dostanie cię nieco przybrudzoną i napoczętą, ale dla niego w sam raz!"

O, tak. Ostrzegł mnie. I co najgorsze sobie tylko mogłam przypisać winę.

Rozdział 32

Nie rozumiałam, dlaczego muszę odbyć taki kawał drogi do Meksyku, by, jak to nazwał Montoya, po dokonaniu „transakcji” przyjechać tu z powrotem. Wyjaśnił mi jednak pobłażliwie, że takie środki bezpieczeństwa są niezbędne, gdyż nie ufa Shannonowi.

- Jeśli zorganizujemy spotkanie na terytorium Stanów Zjednoczonych, nic nie powstrzyma Shannona od przyjazdu z szeryfem, który mnie aresztuje. Jestem bardzo przeźornym człowiekiem. W Meksyku spotkamy się na neutralnym terenie. To chyba dobry warunek?

- Jak zwykle wyraża się pan bardzo jasno - wycedziłam.

Znów przywdziałam maskę chłodnej obojętności, a Montoya był wyraźnie z tego zadowolony.

- Dziś w nocy przekroczymy granicę - uspokoił mnie, jakbym swymi pytaniami wyrażała niecierpliwość i chęć powrotu do domu, do bezpiecznych i znajomych miejsc. - Jutro wyślemy wiadomość do Shannona, informując go, że jesteś zdrowa i bezpieczna; że nie możesz doczekać się powrotu. Może wolisz napisać list własnoręcznie, żeby nie było nieporozumień?

Wzruszyłam ramionami. Jeszcze jeden tydzień oczekiwania. Czy to ma jakieś znaczenie? Zostało mi kilka dni na przygotowania, na nabranie sił...

To prawda, że przestałam ufać własnym emocjom. Nie przyznawałam się do tego, leżąc w ramionach kochanka. Pomyliłam pożądanie z miłością, a miłość stała się pretekstem dla namiętności. Miłość! Słowo, którym zawsze pogardzałam. Poczucie bezradności, oszołomienia; uczucie, które raniło.

A jednak mimo próby racjonalnego myślenia i surowej samokrytyki, nie mogłam pozbyć się bólu, który uderzał mnie jak nóż prosto w serce, ilekroć go wspominałam, ilekroć słyszałam jego imię. Po co miałam zachowywać zdrowy rozsądek i oskarżać szatana Dangerfieldów w mojej krwi, skoro nie mogłam pozbyć się uczucia? Lucas, Lucas! Widok jego ciała połączonego z moim ciałem, jego ust na moich piersiach i udach, kiedy szeptał chrapliwie, że jestem piękna, że mnie pragnie. Deszcz i ogień. Chłód i żar. Lucas obsypujący mnie głodnymi, szalonymi pocałunkami i jego słowa: „Czy to nic dla ciebie

nie znaczy?". Ale co to znaczyło dla niego, poza zaspokojeniem zwykłej chwilowej żądzy?

Niezależnie od tego, jak bym nazywała to uczucie, nadal mnie raniło i osłabiało. Przywdziewałam na twarz sztywną maskę, nie zdradzając żadnych uczuć; ale wewnątrz nie było już śladu obojętności.

Pewna jestem, że Jesus Montoya podejrzewał, co kryje się pod tą zimną, obojętną fasadą. Zdradziłam się przed nim już wcześniej, a on nie zapominał tak łatwo.

Kiedyś oskarżyłam go o wykorzystywanie słabości innych dla własnych korzyści. Tak jak oczekiwałam, uśmiechnął się tylko, błyskając bielą zębów.

- Dlaczego nie, droga señorito! Słabość wroga czyni nas silnymi - siła daje władzę. Twój partner, Shannon, odkrył to już dawno. Oczywiście pieniądze pomagają. - Wzruszył z dezaprobatą ramionami. Urodziłaś się w bogactwie i przepychu. To dla ciebie chleb powszedni, prawda? Tylko bogaci mogą stwierdzić uczciwie, że pieniądze nie mają dla nich żadnego znaczenia i gotowi są z nich zrezygnować na rzecz wyższych celów.

- Nie wiedziałam, że z pana taki filozof - zauważyłam złośliwie, a on uśmiechnął się cierpko.

- Miło z twojej strony, że tak to nazywasz. Ja jestem realistą. Urodziłem się w rodzinie ubogiego wieśniaka, który pracował na polu Don Emiliano - człowieka niezwykle dumnego, szcycącego się hiszpańskim rodowodem i znakomitą rodziną. Miał córki - piękne, delikatne, równie aroganckie jak on sam. Tak - ci młodzi donowie mogli do woli uganiać się za chłopkami na polu, wykorzystywać je, a potem wracać radośnie do swych wspaniałych rezydencji. To, jak wiesz, było zjawiskiem powszechnym. Ale *vaquero* nie mógł spojrzeć na córkę *hacendado* śmiałym wzrokiem, nawet jeśli sama go prowokowała i starała się... och, to nie ma znaczenia. Prosty *vaquero*, syn wieśniaka - tacy są mniej ważni od rasowych koni *hacendado*. Są jak psy, które można wychłostać za nieposłuszeństwo. Niektórzy, jak wykastrowane woły, chylą kark na widok patrona, płaszczą się, by dowieść swej marności. Ale pozostali to ludzie dumni, ambitni i zachłanni; to, co miało być karą, może okazać się podniecią, bodźcem. Kiedy ktoś jest biedny przez całe życie, zaczyna rozumieć znaczenie pieniędzy i ich siłę. A teraz to ja jestem właścicielem *estancia*, która niegdyś należała do hiszpańskiego dona. Wziąłem wszystko, co niegdyś do

niego należało, nawet jego córki i tłustą żonę. Niestety, biedny Don Emiliano miał nieszczęśliwy wypadek i nie dożył tych niewiarygodnych przemian.

Przerwał, oczekując mojej reakcji, a potem parsknął bezgłośnie śmiechem.

- Widzę, że zainteresowała cię moja przypowieść. Czy nauczyła cię czegoś? Otworzyła ci oczy? Señorita, są ludzie, którzy zrobią wszystko dla pieniędzy i tego, co można za nie zdobyć. Wygodę, władzę...

- Pieniądze korumpują!

- Tak. Nawet nieprzekupnych. Czy wiesz co to oznacza?

Spojrzałam mu prosto w oczy.

- Myślę, señor, że próbuje mnie pan pouczyć lub ostrzec. Nazwał się pan niegdyś moim przyjacielem, proszę zatem o szczerłość. Czy mogę na to liczyć?

- Pewna jesteś, że wytrzymasz większą dawkę szczerłości? Nie chcę, byś myślała, że celowo rzucam cię w ramiona Shannona.

Serce zabiło mi mocniej. Chciałam go wysłuchać, a jednocześnie obawiałam się.

- Co pan ma na myśli, señor? Czy woli pan uniki i półsłówka? Bo jeśli jest pan prawdziwym przyjacielem, wyzna mi pan nagą prawdę.

Nigdy nie zapomnę jego wzroku. Kpiarskiego - na wpół figlarnego, na wpół badawczego.

- Prawdę, powiadasz. Gotowa jesteś stawić jej czoło? W porządku. Czy widziałaś uzupełnienie testamentu twego ojca? Czy Lucas ci niczego nie powiedział? Dziwisz się? Stwierdzam, że był taki dokument. Część jego to list pełen życzeń. Kiedy dowiedziałem się, że masz poślubić Ramona, pewny byłem, że o nim wiesz. Radzę ci, abyś po powrocie przeszukała wszystko starannie. I żebyś nie była taka łatwowierna. Jeśli będziesz potrzebować pomocy, daj mi znać.

- Oczywiście nie za darmo - zauważyłam gorzko.

Kiwnął głową.

- Oczywiście. Ale co znaczy kilka dolarów między przyjaciółmi? Bo mam przecucie, señorita - możesz nazwać to intuicją, że kiedy poznasz swych wrogów, będziesz potrzebować przyjaciół.

- A... - wciągnęłam głęboko powietrze i uspokoiłam głos. - Czy Lucas jest teraz

moim wrogiem?

Montoya wzruszył ramionami.

- Lucas nigdy nikomu nie zdradził swych myśli. Myślę, że sam dla siebie jest najgorszym wrogiem. Ale gdybyś postanowiła rzeczywiście poślubić Shannona, bez skrpułów uczyniłby cię wdową. A potem... czy niczego nie rozumiesz? Ranczo, wszystko należałoby do ciebie. Twój drugi mąż byłby nie lada szczęściarzem, prawda?

To było niczym cios, ale tym razem nie dałam po sobie poznać, jaki wpływ wywarły na mnie jego słowa. Nie, pomyślałam żarliwie. To, co sugerował Montoya było zbyt przebiegłe, zbyt nieprawdopodobne - a może tylko dokładnie wyrachowane? Postanowili zagrać nie tylko o mój spadek i część SD, ale o całość? A może do tego planu pchnęła ich moja nie skrywana namiętność do Lucasa? Ich - Elenę i Lucasa. Czarna królowa i jej rycerz. A w tej grze zawodowców ja jestem tylko pionkiem. Ale gdzie jest miejsce Montoyi? Jaką odgrywa rolę?

Ten człowiek zaskakiwał mnie na każdym kroku. Opowiadał mi przypowieści o zemście i ambicjach kierujących ludźmi. (Co stało się ze ślicznymi córkami Don Emilia-no? Nie śmiałam zapytać.) Miał zamiar oddać mnie Toddowi, ale dał do zrozumienia, że ślub z nim nie będzie najszcześniejszym posunięciem. Ostrzegł mnie przed Lucasem i Eleną, ale nazywał się ich przyjacielem. Jednocześnie uważał się za mojego przyjaciela. Czego chciał tak naprawdę?

- Oczywiście, pieniędzy! - odpowiedział szyderczo. - Nie jestem młodzieniaszkiem. Żenię się z kobietą, która urodzi mi dzieci. Dlaczego miałbym nie myśleć o pewnej stabilizacji..., można to nazwać przejściem na emeryturę? Podziwiam cię, señorita. Czyż nie zauważyłem podczas naszego pierwszego spotkania, że nie jesteś zwykłą, zastraszoną kobietą? Masz wszystkie zalety: inteligencję, urodę, pozycję i majątek. Szkoda, by się to wszystko zmarnowało.

- Zapomniał pan o ambicji - syknęłam. - I pragnieniu władzy. Dlaczego myśli pan, że zamierzam mieszać się w tę plugawą historię? Przyjechałam tu, bo tak życzył sobie mój ojciec. Chciałam się czegoś więcej o nim dowiedzieć. Pragnęłam wypocząć, rozmyślać i... odnaleźć samą siebie. A zamiast tego wplątałam się w jakąś wendetę, która mnie w ogóle nie dotyczy. W przemoc. Odkryłam, że to, czego pragnę, jest dla mnie nieosią-

galne, mimo wszystkich moich zalet. Niedobrze mi się robi na myśl o tych manipulacjach. O wykorzystywaniu mojej osoby do realizacji cudzych ambicji! SD nic dla mnie nie znaczy, bo niby dlaczego miałyby znaczyć? To nie mój kraj, to nie moje waśnie. Jeśli mam wykorzystać inteligencję, którą pan tak we mnie podziwia, powinnam jak najszybciej wyjechać do świata cywilizowanych ludzi. Być może wrócę do Indii, tak jak kiedyś planowałam.

- Czy tymi słowami chcesz przekonać siebie czy mnie? - Mimo jedwabistego tonu głos Montoyi stwardniał jak stal. - Czy nadal chcesz się oszukiwać? Mówisz o ucieczce od kłopotów, bo tkwisz w nich po uszy. Od chwili przyjazdu tutaj uciekasz od nieopisannej nudy! Czy do tego chcesz wracać?

Wbiłam w niego wzrok, a on ciągnął cichym, znaczącym głosem.

- A te wszystkie pytania, na które nie znalazłaś odpowiedzi... nie jesteś ciekawa, dlaczego twój ojciec postanowił nieoczekiwanie sporządzić uzupełnienie testamentu, kodycył, o którym nie masz pojęcia. Był też list napisany tuż przed jego śmiercią... i jego też nie widziałaś? Nie ciekawi cię, dlaczego ukryto przed tobą te fakty i kto na tym skorzystał? Albo dlaczego twój ojciec zmarł nagle, tuż przed twoim przyjazdem, z przedawkowania laudanum? Cierpiał, to prawda, ale przyzwyczajony był do bólu i cieszył się na twój przyjazd... Dlaczego stchórzył w ostatnim momencie? To wszystko zainteresowało pana Bragga, ale ciekawość wpakowała go w zasadzkę. I co? Zbladłaś, a twoje oczy wypełnia przerażenie. A może strach? Obawiasz się, co jeszcze możesz odkryć?

Są takie momenty w przeszłości, pewne fakty, które nawet teraz wspominam z bólem. Muszę się podnieść i przespacerować po bezpiecznym, znajomym pokoju, by przypomnieć sobie, że żyję w teraźniejszości. Gdy siadam przy biurku i chwytam za pióro, z niechęcią piszę o tym, co się wydarzyło. A jednak takie sobie postawiłam zadanie, więc muszę je wypełnić do końca. Bo tamtego dnia, podczas rozmowy z Jesusem Montoyą nastąpiła we mnie zasadnicza zmiana. Dokonałam wyboru, a tym samym stanęłam w obliczu okrutnej rzeczywistości. Przyznałam się do słabości i odnalazłam zagubioną gdzieś siłę. Teraz widzę to dokładnie, ale wtedy czułam jedynie odrętwienie, które pozwoliło mi przetrwać nadchodzące dni.

Montoya był ze mnie zadowolony, Luz na przemian zaintrygowana i zazdrosna, ale

jak zwykle prezenty Montoyi odciągały jej uwagę; wkrótce miała zostać panią we wspaniałej rezydencji z rojem służby naokoło.

Jeden z wozów *comancheros* wiózł stertę tandetnych kobiecych strojów, zdobytych Bóg jeden wie gdzie lub za jaką cenę. Luz paradowała dumnie jak paw w nowych sukniach, a jej stosunek do mnie przybrał formę opiekuńczości, a nawet współczucia.

Przez krótki czas, zanim Montoya znalazł księdza, który udzielił im ślubu, odgrywałam rolę *dueñy*. Rzecz jasna, nie wspomniałam Luz o rozmowie z jej *novio* na dzień przed moim odjazdem. Kiedy Luz spała w swojej sypialni podczas sjesty, zaskoczył mnie zapraszając na kieliszek wina. Przyglądał mi się bacznie znad kieliszka osobliwym, pełnym żalu wzrokiem.

- Szkoda, że musisz jechać. Przemieniłaś moją Luz w damę, a mnie... mnie będzie brakować naszych pogawędek - ciągnął wolno, nie spuszczać ze mnie oczu. - Gdybym miał szczęście spotkać cię wcześniej, w innych okolicznościach, sam bym się z tobą ożenił. To dopiero byłoby wyzwanie!

- Nie mówiąc już o tym, czego taki ambitny i utalentowany mężczyzna mógłby dokonać z moim majątkiem - odparłam złośliwie.

Zmierzyliśmy się wzrokiem, a on parsknął bezgłośnym śmiechem.

- Oczywiście. To także. Ale prawdziwym wyzwaniem byłoby zdobycie kobiety takiej ty, przebicie się przez tę maskę chłodu i rezerwy!

- Odebrał mi pan już wszystkie złudzenia, señor, obawiam się więc, że zdobycie mnie jest zadaniem niewykonalnym.

Westchnął z przesadnym żalem.

- To prawda. Lepiej pozostanmy przyjaciółmi. Zgodnie z twoją prośbą, dowiem się, co przytrafiło się temu ciekawskiemu panu Braggowi. Ty rozwiążesz resztę zagadki, a potem porównamy wyniki.

Nie przyznałam się, że ta perspektywa napawała mnie strachem. Myślałam tylko o najbliższej przyszłości - o spotkaniu z Toddem Shannonem i naszych pierwszych reakcjach.

Nie miałam zbyt wiele czasu na przypuszczenia. Owej nocy leżałam w łóżku i wsłuchiwałam się w nikłe odgłosy biesiady, dochodzące z wioski u podnóża góry. Lu-

dzie Montoyi powrócili z za granicy z łupem i jeńcami. Nie mogłam zasnąć z powodu hałasu i upału. Otaczała mnie przemoc. Ukryta za pozornym uśmiechem, czyhająca za plecami spokojnego, wiosennego poranka.

Poruszyłam się niespokojnie. Jak Luz może spać, kiedy jej narzeczony jest tam z resztą swoich ludzi? W pewnej chwili, gotowa jestem przysiąc, usłyszałam kobiecy krzyk. Wcześniej Luz wzruszając ramionami przypomniała mi, że jej ojciec także należał do *comancheros*.

- Zawsze tak jest, kiedy wracają. Co w tym złego? Mężczyźni to mężczyźni.

- Ale twój jest z nimi! - Nie mogłam powstrzymać się od ostrego tonu, ale ona znów wzruszyła ramionami.

- On też jest mężczyzną i cieszę się z tego. To nie ma dla mnie żadnego znaczenia, bo każdego dnia wspina się na to wzgórze i wraca do mnie.

Dlaczego nie potrafiłam wyrobić w sobie takiej filozoficznej postawy? Nie mogłam zapomnieć o tym, co powinno być rzucone w niepamięć.

W końcu zmorzył mnie sen. Obudziłam się późno, kiedy zdenerwowana pokojówka przyniosła mi kawę. Potem nie było już czasu na rozmyślanie, bo przygotowywałam się do drogi. - To krótka podróż, kilka godzin do wyznaczonego miejsca - poinformował mnie Montoya.

Spodziewałam się Todda i już uzbroiłam się na wypadek jego pytającego wzroku, ale zamiast niego ujrzałam Marka i pięciu ludzi z SD, wiozących w skórzanych torbach złoto - zgodnie z warunkiem Montoyi.

Biedny Mark! Jego twarz była mizerna i blada ze zmęczenia, ale na mój widok w jego oczach pojawiły się lęk i ulga.

Czułam, jak jest mi bliski - mój jedyny przyjaciel, człowiek, któremu mogłam ufać.

Widząc mnie, ściągnął z głowy kapelusz, a jego blond włosy załśniły w promieniach słońca.

- Rowena! Dzięki Bogu, nic ci nie jest. Gdybym tylko wiedział...

- Tak, byłam nieposłuszna, prawda? - oznajmiłam lekkim tonem. - Ale señor Montoya był tak dla mnie łaskawy, że żyje i czuję się doskonale.

Z wrodzonym taktem i delikatnością Mark nie podtrzymał rozmowy. Przeliczono

pieniądze i Jesus Montoya, z przesadną galanterią pochylając się nad moją dłonią, nakazał nam ruszać w drogę.

Odezwałam się pierwsza, zadając gwałtownie pytanie:

- Jak to się stało, że przyjechałeś zamiast Todda?

Mark zająknął się niezręcznie.

- Ja... on... ostatnio mieliśmy kłopoty ze złodziejami bydła, nie wspominając już o Apaczach. Przecięto ogrodzenie, spalono chaty na ranczo. Nie tak dawno sam Victorio omal nie spustoszył Santa Rita. Ktoś musiał zostać na ranczo, Roweno. Przekonałem wujka, by pozwolił mi jechać zamiast niego. Nie wyobrażasz sobie, jak czuję się winny. Gdybym zdołał wybić ci z głowy tamtą podróż, gdybym pojechał z tobą...

- Dzięki Bogu nie pojechałeś! - stwierdziłam ostro. - To, co stało się z mężczyznami po ataku Indian nie było zbyt... przyjemne. Całe szczęście, że urodziłam się kobietą. Spojrzałam w niebieskie oczy Marka i rzuciłam mu wymuszony uśmiech.

- Daj spokój, Mark! Nie musisz być tak ostrożny. Czy wyglądam na kogoś, kogo torturowano? Czy rzeczywiście spodziewałeś się, że będę przygnębiona i upodlona. Albo że straciłam zmysły w okrutnej niewoli? Miałam szczęście, że Indianie, którzy mnie porwali, znali mego ojca. Co więcej, czarownik nazywał go bratem krwi. Potraktowano mnie jak gościa. Nikt mnie nie skrzywdził...

- Roweno, czy to prawda? - Jadąc obok, Mark wyciągnął rękę i prawie błagalnie dotknął mego ramienia. - Wyglądasz tak samo, może trochę schudłaś. Ale jest coś jeszcze. Wyczuwam pewną różnicę - parsknął zgorzkniałym śmiechem.

- Pamiętasz, zawsze byłem wyczulony na twoje nastroje? Teraz też wyczuwam rezerwę. Czy zmuszam cię do czegoś, Roweno? Czy jeszcze za wcześnie, abyś opowiedziała mi? Nawet na mnie patrzysz z nieufnością. Ja...

- Jeszcze za wcześnie, Mark - przerwałam mu, marszcząc brwi. - Przykro mi. Może później porozmawiamy tak, jakby nic się nie wydarzyło, jakbym powróciła z krótkich wakacji. Proszę, Mark.

Rozpaczliwie uniósł ramiona i zacisnął delikatne usta.

- Przepraszam. Czasami zachowuję się jak nieokrzesany gbur. Pomyślałem tylko...

- Zniżył głos i rzucił ostrzegawcze spojrzenie w stronę jadących tuż za nami uzbrojo-

nych, milczących ludzi SD. - Pomyślałem - ciągnął zdecydowanie - że powinniśmy porozmawiać przed spotkaniem z moim wujem. Jest coś, o czym musisz wiedzieć, choć zdaję sobie sprawę, że to nie czas ani miejsce na taką rozmowę. Znasz dumę i humory mego wuja, a on...

Zesztywniałam słysząc słowa Marka i nie mogłam powstrzymać się od komentarza.

- Jeśli jest coś, o czym powinnam wiedzieć, powiedz mi to natychmiast. Dość mam tych wszystkich tajemnic!

Pod chłodnym tonem skrywałam przyśpieszone bicie serca i wspomnienie złośliwych aluzji Jesusa Montoyi. Widząc wahanie na nieszczęśliwej twarzy Marka, próbowałam zapanować nad głosem.

- Czy Todd nie jest w stanie spojrzeć mi w twarz? Czy rzeczywiście podejrzewa, że zostałam zgwałcona przez połowę plemienia Apaczów? Czy to ubodło jego dumę? Dziwię się, że chciał zapłacić za mnie tyle pieniędzy. A może to też sprawa honoru?

- Nie powinienem się odzywać - zaniepokoił się Mark. - Nigdy się go nie bałaś, więc gdy tylko się spotkacie, z pewnością zdołasz go przekonać, że te wszystkie plotki to jedno wielkie kłamstwo. Nie myśl o nim źle, Roweno. Wiesz jak łatwo wpada w złość! Gdyby list od Flo nie przyszedł tak późno, nigdy by...

- List od Flo? - Oczy, które mrużyłam w blasku słońca, otwały się szeroko i nie potrafiłam ukryć zaskoczenia. - Czy ona żyje? Przecież słyszeliśmy...

- Nie nie! - Mark potrząsnął głową jak szalony. - Przepraszam, że nie wyraziłem się jasno. Ten list napisała zanim... Nie rozumiem dlaczego szedł tak długo. Gdybym wiedział, co napisała, schowałbym go przed nim, zniszczyłbym go. Była obłąkana. Próbowałam to powiedzieć wujowi. Wiesz jaka była! Nienawidziła cię, czuła się urażona nawet kiedy próbowałaś ją zrozumieć. Pamiętasz list, który mi przysłała? Ten zaadresowany był do Todda, a w nim... Boże, to był twór chorego umysłu, pełny obelg, oskarżeń. Usprawiedliwiała w ten sposób swoje postępowanie...

- Oskarżeń? - Usta mi zdrewniały. - O co mogła mnie oskarżać?

Mark spojrzał z przygnębieniem i odpowiedział niechętnie:

- Och... O wszystko, czemu sama była winna. Tak, musisz to wiedzieć choć za-

brzmi to ohydnie. Napisała, że uciekła z Luke'em Cordem, by powstrzymać cię przed tym samym. „Zrobiłam to dla ciebie papo”. To jej słowa. Oskarżyła cię o... trudno mi wypowiadać te słowa. O romans z Pardee, że go zabiłaś, by na zawsze zamknąć mu usta. Nawet o flirt ze mną Wiedziała, że pewnej nocy Cord wdarł się do twojej sypialni i wykorzystowała to. Pisała, że byliście kochankami. Że razem zaplanowaliście zabójstwo mego wuja w Silver City, a potem pomogła mu w ucieczce. Tym plugawym oskarżeniem nie było końca!

- I to wszystko układa się w logiczną całość, prawda?

Zdziwiłam się, że mój głos zabrzmiał tak spokojnie i obojętnie.

- Jej słowa przeciwko moim, a ponieważ nie żyje, nie mogę ich podważyć. Sprytna Flo. Można pomyśleć, że... - przerwałam szybko, by nie powiedzieć za wiele. Można pomyśleć, że potrafiła przepowiadać przyszłość

Nie pozwoliłam Markowi dojść do głosu i dorzuciłam:

- A plotki? Przypuszczam, że są równie obrzydliwe. Biedny Marku, musiałeś tyle przecierpieć!

- Nie mów tak, Roweno! Czy uważasz, że moje uczucia do ciebie pozwoliłyby tolerować takie oszczerstwa? Wszystko opowiedziałem wujowi! Że to Flo, a nie ty, była wszystkiemu winna. Znał ją przecież. I chyba zaczął mi wierzyć, kiedy...

- Ach te plotki - mruknęłam chłodnym, obojętnym tonem.

- Roweno! - skrzywił się Mark.

- Powiedz mi! - zażądałam i ze współczuciem obserwowałam jak się jąka.

- Zaczęły się od pewnego człowieka - *comanchero*, którego aresztowali *rurales* w Meksyku. O ile wiem, próbował sprzedać skradzione srebro. I jedynym powodem, dla którego... widzisz, była z nim biała kobieta. Nazywała się Jewel Parrish i szybko opowiedziała *rurales*, jak ją porwano razem z tobą. Pojechałem z wujem do Teksasu, do kwatery wojskowej w Austin, by usłyszeć jej historię. - Mark zawahał się, a ja ponagliłam go.

- I...?

- O, Boże! Po co ci to wszystko mówię? Zrozum, nie wysunęła żadnych oskarżeń. Podziwiała twój hart ducha i odwagę. Powiedziała nam, co się wydarzyło w obozie Apa-

czów. Ucieszyła się nawet, że znasz człowieka, który cię kupił i zabrał ze sobą...

Rozdział 33

Nie myślałam się co do pozostałych „pogłosek”, o których opowiedział mi Mark. Czyż Montoya nie próbował mnie ostrzec? Czułam, że mimo upału drętwieje mi ciało i oblewa mnie zimny pot, choć umysł funkcjonował normalnie, kontrolując emocje.

Pewna jestem, że Mark oszczędził mi najgorszego. Wciąż mnie kochał, powtarzając bez końca, że mi wierzy, że i wuj mi uwierzy, gdy tylko mu wszystko wyjaśnię.

- Kto wie, jak powstają takie plotki? Uszczypliwa aluzja przy ognisku. Obcy przybysz w mieście, spotkanie w barze z kowbojami z SD. Wszyscy wiedzieli, że porwali cię Apacze, początkowo uznano cię za zmarłą. A kiedy zaczęliśmy podejrzewać, co się naprawdę wydarzyło, wuj zaoferował ogromną nagrodę za twój bezpieczny powrót. Wiesz, jak to się zaczęło? Oczywiście tylko takie bydlę jak Lucas Cord, który nienawidzi mego wuja, byłby do tego zdolny. Nawet gdyby miał oczernić ciebie. Twierdzić, że byłaś jego kochanką, szczyścić się faktem, że zmusi wuja do okupu za ciebie...

- „Nieco przybrudzoną i napoczętą, ale dla niego w sam raz?” - zacytowałam z taką goryczą, że Mark popatrzył na mnie przerażony.

- Roweno! Jak możesz tak myśleć? Ja nie chciałem...

- Ale ja chciałam! Po co upiększać ohydne fakty? Mówisz, że się nie zmieniłam - a może jednak? A jeśli te pogłoski były prawdziwe, czy w oczach twego wuja na zawsze pozostanę upadłą kobietą? Być może wolałby usłyszeć, że zabiłam się ze wstydu i upokorzenia. To rozwiązałoby problem, co zrobić z biedną Roweną, a i ty miałbyś mniej kłopotów!

Zaśmiałam się ze złością na widok przerażonej miny Marka.

- Biedny Mark! - zakpiłam. - Teraz zaszokowałam nawet ciebie.

Złapał mnie palcami za nadgarstek i przyciągnął bliżej swego konia.

- Dobry Boże! - westchnął niskim, prawie chrapliwym głosem. - Czy naprawdę masz mnie za nic, przypuszczając, że miałyby to wpływ na moje uczucia? Byłaś więźniem - bezradnym jeńcem, a ten brutal, to zwierzę wykorzystało to... o, moje ukochane

biedactwo, ile musiałaś wycierpieć?

Nie oczekiwałam tak czułego zrozumienia nawet od Marka, ale nie odezwałam się ani słowem. Ale z ciebie hipokrytka, pomyślałam gorzko. Dlaczego nie wyznasz mi prawdy? Powiedz mu i patrz jak rzędzie mu mina. Powiedz Toddowi; jesteś mu to winna. Wykrzycz to ze szczytu góry! Ale milczałam - nie wiem czy z dumy czy z tchórzostwa.

Przez całą podróż Mark okazywał mi przesadną troskę. Kiedy zatapiałam się w rozmyślaniach, zostawiał mnie w spokoju, choć od czasu do czasu zerkał zmartwiony. Przyzwyczaiałam się do długich podróży i nie czułam upływu czasu. Zmęczenie ogarnęło mnie dopiero wtedy, kiedy kilka godzin po przekroczeniu granicy dotarliśmy do Deming.

Mark nieśmiało wyjaśnił, że zatrzymamy się tu na noc, by wyruszyć wczesnym rankiem. W Deming przyłączyli się do nas kolejni ludzie z SD, w większości teksascy strzelcy. Jak to nazwała ich Flo? „Prywatna, nieoficjalna armia papy”. Jak wyraźnie zapamiętałam jej szyderczy głos!

Skrzywiłam się i mruknęłam do Marka:

- Czemu mam zawdzięczać ten zaszczyt? Taka ogromna eskorta!

Zerknął na mnie i rzucił obojętnie:

- Mój wuj uznał to za konieczność. Nie chciał ryzykować.

- Kolejnego porwania, po tym jak zapłacił taki majątek za mój powrót? Zastanawiam się, czy uzna, że byłam warta takiego wydatku.

- Roweno, proszę! Jesteś cyniczna.

Mogłam mu powiedzieć, że cynizm, o który mnie oskarżał, to jedynie obrona przed rozczarowaniem, ale czy to miało jakieś znaczenie? Wzruszyłam ramionami i oznajmiłam, że jestem zmęczona i pragnę jak najszybciej zasnąć.

Opuściliśmy Deming szarym świtem i przed południem dotarliśmy do Fortu Cummings. Dowodzącego nim majora poznałam już wcześniej. Był znajomym Todda, ale za jego uśmiechem i nienagannymi manierami kryła się ciekawość. Powiedziałam sobie, że muszę się do tego przyzwycząić. Na terytorium nie ma chyba osoby, która nie wie, co się stało lub nie słyszała pogłosek, o których wspomniał mi Mark. Podczas prywatnej kolacji major zaproponował niewielką eskortę na końcowy etap naszej podróży.

- To chyba nie jest konieczne? - zaproponowałam zanim Mark otworzył usta.

Znacznie od niego młodsza i mniej dyskretna żona otworzyła szeroko oczy.

- Ależ tak! To znaczy... tak będzie bezpieczniej. Nie może pani sobie wyobrazić, z jakimi kłopotami się borykamy. Nie tylko z Indianami, ale z bandytami i renegatami.

Sama od tygodni nie opuszczam fortu, a Burton powiada, że...

Major chrząknął znacząco.

- Hmm... tak. Pewny jestem, że pan Shannon zdaje sobie z tego sprawę. Ale mogę panią zapewnić, lady Roweno - rzucił mi czarujący uśmiech - że nie są to nadzwyczajne środki bezpieczeństwa. Moi ludzie wyjeżdżają na codzienny patrol i bez kłopotu mogą wam towarzyszyć przez kilka mil.

Żona majora zabrała mnie do swojej sypialni, bym odświeżyła się przed podróżą. Ze współczuciem w oczach obserwowała jak czeszę włosy i nie kryła swej ciekawości pytając:

- Czy wraca pani na Wschód? Ja żałuję, że przyjechałam na to pustkowie. Żyjemy tu w ciągłym strachu. Tęsknię za porami roku na Środkowym Wschodzie, nawet za śniegiem. Przyjechaliśmy z Kansas, tam było zupełnie inaczej - zasmuciła się. - Musi pani bardzo tęsknić za Londynem i jego uciechami. Zawsze marzyły mi się podróże i Burton powiada, że może któregoś dnia... ale z oficerskiej pensji...

Zrobiło mi się żal tej nieszczęśliwej kobiety i jej męża, który musiał ryzykować życiem za nędzną pensję i wątpliwą chwałę.

- Londyn jest taki jak każde inne miasto - odparłam zdawkowo. - Wszystko zależy od tego, co kto lubi. Ja zawsze uwielbiałam przyrodę i słońce. Wychowałam się w Indiach, które mało się różnią od tej części świata. Nie, myślę, że zostanę w Nowym Meksyku. To wyzwanie i przygoda, której tak brakuje w cywilizowanych częściach tego kraju.

Dostrzegłam w lustrze jej zdziwione spojrzenie i uśmiechnęłam się. Dlaczego nagle stałam się taka buntownicza? Czy dlatego, że każdy oczekiwał ode mnie wstydu i milczenia?

Popadłam w osobliwy nastrój, milcząc przez resztę drogi i nawet nadwierzając cierpliwość Marka.

Zaniepokoił się, gdy oświadczyłam, że jadę prosto do domu, a nie do *palacio*, gdzie czekał na mnie Todd.

- Dlaczego, Roweno? Zdajesz sobie sprawę, że im szybciej się z nim spotkasz... Nie chcesz, by myślał, że...

- Jestem winna? To chciałeś powiedzieć, Mark? - Dostrzegłam ból i niepewność na jego twarzy i uspokoilaam go gestem dłoni. - Przykro mi. Jestem zmęczona i nie mam nastroju na kłótnie czy samoobronę. Skoro Todd gotów był czekać tak długo na mój powrót, może poczekać jeszcze kilka godzin aż będę gotowa, go przyjąć. Możesz mu to powtórzyć. - Popatrzyłam Markowi prosto w oczy i dodałam. - Nie mam za co przepraszać. Nie bój się o mnie. Twojemu wujowi nie uda się mnie zastraszyć.

Wiedziałam, że postępuję nierozsądnie. Todd wpadnie we wściekłość i wyładuje ją na Marku. Ale byłam zmęczona, a Mark po długim, badawczym spojrzeniu nie próbował wyperswadować mi tego zamierzenia.

I tak powróciłam na swoją ojcowiznę. Dom - solidny kwadrat na tle nieba i górskich szczytów. Należał do mnie - powróciłam do domu.

Ze zwykłą sobie delikatnością Mark dopilnował, bym miała właściwą opiekę.

Pamiętam łzy w oczach Marty i Julesa. Poczułam się dziwnie, gdy usłyszałam jak nazywają mnie patroną. Marta przeżegnała się kilkakrotnie i zamruczała coś radośnie pod nosem. Oprowadziła mnie po pokojach, pokazując, że nic się nie zmieniło.

- Wiedzieliśmy, że powróci pani cała i zdrowa, madam - zasypał mnie słowami Jules. - Powiedziałem Marcie: „Jak tylko się dowiedzą, że to córka Guya Dangerfielda, włos jej z głowy nie spadnie”.

Kochałam ich oboje. Kiedy wyjechał Mark, obeszałam dom i stwierdziłam, że wszystko jest na swoim miejscu. Weszłam do gabinetu ojca i zobaczyłam otwarte okno *vis à vis* jego biurka oraz zamkniętą szufladę, w której przechowywał dzienniki. Teraz przeczytam je wszystkie. Dość odkładania wszystkiego na później, dość leniuchowania na słońcu.

Odwracając uwagę od przyszłości ruszyłam do jadalni, gdzie ujrzałam szachownicę z niedokończoną partią, którą zaczęłam kiedyś z Markiem; czarne i białe pionki stały na tym samym miejscu.

Zapadała noc, otaczając nas swymi czarnymi skrzydłami. Jules zapalając lampy gwizdał pod nosem.

- Każdego dnia szykowałam pani łóżko - szepnęła Marta. - Pościel jest świeża i wywietrzona.

Moja sypialnia wyglądała tak jakbym opuściła ją dopiero wczoraj. Pościelone łóżko z odwiniętą kołdrą. Moje suknie wiszące równo w rzeźbionej szafie. Czy to możliwe, że nie było mnie przez tyle czasu? Odruchowo spojrzałam na sufit i dostrzegłam, że wyjście na dach nadal zabite jest szczelnie gwoździami.

O, Boże! Czy muszę o tym pamiętać? Później uzmysłowiłam sobie, że wyczerpanie odebrało mi rozum. Przywołałam do siebie Julesa.

Zdziwił się, gdy usłyszał moje polecenie.

- Mam wyciągnąć te gwoździe, madam? Ale przecież...

Tuż za nim pojawiła się Marta i dodała swoje trzy grosze:

- Czy masz zamiar kłócić się z patroną? To jej dom i może robić, co jej się podoba.

Udałam, że nie dostrzegam wymownego spojrzenia, które między sobą wymienili. Marta zmarszczyła czoło, a zaskoczony Jules przybrał obojętny wyraz twarzy i odwrócił do mnie głowę. Co usłyszeli? Co podejrzewali? To nie miało żadnego znaczenia. Do wiem się później, a na razie marzyłam jedynie o gorącej kąpieli, by zmyć z ciała kurz podróży; o misce zupy i własnym łóżku. Na dziś wystarczy.

Spałam głębokim, spokojnym snem. Obudziły mnie dopiero gorące promienie słońca i podniesione głosy przechodzące w kłótnię.

Marta pukała zazwyczaj delikatnie do drzwi mojej sypialni, ale teraz wpadła gwałtownie i jęknęła:

- Patron... on tu jest i nalega...

Todd wyrósł za plecami Marty i odepchnął ją brutalnie na bok.

Todd Shannon. Wielki, pewny siebie jak zwykle. Złowieszcze spojrzenie spod krzaczastych brwi.

- Co, u diabła, ma znaczyć ta wiadomość? Na Boga, kobieto, nie dziwię się, że się przede mną chowasz, ale widzę, że nic cię nie nauczyło skromności! Powiem ci coś...

Podniosłam się ze złością, przecierając zaspane oczy i zdałam sobie sprawę, że ze-

szłej nocy byłam zbyt zmęczona, by włożyć przepięknie haftowaną koszulę przygotowaną przez Martę.

Niebezpiecznie zmrużył niebieskozielone oczy, kiedy warknęłam:

- Ty też się nie zmieniłeś! I oczywiście wszystko, co chcesz mi powiedzieć, nie może poczekać, aż się ubiorę i będę gotowa, by cię przyjąć?

- Dobrze wiesz, że nie mam zwyczaju czekać, a czekałem na ciebie ubiegłej nocy! Nie, nie pozwolę robić z siebie głupka! Wyłaź z tego cholernego łóżka, w którym się chowasz i spójrz mi w twarz, jeśli masz odwagę. Ostrzegam cię... czekam na twoje wyjaśnienia!

Na widok jego gniewu odzyskałam spokój ducha.

- W takim razie - oznajmiłam lodowato - muszę ci przypomnieć, że to moja sypialnia i mój dom, więc jeśli nie okażesz lepszych manier, będziesz zmuszony opuścić to miejsce bez wyjaśnień, o które tak zabiegasz. Czy to jasne?

Przez chwilę miałam wrażenie, że mnie zamorduje. Jego oczy niczym okruchy stłuczonego szkła wbijały się w moją skórę.

- Dlaczego... ty... ty...

Nicznym brązowy cień Marta okrążyła jego wielkie cielsko z przerażeniem w oczach.

- Pani szlafrok.

Jej stłumiony szept przywołał pozory opanowania na jego purpurowej z wściekłości twarzy.

Zacisnął usta, obrócił się na pięcie i rzucił przez ramię obcym głosem.

- Zaczekam na zewnątrz. Pięć minut - a potem wrócę tu, nawet gdybym miał wyważyć te przeklęte drzwi!

Przetrzymałam go przez dziesięć minut, obmywając w tym czasie twarz zimną wodą i narzucając bluzkę i spódnicę. Nie znosił, kiedy ubierałam się jak chłopka. Niech wie, że nie będzie mną rządził! Nie mogłam sobie wyobrazić, że obiecałam mu swoją rękę, że omal nie porwała mnie siła jego osobowości. Todd Shannon, którego odkryłam na nowo, był aroganckim, tyranem, stanowczo zbyt pewnym siebie.

Powitał mnie szyderczym uśmiechem.

- Niech mnie licho, jeśli nie przypominasz w tym stroju córki prymitywnego wieśniaka. Czy w takich szmatach lubił cię twój kochanek-mieszaniec?

- O, nie - odpaliłam słodko. - On wolał, kiedy nie miałam na sobie nic. Czy to chciałeś usłyszeć?

- Jesteś bezwstydną dziwką!

- A ty wulgarnym, kłótliwym gburem!

Staliśmy twarzą w twarz, a ja nie odwracałam od niego wzroku. Z trudem kontrolowałam swą złość.

- A więc to prawda. Zwodniczy szept przemienił się w ryk wściekłości. - Niech cię piekło pochłonie! Mam prawo wiedzieć, jaką kreaturę poprosiłem o rękę i nie udawaj, że nie wiesz o co chodzi! Ty i Pardee... ty i Cord... Bóg jeden wie, ilu Apaczów między jednym a drugim. Powiesz mi prawdę, czy mam ją z ciebie wydobyć siłą?

- Dotknij mnie tylko, a pożałujesz! - wrzasnęłam. - A zanim znów mi zagroźysz, ostudź swój gniew i zapamiętaj, że nadal jestem właścicielką połowy SD i stać mnie na wynajęcie zawodowych rewolwerowców. Najwyższy czas, byś wbił sobie do głowy, że nie jestem biedną, zastraszoną kobietą, która nie potrafi walczyć z kimś, kto szuka zaczepki.

Zaskoczenie zmieszało się ze złością na jego obliczu.

- Czy ty naprawdę mi grozisz?

- Odpowiadam tylko na twoje groźby - przypomniałam mu chłodno, a kiedy jego wściekłość zaczęła przybierać na sile, dodałam poważnie: - Nasze kłótnie i obelgi do niczego nie prowadzą? Gdybyś zamiast ciskać oskarżenia zadał mi rozsądne pytania...

- A co, u diabła, nazywasz rozsądnym pytaniem? Rozsądne... kiedy zrobiono ze mnie pośmiewisko, kiedy traciłem zmysły, zastanawiając się, co zrobiły z tobą te bydlaki! Za kogo ty mnie uważasz, panienko? Za tchórzliwego głupca jak mój bratanek, który wierzy w każde twoje słowo, bo wydaje mu się, że cię kocha? O, tak... przez cały ranek i połowę ubiegłej nocy próbował mnie przekonywać, stając w twojej obronie. Ale, na Chrystusa, chcę usłyszeć te wyjaśnienia osobiście! Zamierzasz mówić, czy nie?

- Mogę powiedzieć ci prawdę, ale to ci się z pewnością nie spodoba. Czy możesz przestać świdrować mnie wzrokiem?

Przybierając surowy, bezkompromisowy wyraz twarzy raczył w końcu mnie wysłuchać. To ja nie potrafiłam usiedzieć spokojnie w jednym miejscu; przechadzałam się nerwowo po pokoju i opowiadałam mu tyle, na ile starczyło mi odwagi. Nie wszystko - pewne zdarzenia przemilczałam, choć przez cały czas zaprzętały mój umysł. Czy muszę czuć się winna, że się zakochałam? Todd nigdy by tego nie zrozumiał; znów z wrzaskiem sypnąłby pogrozkami. Usunęłam więc moje uczucia z suchej i lakonicznej relacji.

Todd przerwał mi kilka razy na samym początku, ale przez resztę opowiadania siedział w złowieszczym milczeniu, żując nerwowo niedopalek cygara. Kiedy skończyłam, poczułam się wyzuta z wszelkich emocji. Pragnęłam, by Todd wyszedł wreszcie i zostawił mnie samą.

- I to wszystko, co masz mi do powiedzenia?

- To wszystko! Możesz mi wierzyć albo nie, to już twoja wola.

Obdarzył mnie krzywym uśmiechem, lecz jego oczy pozostały zimne jak okruchy zielonego szkła.

- Dam ci znać w co wierzę, a w co nie, kiedy to wszystko przemyślę.

A potem zaskoczył mnie nagłym odejściem, bez słowa. Niespodziewany spokój zaniepokoił mnie bardziej niż wcześniejsze wrzaski i obelgi. Tak to sobie pewnie zaplanował. Powróciłam do pustego pokoju, wypełnionego ciężkim, popołudniowym żarem. Pierwszą konfrontację z Toddem miałam już za sobą - co dalej? Mój umysł podpowiedział mi szybko: twój przyjazd w to miejsce miał określony cel. Zregeneruj stracone siły i znajdź odpowiedzi na wszystkie pytania. Staw czoło rzeczywistości, jak to potrafiłaś kiedyś.

Nadszedł czas próby, powiedziałam sobie, i systematycznego zorganizowania czasu.

Rozdział 34

Po lekkim śniadaniu przygotowanym przez Martę uczucie niepokoju wywołane wizytą Todda zniknęło. Obiecałam sobie spędzić resztę dnia na czytaniu dzienników ojca, tak jak powinnam to uczynić już dawno temu.

Ale kiedy Marta zebrała ze stołu naczynia i zniknęła w kuchni, zerknęłam z ciekawością w lustro, które wisiało nad kominkiem.

Kim byłam? Córka prymitywnego wieśniaka, jak nazwał mnie szyderczo Todd Shannon. Przypuszczam, że tak chyba wyglądałam z opaloną skórą nadającą niebieskim oczom ciemniejszą barwę, z czarnymi włosami związanymi niedbale na plecach. Ostatni raz, kiedy tak starannie przyglądałam się swojemu odbiciu, widziałam w sobie indiańską squaw.

Jak widział mnie Lucas? Odrzuciłam szybko zakazaną myśl, potępiając własną słabość. Czy nie obiecałam sobie nie oglądać się wstecz? To już minęło, muszę to zapamiętać. Nigdy więcej nie pozwolę, aby pokierowały mną ślepe uczucia.

Mimo tych twardych postanowień z uczuciem niepokoju otworzyłam szufladę z dziennikami ojca. Tom, którego szukałam, wepchnięty był na sam koniec.

Zmusiłam się, by przeczytać go od samego początku. Dość już opuszczania czy przerzucania stron.

Starannie ponumerowane i ręcznie oprawione w skórę woluminy zawierały jedno ludzkie życie. Także życie innych ludzi, z którymi zetknął go los. Jak mogłam tak lekceważąco potraktować jego prośbę? Byłam zbyt leniwa, zbyt przejęta zmianami zachodzącymi w moim życiu; po raz pierwszy zawstydziłam się. Oddał mi wszystko, co posiadał, prosząc w zamian o tak niewiele. Jako ojciec nie wymagał wiele od swej córki, nawet tak egocentrycznej jak ja. Podjęłam wyzwanie, ale z powodów osobistych. Byłam zbyt zajęta realizacją własnych ambicji i potrzeb, nie przywiązując wagi do jego życzeń.

Uważałam się za taką silną! Z jaką pogardą traktowałam słabości innych ludzi! Teraz, kiedy odkryłam własną słabość i wady, dostrzegłam w moim ojcu człowieka, a nie wizerunek - istotę ludzką, która miała dostateczną odwagę, by przyznać się do własnych słabości i zaakceptować wady innych ludzi. Człowieka zdolnego do miłości... do zazdro-

ści, a nawet do przemocy. Jaka szkoda, że go nie znałam!

Otworzyłam dziennik i z bólem serca od razu dostrzegłam to imię.

Dziś wieczorem Lucas przywiózł Ramona, sympatycznego, młodego człowieka o nienagannych manierach Hiszpana. Jest miły i dobrze wychowany.

Pióro zaplamiło atramentem kawałek strony, a dalej w nawiasie ojciec nabazgrał:

Czy i Rowena tak pomyśli?

Dodał:

Muszę od początku nauczyć się jak być ojcem. Nie mogę jej do niczego zmuszać ani przypominać jej o obowiązkach. Byłoby jednak wspaniale, gdyby polubiła Ramona tak jak ja...

Kilka kleksów, a potem:

Boję się, że Lucas okaże się dla niej bardziej zagadkowy, a tym samym bardziej fascynujący...

Szybko przewróciłam kartkę. Boję się, napisał. Czego się bał? Czy ogarnęły go wątpliwości, a może domyślał się związku Lucasa z Eleną?

Czytałam dalej, znajdując stronice wypełnione nadzieją i oczekiwaniem. Planami mojej przyszłości i szczęścia. Ani słowa o jego chorobie ani ciągłym cierpieniu.

Braithwaite pisze, że zaliczana jest do wytwornych piękności i mimo licznych pochlebstw pozostaje chłodna i powściągliwa. Mówi, że krążą pogłoski, jakoby odrzuciła samego Księcia Walii... Beaconsfield uczynił ją swą protegowaną; podobno oświadczył publicznie, że jest najbardziej inteligentną kobietą, jaką miał przyjemność poznać...

Czy to rzeczywiście ja byłam tą kobietą, o której z taką czułością i dumą pisał mój

ojciec? Tamta część mojego życia była niewyraźnym wspomnieniem! Litery zamazały mi się przed oczami, mrugnąłam kilka razy i czytałam dalej.

Najwyraźniej Braithwaite okazał się niezwykle taktowny. Na gęsto zapisanych stronach nie było ani słowa o plotkach na temat mojego związku z ojczymem.

Ojciec wspominał o Toddzie Shannonie i Marku.

Todd jest zbyt zajęty, by troszczyć się o starego, umierającego człowieka. Czasem myślę sobie, że dla niego jestem już martwy. On zawsze jest pełen energii i młodości. Ale Mark jest przystojnym młodzieńcem, zawsze go lubiłem, podobny do matki z jej nienagannymi manierami. Z poważną miną potrafi żartować o miłosnej ucieczce Corinne i przyznaje, że choć byłaby wspaniałą siostrą, nie nadaje się na doskonałą żonę. Rodzinne układy - czy mogę oczekiwać, że Rowena zrozumie, co dla niej zaplanowałem? Być może kiedy z nią porozmawiam i wszystko wyjaśnię, nie uzna mnie za hipokrytę... wendeta musi się zakończyć...

Kilka kleksów i podkreślonych słów. Pomyślałam z bólem, że mój ojciec nie wiedział, co chce przekazać. Stare wspomnienia przeplatały się z nowymi nadziejami. Czytałam o codziennych sprawach: jak Jules jeździł do sklepu po zakupy, co napisał w liście Elmer Bragg, o grze w szachy z Markiem...

Serce zabiło mi mocniej, kiedy ponownie ujrzałam imię Lucasa.

Próbowałem przemówić Lucasowi do rozumu, ale on mnie już nie słucha. Mam wrażenie, że coś go gryzie, ale nie ma zamiaru mi o tym powiedzieć. Myślę, że czasami chciałby, abym był dla niego obcym człowiekiem, a jednak ryzykuje, składając mi wizyty. Czego on chce? Zaproponowałem mu pieniądze, które wystarczyłyby na rozpoczęcie nowego życia, ale on tylko marszczy czoło i przygląda mi się tajemniczo. Mówi, że potrzebuje go Elena. Nienawidzi Todda i obawiam się, że ta nienawiść zniszczy mu życie... "

Trochę frazesów, a potem:

Chyba nadszedł czas, abym skorzystał z rady i mądrości mojego starego przyjaciela, czarownika Apaczów, który jest bardziej doświadczony niż ja. Zbyt długo siedziałem w tych czterech ścianach, polegając jedynie na własnych myślach i wrażeniach. Skąd mogę wiedzieć, że moja córka podzieli moje odczucia? Jeśli przeczyta te słowa, błagam ją, by wybaczyła staremu, schorowanemu człowiekowi jego wątpliwości... musi być jakiś sposób, abym mógł zapewnić przestrzeganie prawa. Uzupełnienie mojego testamentu, który Rowena może zniszczyć, jeśli uzna to za właściwe? Kiedy pooddycham świeżym, górskim powietrzem i porozmawiam ze starym przyjacielem, mój umysł odzyska zdolność jasnego myślenia...

Potem nastąpiła przerwa i kilka wyrwanych kartek. Intrygująca próżnia przed ostatnim i najbardziej pogmatwanym ustępem. Bazgranina nie do odszyfrowania, nagryzmołona w poprzek strony najwyraźniej w chwili silnego napięcia.

Od chwili powrotu z gór, gdzie udałem się w poszukiwaniu spokoju, nie jestem w stanie zaznać odpoczynku. To moja wina, że naciskałem, węszyłem, a teraz dałem słowo honoru, że nie zdradzę, czego się dowiedziałem, chyba że będę musiał. Boże, mój Boże, kiedy będę musiał, skąd będę wiedział, że nadszedł ten czas? Dlaczego byłem tak ślepy, kiedy prawda leżała tuż obok? Czy muszę teraz dokonywać osądu, kiedy wszystko jest tak świeże? Sam zadaję sobie pytanie, czy dałem się ponieść emocjom i pragnieniom.

Czy potrafię spojrzeć prawdzie w oczy, nawet teraz? Czy celowo mnie okłamywano, a może podświadomie nie chciałem zaakceptować, co podpowiadał mi rozum?

O, Boże, dlaczego wciąż widzę ją przed oczyma taką jak za pierwszym razem? Czy muszę nadal ją kochać? Elena - dzikie, prymitywne dziecko z ciałem kobiety; niewinna jak dzikus - naiwna i mądra, zawzięta i delikatna - a jaka piękna! Oczarowała mnie od pierwszego wejrzenia - czy nadal jestem pod jej urokiem? Czy mogę ją winić? Albo jego? Ja wiem, jak łatwo ją pokochać i paść przed nią na kolana...

Myślę, że Lucas nie zechce mnie wysłuchać, nawet teraz. Ale muszę z nim porozmawiać, nawet jeśli obróci się przeciwko mnie. Powinien dostrzec niewypowiedziane zło, jakiego się dopuścił... trzeba go odciągnąć...

Kilka kleksów, a poniżej:

Edyp - tragedia budzi się do życia. Powinienem to wyczuć, zauważyć. Przeskakuję z tematu na temat. Muszę o siebie dbać, dla mojej córki. Musi być przygotowana na prawdę, trzeba ją ostrzec przed...

Nie potrafiłam odszyfrować kilku następnych zamazanych linijek; jakby położył dłoń na kartce przed wyschnięciem atramentu. Wyteżając wzrok zdołałam odczytać parę słów, ale i tak niewiele zrozumiałam.

Moje imię, a potem oczywiście serce zabiło mi szybciej:

Lucas jest...

Jest kim? Co tak poważnie zmartwiło mego ojca? A poniżej:

Nienawiść niszczy... a w tym przypadku, jak daleko się posunie, dopóki nie...

Kilka plam, a następnie wyraźne słowa:

Bez względu na konsekwencje muszę działać, ze względu na Rowenę; tak, nawet ze względu na Todda. To, czego się dowiedziałem, zmienia wszystko. List, który napisałem - tak, należy go zniszczyć. Później napiszę jeszcze jeden, ale muszę poczekać aż znów zacznę logicznie myśleć. Przede wszystkim powinienem sporządzić uzupełnienie mojego testamentu. Zbyt długo to odkładałem. Trzeba wyjaśnić kilka spraw, a w ten sposób może zapobiegnę... nie, nie może do tego dojść. Ktoś musi powstrzymać Lucasa...

Spojrzałam na dół kartki. Wyglądało na to, że przewrócił się kałamarz i zalał wszystko, co zostało napisane - jeśli mój ojciec zdołał coś więcej napisać. Pozostała część tego dziennika przedstawiała czarną próżnię. Stronice, które zawierały klucz do tajemnicy, przesiąknięte były granatowym atramentem, a papierowe rogi zwijały się w rulon i nie nadawały do odczytania.

Pozostałam z jeszcze większą i bardziej przerażającą zagadką. Postrzępione, zalane atramentem kartki, list napisany do mnie i zniszczony przez ojca i fakt, że jego dziennik zakończył się tak niespodziewanie; ostatnia, złowieszcza uwaga: „Ktoś musi powstrzymać Lucasa...”.

Połączyłam niektóre fakty, które stanowiły logiczną całość. Jakiej prawdy obawiał się mój ojciec? Dowiedział się o Lucasie i Elenie, to oczywiste, ale jego żal i rozczarowanie sięgały znacznie głębiej. A teraz ja nie chciałam poznać dowodów i jeszcze gorszego przypuszczenia, które podstępnie wdarło się do mego umysłu i nie zamierzało go opuścić.

Podniosłam się tak gwałtownie, że krzesło przewróciło się i z łomotem upadło na podłogę. Natychmiast przybiegła Marta, a w jej oczach malował się strach. Nie wiedziałam, nie dbałam o to, co dostrzegła na mojej twarzy; spłotła dłonie, a jej pulchne oblicze wyrażało niepokój.

- Patrona! Pani jest chora?

Niecierpliwie potrząsnęłam głową.

- Nie, nie chora. Tylko... Marto, czy możesz na chwilę poprosić Julesa? Muszę mu zadać kilka pytań.

Widziałam, że się denerwują. Twarz Julesa przedstawiała kamienną maskę, a Marta wpadła w przerażenie. Kiwała głową, jakby chciała zapobiec dalszym pytaniom.

Śmiało spytałam o szczegóły śmierci mego ojca. Czy się jej spodziewali... czy był przy nim doktor? Czy zmarł na trawiącą go chorobę, czy... Wahałam się, przypominając sobie uszczypliwe aluzje Jesusa Montoyi.

- Jules... czy mój ojciec zmarł nagle? Czy... był wcześniej przygnębiony?

Wydało mi się, że Jules zamrugał oczami, ale odpowiedział mi szczerze:

- Pan Guy nie był sobą od czasu powrotu z gór, madam. Martwiłem się, bo był taki blady i przemierzał niespokojnie pokój, z jednego końca w drugi. Czasami miałem wrażenie, że nie sypiał po nocach. Zostawiałem go wieczorem na krześle, a rano znajdowałem w tej samej pozycji, z głową w dłoniach. Obok stała - proszę o wybaczenie - pusta butelka brandy.

- Ale nic nie mówił, prawda?

- Pozwoliłem sobie porozmawiać z panem Markiem. O konieczności sprowadzenia doktora. W tym czasie pan Shannon wyjechał gdzieś w interesach, ale pan Mark przyjechał tego samego dnia i rozmawiali bardzo długo. Przez jakiś czas pan Guy zachowywał się nieco spokojniej. Ale tej samej nocy... - Jules przerwał, twarz mu poszarzała na wspomnienie tej bolesnej chwili.

- Proszę, mów dalej - szepnęłam cicho. - Nie pytam z niezdrowej ciekawości. Jest powód, dla którego muszę poznać jak najwięcej faktów.

- Tak, madam - odezwał się głuchym tonem, a ja zastanowiłam się, ile naprawdę rozumiał. - Siedział przy biurku - ciągnął wolno - kiedy wszedłem, by zapytać go, czy czegoś nie potrzebuje. Przyniosłem mu krople, które zawsze wypijał z kawą o tej porze. Pamiętam jak podniósł wzrok, ale jego oczy... patrzył gdzieś w dal i nie widział mnie. Wyglądał na zmęczonego, skarżył się na ból i potrzebował kropli. A potem poprosił mnie o jeszcze jedną butelkę brandy, bo poprzednią opróżnił razem z panem Markiem. I to wszystko, madam. Z wyjątkiem...

- Z wyjątkiem czego? Jules, muszę wiedzieć. Wszystkie najmniejsze szczegóły, nawet jeśli wydaje ci się, że nie mają znaczenia.

Marta mruczała coś po hiszpańsku, a Jules westchnął i odpowiedział mi niechętnie.

- Poprosił mnie, abym zostawił otwarte drzwi, madam. I tak rzadko zamykał je na klucz - ufał ludziom. Wczesnym rankiem spodziewał się pana Bragga, tak powiedział i...

Tym razem wahanie w głosie Julesa nie było tworem mojej wyobraźni. I to błagalne spojrzenie jego oczu. Zanim zdążyłam go ponaglić, Marta wylała z siebie potok hiszpańskich słów.

- Ale on nie przyjechał! Wiemy to, Jules - on nie przyjechał. Gdyby się pojawił, porozmawiałby z nami, powiedziałby: „Marto, czy nie przygotujesz dla mnie kilku pysznych tortilli na podróż?”. Wiesz, że tak zawsze robił - zawsze po rozmowie z patronem pojawiał się w kuchni, zaglądał do garnków, żartował ze mną...

Przeniosłam wzrok na Julesa i poczułam suchość w gardle.

- Kto...

Oczywiście, że mówiła o Braggu. Boże, niech to będzie pan Bragg, a nie...

- Czekał na pana Lucasa, madam - stwierdził oschle Jules, a na widok mojej twa-

rzy, z której uciekła wszystka krew, dodał szybko. - Ale on nie przyjechał. Tak jak powiedziała Marta. To pan Bragg znalazł pana Guya i obudził nas. Było jeszcze ciemno, dochodziła piąta rano. Wyglądał... jak gdyby zasnął nad swoim dziennikiem... pochylona nad biurkiem głowa, rozlany atrament.

Zdałam sobie sprawę, że w końcu usłyszałam ostateczne oskarżenie - ostatni dowód, którego tak się obawiałam. Ku własnemu zdumieniu zachowałam spokój i jasność myślenia. Czułam jak opuszczają mnie wszelkie emocje, pozostawiając jedynie chłód i apatię.

Było jeszcze kilka pytań, kilka dodatkowych faktów do wyjaśnienia. Nazwałam je faktami, bo ani Marta, ani Jules nie mieli powodów, by mnie okłamywać. Oboje rozmawiali ze mną niechętnie. Pomyślałam, że to jedyni ludzie na świecie, którym mogę ufać.

Pograżyłam się w rozmyślaniach, zamawiając lekką kolację; udając, że nie dostrzegam mokrych od łez policzków Marty i jej wyдутych ust. Nie spodobały się jej moje pytania, ale to ja byłam patroną, więc gdy skończyłam, skłoniła lekko głową. Tak, mimo wszystko mogę liczyć na jej lojalność... a potem nagle przypomniałam sobie o Marku. Być może dlatego, że mój wzrok padł na szachownicę; wskrzesiłam wspomnienia ostatniej partii - to było tak dawno...

Mark, mój cierpliwy przyjaciel, którego wytrwałość i zdrowy rozsądek pomogły mi przetrwać. Mark, który mnie kochał. Wczoraj byłam dla niego taka okrutna! Dlaczego wcześniej nie pomyślałam o Marku? Był jedną z ostatnich osób, które rozmawiały z ojcem przed jego śmiercią. Mark pomoże mi podjąć decyzję; wysłucha mnie i przyczyni się do zajęcia obiektywnego stanowiska.

Jules kręcił się niepewnie koło drzwi.

- Czy mógłbyś poczekać chwilę. Napiszę krótki list do pana Marka, a ty poprosisz jednego z kowbojów, aby go dostarczył. Niech Marta przygotuje dodatkowe nakrycie na kolację.

Wydawało mi się, że Jules chce coś powiedzieć, ale zacisnął tylko usta i schylił uprzejmie głowę.

Szybko napisałam krótki list, starannie dobierając słowa, a gdy Jules zabrał go ze sobą, wróciłam do sypialni planując wieczorową kreację. Potrzebowałam odmiany, ce-

lowo więc wyrzuciłam z głowy wszystkie myśli. Wiele czasu spędziłam na błahostkach. Kąpiel w gorącej, perfumowanej wodzie. Wspaniała paryska suknia. Upięte wysoko włosy z lokami opadającymi na ramiona. Na widok własnego odbicia w lustrze stwierdziłam głośno:

- Widzisz, wreszcie jesteś sobą, moja panno. Nigdy nie zapominaj, czego cię nauczono.

Rozdział 35

Mark przyjechał dość wcześnie, a ja ucieszyłam się na jego widok. Wyciągnęłam rękę, dostrzegając w jego oku tajemniczą iskierkę. Podobne spojrzenie widziałam już wcześniej u innych mężczyzn. Ale potrzebowałam go, tak samo jak potrzebowałam reasekuracji, którą tylko Mark mógł mi ofiarować. Ktoś musiał mi przypominać, kim jestem; że podobnie jak Mark pochodzę z cywilizowanego świata elegancji, piękna i subtelного humoru, w którym liczy się urodzenie, wychowanie i wykształcenie.

Jak zwykle Mark miał na sobie starannie dobrany, nieskazitelny strój; jego krótkie blond włosy lśniły w świetle lampy. Wydawało mi się, że rozumie mój nastrój; nie dopytywał się o powód zaproszenia, tylko wychwalał mój wygląd. Wymieniliśmy uprzejmości, a Jules wniósł karafkę wina i dwa kryształowe kieliszki na cienkich nóżkach. Za otwartymi oknami zapadał zmierzch, a my rozprawialiśmy banalnie o Nowym Jorku i Londynie. Matka Marka, pani Shannon, która gościła mnie w Bostonie, przysłała mu kilka gazet, nawet „London Times” sprzed kilku miesięcy. Opowiedział mi, co wystawiano w największych teatrach i operach, i przytoczył kilka wesołych anegdot.

- Matka powiada, że Corinne wyciąga ją na wszystkie koncerty. Wiesz, Jack staje się coraz sławniejszy. A Corinne oczywiście pławi się w jego blasku, opowiadając każdemu o swym utalentowanym mężu!

Zabawna twarz Marka przypomniała mi, że zgodnie z wolą jej rodziny, to on miał ją poślubić. Mój ojciec przekonał ich, by zostawili Corinne wolny wybór i pozwolili jej wyjść za ukochanego dyrygenta. Ale Mark nie żałował.

Uniósł do światła kieliszek i uśmiechnął się.

- Toast, Roweno?

- Za tych, którzy nie potrafią znaleźć swego miejsca! - rzuciłam lekko, wypowiadając głośno myśli, ale Mark spoważniał nagle i zerknął na mnie znad kieliszka.

- A więc i ty to czujesz? - szepnęła. - Zawsze wiedziałem, że to nie jest miejsce dla ciebie, Roweno. I dla mnie też nie. A jednak jesteśmy tu ze względu na okoliczności... - Próbując odzyskać lekkość tonu, dorzucił żartobliwie. - Jest coś, czego nigdy nie będę żałował - zaszczytu poznania ciebie!

Jednym haustem wypiałam wino i poczułam gorący rumieniec na policzkach. Tusząc nagle skrepowanie, mruknęłam bez namysłu:

- Obawiam się, że twój wuj jest innego zdania. Mam nadzieję, że nie dręczył cię zbyt długo? Nie prosiłabym cię o przyjazd, gdybym...

- Jechałem właśnie do ciebie, kiedy spotkałem Billa Kleina - przerwał Mark twarzym głosem. - Nie mógłbym znieść tej rozłąki i zaproszenie nie miało tu żadnego znaczenia. Roweno! Wiem jakim człowiekiem jest wuj Todd. Zaślepia go arogancja, liczą się tylko jego odczucia! Nie jest zdolny do współczucia, brak mu delikatności. Oddałbym wszystko, aby ci zaoszczędzić tej obrzydliwej awantury, którą dziś rano rozpętał, ale nie miałem prawa wtrącać się do sprawy, która dotyczy tylko was dwojga.

Postawiłam kieliszek na inkrustowanym stole z taką siłą, że cienki kryształ zawirował gwałtownie.

- Czy powiedział ci, że wszystko, co było między nami, jest już tylko przeszłością? Myślę, że Todd jest teraz moim wrogiem.

Mark zawahał się przez moment i rzucił pośpiesznie:

- Mam nadzieję, że przynajmniej mnie uznasz za przyjaciela. Jeśli chodzi o mego wuja, zawsze był człowiekiem o zmiennych nastrojach. Zbyt szybko wpada w złość, wrzeszczy i grozi, ale potem, gdy się nad tym zastanowi... Cóż, nie przybyłem tu, by go bronić, lecz jedynie spytać, czy mogę coś uczynić dla ciebie.

Nie pytając, pochylił się, nalał mi wina i nie spuszczać wzroku z mojej twarzy zapytał cicho:

- Coś cię gnębi, prawda? Wyczuwałem to przez cały czas, mimo że próbowałaś być wesoła i niefrasobliwa. Czy chcesz porozmawiać o tym teraz czy po kolacji? Nie chcę cię

denerwować ani wywoływać z troskania na twojej ślicznej twarzy.

- Och, Mark! - wykrzyknęłam tak jak kiedyś w przeszłości. - Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Uśmiechnął się lekko.

- Mam nadzieję, że nigdy nie uznasz się za tak dalece niezależną, by nie zwrócić się do mnie! - zażartował, a po chwili dodał z niezwykłą stanowczością. - Wypij to wino, Roweno. A potem porozmawiamy o twoich kłopotach.

Kiedy zaczęłam swą opowieść, Mark okazał wiele zrozumienia. Nie przerywał, gdy połykałam słowa, pragnąc wyrzucić je z siebie jak najszybciej; gdy się wahałam i jąkałam, ponaglał mnie delikatnie.

Tym razem nie ukrywałam niczego; nawet faktów, za które się tak obwinałam. Byłam głupia. Nie zważając na to, co usłyszałam, przed czym mnie ostrzegano, zakochałam się, wbrew logice. Czułam się taka silna, myślałam, że pokonam wszelkie przeszkody...

W tym momencie Mark przerwał mi wyraźnie zaniepokojony. Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju, a ja błagałam go, by usiadł.

- Na Boga, Roweno! Dlaczego wciąż się obwiniasz? Ty... starannie wychowana młoda dama, która nigdy wcześniej nie znalazła się w takiej perfidnej, ohydnej sytuacji. Byłaś bezradną ofiarą zdeprawowanej grupy ludzi, którzy... czy teraz nie widzisz, jak do tego doszło? Przeżywałaś szok za szokiem, a on wykorzystał twoje uczucia. Otwórz szeroko oczy i zobacz, jak mogłaś zakochać się w tym łajdaku! Zgwałcił cię jego brat, uważający się za dżentelmena i pragnący cię poślubić. W szoku, uciekłaś od niego. Przez kilka dni przebywałaś sam na sam z człowiekiem, który nie zna innego prawa niż prawo dżungli. Oddałaś mu się, bo nie miałaś wyboru; prędzej czy później wzięłby cię siłą. Myślę, że czułaś to podświadomie. A potem chciałaś to wszystko zracjonalizować, znaleźć usprawiedliwienie, które pomogłoby ci żyć w zgodzie z własnym sumieniem.

- Mark, nie!

- To wszystko, Roweno - oświadczył twardo. - Spójrz prawdzie w oczy. Kilka ukradkowych godzin na górskim szczycie z mężczyzną, którego prawie nie znałaś; który pozbył się ciebie tak samo nieczule, jak cię posiadał. Nie wolno ci myśleć, że to miłość.

Miłość musi się na czymś wspierać; na fundamencie, z którego może rozkwiąć. Odwołaj się do własnego rozumu tak jak robiłaś to w przeszłości! To za to zawsze cię podziwiałem, dlatego wciąż cię kocham i szanuję. A teraz... - zwolnił uścisk na moich dłoniach i usiadł naprzeciwko mnie - a teraz musisz opowiedzieć mi resztę, i to szybko, zanim opuści cię odwaga.

Do dzisiaj nie mam pojęcia, jak znalazłam siły, by dokończyć mą opowieść. Słyszałam własny głos, chłodny i dochodzący jakby zza mgły; nie pamiętam, co powiedziałam, bo miałam straszny mętlik w głowie. Wyobrażałam sobie, że stoję na sali sądowej obok Marka, mojego adwokata, który pragnie mi pomóc. Powtarzając wszystko, czego się dowiedziałam, raz jeszcze uświadomiłam sobie dowody winy. Dowody pasowały do siebie jak ulał i nie mogło być innego rozwiązania niż to, którego tak się bałam i nie chciałam zaakceptować wcześniej.

A Mark, zachowując się teraz jak prawdziwy adwokat wyciągający logiczne wnioski, zerwał ostatnią nić nadziei, której tak kurczowo trzymałam się przez cały czas.

- Mówisz, że nie przyznał się do udziału w próbach zabójstwa Bragga i mojego wuja, nawet do porwania Flo? Ależ Roweno, chyba rozumiesz, dlaczego chciał się usprawiedliwić, czyniąc to w ostatniej chwili? Już wcześniej zaplanował, co z tobą zrobi. Prawdopodobnie łudził się, że kiedy odzyskasz wolność, nadal będziesz wierzyć w jego niewinność. Być może zamierzał wykorzystać cię ponownie.

Słowa Marka waliły mnie po głowie jak młot; zacisnęłam palce na skroniach, by ich do siebie nie dopuścić.

- Nie... - szepnęłam, ale on był nieugięty.

- Jeśli zdolny był do zabójstwa twego ojca, który tyle dla niego uczynił - rzucił z przekonaniem - myślisz, że powstrzymałby się przed czymś innym? Twój ojciec dowiedział się czegoś obciążającego; rozczarował się na tyle, by zniszczyć list do ciebie, w którym uprzednio prosił cię, byś poślubiła jednego z synów Eleny Kordes. Spodziewał się ciebie lada dzień, a ty miałaś się nigdy nie dowiedzieć, że zmienił zdanie. Czy nie widzisz, jak starannie Lucas Cord zaplanował każdy krok? Powinienem był wypytać służbę, ale wszyscy byliśmy tak wstrząśnięci. Oczywiście, istniała możliwość, że był to wypadek: że przedawkował lekarstwo. Być może Bragg podejrzewał coś i dlatego... ale nie

muszę kończyć. Moja najdroższa, najodważniejsza dziewczyno - wystarczy na dziś wieczór, prawda?

- Ale uzupełnienie testamentu mego ojca... dlaczego - szepnęłam niepewnie i przygotowałam się na ostateczne obalenie resztek wątpliwości.

Mark zmienił się na twarzy. Jeszcze przed chwilą malowała się na niej troska i współczucie, a teraz pojawił się niepokój i ostrożność.

- Powinienem wiedzieć, że o tym nie zapomnisz - westchnął. - Łudziłem się, że później, kiedy się uspokoisz... Cóż, chyba przyszła moja kolej na wyjaśnienie kilku spraw. Błagam cię o wyrozumiałość. Widzisz, obiecałem mojemu wujowi...

Mark popatrzył mi głęboko w oczy i opowiedział resztę historii, wypełniając tym samym lukę w mojej wiedzy i dorzucając jeszcze jeden obciążający argument.

Dotyczyło tajemniczego listu, który napisał ojciec, a potem go zniszczył. Todd wiedział o jego istnieniu, bo ojciec ze swą wrodzoną uczciwością przekazał mu kopię.

- Widzisz, Roweno, to nie był właściwie list. Jako prawnik czułem się w obowiązku ostrzec mego wuja, że zgodnie z ostatnią wolą umierającego człowieka dokument taki może być utrzymany w mocy wyrokiem sądu jako przyszłe zastrzeżenie... w tym czasie nikt jeszcze o tobie nie słyszał. Wziął Julesa i Martę za świadków - ten list można uznać za uzupełnienie testamentu!

- Ale...

- Wiem, jakie chcesz mi zadać pytania i zamierzam na nie odpowiedzieć. Wstyd mi, że dałem się zmusić do zachowania milczenia, ale gdy cię poznałem, nie mogłem znieść myśli, że mogłabyś czuć się zobowiązana do... o, Boże! Do poślubienia jednego z nich? Aby okradli cię z twojego dziedzictwa? To było nie do pomyślenia i w tym przypadku zgodziłem się z wujem, że twój ojciec tym razem przesadził ze swym poczuciem sprawiedliwości.

List, który ukrył Todd, wyjaśniał motywy, jakimi kierował się mój ojciec. Oświadczył otwarcie, że jeśli nie poślubię żadnego z synów Alejandro Kordesa, oni i Elena mają otrzymać w podarunku ziemię lub znaczną sumę pieniędzy. Jeśli wyjdę za jednego z braci, upoważnił mnie do przekazania pozostałym godziwej kwoty.

- A potem, Roweno, tamtej nocy... nie podał mi swych powodów. Oznajmił tylko,

że zmienił zdanie i spalił list. Tak się cieszyłem! Teraz rozumiesz, dlaczego nie widziałem potrzeby wspomnienia o tym dokumencie? Nie miał już znaczenia. Guy oświadczył, że zamierza sporządzić nowy kodycył, który wszystko wyjaśni. Nie zamierzał zmuszać cię do niechcianego małżeństwa, choć nadal pragnął zapewnić byt Ramonowi Kordesowi i Julio. Miał zamiar opłacić studia Ramona i jego podróż za granicę. Julio miał otrzymać urodzajny kawał ziemi, na którym jego plemię osiedliłoby się na stałe i zajęło rolnictwem - zanim wyginą albo zostaną umieszczeni w rezerwatach. Rozumiesz, że powtarzam tylko to, co zamierzał uczynić. Nie wiem, czy miał czas, by sporządzić taki dokument. Nigdy go nie widziałem. Ale tym razem najwyraźniej kogoś pominął - Luke'a Corda.

Spojrzałam na Marka, a on na mnie. Usłyszałam tykanie starego zegara po dziadku, który stał w rogu pokoju, i trzask polana w kominku, które właśnie rozżarzyło się czerwonym płomieniem. Słyszałam bicie własnego serca.

Mark ma rację. Wystarczy na dziś wieczór, na cały dzień, na całe życie.

Zaczęliśmy rozmawiać o codziennych sprawach. Jules zabrał ze stołu naczynia i podał kawę. Mark odmówił kieliszka brandy, oświadczając, że musi mnie wkrótce opuścić. Poprosiłam, by został na noc i ku mojemu zdumieniu zgodził się po krótkim wahaniu. Dodał jednak, że wyjedzie bardzo wczesnym rano i nie muszę go żegnać, bo jutro znów mnie odwiedzi.

- A twój wuj? - zapytałam, siląc się na niefrasobliwy ton. - Jego odpowiedź mnie zaskoczyła.

- Nie obchodzi mnie już, co myśli lub co ma do powiedzenia! - stwierdził sztywno.

Wstaliśmy. Wyciągnęłam dłoń, by życzyć mu dobrej nocy, a wtedy niespodziewanie chwycił mnie w ramiona. Nie silnie, lecz delikatnie, łagodnie. Przez kilka sekund odczuwałam ulgę, kiedy dotykał ustami mego czoła.

Nagle odepchnął mnie od siebie z okrzykiem, który zabrzmiał jak przekleństwo:

- Zbyt łatwo się przy tobie zapominam! Ale gdybyś nie była narzeczoną mego wuja...

- Mark, czy nie słyszałeś, że to nieporozumienie mamy już za sobą?

- Nie chciałem obarczać cię dodatkowym problemem, Roweno. - W głosie Marka

wychwyciłam nutę ostrzeżenia.

- Ale musisz pamiętać, że mój wuj jest nie tylko zarozumiały i arogancki, ale także uparty jak sam diabeł. Mimo swego gniewu, nie zamierza cię zwolnić z obietnicy małżeństwa. Nie tylko dlatego, że wciąż pożąda cię jako kobiety, ale z powodu SD. Posiadanie całości rancza stało się jego obsesją. Pomyślałem, że powinienem o tym wspomnieć...

Biedny Mark - rozdarty między lojalnością wobec wuja a miłością do mnie! A jeśli chodzi o absurdalne przypuszczenie Todda, że może zmusić mnie do spełnienia obietnicy, przyrzeczenia, które zawsze budziło moje wątpliwości...

Cóż, wkrótce sama to z nim wyjaśnię.

Powstrzymałam się od kilku zjadliwych uwag, które już miałam na końcu języka, i pocałowałam Marka w policzek.

- Dziękuję ci za wszystko, drogi Marku - szepnęłam.

Wiem, że się ucieszył, bo na twarz wystąpił mu lekki rumieniec. Zanim udaliśmy się do swoich sypialni, prysnęło całe zażenowanie, które przez cały czas wisiało w powietrzu.

Mark opowiedział mi później, że spał doskonale, a nawet jeśli zaskoczyłam go towarzysząc mu wczesnym rankiem przy śniadaniu, nie dał tego po sobie poznać. Nie próbował też wdawać się w poważną rozmowę. Wyglądał na zatroskanego, a ja wmusiłam w siebie trochę jedzenia przygotowanego przez Martę.

Kiedy Mark wyjechał w pośpiechu, obiecując powrócić po południu na partię szachów, udałam się bez żadnego określonego celu do gabinetu ojca i wyciągnęłam z półki kilka przypadkowych książek. Wmawiałam sobie, że ojciec mógł ukryć kodycyl w jednej z nich; teraz widzę, że szukałam pretekstu, by się czymś zająć.

Słońce stało już wysoko na niebie, prażąc niemiłosiernie. Postanowiłam wyruszyć na konną przejażdżkę i zainteresować się pracą na ranczo. Nie mogłam pozwolić, aby to nagłe uczucie letargu pokonało mą siłę woli.

Byłam zmęczona. Wstałam wczesnym rankiem tylko dlatego, że nie mogłam zasnąć. W krótkim, przerywanym śnie jawiły mi się przerażające wizje, których nie pamiętałam po przebudzeniu, a za każdym razem, gdy zamykałam oczy, słyszałam stanowcze i bezlitośnie logiczne słowa Marka, nakładające się na obrazy z przeszłości. Widziałam

siebie naga i szczęśliwą w ramionach Lucasa, jego zmrużone oczy, kiedy wpatrywał się w płomienie, zielone ogniki w jego oczach, kiedy patrzył na mnie. Jego rozpaczliwy niemal głos, kiedy mówił do mnie: „Żadnej kobiety na świecie nie pragnąłem tak jak ciebie...”. Czy to też było jedno z jego kłamstw? Nie mogłam mu dłużej ufać ani wierzyć w jego słowa - ale czy mogłam przestać go kochać? Musiałam przyzwycząić się do tego prywatnego piekła i nauczyć się z nim żyć. Nie potrafiłam opanować tej nienaturalnej, irracjonalnej tęsknoty za mężczyzną, który nigdy nie wyparł się miłości do innej kobiety, który gotów był dla niej kłamać, kraść, a nawet zabijać i który najprawdopodobniej przyczynił się do śmierci mego ojca.

Odłożyłam książki i przywołałam Julesa, by osiodłał mi konia. Nie miałam pojęcia, dokąd chcę jechać i na jak długo. Zaczynałam siebie nienawidzić, a otaczające mnie mury i wspomnienia przytłaczały swą siłą.

I w takim właśnie nastroju spotkałam ponownie Todda Shannona.

Rozdział 36

Mimo protestów Julesa postanowiłam wyruszyć w pojedynek. Znałam dobrze teren między moim domem a *palacio* Todda Shannona, ale tym razem pognałam na północ, w stronę gór. Nie bałam się już samotnych przejażdżek, bez eskorty. Miałam wrażenie, że napotkałam wszelkie możliwe niebezpieczeństwa i nie dbałam o to, co jeszcze może mi się przytrafić.

Wyjechałam z cienistego lasu prosto na lufy pięciu karabinów. Zatrzymałam konia, spostrzegając zmrużone oczy i błady uśmiech Todda Shannona.

- Mówiłem wam, chłopcy, że czerwonoskóry nie narobiłby tyle hałasu!

Jego sarkastyczna uwaga ubodła mnie do żywego, ale zachowałam kamienny spokój.

- Czy czekałeś na kogoś? - Nikt ci nie powiedział o naszych kłopotach?

Opuścili broń, a wtedy dostrzegłam walący się drewniany budynek przechylony na jedną stronę, z wyważonymi drzwiami zwisającymi na wyłamanych zawiasach.

Jakby czytając w moich myślach, Todd wykrzywił złośliwie usta.

- Poznaliście już waszą szefową, chłopcy?

Podjechał bliżej na swym rumaku i mruknął chrapliwie:

- Twoja samotna wyprawa daje mi do myślenia...

Towarzyszący mu czterej kowboje spieszyli się nieco, opuszczając karabinki i dotykając niezręcznie kapeluszy. Skinęłam lekko głową i zerknęłam na Todda.

- To moja ziemia, prawda? Uwielbiam samotne przejażdżki.

- Tak jak Flo za dawnych lat. To właśnie tu przyjeżdżała. Powinnam była się domyślić, widząc jego baczny wzrok.

Z ciekawością obejrzałam się na budynek i przypomniałam sobie, co mi kiedyś opowiadano. Próbowałam wyobrazić sobie Lucasa jako młodego mężczyznę, chłopca prawie, przybywającego tu na spotkania z Flo. Czy kiedykolwiek ją kochał? I ta strzelanina, która miała tu miejsce... histeryczne wrzaski Flo... i Lucas. O czym myślał, co czuł?

Nie zwracając uwagi na Todda, zsunęłam się z konia i ruszyłam naprzód.

- Nie wiedziałam - rzuciłam przez ramię. - Ale słyszałam, co się tu wydarzyło.

Jego ludzie odjechali w milczeniu, a ja znalazłam się sam na sam z Toddem. Czulałam za sobą jego obecność, kiedy przystanąłam przed drzwiami. Nie miałam zamiaru wchodzić do wewnątrz, ale duch tego miejsca zafascynował mnie.

- A więc słyszałaś? Od niego?

Wzmogłam czujność, widząc jak powstrzymuje gniew.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Tak, do diabła! Nie życzę sobie, abyś włóczyła się tutaj samotnie. I od dziś żadnych sekretów. Słyszysz? - Położył mi dłonie na ramionach, a ja zamieniłam się w sople lodu. - Opowiedziałas mi o tym, co się wydarzyło i być może gotów jestem ci częściowo uwierzyć. Ale skoro mamy się pobrać, musimy sobie wyjaśnić kilka niedomówień.

Wyrwałam się z jego uścisku.

- Nie będzie żadnego ślubu! Po tym, co pomyślałaś, co powiedziałaś... och, Todd! Po co ta cała farsa?

- Chcesz zrobić ze mnie idiotę? Może o tym nie wiesz, panienko, ale w tych stronach lepiej dotrzymywać danego słowa. Po ślubie dojdziemy jakoś do porozumienia. Gotów jestem przebaczyć i zapomnieć, może to nie była nawet twoja wina. Ale od dziś za-

czniesz się uczyć pokory, rozumiesz? I... - ryknął, a ja drgnęłam odruchowo. - Przestań prosić Marka, by spędzał u ciebie noce! Nie zniosę już więcej plotek.

- Czy wreszcie do ciebie dotrze, że nie zamierzam cię poślubić? - podświadomie podniosłam głos, a moja złość sięgnęła zenitu. - To był błąd. Nie mamy z sobą nic wspólnego. A teraz, zwłaszcza teraz powinieneś się cieszyć, że nie masz względem mnie żadnych zobowiązań.

Warknął cicho, ostrzegawczo.

- Masz śmiałość pysznić się i dąsać, po tym jak dopuściłaś się cudzołóstwa? A może tylko udajesz? Może jesteś z tych, które trzeba zadowalać siłą? Pamiętam chwile, kiedy trzymałem cię w ramionach, a ty prawie błagałaś o więcej. To ja się powstrzymywałem. To dama, powtarzałem sobie. Córka Guya. Ale nikt cię nie znał i może zawsze byłaś w sercu dziwką jak twoja matka.

Zapomniałam jaki jest silny, jak szybko się porusza. Złapał mnie w objęcia, pchnął na chatę, aż zatrzeszczały deski.

- Teraz... - szepnął z triumfem i okrucieństwem - teraz zobaczymy, czy pamiętasz jak to było między nami.

Poczułam dotyk jego ust. Bezradnie kręciłam głową, by uniknąć jego pocałunków. Tak było i poprzednio, ale tym razem nie czułam nic. Choć całował mnie długo i namiętanie, stałam nieruchomo jak kamień.

Przestałam się wyrywać, a kiedy podniósł wzrok wypełniony frustracją i gniewem, rzekłam:

- Jak widzisz, nie zadowolają mnie wymuszone pocałunki! A ty... ty już nie pragniesz mnie dla siebie. Dlaczego się do tego nie przyznasz? Pragniesz tylko całości rancza. Nie musisz zaprzeczać! Widzę nienawiść w twoich oczach. Dlaczego nie powiesz wprost, że wszystko między nami skończone?

Wyrwałam się z jego uścisku i ruszyłam w stronę konia, który czekał na mnie niecierpliwie strzygąc uszami. Kładłam już dłoń na siodle, kiedy dobiegł mnie głos Todda:

- Powiem ci coś i lepiej posłuchaj. W nienawiści czy nie, za miesiąc bierzemy ślub, a ty jak każda źrebica zostaniesz ujarzmiona i nauczysz się, gdzie twoje miejsce. Jak ci się nie podoba, wracaj na Wschód albo do Anglii. Ranczo należy do mnie! Walczyłem o

nie, przelewałem za nie krew i nikt mi go nie odbierze, rozumiesz?

Stał tak w rozkroku, marszcząc groźnie i pogardliwie brwi, a ja wskoczyłam na konia i odjechałam nie zaszczycając go ani słowem.

Todd wyraźnie postawił mi ultimatum. Musiałam się nad nim zastanowić. Wiedział przynajmniej, czego chce i o co jest gotów walczyć.

Czy mogłam to samo powiedzieć o sobie?

W następnym tygodniu miałam się przekonać, że Todd zamierza uczynić to, co obiecał. Nie narzucał swojej obecności, to prawda, ale na niezliczone sposoby dawał mi do zrozumienia, gdzie jest moje miejsce i kto tu wydaje polecenia.

Nagle zdałam sobie sprawę, że każdy mój krok jest śledzony i obserwowany. Kiedy wyjeżdżałam na konne przejażdżki, wyrastali niespodziewanie dwaj lub trzej kowboje i jechali moim śladem. Gdy protestowałam gniewnie, ściągali kapelusze i przepraszaali, informując, że pan Shannon wydał im takie polecenie. Buntowałam się, a wówczas oni znikali na chwilę z pola widzenia, ale wiedziałam, że są gdzieś niedaleko, za drzewami lub pałkami kaktusa, obserwując mnie przez lornetkę.

Nawet gdy udałam się z Martą i Julesem do Santa Rita na pocztę, zauważyłam znajome twarze ludzi SD, znajome znaki na koniach przywiązanych do słupków. Od Julesa dowiedziałam się, że Todd wystawił przed moim domem nocną wartę - oczywiście wszystko to, by mnie „chronić”!

Swoim gniewem podzieliłam się z Markiem, ale ten pojawiał się bardzo rzadko. Przyznał, że Todd wynajdywał mu przeróżne zajęcia i liczne wyjazdy. Sprawy natury prawnej pojawiły się jak na zawołanie. I jego denerwowała taka sytuacja, choć starał się być sprawiedliwy.

- Wiem, że tego nie cierpisz, ale to przecież dla twego dobra, Roweno! Ostatnio Apacze stają się coraz śmielsi. Napadli niedawno małe gospodarstwo oddalone stąd o jakieś pięćdziesiąt mil! Grasuje tu dobrze zorganizowana banda koniokradów. Czy Todd ci niczego nie powiedział? W ciągu ostatnich dwóch tygodni SD straciło ponad sto koni. Okoliczni farmerzy zamierzają utworzyć straż obywatelską; żołnierze zajęci są ściganiem Indian. Jak widzisz...

Na wieść o koniokradach nie mogłam opanować nagłego bicia serca. Mark popa-

trzył na mnie badawczo, więc dorzuciłam pośpiesznie:

- Nie zniosę tego! I jeśli Todd myśli, że może zmusić mnie do małżeństwa...

- Nie może cię zmusić do ślubu - uspokoił mnie Mark, marszcząc lekko czoło.

- I nie może mnie zmusić, by jego ludzie przebywali na mojej ziemi - ciągnęłam śmiało. - A jeśli wynajmę własnych kowbojów? Ludzi, którzy będą słuchać tylko mnie. Męczy mnie ta rola więźnia.

- Roweno, bądź rozsądna, licz się z faktami. Ilu ludzi w tej części kraju posłuchałoby rozkazów kobiety? Za odpowiednie pieniądze możesz wynająć zawodowych rewolwerowców, ale pamiętaj, że tacy ludzie to urodzeni drapieżcy. Jak długo możesz ich kontrolować? Chyba nie chcesz zaczynać lokalnej wojny i rozlewu krwi tylko dlatego, że mój wuj dba o twoje bezpieczeństwo? Nikt na tym terytorium nie daruje ci takiego postępowania. Wiem, że brzmi to okrutnie i bezkompromisowo, ale pamiętaj, że wuj ma nad tobą przewagę. Bądź cierpliwa...

- Cierpliwa! Kiedy twój wuj jest pewien, że potrafi złamać mój opór lub przegnać mnie na cztery wiatry? Czasami wydaje mi się, że oszaleję - z wściekłości albo z nudów. Na co właściwie czekam? Dlaczego nie skontaktował się ze mną Montoya? A ty, mimo gorących zapewnień o przyjaźni, dajesz sobą pomiatać jak...

Przerwałam gwałtownie, przyciskając palce do ust, przerażona własnymi słowami. Mark z bladą od emocji twarzą dokończył za mnie:

- Jak usłużny lokaj, to chciałaś powiedzieć? Któregoś dnia udowodnię ci, że...

- Mark, nie gniewaj się. Tak mi przykro! Nie wiem, co mnie napadło. Nigdy się tak nie denerwuję. - Próbowałam się zaśmiać, ale wydobyłam z siebie jedynie szloch. - To ten upał. I wszystko inne. Gdybym miała pewność, że pan Bragg żyje, gdybym wiedziała, gdzie jest... Tak bardzo chciałabym dowieść swej przydatności, przekonać się że mój przyjazd tutaj miał jakiś cel!

- Ależ miał! Nie wolno ci myśleć inaczej. - Zapominając o własnym bólu, Mark położył mi dłonie na ramionach i spojrzał głęboko w oczy. - Posłuchaj, skoro to tyle dla ciebie znaczy, zrobię co w mojej mocy, by odszukać tego Montoyę. Jutro muszę jechać do Las Cruces, być może spędzę tam dwa dni. Osobiście z nim porozmawiam. Jeśli pan Bragg żyje, znajdziemy go. A jeśli trzeba, po powrocie do Bostonu wynajmę kolejnego

człowieka Pinkertona, aby dowiedział się, co się z nim stało.

- Kiedy wracasz do Bostonu? - zapytałam, wbijając w niego przerażony wzrok. - Nigdy nie wspominałeś... Chyba nie zamierzasz zostawić mnie tu samej?

Przemawiałam jak zepsute, samolubne dziecko. Natychmiast zdałam sobie z tego sprawę i próbowałam się poprawić.

- Przepraszam. Już dawno powinnam zdać sobie sprawę, że to nie jest twój dom, że w Bostonie czeka cię praktyka prawnicza. Musisz uważać mnie za straszną egoistkę!

- Roweno! - Palce Marka wbiły się w moje ciało. - Już dawno chciałem ci to powiedzieć, ale wahałem się. Odniosłem wrażenie, że będziesz za mną tęsknić. Czy to możliwe? Posłuchaj i nie przerywaj mi, dopóki nie skończę, bo nigdy więcej nie zdobędę się na taką odwagę. Wiesz, że cię kocham, nie wiesz tylko, jak bardzo. Chcę ci to udowodnić. Wracaj ze mną na Wschód, proszę! To nie jest miejsce dla ciebie ani dla mnie. Pamiętaj, kiedyś powiedziałaś, że nie potrafimy znaleźć swego miejsca! Wyjdź za mnie, Roweno. Niech wuj zatrzyma dla siebie to imperium, czy to takie ważne? Z tym miejscem wiążą się same nieprzyjemne wspomnienia; musisz o nich zapomnieć. Wiesz, jak umarł twój ojciec i znasz jego ostatnie życzenia. Możesz je spełnić bez dalszego cierpienia i niekoniecznie tutaj. Nawet jeśli nie chcesz mnie poślubić, jedź ze mną do Bostonu. Nazwij to wakacjami. Moja matka będzie szczęśliwa, goszcząc cię u siebie. Roweno! Czy nie widzisz, że nie możesz dalej tu mieszkać?

Spojrzałam na twarz Marka wyrażającą błaganie i wyszeptalam niepewnie:

- Ale twój wuj! Nigdy ci tego nie wybaczy.

- Jeśli będę miał ciebie, może się nawet powiesić razem z tym całym dziedzictwem! - uniósł się Mark. - Mój Boże! Czasami wygląda to jak niewola! Gdyby nie ty, nigdy bym tu tak długo nie siedział. Roweno, zanim cię opuszczę, czy obiecasz mi, że zastanowisz się nad moimi słowami? Nie musisz odpowiadać natychmiast. Chcę, abyś nie miała najmniejszych wątpliwości.

I tak zostało do dnia przed powrotem Marka z Las Cruces...

W moim życiu znowu pojawił się Lucas.

Rozdział 37

Od chwili wyjazdu Marka miałam sporo czasu na przemyślenia. Jego przyjazd z Las Cruces opóźniał się i choć zastanawiałam się, czy to spóźnienie ma jakieś znaczenie, cieszyłam się samotnością. Zdałam sobie sprawę, że coraz bardziej przywiązuję się do Marka i uzależniam od jego siły i zaofiarowanego mi komfortu.

Zbyt wiele spraw zaprzętało moje myśli. Mark i odpowiedź, której muszę mu udzielić po jego powrocie. Co mam mu powiedzieć? Todd, który nienawidził mnie i poprosił, dał mi miesiąc do namysłu - ślub albo ucieczka. Każda myśl o Toddzie doprowadzała mnie do wściekłości. Czy naprawdę myśli, że potrafi zmusić mnie do małżeństwa? Próbowałam przekonywać siebie, że Todd jest egoistą opętanym poczuciem władzy, przyzwyczajonym do deptania uczuć innych ludzi. A jednak czułam się niepewnie. To dziwne, że trzymał się ode mnie z daleka, zwłaszcza po wyjeździe Marka. Nie miałam wątpliwości, że znał mój każdy krok; jego ludzie snuli się za mną jak cienie. Co chciał osiągnąć?

Postanowiłam zaplanować każdy dzień, tak aby automatycznie przechodzić od jednych czynności do drugich. Jak zwykle jeździłam konno, ignorując moją tajną eskortę. Po południu, kiedy słońce prażyło niemiłosiernie, oddawałam się lekturze dzienników ojca w nadziei, że lepiej zrozumiem jego postępowanie.

Był jeszcze jeden powód, dla którego wyszukiwałam sobie zajęcia, by wieczorem paść z wyczerpania na łóżko. Powód, któremu nie byłam gotowa stawić czoła, nieznośne podejrzenie, którego starałam się unikać. Zawsze oburzały mnie fizyczne dowody mojej kobiecości, która wiązała się ze słabością i niemocą. Czasami żałowałam, że nie urodziłam się mężczyzną. Ale teraz było zbyt późno na żale. Nauczyłam się unikać zmartwionego wzroku Marty, która każdego ranka namawiała mnie do wypicia gorącej czekolady. Uparcie potrząsałam głową albo odstawiałam kubek po jednym łyku. Nie, powtarzałam sobie. To tylko upał. I niespokojne sny, podczas których kręciłam się i rzucałam na łóżku, budząc się w połowie przedziwnych koszmarów.

Od wyjazdu Marka wszystkie dni były do siebie podobne. Aż do tamtego dnia, kiedy to zaczęłam opisywać minione zdarzenia i który pamiętam w najdrobniejszych

szczegółach.

Było niezwykle gorąco. Obudziłam się zrana z potem, przyklejona do prześcieradeł. To słońce zerwało mnie ze snu, wysyłając złote strzały światła do mojej sypialni, jakby chciało mi przypomnieć o rozpalonych, bezlitosnych godzinach, które mnie czekały.

Wygrzebałam się z łóżka i spryskałam zimną wodą twarz i całe ciało. Po tym łagodnym, przyjemnym prysznicu zniknął cały niepokój, który mnie przebudził.

Na śniadanie zjadłam dwie grzanki i popiłam szklanką świeżego soku z limonek. Pokonując lekkie mdłości, wyruszyłam na konną przejażdżkę. Towarzyszyła mi zwyczajowa eskorta. Co zrobią, jeśli pognam daleko przed siebie? Góry migotały w delikatnej mgle, a ja przypominałam sobie chłód gęstwiny lasów w ich górnych partiach. Co się stanie, jeśli tam powrócę, tym razem z własnej woli? Tak jak mój ojciec, kiedy poszukiwał spokoju - z wyjątkiem tego ostatniego razu, kiedy dowiedział się o czymś, co doprowadziło do jego śmierci. Ta myśl spowodowała, że zawróciłam konia i pogalopowałam do domu. Do chłodu mojej sypialni, w której czekała już Marta; jej zazwyczaj uśmiechnięte usta tym razem wyrażały dezaprobatę moich szalonych poczynań.

Pot kapął ze mnie ciurkiem, jedwabna bluzka lepiła się do pleców, a na twarzy wystąpiły nienaturalne rumieńce. Pomagając mi zmienić strój, mruzczała pod nosem:

- Co to za szaleństwo! Wybierać się konno w taki upał. I po co? Rozchoruje się pani, a señor Mark będzie nas obwiniał za brak opieki.

Zgodziłam się na sjęstę; nie tylko dlatego, by ją ułagodzić, ale dlatego, że nagle poczułam się słaba i pozbawiona wszelkiej energii.

- Pamiętaj, tylko ten jeden raz - szepnęłam sennie, kiedy mnie przykrywała kołdrą.
- Nie mogę się przyzwyczajać do takiego lenistwa.

A potem zapadłam w głęboki sen. Musiałam spać do późnego wieczora, bo kiedy otworzyłam oczy, na mojej toaletce paliła się lampka. Pod ścianą, tak jak za pierwszym razem, stał Lucas obserwując mnie czujnym wzrokiem.

W pierwszej chwili pomyślałam, że śnię. Wyczarowałam go z własnej wyobraźni. To Lucas, a jednak jakby nie on. Miał na sobie strój indiańskiego wojownika, był nagi do pasa, miał spodnie i mokasyny do kolan. Z jego szyi zwisał woreczek z „lekami” zawieszony na cienkim rzemyku.

Uchyliłam powieki i dostrzegłam jego oczy - zielone i zmrużone. Serce waliło mi jak młotem. Miałam wrażenie, że zemdleję, a on zniknie ponownie.

- Lucas?

Wiem, że poruszyłam ustami, wymawiając jego imię, ale z zaciśniętego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Przeszedł przez pokój, poruszając się tym samym długim, niemal gniewnym krokiem, który tak dobrze znałam.

Nawet jego głos się nie zmienił - brzmiał tą samą chrapliwą nutą i lekkim wzruszeniem, którego nie zdołałam pojąć pod wpływem emocjonalnego wstrząsu.

- Spałaś tak głęboko, że nie chciałem cię budzić. Ro, ja...

Nigdy się nie dowiedziałam, co chciał powiedzieć. Podniosłam się, a z moich nagich piersi opadło prześcieradło, jak wspomnienie wszystkiego, co usłyszałam i przemyślałam w ciągu ostatnich tygodni, jak wszystkie moje stanowcze postanowienia. To przerażające, kiedy kobieta odkrywa, że potrafi zaślepić ją namiętność. Ale ta refleksja przyszła później.

Kierując się zwykłym, prymitywnym instynktem wyciągnęłam ramiona i przyciągnęłam do siebie jego głowę, dziko i zachłannie odwzajemniając pocałunki. Nie było czasu na myślenie.

Ściągnął mnie z łóżka. Stałam bosą na podłodze i z trudem utrzymując się na nogach, przylgnęłam do tego dobrze znanego ciała, wciąż obejmując go za szyję. Na nowo odkryłam uczucie zatracenia, odpływu w odległe miejsce, gdzie nic nie miało znaczenia, tylko pragnienie i spełnienie. To za tym bezwstydnie tęskniłam i wzdychałam; tego łaknęłam. Namiętność, pragnienie, miłość - jak je od siebie odróżnić?

Pamiętam tylko, że trzymałam go z całej siły, nie mając zamiaru wypuścić z objęć, ale Lucas strząsnął z siebie zakłęcie, które porwało mnie i obezwładniło.

Odepchnął mnie tak gwałtownie, że opadłam na łóżko. Tylko duma i gniew wywołany odrzuceniem postawiły mnie na nogi.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że chrapliwość jego głosu miała zatuszować niezdecydowanie i frustrację. Czułam ból i upokorzenie z powodu kolejnego odrzucenia, które jak chłodno wymierzony policzek miało przywrócić mnie do rzeczywistości.

- Doszły mnie słuchy, że w przyszłym tygodniu wychodzisz za Shannona. Czy

masz dobrze w głowie?

- To dlatego przyszedłeś? - Kręciło mi się w głowie, ale parsknęłam śmiechem. - Naprawdę, Lucasie, dziwię się, że marnujesz swój czas, nie mówiąc już o ryzyku, na jakie się narażasz. Czy rzeczywiście myślisz, że potrafisz powstrzymać mnie przed czymkolwiek? Tylko dlatego, że... - Mój niepewny głos omal mnie nie zdradził, ale zdołałam go opanować i wciągając głęboko powietrze dodałam z wyrachowanym lekceważeniem. - Tylko dlatego, że między nami narodził się zwykły pociąg fizyczny?

Zrobił krok naprzód i zatrzymał się. Twarz miał ponurą i surową.

- A więc po tym wszystkim mówisz mi, że poślubiasz Shannona?

- Po czym, Lucasie Cord? - Odsunęłam się od niego, wiedząc, że jeśli dotknie mnie ponownie, będę zgubiona.

Podeszłam do toaletki i obróciłam się. On też się odwrócił i spojrzał mi w twarz. W świetle lampy oczy Lucasa przybrały zielonkawą barwę; zmrużył je jak śnieżna pantera gotowa do skoku. Zaczęłam mówić bardzo szybko, zanim opadłam z sił, a mój głos, choć cichy, brzmiał dziwnie ostro.

- Czy uważasz, że to, co się między nami wydarzyło, daje ci prawo do zadawania mi pytań? Wypełniliśmy tym kilkanaście godzin, aby zabić nieznośną nudę. Potem, ponieważ zginął twój brat, który chciał mnie poślubić, odesłałeś mnie z powrotem w zamian za okup. A może twój przyjaciel Montoya zapomniał wypłacić ci twoją część? Dlatego tu przybyłeś? Jeśli tak, to na próżno! Widzisz, wiem już wszystko o liście napisanym przez mojego ojca! Wiem, że go zniszczył, wiem dlaczego. I wiem... wiem...

Mimo usilnych prób nie mogłam opanować drżenia głosu. Wszystko, co przeczytałam w dzienniku ojca, wszystko, co z taką cierpliwością tłumaczył mi Mark powróciło nagle, wypełniając mnie obrzydzeniem.

- Nie wiem, o czym mówisz, u diabła! - krzyknął napiętym głosem Lucas, ściągając brwi. - Roweno...

- Nie! Nie pogarszaj sytuacji kolejnymi kłamstwami! Widzisz, sporo się o tobie dowiedziałam! Chciałeś mnie oszukać i wykorzystać, tak jak to robiłeś z innymi kobietami. Myślę, że próbowałeś zabić Elmera Bragga, bo zbyt wiele wiedział - o liście zniszczonym przez mego ojca, o uzupełnieniu testamentu, który zniknął tej samej nocy,

gdy... czy to ty go zabiłeś, Lucasie? Czy dołałeś laudanum do szklanki, kiedy się odwróciłeś? O, Boże. On tak ci ufał. I pomyśleć, że i ja zaczęłam ci ufać, że myślałam...

- Dosyć! - Przemierzył pokój dwoma długimi krokami i chwycił mnie za ramiona.

Próbowałam się wykręcić, ale trzymał mnie mocno, zaciskając okrutnie palce, aż syknęłam z bólu i szoku. Poczułam jak kant stołu wbija się w moje nagie udo. Świadoma byłam jego bliskości, lekkiego, gniewnego ruchu nozdrzy, zaciśniętych do białości ust...

- Posłuchaj... - nakazał stanowczym, lodowatym głosem. - Nie wiem, do czego zmierzasz, ale wydaje mi się, że oskarżasz mnie o zabójstwo twego ojca. Myślę, że kłamstwa, którymi ktoś cię karmi, zdeformowały ci mózg tak bardzo, że nie potrafisz dostrzec prawdy, nawet jeśli leży tuż pod twoim nosem!

- Jak śmiesz...

- A tak, śmiem... czy jeszcze się tego nie nauczyłaś? - Potrząsnął mną lekko, a ja wzdrygnęłam się, widząc błysk gniewu w jego oczach. - Jeśli ci się nie podobają moje słowa, możesz zawsze otworzyć usta i wrzasnąć. Straż Shannona przybiegnie tu natychmiast. Dlaczego tego nie robisz? A może boisz się, że poinformują Shannona, iż znaleźli jego kobietę nagą w sypialni z mordercą-mieszkańcem?

- Przestań! - załkałam, oślepią łzami wściekłości i upokorzenia. - Nie chcę niczego słyszeć. Nie chcę cię więcej widzieć. Nienawidzę cię, rozumiesz? Nienawidzę, gardzę tobą! Dlaczego nie wracasz do Eleny, by płać się z nią w plugawej, kazirodczej rozkoszy?

Zaczęłam okładać go pięściami, dopóki nie chwycił mnie za rękę.

- Jeszcze nie teraz - ściszył groźnie głos. - Muszę czegoś dowieść - sobie i tobie też.

Tym razem otworzyłam usta, gotowa do krzyku, ale nie wydałam żadnego dźwięku, kiedy jego usta dotknęły moich warg. Nie warto walczyć ani się wrywać. Nie warto, jak odkryłam po chwili, walczyć ze zdradziecką reakcją moich zmysłów.

Kiedy Lucas wziął mnie na rękę, miękko opuściłam głowę na jego ramieniu. Położył mnie na łóżku, a kilka sekund oczekiwania aż się rozbierze, wydało się wiecznością.

To, co nastąpiło potem, było aktem przemocy; surową, dziką namiętnością, która obydwała się bez słów. Potrzeba i reakcja. Pożądanie i kulminacja. Nasze ciała znały od-

powiedz na każde pytanie.

A potem wszystko ustało, z wyjątkiem mojego oszołomienia. Nie mogłam pojąć, dlaczego zamiast trzymać mnie mocno, Lucas wyrwał się z sieci moich ramion i nóg, odsuwając się w milczeniu. Zrobił to delikatnie, lecz obojętnie. Gdy usiadł na brzegu łóżka spokojnie naciągając mokasyny, poczułam suchość w gardle będącą oznaką strachu.

- Lucasie... - szepnęłam ciszej od łomotu mego serca.

Obojętnie odwrócił w moją stronę głowę. Zanim zdołałam wypowiedzieć choć jedno słowo, zwilżyłam językiem wargi.

- Lucasie, ty nie... - Nie zareagował, musiałam więc wydusić z siebie. - Ty jeszcze nie odchodzisz?

Nie mogłam znieść rozpaczliwego błagania w moim głosie, zauważyłam jak delikatnie mruży oczy. Podniósł się i naciągnął spodnie.

- Dlaczego nie? Nic mnie tu już nie trzyma, prawda?

A potem, jakby żałując okrucieństwa swych słów, dodał:

- Myślałem, że tego właśnie chciałaś. Poza tym, jeśli Shannon odwiedzi cię jutro rano, nie będzie zachwycony moim widokiem. Może nawet zerwie zaręczyny.

Krew odpłynęła mi z twarzy, pozostało jedynie uczucie chłodu i pustki.

- To by cię ucieszyło! - prychnęłam z goryczą. - Przypuszczam, że i tak go poinformujesz. Jak poprzednio!

W jego oczach pojawiły się zielone ogniki, a potem oznajmił tym samym łagodnym tonem:

- Domyślam się, że to kolejny niecny występ, którego się dopuściłem. Cóż, przykro mi, że nie mam czasu, by się bronić. Zresztą to i tak by niczego nie zmieniło, bo ty już podjęłaś decyzję zanim przyszedłem tu jak głupi.

- Jeśli to kłamstwa, powiedz mi! Jeśli możesz wyjaśnić...

Przerwał mi lodowato:

- Co wyjaśnić? Te wszystkie szalone oskarżenia, którymi mnie obrzuciłaś czy to, co się przed chwilą między nami wydarzyło? Nie, niech mnie piekło pochłonie. Nie będę się tłumaczył. Od naszego pierwszego spotkania tylko mnie osądzasz, osądzasz wszystkich dokoła. Czas, abyś oceniła samą siebie. Przyjrzyj się sobie, Roweno. Nie ma na

świecie ludzi doskonałych; nigdy tego od ciebie nie oczekiwałem. Ale ty stawiasz się nad wszystkimi, wyciągasz własne wnioski... kto ci dał do tego prawo?

Nie odrywałam od niego wzroku, przyciskając do szyi dłoń, by powstrzymać mdłości, które narastały z każdym jego słowem. Czy to prawda? Czy tak mnie rzeczywiście postrzegał?

Potrząsnęłam głową, nie wierząc własnym podejrzeniom.

- Nie... to nieprawda, nie jesteś sprawiedliwy...

- Tak jak ty?

Skuliłam się, słysząc jego zimny, bezlitosny głos. A jednak nie mogłam milczeć.

- Chciałam tylko odpowiedzi! Czy to aż tak dużo?

Upokorzona, poczułam, że po twarzy spływają mi łzy.

- Ro... - odezwał się zmęczonym głosem. - Kiedyś udzieliłem ci odpowiedzi. Ale to nie pomogło. Bez względu na to, co ci mówię, zaraz zaczniesz wątpić. Najlepiej będzie dla nas obojga, jeśli zniknę raz na zawsze z twego życia. I tak zamierzam postąpić.

Łzy przemieniły się w cichy, urywany szloch. Zacisnęłam zębami dolną wargę, czując smak krwi.

- Po co więc przyszedłeś tej nocy? Dlaczego?

Lucas stał już przy drzwiach, ale odwrócił się i wzruszył ramionami.

- Teraz to nieważne. Nazwijmy to szaloną fantazją.

Chciałam wykrzyknąć: „Nie opuszczaj mnie!”, ale było za późno. Zadałam pytanie, nie otrzymałam odpowiedzi. Być może pomyślał, że na nią nie zasługuję. Wydało mi się, że słyszę jego szept:

- Przepraszam, Ro.

Zatrzasnął za sobą drzwi, zatrzasnął część mego życia. Padłam na łóżko, zaniósłam się szlochem i pragnęłam umrzeć.

Tak bardzo przejęłam się własnym cierpieniem, że nie zastanowiłam się, dlaczego Lucas wyszedł zwykłym wyjściem, a nie przez zapadowe drzwi w suficie. I wtedy pojawiła się Marta, jej twarz przepelniał smutek.

Nie mogłam wydobyć z siebie głosu, a przez zapuchnięte od łez oczy widziałam jedynie ciemną plamę. Otoczyła mnie ramionami jak małe dziecko i zakołysała.

Usłyszałam, jak mruczy po hiszpańsku:

- Płacz, płacz, to ci dobrze zrobi... ach, *pobrecita!* Wiem, jak ciężko być kobietą, to boli, prawda? - Jej łagodny głos stwardniał lekko, gdy oświadczyła. - Mężczyźni! Niczego nie rozumieją, wszyscy są samolubni! Powiedziałam mu to. Rzekłam: „Dlaczego przyszedłeś tutaj jak *ladron*, jak Apacz, który musi kryć się w ciemnościach. Czy po to, by ją znowu porzucić? Wystarczy jej kłopotów. Patron wdziera się tutaj, wrzeszcząc, grożąc, strasząc, a pan Mark doprowadza ją do płaczu, wciskając do głowy jakieś szalone pomysły”. *Si*, ja nigdy nie owijam słów w bawełnę i Lucas to wie.

Odwróciłam głowę, by na nią spojrzeć, zastanawiając się, dlaczego nie zaskoczyły mnie jej słowa. Oczywiście Marta i Jules domyślali się całej prawdy! Bez wątpienia dotarły do nich pogłoski, a moje zachowanie po powrocie wszystko potwierdziło.

Nie musiałam już udawać.

- Czy on... naprawdę odszedł? - spytałam zachrypłym, nieswoim głosem.

Pogładziła niezdarnie moje włosy i kiwnęła głową.

- *Si*, odszedł. Jules przywołał stojących na straży ludzi, częstując ich kawą. Powiedział im, że nie może zasnąć. Odszedł, kiedy byli zajęci. Tak cicho jakby sam był Apaczem. Niech się pani nie martwi, da sobie radę. Poprosił mnie, abym się panią opiekowała - dodała cicho. - „Idź do niej, Marto”, powiedział i tylko potrząsnął głową, kiedy skarciłam go, że panią niepokoi. „Przez jakiś czas będzie nieszczęśliwa, ale potem zrozumie, że to dla jej dobra”. *Madre de Dios*, czasami myślę, że to mężczyźni niczego nie rozumieją!

Rozdział 38

Nie przypominam sobie, czy zasnęłam tamtej nocy. Płakałam bez końca, choć Marta próbowała ukoić mój ból. Następnego ranka, kiedy wreszcie wstałam z łóżka, by zobaczyć w lustrze zapuchniętą od łez, obcą twarz, poczułam nagle takie mdłości, że chwyciłam się kurczowo krawędzi toaletki i jęknęłam jak zranione zwierzę.

Marta wyszła, by przynieść miskę zimnej wody do przemycia oczu, ale słysząc mój krzyk przybiegła w mgnieniu oka. Przytrzymała mi twarz, odsunęła z czoła kosmyk włosów, a ja zwymiotowałam gwałtownie, nie mogąc się powstrzymać. Nie musiałam na nią spoglądać, by odczytać w jej pełnym współczucia wzroku potwierdzenie czegoś, co od pewnego czasu podejrzewałam.

- Jestem w ciąży.

Słyszając taką enuncjację Mark pobladł z wrażenia. Odwiedził mnie zaraz po powrocie z Las Cruces i od razu zauważył moje zaczerwienione oczy i roztargnienie. Kiedy zapytał mnie wprost, co się stało, nie widziałam powodu, by kłamać.

- Boże! Roweno, jesteś pewna?

Spojrzałam na moje zaciśnięte dłonie. Zbielałe palce dowodziły wewnętrznego niepokoju. Podniosłam wzrok i dostrzegłam osobliwe spojrzenie niebieskich oczu Marka. Na jego twarzy odmalowała się troska.

- Jesteś pewna? - powtórzył, a kiedy kiwnęłam głową, jego głos przybrał na sile i zdecydowaniu. - W takim razie możesz zrobić tylko jedno. Chyba wiesz, co mam na myśli?

- Mark... - Apatia, w jaką popadłam, przytępiła moje zmysły i nie wiedziałam, co ma na myśli, do momentu gdy ujął moje dłonie i oświadczył stanowczo:

- Pobierzemy się. Jak najszybciej. Nie, Roweno, nie sprzeciwiaj się. To jedyne rozwiązanie. Dla twojego dobra, dla dobra... dziecka, które nosisz. Dla twego bezpieczeństwa.

Oczywiście sprzeciwiłam się, ale obalał po kolei każdy argument. Muszę myśleć o swojej przyszłości, o przyszłości dziecka. Nie chciałam myśleć o Lucasie, który nie udzielił mi żadnych odpowiedzi, żadnych wyjaśnień i który tak bezlitośnie usunął się z

mego życia. A jeśli to Ramon był ojcem dziecka? Lucas odwrócił się do mnie plecami, ale nie Mark. Mark kochał mnie aż tak bardzo, że gotów był zaakceptować mnie ze wszystkimi wadami i w tak kłopotliwym stanie.

Miał rację, nie było innego rozwiązania. Musiałam zaakceptować fakt, że żyję w świecie mężczyzn, gdzie niezamężna kobieta w ciąży, nieważne jak bogata i utytułowana, będzie wykluczona z towarzystwa. Nie mogłam przed tym uciec i sama byłam sobie winna.

W ciągu następnych dni wdzięczna byłam Markowi za jego zadziwiającą siłę charakteru, o której nie miałam pojęcia, za życzliwość i takt. Kiedy pogodziłam się z losem, pozwoliłam Markowi, aby podejmował decyzje za nas oboje.

Mieliśmy się pobrać za trzy dni i wyjechać do Bostonu na miodowy miesiąc. Potem czekał nas powrót do Nowego Meksyku, gdyż Mark nieugięcie twierdził, że nie wolno mi stracić mojego dziedzictwa.

- Tego zawsze pragnął twój ojciec, Roweno - oświadczył łagodnie, a ja nie miałam siły ani argumentów, by się z nim sprzeczać. Zwłaszcza kiedy dorzucił, że skontaktował się z Jesusem Montoyą, który obiecał przekazać nam pewne informacje po naszym powrocie.

- Oczywiście żąda za nie sporo pieniędzy - zachmurzył się Mark - ale pomyślałem, że się nie sprzeciwisz.

Nie, nie miałam nic przeciwko temu. Pozwoliłam Markowi zająć się wszystkim, nadal pozostając w stanie szoku. Wydawało mi się, że to wszystko sen. Taki właśnie stan ducha ułatwił mi krótką, choć krańcowo nieprzyjemną rozmowę z Toddem Shannonem.

Rozsierdził się, nie wierzył nam, nie krył swej pogardy. Mimo chłodnej obojętności nie kryłam dumy z Marka, który śmiało stawiał mu czoło.

- Rowena wychodzi za mnie i na tym koniec. Niech to wreszcie do ciebie dotrze, bo będziemy sąsiadami i współnikami; czy ci się to podoba, czy nie. Nie pozwolę, byś jej groził. Rowena ma prawo do własnych decyzji.

- Ona jest tylko... - rzucił bez ogródek Todd, mimo gniewnych protestów Marka. Nie drgnęłam, nawet gdy przeszył mnie nieprzyjemnym, baczynym wzrokiem.

- Jesteś skończonym głupcem, Mark, i naiwniakiem! Flirtowała z tobą za moimi

plecami, w przyszłości może zdradzać i ciebie. Masz zamiar zbierać ochłapy po tym czerwonoskórym? A może... - zaostrzył głos - to twoja sprawka? Pewny jesteś, że wiesz, czyjego bękarta nosi?

Tylko ze względu na Marka nie wyjawiałam całej prawdy. Todd Shannon dostrzegł widocznie jakiś błysk w moich oczach, bo odrzucił głowę i wybuchnął obrzydliwym, szyderczym śmiechem.

- A więc to tak, niech mnie licho! Mój szlachetny bratanek jest chytrzejszy niż podejrzewałem. W ten sposób dostaniesz połowę rancza nie czekając na moją śmierć, a z jej pieniędzmi możesz nawet walczyć o fotel gubernatora. Czyż nie tak to sobie zaplanowałeś?

Jego ochryply śmiech drażnił moje uszy.

- Na Boga, nie podejrzewałem, że wyrośnie z ciebie prawdziwy Shannon!

Mark wyprowadził mnie na zewnątrz, ale tam też dobiegał śmiech Todda.

- Rowena!

Potrząsnęłam głową.

- Nie, Mark. Nie musisz nic mówić. Myślisz, że nie wiem, jaki jest? To nie ma znaczenia... musiał to z siebie wyrzucić.

Mark chwycił mnie w ramiona i obsypał pocałunkami moją twarz i szyję, lecz tylko „szkolenie” jakie przeszłam pod okiem Edgara Cardona pozwoliło mi stworzyć pozory jakiegokolwiek reakcji.

- Niech pani zaczeka... *por Dios*, niech pani zaczeka, kilka tygodni, kilka dni - błagała mnie Marta.

Od tamtej nocy była dla mnie jak matka i przestała nazywać patroną.

- On wróci. Wiem, że panią kocha, nic na to nie poradzi. Mężczyźni są czasami uparci.

Ale ja nie chciałam czekać, by się znów nie rozczarować.

Lucas nie wróci. Jest z Eleną, tam gdzie jego miejsce. Wiedziałam to, choć nie piśniełam Marcie ani słowa. Lucas miał rację. Należeliśmy do dwóch różnych światów. Kochałam go, tęskniłam, ale wiedziałam, że nie mogę mu ufać. Zbyt wiele było przeciw niemu dowodów, zbyt wiele nie wyjaśnionych wypadków, które składały się na to oskar-

zenie. Musiałam o nim zapomnieć, to wszystko. Dziecko, które w sobie nosiłam, było jeszcze jednym niewygodnym faktem, z którym musiałam się liczyć.

Dni mijały zbyt szybko. Mimo protestów Marta pomogła mi przy pakowaniu i zanim zdażyłam przywyknąć do samego pomysłu, sędzia pokoju w Kingston udzielił nam ślubu; świadkami byli obcy ludzie. Wkrótce potem rozpoczęliśmy naszą podróż ku cywilizacji.

Z osobliwym uczuciem odtwarzałam podróż, która jeszcze przed kilkoma miesiącami była dla mnie niezwykłą przygodą. Byłam mężatką ze złotą obrączką na palcu - symbolem mej nowej pozycji życiowej. Zmieniłam się, podobnie jak Mark, choć teraz, gdy patrzę w przeszłość, trudno mi wskazać dzień, w którym dostrzegłam owe zmiany. Być może zbyt zajęta byłam wyrzucaniem z mojego umysłu niemiłych i bolesnych myśli. Pamiętam, że raz czy dwa Mark wspominał ze śmiechem, że po zakończeniu podróży skruszy mur, którym się otoczyłam. Ja wolałam nie wybiegać myślami w przyszłość ani cofać się w przeszłość. Żyłam z dnia na dzień i to mi wystarczało. Przynajmniej wtedy tak myślałam.

Kiedy podczas naszej nocy poślubnej Mark jedynie pocałował mnie czule przed drzwiami do sypialni i powiedział, że muszę wypocząć przed podróżą, uznałam to za kolejny przejaw jego troski i miłości. Gnębiły mnie nawet wyrzuty sumienia, że pierwszą reakcją było uczucie ulgi. Zbyt długo byliśmy przyjaciółmi, by zniecka przywyknąć do faktu, że Mark ma teraz wszystkie prawa małżonka. Gdy owej nocy leżałam w łóżku, modląc się o szybki sen, obiecałam sobie solennie, że zrobię wszystko, by być dla niego dobrą żoną - gotowa byłam udawać w sypialni, by tylko czuł się szczęśliwy.

Jednak dopiero po przyjeździe do Socorro Mark podjął próbę skorzystania ze swych małżeńskich przywilejów, a ja tej samej nocy uświadomiłam sobie, że poślubiłam mężczyznę o mrocznej, tajemniczej osobowości.

Wyprzedzam jednak fakty. Nawet teraz zastanawiam się, dlaczego niczego nie podejrzewałam; dlaczego podczas nieznośnie powolnej podróży do Socorro mój małżonek ani razu nie odwiedził mego łóżka, zadowolając się kilkoma pocałunkami i zdawkowymi pieszczotami. Przez wzgląd na mój stan i ciągłe nudności? A może był bezgranicznie cierpliwy? Łatwo mi się teraz nad tym zastanawiać. Wtedy wdzięczna byłam za każdą

chwilę, gdy nie czułam mdłości.

Zawsze szczyliłam się silnym organizmem i doskonałym zdrowiem. Jak większość ludzi nie przywykłych do chorób, zaczęłam pogardzać własną słabością, zwłaszcza między atakami ostrego bólu. Czasami marzyłam o poronieniu. Okropne samopoczucie nieustannie przypominało mi o epizodzie z mojego życia, o którym tak chciałam zapomnieć. Dlaczego nie byłam taka jak indyjskie wieśniaczki, które nigdy na nic się nie skarżyły, a w dzień po urodzeniu dziecka wracały do pracy na polu?

- Dlatego, że nie jesteś wieśniaczką tylko damą - stwierdził Mark.

Wkroczył do mojej sypialni z sąsiedniego pokoju, w którym spędził naszą noc poślubną, zastając mnie prawie nagą i walczącą z nudnościami.

Kiedy obiecałam, że za chwilę dojdę do siebie, by nie opóźnić naszej podróży, potrząsnął tylko głową i uśmiechnął się współczująco.

- To niedorzeczne. Najdroższa, do nas należy cały czas na świecie. Wracaj do łóżka, a ja poczynię odpowiednie przygotowania.

Nigdy wcześniej nie przemawiał do mnie tak zdecydowanym tonem, a ja potulnie wykonałam jego polecenia.

Wyruszyliśmy w południe, a „przygotowania”, które poczynił Mark, polegały na wynajęciu prywatnego dyliżansu i zorganizowaniu eskorty składającej się z budzących postrach kowbojów, gotowych w każdej chwili użyć broni.

Poczułam się lepiej, choć brakowało mi sił. Podniosłam się, by zapytać Marka:

- Jak ci się to wszystko udało zorganizować w tak krótkim czasie?

- To jedna z zalet tych wszystkich wyjazdów, do których zmuszał mnie wuj. - Poznałem wielu ludzi, niektórzy okazali swą pomoc. Prawdę mówiąc, wszystko załatwił właściciel baru, w którym wczoraj przygotowano dla mnie kawalerski wieczór.

Posłał mi przepaszające spojrzenie.

- Chyba się nie gniewasz? Widziałem, że jesteś zmęczona, nie chciałem więc ci przeszkadzać. Grałem w pokera z przyjaciółmi, a kiedy dowiedzieli się, że właśnie się ożeniłem... - rozłożył ręce - uparli się, by to uczcić.

Przyjęłam to do wiadomości, tak jak pogodziłam się z faktem, że człowiek powożący naszym dyliżansem rzucał przekleństwami i żuł tytoń, którego resztki rozpryskiwa-

ły się na bokach pojazdu przechylającego się na zakrętach i podskakującego na każdym kamieniu.

- Czy on musi pędzić tak nierozważnie? - powiedziałam z wyrazem udręki, a Mark poklepał mnie po dłoni i spojrzał z wyrzutem. - Powiedzieli mi, że jest jednym z najlepszych woźniców. Tak tu powożą. Za jakiś czas przestaniesz zwracać na to uwagę.

Zaniechałam wszelkich protestów. Byłam zbyt śpiąca i zmęczona. Tej samej nocy spałam samotnie w zdobytym pośpiesznie hotelowym pokoju, gdy tymczasem Mark oświadczył, że schodzi na dół, by „przyłączyć się do chłopców”.

Podróż do Socorro zabrała nam cztery dni zamiast dwóch, lecz obwiniałam za to tylko siebie, bo każdego dnia wyruszaliśmy zbyt późno. Nadal byłam wdzięczna Markowi za wyrozumiałość.

Zawsze wynajmowaliśmy sąsiednie pokoje, a ponieważ spałam głęboko, nie miałam pojęcia, o której godzinie wracał. Odwiedzał mnie każdego ranka, przyglądając się porannej toalecie i choć ten osobliwy zwyczaj krępował mnie, nie protestowałam. Był przecież moim mężem i musiałam jak najszybciej przyzwyczaić się do tej sytuacji. Przeszłam się cofać, gdy stawał za mną przed lustrem i pieszczotliwie przesuwiał palcami po odkrytych ramionach i rękach.

- Jesteś piękna, Roweno. Gdybyś wiedziała, ile dla mnie znaczy fakt, że należysz do mnie. Moja żona.

Miał zawsze chłodne, gładkie dłonie, które nie raniły mojej skóry. Czasami odnosiłam wrażenie, że dotyka mnie bezosobowo, jak posąg lub drogocenny przedmiot. Któregoś razu, jakby czytając w moich myślach, uśmiechnął się do lustra i całując moją szyję, szepnął:

- Czy to grzech podziwiać doskonałość? Masz wspaniałe ciało, kochana. Szczupłe i takie jędrne. Chciałbym mieć twój posąg z najdoskonalszego marmuru. Oczywiście pozowałabyś nago. Jesteś zgorszona? Takie ciało nie potrzebuje zbędnych draperii.

Zsunął mi z ramion szlafrok i delikatnie począł głaskać moje piersi.

Poczułam się dziwnie nieswojo widząc, jak obserwuje mnie w lustrze - najpierw moje oczy, a potem swoje dłonie na moich piersiach i sutkach prężących się pod jego palcami. Wyrwałam się ze stłumionym okrzykiem:

- Mark, ja...

- Jesteś zbyt skromna, Roweno. To chyba nic złego, kiedy mąż podziwia nagie ciało swej żony?

Odsunął się z uśmiechem, przyglądając się jak wkładam suknię, a ja w tym momencie byłam strasznie zła na swoją głupotę. Po raz setny musiałam sobie powtórzyć, że jestem żoną Marka i powinnam doceniać jego cierpliwość.

To wydarzyło się na dzień przed przybyciem do Socorro. Znaczoną część drogi przespałam z głową na ramieniu Marka i nie spodziewałam się, że po przyjeździe wszystko ulegnie zmianie.

R S

Część szósta

Splątana sieć

Rozdział 39

Tylko dwadzieścia siedem mil dzieliło małą wioskę Magdalena, w której spędziliśmy noc, od Socorro - wiekowego miasta nad Rio Grande, które zdawało się śnić o dawnej świetności.

Obecnie Socorro było nadal sporym miastem, miejscem spotkań właścicieli rancz, farmerów i biznesmenów z całego kraju.

Dwupiętrowy hotel, w którym mieliśmy zamiar się zatrzymać, był wspaniały i największy w mieście. Mark pochwalił się, że zarezerwował dla nas najlepsze pokoje.

- Apartament dla nowożeńców - zażartował i dodał, że zatrzymamy się tu na trzy lub cztery dni, by odzyskać siły po trudach podróży. - Myślę, że ci się tu spodoba, Roweno. Mam przyjaciela, który jest właścicielem ogromnego rancza po drugiej stronie rzeki. Nazywa się John Kingman. Chciałbym go odwiedzić. Jego żona jest czarującą kobietą, francuską Kreolką z Nowego Orleanu.

- Nigdy mi o tym nie wspominałeś - zauważyłam nieco kąśliwie.

- To miała być przyjemna niespodzianka. Poza tym - dorzucił poważnie - obawiam się, że zachowałem się nieco samolubnie, poganiając cię bez przerwy. Nie mieliśmy nawet czasu, aby się dobrze poznać, prawda? Chcę wreszcie zaznać radości życia rodzinnego, Roweno. - Obdarzył mnie uroczym uśmiechem. - No, przyznaj się! Czy nie cieszy cię perspektywa kilkudniowego wypoczynku?

Musiałam przyznać, że cieszyła mnie bardzo. Co to będzie za rozkosz wylegiwać się w łóżku bez poczucia winy i spacerować przez kilka dni po mieście, zamiast gnieść się w rozklekotanym dylizansie.

Mark objął mnie w pasie i przytulił do siebie.

- Z radością pokażę ci miasto. I oczywiście z dumą będę się chwalił tobą przed ludźmi. Wieczorem, kiedy zajdzie słońce, przespacerujemy się wokół rynku. To taki stary hiszpański obyczaj. Ludzie wychodzą z domów, kochankowie wymieniają sekretne spojrzenia, młodzi mężczyźni i kobiety paradują w swych najwspanialszych strojach. - Przyjrzał mi się uważnie i dodał cicho. - Chciałbym, abyś wpięła we włosy wysoki grzebień i nałożyła białą mantylę, jak Hiszpanka. Po przechadzce zjemy kolację z szampanem w prywatnym salonie. Będę zazdrosny o każdego mężczyznę, który na ciebie spojrzy.

Popatrzyłam na niego zdumiona, nie przyzwyczajona do takich kwiecistych przemówień.

- Stajesz się szarmancki jak prawdziwy Hiszpan.

- A dlaczego nie? Przyzwyczajam się do faktu, że należysz do mnie i że mam prawo zwierzyć ci się z tego, co tak długo w sobie tłumiłem. Jesteś wszystkim, czego szukałem, czego pragnąłem w kobiecie, Roweno.

Mimo płomiennej nuty w jego głosie poczułam nieprzyjemny dreszcz i z trudem zmusiłam się do uśmiechu. Zachowuję się absurdalnie, powtarzałam sobie. Mark jest moim mężem. Czyż nie ma prawa obdarzać mnie długim, powłóczystym spojrzeniem, rozbierać mnie wzrokiem? Ja mu to prawo dałam.

Mark zostawił mnie w pokoju, a sam zajął się dyliżansem, końmi i zakwaterowaniem dla eskorty. Wcześniej jednak rozpiął mi suknię na plecach, obsypując moją szyję ognistymi pocałunkami.

- Chyba nigdy nie pozwolę ci na wynajęcie pokojówki - zażartował. - Rozbieranie i ubieranie cię sprawia mi zbyt wielką przyjemność, bym zrezygnował z tego przywileju.

Narzuciłam na siebie cienki szlafrok, a on zaciągnął ciężkie kotary z frędzlami, zasłaniając światło. Odwinął narzuty na ogromnym łożu i poklepał poduszki. Tak bardzo się o mnie troszczył; byłam gotowa zasnąć, aby tylko sprawić mu przyjemność. Tak sobie obiecałam, ale gdy tylko opuścił pokój, nie mogłam wytrzymać w gorącym łóżku.

Przepych tego pomieszczenia budził moją niechęć; ciemnoczerwony dywan i lustra w złożonych ramach. Purpurowo-złota tapeta na ścianach przytłaczała mnie swym bogactwem. W pokoju panował ponury mrok. Nawet ogromne łoże z haftowaną ciężkim

brokatem narzutą i czerwonym baldachimem zatykało mi dech w piersiach.

Poczułam jak spływa po mnie pot, a mdłości, których tak się obawiałam, okazały się gorsze od uderzenia pięścią w żołądek. Jestem zbyt kapryśna, powtarzałam sobie. Jeśli nie będę na siebie uważać, popadnę w hipochondrię jak moja matka. Potrzebowałam jedynie trochę świeżego powietrza.

Spuściłam nogi z łóżka i poczułam pod bosymi stopami miękkiego plusz dywanu. Wstałam i podeszłam do zamkniętego okna. Próbując je otworzyć zastanowiłam się ze złością, czy ludzie w tym mieście obawiają się świeżego powietrza. Po chwili osiągnęłam swój cel i wychyliłam się nieco, obserwując przechodniów na ulicy. Wydało mi się, że rozpoznaję Marka. Był bez kapelusza, jasne włosy błyszczały mu w słońcu. Stał w grupie mężczyzn, a jeden z nich - korpulentny dżentelmen w ciemnym garniturze i wysokim cylindrze - ścisnął Markowi dłoń. Mark poklepał go serdecznie po ramieniu.

Jeszcze jeden znajomy? Zdziwiona zmarszczyłam brwi. Nie miałam pojęcia, że Mark zna tylu ludzi. Nigdy nie opowiadał mi o swych przyjaciółach na tym terytorium, tylko o ludziach, których znał w Bostonie i Nowym Jorku. Utrzymywał, że nie potrafi znaleźć własnego miejsca, a wyglądało na to, że czuje się nadzwyczaj swobodnie. Dostrzegłam, jak odchyła głowę i śmieje się ze słów starszego mężczyzny - był to gest, który natychmiast przypominał mi o Toddzie. Nigdy wcześniej nie zauważyłam podobnej manieri u Marka. Zawsze sprawiał wrażenie powściągliwego i zamkniętego w sobie. Od dnia ślubu nabrał pewności siebie i zdecydowania, których wcześniej mu brakowało.

Wyobrażam sobie nie wiadomo co, zbeształam się. Mark zawsze krył się w cieniu swego wuja, a teraz odzyskał wolność - oboje byliśmy wolni. Być może odkrywałam dopiero prawdziwego Marka - młodego, obiecującego adwokata, którego tak ceniono w Bostonie; młodzieńca z towarzystwa, za którym uganiały się wszystkie panny. Mam szczęście, powtarzałam sobie, widząc jak Mark odchodzi z tęgim mężczyzną, pogrążony w poważnej rozmowie. Zniknęli w budynku przylegającym do biura szeryfa. Na budynku widniał wielki napis: BANK SOCORRO. Co w tym dziwnego, że odwiedził bank? Bez wątplenia potrzebował pieniędzy na wydatki i zapłatę dla eskorty.

A potem zapomniałam o Marku, bo jakaś część mojej świadomości zainteresowała się białą budowlą po drugiej stronie biura szeryfa, połączoną z nim krytym przejściem.

Gmach sądu. Przypomniałam sobie dawno usłyszaną historię, kiedy nie znałam jeszcze żadnego z jej bohaterów. Czy mój ojciec mieszkał w tym hotelu, czekając na proces Lucasa? A Lucas... co wtedy odczuwał? Wyobraziłam sobie jak stoi przy więziennym oknie i spogląda na góry, które były jego domem. Być może zastanawiał się, czy je kiedykolwiek zobaczy...

A potem pomyślałam... O, Boże, czy wszystko co widzę musi przypominać mi o Lucacie? Kiedy wreszcie pogodzę się z faktem, że ten rozdział mego życia jest raz na zawsze zamknięty? Trudno mi było zapomnieć, zwłaszcza że Mark wracał często do tego tematu.

Tak jak obiecał, wieczorem ruszyliśmy na spacer po rynku. Zapadał zmrok. Górniczym ogromne cienie rozprzestrzeniały się ciemną purpurą na niebieskoszkarłatnym niebie. Mark znał hiszpańskie nazwy górskich pasm; brzmiały bardzo melodyjnie: Magdalena, Gakinas, Los Pinos...

Po powrocie do pokoju zaskoczył mnie podarunkami: grzebieniem do włosów wysadzonym rubinami i diamentami, białą mantylą wykonaną z najdelikatniejszej koronki oraz białym jedwabnym szalem. Uparł się przy wyborze sukni, którą miałam dziś włożyć: z wiśniowego jedwabiu, przetykanej niebieskimi i zielonymi nićmi, mieniającej się w świetle. Nigdy wcześniej jej nie nosiłam, bo była zbyt wydekoltowana i zbyt krzykliwa na mój gust, ale Markowi się spodobała. Wyglądasz jak Hiszpanka, mówił, a ja uległam jego namowom.

Mark dbał o mnie na każdym kroku. Objął mnie w pasie, szepcząc, że zazdrości mu każdy napotkany mężczyzna, a wszystkie kobiety bledną na mój widok. Jego przesadne pochlebstwa zaczęły wprowadzać mnie w zakłopotanie. Cieszyłam się na widok otaczającego nas tłumu i ulicznego gwaru.

Zapalono latarnie, a kowboje z przyczesanymi włosami, wystrojeni w niedzielne ubrania objeżdżali miasto, gwizdząc i pokrzykując. Na rynku, zgodnie z hiszpańskim zwyczajem spacerowali ludzie, a orkiestra *mariachis* wygrywała skoczną melodię.

Mark i ja niewątpliwie przyciągaliśmy uwagę, ze względu na kontrast koloru naszych włosów: ja miałam kruczoczarne, on jasne.

- Widzisz, najdroższa? Jesteś tak piękna, że wszyscy się na ciebie gapią.

- Nie lubię, kiedy się na mnie gapią - odpaliłam złośliwiej niż zamierzałam. - Marku, czy możemy gdzieś usiąść na chwilę? Ten spacer w kółko przyprawia mnie o zawrót głowy.

Wyszukał kamienną ławkę pod drzewem, przepaszając za swą bezmyślność. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, sami, a jednak w tłumie. Każdy brał nas za parę kochanków szepczącą sobie czułe słówka w ustronnym miejscu.

Mark trzymał mnie cały czas w pasie, ale teraz przycisnął mnie mocniej. Poczułam jak wsuwa dłoń pod szal, gładzi moją skórę, pieszcząc ramię i piersi. Zesztywniałam. Odwróciłam głowę, a jego wyraziste oczy powabnie zalśniły. Głośno powtórzyłam to, co od dawna nie dawało mi spokoju.

- Czasami wydaje mi się, że cię wcale nie znam, Marku.

- A ja mam wrażenie, że zawsze cię znałem, choć nie do końca. Wszystkie istoty ludzkie są sobie obce. Małżeństwo może być nudnym związkiem, umową między dwójkiem ludzi albo odkrywczą wyprawą - czy możemy spędzić następne kilka dni odkrywając się wzajemnie, ukochana żono?

Oczy mi zogromniały.

- Nigdy przedtem tak nie mówiłeś. Masz bardzo skomplikowaną osobowość, Marku.

- Przeraza cię to czy intryguje? Moja najdroższa Roweno! Gdybyś mogła widzieć to zaskoczenie na swej twarzy! - drażnił się ze mną. - Nareszcie udało mi się przegnać mglisty wyraz twoich oczu; zobaczyłaś we mnie mężczyznę. Moje biedactwo, czy to rzeczywiście było takie straszne? Czy tak trudno o nim zapomnieć?

Chwyciłam głęboko powietrze, ale nie udawałam, że nie wiem, o czym mówi.

- Czy to widać? Próbowałam...

- Może próbujesz zbyt usilnie. Wcześniej czy później przekonasz się kim jest Lucas Cord - mordercą bez sumienia, potworem w ludzkiej skórze. A potem przestaniesz fantazjować i odnajdziesz w sobie prawdziwą lady Rowenę.

- Mark - zaczęłam - ja nie...

- Nie wolno ci o mnie myśleć jak o przyjacielu, bo jesteśmy już mężem i żoną - szepnął łagodnie. - I dlatego właśnie obowiązuje nas szczerłość. Kiedy o nim mówisz, nie

czuję urazy ani bólu, bo należysz do mnie, a nie do niego. Nadejdzie dzień, kiedy sama dokonasz wyboru, a wtedy zapomnisz o przeszłości.

Słowa pełne napiętności, ale zagadkowe; może Mark chciał zdobyć me względy łagodnością, podczas gdy Lucas wziął mnie siłą. Co by pomyślał, gdyby znał prawdę? Czy ośmielę się ją wyznać? Już chciałam wszystko wyjaśnić, opowiedzieć o ostatniej wizycie Lucasa, kiedy Mark otoczył mnie ramionami i pocałował. Przyłgnął do mnie ustami, i tym razem jego pocałunki były pełne pożądania i żarliwości. Poczułam, że tracę równowagę.

Kiedy powoli ruszyliśmy do hotelu, zastanowiłam się, jakie jeszcze niespodzianki przygotował na ten wieczór Mark.

Początkowo nic się nie wydarzyło. Mark zarezerwował dla nas stół w rogu, gdzie mogliśmy cieszyć się chwilą odosobnienia. Całkiem niezłe potrawy popijaliśmy zmrożonym szampanem. Pod rozbawionym wzrokiem Marka wypłam zbyt dużo. Być może przygotowywałam się do testu czekającej mnie nocy; tym razem Mark nie wspomniał o spotkaniu z przyjaciółmi.

Wypił więcej ode mnie, zauważyłam że poczerwieniała mu twarz, ale nie próbował wciągnąć mnie w intymne rozważania. Rozmawialiśmy o książkach, muzyce, teatrze, o jego sądowych doświadczeniach. Aż nagle...

- Prawo zawsze mnie fascynowało; pewnie dlatego, że urodziłem się w rodzinie prawników - zaczął od niechcienia, obracając w palcach kieliszek. - Nawet kiedy sam nie brałem udziału odwiedzałem sąd, by przysłuchiwać się wyjątkowo ciekawym lub kontrowersyjnym rozprawom. Fascynują mnie sądy okręgowe; tam atmosfera jest mniej sztywna niż w bardziej cywilizowanych częściach kraju. Faktem jest - snuł swą opowieść tym samym tonem - że przyjechałem do Socorro z moim wujem na rozprawę Luke'a Corda przede wszystkim, by wysłuchać Jima Jenningsa, adwokata z San Francisco, którego wynajął twój ojciec. - Czy słyszałaś o tym? - Rzucił mi spojrzenie spod uniesionych brwi.

- Pan Bragg opowiedział mi całą historię - wydusiłam.

- On... jego opis był bardzo przekonujący.

- Oczywiście Cord był winny. Należało go powiesić w imię sprawiedliwości.

Uniknęłoby się tylu kłopotów i nieszczęść! Czy powiedział ci, że był niewinny? Moja biedna Roweno! - Moja mina zdradziła mnie z pewnością, bo Mark potrząsnął głową. - Rozmawiałem potem z Flo na prośbę twojego ojca. Wyobrażał sobie... no, cóż, sama wiesz, że ta biedna dziewczyna zawsze była flirciarą. Pomyślał, że może ze strachu przed moim wujem wymyśliła ten gwałt. Ale przysięgała, że to prawda. Gdybyś widziała ją wówczas - w podartej sukni, posiniaczoną, sama byś jej uwierzyła.

- Ale mój ojciec...

- Twój ojciec nie chciał uwierzyć, że jego protegowany, syn ukochanej kobiety, mógłby go okłamać. Oczywiście Cord miał swoje powody, by udać się do twojego ojca zamiast uciekać. Wiemy, czym się kierował, prawda? Tamten list, pieniądze, które miał nadzieję odziedziczyć. Licząc na wpływy twego ojca pewien był, że wszystko ujdzie mu płazem. Żałuj nie widziałaś jego osłupienia, kiedy sędzia odczytał wyrok!

- Czy musimy teraz o tym mówić? To już przeszłość, Mark.

- Jeśli chcesz patrzeć z nadzieją w przyszłość, musisz zrozumieć przeszłość. Nie widzisz tego, Roweno? Nie rozmawiamy o torturowanym i niewinnie skazanym człowieku, lecz o wyrachowanym zbrodniarzu. „I tylko prawda was uwolni...”, pamiętasz? - zacytował Mark.

- Bardzo dobrze! - podniosłam wyzywająco twarz. - Akceptuję prawdę. Miałaś rację, to ja się myliłam. Byłam głupia i naiwna! Ale czy mogę cię prosić, abyś zmienił temat rozmowy na jakiś... przyjemniejszy?

- Oczywiście! - zgodził się Mark. - Nie chciałem cię denerwować. Przyjdzie taki dzień, że będziesz w stanie wypowiedzieć jego imię, a potem wzruszysz ramionami... Chcesz porozmawiać o Paryżu i Londynie czy wolisz iść do łóżka?

- Do łóżka, proszę - odpowiedziałam niepewnie. - Chyba wypiałam zbyt dużo szampana.

Mark przeniósł mnie przez próg naszej sypialni twierdząc, że jest to nasza noc poślubna. Choć wtedy jeszcze nie zdawałam sobie z tego sprawy, przekroczyliśmy też kolejny próg w naszym związku. Powoli zaczęłam pojmować prawdziwą naturę człowieka, którego poślubiłam.

- Jestem rozpustnikiem - oświadczył Mark i zapalił wszystkie lampy. - Czy to cię

dziwi?

Stałam oparta jedną dłonią o krzesło i obserwując go milczałam. Uśmiechnął się i dodał:

- Jestem z tobą szczery. Chcę, abyś mnie zrozumiała, Roweno, tak jak ja pragnę zrozumieć ciebie, twoje upodobania i uprzedzenia, pragnienia i potrzeby. Nasze małżeństwo będzie doskonałe. Będziemy partnerami, kochankami, przyjaciółmi; razem osiągniemy nasze cele. Jak myślisz, dlaczego tak długo czekałem, by się ożenić? Widzisz, szukałem kobiety doskonałej i znalazłem ją w tobie. Piękno... uwielbiam wokół siebie piękne rzeczy. Inteligencja i humor, siła i ambicja; umiejętność pokonywania przeszkód i niepowodzeń...

- Mark, pochlebiasz mi! - wymamrotałam półgębkiem. - Ale nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek potrafiła sprostać twym oczekiwaniom. Nie jestem doskonała, i ty wiesz to najlepiej!

- Wiem, że jesteś kobietą, jakiej zawsze pragnąłem - oświadczył poważnie i podszedł do mnie dotykając palcami mojego podbródka. - Najlepszy dowód, że jesteś tu ze mną jako moja żona. Od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem, postanowiłem cię zdobyć; a teraz pragnę, byś mnie kochała i podziwiała - tak jak ja to czynię wobec ciebie.

- Mark!

- Pst! - nakazał i obrócił mnie jak lalkę. - Czas, bym się z tobą kochał i wielbił ciało, które zasługuje na taką cześć.

Znowu znalazłam się przed lustrem. Kręciło mi się w głowie, obiema rękami chwyciłam się krawędzi toaletki, podczas gdy mój mąż wyciągał szpilki z upiętych włosów. Jedną po drugiej, tak wolno jak zapalał światła, w których cały pokój mienił się jak gigantyczny rubin. Potem przyszła kolej na maleńkie haftki spinające na plecach suknię. Nie spoglądałam na Marka w odbiciu w lustrze. Lustra przywodziły mi na myśl Edgara Cardona stojącego przy mnie nagiej, z brylantami lśniącymi na szyi.

Jedwabna suknia opadła z szelestem do moich stóp, łapiąc mnie w pułapkę taką samą jak złota obrączka na palcu. Mark ścigał mi z ramion cienką, jedwabną halkę i przesuwał palcami po mojej skórze. Mark czy Edgar? W lustrze dostrzegłam jedynie własne oczy - oczy przerażonej kobiety, puste jak gołe deski sceny po przedstawieniu.

„Szafiry w kolorze twoich oczu”, szepnął mi kiedyś Edgar, gdy stałam jak marmurowy posąg z klejnotami zamiast oczu.

Poczułam jak Mark przysuwa się coraz bliżej - szorstką materię jego ubrania, miękkość dłoni gładzących me drżące ciało.

- Patrz... - szeptał, a może mi się tylko zdawało? - Patrz, Roweno! Widzisz jaka jesteś piękna? Całe to piękno... tylko moje.

Zadrżałam. Lucasie... Lucasie... Och, Boże, gdzie jesteś? Szorstkość jego dłoni, twardość jego ust... twardość... Zamknęłam oczy na to wspomnienie, czując zawrót głowy, i oparłam się bezwładnie o Marka.

W głowie miałam chaos. Za dużo szampana... To tylko sen...

- Chyba nie wspomniałem jeszcze, czego oczekuję od kobiety doskonałej - szepnął Mark, opuszczając coraz niżej ręce. - W towarzystwie musi być elegancką damą, chłodną i powściągliwą. Ale w sypialni... moją kochanką i ładacznicą...

Rozdział 40

Nie potrafię, jak niektórzy znani pisarze mej epoki, spuścić dyskretnej zasłony na wszystko to, co wspominam z niechęcią. Piszę ten pamiętnik dla siebie; tylko moje oczy i oczy moich dzieci ujrzą te słowa. Czuję wewnętrzną potrzebę opisania najmniejszych szczegółów. Nauczyłam się, że ucieczka przed prawdą do niczego nie prowadzi. Będę więc dokładna i drobiazgowa w przedstawianiu wszystkich wydarzeń.

Mam uczciwe zamiary, a przeszłość jest już tylko i wyłącznie przeszłością. Ale nawet teraz przypominam sobie pewne zdarzenia ze wstrętem. Jak tamten ranek w Socorro, kiedy przebudziłam się z rozsadzającym czaszkę bólem głowy; jakby ktoś walił mnie młotem po skroniach.

Na początku nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie jestem i kim jestem. Ból głowy osłabił mą zdolność widzenia, a potem napłynęły fale mdłości tak silne, że krzyknęłam z wyczerpania. Nagle zdałam sobie sprawę, że ktoś podtrzymuje mi głowę i podaje miskę. Chwyciłam powietrze i zwymiotowałam, nienawidząc się za taką słabość.

Uspokajał mnie obcy głos - na dodatek po francusku.

- *Pauvre petite!* To jedna z tych okropnych rzeczy, które muszą znosić kobiety, *hein?* Wszystko będzie dobrze, nie musisz się wstydić. Trzeba porozmawiać o tym z twoim mężem, prawda?

Leżałam na poduszkach bezwładna i wyczerpana, zbyt zmęczona, by otworzyć oczy. Odetchnęłam ciężko i wtedy na ustach i czole poczułam zimny kompres.

- Już lepiej?

Przez chwilę wyobraziłam sobie, że jestem w Londynie, w mojej sypialni w Cardon House.

- Martine? - zdobyłam się na niewyraźny szept, a w odpowiedzi usłyszałam perlisty śmiech.

- *Non, non!* Myślisz o kimś innym, *pauvre chère*. Na imię mi Monique, jeszcze się nie poznałyśmy... oficjalnie. Nic nie szkodzi, wiele o tobie słyszałam.

Otworzyłam oczy i ujrzałam uśmiechniętą, pełną współczucia twarz. To dziwne, ile zdołałam dostrzec mimo odrętwienia. Monique była niezwykle atrakcyjna, miała ostre rysy i burzę rudych włosów kontrastujących z mleczną cerą. Jej zielone oczy były duże, lekko skośne. Miała na sobie jasnozieloną suknię, pasującą do barwy jej włosów i karnacji. Jak odkryłam później, wszystko, co dotyczyło Monique Kingman, było radosne i ekscytujące. Być może dla niektórych była zbyt krzykliwa, z pewnością jednak nie pasowała do tego ospałego, czerwonego pokoju.

Widząc, że otwieram oczy, gestem nakazała mi milczenie.

- Nie przemęczaj się. Przyślę tu twojego męża, a gdy poczujesz się lepiej, pozwolimy, aby nas sobie przedstawił, *oui?*

Zanim zdążyłam zaprotestować, wyszła szeleszcząc długą suknią. Po chwili przyszedł Mark i pochylił się nade mną z zatroskaną twarzą.

- Roweno! Nie miałem pojęcia... moje biedactwo, ależ musisz cierpieć. Nie ruszaj się. Czy już wszystko w porządku?

Próbowałam się podnieść, lecz delikatnie acz stanowczo położył mi dłoń na ramieniu.

Próbowałam sobie wszystko przypomnieć.

Co się ze mną stało? Nieraz wypłam więcej szampana niż ostatniej nocy, a jednak

nigdy nie czułam się tak fatalnie. Mark - nie mogę sobie przypomnieć...

Ale przypominałam sobie wszystko - powoli i w strzępach. Lustro... rozbierające mnie dłonie Marka, jego pieśczoćy... zawroty głowy, kołysanie...

- Ten szampan nie był najlepszy, a ja powinienem był pamiętać o twym nietypowym stanie - zaśmiał się jak mały chłopiec. - Troszkę się wstawiłaś, kochana! Szkoda, że niczego nie pamiętasz, bo ja pamiętam każdy szczegół. I coś ci muszę wyznaczyć - przysunął się bliżej i szepnął. - Nigdy nie znałem tak namiętnej, tak rozpustnej kobiety! Masz w sobie wszystko, o czym marzyłem.

Czy to możliwe? Dlaczego niczego nie pamiętałam? Poprzedni wieczór był mglistym wspomnieniem. I tylko lekki ból między udami przypominał mi, że teraz należę do Marka. Z pewnością wkrótce wróci mi pamięć. Wyruszyliśmy do rancza Kingmanów odległego około czterdziestu mil od Socorro, a ja przez całą drogę zachowywałam się niezwykle cicho.

Moje milczenie przypisano porannym nudnościom. Wszyscy okazywali niezwykłą wyrozumiałość, a od czasu do czasu Mark ścisnął mi uspokajająco dłoń. Był taki śmiały, taki pewny siebie! Obserwowałam go, przysłuchiwałam się jego słowom i nie mogłam uwierzyć, że kiedyś wytykałam mu służalczość wobec Todda Shannona.

Podróżowaliśmy lekkim powozem Kingmanów wykonanym na zamówienie przez firmę Abbot & Downing. John Kingman był przystojnym, szpakowatym mężczyzną w wieku około czterdziestu pięciu lat. Monique, jego żona, była co najmniej o dziesięć lat młodsza, a jednak trudno było nie zauważyć łączącej ich przyjaźni i uczucia. Rozprawiała głośno, żywo gestykułując. Jej długie, szczupłe palce były ozdobione pierścieniami.

Wieczorem, kiedy zapalono lampy, usłyszałam jak Monique gra na fortepianie sprowadzonym specjalnie dla niej z Europy. Do dziś nie potrafię wysłuchać utworu Chopina nie przywołując na myśl Monique - jej rudych włosów migocących w świetle, kiedy pochylała się nad klawiaturą.

Tamtego dnia miała na sobie czarną suknię, prostą, pozbawioną ozdób, a blask lamp przydawał jej skórze perłowego połysku. Była piękna i grała jak anioł. John Kingman pęczniał z dumy!

Dom był ogromny, lecz zbudowany bez jednolitego planu. To styl teksaski, wyja-

śnił pan Kingman. W niczym nie przypominał *palacio* Todda, ale był większy od mojego domu, choć pobudowany z kamienia i nie wypalanej cegły, kryty dachówką.

- To typowy dom ranczerski, nic wielkiego - oznajmiła Monique, lekceważąco wzruszając ramionami.

Pokój gościnny, który miałam dzielić z Markiem, był przestronny i przewiewny; wypolerowaną podłogę z drewna pokrywały kolorowe dywaniki.

Zapewniłam Monique, że czuję się w nim doskonale. Uśmiechnęła się, ukazując białe, ostre zęby.

- Och, z pewnością będzie ci się tu podobało! Już napomknęłam Markowi, że musicie zostać dłużej. To niedorzeczne, by ciągnął cię taki szmat drogi do Bostonu, kiedy jesteś *enceinte* - tylko po to, by zaraz wracać do domu. Dlaczego nie możecie spędzić miodowego miesiąca tutaj? Ja nie ufam jego wujowi, temu zawziętemu *monsieur* Shannonowi. To człowiek bez skrupułów. Chyba nie chce, abyś otrzymała to, co do ciebie należy.

Odniosłam wrażenie, że Monique nie potrafi ukrywać swych myśli. Wiedziała o moim stanie, wiedziała, że dopiero od niedawna jesteśmy małżeństwem, a jednak nie potępiała mnie - co więcej, wyglądała na rozbawioną.

Powoli przekonywałam się, że znajomi Marka wiedzą o mnie więcej niż ja o nich. Moje podejrzenia potwierdziły się jeszcze tego samego wieczoru.

Siedzieliśmy przy stole, a uśmiechnięta meksykańska służąca zbierała naczynia. John Kingman, człowiek dość małomówny, rozsiadł się wygodnie na krześle, pałac cygaro i popijając bourbona. Pozostali raczyli się doskonałym koniakiem, który, jak wyznała Monique, przywędrował aż z Francji.

- To prezent od Marka - aż dwie skrzynki. Czyż to nie miło z jego strony? Powiedziałam mu, że liczę na dobry koniak z Paryża. Widzisz? Dotrzymał obietnicy. Mark zawsze dotrzymuje słowa, prawda, *mon chère*?

- Nie wiedziałam, że byłeś w Paryżu! - Zerknęłam na Marka, a potem przeniosłam wzrok na Monique. - Rozmawialiśmy o Europie, ale ani razu nie wspomniał...

- Naprawdę? Mark, co za przewrotność! Oczywiście, że był w Paryżu, chyba przed dwoma laty. A kiedy powrócił, och, nie potrafił o niczym innym rozprawić, tylko o to-

bie. Pamiętasz, wspomniałam przed chwilą, że zawsze dotrzymuje obietnic? To była jedna z nich. Powiedział mi: „Monique, spotkałem kobietę, która kiedyś zostanie moją żoną”. I tak się stało...

Zanim odzyskałam mowę, Mark pochylił się w moją stronę i ujął mą dłoń. Tak jak ostatniej nocy, jego twarz była zaczerwieniona.

- Zamierzałem ci to wczoraj powiedzieć, najdroższa, ale... Ale przy tobie o wszystkim zapomniałem.

Jego cichy, intymny ton zażenował mnie i zdenerwował.

- To ty mówiłeś o szczerości!

- Tak, ale to dotyczy nas obojga. Dziś w nocy opowiemy sobie wszystkie nasze sekrety.

Monique przerwała tę niezręczną chwilę pogodnym śmiechem.

- Popatrz na nich, John! To prawdziwi kochankowie. Zachowajmy się taktownie i pozwólmy im pójść do łóżka.

Zachowując resztki uprzejmości życzyliśmy sobie dobrej nocy. Oszukano mnie już tyle razy, więc gdy pomyślałam, że Mark, jedyny, któremu ufałam, którego poślubiłam...

- Jak mogłeś? - wybuchnęłam, kiedy zamknęły się za nami drzwi. - Przez te wszystkie miesiące, kiedy udawałeś mego przyjaciela, zmuszałeś mnie do wyznań...

- Roweno! - Chwycił mnie w ramiona i spojrzał prosto w twarz. - Pochopne oskarżenia to nie w twoim stylu. Pamiętam jak broniłaś do samego końca Luke'a Corda, nawet kiedy cię zdradził.

Jego słowa były jak bolesny cios.

- Jak długo jeszcze będziesz mi to rzucał w twarz tylko po to, by ukryć własną perfidię?

- Tak długo, aż ci udowodnię, że nie jest wart twego współczucia! Dopóki nie wyrzucisz go całkowicie z pamięci, dopóki nie będziesz myśleć o nim z obrzydzeniem!

Wszystko, co robię, robię dla ciebie, Roweno. - Nie dał mi dojść do słowa, tylko ciągnął w podnieceniu. - Tak, widziałem cię w Paryżu. Przez moment w teatrze, z matką i ojczymem. I... przy innych okazjach. Próbowałem zdobyć zaproszenia na wszystkie bale i przyjęcia, na które ty byłaś zapraszana. Widziałem twój wizerunek w gazetach, prze-

piękny portret, który należy teraz do prywatnej kolekcji księcia D'Orsini z Wenecji. Słyszałem, co o tobie mówią: „bogini z marmuru”. A ja domyślałem się, nie, byłem pewien, że nie jesteś z zimnego marmuru, że pod tym lodowatym, powściągliwym spojrzeniem kryje się prawdziwa kobieta. Ciepła, namiętna, pełna życia...

Próbowałam się wyrwać, ale trzymał mnie mocno.

- Niczego mi nie wyjaśniłeś! - wycedziłam lodowatym tonem. - Dlaczego mnie zwodziłeś, dlaczego udawałeś...

- Na początku cię nie rozpoznałem w tym obrzydliwym przebraniu! Nie pamiętasz? A potem... chciałaś być sama. Kiedy okazałaś mi trochę ciepła, nie chciałem niczego zepsuć, nie chciałem być jak inni mężczyźni, którymi najwyraźniej pogardzałaś. Czekałem więc. Jak myślisz, dlaczego siedziałem tak długo na ranczu? Czekałem, Roweno, aż zostaniemy przyjaciółmi. Powoli rodziła się moja nadzieja, ale wiedziałem, że nie mogę się śpieszyć, że muszę być ostrożny. Wiedziałem, że cierpisz, że jesteś rozczarowana, że mimo opanowania boisz się mnie.

- To bzdury!

- Nie, po stokroć nie! Przyznaj się, nie ufałaś mężczyznom. A potem... O, Boże, czy potrafisz sobie wyobrazić, co czułem, kiedy mój wuj oznajmił bez skrępowań, że cię pożąda, że ma zamiar cię zdobyć? Że cię całował, a ty odpowiadałaś pocałunkami? Ostrzegł mnie, że jesteś jego własnością, a ja zacząłem w to wierzyć. Kłóciłaś się z nim, stawiałaś mu czoło, przysięgałaś, że nigdy go nie poślubisz, a jednak... Czy myślisz, że nie widziałem twych rumieńców, twego przyspieszonego oddechu, kiedy byłaś z nim sam na sam? Wiem, że cię całował, już wcześniej widziałem w jego oczach ten pełen triumfu błysk. Chciałem cię ostrzec...

- Tak - przyznałam stłumionym głosem. - Wiem o tym. Tak jak ostrzegałeś mnie przed Lucasem, ale to nie tłumaczy...

- Właśnie do tego zmierzam - oświadczył poważnie. - Chodź, usiądź przy mnie na łóżku, Roweno. Nie bój się, otoczę cię tylko ramieniem. Musisz mnie wysłuchać.

Wyjaśnienia Marka zabrzmiały zbyt prostolinijnie. Zobaczył mnie w Paryżu, zakochał się. Daremnie próbował mnie poznać, odwiedzał moje ulubione teatry i galerie, a ja nigdy nie zwróciłam na niego uwagi.

- Dlaczego? Poruszałaś się w innej sferze, na innej płaszczyźnie lady Rowena Dangerfield, a ja byłem tylko średniozamożnym Amerykaninem podróżującym po Europie. Nie miałem szans, by cię poznać.

Ale Mark znalazł sposób. Kiedy dowiedział się, kim jestem, poinformował mego ojca o śmierci dziadka, dodając, że nie mieszkam już w Indiach, tylko z matką i jej mężem.

- Naprawdę to zrobiłeś? Łudziłeś się, że zgodzę się na przyjazd do Ameryki?

- Wtedy gotów byłem wykorzystać każdą szansę! Szkoda że widziałaś twarz swego ojca, kiedy mu o tym powiedziałem. Potem godzinami rozprawał tylko o tobie, Roweno!

- Ale dlaczego to ukrywałaś? W końcu kiedy zgodziłam się ciebie poślubić...

- Z tego samego powodu, dla którego siedzimy tu zamiast leżeć w miłosnych objęciach. Bałem się, że wpadniesz w złość i nie będziesz chciała mnie znać. Chciałem poczekać, nabrać pewności, zdobyć twoją miłość. A ostatniej nocy...

Nie chciałam nawet myśleć o ostatniej nocy. Nie opuszczało mnie dziwne uczucie wstrętu; oddałam mu się tak bezmyślnie, nie wiedząc nawet, co robię. Jaką kobietą byłam naprawdę? Czy opętał mnie szatan lubieżności?

Mark nie dał mi czasu na rozmyślania. Odzyskał pewność siebie i oświadczył, że dokończymy tę rozmowę następnego dnia.

- Zastanawiam się, jakie jeszcze sekrety ukrywasz przede mną - mruknęłam zmęczonym głosem. Uśmiechnął się tylko i postawił mnie na nogi.

- Żadnych sekretów, tylko niespodzianki. A ty, moja ukochana?

- Nie mam wątpliwości, że wiesz o mnie więcej niż ja o tobie! - odpaliłam ostro. - A jeśli chodzi o resztę, sam się przekonasz. Jutro!

Rzecz w tym, że nie wiedziałam jak postępować z Markiem i czego od niego oczekiwać. Odetchnęłam z ulgą, że tej nocy niczego ode mnie nie żądał (może był tylko bardzo przebiegły?) zadowolił się jedynie rozpięciem sukni. Zapowiedział, że wychodzi zapalić cygaro i porozmawiać o interesach z Johnem Kingmanem.

Kiedy powrócił do pokoju, spałam głęboko. Nie obudziłam się, choć nawiedzały mnie dziwne senne koszmary. Poruszałam się niespokojnie, a rankiem kołdra leżała na

podłódze; pogniecione prześcieradło wilgotne było od potu. Pamiętałam wyraźnie tylko jeden sen: leżałam w łóżku z Lucasem, kochaliśmy się...

Prawie cały dzień spędziłam tylko z Monique. Mark wyjechał o świcie z panem Kingmanem. Monique miała na sobie cienką bluzkę z bladopomarańczowego jedwabiu, która w osobliwy sposób tworzyła jednolitą całość z kolorem jej włosów. Pod bluzką nie miała bielizny - piersi i sutki wyraźnie odznaczały się przez tkaninę. Przy jej radości życia, promiennej urodzie i żywotności czułam się nijaka i nic nie znacząca. Który mężczyzna w obecności Monique mógłby uznać mnie za piękność?

- Dziś czujesz się lepiej, prawda? - musnęła mnie skośnymi, zielonymi oczami i kiwnęła z zadowoleniem głową. - *Oui*, zniknęły cienie pod oczami. Teraz wyglądasz tak jak opisał cię Mark. Chyba się nie gniewasz, że jestem taka bezpośrednia? Zawsze taka byłam. Czasem John złości się, że nic nie owijam w bawełnę. A wtedy mówię mu: „Wiesz, jaka byłam, kiedy się pobieraliśmy. Jeśli teraz nie potrafisz tego znosić, odejść”.

Monique przeciągnęła się z bezwstydnym, zmysłowym wdziękiem.

- I wiesz, co? On tego nie chce. Potrzebuje mnie. Jestem... jak to się mówi? Jestem sprytna. Tak jak ty w opowiadaniach Marka.

Ten ranek upłynął między ziewaniem a paplaniną Monique. Twierdziła, że czuje się samotna, ale na mnie zrobiła wrażenie kobiety samowystarczalnej i niezależnej. Choć tego wyraźnie nie powiedziała, jej związek z Johnem Kingmanem był raczej niezwykły. Opowiadała o podróżach do Nowego Orleanu, San Antonio, a nawet San Francisco: - zawsze podróżowali osobno.

- Ktoś musi tu pozostać, by doglądać gospodarstwa, prawda?

Dodała też, że w małżeństwie doskonałym nie ma miejsca na zazdrość.

- Czy takie małżeństwo istnieje? - spytałam raczej gorzko, a Monique spojrzała na mnie z ukosa i parsknęła śmiechem.

- Zaczekaj - poradziła rozważnie. - Musisz się jeszcze wiele nauczyć!

A potem podniosła się niespodziewanie i zapytała, czy chcę towarzyszyć jej podczas konnej przejażdżki.

- Tylko kawałek, żebyś się nie przemęczyła.

Po raz pierwszy dostrzegłam całkowity bezruch wokół rancza. W budynku krzątały

się tylko rozchichotane meksykańskie służące i kucharz - zasuszony stary Francuz, który przybył tu wraz z Monique z Luizjany. Na zewnątrz powłóczyło nogami kilku mężczyzn bardziej przypominających rewolwerowców niż kowbojów, ale nie wyglądało na to, że mają jakiegokolwiek obowiązków. Zaskoczyła mnie dziwna izolacja tego domu. Skryty na podwzgórzu, wybudowany został na małym płaskowyżu, z którego roztaczał się widok na Estancia Valley. Za nim wznosiły się gęsto zalesione szczyty pasma Los Pinos; w oddali, po lewej stronie wyrastały Góry Manzano. Ruszyliśmy wąskim, krętym szlakiem w dół, a Monique rzuciła ze śmiechem:

- Teraz rozumiesz, dlaczego prawie nikt nas nie odwiedza! Trudno znaleźć to miejsce, a i szlak nie należy do najłatwiejszych - pamiętasz, jak fatalnie czułaś się wczoraj?

Wczoraj, pomyślałam ponuro, byłam zbyt chora, by cokolwiek zapamiętać lub zauważyć. Ale dziś mój umysł pracował już sprawnie i zaobserwowałam wiele zaskakujących szczegółów.

Polana była strzeżona przez uzbrojonych ludzi, którzy na widok Monique odłożyli broń. Zbyt wiele bydła pasło się w tym miejscu, a niektóre sztuki nosiły nieznane mi znaki. Kiedy przejeżdżałyśmy, kończono właśnie znakowanie zwierząt. Monique zatrzymała się na chwilę, zdecydowanym i poważnym głosem zadała kilka pytań, a potem pognałyśmy między gęstymi drzewami, przez płytki strumyk na kolejną polanę.

- To jeden z szałasów - poinformowała beztrąsko Monique. - Nasi ludzie zatrzymują się tu czasami, ale trzymamy to miejsce przede wszystkim dla... niektórych przyjaciół, którzy mogą tędy podróżować lub potrzebują bezpiecznego schronienia na kilka tygodni.

Bezpiecznego? Musiałam mieć zaskoczoną minę, bo Monique wybuchnęła śmiechem.

- Widzę, że Mark ci niczego nie powiedział. Może wolał, abym ja to zrobiła. On nadal się ciebie wstydzi.

Nagle poczułam przejmujący chłód, potem przyszło otrzeźwienie. Zawróciłyśmy konie, a kiedy Monique ciągnęła swój monolog, powoli zaczynałam wszystko rozumieć. Reszty oczekiwałam od Marka, którego spodziewałam się późnym popołudniem.

Rozdział 41

Czy to był rzeczywiście ten sam człowiek, o którym myślałam „biedny Mark”, a czasami nawet „kochany Mark”? Zaczęłam zauważać w nim pewne podobieństwo do Todda. Byli niemal tego samego wzrostu, mieli ten sam kolor włosów. Mark wyzbył się dawnej nieśmiałości i przybrał arogancką, pewną siebie postawę. Różnica polegała na tym, że był inteligentniejszy od Todda. Jego działania opierały się na logice i rozsądku; Todd ograniczał się do wrzasku i zuchwałości.

Niespodziewanie otrzymałam racjonalne wytłumaczenie wszystkich zagadek.

- Dlaczego musiałeś udawać? - spytałam Marka, otrzymując w odpowiedzi coś w rodzaju uśmiechu.

- A czy miałem jakiś wybór? Wiesz jaki jest wuj Todd. „Apodyktyczny” to najdelikatniejsze określenie. Byłem jego „bratankiem-adwokatem”, a on gardził takim statusem. W końcu, co osiągnął mój ojciec przed śmiercią prócz nominacji na sędziego? Todd Shannon - analfabeta i zawadiaka z Irlandii miał wszystko. Ziemię. Pieniądze. Pozycję. Władzę. Tak, miałaś rację. Oczekiwał, że zostanę jego sługusem Z wdzięczności, że to mnie wybrał na następcę, bo nie miał już nikogo. Musiałem porzucić karierę, przyjaciół i cywilizowane życie. Wszystko po to, by mu się wysługiwać. „Tak, wujku Toddzie” i „Nie, wujku Toddzie”. Rób, co każą, Mark, nawet jeśli będziesz musiał zrezygnować z ukochanej kobiety. Dopóki nie miałem wyboru, słuchałem go. I uczyłem się tak jak ty kiedyś.

- Jak ja?

Byliśmy w sypialni i Mark z zaskakującą siłą położył mi ręce na ramionach. Ścisnął mnie tak mocno, że rozerwał batystowy rękaw.

- Tak! Myślisz, że nie wiem, co łączyło cię z sir Edgarem Cardonem? Byłem w Paryżu, pamiętasz? On nie należał do dyskretnych. Wiedziałem, że jesteś jego kochanką. Na przedmieściach Paryża stał bardzo ekskluzywny, bardzo drogi dom - przypominasz sobie? Zabrał cię tam pewnej nocy. Rozpoznałem cię, choć kryłaś twarz pod grubą woalką. Byłem tam. Szedłem za wami jak jeszcze jeden zaciekawiony gość. Widziałem wszystko. Nigdy przedtem nie byłem tak zafascynowany. Rzuciłaś na mnie urok. Rozu-

miesz? Kobieta, która potrafi skrywać swe odczucia, kobieta z marmuru, która potrafi myśleć - dziwisz się, dlaczego cię tak podziwiałem? Dlaczego cię pragnąłem? Ty i ja, Roweno zdobędziemy wszystko. Pamiętasz jak powiedziałaś, że będziemy budowniczymi? Zbudujemy własne imperium.

- A Todd? - Zdziwiłam się, że mój głos zabrzmiał tak pragmatycznie.

- Nie kochasz go! - zaśmiał się Mark, przyciągając mnie do siebie. - Teraz masz powody, by go nienawidzić tak jak ja. Zbyt długo poniewierał ludźmi i robił, na co miał ochotę. Dostanie nauczkę.

- Mark... trudno mi w to uwierzyć, w tę nagłą zmianę. Ja cię nie poznaję!

- Poznasz mnie. Pomożesz mi tak jak Monique pomaga Johnowi.

- John Kingman nie jest zwykłym ranczerem, chyba się nie mylę.

Mark przesunął dłońmi po moich ramionach.

- Już chyba o tym wiesz. Monique ci powiedziała. John był zbiegiem z Teksasu. Walczył po stronie Południa, a po powrocie skonfiskowano jego ranczo za niepłacenie podatków. Takich wówczas używano wybiegów. Czy możesz go obwinać za to, że jest rozgoryczony?

- Został wyjęty spod prawa?

- Można tak to określić. Dopóki nie spotkał Monique. To ona wpadła na ten pomysł. Odludne ranczo. Miejsce, gdzie mogą schronić się uciekinierzy.

- Gdzie sprowadza się skradzione bydło, zmienia znaki i sprzedaje w wielkich miastach, w których nikt nie zadaje zbyt wielu pytań. Tak, wiem. Od Monique. Ale ty i ja, Mark? Jaka jest w tym nasza rola?

- Powiedziałaś „nasza”. - Mark spojrzał mi głęboko w oczy, a ja odwzajemniłam to zrównoważone spojrzenie.

- Jestem twoją żoną i mam prawo wiedzieć, w co jesteśmy wmieszani.

Jeśli ja nie potrafiłam zauważyć żadnej egzaltacji w swoim głosie, Mark nie dostrzegł jej również. Pamiętam, że myślałam wtedy, że łatwo jest wykorzystywać własną inteligencję i być praktyczną - zniechęczone słowo! - kiedy uczucia nie odgrywają żadnej roli.

- Masz do tego prawo i dowiesz się! Roweno, najukochańsza żono, wiedziałem, że

zrozumiesz!

Cierpiałam w miazdzącym uścisku Marka. Nie zaprotestowałam, kiedy drżącymi palcami rozpinał mi guziki na przodzie sukni.

- Muszę cię ostrzec - odezwałam się, wysuwając się z sukni i odkładając ją na bok - że niełatwo mnie rozbudzić. Jestem twoją żoną i ulegnę, gdy zechcesz mnie posiąść. Ale nie jestem dziwką i nie będę udawać, jeśli czegoś nie czuję. Rozumiesz, Mark?

W mroku pokoju jego oczy zapłonęły niezdrowym blaskiem.

- A Cord, którego imię szeptałaś zeszłej nocy, gdy pieściłem cię śpiącą? Czy on rozbudził twe ukryte namiętności?

Zdałam sobie sprawę, że muszę postępować bardzo ostrożnie. Zmrużyłam lekko oczy i spojrzałam mu w twarz.

- Jesteś zazdrosny?

- Odpowiedz!

- Dobrze - starannie doбираłam słowa. - Na początku, tak. Nie przypuszczałam, że przeżyjemy tę burzę. Strach spowodował, że oddałam mu się z łatwością. A potem... sam wiesz, co się wydarzyło. Myślę, że był zachwycony moim chłodem.

- Ale pragnęłaś go nadal... śniłaś o nim. Muszę znać prawdę, Roweno!

Twarz Marka nabrała rumieńców, kiedy z niespodziewaną brutalnością ściągnął ze mnie bieliznę.

Po raz pierwszy od początku naszej rozmowy mój głos nabrał stanowczości.

- Tak! Dlaczego nie? Żadna kobieta nie lubi być odrzucana. Gdyby czołgał się u moich stóp, nie spojrzałabym nawet na niego. Jeśli chcesz mieć za żonę namiętną istotę, musisz pogodzić się z faktem, że któregoś dnia mogę zapragnąć innego mężczyzny. - Dostrzegłam jego minę i zmusiłam się do śmiechu. - Mój Boże! Monique umarłaby ze śmiechu, gdyby się dowiedziała, że jesteś zdolny do zazdrości! Opowiedziała mi, jak wyrozumiały jest dla niej John, jak bardzo go za to kocha. Czy naszym małżeństwem musi rządzić drobnomieszczańska moralność?

Racjonalne myślenie było bronią przeciwko Markowi. Szczycił się logiką swego umysłu i rozumowym pojmowaniem świata. Zbiłam go nieco z tropu.

- Ty... oczekujesz, że pozwolę ci mieć kochanków?

- Będę bardzo dyskretna. I tego samego spodziewam się po tobie. Naprawdę, Mark, błagałeś mnie o zrozumienie, a kiedy zaakceptowałam twoją filozofię, nie potrafisz się tym cieszyć. Jesteśmy partnerami, czyż nie? Jeśli pragnąłeś potulnej i pospolitej małżonki, dokonałeś niewłaściwego wyboru.

- Zmieniłaś się nie do poznania, Roweno. Nie jesteś już zagubioną, nieszczęśliwą dziewczyną, która szukała u mnie pocieszenia.

- To z powodu mego stanu. Jeszcze nigdy nie byłam w ciąży! Ale miałam czas na przemyślenia i zmiany. Znów jestem kobietą, w której się zakochałeś. A może tylko udawałeś?

- Nie mów tak, Roweno! Wiesz, że zawsze podziwiałem siłę twego charakteru.

- A zatem akceptujesz mnie taką, jaka jestem?

Spoglądał na moje ciało, wyciągając ręce, by mnie dotknąć.

- Bezwarunkowo, najdroższa. Jeśli tylko w naszej sypialni należeć będziesz wyłącznie do mnie. Jeśli będziesz pamiętać, że jesteś moją żoną!

Czas na nienawiść do siebie samej przyszedł potem. Na obrzydzenie i odrazę wobec tego, czemu uległam. Tylko kobieta potrafi zrozumieć, co mam na myśli. W momencie gdy Mark dotknął mnie dłońmi i zaciągnął przed lustro, przestałam zwracać uwagę na to, co się ze mną dzieje, i patrzyłam na swe ciało jak na ciało obcej kobiety; nie chciałam myśleć, nie chciałam czuć. Zateśniłam za szampanem, który stłumiłby moje zmysły. Francuzi określają mężczyznę pokroju mego męża mianem *voyeur*.

Usłyszałam jego szept:

- Kiedy wybudujemy własny dom, nasza sypialnia pełna będzie luster odbijających perfekcję twego ciała. Jedwabna pościel. Lampy z czerwonymi abażurami. Nauczysz się... nauczę cię poddawać się czystej rozkoszy zmysłów...

Zamiast tego nauczyłam się udawać. Pieszczoty Marka nie podniecały mnie, ale wiedziałam jak je przyjmować. Najwyraźniej zadowolony z mojej uległości, roztaczał coraz szersze - „nasze”, jak je nazywał - plany na przyszłość.

Słuchałam marszcząc czoło.

- Ależ Mark, dlaczego SD tyle dla ciebie znaczy? Myślałam, że tęsknisz za swą praktyką w Bostonie, za cywilizacją. Wspomniałeś też o podróży po Europie.

- Do Europy pojedziemy później. A jeśli chodzi o Boston - byłbym tylko jednym z wielu adwokatów. Może w przyszłości jak mój ojciec uzyskałbym nominację na sędziego. Roweno, tu leży przyszłość tego kraju, nadszedł czas na budowanie. Nigdzie w świecie nie ma takich możliwości - olbrzymie połacie ziemi, które można zdobyć za grosze. SD to tylko początek, nasze oparcie. Rdzeń, wokół którego stworzymy imperium na miarę Karola Wielkiego. Czy uważasz, że inni przewidujący ludzie nie zdają sobie z tego sprawy? Stary świat się kurczy. Jak myślisz, dlaczego tacy ludzie jak markiz Mora, John Tunstall czy nawet twój ojciec oderwali się od swych korzeni, by tu posiać nowe ziarno? Stworzymy nową arystokrację tej ziemi. Czas, by ludzie tacy jak mój wuj, którzy wiedzą tylko jak używać pięści i rewolweru, którzy chcą zachować to, co zdobyli brutalną siłą, usunęli się z drogi.

- Jak ich do tego zmusisz, jeśli nie bronią i przemocą? - zareplikowałam. - Tyle mówiłeś o szacunku dla prawa. Czym usprawiedlisz swój brak respektu dla niego?

- Najdroższa, nie lekceważę prawa. Znam je. Uwierz mi, wszystko, co zrobimy, będzie jak najbardziej legalne! Nie użyjemy przemocy, jeśli nie zostaniemy do niej zmuszeni. Zaprowadzimy ład i porządek na tym terytorium, które niebawem zostanie jednym ze stanów Ameryki.

- A ty, jak się domyślam, zostaniesz naszym pierwszym senatorem - rzuciłam urągliwie.

- Z tobą u boku.

Mój sarkazm nie zrobił na Marku żadnego wrażenia. Lekko ścisnął mi dłoń.

- Zaufaj mi, Roweno.

Nagle przypomniałam sobie słowa Jesusa Montoyi. O ambicji, pieniądzach i władzy. O przekupstwie nieprzekupnych... Pieniądze! Mark zamierzał kupić swe marzenia za pieniądze. Przeraziła mnie myśl, że może mu się to udać.

Byłam zbyt sprytna, by okazać dezaprobatę. Każdego wieczoru zasiadałam z pozostałymi do stołu i z niedowierzaniem słuchałam ich starannie opracowanych planów. John i Monique Kingman również należeli do spisku; Monique wykazywała więcej entuzjazmu niż jej mąż. Zaczęłam zapoznawać się z planami kampanii wojskowej.

W pierwszej kolejności należy pozbyć się „bandyckich magnatów”. Ludzi takich

jak Shannon, którzy będą próbowali zahamować wszelki postęp. Powołać straż obywatelską, która nie wpuści na terytorium ludzi łamiących prawo.

Zachnęłam się, a Monique pokiwała do mnie znacząco głową.

- Wiem, o czym myślisz! Ale wtedy będziemy już szanowanymi, prawomyślnymi obywatelami.

- A do tego czasu?

Spodziewali się tych pytań. Mark cieszył się, że zaczynam interesować się jego planami. Nazywał je „prawną rewolucją”.

Choć rozprawiali o pozbyciu się elementu przestępczego, ten sam margines zamierzali wykorzystać przy realizacji swych celów.

- Ale tylko elitę - tych najlepszych - oświadczyła Monique z błyskiem w oku. - Zawodowych strzelców, którzy nigdy nie złamali prawa.

- Armia najemników?

- Oczywiście pod zdyscyplinowanym przywództwem - wyjaśnił Mark. - Znamy kilku ludzi, którzy dysponują dobrze zorganizowanymi bandami. Oczywiście musimy im dać pewien udział w zyskach. Nie obchodzą nas głupcy, przestępcy zabijający dla przyjemności lub z czystej zemsty. Potrzebujemy ludzi zdyscyplinowanych, wybiegających myślami w przyszłość.

Nawet John Kingman przechylił się na krześle i spojrzał mi prosto w oczy. Przez jego miękki teksaski akcent przebijała nuta gorzkości.

- Każdy człowiek marzy o stabilizacji. Chce mieć coś na własność, nie chce dłużej uciekać. Po jakimś czasie dość ma ciągłego ryzyka.

- Sama rozumiesz, Roweno - wtrąciła się Monique. - Tym, którzy złączą z nami swój los, zaoferujemy szansę na rozpoczęcie nowego życia. Na szacunek poparty pieniędzmi wystarczającymi na godziwy byt.

- Roweno, zostań naszym *advocatus diaboli* - zażartował Mark. - Jakie masz zastrzeżenia?

- Przypomina mi to pewne chińskie przysłowie o ujeżdżaniu tygrysa - wycedziłam. - Dasz tym ludziom broń i przyzwolenie na zabijanie, a skąd wiesz, że we właściwym momencie utrzymasz nad nimi władzę?

Monique wzruszyła niedbale ramionami.

- A kto mówi o zabijaniu? Tylko w razie konieczności. Dlaczego mamy się kłócić między sobą?

- Myślę, że ludzie, których wybierzemy, będą na tyle błyskotliwi, by dostrzec korzyści płynące z naszej oferty i nie kierować się zachłannością - zawyrokował Mark, a mnie brakło już argumentów.

Mijały dni. Zdałam sobie sprawę, że to koniec naszej podróży do Bostonu. Kolejny fortel Marka. Już dawno zaplanował ten przyjazd, gdy tymczasem jego wuj pozostawał w przekonaniu, że wciąż podróżujemy przez kontynent. Chytry, sprytny Mark. Nieustannie odkrywałam nowe zakamarki jego charakteru. Trudno mi wprost uwierzyć, że zbywałam go tak beztrosko, uważając niemal za chłopca na posyłki; słabego lecz życzliwego młodzieńca nie wyrastającego ponad przeciętność. Oczywiście widziałam to, co on sam mi pozwalał widzieć. Nie, nie mogę nigdy więcej lekceważyć Marka ani jego nieograniczonej cierpliwości.

To dziwne, ale wierzyłam w jego szczerą miłość. Stałam się jego obsesją na równi z marzeniami o potędze. Nie chodzi tylko o pieniądze, które dzięki mnie zdobył; pragnął mnie i aprobaty jego planów.

Niemniej byłam ostrożna. Czasami ogarniało mnie przerażenie, choć nie dawałam po sobie poznać. Byłam jego żoną, pozwalałam mu na wymyślne sposoby uprawiania miłości, a jednak zachowywałam pewną rezerwę. Ostrzegłam go przecież, iż nie zamierzam niczego udawać, ale czasami zastanawiałam się, czy moja oziębłość nie podnieca go jeszcze bardziej, tak jak niegdyś sir Edgara.

- Mój cudowny posąg - szeptał. - Któregoś dnia natchnę cię życiem!

Na razie jednak zadowalał się faktem, że należę do niego, że może mnie dotykać i pieścić do woli.

Czułam jak powoli zapadam się w głębię koszmaru, z którego nie ma ucieczki. Choć otaczano mnie niezwykłą troską, czułam się jak więzień. Nigdy nie zostawiano mnie samej. Gdy Mark opuszczał ranczo z Johnem Kingmanem, Monique - wzorowa pani domu - nie opuszczała mnie ani na krok.

Mimo zewnętrznego spokoju czułam, że żyję na krawędzi załamania nerwowego.

Tak było do chwili, kiedy pewnego popołudnia Monique oznajmiła, że mamy gości.

Rozdział 42

Idąc za przykładem Monique, każdego popołudnia odpoczywałam w swoim pokoju. Nikt mi wtedy nie przeszkadzał, bo Mark, jeśli nie wyjeżdżał poza ranczo, siadywał z Johnem Kingmanem na okratowanym ganku i rozmawiał o interesach.

Ale owego popołudnia Mark zaskoczył mnie, wkradając się cicho do sypialni i budząc mnie z lekkiej drzemki. Musiałam wyczuć jego obecność. Otworzyłam oczy i spostrzegłam, że wpatruje się we mnie z przejęciem.

- Czy musisz kłaść się do łóżka w ubraniu? Przecież nikt prócz mnie nie może cię tu zobaczyć. Pozwól mi to z ciebie ściągnąć, kochana.

Pochylił się nade mną i zaczął zsuwać ze mnie cienką koszulkę. Z zamierającym sercem zauważyłam ostrzegawczy rumieniec i żarliwą nutę w jego głosie.

Po chwili szepnął:

- Nie potrafię wyobrazić sobie przyjemniejszego popołudnia niż kochanie się z moją piękną żoną.

Zamknęłam oczy, marząc by jak najszybciej minął ten czas udręki. Mark obsypał mnie pocałunkami, przywołując do świadomości.

Z uczuciem ulgi usłyszałam głos Monique, a po kilku minutach jej pukanie do drzwi.

- Pośpieszcie się, zakochani.

Mimo moich protestów Mark odrzucił na bok pogniecioną koszulkę i narzucił na mnie cienką, bawełnianą sukienkę, którą nosiłam traktując ją jak poranny strój.

- Kochanie, nie powinnaś wstydzić się swego wspaniałego ciała! Czy musisz być taka skromna? Spójrz, jak ubiera się Monique. Poza tym to starzy przyjaciele. Nie ma powodu robić z tego ceremonii.

Zanim opuściliśmy pokój obejrzałam się w lustrze. Nienaturalnie zarumieniona twarz, potargane włosy, nabrzmiałe od namiętych pocałunków usta.

Później nie potrafiłam sobie wybaczyć, że nie zwróciłam uwagi na osobliwą nutę triumfu w głosie Marka, kiedy mówił o „starych przyjaciółach”. Wyszliśmy na ganek, Mark otoczył mnie ramieniem. Pierwszą osobą, którą ujrzałam był Lucas; za nim stał Jesus Montoya. Montoya uniósł brew na widok mego niedbałego wyglądu i wykrzywił usta w tym samym cynicznym uśmiechu, który tak dobrze pamiętałam.

Nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa. Nie mogłam spojrzeć na Lucasa - nie wtedy. Stojąc obok Marka, który ścisnął mnie tak władczo, całą swą uwagę skupiałam na swoim wyglądzie. Para kochanków, prosto z łóżka. Miałam ochotę zapaść się pod ziemię.

- To przyjemność widzieć cię znowu - oświadczył Montoya jedwabistym sarkastycznym głosem. - Moje gratulacje dla was obojga.

Lucas milczał. A ja... nadal marzyłam, by zapaść się pod ziemię.

Zdawałam sobie sprawę, że Montoya śledzi mnie badawczym wzrokiem.

- Dziękuję, señor. Oboje z żoną cieszymy się z tego spotkania - usłyszałam słowa Marka, a potem własny głos:

- Dziękujemy...

Do tej chwili staliśmy sztywno, jakby pozując do rodzinnej fotografii, ale teraz dostrzegłam wokół siebie pewne ożywienie. Usłyszałam rubaszne pokrzykiwania Johna Kingmana i śpiewny głos Monique; Mark pomagał mi sięść przy stole, wbijając znacząco palce w moje ramiona.

Powtarzałam sobie: muszę być spokojna, muszę być spokojna! To kolejny podstęp Marka, chce mnie skompromitować... Zaczerpnęłam głęboko powietrza, próbując opanować szalone bicie serca.

- Przybyłem zaraz po otrzymaniu twojej wiadomości. Jesus Montoya nie zapomina o starych przyjaciółach.

Czy mi się zdawało, że mrugnął do mnie czarnymi jak węgle oczami?

- Radzi jesteśmy z waszych odwiedzin. Kiedy porozmawiamy, z pewnością nie uznacie tej wyprawy za stratę czasu - stwierdził pompatycznie John Kingman.

- Mam nadzieję! A pani, madam... - Montoya z przesadną galanterią musnął wzrokiem Monique - staje się coraz piękniejsza.

Perlisty śmiech Monique podrażnił nagle moje uszy. Niespokojnie spojrzałam na Lucasa, ale on nie odrywał od niej oczu.

- Pochlebca z pana, señor! Lucacie, nie odezwałeś się jeszcze ani słowem - jej głos nabralł pieszczotliwej niemal barwy. - Chyba się już na mnie nie gniewasz?

Wydawało mi się, że jestem świadkiem spektaklu wystawionego na moją cześć, w którym każdy, z wyjątkiem mnie, wiedział jak potoczy się akcja.

Lucas wzruszył ramionami, przyglądając się jej zarumienionej, roześmianej twarzy.

- Trudno gniewać się na taką piękność. Ale dość już tych sztuczek jak ostatnim razem.

Monique zrobiła kwaśną minę.

- Nie, nie! Obiecuję! Ale okazałeś się wspaniałym gladiatorem! To była walka! Kingman zaśmiał się z zadowoleniem.

- Monique powinna była urodzić się w starożytnym Rzymie. Jak Messalina! Ale rzeczywiście obiecała mi poprawę.

To, co dostrzegłam, wystarczyło mi w zupełności. Znał ją! Te ich spojrzenia. Jej nabrzmiałe usta pełne przeprosin i półśmiech Lucasa oznaczający wybaczenie. Nie było żadnych wątpliwości, że znali się bardzo dobrze. Nienawidziłam jego, nienawidziłam jej. A przede wszystkim wściekła byłam na siebie, że nie potrafię opanować zdenerwowania.

- Zatem... - mruknął Montoya. - Skoro się tu wszyscy znaleźliśmy...

- Interesy po kolacji! - zakomunikowała Monique, a John dodał:

- Ale drinki przed. Musimy się lepiej poznać. Co ty na to, Mark?

Nie widziałam twarzy Marka, bo stał za mną, ale poczułam uścisk jego palców na ramionach. To była jedyna oznaka jego podniecenia, bo głos miał niezwykle uprzejmy.

- To świetny pomysł, choć jestem jedyną osobą, która nie została oficjalnie przedstawiona przyjacielowi señora Montoyi.

Montoya rzucił gładko.

- Dajmy sobie spokój z etykietą. Lucas, *amigo*, znasz pana Marka Shannona?

Lucas z trudem oderwał wzrok od Monique.

- Spotkaliśmy się kiedyś - rzucił lakonicznie. - Dawno temu.

- Chyba w Socorro. Ale, jak mówisz, to było dawno temu.

Później nadszedł czas pytań. Gapiłam się na Lucasa zgłodniała jego widoku i uświadamiając sobie własne pragnienia. Zapuścił bokobrody, które dodawały mu lat i nadawały nieco srogi wygląd. Ale oczy i wdzięk z jakim się poruszał nie zmieniły się wcale. Nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Czy dlatego, że nie mógł znieść dłużej mego widoku?

Nagle wszyscy zaczęli się przekrzykiwać. Monique przywołała służącą, sama siadając na fotelu. Montoya pograżył się w rozmowie z Johnem Kingmanem.

Podniosłam się z miejsca, ale zachwiałam się, a Mark mnie podtrzymał.

- Pójdę do pokoju odświeżyć się przed kolacją. Państwo wybaczą?

Wszystkie głowy obróciły się w moją stronę. Nawet Lucasa. Musnął mnie przez moment zmrużonymi oczami, a ja dostrzegłam ich zieloną głębię. Potem skierował swój wzrok na Monique, która oznajmiła z fałszywą troską:

- Rowena nie czuje się najlepiej od chwili przyjazdu. *Pauvre petite!* To wszystko przez tę podróż.

- Pójdę z tobą, najdroższa - oświadczył troskliwie Mark.

Nie mogłam się doczekać, kiedy odwrócę się do nich plecami.

- Roweno, dopóki nie spojrzysz mu w twarz i nie przekonasz się, jaki rzeczywiście jest, na zawsze pozostanie dla ciebie zagadką. Przykrym wspomnieniem. Musiałem tak postąpić. O Montoyi myśleliśmy od samego początku. Poprosiłem go, by przywiózł ze sobą Lucasa.

- I na co liczyłeś? Że odmówi? Że Montoya przywiezie go tu w kajdanach?

Mark wzruszył ramionami, ale jego niebieskie oczy zamigotały pełnym blaskiem.

- Może to i lepsze rozwiązanie. Ale skoro jest tu z własnej woli, nie mam wątpliwości co do jego intencji. Interesuje go tylko grabież. A może zemsta. Roweno... - westchnął. - Chyba przejrzałaś na oczy? Kiedy dowiedział się, że jesteś moją żoną, przestał się tobą interesować. Monique jest w jego typie. Nie odrywa od niej oczu.

- Powiedziałaś, że go nienawidzisz! - nie ustępowałam.

- Wiesz, co się wydarzyło. Jak możesz rozprawić z nim o interesach? Dlaczego właśnie z nim?

- Jestem cywilizowanym człowiekiem, Roweno. A on jest dzikusem, który się nam może przydać. Jest jeszcze jeden powód, dla którego go tu sprowadziłem. Jak wiesz, kocham cię. I nie chcę, aby Luke Cord stał między nami. Mam nadzieję, że wreszcie zobaczysz go we właściwym świetle. Najemnik. Barbarzyński zabójca, który dla pieniędzy nie zawaha się przed niczym. Gdybym nie zaufał twojej opinii - Mark zmienił nie do poznania głos - kazałbym go zabić.

Spojrzałam w lustro, koncentrując się na upinaniu włosów.

Czułam się jak osaczone zwierzę, ale wróciła mi zdolność logicznego myślenia.

- Cóż, stało się - wzruszyłam obojętnie ramieniem. - Nie znoszę takich podstępów. Zwłaszcza ze strony mego męża.

Zobaczyłam jak pochyła nade mną głowę, a na szyi poczułam gorący dotyk jego ust.

- Moja kochana! Nie rozumiesz?

Udałam, że się zastanawiam i wzruszyłam ramionami.

- Domyślam się. Jesteś zazdrosny. Ale pamiętaj, co ci powiedziałam. Lukas Cord intryguje mnie tylko dlatego, że nie zwraca na mnie uwagi. Ale gdyby było odwrotnie...

- Co masz na myśli?

Roześmiałam się kusząco. Śmiechem kobiety, która pewna jest swego uroku.

- Ponieważ mianowałaś się moją pokojówką, Mark, może wybierzesz dla mnie najpiękniejszą, najbardziej ponętą suknię. Niech to będzie wyzwanie dla Monique... jeśli potrafisz być tak wyrozumiały jak John!

Raz jeszcze zabawiłam się w niebezpieczne udawanie. Czułam się jak akrobatka na linie ubrana w błyszczący kostium. Z ulgą zasiadłam przy Montoyi i wsłuchałam się w jego kwieciste komplementy.

Do kolacji przy ozdobionym kwiatami stole usiadło nas tylko pięcioro. Montoya odziany w haftowane srebrem *charro* pochylił się z galanterią nad dłońmi dam i przeprosił:

- Lucas prosi o wybaczenie. W szalasię spotkał starego przyjaciela - jednego z waszych gości, który bawi tu przejazdem. Dołączy do nas nieco później.

Uchwyciłam ironiczne spojrzenie Marka i już wiedziałam, co myśli: „Nic dziwnie-

go, taki człowiek nie ma pojęcia jak zachować się przy stole".

Ale ja byłam zdecydowana nadrobić wcześniejszy brak opanowania i zauważyłam ze śmiechem, że przy tak szarmanckim rycerzu u boku trudno zwracać uwagę na kogośkolwiek innego.

- Żadna galanteria nie sprostą urodzie obecnych tu dam. Czuję się zaszczycony.

Wymieniłyśmy z Monique spojrzenia, oceniając się wzajemnie. Monique przebrała się w głęboko wyciętą, zieloną suknię z jedwabiu, uwydatniającą figurę i odsłaniającą jej lśniące białą ramiona i ręce. Przy każdym ruchu lub śmiechu szmaragdowe kolczyki rzucały blaski, a rude włosy migotały własnym ogniem w blasku świec.

Ja miałam na sobie ciemnoniebieską suknię z aksamitu, której nie nosiłam od czasu wielkiego przyjęcia u Todda Shannona i przez cały czas zastanawiałam się, czy Mark nie wybrał jej celowo, by przypomnieć mi o... o czym? Że tamtej nocy nie potrafiłam odczytać właściwie jego charakteru?

- Jesteś najcudowniejszą istotą na świecie - szepnął, wpinając mi brylantowe gwiazdy we włosy.

Ale ja chciałam, by zobaczył mnie Lucas; chciałam, by zrozumiał, co stracił. Nic nie szkodzi, powiedziałam sobie. Przyjdzie nieco później. Zobaczymy, co będzie dalej. Popadłam w bardzo osobliwy nastrój; moje nerwy jak cieniutkie struny mogły pęknąć w każdej chwili. Dziś wieczorem nie będę już „biedną Roweną"! Mark nie zaskoczy mnie już gorszymi niespodziankami i nawet zimny wzrok Lucasa nie wytrąci mnie z równowagi.

Czułam się jak hazardzistka, która nie mając nic do stracenia śmieje się szaleńczo z ostatniego obrotu koła. Byłam tą samą kobietą co niegdyś; kochanką własnego ojczyma i narzeczoną Todda Shannona. Boginią z marmuru, ale bez serca. Zimną i wyrachowaną. W ciągu dwóch godzin podjęłam decyzję.

Kiedy sprzątnięto ze stołu naczynia, pojawił się Lucas, przepaszając zdawkowo za spóźnienie. Wtedy wszystko się zaczęło.

To Monique wpadła na ten pomysł. Przed przyjściem Lucasa siedziała przy pianinie, ale na jego widok podniosła się i klasnęła w dłonie.

- Dopiero zapada zmrok i dzięki Markowi mamy wspaniałe brandy. Panowie, nie

wychodźcie na papierosa. Zagrajmy w karty. W pokera. To moja ulubiona gra, nie mówiąc o ruletce. Roweno... czy znasz zasady?

W mig pojęłam jej podekscytowanie i uśmiechnęłam się. Lucas nie zwracał na mnie uwagi, ale zwróci, zwróci! Już ja się o to postaram.

- To była jedna ze słabostek mego dziadka, ale grywał tylko z gronem najbliższych przyjaciół. Nauczył mnie reguł, ale wspomniał, że jeden z naszych przodków - hulaka z czasów panowania Jerzego IV - przegrał w karty całą rodzinną fortunę.

- To podniecające! Ten przodek... mogłabym się w nim zakochać. A ty, Roweno - lubisz hazard?

Wyczułam ukryte znaczenie jej słów, ale udałam, że niczego nie dostrzegam.

- Czasami. Chyba każdy ma w sobie żyłkę ryzyka?

- Wygląda na to, że kobiety zdobyły nad nami przewagę - mruknął John Kingman i ruszył po talię kart.

Zauważyłam baczne spojrzenie Marka i błyszczące oczy Montoyi ukryte za cienką zasłoną dymu.

Po raz pierwszy tego wieczoru zwróciłam się wyzywająco do Lucasa:

- A ty... co ty na to? Może ciągle przegrywasz?

- Każdy czasami przegrywa. Ale nie boję się ryzyka. - Uchwyciłam jego obojętne spojrzenie.

Czy tymi słowami chciał mi coś przekazać?

Nie miałam czasu na rozmyślanie, bo podekscytowana Monique z zachwytem obiecywała pyszną zabawę. Mężczyźni mieli rozmawiać o interesach podczas gry.

- Musimy stworzyć obskurną atmosferę, taką jak w barach, które mężczyźni lubią odwiedzać.

Rzuciła na stół zielony obrus z rypsu i przygasiła lampy z wyjątkiem wiszącej u sufitu.

- Teraz! Wygląda prawie tak samo.

- Nigdy nie zabralibyśmy do jaskini gry tak wytwornych dam jak Rowena i ty, moja kochana - oznajmił przymilnie John Kingman.

Dostrzegłam w jego oczach niepewność, a Monique śmiejąc się przewrotnie po-

trząsnęła głową, wprawiając tym gestem w ruch długie kolczyki.

- Ach, *non!* Czy już zapomniałeś? W Nowym Orleanie, gdzie się spotkaliśmy, pełno było pięknych kobiet przy stolikach zachęcających mężczyzn, by podnosili stawkę. Nie pamiętasz Silver Slipper?

Popatrzyli sobie w oczy jakby nikogo innego nie było w pokoju.

- Jak mógłbym zapomnieć... - szepnął cicho John Kingman. - Przegrałaś wtedy wszystko, z wyjątkiem srebrnych pantofelków. Tamtej nocy zabrałem cię ze sobą.

- Zawsze spłacam karciane długi! - zaśmiała się, tasując doświadczonym ruchem karty, które przepływały między jej smukłymi, upierścienionymi palcami. - Nigdy nie żałowałam tamtej przegranej. Ale dziś... - rzuciła wesoło - o jaką stawkę gramy?

- Dlaczego nie o... nas samych? - odezwał się cichym głosem Montoya.

Widząc nasze spojrzenia wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie? - powtórzył i pochylił się nad stołem, wbijając wzrok w Monique. - Chcesz, byśmy zagrali, *si?* Po to tu jesteśmy - by przygotować kolejną grę, też nieco ryzykowną. Jeśli zaryzykujemy wysoką stawkę, gra będzie znacznie ciekawsza, prawda? - Parsknął krótkim śmiechem.

- Nie jesteśmy sobie obcy i skoro mamy zostać współnikami w przedsięwzięciu, gdzie zarówno ryzyko jak i nagroda są równie wielkie, czy jest lepszy sposób, by sprawdzić, kto jest śmiałkiem, a kto tchórzem? Proponuję, byśmy zagrali na zasadzie każdy przeciwko każdemu i wrzucili do puli wszystko, co posiadamy.

Zapadła cisza, a ja z obojętną twarzą rozejrzałam się dokoła.

Oczy Monique płonęły łagodnym blaskiem, a ona sama ledwo tłumiała emocje. Jej mąż zamyślił się, ale nie wyglądał na oburzonego. Mark z poczerwieniałą twarzą pociągnął łyk z kieliszka, jakby popijał wodę nie brandy.

Lucas zmarszczył czoło i pewna jestem, że chciał zaprotestować, ale widząc rozbawiony wzrok Montoyi zacisnął usta i nie odezwał się ani słowem.

Montoya skierował swe pytanie do Monique, a ona odpowiedziała za nas wszystkich stłumionym głosem:

- Tak! Tak! Jestem kobietą, ale nie tchórzem. A jeśli przegrasz, Jesusie, czy będziesz pracował dla nas za darmo?

- To zależy ile przegram... jeśli przegram, prawda? - Pomilczał chwilę, a potem dodał. - A jeśli wygram więcej niż macie do zaoferowania, wtedy podwoję swoje honorarium. - Rozejrzał się wokół stołu. - Zgoda? W tej grze nie ma mężów, żon ani przyjaciół. Gramy dla siebie, a zwycięzca stawia warunki.

Rozdział 43

Być może tamtego wieczoru wypiałam za dużo brandy, ale miałam przedziwne wrażenie, że to wszystko już się kiedyś wydarzyło. Francuzi nazywają to *déjà vu*. Wszystko zdawało się tak znajome, a nawet już przesądzone.

Mosiężny żyrandol rzucał jasne światło na zielony rypś stołu, ale napięte twarze graczy kryły się w cieniu. Przypomniałam sobie, że mój ojciec zabił człowieka podczas gry w pokera, a mój szalony przodek - nazywano go Czarnym Księciem - zastrzelił się, kiedy wszystko przegrał w karty. Czy Lucas pamiętał, co stało się z Flo; a może zbyt był przejęty bliskością Monique?

Z otwartą głową studiowałam karty i twarze pozostałych. Tego też nauczył mnie dziadek. Nagle usłyszałam jego głos:

- Obserwuj ich twarze, wnuczko. Powiedzą ci wszystko. Nie ma na świecie takiego pokerzysty, który nie dałby jakiegoś znaku, nawet jeśli jest to tylko puste spojrzenie.

Ale z wyrazów twarzy ludzi skupionych wokół stołu nie potrafiłam odczytać nic. Na razie...

Z krótkim śmiechem, który zdradzał jej tłumione emocje, Monique rzuciła na stół jeden kolczyk.

- Proszę... - oświadczyła. - To na początek.

Gra, która jeszcze przed chwilą przypominała niesforny żart, zaczęła się na dobre.

Mijały minuty, atmosfera gęstniała od dymu i napięcia. Powoli rozpoznawałam styl gry każdego uczestnika, choć początkowo wydawało się, że karty rozdawane są sprawiedliwie.

Lucas grał nadzwyczaj ostrożnie, Monique brawurowo. John Kingman nigdy nie blefował. Po Montoyi można było się spodziewać wszystkiego. Siedzący obok mnie

Mark denerwował się najbardziej. Kilkakrotnie zauważyłam jak drżą mu ręce. Zza zasłony rzęs najbaczniej obserwowałam jednak Lucasa. Przez cały wieczór celowo unikał mego wzroku, ale kiedy rozmowa o „interesach” przeszła w milczącą koncentrację, zmusiłam go, by mnie dostrzegł.

Gdy zaczęły sprzyjać mi karty, bezlitośnie wykorzystywałam sytuację. Montoya spostrzegł co robię i wiedział dlaczego - raz czy dwa razy zerknął na mnie, próbując ukryć swe rozbawienie. Pozostali zaczęli patrzeć na mnie z pewną dozą zdziwienia i szacunku. Brylantowe gwiazdy, które migotały w mych włosach, dawały mi nad nimi przewagę i nie bałam się jej użyć. Kiedy zaczęłam wygrywać, licytowałam coraz wyżej i nawet Monique zmarszczyła czoło znad swoich kart.

- Twoja żona jest niezłą pokerzystką - zauważył John Kingman, rzucając karty na stół.

- Ja też to zauważyłem - udawał obojętność Mark, a ja zastanowiłam się czy wie, do czego zmierzam.

- To szczęście nowicjusza - palnęłam radośnie. - Czuję, że dziś nie przegram!

Mark poszedł za przykładem Kingmana i rzucił karty na środek stołu, wruszając ramionami.

Monique zagryzła usta, spoglądając to na mnie, to na swoje karty. Nieświadomie dotknęła dłonią drugiego kolczyka i mruknęła rozdrażniona:

- Masz dziś za dużo szczęścia!

I ona rzuciła karty. Zerknęłam na Montoyę, który wruszył ramionami.

- Monique ma rację, masz za dużo szczęścia. A jeśli chodzi o mnie, zawsze byłem ostrożny.

Przywołał półuśmiech na twarz, jakby wiedząc co knuję.

Pozostałam w grze tylko z Lucasem, a ponieważ grał cały czas ostrożnie i bez brawury, jego wygrana równała się prawie mojej. Straciłam tylko jedną brylantową gwiazdę; w moich lokach pozostało ich jeszcze dziewięć.

- A ty?

Spojrzał na mnie zuchwale, a w jego oczach rozbłysły zielone ogniki.

- Myślę, że blefujesz.

Parsknęłam śmiechem i wszystko, co wygrałam popchnęłam na środek stołu.

- Udowodnij zatem, jeśli masz odwagę.

Wiedział, że dał się złapać w pułapkę i przybrał isticie pokerowy wyraz twarzy.

- Nie mam już nic, co mógłbym zastawić.

Wszyscy obserwowali nas w milczeniu. Usłyszałam westchnienie Marka, ale wzrok miałam utkwiony w Lucasa.

- Masz jeszcze rewolwer. Musi być coś wart.

Zacisnął usta, ale wyciągnął broń z pochwy i rzucił na stół. Udawałam, że zastanawiam się jeszcze, a Marek rzucił napiętym głosem:

- Brakuje ci jeszcze około pięciuset dolarów. Same szmaragdy i pierścionek z brylantem są warte ponad tysiąc!

- Mark ma rację - odezwałam się słodko. - Muszę się zastanowić... Nie chcę być niesprawiedliwa, zwłaszcza jeśli ktoś rzuca mi wyzwanie.

Spojrzałam prosząco na Montoyę, który wpatrywał się we mnie z sardonicznym uśmiechem.

- Co pan na to, señor? To pan wyznaczył reguły tej gry. Wspomniał pan coś o „usługach”, nie mylę się chyba?

Skinął głową, a ja odwróciłam się do Lucasa, który wciąż patrzył na mnie kamienym wzrokiem.

- A zatem wyznaczę stawkę i jeśli nie boisz się blefu, przyjmiesz moją propozycję - lub stracisz wszystko, co do tej pory wygrałeś.

Monique klasnęła w dłonie i szepnęła cicho:

- Brawo, Roweno!

Zmarszczki wokół oczu Lucasa pogłębiły się.

- Słucham!

- A więc - zaczęłam cicho - jeśli wygrasz, dorzucę jeszcze jeden brylant. Słyszałeś od mojego męża, ile jest wart. Jeśli przegrasz... w końcu przybyłeś tu w interesach, prawda? Jeśli przegrasz, będziesz dla mnie pracował i wypełniał moje polecenia. Zastawiłeś swój rewolwer. Kupię go. Dostaniesz go, kiedy spłacisz dług.

Śmiech Marka rozładował napiętą sytuację:

- Na Boga! Roweno, jestem z ciebie dumny!

Spojrzałam pytająco na Lucasa, a on mruknął tylko udęczonym głosem:

- Umowa stoi! W porządku... Pokaż karty.

Z uśmiechem wyłożyłam trzy asy, a po chwili jeszcze dwie królowe.

Twarz pobladła mu z wściekłości. Kiedy obojętnie położył na stole dłoń z kartami, rozległo się zgodne westchnienie.

- Trzy króle! - mruknął Montoya. Szkoda. Nigdy nie licytuj przeciwko kobiecie, która jest tak pewna siebie, *amigo*. Miałem zamiar cię ostrzec.

- Więc dlaczego tego nie zrobiłeś? Przed rozdaniem kart.

- *Amigo!* - odezwał się z wyrzutem Montoya. - Gdybym cię nie znał, mógłbym pomyśleć, że oskarżasz mnie o oszustwo.

- Myślę, że twój przyjaciel nie potrafi przegrywać. Być może nie lubi zmiany sytuacji.

Po raz pierwszy Mark otwarcie nawiązał do przeszłości; widząc złowrogie spojrzenie Lucasa dodałam szybko:

- Dlaczego mężczyźni nienawidzą przegrywać z kobietami? Dzisiejszego wieczoru po prostu uśmiechnęło się do mnie szczęście.

Nie zważając na głęboki dekolt pochyliłam się do przodu i zgarnęłam wygraną. Rewolwer popchnęłam w stronę Lucasa.

- Jeśli masz dla mnie pracować, będziesz go potrzebował.

Nasze oczy spotkały się i na moment przeniosłam się w przeszłość. A potem, jakby nie mogąc znieść napięcia, uczestnicy gry zaczęli się przekrzykiwać jeden przez drugiego.

Nie zdawałam sobie sprawy, że funkcjonowałam prawie na bezdechu, ale na szczęście nikt nie zauważył, kiedy wciągnęłam głęboko powietrze.

Nie patrząc w moją stronę, Lucas chwycił rewolwer. John Kingman dolewał do kieliszków brandy, a Monique szepnęła nie odrywając ode mnie błyszczącego wzroku:

- Jeszcze nie wiem, Roweno, czy to było szczęście, czy jesteś bardzo sprytna.

- Moja droga - John Kingman wzniosł na mą cześć toast - pani Shannon posiada obie te zalety.

Dym cygar gryzł mnie w oczy, a brandy zmieszane z sukcesem uderzyły mi nagle do głowy.

- Dziękuję - zwróciłam się do Kingmana, a potem opróżniwszy kieliszek śmiało wstałam od stołu. - Być może mam zamiar się przekonać, czy rzeczywiście masz rację.

Mark poderwał się automatycznie, odsuwając krzesło, a ja rzuciłam mu słodki uśmiech:

- Czy możesz podać mi szal? Tu nie ma czym oddychać, więc jeśli mi wybaczycie, przejdę się po świeżym powietrzu.

Chwilę później odwróciłam się gwałtownie do Lucasa.

- Czy zechcesz mi towarzyszyć jako eskorta? Z pewnością pozostali nadal chcą grać, a może powinni zacząć wreszcie rozprawiać o interesach.

Ku mojemu zdziwieniu, nikt - nawet Mark - nie zaprotestował. Usłyszałam perlisty śmiech Monique i jej nadaşany głos:

- Szczęściara! Teraz ma strażnika, który będzie jej wszędzie towarzyszyć!

Montoya dorzucił łagodnie:

- Nie złość się, *amigo*! To była uczciwa walka i ta dama wygrała. Chyba nie zawstydzisz starych przyjaciół okazując brak dobrych manier?

Nie podejrzewałam Marka, że będzie mnie śledził. Żartobliwe komentarze i jego własna duma nie pozwoliłyby mu na to. Nie raczyłam obejrzeć się za siebie, by sprawdzić, czy Lucas rusza za mną. Dopiero gdy usłyszałam trzaśnięcie drzwi, wiedziałam, że mi towarzyszy.

Nie oglądając się za siebie, podeszłam do skraju ganka i oparłam się łokciami na drewnianej poręczy.

- Mam nadzieję, że nie przeżywasz tej przegranej tak bardzo, by chodzić bez przerwy z tak ponurą miną, zwłaszcza, że to wszystko twoja wina. To ty oskarżyłeś mnie o blef.

Choć przybrałam sarkastyczny ton, nie mogłam opanować nerwowego drżenia, które przebiegło mi przez plecy, gdy Lucas podszedł do mnie w milczeniu i oparł się plecami o poręcz. Tym razem obiecałam sobie, że zachowam spokój. Dowiodę mu, że jego bliskość nie robi już na mnie żadnego wrażenia.

- Powinienem był się domyślić. Jesteś dobra we wszelkich grach - zawsze byłaś. Jego chrapliwy głos zabrzmiał podejrzenie miękko, ale w słowach wyczuwałam gorycz i gniew. Odwróciłam głowę i spojrzałam mu w twarz.

- O ile pamiętam... - nie potrafiłam opanować drżenia głosu - to ty celujesz w przeróżnych gierkach!

Postanowiłam ciągnąć dalej, zanim stracę dopiero co odzyskaną pewność siebie.

- Po co tu przyjechałeś, przecież obiecałeś trzymać się ode mnie z daleka? Czy skusiły cię zyski płynące z tego szalonego planu? A może dostrzegłeś szansę na zemstę na Toddzie Shannonie? Ale zapomniałam... ty przecież nie lubisz się tłumaczyć ze swoich czynów? Może wszystkie cię oskarżają?

- Zawsze uważałaś mnie za istotę niższego rzędu, więc jakie ma to, u diabła, znaczenie? Teraz ty wydajesz rozkazy, pani Shannon. Może powinienem wiedzieć, co zamierzasz?

Nie mogłam niczego odczytać z tej srogiej, nieogolonej twarzy. Czy mnie nienawidzi? Czy rzeczywiście nic już dla niego nie znaczę? Czy zawsze będziemy kłamać i udawać?

Nie wiedziałam, co mówię i dlaczego. Być może wypowiedziałam głośno moje myśli. Wyraźnym, zimnym głosem oznajmiłam:

- Na początek powinienes mnie pocałować.

- Ależ, pani Shannon? Podczas miodowego miesiąca? Z tego co zauważyłem, twój mąż wspaniale się tobą opiekuje. Chcesz się przekonać, czy potrafi być zazdrosny?

- Nie musisz się tego obawiać. Mark jest bardzo wyrozumiałym mężem i gdybym tylko potrafiła zrozumieć twoje uczucie do Eleny...

Otoczyłam ramionami jego szyję i poczułam się tak jak tamtego popołudnia, kiedy pocałował mnie po raz pierwszy. Ból rozrywał mi palce, kiedy dotknęłam jego miękkich, gęstych włosów. Przypomniałam sobie, jak nazwał mnie czarownicą; jego pocałunki... niechętne, prawie rozpaczliwe.

I nagle wszystko uleciało. Pękło jak żelazna obręcz tłumiąca moje prawdziwe uczucia, rozlało się jak rzeka podczas powodzi. Jak mogłam zapomnieć? Jak mogłam się tak długo oszukiwać?

Czasami nie potrzeba słów, kiedy ciało przemawia bez żadnych zahamowań. Lucas odwzajemnił me pocałunki; i on nie mógł się powstrzymać. Gdyby w tym momencie wszyscy wyszli na ganek, nie zauważylibyśmy nikogo. Zapomniałam, że istnieją - zapomniałam o Marku, o wszystkich wątpliwościach, które tak długo nie dawały mi spokoju.

- Na miłość boską, Ro... Dlaczego? - szepnął ze złością i bólem. - Ty i Mark Shannon! Kiedy Marta powiedziała mi o tym, gotów byłem z szaleństwem zabić was oboje! Ta przeklęta stara kobieta ubzdurzyła sobie, że to moja wina. I być może miała rację, bo nie powiedziałem ci, po co wtedy przyszedłem. Niech cię licho, Ro, gdy tylko zaczęłaś rzucać we mnie tymi szalonymi oskarżeniami...

- Wróciłeś? Chciałeś się ze mną spotkać?

- O, Chryste! Kobieta zawsze wie, kiedy mężczyzna jest tak skołowany, że nie potrafi jasno myśleć! Wiedziałaś o tym i... czy myślisz, że mogłem bez ciebie żyć?

Położył dłoń na mojej szyi, spojrzał w oczy i rzucił oskarżycielsko:

- Nie miałaś nawet odwagi powiedzieć mi, że nosisz moje dziecko i z taką łatwością rzuciłaś się w jego ramiona!

- Lucasie, nie! Proszę! Gdybyś wiedział...

- Wiem tylko to, co mi powiedziałaś! Do diabła, czego ode mnie oczekujesz? Widziałem cię z nim, obserwowałem cię tego wieczoru. Ro, nie wiem, jaką grę uprawiasz tym razem, ale ja nie potrafię udawać. Nie tak jak ty.

Jego słowa sprawiały mi ból. Stałam na palcach i przycisnęłam usta do jego ust, a on tylko wydał zduszony jęk i wbił boleśnie palce w moje ramiona, podciągając mnie do góry z siłą, która zaparła mi dech w piersiach.

- Nadal uważasz, że udaję? - szepnęłam drżącym głosem.

Lucas zdjął ręce z moich ramion i odsunął się nieco, jakby bojąc się mej bliskości. Usłyszałam jak westchnął.

- Wielkie nieba, sam nie wiem! Jesteś nieobliczalną kobietą, Ro. Nigdy nie wiedziałem, co o tobie myśleć, czego ode mnie oczekujesz. - Zwinął papierosa szybkim, niecierpliwym ruchem.

W blasku zapalki dostrzegłam znajome zielone ogniki w jego oczach.

- I nadal nie jestem pewien... - ciągnął tym samym, celowo obojętnym głosem.

Zapadło między nami milczenie, i wtedy nagle z głębi domu dotarł do nas piskliwy śmiech Monique.

- A zatem jesteśmy podobni - szepnęłam zdyszczanym głosem. - Lucasio, czy ty niczego nie rozumiesz?

- Wiem tylko, że powinnaś wracać do domu zanim twój mąż zacznie się zastanawiać, co porabiasz tak długo z najmitą.

Dlaczego musiał przypomnieć mi o Marku? Zagryzłam usta i rzekłam spokojnie:

- Musimy porozmawiać.

Wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Ty jesteś szefem.

W bladym świetle papierosa jego twarz wyglądała smutno i obco. Jakby po tym, co się właśnie stało, chciał wznieść między nami mur. Nie mogłam pozwolić, by do tego doszło.

- Kiedy? - Nie ustępowałam, a on zmarszczył brwi.

- Może jutro. Coś wymyślę.

Ton jego głosu ostrzegł mnie, że nie powinnam nalegać, choć nie chciałam jeszcze odchodzić. Potrzebowałam zapewnienia. Przed powrotem do człowieka, który był moim mężem, chciałam raz jeszcze dotknąć ust ukochanego.

Gdy odrzucił nie dopalony papierosa, uniosłam dłoń, by dotknąć palcami jego ust.

- Lucasio.

Z niespodziewaną furią chwycił mój nadgarstek i opuścił go.

- Nie!

Odniosłam wrażenie, że syknął przez zaciśnięte zęby.

- Wracaj do domu, Roweno. Wystarczy jak na jedną noc. Co ty, u diabła, chcesz zrobić?

Nie puszczał mojej dłoni, ściskając ją tak mocno, że omal nie pękła. Ten ból sprawiał mi satysfakcję, bo to on go wywołał, a ja wiedziałam dlaczego.

- Myślisz, że chcę tam wracać? O, Boże, Lucasio! Czy kiedykolwiek przestaniemy się ranić? Niczego nie udaję - nigdy nie udawałam przy tobie. Tylko z dumy próbowałam

cię zniechęcić. Nawet zranić, bo ty zraniłeś mnie. Nikogo wcześniej nie kochałam, nie byłam gotowa.

- Nie, Ro.

Tym razem jego szept pozbawiony był szorstkości.

- Nie musiałaś mi o tym mówić, chyba zawsze to wiedziałem, a jednak... Chryste! Gdybyś miała pojęcie jak bardzo się męczyłem! Ale jutro...

Pocałował mnie bez słowa; delikatnie i ze złością, okrutnie i czule. Wypuścił mnie z objęć i nakazał szorstko:

- No już dobrze! Zabierz to ze sobą do sypialni!

Minęło kilka sekund, a ja nadal stałam oparta o poręcz, wsłuchując się w tętent końskich kopyt; słowa Lucasa wciąż dźwięczały mi w uszach.

Musiałam wracać.

Wyprostowałam się, opatuliłam szalem, próbując powstrzymać dreszcze, które ogarnęły me ciało. Nie zastanawiając się dłużej otworzyłam drzwi, a ciepło i dym z papierosów buchnęły mi w twarz. Nigdy przedtem nie udawałam, teraz odegram swą rolę i zwiódę ich wszystkich.

Gdy wolnym krokiem wkroczyłam do pokoju, zawisły na mnie cztery pary oczu. Zielonkawe spojrzenie Monique - rozbawione i nieco chytre. Czarne, błyszczące oczy Montoyi i jego cyniczny uśmiech. Wzrok Johna Kingmana nie wyrażał niczego. Mark...

Niedbałym ruchem zrzuciłam na ziemię szal i uśmiechnęłam się.

- Wielkie nieba! Nadal rozprawiacie o interesach?

Usiadłam na krześle podstawionym sztywno przez Marka i podniosłam wachlarz, wachlując się ospałym ruchem.

- Tak tu gorąco po chłodnym powietrzu na zewnątrz.

- Czy odeszliście daleko? - wydusił z siebie Mark.

Spojrzałam mu w oczy, które świeciły nienaturalnym blaskiem.

Wzruszyłam niedbale ramionami, zadowolona, że rola, którą odgrywałam zmusza mnie do myślenia i koncentracji.

- Och, staliśmy na ganku i rozmawialiśmy. Nie chciałam zniszczyć sobie pantofelków w tym piachu.

Rozejrzałam się dokoła, unosząc brwi.

- Dlaczego milczycie? Mark... - zerknęłam na jego poczerwieniałą, ponurą niemal twarz. - Chyba nie miałeś nic przeciwko temu? Po naszej rozmowie wiedziałam, że mnie zrozumiesz.

- Martwiliśmy się - wmieszał się zręcznie Montoya - bo mój uparty przyjaciel nie zwykł słuchać nikogo, a już zwłaszcza kobiet. Przypuszczałem jednak, że señora Rowena, z łatwością da sobie z nim radę.

Wzruszyłam ramionami, porzucając nieprzyjemny temat.

- Oczywiście spieraliśmy się, ale w końcu przyznał, że przegrał w uczciwej grze. Przekonana jestem, że gdy minie mu złość, dotrzyma słowa.

Śmiech Monique przerwał niezręczne napięcie.

- No, no! A nie mówiłam? „Rowena da sobie radę” - tak powiedziałam tym głupcom. I miałam rację.

Rzuciła mi niemal konspiracyjne spojrzenie.

- A skoro wróciłaś, *chérie*, cała i zdrowa, może czas na sen? Przed nami długi dzień.

Rozdział 44

Postanowiłam nie wnikać w szczegóły tamtej nocy. Po wyjściu z salonu obojętna postawa Marka zamieniła się w gniew i zazdrość. Uspokoić mogła go jedynie moja arogancja.

- Na miłość boską, Mark! Nie bądź tak drobnomieszczański. Pamiętasz, że poślubiłam cię z wolnej woli?

Wypił zbyt dużo brandy, kołysał się na nogach, a twarz mu poczerwieniała.

- Tak! Pamiętam. A co z tobą i z nim.

- To ty go tu sprowadziłeś, Mark. Proszę, nie niszczyć tego świetnego przedstawienia pokazem zazdrości. - Wydęłam usta. - Chyba mi ufasz? Zaczynam patrzeć na niego twoimi oczami, ale musisz dać mi obiecaną szansę - chcę dać mu nauczkę. Może nawet zdołam go zmusić, by przyznał się do innych popełnionych zbrodni.

- Roweno, Roweno! Gdybym myślał...

Mark zacisnął palce na mych ramionach, a ja wyciągałam z włosów brylantowe gwiazdy i zawijając je starannie w bibułkę wkładałam do irchowej torby.

- Jeśli się go obawiasz, dlaczego nie odeślesz go z powrotem? Powiedz mu, że zmieniliśmy zdanie, że nie potrzebujemy jego usług.

Mój obojętny ton przyniósł zamierzony efekt.

- Niech to diabli! Oczywiście, że się go nie boję! Niepiśmienny mieszaniec, który z trudem potrafi jedynie wypełniać rozkazy... sama zobaczysz, już wkrótce!

Mark przystąpił do rozpinania mej sukni, ciągnąc rozgorączkowanym głosem:

- Tak... wykorzystamy go i jego ślepą nienawiść do mego wuja - jego morderczy instynkt. Nawet się nie domyśli! Kiedy Lucas Cord zabije Todda Shannona, nie będzie terytorium osoby, która będzie wątpiła, że kierował się żądzą zemsty. I będzie musiał zginąć! Nie będzie wtedy żadnych wspomnień; nic nas już nie rozdzieli. To wkrótce nastąpi... wkrótce, moja kochana. - Mark zaśmiał się z triumfem i dodał bełkotliwie. - Myślę, że to ty musisz mu to zasugerować. Dał słowo, że wykona każde twoje polecenie. Ja dopilnuję reszty. Tym razem musi się udać! Czyż nie widzisz w tym pewnej subtelnej ironii?

„Tym razem” - powiedział Mark. Co to znaczy? Czy to możliwe, że... nie, nie wolno mi jeszcze tak myśleć. Miałam jeszcze rolę do odegrania. Kontrolując swe zachowanie, zmusiłam się do bladego uśmiechu. Z lustra patrzyły na mnie jego przekrwione oczy.

- Jesteś sprytniejszy niż przypuszczałam, Mark. Kiedy to się wydarzy?

- Wkrótce - wymamrotał, a ja stwierdziłam z ulgą, że jest bardziej pijany niż myślałam. Zachwiał się, gdy pochylił się, by pocałować me gołe ramię, a mną wstrząsnął dreszcz obrzydzenia. - Wkrótce - powtórzył, kładąc dłonie na moich piersiach. - Nie możemy dłużej czekać! Pojutrze wyruszamy wczesnym rankiem. Wytrzymasz tę podróż, prawda?

Na szczęście dla mego samopoczucia tej nocy musiałam znieść tylko niewiele pijackich pieszczot. Bez trudu przekonałam Marka, że tym razem to ja go rozbiore, jeśli tylko położy się na łóżku. Za chwilę zapadł w pijackie otępienie. Ściągnęłam mu buty, a gdy weszłam do łóżka, starałam trzymać się jak najdalej. Zanim zgasiałam lampę, Mark już spał. Mimo zaczerwienionych policzków i sflaczałych ust wyglądał chłopięco i był nadal bardzo przystojny. Czy to możliwe, że tego człowieka nazwałam kiedyś najdroższym przyjacielem? Czy rzeczywiście mu współczułam i obwinałam się za własną przebiegłość?

Był taki sprytny, tak bezgranicznie cierpliwy! Już zaczęłam mu całkowicie ufać, kiedy wyszły na jaw wszystkie kłamstwa i podstępny, a każdy z nich miał logiczne uzasadnienie. Mój umysł zaakceptował wszystkie przedstawione dowody. Zawsze pogardzałam instynktem, lekceważyłam przecucia. O, Boże, dlaczego? Czy dlatego, że Lucas nie jest prawnikiem, że jest zbyt uparty, by odeprzeć moje oskarżenia? Jak łatwo, jak wygodnie jest dopisać kilka zbrodni człowiekowi, który i tak jest wyjęty spod prawa. A Mark... zrozumiałam nagle, że to właśnie Mark delikatnie i stanowczo udostępniał mi wszelkie dowody wskazujące na winę Lucasa. Tak, to Mark przedstawił mi swego wuja jako egoistę i tyrana, próbując go jednocześnie bronić. Jak to możliwe, że byłam taka ślepa? Dlaczego dałam się wciągnąć w pułapkę?

Następnego ranka nie musiałam nawet udawać bólu głowy, by pozostać w łóżku do południa. Wystarczyło, że popatrzyłam w lustro na swą bladą twarz i ciemne kręgi pod oczami świadczące o nieprzespanej nocy. Skrzywiłam się na ten widok i wolnym, ospa-

łym ruchem przystąpiłam do upinania włosów. Zrobiła się ze mnie znakomita aktorka. Odpowiadając na wyraźne zaniepokojenie Marka warknęłam z irytacją, że to on nie pozwolił mi zasnąć, rzucając się przez całą noc na łóżku. Mark przeprosił i oznajmił, że wyjeżdża z Johnem Kingmanem, by dopilnować przygotowań do czekającej nas podróży.

Nie, nie byłam jeszcze gotowa, by stawić mu czoło. Odetchnęłam tylko z ulgą, że do późnego popołudnia mam z głowy jego towarzystwo. Powoli i boleśnie zdawałam sobie sprawę z szaleństwa jakiego się dopuściłam poślubiając Marka. Byłam teraz panią Shannon. Zrezygnowałam nie tylko z własnego nazwiska, ale i z wolności. No i co teraz zrobisz? Błada, zmizerowana dziewczyna w zwierciadle nie odpowiedziała.

Od miłej pokojówki dowiedziałam się, że Monique siedzi już na ganku. Było to jedyne miejsce, gdzie można ją było znaleźć o tej porze dnia. „Jestem taka leniwa”, mawiała radośnie, „Mogłabym spać cały dzień...”.

Ale tego ranka mimo nieznośnego upału, z pewnością nie spała. Kiedy otworzyłam drzwi i wyszłam na zewnątrz, usłyszałam jej wesoły śmiech. Zamrugałam powiekami, przyzwyczajając oczy do oślepiającego słońca.

Monique nie była sama. Ubrana w kremową, jedwabną bluzkę i obcisłe, skórzane bryczesy do konnej jazdy siedziała na drewnianej poręczy, machając nogą i uśmiechając się do swego towarzysza. A on... czy musiał siedzieć tak blisko dotykając jej prawie ramieniem? Zanim dostrzegli moją obecność zauważyłam, że Lucas zgolił brodę i przyciął włosy, zostawiając jedynie bokobrody zarastające mu policzki. Odpowiedział uśmiechem na słowa Monique, a bruzda z jednej strony twarzy wyraźnie się pogłębiła. Wyglądał młodziej i bardziej beztrosko niż dawniej; spod rozpiętej koszuli wystawała niedbale związana bandana. Poczulałam nagle omdlewający przypływ miłości i pożądania.

Gdy Monique położyła mu dłoń na ramieniu, ogarnęła mnie wściekła zazdrość. Wtedy zrozumiałam, dlaczego niektóre kobiety gotowe są wydrapać oczy rywalce. Sama miałam ochotę przeorać paznokciami gładką twarz Monique!

Rozmyślnie trzasnęłam drzwiami, a na mój widok Monique wykrzyknęła:

- Och, Roweno! Nie przypuszczałem, że wstaniesz tak wcześnie! Jadłaś? Napijesz się mrożonej herbaty?

Mrużąc oczy Lucas lekkim ruchem zeskoczył na ziemię i obejmując w pasie Monique pomógł jej zrobić to samo. Przez głowę przebiegła mi gniewna myśl, że gdzieś nauczył się dobrych manier, choć mnie nigdy nie raczył okazać takich względów!

Uśmiechał się do Monique. Dlaczego tylko na mnie patrzył takim ostrożnym wzrokiem? Zauważywszy moją obecność odezwał się lekko kpiarskim tonem:

- Dzień dobry, madam.

- Dzień dobry - odpowiedziałam chłodno, widząc jak Monique patrzy to na mnie, to na niego rozbawionym wzrokiem.

- Lucas, *mon chère*, czy możesz przynieść krzesło dla Roweny? *Oui*, to przy drzwiach. Gdyby usiadła na poręczy, zniszczyłaby sobie tę piękną suknię.

Jej pieśczośliwy ton zirytował mnie tak samo jak przesadna uprzejmość Lucasa. Zacisnęłam zęby, kiedy Lucas bez słowa spełnił jej prośbę, nie proponując mi nawet bym siadła na szerokiej poręczy.

Nie bacząc na me milczenie, Monique szczebiotała niefrasobliwie.

- Odbyliśmy już z Lucasem przejażdżkę. Zrobiło się jednak bardzo gorąco, a ja muszę przygotować się do jutrzejszej podróży. Czy Mark już ci powiedział? - spojrzała na mnie pytająco.

Udawałam, że nie widzę jak Lucas siada ponownie na poręczy, opierając się o drewniany filar i stawiając jedną stopę na ziemi dla równowagi.

- Tylko tyle, że jutro wyjeżdżamy.

Zapragnęłam nagle podbiec do Lucasa i zanurzyć palce w jego gęstych włosach - żeby mnie wreszcie dostrzegł, żeby mnie pożądał. Miał odkrytą głowę, a w słońcu czarne włosy nabrały złotego połysku. Kiedy zniknęło z jego twarzy ponure spojrzenie, a pojawił się uśmiech, zrozumiałam, dlaczego tyle kobiet, nawet Monique, gotowych było dla niego oszaleć. Z trudem skupiałam się na słowach Monique.

- ...Jak to mężczyzna! Niczego nam nie mówią. Oczywiście, jestem *desolée*, że John nie jedzie z nami, ale taka podróż ma także dobre strony, nieprawdaż? - Rzuciła Lucasowi znaczące spojrzenie, a jej zielone oczy zabłyśły drapieźnie.

Który mężczyzna oparłby się jej zniewalającej, kuszącej urodzie? Rude włosy płonęły gorącym płomieniem; jak zwykle nie miała nic pod cienką bluzką o wiele za głąbo-

ko rozpiętą.

- Dokąd jedziemy? - zadałam niespodziewane pytanie.

- Jutro wieczorem rozłożymy obóz na obrzeżach San Antonio - zabrała głos Monique. - To małe, senne miasteczko niedaleko Socorro.

Czy moja wyobraźnia płatała mi figle, czy ponownie zerknęła znacząco na Lucasa?

- Potem - ciągnęła - ruszymy przez pustynię, by dotrzeć do wyznaczonego miejsca w pobliżu Carizozo, gdzie czekać będzie Montoya z resztą swoich ludzi. Stamtąd... resztę już znasz, Roweno. Słyszałaś, kiedy ustalaliśmy nasz plan.

Ze śmiechem wyciągnęła nad głową ramiona.

- Rowena nie wierzy w nasz sukces. Może ty, Lucasie, przekonasz ją, że nie możemy przegrać!

- Muszę się spakować. Pozwolicie, że zostawię was samych na jakiś czas?

Nie wierzyłam, że zamierza zostawić mnie sam na sam z Lucasem po tak jawnym flircie.

Spojrzałam na Lucasa, nie zdając sobie sprawy, kiedy zamknęła za sobą drzwi i które z nas zrobiło pierwszy ruch. Zapomniałam, że przed chwilą byłam zazdrosna. Trzymał mnie w ramionach, muskając ustami skronie, a ja nie walczyłam już z pożądaniem, które niegdyś uważałam za nieczyste. Wsunęłam dłonie pod jego koszulę, pieszcząc mięśnie pleców palcami. Usłyszałam własny głos:

- Chciałam zabić Monique. I ciebie też. Chyba tracę zmysły.

- Czy wyobrażasz sobie, co czułem zeszłej nocy, wiedząc, że z nim śpisz?

Odchyliłam głowę i popatrzyłam mu w twarz.

- Lucas... co zrobimy?

Ścisnął mnie jeszcze mocniej, aż straciłam oddech.

- Jeśli jesteś pewna, że mnie chcesz, kobieto, wiedz, że nie mam nic do zaoferowania. Wiesz, kim jestem i jakie życie cię czeka. Ucieczki, kryjówki - może przez całe życie. Ale... pragnę cię, Ro. Próbowałem z tym walczyć, próbowałem się przekonać, że bez mnie będzie ci lepiej.

- A ja... myślisz, że kobieta nie potrafi pragnąć tak mocno jak mężczyzna? Zawsze wiedziałam, że cię pożądam. Potrzebuję tylko ciebie, nic innego. Chcę być tam gdzie ty,

tulić cię nocą w ramionach, urodzić ci dzieci - myślisz, że cokolwiek innego ma dla mnie znaczenie?

Zaśmiał się cicho, ale tym razem nie był to gorzki, cyniczny śmiech człowieka, który nikomu nie ufa.

- Jesteś szalona. Tak jak ja prosząc cię, byś wszystko porzuciła i uciekła ze mną. Może zmienisz zdanie, kiedy zobaczysz jak to jest. Ale jeśli ze mną pojedziesz, nigdy nie pozwolę ci odejść. - Spowaźniał nagle, spoglądając na mnie. - Roweno... jesteś pewna? Pewna jesteś, że mi ufasz?

- Kocham cię. Czy to nie wystarczy?

- A więc usiądź i nie przeszkadzaj. Jest coś, o czym musisz wiedzieć.

Usiadłam na szerokiej, nagrzanej poręczy, ale Lucas trzymał mnie w pasie, przemawiając przytłumionym głosem, ostrożnie dobierając słowa.

- Może zmienisz zdanie - powiedział. - Po rozmowie z Braggiem.

Musiał poczuć jak sztywnieję, bo naprężył mięśnie.

- Przybędzie do Fortu Selden. Chciał, bym cię tam przywiózł, bo jest kilka spraw do wyjaśnienia. Tak przynajmniej powiedział. Wiesz, jaki on jest, Ro. Nie powie nic więcej niż trzeba. Straciłem sporo czasu, by go odszukać. Zasiałaś we mnie tyle wątpliwości. Lepiej, żebyś to wiedziała - zanim go odnalazłem, postanowiłem sobie, że dam ci spokój; w końcu zrobiłaś coś, co zawsze chciałaś zrobić: poślubić kogoś z własnej sfery. Ale Bragg zaczął robić aluzje do Marka Shannona: „Niektórzy ludzie są na tyle sprytni, by zasiać ziarno... i czekać, aż wyrosnie korzeń”, tak powiedział. „Ci cierpliwi są najbardziej niebezpieczni”. Dopóki nie zobaczyłem twoich oczu i umęczonej twarzy, nie byłem pewny. Nawet teraz nie mam pewności.

- A ja... jestem pewna już od dawna. Miałam czas, by się domyślić wielu rzeczy.

Nawet teraz nie byłam w stanie rozmawiać o Marku. Poślubiłam go, a powody, którymi się kierowałam, wydały mi się błahe i bezsensowne. Ale Lucas szukał Elmera Bragga i odnalazł go. Tylko dlaczego właśnie Fort Selden?

To pytanie zadawałam sobie wielokrotnie podczas długiej podróży do San Antonio. Lucas nie wiedział nic o motywach Bragga. Poinformował mnie tylko, że Elmer Bragg obudził się ze śpiączki, ale stracił władzę w nogach i poruszał się na wózku albo o dwóch

kulach. Ale jego ułomność nie osłabiła jego rzetelności ani determinacji w poszukiwaniu faktów. Teraz chce się ze mną spotkać - lecz to ja muszę przyjechać do niego, i to do Fortu Selden.

Próbowałam protestować, udowadniać, że to zbyt niebezpieczne; że skontaktuję się z nim później. Uspokoiliłam się jednak na wieść że żyje, choć w tym momencie pragnęłam uciec jak najdalej z terytorium Nowego Meksyku - uciec z Lucasem. Jego wyprawa do Fortu Selden wiązała się z ogromnym ryzykiem.

Przypuszczam, że zapomniałam o jego uporze. Tamtego upalnego ranka nie było czasu na spory - zajęliśmy się wyłącznie odkrywaniem siebie na nowo. Później musiałam spojrzeć w twarz Monique, ale zrobiłam to z takim samym chłodem jak ona po spotkaniu z kochankiem. Później musiałam stanąć przed Markiem, ale to okazało się łatwiejsze niż przypuszczałam - z Monique jako moją absurdalną sojuszniczką.

- Powiedz mu, że jesteś zmęczona... że cały dzień spędziłaś w łóżku z bólem głowy. Kobieta, która jest *enceinte* może uciekać się do przeróżnych wymówek - jeśli tylko ich potrzebuje. *Pauvre* Rowena... - uśmiechnęła się żartobliwie. - Myślałaś, że nie rozumiem? Każda zamężna kobieta potrzebuje kochanka. Szkoda że Mark nie jest tak wyrozumiały jak mój John. Ale ty... ty jesteś *femme du monde*, tak jak ja.

Monique była bardziej praktyczna ode mnie. Zaczęłam poznawać ją lepiej podczas podróży do San Antonio, kiedy siedziałyśmy obok siebie w pokrytym surowym płótnem wozie. Rozpustna jak mało kto, cieszyła się na myśl, że w niczym jej nie ustępuję. Domyśliłam się, że któreś nocy suto zakrapianej alkoholem Mark zwierzył jej się z naszych sekretów.

- Twoja historia zaintrygowała mnie, *petite*. Zwłaszcza po tym, jak cię poznałam. Może dlatego, że jesteś Angielką, na zewnątrz ziejesz chłodem. Nic dziwnego, że tak dobrze grasz w pokera! - parsknęła śmiechem i rzuciła mi z ukosa spojrzenie. - Uprawianie miłości przed lustrem może zmęczyć. Dużo obiecującego wstępu, a potem kłapa. Wiesz, kiedyś spędziłam z twoim mężem weekend w San Francisco i rozumiem twoje znudzenie, nawet jeśli jest to dopiero twój miodowy miesiąc. A Lucas... ach, on jest taki dziki, *n'est-ce pas?* Kobiety też potrzebują urozmaicenia, nie tylko mężczyźni.

Zanim dotarliśmy do celu podróży dowiedziałam się, że przed poznaniem Johna

Monique pracowała „na piętrze”, jak to określiła, w Silver Slipper w Nowym Orleanie. Że goniła za każdym mężczyzną, który wpadł jej w oko. Te wynurzenia sprawiały jej najwyraźniej przyjemność, a ja starałam się nie być zazdrosna, kiedy wspominała niedwuznacznie, że nadal pragnie Lucasa.

- Zanosi się na bardzo długą podróż - mruknęła rezolutnie. - Ale jeśli ty i ja... jeśli będziemy sobie pomagać, nie zaznamy nudy!

Rozdział 45

Tak więc Monique miała swoje plany, a ja swoje. Nie była dobrą przyjaciółką, bo zamierzała mnie wykorzystać, tak więc postanowiłam zrobić użytek z jej niespodziewanej propozycji sojuszu. Myślę, że bawiły ją liczne przygotowania, dzięki którym mogłam skraść kilka chwil dla spotkań z moim kochankiem; dawała mi do zrozumienia, że jesteśmy sobie warte. Za każdym razem jej chytre oczy zdawały się mówić: „Tak naprawdę niczym się nie różnimy, ty i ja - angielska lady i dziewczyna z Silver Slipper”.

Gorące powietrze migotało jak złota mgiełka nad piaszczystą równiną, a kiedy słońce wzniosło się wyżej, upał stał się nie do zniesienia. Mark z wypiekami na bladej twarzy i z ponurą miną jechał obok nas. W jego obecności bez trudu udawałam chorą.

- Powiedziałaś wczoraj, że gotowa jesteś do drogi, że minęły poranne mdłości.

- To ten upał, Mark! Oczywiście, że Rowena jest wystarczająco silna, by uczestniczyć w podróży. Potrzebuje jedynie trochę snu - dziś prześpi się ze mną na wozie, a jutro poczuje się wyśmienicie.

Wdzięczna byłam Monique za spryt, z jakim manipulowała Markiem i nawet kiedy w chwilę potem zaczęła bezwstydnie flirtować z Lucasem, udałam całkowitą obojętność.

Przez długi czas nosiłam w sobie, jak kamień na sercu, poczucie beznadziejnej rozpaczki, a teraz ogarnął mnie niepokój, że wszystko się toczy zbyt gładko.

Tuż przed zachodem słońca rozbiliśmy obóz kilka mil na wschód od San Antonio. Pustkowie, pomyślałam sobie, choć w oddali wyrastała kępa drzew, obok której wił się mały strumień - jeden z niewielkich dopływów Rio Grande. W nim zmyłyśmy kurz z naszych ciał, a Mark stał na warcie.

Pamiętam jak przez gęste listowie drzew pochyłonych łapczywie nad płytkim strumykiem przedzierało się blade światło. Monique szybciej ode mnie ściągnęła z siebie wszystko, niedbale rzucając swe ubranie na brzeg.

- Pośpiesz się zanim zapadnie mrok. Nie masz zamiaru się umyć?

Domyśliłam się ukrytego znaczenia tych niefrasobliwych słów.

Idąc za jej przykładem zanurzyłam się pod wodą, a potem otrząsnęłam z czoła i ramion mokre kosmyki włosów. W tym momencie podniosłam wzrok i zauważyłam Marka. Stał między drzewami i nas obserwował. Ten rumieniec na jego twarzy, te błyszczące oczy!

- Piękne... brąz i biel razem.

- Nie! - wykrzyknęłam odruchowo i zrobiłam krok w tył, omal się nie przewracając.

- Ostrożnie, *chérie*! - Monique objęła mnie w pasie.

Wzdrygnęłam się pod jej dotykiem. Nie, nie byłam naiwna.

Wiedziałam, że to podstęp; wiedziałam, czego chciał.

- Ponieważ zmęczyły cię moje pieścizny, pozwól Monique, by cię podnieciła.

Dwie piękne kobiety... nie chcesz jej dotknąć, Roweno? Czy zastanawiałaś się kiedyś, co to za uczucie?

- Nie zmuszaj jej, Mark. Jest za wcześnie, nie widzisz, że nie jest gotowa? Może później...

Zesztywniałam tak bardzo, że nie byłam w stanie zrobić kroku. Spojrzałam na Marka i nawet moje wargi zrobiły się jak z kamienia.

- Odejdź.

Zamrugnął oczami jakby budził się z transu.

- Roweno...

Usłyszałam głos Monique, rozbawiony i pełen zrozumienia.

- Już ci powiedziałam, Mark. Ona nie jest gotowa. Daj jej trochę czasu.

Zdjęła ręce z mojej talii i poklepała mnie kojąco po policzku.

- Już dobrze, *chérie*! W końcu to twój mąż. To chyba nic złego, że ogląda cię w kąpieli? A o mnie się nie martw, dumna jestem ze swego ciała, a ty powinnaś być dumna

ze swego.

Zerknęłam na brzeg, ale Marka już tam nie było. Monique, wciąż naga, bez żenady zaczęła suszyć włosy.

Nie mając innego wyjścia po chwili zrobiłam to samo.

- Nie przejmuj się - szepnęła, kiedy wspinałyśmy się na stromy brzeg. - Dziś w nocy znajdziesz pocieszenie, chyba się nie mylę? Potrząsnęła głową, rozdarta między zabawieniem a gniewem. - Och, ten Mark! Wiedziałam, że będzie nas podglądał, a ty? Ale robić dla niego przedstawienie jak dwie *poules*... ludzie powinni sami wyznaczać czas i miejsce na takie rzeczy, prawda?

Nie miałam zamiaru okazywać naiwności, wzruszyłam więc ramionami i przyznałam jej rację. Co powiedział jej o mnie Mark; czego się domyślała?

Tamtego wieczoru, kiedy zasiedliśmy do kolacji z dala od reszty towarzystwa, Mark zachowywał się tak jakby nic się nie stało. Upał zmusił go do zdjęcia czarnej marynarki, ale jego płócienna koszula pozostała nieskazitelnie biała. - Odnosił się do mnie jak zwykle z oddaniem i troską.

- Kazałem schłodzić wino w strumieniu. Pomyślałem, że zechcesz się napić, najdroższa. Napełnił kieliszki i wznosił toast. - Za dwie piękne, eleganckie damy!

Otoczył mnie ramieniem i przyciągnął tak blisko, że musiałam się na nim oprzeć.

- Wyrazy uznania dla twego kucharza, Monique. Trudno uwierzyć, że przyrządził tak wspaniałą kolację w szczerym polu na otwartym ogniu.

- Och, Henri może gotować wszędzie... i na wszystkim. Jest Cajunem z Luizjany - uśmiechnęła się i dodała: - Tak jak ja.

Słuchałam w milczeniu jak Monique i Mark zaczęli omawiać przygotowania do nocy i prawdziwej podróży, która miała rozpocząć się następnego dnia.

- Wątpię, by Indianie zaatakowali dziś w nocy, zwłaszcza w pobliżu Fortu Craig. Ale tak czy inaczej mężczyźni pełnić będą wartę na zmianę. Zajmą pozycje wokół obozu, żebyście mogły spać bez obaw. - Mark przemawiał z taką pewnością siebie i taką arogancją, jakby całe życie spędzał na wydawaniu poleceń.

Raz jeszcze pomyślałam, że bardzo przypomina swego wuja.

- Nie boisz się, najmilsza?

Uśmiechnął się do mnie, a jego palce, skryte pod szalem, który zarzuciłam na ramiona w obawie przed wieczornym chłodem, wolno i skrycie zaczęły pieścić moje piersi. Jakby chciał mi przypomnieć, że należę do niego i muszę spełniać jego zachcianki.

Nie wyrwałam, lecz czułam jak oblewa mnie rumieniec, a Monique z rozbawieniem w oczach wiedziała dobrze, co się dzieje.

- Ach wy, zakochani! - zażartowała, a potem zmarszczyła brwi. - A gdzie jest mój gladiator? Pomyślałam sobie, że kiedy wy będziecie sobie życzyć dobrej nocy, on zabierze mnie na krótki spacer.

W tej chwili poczułam, jak Mark wbija mi palce w ciało, śmiejąc się z pogardą.

- Och, masz na myśli tego mieszańca, strażnika mojej żony? Wysłałem go z innymi do San Antonio, by zdobył nieco informacji. Chyba się nie gniewasz? Słyszałem, że jest tam spelunka słynąca z paskudnego alkoholu i przepięknych dziewcząt - nie zmieniając tonu ciągnął cicho. - Rowena ma takie wspaniałe piersi, o doskonałych kształtach, i tak łatwo je podniecić...

- Teraz ja jestem zazdrosna, bo wiesz, że nie ma przy mnie rycerza, który by mi powiedział to samo! - Monique wydeła usta i wzruszyła ramionami. - Ale będą jeszcze inne noce...

Moja twarz nie wyrażała żadnych emocji; nie pracował mój umysł. Gdybym wtedy spojrzała w lustro, moje oczy zionęłyby pustką - ogromne oczy obcej osoby, którą tak często widziałam w lustrze.

Mark oparł mnie o koło wozu, w którym miałam spać z Monique, a jego namiętne pocałunki obsypały mi twarz i piersi.

- Jesteś taka nieśmiała, Roweno! Zawsze mnie zadziwiasz. Ale teraz stoimy w cieniu i nikt nas nie widzi.

Cierpiałam dotyk jego palców na moim ciele, kiedy rozpiął mi suknię; jego szepty mówiące mi o czekających nas nocach. Wyczułam, że podnieca go fakt, iż tylko wóz dzieli nas od ogniska i siedzących przy nim ludzi.

Kiedy wreszcie wypuścił mnie z uścisku, bym mogła wejść do wozu, nadal dygotałam z przejęcia, a w uszach dźwięczały mi słowa Marka:

- Jesteś moja, Roweno, nareszcie moja. Nikt inny nie będzie cię miał, rozumiesz?

- Wróciłaś wreszcie - odezwała się zaspanym głosem Monique. - Nie ma to jak odtrącenie mężczyzny. Dopiero wówczas stają bardziej chętni i pełni szacunku.

Poczułam jak się przeciąga, przewracając na plecy.

- Załóż swą najładniejszą bieliznę, Roweno. Albo jeszcze lepiej: nie zakładaj nic. Twój mąż zaśnie dziś bardzo szybko. Henri wsypał mu do wina środek nasenny.

Czułam, że w następnej sekundzie pękną moje postrzępione nerwy. Monique zachowywała się jak sprzymierzeniec i przyjaciel, ale czy mogłam jej ufać? Bawiła ją rola pośredniczki, ale wiedziałam jak szybko zmienia nastroje. „Mój gladiator”, tak nazwała Lucasa. Podczas podróży opowiedziała mi, jak celowo zraziła do niego dwóch mężczyzn ubiegających się o jej względy - tylko dlatego, że odmówił zademonstrowania chińskiego stylu walki wręcz.

- Joe i Magruder byli tęgimi chwatami z Irlandii. Ale Lucas... ach, nigdy w życiu nie widziałam czegoś tak ekscytującego. Tak, John miał rację - to przypominało rzymską arenę. Nigdy nie widziałam czegoś tak... prymitywnego, tak dzikiego... zwycięzca miał otrzymać mnie w nagrodę.

Nie zapytałam czy zwycięzca upomniał się o swe trofeum. Zastanowiłam się jednak, czy upodobanie Monique do intryg i mocnych wrażeń nie skłoni jej do zdrady - z czystej ciekawości. Tej nocy celowo udałam obojętność.

- Cóż... może señoritas w San Antonio okażą się bardziej ponętne niż czyjaś żona...

Odwróciwszy się plecami do Monique ściągnęłam ubranie i włożyłam zwykłą, bawełnianą koszulkę. Z ciemności dobiegł mnie jej szyderczy chichot.

- Och, on przyjdzie. Nie jest tak obojętny jak się wydaje. Jesteś dla niego wyzwaniem, przynajmniej na razie.

- Na razie wygląda na to, że to on rzuca mi wyzwanie - odpowiedziałam niedbale i przekręciłam się na bok.

Rzecz jasna, nie mogłam zasnąć. Z otwartymi oczami wsłuchiwałam się w milknące odgłosy obozowiska. Zapadła cisza, tylko z odległych gór dobiegało wycie kojotów. Usłyszałam tupot i rzenie koni. Ognisko dopalało się z trzaskiem, pozostawiając jedynie rozżarzone węgle.

Gdzie Mark... gdzie Lucas? Być może kiedy dowiedział się o wystawionych war-

tach, nie chciał ryzykować potajemnego spotkania.

Wzdrygnęłam się przed nagłym powiewem zimnego powietrza. Powinnam była pamiętać, że Lucas potrafi skradać się jak prawdziwy Apacz.

Chwyciłam koc i opatulilałam się nim dokoła, a Monique szepnęła:

- Wróćcie przed wschodem słońca. I przyjemnej zabawy!

A potem znalazłam się w podróży, która raz na zawsze odmieniła moje życie, choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam: nie miałam zamiaru wracać. Wiedziałam, że szczęście ma swoją cenę, a tą ceną jest czasami ból, lecz dla szczęścia z Lucasem gotowa byłam na każde ryzyko.

Z tamtej nocy pamiętam przede wszystkim uczucie ulgi, kiedy zdałam sobie sprawę, że Lucas przyszedł po mnie; pamiętam jak chwycił mnie w ramiona i poniósł przed siebie, a ja opierałam twarz na jego ramieniu. Oczywiście wiedział, gdzie wystawiono warty i trzymając mnie na rękach popędził dalej, szybciej i ciszej, niż gdyby miał ciągnąć mnie za sobą.

Wkrótce przybyliśmy do miejsca, gdzie ukrył konie i obładowanego muła.

- To pustynne konie, a stary muł należał kiedyś do armii. To ułatwi nam na początku szybszą podróż. Możemy zapakować prowiant. Wodę i żywność... - zrobił małą przerwę i dodał tym samym, przytłumionym głosem - strzelbę i trochę amunicji.

Nie było wątpliwości, ruszy za nami pościg. Mark mógłby zatrzymać moje pieniądze, ale pragnął także mnie. Zbiegła żona... to z mojego powodu znajdziemy się w niebezpieczeństwie - Lucas w jeszcze większym, bo Mark będzie chciał odzyskać mnie żywą.

Pamiętam, że te myśli nieustannie kołatały mi w głowie. Wyteżyłam wzrok, by dostrzec twarz Lucasa. Po plecach przebiegł mi ostrzegawczy dreszcz, a koc zsunął się z ramion.

- Rany boskie, Ro! - wykrzyknął z nerwowym rozbawieniem. - Wygląda na to, że masz zwyczaj uciekać wszędzie półnago. Dobrze, że pomyślałem o ubraniu.

W milczeniu wymieniliśmy spojrzenia. Nie zadawaliśmy już sobie pytań, czy tego właśnie chcemy, czy sobie ufamy.

Nie potrzebowaliśmy już słów takich jak: Czy mnie kochasz? Jak bardzo? Czy zawsze będziesz mnie kochać, czy zostaniesz ze mną?, bo wszystko było już jasne i postanowione.

Kiedyś przebyłam Jornada del Muerto na piechotę, ale tym razem musieliśmy się śpieszyć. Przez resztę nocy nie zatrzymaliśmy się ani razu. Od obozu dzieliło nas już wiele mil, a Lucas znał tę odludną krainę jak prawdziwy Apacz. Tylko to dawało nam przewagę. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę, a ja przyrzekłam, że zachowam stoicki spokój jak prawdziwa kobieta Apaczów. Nie będę ciężarem dla Lucasa, nie opóźnię naszej szalonej ucieczki.

Myślami wracam jednak do wcześniejszych chwil, kiedy miałam wrażenie, że jesteśmy sami na tym ogromnym, prastarym odludziu. Czułam się jak badacz podczas odkrywczej wyprawy. Zaczęłam lepiej rozumieć nie tylko pustynię, lecz także i jej życiowy cykl. Już dawno temu Apacze odkryli jak na niej przetrwać, żywiąc się tylko tym, co mogli znaleźć. A co ważniejsze, kiedy prysły pierwsze lody, zaczęłam lepiej poznawać Lucasa.

- Czuję, że znałam cię już zanim się spotkaliśmy. Tyle że wtedy byłeś częścią historii, którą mogłam wyczytać w książkach. Pan Bragg próbował ostrzec mnie przed wendetą, ale to wszystko było takie nierealne.

Zatrzymaliśmy się na odpoczynek w cieniu ogromnych głazów; Lucas odwrócił ku mnie głowę i przesunął palcami po skroni i podbródku, jakby śledził zarys mojej twarzy.

- Ty też nie byłaś realna. Nie mogłem uwierzyć, że przybędziesz tu aż z Anglii nic o nas nie wiedząc, niczym się nie przejmując. A kiedy już przyjechałaś, nie wierzyłem, że zostaniesz, Roweno... Nawet twoje imię brzmiało tak dostojnie, tak odmiennie.

- A kiedy mnie poznałeś...?

Roześmiał się szczerze, otwarcie jak młody chłopak; nie było w jego śmiechu goryczy, którą pamiętałam tak wyraźnie.

- Miałem ochotę cię zgwałcić. Czy to chciałaś usłyszeć?

- Luca-sie!

Sparodiował mnie żartobliwie i przysunął się bliżej.

- Luca-sie! Podoba mi się jak wymawiasz moje imię, z taką przerwą na końcu.

Gdybym wiedział, że jesteś czarownicą, zachowałbym swoją strzelbę i pozwolił Julio kupić cię tamtej nocy.

Jego usta stłumiły mą gniewną odpowiedź i przez długi czas milczeliśmy.

Podczas pierwszego dnia wcale nie rozmawialiśmy o Marku, a tajemniczy strach tkwiący gdzieś w otchłaniach mego umysłu nie pozwalał mi wypowiedzieć imienia Eleny. Wystarczało mi, że jestem z Lucasem. Upierał się, byśmy dotarli najpierw do Fortu Selden; chciał, bym spotkała się z Braggiem i poznała prawdę, której i tak się domyślałam. Bo w grę musiał wchodzić Mark. Tylko on był na tyle sprytny, przebiegły i cierpliwy. Lucasa ponosił temperament, zdolny był do przemocy, ale nie do podstępu, jak to przedstawiał Mark. A po rozmowie z Braggiem? Postanowiłam, że należy ostrzec Todda. Nie znosiłam go, ale zasługiwał przynajmniej na to. Pan Bragg dopilnuje tego. A potem... nie wiem. Nie pytałam Lucasa, dokąd zamierza mnie zabrać. Moje najwspanialsze i najdroższe klejnoty kryły się w skórzanym woreczku, który ozdobiony złotymi inicjałami „RD” zwiślał mi na szyi.

Lucas uniósł tylko brew i spytał:

- Twój woreczek z lekami?

Znów wyglądałam jak kobieta Apaczów - w spódnicy, zapinanej pod szyją bluzie i mokasynach. Włosy zaplotłam w warkocze i wepchnęłam pod kapelusz z szerokim rondem. Jakie to miało znaczenie? Wiedziałam, że porzucę cywilizację i wszystko, co do tej pory znałam bez najmniejszych wyrzutów sumienia, jeśli tylko Lucas nie przestanie mnie pragnąć. To takiego spokoju szukałam w *ashramie* po śmierci dziadka. Mała chata, otwarta z czterech stron w górach w odległych Indiach. Miejsce, o którym mi powiedziano, że aby znaleźć wolność umysłu należy oderwać się od wszelkiego ziemskiego dobytku. Wtedy nie miałam jeszcze pojęcia, czego oczekuję od życia, czego poszukuję. A potem na szczycie innej góry znalazłam tę wolność i odwróciłam się od niej plecami. Nagle wydało mi się, że próbuję zapomnieć, iż urodziłam się kobietą.

Koncentruję się na tych szczegółach, by odsunąć na potem to, co nieuchronne. Przyzwyczailiśmy się do szybkich i długich podróży nocą, w upalne dni zatrzymywaliśmy się na odpoczynek. Tak bardzo chciałabym wyrzucić z pamięci tamten poranek, kiedy zorientowaliśmy się, że jesteśmy ścigani. Niestety, ciągle wracam do owego dnia.

Tamten poranek. Po chłodzie nocy skwar dnia zdawał się nie do zniesienia. Słońce prażyło kamienie, kurz, a nawet wielkie głązy.

Ostatniej nocy poruszaliśmy się nieco wolniej, bo Lucas stwierdził, że w świetle dnia bezpieczniej jest przedrzeć się przez strumień lawy. Rozciągająca się przed nami kraina była prawdziwym pustkowiem. Niegdyś rzeka płynnego ognia, teraz twarda skała, skręcała się w dziwaczne kształty i twory. Jej powierzchnię tworzyła masa ostrych kamyków i skalnych odłamków. Na horyzoncie wznosił się potężny masyw gór Fra Cristobal.

Lucas spojrział na te wyrzeźbione przez naturę szczyty i zmarszczył czoło.

- Szybciej będzie, jak je objedziemy, ale pewny... - odezwał się do siebie, mrużąc oczy w słonecznym blasku - mam dziwne przeczucie...

W tym momencie zachował się jak prawdziwy Apacz, polegający wyłącznie na własnym instynkcie. Zrobiłam gwałtowny ruch, a on rzucił ostro:

- Zostań tutaj, Ro. Schowaj się. Muszę rzucić okiem na szlak, którym przybyliśmy.

Nauczyłam się nie zadawać pytań. Zrobiłam jak kazał, a tymczasem Lucas chwycił lornetkę i wspiął się lekko na skaliste zbocze. Zeskoczyłam z konia i czekałam w ciszy, odpoczywając i zastanawiając się, dlaczego tak długo nie wraca.

Na kolanach trzymałam rewolwer, który mi podarował, i choć wyteżałam słuch, dostrzegłam go dopiero kiedy stanął nade mną.

- Lucasio! Już myślałam... - a potem widząc jego twarz urwałam gwałtownie. - Coś nie tak, prawda?

- Zaczynasz czytać z mojej twarzy jak z książki! - Przykucnął obok z ponurym wzrokiem. - Posłuchaj, Ro. Jest gorzej niż przypuszczałem, a może twój mąż jest po prostu sprytniejszy niż myślałem. Wyszedłem na głupka.

- Ścigają nas? Ale przecież spodziewałeś się, że...

- To nie on. Niech to licho! To nie trzyma się kupy, a może miał tylko szczęście. To indiańscy zwiadowcy - Białe Góry, tak mi się zdaje. Tylko oni mogą wpaść na nasz ślad.

Lucas skręcił papierosa. Nie zrobił tego od początku naszej ucieczki, a teraz każdy jego ruch przepelniony był złością.

- Jest z nimi twój mąż - dorzucił od niechcienia. - Tego też się nie spodziewałem, ale on dobrze wie, że taka kobieta jak ty warta jest przeprawy przez piekło. Nawet go za to nie winię.

- Zwiadowcy? Masz na myśli zwiad wojskowy? - Nie mogłam pojąć jego słów.

- Zwiadowcy Apaczów - tłumaczył cierpliwie Lucas.

- Oczywiście pracują dla armii. Dowodzi nimi generał Crook. Ale nigdy nie zapuszczają się tak daleko na północ i, jak słyszałem, nie mają żadnych zadań poza Fortem Craig. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to jakaś ich specjalna misja - może w rezerwacie Gorących Źródeł doszło do zamieszek. Ale jeśli natknęli się na twego męża w Fortcie Craig, możemy spodziewać się kłopotów.

Przypomniałam sobie, że Mark chwalił się swymi znajomościami z ważnymi osobistościami, domysły Lucasa nie były więc pozbawione sensu.

- Powiedział... im pewnie, że... mnie porwałś - cedziłam wolno słowa.

Tak... duma Marka nie pozwoliłaby mi na wyznanie prawdy. Nikt przecież nie mógł się dowiedzieć, że jego dopiero co poślubiona żona uciekła z kochankiem.

- Zapewne dodał, że to - dotknęłam dłonią woreczka między moimi piersiami - była prawdziwa przyczyna. - Moje klejnoty. Pomyślałam, że mogą się przydać.

- Twoje... - wykrzywił usta Lucas. - I zaufaj tu kobiecie.

Kiedy piszę te słowa wciąż nie mogę uwierzyć, że siedzieliśmy tam tak spokojnie, rozmawiając o tym, co mogło się wydarzyć, a w tym czasie nasi prześladowcy zbliżali się z każdą minutą. Teraz wiem, że Lucas celowo dał mi trochę czasu, abym oswoiła się z sytuacją i opanowała nerwy.

- No, cóż - odezwał się w końcu. - Nie mamy już wyboru. Ruszamy w stronę gór.

I zmarszczył czoło.

Rozdział 46

Na ile sposobów można odtworzyć horror? Później Lucas powiedział mi, że powinien był zwrócić uwagę na dziwny niepokój, który ogarnął go, gdy zaczęliśmy powolną, krętą wspinaczkę na wznoszący się przed nami szczyt. Góry San Andres, które mogły okazać się bezpieczniejszą kryjówką, rozciągały się po drugiej stronie płaskiej pustyni. Nie gwarantowała ona najmniejszego schronienia ani wody. Pasma Fra Cristobal wystawało tuż przed nami, więc gdyby udało się nam je przeciąć, dotarlibyśmy do Czarnego Pasma na zachodzie, które Lucas nazywał domem.

Z wyjątkiem krótkich przystanków nie mieliśmy czasu na odpoczynek. Lucas nie musiał mi tego mówić; nasi prześladowcy, choć oddaleni o pół dnia drogi, nie odpoczywali także. Żadne z nas jednak nie domyśliło się, że prawdziwe niebezpieczeństwo czyha na nas z drugiej strony.

Zdarzyło się to późnym wieczorem, kiedy padałam już z wycieńczenia. Pamiętam jak spojrzałam w górę, na postrzępione szczyty i migocące między nimi przestrzenie. Na wąskiej przełęczy, którą się posuwaliśmy wzdłuż starego indiańskiego szlaku, panował już złowieszczy półmrok. Lucas jechał przede mną, a ja odniosłam wrażenie, że jest bardzo spięty.

Nie odwracając głowy szepnął:

- Nie próbuj się ze mną spierać. Zejdź z konia, szybko. Zsuń się po prawym boku i nie ruszaj się.

Jednocześnie z niebywałą szybkością wyciągnął strzelbę, którą trzymał przy siodle.

Wszystko wydarzyło się w mgnieniu oka i zlało w jedną całość. Ogłuszające strzały odbijające się od skalnych ścian. Omal nie spadłam z konia, zapominając chwycić za lejce i nie poczułam nawet przeszywającego, palącego bólu w ramieniu. Ze skał po lewej stronie stoczył się jakiś ciemny kształt, ale zbyt przejęta byłam własnym upadkiem i powstrzymaniem konia, by zastanawiać się, co się dzieje.

Usłyszałam dziki, przeraźliwy ryk i koń pognął na oślep przez kanion; z góry posypał się nań grad kul. Zanim zdążyłam wykrzyknąć jego imię, Lucas znalazł się u mego boku, popychając mnie pod skałę. Potknęłam się i padłam na kolana. Kula ze świstem

uderzyła w kamienny głaz tuż nad moją głową. Koń padł wolno na ziemię, składając się jak zwierzątko z tektury. Leżałam obok niego na brzuchu, czując ciepłą krew spływającą mi po ramieniu. Lucas wcisnął mi w dłoń broń i szepnął nagłaco:

- Leż tu i nie ruszaj się. Chcę tylko, byś strzelała w stronę tych skał. Nie śpiesz się, ale strzelaj na tyle często, by zmylić czujność. Idę po niego.

Otępiała z szoku i niewiary, nie potrafiłam wydobyć z siebie ani słowa, nie mówiąc już o proteście. Zapadał szybko zmrok. Lucas wystrzelił dwa razy i zniknął, ale duszący zapach prochu wciąż unosił się w powietrzu.

Gdzieś w górze rozległ się pojedynczy strzał, a potem przypominając sobie słowa Lucasa, mój umysł zaczął działać mechanicznie. Muszę strzelać, by osłaniać Lucasa. Oparłam strzelbę o martwe ciało konia i trzymając nisko głowę zaczęłam strzelać, bardzo ostrożnie, w kierunku miejsca, z którego wydobywały się białe kłęby dymu. Miałam nadzieję, że nie będę musiała ładować strzelby ponownie. Stopniowo traciłam czucie w ramieniu, w miejscu gdzie drasnęła mnie kula. Starłam się nie myśleć, co dzieje się z Lucasem - czy zdołał skryć się przed gradem kul. Jakie to szczęście, że w górach mrok zapada tak szybko... pamiętaj, żeby strzelać Roweno, zabandażujesz ramię później, to tylko draśnięcie...

Strzelba obijała mi ramię, a zapach prochu drażnił nozdrza. Starłam się robić odstęp między wystrzałami, mierząc dokładnie w wyszczerbienia skał, skąd dochodziły błyski, tak by sprawić wrażenie, że to strzela Lucas. Skryłam się w ciemnościach, ale przynajmniej dwa razy usłyszałam nad głową wizg kul, które jak rozgniewane pszczoły odbiły się od skały za moimi plecami.

Nie miałam czasu na przerażenie. Dopiero kiedy gdzieś z góry dobiegł mnie straszliwy, urwany w połowie wrzask, zaczęłam drżeć, nie zdając sobie sprawy, że łkam na cały głos, a łzy spływają mi strumieniami po zakurzonych policzkach. Co tam się stało? Kto krzychał? Strzały umilkły, cisza dudniła mi w uszach odbierając całą odwagę, bo nastąpiła tuż po tym straszliwym odgłosie.

Chyba ochryłam ze szłochu. Po chwili, która zdawała się wiekiem, usłyszałam z góry łagodny głos Lucasa:

- Ro? Wstrzymaj ogień. Już wszystko w porządku.

Po chwili trzymał mnie w ramionach, a ja przylgnęłam do niego, upewniając się czy to na pewno on; starałam się opanować wstydlivy szloch, który odebrał mi dech.

- To wszystko stało się tak nagle, że wciąż nie mogę uwierzyć. Lucasie, nie płaczę ze strachu! Tylko... tylko dlatego, że jestem taka szczęśliwa. Wróciłeś cały i zdrowy!

Palcem podparł mi brodę.

- Tylko szalona kobieta może płakać ze szczęścia.

Mimo szorstkości słów głos miał bardzo łagodny. Lucas obmył i opatrzył ranę po kuli w moim ramieniu i opowiedział mi, czego się dowiedział.

- Na szczęście dla nas było ich tylko trzech. Dopadłem pierwszego, widziałas jak spadał. Zraniłem poważnie drugiego, więc gdy się do niego dostałem, ledwo oddychałem, ale coś z niego wydusiłem.

Lucas kontynuował swą opowieść, a mnie ogarniało coraz większe przerażenie.

- Mark Shannon nie jest głupcem i jak dotąd sprzyja mu szczęście. Wysłał przodem swych najlepszych ludzi, a sam ruszył naszym szlakiem z Burrisem, Sonorą i trzema indiańskimi zwiadowcami spotkanymi w Forcie Craig. Odwiedzali swych krewnych w Gorących Źródłach, a pułkownik zaproponował im odszukanie porwanej żony - za duże pieniądze.

Lucas przemawiał monotonnym głosem, a ja wciągnęłam głęboko powietrze.

- Jest jeszcze coś - uprzedził mnie. - Szuka nas połowa kawalerii, ale twój mąż nakazał swym ludziom wyprzedzić żołnierzy i strzelać bez ostrzeżenia.

Było już ciemno. Chłodna noc usiana gwiazdami na granatowym aksamicie nieba. Popatrzyliśmy na siebie. Lucas wstał i zdjął uprząż z martwego konia. Myślę, że chciał bym przywykła się do myśli, iż Mark pragnie również mojej śmierci.

Kiedy zdałam sobie z tego sprawę zastanowiłam się, dlaczego nie dostrzegłam tego wcześniej. Nie tylko wiedziałam zbyt dużo o jego planach, ale zdradziłam go i publicznie upokorzyłam. Pewna byłam, że mnie nienawidzi - z tą samą bezlitosną szczerością, z jaką mnie niegdyś kochał i pragnął. Podzieliłam się swymi myślami z Lucasem, kiedy ruszyliśmy w drogę, nieco wolniej tym razem, bo rana po kuli mnie osłabiła.

- Są jeszcze twoje pieniądze - dodał cicho, a ja zdumiałam się, że nie przyszło mi to od razu do głowy.

Oczywiście, pieniądze. Jeśli ja będę martwa, będzie miał majątek, za który kupi upragnioną władzę. To moje pieniądze miały być nagrodą za moją śmierć!

Nie potrafiłam pogodzić się z tą myślą. Wszystko wydawało się tak nierealne podczas naszej nie kończącej się wędrówki, zachowaliśmy jednak stoicki spokój. Straciliśmy konie, a muł opóźniłby tylko naszą ucieczkę. Wiedziałam, że w czystym, pustynnym powietrzu głos niesie daleko. Usłyszą strzały i natychmiast pojawią się, by nas pojmać. W głowie kręciło mi się z utraty krwi i zdenerwowania. Z cynicznym rozbawieniem pomyślałam, że to dziwne uczucie przemienić się z myśliwego w zwierzyne. To dziwne... W Indiach podczas polowań na tygrysy z dziadkiem i jego przyjacielem - maharadzą nigdy nie zastanawiałam się, co czuje tygrys.

Próbowałam stawiać stopę za stopą, jak niegdyś. Niosłam jedynie manierkę wody i suszoną wołowinę upchaną w kieszeniach bluzy. Lucas dźwigał strzelbę, dwa rewolwery i skrzyżowane na piersiach bandoliery z amunicją. Pocieszałam się, że jesteśmy razem.

Nawet jeśli... - rozważałam - nawet jeśli dojdzie do najgorszego, nie będę rozpaczać. Kochamy się.

Śmierć wydała mi się nierealna. Nie wyobrażałam sobie śmierci, nie wierzyłam, że wpadniemy w pułapkę.

Nie pamiętam ile mil przebyliśmy, zanim przystanęliśmy na odpoczynek - i to tylko z mojego powodu. Każdy oddech drapał moje gardło, mimo nocnego chłodu oblewał mnie pot. Lucas otoczył mnie ramieniem, a ja oparta o jego ramię odzyskiwałam siły.

- Gdzie...

Odgadł, o co zamierzałam go zapytać.

- Fort Thorn. Jest najbliżej. Nie spodziewają się, że możemy się tam udać. Będziesz bezpieczna. Znajdziesz pułkownika i wyślesz telegram do Fortu Selden.

Lucas przerwał gwałtownie i zaklął cicho.

- Do diabła! Nie pomyślałem o tym. Telegraf. To w ten sposób polecił kawalerii z Fortu McCrae, by ruszyła za nami w pościg. Jeśli wysłali wiadomość do pułkownika Poyntera w Selden...

- Uważasz, że i on ruszy na poszukiwanie? O, Lucanie!

- Ro, nie licz na zbyt wiele. Fort Thorn jest najbliżej. Jeśli uda mi się dowieźć cię

tam bezpiecznie...

- A ty? Nigdzie się bez ciebie nie ruszę! I skąd wiesz, że to bezpieczne dla ciebie?

- Przestań się kłócić i ruszamy.

Nie odpowiedział na moje pytanie. Po kilku krokach znowu straciłam oddech, a czas płynął niemiłosiernie wolno.

Nie mogłam uwierzyć, że znów wschodzi słońce, nadając niebu blad różową barwę. Czy rzeczywiście maszerowaliśmy całą noc?

Zatrzymaliśmy się wśród ogromnych głazów, a ja odetchnęłam z ulgą na myśl o odpoczynku. Lucas zostawił mi rewolwer, zabrał lornetkę i zniknął. Mimo twardego postanowienia, wyczerpana zapadłam w lekki sen. Chwilę później obudziło mnie lekkie dotknięcie.

- Ro? Dobrze się czujesz?

- Tak - mruknęłam.

Postawił mnie na nogi i zanim zdążyłam się zastanowić, dlaczego wygląda tak dziwnie, Lucas oznajmił chrapliwym głosem:

- Nie mogłem określić jak daleko jest twój mąż. Przypuszczam, że on i jego ludzie depczą nam po piętach - są już w górach. Ale z Fortu Thorn idą ci na ratunek przyjaciele. Todd Shannon... zastanawiam się, co on tam robił, u diabła?

- Todd? - zdumiałam się.

Spojrzałam na Lucasa; wpatrywał się we mnie zmrużonymi, poważnymi oczami.

- Lucasie... co zrobimy?

- Fort Thorn jest dla ciebie najbezpieczniejszym miejscem. I choć nienawidzę Shannona, wątpię, by zastrzelił cię z zimną krwią. Tak więc... ruszamy na południe.

- To moja wina. Gdybym nie...

Niespodziewanie otoczył mnie ramieniem.

- To niczyja wina. Może moja, że nie przewidziałem jak bardzo cię zapragnę. Rowena... szalone imię, szalona kobieta...

Nasze usta spotkały się i ogarnęło mnie przerażające uczucie, że to nasze pożegnanie. Straciliśmy sporo cennego czasu tuląc się do siebie, obdarzając pieszczotami. Jak mogę pamiętać, o czym wtedy myślałam, skoro nie byłam zdolna do logicznego myślenia.

nia? Najwyraźniej pamiętam tylko to, co chciałabym wyrzucić z pamięci - nie kończący się koszmar.

Pamiętam też, że nie zrobiłam tego, co mi kazano. To, co się stało później było moją winą.

Góry nie były już schronieniem, lecz zagrożeniem, gdyż stanowiły teraz kryjówkę dla tych, którzy podążali naszym tropem. Gdyby nie ja, Lucas umknąłby im bez trudu. Ale on zaakceptował mnie jako swoją kobietę - jak wojownik Apaczów pojmujący żonę. Biorąc za mnie odpowiedzialność, Lucas zdecydował się na wszelkie ryzyko.

Pozwolę sobie tutaj na małą dygresję - choćby po to, by odwlec to, co nieuniknione. Chcę opowiedzieć o tym, o czym nie wiedziałam wtedy, a co wiem już teraz.

Todd Shannon miał spotkać się z panem Braggiem w Forcie Selden, ale zbieg okoliczności spowodował, że kiedy gościł z wizytą u dowódcy w Forcie Thorn przyszedł telegram od Marka.

Podobny telegram dotarł także do Fortu Selden, położonego o wiele dalej, ale pułkownik Poynter i pan Bragg zareagowali nieco inaczej. Oni także wyruszyli na poszukiwanie, lecz kilka godzin później. Najbliżej ze wszystkich znajdował się więc człowiek, którego wybrałam na męża - czy też raczej który wybrał mnie. Nigdy przedtem Apacz, którego imię oznaczało „wroga” nie był mi tak bliski. Byłam z moim ukochanym, z moim mężczyzną i nie miałam zamiaru go opuszczać. Gotowa byłam wraz z nim umrzeć, nigdy nie dałabym sobie go odebrać.

Nie próbowałam tłumaczyć tych uczuć sobie ani Lucasowi. Kiedy rozpoczęła się strzelanina, a my znajdowaliśmy się w miejscu osłoniętym z trzech stron, zlekceważyłam gniewne polecenie Lucasa, który kazał mi skryć się za swoimi plecami i zaczekać na przerwanie ognia. Miał zamiar wysłać mnie na dół, do Todda Shannona i jego teksaskich strzelców.

- Jeśli mamy zginąć, Lucasie - odezwałam się łagodnie - zginiemy razem. Czy rzeczywiście myślałeś, że cię tu zostawię?

Chwyciłam rewolwer i pas z nabojami i podczołgałam się na nie osłonięty stok za naszymi plecami. Przypominając sobie te chwile, przypuszczam, że pierwszy człowiek, który się pojawił po rozpoczęciu strzelaniny, nie spodziewał się nikogo. Ale wpadł na

mnie, a ja zastrzeliłam go bez namysłu. Pamiętam tylko jego zdumiony wyraz twarzy, kiedy staczał się po skałach.

- Ro, niech cię lichy, wracaj!

Usłyszałam krzyk Lucasa i odwróciłam głowę. W jednej chwili poczułam jak ktoś chwytą mnie w pasie i oznajmia triumfującym głosem:

- Lepiej rzuć ten rewolwer, Cord, albo podziurawię jej piękne ciało.

Jednocześnie dotarł do mnie głos Marka, obrzydliwie lodowaty jak nigdy przedtem.

- Dam ci jeszcze jedną szansę. Jeśli zastrzelisz teraz mego wuja, może pozwolę Rowenie żyć...

Bez namysłu udałam że mdleję, a gdy poczułam, że uścisk mężczyzny, który mnie chwycił słabnie, kopnęłam go z całej siły. Padłam na ziemię, a kula świsnęła mi koło ucha. Człowiek, który mnie trzymał upadł także, charcząc i mamrocząc coś niewyraźnie.

Podniosłam wzrok, a Lucas już leżał przy jego boku, naciskając spust. Mark nie żył - wystrzelona na moich oczach druga kula przeszła go.

Nie chciałam patrzeć na jego twarz. Mark leżał w pewnej odległości; słońce muskało jego blond włosy, a pod nieruchomym ciałem tworzyła się wielka kałuża krwi. Padając wypuścił z dłoni rewolwer; nie widziałam jego twarzy...

Ruszyłam biegiem w stronę Lucasa zastanawiając się, dlaczego stoi nieruchomo... i wtedy zauważyłam strzelby.

- Ty suko - rozległ się chrapliwy wrzask Todda Shannona. - Tak to sobie zaplanowaliście!

Rozdział 47

- Dlaczego nie chcesz mnie wysłuchać? Czy boisz się prawdy, czy obawiasz się własnej pomyłki?

- Zamknij się i przestań trajkotać. Nie chcę, aby ominęło cię to widowisko, kiedy ten twój kochanek-mieszaniec zacznie wrzeszczeć - o ile wcześniej nie zadławi się na śmierć.

W głosie Todda Shannona nie było litości - w jego twarzy także. Myślę, że sama byłam gotowa go zabić, gdyby nie przywiązał mi rąk do siodła.

- To Mark, na miłość boską! Mogę to udowodnić! Todd... zabierz nas do Fortu Selden! Tam właśnie jechaliśmy. Pan Bragg...

- Bragg opowie mi wszystko po tym jak zrobię, co już dawno powinienem był zrobić. Spójrz na niebo, panienko. Zaczyna prażyć słońce. Jest wystarczająco gorąco, by skurczyła się ta zielona skóra.

Zaczęłam drżeć, a Todd parsknął śmiechem.

- Powiem ci coś. Nie chcę, by umarł zbyt szybko. Niech sobie trochę pocierpi. Weź manierkę i zmoż ten kawałek skóry zaciśnięty wokół jego szyi. Może wymienicie między sobą ostatnie słowa - póki jeszcze może mówić!

Minęła godzina? A może dwie? Pragnęłam, aby Todd w swej ślepej złości zbił mnie do nieprzytomności, jak to niegdyś obiecał. Ale on tylko cieszył się, widząc mnie przywiązaną do siodła, bym mogła oglądać to widowisko...

Nie wierzyłam własnym uszom, kiedy Todd, spoglądając z żalem na ciało swego bratanka, oznajmił pełnym wściekłości i smutku głosem:

- Ty morderco, porywaczu kobiet. Nie umrzesz tak łatwo jak on, obiecuję ci to. Będziesz umierał powoli, w stylu Apaczów. Chłopcy, widzicie ten wysoki kaktus tam w dole? Wiecie, co robić?

Nigdy przedtem nie byłam tak bliska obłądu. Wpadłam w histerię. Pamiętam tylko jak zatoczyłam się po policzku wymierzonym przez Todda.

- To jedyne lekarstwo na rozhisteryzowaną dziwkę - warknął.

Lucas, który obserwował wszystko z kamienną twarzą, odezwał się:

- Wypuść ją. Ona nie ma nic wspólnego z naszymi porachunkami, Shannon, i ty dobrze o tym wiesz.

- To dlatego z nią uciekłeś? To dlatego musiałeś zabić mego bratanka, by została wdową?

Nie... nawet teraz nie chcę tego pamiętać. Nie chcę, ale muszę... Lucas i ja. Tamtego gorącego popołudnia cierpieliśmy oboje.

Moja histeria i rozpacz zamieniły się w odrętwienie. Mówiłam aż do bólu gardła, próbując wyjaśnić Toddowi, jakim człowiekiem był naprawdę Mark i co zaplanował, ale Todd nie słuchał. A teraz, kiedy wręczył mi manierkę i rozwiązał dłonie, nie odezwałam się ani słowem, tylko rzuciłam mu nienawistne spojrzenie. Wyglądało na to, że bawi się doskonale.

- Ruszaj! Może to ty powinnaś zdecydować, czy twój kochanek zdechnie od uduszenia czy od kolców kaktusa wrastających mu w ciało. Idź do niego i przypatrz się jak cierpi. Chcę, żebyś to zapamiętała do końca życia, ty podstępna suko!

Milczałam. Powiedziałam sobie, że skoro Lucas może milczeć i zachowywać spokój, ja zrobię to samo. I obiecałam sobie, że zabiję Todda Shannona. Tak... nagle pojęłam skąd biorą się krwawe wendety!

Ściągnęli mu koszulę, by cierpieć pod gigantycznym kaktusem. Na jego opalonym torsie pojawiły się krople potu. Związali mu nad głowę ręce, a spod zaciśniętej na nadgarstkach skóry kapła wolno krew.

Oczy miał zamknięte; widziałam jak napina mięśnie, próbując chwycić powietrze mimo zaciskającego się na jego szyi skórzanego paska. Wyszeptałam jego imię. Otworzył oczy, ale nie rozpoznał mnie.

Pamiętam szyderczy głos Todda Shannona podpowiadający mi wybór - wolna śmierć w męczarniach lub śmierć nieco szybsza, ale tak samo bolesna. Boże, Boże, czy byłam dostatecznie silna? Ile mogłam znieść? Lucas chwycił ciężko powietrze, a ja byłam u kresu sił. Jeszcze nie teraz, pomyślałam. Nie tak... Dusił się wolno w cierpieniu, a ja musiałam na to patrzeć.

Uniosłam ostrożnie manierkę, by nie dotknąć jego napiętego, wyczerpanego ciała i polałam wodą szyję, nasycając duszącą go skórę życiodajnym płynem. To tylko zwłoka...

Nagle ktoś chwycił mnie za ramię i wyrwał manierkę. Todd Shannon pojawił się bezgłośnie za moimi plecami i warknął:

- Wystarczy! Nie chcę, by miał ułatwione zadanie.

Pociągnął mnie za sobą, śmiejąc się, kiedy próbowałam chwycić jego rewolwer.

- Jeszcze chce ci się walczyć? Przyznać muszę, że nie spodziewałem się po tobie takiej śmiałości. Poskromił cię? - dodał twardym głosem. - Szkoda, że nie dożyje chwili, kiedy rozprawię się z tobą.

Trzymał moje nadgarstki w bezlitosnym uścisku, bawiąc się najwyraźniej moją szarpaniną.

- Widzieliście kiedykolwiek taką dziką kocicę, chłopcy? Sama wygląda jak Apaczka, pewnie zbyt długo przebywała wśród czerwonoskórych. Nauczymy ją cywilizowanych zachowań, prawda?

Jeden z mężczyzn parsknął śmiechem, ale reszta milczała, stojąc przy swoich koniach. Przypuszczam, że zdawali sobie sprawę, iż jestem w gruncie rzeczy białą kobietą, a po śmierci Marka nadal współwłaścicielką SD. Być może zastanawiali się, co wydarzy się potem.

Nigdy nie dowiedziałam się, o czym myśleli; w tej chwili Todd przysunął się do mnie i ryknął mi prosto w twarz:

- Żałuję tylko, że Elena Kordes nie zobaczy jak ginie jej najstarszy szczeniak!

Jego słowa podziały na mnie jak cios; zacisnęłam usta i przestałam się nagle wyrywać z jego uścisku.

- Lucas nie jest synem Eleny!

Myślę, że najpierw wyszeptałam te słowa, a potem rzuciłam mu je głośno w twarz.

- On nie jest jej synem, słyszysz? Czy tylko dlatego chcesz go zabić, by zemścić się na niej?

Jego oczy, jak zielone szkło, przeszyły mnie na wylot.

- Jaką to bajeczkę wymyśliłaś tym razem? - potrząsnął mną gwałtownie.

- Ale to prawda, to prawda! Nawet mój ojciec o tym wiedział... zapisał to wszystko

w swych pamiętnikach, sam możesz to przeczytać, chyba że nie chcesz zaakceptować prawdy!

Rzuciłam mu dzikie spojrzenie. Pochylił się nade mną, a jego rudozłote włosy zaślniły w słońcu. Nagle ogarnęło mnie straszliwe przeczucie, minęło odrętwienie umysłu.

- On... on nawet nie jest do niej podobny! - jęknęłam. - Nie przypomina żadnego z nich! Jego włosy mają złotawy odcień, a jego oczy... Indianie zaadoptowali Lucasa, ale on nie należy do nich! On wygląda... on wygląda...

Zdawało mi się, że śnię, kiedy znajomy i nieznajomy głos dokończył za mnie to zdanie. Niewiarygodna i oszałamiająca myśl wyrażona została słowami.

- Wszyscy byliśmy ślepi. On wygląda jak Alma, Todd... i trochę przypomina ciebie z oczu i twarzy.

Todd odepchnął mnie z całej siły. Upadłabym na ziemię, gdyby nie chwycił mnie czyjeś pokryte błękitem ramiona. Spozrzegłam teraz twarz, której nie spodziewałam się już nigdy zobaczyć. Elmer Bragg - bardziej posiwiały, ale jak zwykle tajemniczy.

Nie patrzył jednak na mnie, tylko na Todda, który z nożem w dłoni podszedł do Lucasa.

Pułkownik Poynter zamarł sztywno na swym koniu, znieruchomieli ludzie Todda i żołnierze.

- Bragg... zawsze wtykałeś nos w cudze sprawy. Ale teraz sprawiedliwości stanie się zadość. Niech się który tylko ruszy, a przetnę mu gardło, słyszycie? Jak śmiałeś przywołać imię Almy... - warknął ochryłym głosem.

Nigdy nie był tak wściekły, nigdy nie miał tak dzikiego wzroku. Z nas wszystkich tylko Elmer Bragg zachował obojętność.

- Zawsze uważałem cię za zaślepionego, upartego głupca, Toddzie Shannonie. Nie masz zamiaru przyznać się do omyłki, prawda? W porządku, rób co chcesz. Ułatwisz jej tylko zadanie. Tego zawsze chciała, wiesz? Wychowała chłopaka tak, by cię nienawidził. Miała nadzieję, że pewnego dnia cię zabije, albo że ty zabijesz jego, a wtedy z największą rozkoszą oznajmi ci, że zabiłeś własnego syna.

- Kłamiesz! Wszyscy próbujecie mnie nabrać! Chcecie bronić mordercy, który właśnie zabił syna mego brata!

- Tak jak syn twego brata próbował zabić ciebie, a nawet... proszę wybaczyć, lady Roweno, dopilnował, by twój wspólnik umarł z przedawkowania środków nasennych? Nie, Todd... nikt cię nie okłamuje... to ty okłamujesz siebie.

Todd chwycił Lucasa za włosy i przyłożył mu nóż do gardła. Ale zawahał się. Pamiętam jak się modliłam, choć nie pamiętam już słów.

Niezwykłe spokojny i opanowany głos Elmera Bragga przerwał ciszę, która paraliżowała nas wszystkich.

- Jeśli zabił Marka, będzie musiał stanąć przed sądem. Jeśli uznają go za winnego, będzie wisiał. Ale czy ty nie masz zamiaru poznać prawdy? Lub poznać jej za późno? Pomyśl, człowieku! Pomyśl! Czy kiedykolwiek znalazłeś ciało Almy i chłopca? Nie. Powiedziano ci, że jej brat zabrał obydwie ciała, by je pochować. Stary, konający człowiek powiedział ci, że widział, jak twoja żona pada ze strzałą w piersiach, trzymając na ręku dziecko. Że Alejandro rzucił się w jej stronę z okrzykiem rozpacz. Zastanów się! Co stało się potem? A jeśli dziecko przeżyło? Pamiętasz jak Elena obiecała ci syna... Czy pozwoliłeś jej dokończyć? Czy nie wyciągnąłeś zbyt pochopnego wniosku, że mówi o dziecku, które nosi w sobie? Skąd mogła wiedzieć, że będzie to syn? I jeszcze czegoś dowiedziałem się od czarownika Apaczów, ojca Eleny - dlaczego Alejandro Kordes osobiście przyznał się Lucasowi, że był odpowiedzialny za śmierć jego matki? Dowody, Toddzie Shannonie. Tego właśnie dowiedział się Guy od czarownika, to dlatego musiał przedwcześnie umrzeć - zanim zdoła ostrzec ciebie i Lucasa. A jeśli potrzebujesz więcej dowodów, zajrzyj do woreczka, który nosi na szyi twój syn... zanim poderżniesz mu gardło. Znajdziesz w nim srebrny medalion, który miał przy sobie, kiedy zabrali go Apacze; medalion, który podarowałaś jego matce.

W głosie i oczach Todda Shannona kryło się tak straszliwe wahanie, że niemal mu współczułam. Ale nadal nie wierzył w prawdę. Myślę, że po raz pierwszy w życiu Todd Shannon poznał smak strachu; że znalazł się w ślepych zaułku poznając szokujące fakty. Nie wiedział, co czynić.

Rozerwał woreczek i wyciągnął zniszczony, srebrny medalion. Spojrzał na twarz syna, którego się wyrzekł i omal nie zabił, i zalał się łzami.

Jak beznamiętnie mogę opisywać to, co wiem. Piszę „to, co wiem”, bo to jeszcze nie koniec. Muszę czekać, targana niepewnością, i tylko pisanie odrywa mą uwagę od tego, co może nastąpić.

Proces z pewnością się już kończy. Dowiedziałam się, że przybyli nań reporterzy z Bostonu i San Francisco. Wrzało na całym terytorium. Każdy w Santa Fe słyszał lub czytał o tej historii. Wychwalano mnie i oczerniano; moja ciąża (której nie mogłam już ukryć) i ojcostwo dziecka, okoliczności, w jakich zginął mój mąż - wszystko to jest przedmiotem spekulacji i plotek.

Todd uczestniczy w procesie, i Elmer Bragg. Podobno nawet Elena Kordes opuściła swą odludną dolinę i przybyła do Santa Fe. Pułkownik Poynter udzielił Lucasowi i mnie cichego ślubu tydzień przed wyjazdem Lucasa do Santa Fe. Ale nawet teraz, kiedy słyszę imię Eleny ogarnia mnie niepokój. Co mają sobie do powiedzenia? Powiedział mi tylko, że pokłócili się, gdy wyszedł na jaw jej podstęp zaplanowany z Montoyą. W gniewie opuścił dolinę. Pamiętałam słowa Montoyi, że kłócili się nie po raz pierwszy. „On zawsze wraca...”. Czy muszę teraz o tym myśleć?

Kiedy napisałam te słowa, poczułam w brzuchu ruchy dziecka. Mojego... boję się nazywać go naszym, jeśli... dlaczego wciąż myślę o tamtej nocy z Ramonem?

Lucas nie pozwolił mi o tym mówić.

- Dziecko, które w sobie nosisz będzie naszym dzieckiem - oświadczył stanowczo podczas ostatniego spotkania i przerwał moje protesty pocałunkiem.

Kiedy go nie ma, ogarnia mnie zbyt wiele wątpliwości, zbyt wiele obaw, zwłaszcza kiedy blisko niego znajduje się Elena.

Wchodzi Marta i wybucha płaczem na widok łez w moich oczach. Jak łatwo teraz płaczę. To mój stan - Boże, nie mogę już tego słuchać!

Co zrobimy po procesie... jeśli jest dla nas jakaś przyszłość? Lucas nie będzie rozmawiał z Toddem, tak mi z ponurą miną oznajmił. Trudno mu wyzbyć się nienawiści, która narastała w nim przez tyle lat. Ale Todd mu przebaczył, prawda? Oczywiście, Todd pragnie dziedzica; chce, aby jego syn odziedziczył SD, jego królestwo, o którym śniło tylu ludzi. Lucas nie przyjmie niczego.

- Kiedy to wszystko się skończy - jeśli mnie nie powieszą - możesz zostać tutaj al-

bo jechać ze mną dokądkolwiek.

Zabrzmiało to tak, że od razu przypomniało mi podejrzliwego, surowego Lucasa, jakim niegdyś go znałam. Co mam robić? O, Boże, zmęczyło mnie to wszystko!

W tym miejscu zakończyłam wczoraj mój dziennik i postanowiłam zmienić wszystko dokoła; odkurzyć i wypolerować meble, uporządkować pamiętniki i dokumenty ojca.

Dziś... dziś znalazłam uzupełnienie testamentu, który wpadł za szufladę z pamiętnikami ojca. Tego szukał Mark, wiedząc, co zawiera. Być może dlatego wrzucił nadmierną dawkę środka nasennego do butelki brandy, którą mój ojciec zawsze trzymał pod ręką... opłacił mordercę, by zabił Elmera Bragga. Tak jak opłacił Pardee, by zastrzelił Todda...

Ale to ja znalazłam złożoną kartkę papieru, którą mój ojciec wsunął niedbale do szuflady... być może ogarniała go już senność.

Przeczytałam kodycył kilkakrotnie. Ile nieszczęść można by uniknąć, gdybym znalazła go wcześniej! Mój ojciec dowiedział się od czarownika, że Lucas jest synem Todda Shannona - przysiągł jednak dochować tajemnicy. Z łatwością domyśliłam się, kto rozlał atrament na najważniejszych stronach pamiętnika, kto wydarł niektóre kartki, zostawiając tylko te, które zawierały wyraźną krytykę Lucasa.

Oczywiście nie można dopuścić, by zabił własnego ojca! Była jeszcze Elena, którą mój ojciec kochał mimo zawodu, jaki sprawiła mu swym postępowaniem.

Próbował wyjaśnić motywy zmiany testamentu - rzecz jasna tłumaczył się przede mną. Błagał mnie o zrozumienie. Bo to nie ja miałam odziedziczyć połowę SD; cały udział przeszedłby na rzecz mego męża, jeśli poślubiłabym Lucasa albo Ramona - jeden z nich miał otrzymać ogromną sumę pieniędzy.

Gdybym nie zdecydowała się na żadnego, połowa rancza miała zostać podzielona równo między Lucasa a Ramona - przypuszczam, że w ten sposób chciał naprawić stare krzywdy!

A Elena... tak, mój ojciec znał Elenę! Być może próbował przerwać to, co zauważył między nimi.

Elenie Kordes, z wyrazami nieśmiertelnej miłości i oddania, zapisuję pięćdziesiąt tysięcy dolarów i godziwą dożywotnią rentę (według uznania mojej córki) pod warunkiem, że na zawsze opuści terytorium Nowego Meksyku...

A potem dodał - dla niej, jak mi się wydaje:

Klejnot wymaga kosztownej oprawy. Pewny jestem, że podbijesz Europę...

Były też inne, pomniejszych zapisy. Tytuł własności urodzajnej ziemi w górach dla Julio oraz pieniądze na zakup bydła i koni. Zapisy dla Julesa i Marty, a także dla starego przyjaciela, Elmera Bragga.

A więc takim człowiekiem był mój ojciec. Poczulałam, że odkryłam go na nowo! Człowiek, którego nigdy nie ujrzałam, lecz którego poznałam dzięki pamiątkom, tak jak moje dzieci zechcą kiedyś poznać mnie.

Składam kodycył i czekam. Marta stoi obok; spoglądamy na zegar.

- Proces na pewno już się skończył - wyraża słowami moje przerażone myśli. -
Trzeba mieć nadzieję, patrona. Pani mąż wkrótce powróci.

Srebrny medalion z figurką Św. Krzysztofa, подарowany niegdyś Almie przez Todda, a który otrzymałam od Lucasa, dotyka chłodno moich piersi - zimny jak godziny, które miną zanim wszystko będzie wiadome.

Epilog

Silver City - 1878

Wyglądali na zasobne małżeństwo farmerów. Ich jasnowłosy synek siedział pośrodku na koźle, wierząc się bez przerwy z wrażenia. Każdy ich przyjazd do miasta wprawiał w ruch języki plotkarzy.

Madame Fleur, zajęta rozmową z klientką w drzwiach swego małego sklepiku, głęboko odetchnęła, widząc jak kierują się na stację.

- Nie do wiary! Widziała ich pani? A on, ten drugi, jest już na stacji!

- Ma pani na myśli pana Shannona? Pana Todda Shannona? - Pani Vickery, żona właściciela sklepu z dodatkami krawieckimi, powtórzyła westchnienie pulchnej modystki.

- Mój Boże... - zawiesiła głos. - Czy to prawda?

- To wszystko prawda! Ach, co to był za skandal! Pamiętam ją... wcale się nie zmieniła. Zawsze była taka... taka wyniosła. Nadal jest.

- Ale...

Madame Fleur nie dawała sobie przerwać.

- Wszystko, co pani słyszała, to prawda - powtórzyła.

- Jedna z moich klientek udała się do Santa Fe na proces i wszystko mi opowiedziała. Uniewinnili go w końcu i każdy się spodziewał, że wróci, by zamieszkać na tym wielkim ranczo, ale on wyruszył w góry, a jego żona podążyła za nim. Podobno mają tam małą farmę, ale nikt nie wie gdzie. Oczywiście... - Ściszyła głos - wie pani, że wychowali go Indianie. Prawdą jest, że siedział w więzieniu, że był wyjęty spod prawa...

Nadal nie mógł się przyzwyczać do tak otwartego paradowania po mieście.

Wszystkie miasta, zwłaszcza gwarne i ruchliwe jak to, przytłaczały go i dusiły. Lucas spojrział na zdziwioną twarz żony i wykrzywił twarz:

- Nadal nie rozumiem jak ci się udało mnie przekonać. Nawet nie znam tych twoich przyjaciół.

- Corinne i Jack to mili ludzie - oznajmiła łagodnie Rowena, a po chwili dorzuciła z uśmiechem. - Poza tym jestem z ciebie dumna. Co w tym złego, że kobieta chce się pochwalić swym mężem przed przyjaciółmi?

Spojrzał w jej ciemnoniebieskie oczy otoczone najdłuższymi i najbardziej czarnymi rzęsami, jakie kiedykolwiek widział i nagle przypomniał sobie ją z przeszłości - jak podnosiła się na łóżku, wbijając w niego wzrok; z opaloną twarzą i włosami zaplecionym w warkocze, z nienawiścią w oczach. A potem jej ciepłe, słodkie usta; jej głos przywołujący jego imię...

Tyle tylko zapamiętał zanim poczuł straszliwy ból, a oddech uwiązł mu w gardle. Potem nastąpił jeszcze gorszy ból; zacisnął z całej siły zęby, aby nie krzyknąć - krzyknął jednak, lecz jego głos nie był silniejszy od szeptu. Łzy Roweny kapiące na jego twarz, jej głos powtarzający bez końca jego imię.

Przez kilka następnych tygodni mówił tylko szeptem. Lucas pomyślał z ironią, że może to i lepiej. W przeciwnym razie klótniom i przekleństwom nie byłoby końca. Były dni, kiedy nie chciał z nikim rozmawiać, nawet z Roweną. Aż kiedyś wpadła do jego pokoju, nazywając go samolubnym draniem i zamierzając się na niego ręką. Dobrze, że zdążył chwycić ją za nadgarstki.

Za dwa dni pułkownik udzielił im ślubu, a dwa tygodnie potem zabrali go do Santa Fe, by sędzić za zabójstwo Marka Shannona.

To dziwne, pomyślał Lucas, jak mała rzecz może przywołać potok wspomnień w tak krótkim czasie, który wystarczył, by w ostatniej chwili wyminąć wóz blokujący ulicę.

Kapelusz na wystawie i dwie kobiety odwracające w jego stronę głowy. Kapelusz przypomniał mu o Elenie - ta myśl nadal sprawiała mu ból, ale coraz słabszy. Elena - marzenie każdego mężczyzny. Uśmiechnięta, zachęcająca, ale ofiarująca tylko tyle, by nie przestał jej pragnąć. Kochał ją wtedy i nienawidził. Lecz Elena była już przeszłością; jej miejsce zajęła Ro, kobieta z ciała i kości, silna, słodka i oddana. Wybrała samotność z nim w górach, stawiała czoło dawnym duchom wypełniającym dom w dolinie. Urodziła tam dziecko, mając tylko jego i starą akuszerkę, którą w ostatniej chwili wyprosił z sypialni. Pamiętając jej wskazówki, wszystkiego dokonał sam. Gorąca woda, czyste ręczniki, wszystko wygotowane, nawet nóż.

Przeraził się wtedy nie na żarty.

- Mój Boże, Ro! Nie miałem pojęcia, co musi przejść kobieta rodząc dziecko.

A ona z uśmiechem na bladej twarzy oznajmiła:

- Ja też nie. Ale jeśli chcesz, zrobię to dla ciebie jeszcze raz.

Kiedy było już po wszystkim, miał wrażenie, że zemdleje. Nigdy się jednak do tego nie przyznał. Teraz czuł, że jest to jego syn, miał przy sobie Rowenę, a Elena była już tylko dalekim wspomnieniem.

Elena... to dziwne, że pomyślał o niej właśnie dziś. Być może spowodował to widok więzienia po drugiej stronie ulicy. Pamiętał jak stała w mrocznej, pozbawionej okien celi pod budynkiem sądu w Santa Fe, wypełniając ją osobliwym zapachem perfum; w kapeluszu, który kupił jej w El Paso nasuniętym na czoło.

- A więc nie byłeś w stanie tego zrobić! To on omal cię nie zabił - a to wszystko z powodu tej białej suki, którą poślubiłeś. Poślubiłeś!

Drgnął na dźwięk jej ostrego jak sztylet śmiechu.

- Czy po to, by dać nazwisko temu bachorowi, którego w sobie nosi? Czy chciałeś okazać wielkoduszność, Lucas *mio*? A może zrobiła z ciebie słabeusza, jakim był jej ojciec? Sama musiałam się o tym przekonać.

- A więc wiesz.

Spacerowała niespokojnie przed okratowanymi drzwiami, stukając obcasami po kamiennej podłodze.

- Czy to naprawdę twój głos, taki lodowaty? Co się za nim kryje? - ściszyła głos i szepnęła prawie chrapliwie. - Czy myślisz, że mnie kiedykolwiek zapomnisz? Porzucisz ją, tak jak to robiłeś z innymi - zaczniesz cię nudzić.

- Eleno... po co właściwie przyszłaś? - spytał zmęczonym głosem.

- Dlaczego jej tu nie ma? Nie... przyszłam dla siebie. Chcę zobaczyć jego twarz. To będzie po raz pierwszy od czasu, kiedy...

Po raz pierwszy w jej jedwabście sarkastycznym głosem dostrzegł nutę niepokoju, a patrząc w jej ogromne, błyszczące oczy widział ją taką, jaka była wtedy. Młoda, niepewna siebie. Piękna.

- A więc postanowił zaakceptować cię jako syna? To zadziwiające...

- Czy jestem jego synem?

Ściągnęła brwi i wzruszyła ramionami.

- Tak przypuszczam. Tak twierdził Alejandro. Ocalił cię ze względu na Almę i z poczucia winy. Nigdy cię nie kochał, zrobił to z obowiązku - ale wiedziałeś o tym, prawda? Mój biedny Lucasie, tęskniłeś za miłością, dopóki my dwoje się nie odnaleźliśmy. A teraz... - zaśmiała się - nawet teraz jestem pewna, że pragniesz wziąć mnie w ramiona. Jest między nami coś, *mio*, czego żadna kobieta nie zmieni ani mi nie odbierze. Pamiętaj o tym.

Egzotyczna, pachnąca obecność Eleny na sali sądowej dodała jedynie pikanterii całemu wydarzeniu, które i tak wyolbrzymiono ponad miarę. Lucas nie był pewny, czy sam jest widzem, czy jakimś dziwolągiem wystawionym na pokaz. Czasami leżąc w celi lub siedząc w przepelnionej sali obok swego adwokata zastanawiał się, kim właściwie jest. Wcześniej całe swoje życie dzielił między miłość do Eleny a nienawiść do Todda Shannona. Aż nagle stracił orientację. Nie znał nawet swojej tożsamości.

Kiedy powrócił z Santa Fe, by poinformować Ro o swoich planach, spodziewał się, że zostanie tam gdzie jest i zaczeka na jego powrót. Tak postąpiłaby Elena.

- Nie mam pojęcia, dokąd jadę. Ani co zamierzam robić, kim jestem, czego chcę. Rozumiesz, Ro? Muszę sam znaleźć odpowiedź.

- W porządku, Lucasie. Kiedy chcesz ruszać? Będę gotowa.

Spierał się z nią, próbował grozić, wywołać sprzeczkę. Lecz ona nie odstępowała go na krok. Z wyraźnie widoczną już ciążą została przy nim.

- Oto oni.

Lucas powrócił do teraźniejszości i mrużąc w słońcu oczy spostrzegł roześmianego młodzieńca i kobietę stojących przed stacją. Nad nimi wyrastał starszy mężczyzna. Lucas zaklął cicho.

- Powinienem był się domyślić.

- Tak? Czy miałeś zamiar unikać go do końca życia? Czego się boisz, Lucasie?

Rzucił jej gniewne spojrzenie i mimowolnie pociągnął za czarną apaszkę przykrywającą cienką, czerwoną bliznę wokół szyi.

- Kobieto, czasami przypierasz mnie do muru!

Rozzłościł się na nią, ale przede wszystkim na siebie. Czy Shannon rzeczywiście myślał, że unika go z tak idiotycznego powodu? To dziwne, nigdy nie pomyślał o nim jak o ojcu.

Po prostu Shannon. Znienawidzone nazwisko, które odrzucił.

Chłopiec podniósł się i z podniecenia otworzył szeroko oczy.

- Mama...?

Rowena zerknęła na Lucasa. Napięte, zaciśnięte usta ustępowały powoli miejsca nieśmiało uśmiechowi.

Przywiązał powóz do słupka, obszedł go dokoła i pomógł jej zejść. Najpierw ona, potem dziecko.

Koło gapiów powiększało się, choć wszyscy zachowywali dystans, rzucając dyskretne spojrzenia.

- Niech to diabli! To Todd Shannon i jego syn. Nie zamienili ze sobą od kilku lat ani słowa od czasu procesu.

- A jego żona... czy nie była zaręczona ze starym Shannonem?

Niezręczną ciszę, która zapadła po powitaniu, przerwała podekscytowana Corinne. Nie zmieniła się od czasu, kiedy Rowena widziała ją po raz ostatni, przybrała tylko na wadze.

- Wielkie nieba, Roweno, trudno mi uwierzyć, że jesteś matką. Wujku Toddzie, mały Guy Ramon wygląda dokładnie tak jak ty! Ma twoje oczy, choć nie są tak twarde jak kamień... och!

Jack Davidson poczerwieniał, kiedy Corinne zakryła dłonią usta.

- Och! Och, tak mi przykro! Obiecałam, że nic głupiego nie palnę. Ale to takie dziwne. Jak z powieści, tyle że nie zawsze było to dla was przyjemne, prawda? To znaczy...

- Corinne!

- Daj spokój, Jack! Niech powie, co czuje. Tego nam wszystkim brakowało.

Shannon spojrzął spod krzaczastych brwi na swego wnuka, który z ciekawością i bez cienia strachu odwzajemnił to spojrzenie.

- Rozumiesz po angielsku, chłopcze? - spytał grubym głosem.

- Zna też hiszpański i język Apaczów - wtrąciła szybko Rowena. - Czy mogę cię przedstawić, Todd?

Zaplanowała to wszystko, pomyślał Lucas, marszcząc czoło. Ona i ta jej przyjaciółka. Niech diabli wezmą wszystkie podstępne kobiety! Uchwycił przez moment rozbawiony, ale i przepraszający wzrok Corinne i uśmiechnął się. Trzeba przyznać, że była szczerą. Shannon miał w tym względzie rację.

- Skoro już się poznaliśmy, przyznać muszę, że nie tak cię sobie wyobrażałam. - Corinne przechyliła głowę. - Przypominasz mi... tak, Heathcliffa z *Wichrowych wzgórz* Emily Brönte. Choć Rowena ma zbyt silny charakter jak na potulną, łagodną Cathy. Czyż nie mam racji?

- Nigdy nie spotkałem kobiety, która by tyle gadała - zauważył później z oburzeniem Lucas.

- Naprawdę tak pomyślałeś? Wydawało mi się, że lubisz Corinne. Sposób w jaki na nią patrzyłeś i ten wzrok...

- W porządku, zafascynowała mnie! A ty... może powiesz mi, co oznacza wyraz twoich oczu, madam? Zadowolona jesteś z podstępu? Mój Boże, odetchnąłem z ulgą, kiedy zaproponowałem, byśmy znaleźli bardziej prywatne miejsce do rozmów. A teraz cię ostrzegam, nie mam zamiaru siedzieć przy niej przez całą kolację! Jak ci się, u diabła, udało namówić mnie do tego wszystkiego?

- Czy wysłuchasz mnie wreszcie? Myślę, że dziś - podobnie jak ja - zobaczyłeś Todda jako starego, samotnego człowieka. Jest dziadkiem Guya i nie wolno ci pozbawiać go tego szczególnego związku. Och, Lucasie! - Rowena odwróciła się gwałtownie i rzuciła mu ręce na szyję.

Miękki dotyk jej ciała podniecił go.

- Pomyśl o tych wszystkich latach zmarnowanych przez wendetę i brak porozumienia! Przypomnij sobie, co powiedział czarownik, twój przybrany dziadek o dwóch stronach monety. Czy po upływie tak długiego czasu jest jakiś powód, dla którego nie możecie witać się z Toddem w cywilizowany sposób?

Wyczuwając jego niezdecydowanie, dorzuciła chytrze:

- Kiedy wiosną Montoya przyjechał w odwiedziny z Luz i dziećmi, gotów byłeś

zapomnieć o tym, jak próbował nas kiedyś rozdzielić!

- Nie zauważyłem, abyś i ty miała mu to za złe.

- A więc?

- Jeśli nie chcesz, bym uwiódł cię przed kolacją, lepiej zejźmy już na dół.

Promień purpurowego światła niczym ponury pocisk wystrzelony przez zachodzące słońce przedarł się przez ściągnięte zasłony hotelowego okna i stłumił blask lampy.

Popatrzyli na siebie badawczo nowym, świeżym spojrzeniem. Z twarzy Roweny odczytał: „Kocham cię, należysz do mnie. Ufamy sobie, a w naszym życiu jest także miejsce dla innych ludzi”.

W korytarzu rozległ się śmiech dziecka. Lucas dotknął palcem jej podbródka i musnął go delikatnie ustami.

- Już dobrze, madam. Nic nie mów. Lepiej znajźmy naszego chłopca i wpakujmy go do łóżka zanim go wszyscy nie rozpieszczą na dobre.

Zniknęły upiory przeszłości. Ze śmiechem, ramię przy ramieniu, opuścili pokój.

